



JODI  
PICOULT  
DESZCZOWA NOC

Piotr Wydział i Słuch

JODI  
PICOULT

DESZCZOWA  
NOC

Przełożyła Katarzyna Kasterka

**Prószyński i S-ka**

Tytuł oryginału MERCY

Copyright 1996 by Jodi Picoult

All rights reserved

Projekt okładki

Ewa Wójcik, Renata Smolińska

Ilustracja na okładce

BobThomas/Corbis

Redaktor prowadzący

Renata Smolińska

Redakcja

Magdalena Kozieł

Korekta

Grażyna Nawrocka

Łamanie

Ewa Wojcik

ISBN 978-83-7648- 129-6

Warszawa 2009

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-651 Warszawa,

ul. Garażowa 7

w [www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa

OPOLGRAF Spółka Akcyjna

45-085 Opole,

ul. Niedziałkowskiego 8- I 2

*Dla Hala i Bess Friend, moich dziadków,  
z wyrazami miłości.  
Mogłabym napisać tomy o tym,  
jak wiele dla mnie znaczą.*

## PODZIĘKOWANIA

Po raz kolejny jestem winna wdzięczność Inie Gravitz oraz doktorowi Jamesowi Umlasowi.

Dziękuję również Fran Kaszubie, Christopherowi Gentile, Aaronowi Belzowi, Laurze Gross, Laurze Yorke, Jane Picoult, Jonowi Picoult oraz Paulowi Constantino - komendantowi policji w Sterling, Massachusetts. Chylę czoła przed Andreą Greene Goldman, prawniczym guru, która udzielała konsultacji nawet o północy i wielkodusznie zrezygnowała z honorarium.

Na koniec - wyjątkowe podziękowania dla mojego męża, Tima van Leera, który uczył mnie łowienia na muchę na naszym, pozbawionym kropli wody trawniku, a przede wszystkim podarował mi czas potrzebny na pisanie tej powieści.

*Czymże potęga miłości,  
jak nie przebaczeniem?  
Innymi słowy, za jej sprawą można  
odczynić to, co już dokonane.  
Bez tego na co by się zdała?*

WILLIAM CARLOS-WILLIAMS,  
Asphodel, That Greeny Flower.

## PROLOG

Kiedy wszystkie przedmioty świadczące, że kiedyś łączyło ich wspólne życie, zostały już zapakowane do kartonowych pudeł przyniesionych z monopolowego, dom nabrał cech czysto kobiecej przestrzeni.

Oparła ręce na biodrach, rozejrzała się dokoła i ze stoickim spokojem zaakceptowała brak mat na stół z logo Boston Celtics, brak sprzętu wędkarskiego, wiekowej tarczy do rzutków przywiezionej ze szkockiego pubu, skrzynki z narzędziami i zjazdowych nart czy też jedwabnych krawatów, które teraz tkwiły zwinięte w jednym z kartonów na podobieństwo kłębowiska węży.

Bez tych przedmiotów nagle zaczęły się rzucać w oczy jasne koronkowe firany, wazon pełen ziewających krokusów, poduszka haftowana krzyżykami.

Fakt, to miejsce przypominało teraz bardziej stronę z magazynu Marthy Stewart niż mieszkanie, ale ostatecznie tego należało się spodziewać.

Do pudeł powędrowały bliźniacze kufle ozdobione ich ręcznie wypisanymi imionami, kamera, którą kupili wspólnie na ostatnią rocznicę ślubu, oraz makatka wyszyta przez jedną z krewnych, upamiętniająca ich wesele.

Z determinacją rozkręciła potężną, mosiężną ramę łóżka i każdą jego część przeniosła do salonu, aż w końcu w sypialni pozostał jedynie gruby, milczący materac.

W duchu podziękowała Bogu oraz - awansem - wszelkim dobrym duchom wiosny za wyjątkowo ciepły dzień.

Kiedy na początku stycznia temperatura wzrastała do 10o ludzie chętnie wylęgali na ulicę, co oznaczało, że na garażowej wyprzedaży może się zjawić sporo osób. Wywlokła pudła na zewnątrz, wypakowała, odwróciła do góry dnem i na wierzchu poustawiała różne przedmioty.

Rozciągnęła linkę między dwoma wiązami rosnącymi przed domem i na niej starannie rozwiesiła ubrania - łącznie z galowymi mundurami. Opróżniła szuflady sypialnianej komody, a to, co w nich znalazła, poukładała w mniejszych kartonach: skarpetki - dziesięć par za 50 centów, bluzy bawełniane - dwie sztuki za dolara.

Żeby nie patrzeć na rozłożoną ramę łóżka, ustawiła ją za leżakiem, na którym sama się usadowiła.

Zaciekawieni sąsiedzi już zaczęli krążyć wokół trawnika, weszła więc do domu, aby po raz ostatni sprawdzić, czy nic nie umknęło jej uwagi. Ze ścian zniknęły pamiątki po szkockich przodkach męża. Teraz, gdy jego ulubiony skórzany fotel o wysokim oparciu stał przed rabatą z azaliami, salon zdawał się pusty.

W istocie wnętrze domu zaczęło wyglądać jak mieszkanie, które wynajmowała osiem lat temu - zanim go poznała.

Tylko jedna jedyna rzecz przypominała jeszcze o ich związku - witrażowy panel przedstawiający żonkile na szafirowym tle, który mąż jej podarował zaledwie kilka miesięcy temu. Zatrzymała się w drzwiach sypialni.

Promienie słońca prześwietlały barwne szkło, wypalając wzór witrażu i jego kolory na powierzchni materaca.

Kiedy dostała ten szklany obraz, uniosła go do światła, a potem obracała na wszystkie strony, aż poczuła dłonie męża na swoich rękach.

- Ostrożnie - powiedział.

- To bardzo delikatne. Widzisz, jak miękki jest ołów? Gnie się na prawo i lewo. Wszystko może się rozpaść.

Zastanawiające, czemu wówczas nie odebrała tych słów tak, jak odczytywała je teraz: dobiegające z oddali złowrogie ostrzeżenie. Dlaczego jedynie się uśmiechnęła i zapewniła, że wie, że rozumie.



Rozejrzała się wokół i szybko oszacowała, co zdołała sprzedać, a co jeszcze zostało na trawniku. W kasetce, którą trzymała na kolanach, znajdowało się ponad siedemset dolarów, zapewne co najmniej połowa miasteczka zjawiała się dzisiaj pod jej domem - nawet jeżeli nie dla dokonania zakupu, to przynajmniej by poprzebierać w towarze.

Jako pierwszy poszedł sprzęt wędkarski łącznie z bambusową wędką, należąca ongiś do dziada jej męża.

Wzięciem cieszyły się również koszule - nie została ani jedna. Dyrektorka przedszkola wzięła wszystkie mundury, stwierdziła, że czteroletni chłopcy uwielbiają się bawić w policjantów, a poza tym, czyż nie będą wglądać przeuroczo w kąciku z różnymi kostiumami?

Nie udało się sprzedać jedynie bokserek - trzeba je będzie oddać jakiejś organizacji charytatywnej - oraz czasopism podróżniczych, których stos znalazła wciśnięty za piłę taśmową. W przyływie naglego natchnienia chwyciła te czasopisma, poczym stanęła na końcu podjazdu. Wzięła pierwszy z góry egzemplarz - błękitny ocean, biała plaża, „200 Topowych Hoteli Karaibów” - i podała mężczyźnie prowadzącemu za rękę małą dziewczynkę.

- Dziękuję, że wpadliście - powiedziała, wręczając czasopismo takim gestem, jakby rozdawała programy w teatrze lub ofiarowała pożegnalny prezent.

Dziesięć po piątej z powrotem usiadła na swoim leżaku. Przypomniała sobie, co kiedyś przeczytała o dawnych zwyczajach pewnych indiańskich szczepów: kobieta miała tam tak silną pozycję, że gdy chciała się rozwieść z mężem, po prostu wystawiała przed tipi jego mokasyny.

Zacisnęła powieki, bo oślepiające promienie słońca przyprawiły ją o ból głowy.

Mąż podjechał pod dom dwadzieścia sześć po piątej.

- Hej - rzucił. - Udało mi się wrócić wcześniej iż przypuszczałem.

Nie odpowiedziała.

On tymczasem powiódł wzrokiem po przewróconych do góry dnem kartonach, po stercie bokserek obok leżaka, pustej lince między drzewami, kasetce z pieniędzmi na kolanach żony.

- Pozbyłaś się z domu kilku niepotrzebnych gratów? Dobra pogoda na garażową wyprzedaż.

Nie patrzyła mu w oczy, gdy posłał jej dziwne spojrzenie i wszedł do domu.

Liczyła, ile razy zdoła wciągnąć powietrze do płuc, zanim usłyszy ogłuszający tupot stóp zbiegających po schodach i ujrzy męża wypadającego przez drzwi domu.

Kiedy przed nią stanął, był czerwony z gniewu, zasłonił sobą słońce stojące już nisko nad horyzontem, co sprawiło, że jego włosy i ramiona zdawały się płonąć żywym ogniem.

- Przykro mi - powiedziała chłodno. Podniosła się z leżaka i wdzięcznym gestem powiodła ręką wokół trawnika. - Ale praktycznie nic już nie zostało.

Wetknęła kasetkę pod pachę, przeszła przez podjazd i ruszyła przed siebie ulicą.

Stawiała mechanicznie jedną stopę za drugą, kierując się w stronę centrum miasteczka.

I ani razu nie obejrzała się za siebie.

# CZEŚĆ PIERWSZA

Kto miłosierdzia innym nie okaże  
Jak sam na miłosierdzie nadzieję mieć może?

EDMUND SPENCER, Królowa Wrózek

Człek w gwiazdy zapatrzony  
jest przysłowiowo zdany na łaskę  
i niełaskę kałuż na swej drodze.

ALEXANDER SMITH, Men of Letters.

# 1.

Położyła rękę na jego ramieniu.

- Bez względu na wszystko. - posłała mu znaczące spojrzenie - nie wolno ci przerwać.

Odwrócił twarz.

- Nie jestem pewien, czy w ogóle zdołam zacząć.

Uniosła jego dłoń do ust, ucałowała każdy palec, po czym zadała proste pytanie:

- Jeżeli ty tego nie zrobisz, to kto?

Przez moment siedzieli obok siebie w milczeniu, spoglądając przez pokryte smugami okno na miasteczko, którego żadne z nich dobrze nie znało.

W odbiciu szyby śledził jej oddech i zaczął usilnie walczyć o zwolnienie własnego tętna, by się dostosowało do rytmu jej serca.

Panująca cisza stępiła jego zmysły i w końcu skoncentrował się całkowicie na zegarze stojącym obok łóżka.

Obiecał sobie, że nie mrugnie powieką do czasu, aż następna minuta przetoczy się w ostatnią.

Z gwałtownością, która zdumiała jego samego, wtulił twarz w zagłębienie jej szyi, by na zawsze wryć w pamięć tę miękkość i zapach.

- Kocham cię.

Wygięła usta w tak dobrze mu znanym, niesymetrycznym uśmiechu.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - zapytała.

Pod sam koniec walczyła. Zadrapania na skórze paliły jak piętno. Przytrzymał jednak poduszkę na jej twarzy, uspokajał, szepcząc do ucha:

- Moja jedyna. Dołączę do ciebie najszybciej, jak zdołam.

Jej ramiona luźno opadły. Było po wszystkim.

Wtulił twarz w jej bluzkę, teraz dla niego się zaczął powolny proces umierania.

Po raz setny tego dnia Cameron MacDonald, komendant policji miasteczka Wheelock w stanie Massachusetts, zamknął oczy i w marzeniach ujrzał Zatokę Biskajską.

Jeżeli się dobrze postara, to dzięki panującej na posterunku ciszy i promieniom popołudniowego słońca tańczącym na skraju biurka zdoła się przenieść w świat ułudy.

Zapomni, że w bok wbija mu się Smith Wesson, że za oknami się rozciąga górską przełęcz, do diabła, przy odrobinie szczęścia może uda mu się nawet zapomnieć, że jest Cameronem MacDonaldem.

Uruchomił wyobraźnię i całkowicie się zanurzył w liliowo-błękitną głębię.

A potem uchylił powieki w nadziei, że ujrzy linię brzegową, i że dobiegnie go zapach Doliny Loary, tymczasem miał przed oczami bladą, ziemistą twarz Hanny, policyjnej sekretarki.

- Oto akta - powiedziała. - Facet został postawiony w stan oskarżenia. - Już miała wyjść, ale jeszcze przystanąła w progach. - Jesteś pewien, że nie łapie cię jakaś grypa, szefie?

Cam pokręcił zdecydowanie głową, musiał się otrząsnąć z marzeń i jednocześnie przekonująco zaprzeczyć.

By wzmocnić efekt, uśmiechnął się szeroko, gdyby tego nie zrobił, Hanna natychmiast zadzwoniłaby do Allie i nie minęłoby półgodziny, a żona by się tutaj zjawiała i przymusiła Camerona do wypicia naparu z maruny i korzenia pokrzywy.

Odłożył akta na bok, zerkając nostalgicznie na „Gall's Buying Guide” - katalog wyposażenia policyjnego - w którym trzymał ukryty magazyn „Travel”.

Poniekąd Hanna miała rację: rzeczywiście coś mu dolegało. To się powtarzało co roku od czasu, gdy musiał powrócić do Wheelock i objąć po zmarłym ojcu stanowisko komendanta policji. Bolesnie

ciągnęło go w daleki świat, a ową tęsknotę pogłębiała świadomość, że jest uwiązany do tego miejsca z tak banalnego powodu jak nazwisko, które przyszło mu nosić.

Wheelock przypominało wyglądem większość miasteczek na zachodzie stanu Massachusetts: w rynku stał prosty biały kościół, obok biblioteka, następnie budynek mieszczący zarówno komisariat, jak i remizę strażacką, nie opodal zaś kafeteria, a wokół kamienne ławki, na których codziennie wysiadali przygarbieni starcy obserwujący, jak chybotliwym, niepewnym krokiem przemija ich życie. Tym, co w istotny sposób odróżniało Wheelock od Hancock, Dalton czy Williamson, był fakt, że gdyby nie tragiczne zrządzenie losu, każda rodzina z tego miasteczka nadal mieszkałaby w Szkocji.

Na pierwszy rzut oka nie zauważało się niczego szczególnego. Ale po chwili trudno było nie spostrzec, że biała solidna zastawa w miejscowych lokalach jest zdobiona czteropłatkową różą Pięknego Księcia Charliego”, ceremonie ślubne w kościele św. Małgorzaty kończą się nadal starodawną przysięgą krwi, a na wąskich, krętych uliczkach miasteczka nazwisko MACDONALD widnieje na alarmująco dużej liczbie skrzynek listowych.

Mowa o Karolu Edwardzie Stuartcie, „Młodym Pretendencie”, synu Jakuba III Stuarta i Klementyny Sobieskiej, który w 1745 roku podjął awanturniczą próbę odzyskania tronu Anglii i Szkocji dla swojego ojca, „Starego Pretendenta” (przyp. tłum.).

A gdyby ktoś przypadkiem zawędrował na Wyżynę Szcocką, wówczas by odkrył, że niewielka osada Carrymuir, położona nad brzegiem Loch Leven, jest bliźniaczym odbiciem Wheelock w stanie Massachusetts.

Na początku XVIII w. klan MacDonaldów był najpotężniejszym i najliczniejszym klanem w Szkocji, zasiedlającym Archipelag Hebrydzki i całe Zachodnie Pogórze. Jedna z gałęzi tego rodu zamieszkiwała na północ od Glencoe w osadzie Carrymuir leżącej w wąskiej kotlinie otoczonej poszarpanymi, ostrymi graniami, tworzącymi naturalną fortecę obronną. Dzięki temu, pomimo nieustannych wojen

klanowych, Carrymuir nigdy nie zostało podbite.

Clann w celtyckim języku gaelic oznacza „potomstwo”, klan był więc rozgałęzionym rodem dzielącym się na mniejsze plemiona zajmujące określone tereny.

Wódz takiej grupy, czyli laird, był panem życia i śmierci swoich krewnych oraz dzierżawców, chociaż rządził nieco inaczej niż absolutni monarchowie.

Ostatecznie gros jego poddanych stanowili bracia oraz kuzyni, oni darzyli go szacunkiem i zaufaniem, on zaś miał obowiązek ich chronić i otaczać opieką.

Cameron MacDonald z Wheelock w stanie Massachusetts nosił imię po swoim praprapraprapradziadzie, legendarnym wojowniku, który brał udział w bitwie pod Culloden, zakończonej zwycięstwem Anglików i krwawym pogromem szkockich górali.

Cameron jeszcze jako mały chłopiec słyszał tę opowieść setki razy: gdy jego imiennik zdał sobie sprawę, że armia Pięknego Księcia Charliego, złożona w większości z górskich klanów, nie ma szans w starciu z Anglikami, postanowił uchronić pobratymców od śmierci. Za honorowe zwolnienie członków klanu z udziału w dalszej walce zaoferował Pretendentowi swoje nieprzeciętne zdolności bitewne i poprzysiął walczyć z Anglikami aż do śmierci. Ku własnemu zdumieniu nie zginął jednak pod Culloden. I wówczas, gdy po przegranej bitwie Anglicy ruszyli przez Szkocję, gwałcąc, paląc i grabiąc wszystko, co napotkali na swojej drodze, Cameron MacDonald podjął kolejną próbę ocalenia własnego klanu przed zagładą.

Jako jakobita znalazł się w więzieniu, wcześniej udało mu się jednak wszystko tak zorganizować, by rodziny z Carrymuir pojedynczo wsiadały na statki pocztowe płynące do amerykańskich kolonii. Dzięki temu, podczas gdy większość Szkotów wywieszano lub sprzedano w charakterze niewolników plantatorom bawełny w Indiach Zachodnich, mała grupa MacDonaldów z Carrymuir zachowała życie oraz wolność i osiadła w dzikich ostępach Massachusetts.

Znaleźli miejsce, które przypominało rodzinną krainę - otoczone wzgórzami, położone nad małym jeziorkiem - i przekazali wieść do kraju: „Zamieszkaliśmy nad wee loch.”.

Wee (szkoc.) - mały, loch (szkoc.) - jezioro (przyp. tłum.).

W końcu na amerykańską ziemię trafił sam laird wraz z najbliższą rodziną, pozostawiwszy na straży klanowych włości w Szkocji jedynie zaufanego stryja.

Przybysze zamienili wygodne kilty na spodnie, dumnie wzniesli w górę Gwiazdzisty Sztandar i zaakceptowali zamerykanizowaną nazwę miasteczka.

Ażeby zadośćuczynić wodzowsko-opiekuńczej tradycji, głowa klanu MacDonaldów zwyczajowo obejmowała posadę szefa policji w Wheelock.

W 1995 roku to stanowisko należało do Camerona MacDonalda II. Wcześniej powinność komendanta wypełniał jego pradziad, dziad i ojciec - zgodnie z tą samą linią sukcesji, z jaką na męskiego potomka przechodził honorowy tytuł lairda. Cameron pierwszy przyznał, że czasy uległy definitywnej zmianie.

Z przyczyn oczywistych, mimo że był uważany za wodza klanu i jako taki został skrupulatnie odnotowany w szkockich księgach rodowych, nie odpowiadał już za poziom i sposób życia mieszkańców miasteczka, których przytłaczająca większość nigdy nie odwiedziła dawnych ziem w Szkocji, formalnie wciąż należących do MacDonaldów, nie wymawiała twardo głosek i nie znała więcej niż kilka słów w gaelic.

Z drugiej strony - stare przyzwyczajenia umierają ostatnie. Nie istniała srebrna misa pokryta dostojną patyną ani królewski edykt dowodzący, że Wheelock stanowi część włości klanowych, ale w rzeczywistości to miasteczko do nich należało tak samo, jak do ich przodków należała wąska przełęcz na Szkockim Pogórzu, ponieważ zasiedlali tę ziemię od stuleci.

W wieku trzydziestu pięciu lat Cameron MacDonald już wiedział, że pozostanie w Wheelock do końca życia, będzie komendantem policji aż do śmierci, a po nim to stanowisko obejmie jego pierworodny. Zdawał sobie sprawę, że w tej kwestii nie ma żadnego wyboru - podobnie jak w wypadku dławiącej powinności dzierżenia tytułu lairda.



Niekiedy, w głębokiej nocnej ciszy, tłumaczył sobie, że ten honorowy tytuł w dzisiejszych czasach nie ma tego samego znaczenia jak przed dwustu pięćdziesięciu laty.

Rozsądek podpowiadał, że mógłby wraz z żoną wybrać atrakcyjniejsze klimatycznie miejsce - przenieść się, powiedzmy, do Phoenix - i każdy zaakceptowałby tę decyzję bez mrugnięcia okiem.

Ale wówczas przypominał sobie, co czuł, gdy Darcy MacDonald - córka jego kuzynki trzeciego stopnia - potknęła się i przewróciła zaledwie o trzy kroki od niego.

Prowadził wówczas pogawędkę z golibrodą.

Założono jej siedemnaście szwów na kolano, dlatego że on się nie wykazał dostatecznym refleksem czy też nie było go w odpowiednim miejscu o właściwej porze.

Prawdę powiedziawszy, w niektóre dni ogarniało Camerona przekonanie, że każde aresztowanie, każdy wyrok skazujący rzuca cień na niego osobiście jako przywódcę społeczności. W takich chwilach przytulał się mocno do miękkiego, zwiniętego w kłębek ciała chrapiącej Allie, swojej żony, ponieważ było trwałą i namacalną kwintesencją prawdy.

A potem próbował się zmusić do snu, ale wszystko, co widział pod powiekami, to ciężkie kajdany, które ogniwo po ogniwie rozciągały się przez cały Atlantyk.

W szkole średniej Allie Gordon nie należała do najpiękniejszych i najpopularniejszych dziewczyn w swoim roczniku. Nigdy nawet się nie zbliżyła do tego ideału.

Palmę pierwszeństwa dzierżyła bez wątplenia Verona MacBean ze starannie wytuszowanymi rzęsami, masą jasnych, delikatnych jak cukrowa wata włosów, nosząca naco dzień różowy moherowy sweterek, który niby druga skóra opinał to, co chłopcy nazywali „Wzgórzami Hoosac”.

I właśnie dzisiaj, po piętnastu latach nieobecności, Verona MacBean ni stąd, ni zowąd weszła do kwiaciarni „Glory in the Rover”, po czym zamówiła trzy stroiki ze świeżych kwiatów, by

zdobiły stoły podczas lunchu organizowanego w miejskiej bibliotece z okazji wydania jej najnowszej książki.

- Verona! - Allie natychmiast ją rozpoznała.

Poczuła się nieswojo na widok dawnej gwiazdy szkolnej, która teraz ściągała włosy w niski kok, pokrywała zapadnięte policzki rozświetlającym podkładem, i była ubrana w beżowy, surowy w kroju kostium.

- Co cię do nas sprowadza?

- Allie - odezwała się Veronacichym głosem z identycznym, pobudzającym męskie zmysły, przydechem jak w licealnych czasach. - Ty wciąż w tym miasteczku!

W tonie Verony nie było cienia wyższości czy pogardy, więc Allie jedynie wzruszyła ramionami.

- No cóż. - smakowała słowa na języku niczym francuski delikates - ...skoro Cam tu pozostał. - z rozmysłem zawiesiła głos, zerkając na dawną koleżankę znad formularza zamówienia. - Bo chyba słyszałaś o mnie i Cameronie? - mówiąc to, już spojrzała Veronie prosto w oczy.

Verona podeszła do przeszklonej chłodni, jakby przeprowadzała inspekcję jakości kwiatów, które przed chwilą zamówiła. - Owszem - odparła. - Coś mi się obiło o uszy.

Kilka minut później Verona opuściła kwaciarnię, określiwszy przedtem co do minuty czas dostawy stroików - bo nie można przecież dopuścić, by na stole się pojawiły wiotczące róże podczas lunchu wydawanego na cześć autorki, której kariera właśnie zaczynała w pełni rozkwitać.

Allie natomiast przeszła na zaplecze, gdzie składowała mech, gąbkę florystyczną, desykanty, rafię i drut.

Stała naprzeciwko małego lusterka zawieszzonego nad umywalką w toalecie i zaczęła studiować swoją cerę. A potem przekopała regał z książkami w poszukiwaniu albumu szkolnego, który trzymała w kwaciarni tylko po to, by powiązać twarze przychodzących tu ludzi z ich nazwiskami. Otworzyła album na stronie poświęconej Veronie. Nietrudno było sobie wmówić, że ona, Allie, dojrzała i nabrała życiowej mądrości, podczas gdy Verona MacBean, uwieczniona na błyszczącej czarno-białej fotografii, utknęła w pętli czasu.

Nie miało dla Allie większego znaczenia, że Verona studiowała na Harvardzie, a potem na Yale, i że jej pierwsza książka - rozważania filozoficzne - była najgorętszym tematem rozmów mieszkańców Wheelock.

Dla Allie liczyło się tylko jedno: to ona poślubiła Camerona MacDonalda, dokonała wyczynu, którego nikt by się po niej nie spodziewał.

Nikt natomiast ani trochę się nie zdziwił, gdy jesienią 1977 Verona MacBean została dziewczyną Camerona MacDonalda, chociaż Cam rozpoczął wówczas naukę w maturalnej klasie, a Verona zaledwie w pierwszej.

Nikt się nie zdziwił, ponieważ oboje byli nad wyraz urodziwi: Verona przypominała cenną lalkę z dziewiętnastowiecznej manufaktury, Cameron natomiast górował wzrostem nad wszystkimi w szkole, miał niesłychanie szerokie, muskularne ramiona i burzę włosów, które się odcinały od tła żywością koloru.

Allie najpierw się zakochała właśnie w tych włosach. Siadywała w szkolnej bibliotece nad cienkim tomikiem poezji Sylwii Plath i czekała, aż Cam wejdzie przez drzwi z podwójnego szkła, wygłuszając zgiełk korytarza.

Przychodził codziennie o tej samej porze - gdy Allie, ku dożgonnej wdzięczności bibliotekarki, zajmowała się wypożyczalnią. Ledwo siadał za stołem, Allie zaczynała przestawiać książki na regale, który się znajdował tuż za plecami jej idola, i w wyobraźni przesuwiała palcami po ognistych włosach, rozdzielając je na czerwone i złote pasma.

A kiedy wychodził, szybko zabierała książki, które pozostawił na stole, i wstawiała na właściwe miejsca na półce, wmawiając sobie, że wyczuwa ciepło rąk Cama na plastikowych, ochronnych obwolutach.

Prawda wyglądała jednak tak, że - chociaż mieszkali w jednym mieście - Cameron MacDonald przez większość życia nie miał pojęcia o istnieniu Allie Gordon.

Była zbyt cicha, zbyt niepozorna, żeby zwrócić jego uwagę. W latach szkolnych tylko jeden jedyny raz mieli ze sobą bezpośredni kontakt: podczas akcji oddawania krwi zajmowali sąsiednie leżanki, a kiedy Allie się poderwała, by sięgnąć po przydziałowe ciastka i

sok, świat nagle zawirował jej przed oczami i zapadła w ciemność. Ocknęła się w ramionach Camerona, który rycersko doskoczył do niej, gdy upadła, wyrывая sobie przy okazji igłę z żyły, stąd gdy Allie wróciła do domu owego popołudnia, zauważyła krew Cama na tylnej części swojej bluzki.

Od lat usiłowała sobie wmówić, że się pobrali NIE TYLKO DLATEGO, iż należeli do nielicznej garstki ludzi, którzy po college'u ponownie wyładowali w Wheelock.

Cam powrócił, ponieważ tego od niego oczekiwano, Allie - bo nie chciała mieszkać w żadnym innym miejscu.

Jeżeli stawała na niższej półce chłodni kwiatowej i odpowiednio wykręcała szyję, widziała przez okno policyjne biuro Cama, a nawet - przy odrobinie wysiłku - mogła dostrzec zarys jego sylwetki, gdy siedział pochylony nad biurkiem. To właśnie dlatego wybrała ten lokal, kiedy osiem lat temu zakładała kwiaciarnię.

Stosując swoją przemyślną sztuczkę, zauważyła, że mąż jest w komisariacie, nie na patrolu.

A więc równie dobrze mogła właśnie w tej chwili zanieść mu cotygodniową kompozycję kwiatową i opowiedzieć o Veronie.

Zeszła z półki, potarła dłonie o spodnie, żeby je ogrzać, po czym zasunęła szklane drzwi chłodni.

W zamyśleniu powiodła palcami po czerwonych liściach berberysu i kasztanowca, które miały stanowić podstawę kompozycji dla Cama.

Allie знаła wymowę kwiatów opartą na założeniu, że każdy kwiatowy gatunek symbolizuje inne uczucia i cechy natury ludzkiej. Bukiety wysyłane z jej kwiaciarni z okazji narodzin dziecka były więc pełne stokrotek wyrażających niewinność oraz ruchu - symbolu matczynej miłości.

W kompozycjach walentynkowych naturalnie królowały róże, a oprócz nich lilie oznaczające czystość, heliotrop - symbol przywiązania oraz niezapominajki obiecujące szczerą miłość. Chociaż Camowi język kwiatów był całkowicie obcy, Allie i tak tworzyła dla niego bukiety pełne ukrytych znaczeń.

Obrzuciła krytycznym spojrzeniem swoją najnowszą kompozycję, złożoną głównie z tulipanów. W Persji mężczyzna dawał czerwony tulipan swojej wybrance, by barwą kwiatu wyznać,

że płonie z miłości, a czernią środka - że jego serce się żarzy niczym węgiel.

Zapełniła wazon astringami nowobelgijskimi i chińskimi oraz kwiatami ognika szkarłatnego.

Na koniec, jak zawsze w bukietach dla Cama, dołożyła całą masę liliowych kwiatów koniczyny łąkowej - tak dużo jak się tylko dało bez burzenia zarysu całej aranżacji. Kwiat koniczyny niósł bardzo proste przesłanie: „Myśl o mnie”.

A potem chwyciła zapełniony wazon i wyszła z kwaciarni, żeby zanieść bukiet Cameronowi.

Nie zadała sobie przy tym trudu zamykania drzwi, bo i któż by się odważył ograbić sklep należący do żony komendanta policji?

Gdy Allie przeszła przez próg posterunku, Hanna akurat rozmawiała przez telefon, ale machnęła ręką w stronę zamkniętych drzwi biura Cama, dając tym do zrozumienia, że nie jest w tej chwili zajęty. Poczym rzuciła do słuchawki zdecydowanym tonem:

- Nie. Nie zatrudniamy jasnowidzów. Niemniej dziękuję za kontakt.

Allie ustawiła wazon na środku wysokiego kontuaru, do którego doprowadzano zatrzymanych w celu pobrania odcisków palców, a potem zapukała cicho do drzwi męża i weszła, nie czekając na zaproszenie. Cameron spał przy swoim biurku, z głową opartą o złożone na blacie ramiona.

Z uśmiechem podkraśniała się do niego od tyłu i przesunęła palcami po włosach na karku Cama. Nachyliła się do ucha męża i wyszeptwała: „Gdy sprawiedliwość śpi.”

Cameron obudził się gwałtownie, podrywając tak szybko głowę, że wyrzwał Allie prosto w podbródek.

Allie zatoczyła się w tył i pociemniało jej w oczach, na szczęście Cam złapał ją w porę i pociągnął na swoje kolana.

- Jezu, Allie! Diabelnie mnie przestraszyłaś.

Allie potarła mocno podbródek i niepewnie pokręciła szczęką.

Cam tymczasem powiódł palcem po jej szyi.

- W porządku? - spytał.

Przyniosłam ci kwiaty - odparła Allie z uśmiechem.

Cam przesunął dłonią po twarzy.

- Nie musisz tego robić.
- Ale chcę.

Cam prychnął cicho.

- To posterunek policji, nie hotelowe lobby - zauważył. - Zatrzymani nie zwracają uwagi na wystrój wnętrza. Nawet nie zauważają twoich wysiłków.

- Ale ty je zauważasz - upierała się Allie.

Cameron spojrział w duże brązowe oczy żony, poczym przeniósł wzrok na jej kurczowo zaciśnięte dłonie.

- Oczywiście.

Oczywiście, że zauważam.

Spojrzał przez otwarte drzwi na kontuar, na którym stało najnowsze dzieło Allie.

Była artystką- często to powtarzał.

Połączenie czerwieni i fioletów, ostrych i miękkich linii oraz wyrafinowanie aranżacji miało w sobie wiele swobody i lekkości, których brakowało samej Allie.

Pewnego razu, gdy żona była w pracy, Cam zerknął do jej pamiętnika w nadziei, że odkryje jakieś pokłady osobowości, których Allie nie miała odwagi ujawnić.

Nie znalazł jednak zapisów żadnych erotycznych snów czy śmiałych marzeń, ale proste sprawozdanie z wykonanych czynności oraz słów wypowiedzianych do Cama, a potem krótkie podsumowanie, co mogła lub powinna zrobić inaczej.

Niekiedy Cameron się budził w nocy zlany potem - przerażony, że po latach małżeństwa z Allie on także zacznie pisać sprawozdania na temat własnego życia, zamiast je przeżywać.

- Zgadnij, kto wpadł dzisiaj do kwaciarni. - Allie zeszła z jego kolan i przysiadła na rogu biurka, wymachując nogą niczym sztubak.

- Mam wyrecytować listę wszystkich mieszkańców? - spytał Cam.

- Verona MacBean. - Allie zmarszczyła brwi. - To znaczy, nie wiem, czy nadal „MacBean”, w każdym razie zjechała do Wheelock. Jest teraz słynną autorką. Na jej cześć z wielką pompą wydają lunch w miejskiej bibliotece.

- No, no Verona MacBean - mruknął Cam z łobuzerskim uśmiechem. - Stara, pocziwaVerona.

- Dość tego! - Allie delikatnie kopnęła go w nogę. - Jest teraz chuda i zasuszona, i nie ma już tak wielkich cycków jak w liceum.

- Może po prostu do nich dorosła.

Allie chwyciła z biurka jakiś katalog i trzepnęła męża po głowie.

W tej samej chwili spomiędzy stron wypadł na blat magazyn podróźniczy. Okładka ukazywała pas białej plaży, a za nią czerwony, jednomasztowy jacht unoszący się na falach. Allie z ciekawością zaczęła kartkować czasopismo.

- Cóż, przynajmniej nie „Playboy” - mruknęła.

Przebiegła wzrokiem przez listę kurortów oferujących pobyt all inclusive, a potem uważniej się przyjrzała reklamie przedstawiającej apetyczną nudystkę.

Cam wyrwał magazyn z ręki żony. Policzki go paliły, kołnierz koszuli zdawał się zbyt ciasny. Nie chciał, żeby Allie wiedziała, o czym nieustannie marzy, do czego tęskni.

Allie uniosła brwi na widok czerwonych plam na policzkach Camerona.

- A niech mnie! - powiedziała. - Masz przede mną jakieś sekrety. - Nachyliła się w stronę męża. - Wiem, że to nie moja sprawa i w ogóle, ale osobiście wolałabym żagle niż narty. - Z wahaniem przesunęła się jeszcze kawałek i przytknęła usta do jego ust, nie spuszczać przy tym z męża wzroku.

Cam pozwolił, by jej oddech smagnął go po wargach, a potem cmoknął ją szybko i lekko odepchnął od siebie.

- Nie tutaj - mruknął.

- W takim razie gdzie? - wyszeptała Allie, zanim sobie uprzytomniła, co mówi.

Obojgu natychmiast się przypomniała ostatnia noc i odruchowo umknęli wzrokiem.

Wczorajszej nocy dłonie Allie powędrowały w poprzek łóżka, wsunęły się pod niebieski T-shirt Cama, zaczęły zataczać niewielkie, zapraszające kręgi.

Cam odwrócił się w jej stronę, obrzucił chłodnym, zdystansowanym spojrzeniem, po czym chwycił mocno jej palce, by nie mogły wędrować dalej.

- Ach, tak - szepnęła rozczarowana i opuściła bezwładnie dłonie.

- To nie twoja wina - wyjaśnił Cam. - Po prostu jestem wykończony.

Allie niekiedy zachodziła w głowę, skąd się wziął mit głoszący, że mężczyźni mają o wiele większy apetyt na seks niż kobiety. Jej doświadczenia były dokładnie odwrotne. Nie cieszył jej fakt, że była zdecydowanie mniej atrakcyjna od męża, i że to ona zawsze musiała robić pierwszy krok.

I że niekiedy Cam nawet nie próbował się wymawiać zmęczeniem.

Po prostu udawał, że śpi.

Nurtowało ją, czy wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby była klasyczną piękną o seksownym ciele. Czasami powtarzała sobie, że w końcu schudnie kilka kilogramów, ostrzyże modnie włosy i przemieni się w istotę, której nikt nie mógłby się oprzeć.

A kiedy Cam wyciągnie po nią ręce, jedynie obojętnie się odwróci do niego plecami.

I może znajdzie sobie kogoś innego.

Na tym etapie rozważań zawsze wybuchała śmiechem, bo doskonale wiedziała, że nikomu nie pozwoliłaby się dotykać w sposób, w jaki jej dotykał Cameron MacDonald.

Niczym na zamówienie, Cam chwycił jej rękę i zaczął kciukiem gładzić nadgarstek.

Nie miał pojęcia, co innego mógłby zrobić.

Pewnych rzeczy nie był w stanie wyznać Allie, nawet po pięciu latach małżeństwa.

Przychodziły takie chwile, że musiał pozostać sam na sam ze swoimi myślami - rozważyć, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby nie zbieg rozmaitych okoliczności - a najczęściej dochodziło do tego późną nocą, kiedy Allie miała wobec niego inne oczekiwania. Bez względu jednak na to, co myślała, kiedy się odwracał do niej plecami, Cameron nigdy nie kwestionował własnych uczuć. Miłość do Allie była niczym zajmowanie tego samego miejsca w podmiejskim pociągu - nie można sobie wyobrazić, jakby się czuło w innym rzędzie, żyło się w przeświadczeniu, że właśnie to krzeselko jest wymodelowane specjalnie dla ciebie, siadało się na nim co dzień



z zadowoleniem i uczuciem ulgi, że nikt go wcześniej nie zajął.

Allie nie spuszczała z Camerona wzroku. Gdyby tylko nie patrzyła na niego w taki sposób - nie wychwytywała czujnie wszystkich kłamliwych wykrętów.

Żałował, że nie jest w stanie uczynić jej szczęśliwą, a przynajmniej poświęcić tyle czasu na próby jej uszczęśliwienia, ile czasu ona poświęcała na uszczęśliwianie jego.

Cam zatknął kciuki za ciężki pas z amunicją, kątem oka pochwycił zdjęcie na rozkładówce, przedstawiające Narodowy Park Acadia w Maine.

- Przykro mi - powiedział.

Nie, pomyślała Allie. To mnie jest przykro.

Kobieta stała w kwaciarni za ladą, a jej dłonie fruwały nad kompozycją z liści palmowych, jaśminu, zielonych dzwonów irlandzkich, golterii, obiedki i trojeści.

Ścinki łądy zaścielały laminowany blat oraz czarno-białe płytki podłogi. Allie stanęła jak wryta w progu własnego sklepu i wbiła wzrok w nieznaną wykonującą jej pracę. A potem przeniosła wzrok na kompozycję stojącą po prawej stronie kasy.

Była cudownie wyważona, w kształcie dzwonu, w delikatnych odcieniach wszystkich możliwych zieleni. Tylko w dwóch miejscach - pomiędzy ozdobnymi trawami - liście kaladium wykwitwały szkarłatem, szokującym niczym plamy krwi.

Allie postąpiła krok do przodu, kobieta drgnęła i przycisnęła dłoń do szyi.

- Wtargnęła pani na moje miejsce.

Nieznanoma uśmiechnęła się niepewnie.

- Tak, przepraszam, już się usuwam. - Zaczęła gorączkowo zbierać narzędzia, które wynalazła na zapleczu, i w tym pośpiechu upuściła sekator na podłogę. - Przepraszam - mruknęła i zanurkowała pod kontuar.

A potem wyszła zza lady i podała Allie sekator niczym gałązkę oliwną.

Allie jeszcze nigdy nie była świadkiem równie bezczelnego wyczynu - całkowicie nieznaną jej osoba weszła do kwaciarni i sama

skomponowała sobie wiązanek! - a jednocześnie musiała przyznać, że ta kobieta nie miała w sobie ani odrobiny zuchwałości: zdawała się zlewać z tłem, rozplýwać w cieniu i sprawiała takie wrażenie, jakby to, czego się dopuściła, zdarzyło się poza jej kontrolą, pod wpływem nie odpartego impulsu.

Allie zerknęła na śliwkowy beret przykrywający włosy nieznajomej, jej ogryzione paznokcie, ciężki plecak oparty oprawą stopę.

Była mniej więcej w wieku Allie i bez wątpienia nie pochodziła z okolic Wheelock. Bo Allie z pewnością by zauważyła i zapamiętała osobę o oczach koloru leśnych dzwonekóv.

Podeszła do lady i powiodła dłonią po delikatnej zieleni.

- Pomyślałam, że może przydałaby się pani asystentka - powiedziała tymczasem nieznajoma, poczym wyciągnęła przed siebie dłoń poznaconą odciskami od drutu florystycznego. - Jestem Mia Townsend.

Allie nie mogła oderwać wzroku od bukietu Mii, przywodzącego na myśl rozległe prerie, stada rżących koni i ciężkie powietrze gorącego letniego popołudnia.

I nie miało to nic wspólnego z roślinami wybranymi przez Mię, ale raczej z samą aranżacją, wplecionymi w nią emocjami.

Allie nie potrzebowała nikogo do pomocy, w miasteczku wielkości Wheelock udawało się jej utrzymać interes głównie dzięki współpracy z ogólnonarodową siecią Poczty Kwiatowej. Ale ostatecznie zbliżało się Boże Narodzenie, po którym wkrótce nadchodziły walentynki, no i Allie nigdy by sobie nie podarowała, gdyby pozwoliła odejść komuś o talencie Mii, nie nauczywszy się wcześniej tego i owego.

Jakby dostrzegając rozterki Allie, Mia raptownie sięgnęła po plecak, z którego wyjęła starannie otulony gazą pakiecik.

Gdy ją rozwinęła, ukazało się drzewko bonzai o wymyślnym kształcie: powykęcane, miniaturowe, wiekowe.

- Istne чудо - westchnęła Allie.

Mia wzruszyła ramionami, ale w jej oczach pojawił się żywszy błysk.

- W tym właśnie się specjalizuję. Miniaturowe drzewka

przypominają mi nowo narodzone dzieci z tym charakterystycznym dla nich wyrazem twarzy - jakby posiadały całą mądrość świata.

Cała mądrość świata. Allie uniosła wzroki spojrzała Mii prosto w oczy.

- Myślę, że jakoś dojdziemy do porozumienia.

Hanna, mająca nadzwyczajny dar wyłapywania wszelkich okolicznych plotek, poinformowała Camerona, że Verona MacBean napisała książkę na temat istoty piekła.

- Jest ponoć czymś zupełnie innym niż w dawnych wyobrażeniach - oświadczyła, wodząc palcem po brzegu kubka. - No wiesz, nie ma żadnych płomieni piekielnych, siarki czy wrzącej smoły.

Cam parsknął śmiechem.

- Nie wspominaj o tym ojcu Gillivrayowi. Byłby bardzo rozczarowany.

Hanna odpowiedziała Cameronowi uśmiechem.

- Verona twierdzi, że piekło nie ma nic wspólnego z bólem fizycznym, tylko raczej z psychicznym cierpieniem. No wiesz, jak wtedy, gdy kobieta odkrywa, że wspaniały, wyśniony facet ożenił się z nią tylko dla kasy.

- Tobie z pewnością to nie grozi - odparł Cam. - Zbyt mało ci płacę.

Wykrzywiła usta.

No dobra, powiedzmy, że aby się machnąć za jakiegoś wyjątkowego przystojniaka, baba porzuca faceta, który szczerze ją kocha. Ból, jaki odczuwa na myśl o tym, że poślubiła niewłaściwą osobę, jest właśnie tym piekłem. - Hanna zmarszczyła nos. - Chociaż prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, skąd Verona MacBean, królowa piękności Wheelock, mogłaby cokolwiek wiedzieć na temat prawdziwego piekła.

Zandy Monroe, sierżant Camerona, wysunął głowę z szatni.

- Zapominasz, Hanno, że Verona była kiedyś dziewczyną szefa.

- Cam rzucił w niego plikiem jeszcze nie otworzonych listów.
- Nie masz nic lepszego do roboty?
- To zależy. - Zandy wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Zabierzesz mnie na lunch?
- Nie - odpowiedział Cam. - Zabiorę Allie. - Zdumiały go własne słowa.

Gdy Allie była tu wcześniej, nie planowali wspólnego posiłku, ale Cameron dobrze wiedział, że żona będzie zachwycona perspektywą spędzenia całej godziny w jego towarzystwie.

Wciągnął na siebie ciężką, policyjną kurtkę, zamknął na klucz drzwi biura i zwrócił się w stronę Hanny.

- Gdyby miasto się znalazło w stanie oblężenia, wiesz, gdzie mnie szukać.

Idąc do leżącej nieopodal kwiaciarni, uśmiechał się pod nosem.

Wejdzie do środka i zamówi bukiet z dali i lili w kolorach sierpniowego popołudnia. A potem powie, że te kwiaty są dla bardzo szczególnej osoby, i zażyczy sobie bileciku okolicznościowego, na którym napisze: „Co zamierzasz zrobić zresztą swojego życia?”

Podśpiewując pod nosem, otworzył drzwi kwiaciarni i stanął oko w oko z kobietą, której nigdy wcześniej nie widział w Wheelock. Imię żony zamarło mu na ustach, a wzrok zaczął wędrować po burzy włosów sięgających ramion, po wygięciu jakby lekko nabrzmiącej dolnej wargi, po delikatnie pulsującej żyłce na szyi.

Ta kobieta nie była jakąś wyjątkową piękną, nie przywodziła na myśl nikogo znajomego, a jednak na jej widok zaparło mu dech w piersiach. Kiedy chwycił wyciągniętą na powitanie rękę, dotarło do niego, że nieznajoma ma oczy fiołkowo-niebieskiej barwy - zupełnie takiej samej, jaką w jego marzeniach przybierała Zatoka Biskajska.

- A! - wykrzyknęła. Allie, wychodząc z zaplecza. - Oto Mia.

I nic więcej nie zdążyła powiedzieć, bo w tej samej chwili Zandy Monroe wpadł do środka tak gwałtownie, że drzwi uderzyły o

ścianę, a jedna z umieszczonych w nich szybek pękła na dwoje.

- Szefie! Jest pan potrzebny!

Wiedziony niezawodnym instynktem Cam bez zbędnych pytań wybiegł za swoim sierżantem, odruchowo kładąc dłoń na kaburze pistoletu. Zobaczył zebraną przed posterunkiem dużą grupę ludzi, kątem oka dojrzał Allie i Mię, również podążające w stronę zgromadzenia.

Napompowany adrenaliną, Cam przedarł się przez tłum otaczający - jak się okazało - czerwonego forda pikapa.

Tymczasem Zandy podszedł do okna od strony kierowcy.

- Okay, oto komendant policji. - Po czym wzruszył ramionami i mruknął do Camerona: - Nie chciał gadać z nikim prócz ciebie, szefie.

- Cameron MacDonald?

Głos mężczyzny był silny i donośny, a jednocześnie podszyty emocjami, jednak tak nieznacznie, że policjant mniej doświadczony od Cama mógłby w ogóle nie wychwycić cierpienia znaczącego każdą sylabę.

- Owszem. W czym mógłbym panu pomóc?

Mężczyzna wysiadł z samochodu.

Nie mieszkał w okolicach Wheelock, ale Cam był niemal pewien, że widział go tutaj w ostatnim tygodniu. Może na poczcie, a może w restauracji przy hotelu Wheelock Inn. Nieznajomy był równie wysoki co Cameron, ale żyłasty i wychudły, jakby zmęczony samą koniecznością istnienia.

- Nazywam się James MacDonald - powiedział mężczyzna tak głośno, żeby wszyscy wokół dobrze go usłyszeli.

- Jestem twoim kuzynem. - Cofnął się w stronę pikapa i wskazał na siedzenie pasażera, na którym póżełała śpiąca kobieta. - Moja żona, Maggie, nie żyje. - Spojrzał w oczy Cameronowi. - I to ja ją zabiłem.

## 2.

Po słowach Jamesa MacDonalda rozpętało się istne piekło - choć zupełnie nie takie, jak w wizji Verony MacBean.

Dwie kobiety zemdłały, jedna nieszczęśliwie uderzyła głową o chodnik i pod jej policzkiem zaczęła rosnąć plama krwi.

W odruchu dziwnie pojętej rycerskości Art MacInnes, miejscowy golibroda, doskoczył do Jamesa i trzasnął go pięścią w nos.

Dwójka dzieciaków na rowerach w jarzeniowych kolorach wpadła w sam środek tłumu otaczającego pikapa.

- Spokój! - wrzasnął Cam i gestem nakazał Zandy'emu przejść na drugą stronę samochodu.

Niewykluczone, że ten facet to zwykły czubek, może kobieta w pikapie po prostu drzemała, zapadła w cukrzycową śpiączkę lub współdziałała z mężem w odgrywaniu jakiejś chorej farsy. Cam zwrócił się w stronę zgromadzonych.

- Wracajcie do domu - zarządził. - Wystając tu, przeszkadzacie mi w pracy.

Nikt się nie ruszył.

Cam westchnął ciężko i z rozpostartymi ramionami podszedł do Jamesa MacDonalda.

James stał lekko przygarbiony i przyciskał do twarzy dłoń, spod których wyciekała krew.

Cameron wyciągnął chusteczkę z kieszeni.

- Proszę - pomachał skrawkiem białego materiału przed oczami Jamesa w sposób, który przywodził na myśl akt poddania.

James MacDonald nie zachowywał się w sposób mogący sugerować, że stanowi bezpośrednie zagrożenie dla otoczenia. Nie było

więc powodu zakuwać go w kajdanki. Cam wprowadzi Jamesa na posterunek, poczęstuje kawą, spróbuje nakłonić do rozmowy. W tej chwili jeszcze go nie aresztuje.

- Szeffie, drzwi pasażera się zacięły.

Na dźwięk głosu sierżanta James MacDonald odwrócił się raptownie i zobaczył, że Zandy szarpie za samochodową klamkę.

Ponieważ nie ustępowała, sierżant wsunął dwa palce przez lekko uchylone okno i próbował dosięgnąć szyi kobiety, aby zbadać puls.

Ze zwierzęcym krzykiem James MacDonald wyrwał się z uchwytu Camerona i rzucił w stronę półciężarówki. Odepchnął Zandy'ego od drzwi z ogromną mocą, którą wyjątkowo silni mężczyźni uczą się kontrolować od wczesnej młodości.

- Żebyś się nie ważył jej dotykać! - wykrzyknął w stronę sierżanta.

Zaciskał mocno dłonie w pięści, a na tle pokrytej ciemnymi plamami twarzy jego zęby błyskały nieprzyzwoicie śnieżną bielą. Odwrócił się w stronę drzwi, po czym je otworzył i dopiero wtedy Cam zdał sobie sprawę, że wcale się nie zacięły, lecz były zablokowane, a James po prostu wyrwał je z zamka.

Chwytał w ramiona osuwające się ciało żony, przycisnął policzek do jej policzka, po czym powtórzył szeptem: - Nie waż się jej dotykać.

Spojrzenia Cama i Zandy'ego skrzyżowały się ponad maską pika-pa. Cameron ruszył w stronę Jamesa, Zandy też postąpił czujnie do przodu. Ale James się nie opierał, gdy Cam go odciągnął od szoferki półciężarówki.

- Panie MacDonald, zostaje pan aresztowany. - Cam zacisnął kajdanki na nadgarstkach mężczyzny. - Sierżancie. - skinął głową w stronę ciała kobiety. - Proszę się tym zająć.

James zaczął się opierać.

- Nie - wyszeptał do Cama. - Nie wolno ci tego robić.

Cam musiał się nachylić, żeby dosłyszeć jego słowa.

- Panie MacDonald, jestem zmuszony zabrać pana na posterunek.

- Proszę, nie zostawiaj jej sam na sam z tym człowiekiem.

Kątem oka Cam dostrzegł Allie wysuwającą się spośród tłumu.

Drżała na całym ciele, gdy szła w ich stronę, i nie patrzyła mężowi w oczy.

- Jestem Allie MacDonald. Żona Cama. - Położyła dłoń na ramieniu Jamesa. - Zostanę z Maggie, jeżeli takie wyjście by panu odpowiadało.

James obrzucił ją uważnym spojrzeniem, po czym skinął głową. Cam westchnął przeciągle, a następnie dał Zandy'emu znak, żeby przypilnował aresztowanego, sam zaś odciągnął Allie od pikapa.

- To nie jest dobry pomysł - zawyrokował. - Kiedy sprawa trafi do sądu, możesz zostać wezwana na świadka.

- Daj spokój, Cam - wyszeptła Allie. - Chyba nie zamierzasz go zatrzymać w areszcie?

Cameron chwycił żonę mocno za ramiona.

- On zabił tę kobietę, Allie.

- Ale się oddał pod twoją opiekę.

Cam parsknął kpiąco.

- To trochę tak, jakby zamknął stajnię dopiero po ucieczce konia, nie sądzisz?

Allie wyprostowała się wojowniczo.

- Na twoim miejscu uważnie bym wysłuchała, co ma do powiedzenia. To oczywiste, że bardzo ją kochał.

Cam zwiesił głowę.

- Tym już nie przywróci jej życia.

James MacDonald po raz ostatni spojrzął na swoją piękną, zniechęconą żonę na wpół leżącą na przednim siedzeniu półciężarówki i w tym samym momencie przypomniał sobie dzień ślubu sprzed jedenastu lat - gdy wszystkie możliwe moce sprzysięgły się przeciwko nim.

Maggie chciała, żeby się pobrali w weekend, na który przypadła Memorial Day, bo miała nadzieję, że dzięki majowej aurze uroczystość zostanie odprawiona na świeżym powietrzu, tymczasem w ten ważny poranek - zamiast zapowiadanego słońca - lunął rzęsyisty deszcz.



Ponieważ oboje życzyli sobie skromnej, prywatnej ceremonii, postanowili, że ślubu udzieli im sędzia pokoju, kiedy się jednak stawili w umówionym miejscu i czasie, żona sędziego oznajmiła, że mąż leży złożony grypą żołądkową.

Ruszyli więc z Cummington do sąsiedniego miasteczka, potem do następnego i jeszcze kolejnego w poszukiwaniu urzędnika, który nie wyjechał na świąteczny weekend i byłby gotów udzielić im ślubu.

Kiedy się wreszcie znaleźli w saloniku sędziego pokoju w Great Barrington, mankiety spodni Jamiego ociekały wodą, a fiołki w ślubnym bukietu Maggie smętnie zwisały z jej dłoni. Z głębi domu dobiegały głośne śmiechy gości, zaproszonych przez sędziego na grilla - z racji pogody urządzanego w ciepłym, suchym garażu.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj - zagaił sędzia - aby. A niech to szlag!

Maggie drgnęła gwałtownie i delikatnie pociągnęła Jamesa za rękę, w której ścisnął jej dłoń.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że Maggie czeka, by w jej imieniu zapytał, co się stało.

Choć może było to szowinistyczne i staroświeckie myślenie, nic wyraziściej nie uprzytomniło Jamiemu, na czym polega rola męża. W niektórych sytuacjach będzie przemawiał w imieniu Maggie.

- Coś nie w porządku? - zapytał.

Sędzia pokoju zerknął ponad ramię Jamesa.

- Świadek - mruknął. - Potrzebujemy świadka. - Przyłożył dłoń do ust i zaczął ogłuszająco pohukiwać w stronę garażu, aż w końcu w drzwiach saloniku stanął spocony mężczyzna o nieprzytomnym spojrzeniu, trzymający w ręku puszkę coorsa.

- Jezu - jęknął. - Nie musisz się tak wydzierać. - Wcisnął sędziemu piwo w dłoń.

- Nie TERAZ, Tom - syknął sędzia.

Tom zmarszczył brwi.

Wydawało mi się, że chciałeś piwa.

- Chciałem, żeby ktoś się tutaj zjawił.

- Przepraszam - wtrącił James.
- Czy moglibyśmy już zacząć?

Tom miał na sobie podkoszulek na ramiączkach z logo Chicago Bulls i lycrowe bermudy, podkreślające wydatny brzuch. Jego wilgotne usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Hej. - Obrzucił uważnym spojrzeniem Jamesa i Maggie. - Zamierzacie się chajtnąć?

Sędzia kazał mu usiąść w rogu, trzymać głowę na kłódkę i spokojnie poczekać do końca ceremonii - do czasu złożenia podpisów na akcie małżeństwa.

- Nie ma mowy - sprzeciwił się Tom.

Szarpnął Maggie za rękę, przy okazji rozsypując fiołki, i odciągnął pannę młodą od Jamiego.

- Ślub musi być jak się patrzy albo nie warto go odprawiać. - Gwałtownie przyciągnął kobietę do swojego boku.

- Ja oddam twoją rękę przyszłemu mężowi, skarbie - zarządził. - Urządzimy prawdziwe, wielkie entree.

Jamie nie tylko nie życzył sobie, żeby ten facet dotykał Maggie, ale nawet już nie chciał widzieć jego nazwiska na swoim akcie małżeństwa. Zanim jednak zdążył ostro zaprotestować, Maggie uśmiechnęła się promiennie.

- Cudowny pomysł - powiedziała do Toma, nie spuszczać przy tym oczu z Jamiego. Jej spojrzenie jasno wyrażało:

Miejmy wreszcie problem z głowy, później będziemy mieli się z czego śmiać.

Jamie, niczym smuga dymu, przepłynęły przed oczami twarze kobiet, z którymi się spotykał w przeszłości. Niektóre snuły plany wymyślnych uroczystości weselnych już na drugiej lub trzeciej randce, jedna narysowała mu nawet na papierowej serwetce fason sukni ślubnej, którą zamówiła jakiś czas temu i trzymała w szafie - tak na wszelki wypadek. Żadna z kobiet, które znał wcześniej, nie przebrnęłaby przez podobne fiasko bez załamania nerwowego, z uśmiechem na ustach. Bo też żadna nie umywała się do Maggie.

Tak naprawdę nigdy nie poprosił jej o rękę. Po prostu oboje z góry założyli, że pewnego dnia się pobiorą.

Z garażu płynęły głośne dźwięki „Under the Broadwalk”, gdy Maggie, oparta na ramieniu Toma, szła przez niewielki salonik i obcasami rozgniatała rozsypane fiołki. Aromat jej perfum zagłuszał alkoholowe wyziewy otaczające gęstym obłokiem prowadzącego ją mężczyznę.

Sędzia nerwowo wertował instrukcję, by przypomnieć sobie tekst odpowiedniej formuły.

Maggie doszła do Jamiego i chwyciła go pod rękę. Czuł, że drży, więc lekko poklepał ją po dłoni. Później przeprosił za tę katastrofę. Resztę życia poświęcił na to, by jej wynagrodzić tak nieudaną ceremonię.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj, aby... - zagaił ponownie sędzia pokoju.

- Na twój koszt nachlać się piwa i zaznać dobrej zabawy - dokończył Tom.

Maggie przytknęła rękę do ust i zaniósła się głośnym śmiechem. Odrzuciła przy tym głowę do tyłu i Jamie wyraźnie ujrzał długą, miękką linię jej szyi oraz rdzawe włosy rozsypujące się na ramionach. W jej oczach zabłyśły łzy, co sprawiło, że się zaskrzyły niby drogocenne kamienie.

- Małżeństwo to poważna instytucja - oznajmił sędzia surowym głosem. - Nie należy go traktować lekko i rozpoczynać z bezmyślnym śmiechem na ustach.

- Przepraszam - wydusiła Maggie, desperacko próbowała się opanować.

Zacisnęła palce na dłoni Jamiego, spuściła wzrok, raz jeszcze cicho parsknęła, po czym przygryzła mocno wargę.

Sędzia rozpoczął swoją przemowę, ale Jamie nie słyszał z niej ani słowa.

Zapatrzył się w twarz Maggie.

Za jej plecami nie było pożłocistej sali balowej ani witrażowego kościelnego okna, lecz wąż ludzi podskakujących w dziwnym conga oraz grill wyrzucający w powietrze kłęby dymu.

A i tak Jamie w owej chwili nie chciałby się znajdować w żadnym innym miejscu na świecie.

Nagle zamarł. Maggie musiała to wyczuć, ponieważ przyłożyła dłoń do jego policzka i spytała szeptem:

- Co się stało?

Potrząsnął głową.

On, który zawsze ze wszystkiego się zwierzał Maggie, nie miał pojęcia, jak wyrazić swoje emocje.

Nagle zdał sobie sprawę, że osiągnął wszystko.

Jego życie się ułożyło tak idealnie, że każda zmiana mogła być już tylko na gorsze. I to go przeraziło.

Maggie zupełnie opacznie zrozumiała mowę jego ciała. Musnęła palcami usta Jamiego.

- Czuję się doskonale - zapewniła. - Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Nerwowo skinął głową. Odepchnął od siebie mroczne myśli i skoncentrował się na nadziei, którą z własnej dłoni nakarmiła go żona.

Gdy Cam wprowadził Jamesa MacDonalda na posterunek, ludzie zebrani na ulicy od razu się rozeszli.

Przy głównym kontuarze Cameron zdjął Jamiemu kajdanki i poprosiło opróżnienie kieszeni.

Na laminacie pojawiła się garść drobniaków, paczka gumy do żucia oraz kilka luźnych nitek - nic inkryminującego, zdradzającego mordercę.

Hanna była na lunchu, więc w komisariacie panowała cisza, zakłócana jedynie elektrostatycznymi trzaskami policyjnego radia i przyciszonym głosem dyspozytora hrabstwa.

- Panie MacDonald - odezwał się w końcu Cam - przejdźmy dalej.

Zaprowadził Jamesa do izby zatrzymań i wskazał na krzesło.

Sam też usiadł, poczym z szuflady wyjął formularz zatrzymania, który położył odwrotną stroną przed sobą na biurku.

Najpierw wysłucha, co facet ma dopowiedzenia, chociaż bez wahania by się założył o swojego smitha wessona, że na końcu tej rozmowy dojdzie do postawienia zarzutów.

Uniósł wzrok i ujrzał uśmiech siedzącego naprzeciwko mężczyzny.

- Powiadają, że jesteś do niego podobny - rzekł Jamie.

- Do kogo?
- Camerona MacDonalda I. Tego sławnego.

Cam uczynił cały spektakl z przekładania na biurku długopisów i ołówków.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo - odparł w końcu i zaczerpnął oddechu.

- Proszę posłuchać, w tej chwili ja jestem oficerem policji, a pan obywatelem, który twierdzi, że dokonał zabójstwa. Podarujemy więc sobie te pieprzone dyrdymały.

- To niemożliwe. Przyjechałem do Wheelock właśnie dlatego, że to twoje miasto.

Cam popatrzył na Jamesa spod zmrużonych powiek.

- A właściwie jakie nas łączy pokrewieństwo?

- Nasi dziadkowie byli rodzonymi braćmi. Jeżeli nie wierzysz, zapytaj Angusą. Ile to on ma już lat? Osiemdziesiąt? Osiemdziesiąt dwa?

- Przede wszystkim ma demencję starczą - odparł Cam.

Jego stryjeczny dziad Angus był strażnikiem Carrymuir wczasach, gdy Cameron i jego ojciec cieszyli się życiem w Wheelock. Po śmierci Iana MacDonalda Cam poleciał do Szkocji, przywiózł do Stanów Angusę, a Carrymuir przekazał w zarząd National Trust of Scotland.

- Panie MacDonald.

- Jamie. - James się pochylał nad blatem, jakby zamierzał powierzyć Camowi ważną tajemnicę. - Otrzymałem imię po twoim stryju. Tym, który zginął na wojnie.

Cameron rozdziawił usta ze zdumienia. W jego rodzinie nigdy się nie wspominało o stryju, bohaterze wojennym, ponieważ na dźwięk jego imienia babka natychmiast uderzała w płacz. Jamie był jej pierworodnym, który zostałby głową klanu, gdyby w 1944 nie zestrzelono go nad Pacyfikiem. To w wyniku jego tragicznej śmierci honorowy tytuł lairda przeszedł na ojca Cama, drugiego w kolejności.

- Cóż, Jamie - mruknął Cam, gdy wreszcie odzyskał głos. - Opowiedz mi wobec tego, co dokładnie cię sprowadziło do Wheelock.

James wahał się jedynie przez chwilę.

- Przyjechałem tutaj, żeby zabić żonę.

Cam spojrział kuzynowi prosto w oczy - oczy niemal tego samego koloru, co jego własne: zielone, typowe dla MacDonaldów. Szukał w nich cienia gniewu, poczucia winy czy - co daj Boże, amen - szaleństwa. Ale nie dojrzał niczego podobnego.

- Cóż, Jamie - odezwał się po chwili, wkręcając formularz zatrzymania w wałek maszyny do pisania. - Masz prawo zachować milczenie.

Jamie MacDonald zbudował swoją profesjonalną karierę na kreowaniu alternatywnych światów.

Umożliwił młodym parom, planującym pierwszy wspólny dom, wycieczkę po jeszcze niewybudowanych wnętrzach, pozwalał paralegikom ponownie chodzić o własnych nogach, a studentom medycyny prowadzić operacje na pacjentach, którzy nie krwawili i nie odczuwali bólu. Jako prezes i założyciel Techcellence, komputerowej pracowni konceptualno-projektowej specjalizującej się w generowaniu VR - wirtualnej rzeczywistości - znalazł się w awangardzie ruchu propagującego najnowsze technologie i stał się żywym symbolem całej gałęzi IT. Maggie, której umiejętności obsługi komputera ograniczały się do uruchomienia edytora tekstowego, określała pracę męża w o wiele prostszy sposób.

- Jesteś Czarodziejem z Oz - mawiała. - Spełnisz ludzkie marzenia.

Ta analogia spodobała się Jamiemu. Przede wszystkim dlatego, że była wyjątkowo trafna: ludzie przychodzili do Techcellence, gdy ich życzenia były niezwykle i unikatowe, niemożliwe do spełnienia przez inne pracownie. Ponieważ Jamie się nie lękał wyzwań i tak długo wysiłał umysł, póki jego wizja nie znalazła odzwierciedlenia na ekranie komputera, w jego firmie często powstawały prototypy, wykorzystywane później przez wielkie korporacje.

Jamie zainstalował rozbudowany system komputerowy w swoim domu w Cummington, miał tam też do kompletu skafander, rękawicę sensoryczną oraz HMD - czyli specjalny hełm - jednak większość

projektów tworzył w pracowni zlokalizowanej w centrum, w której się znajdował naprawdę zaawansowany sprzęt o wielkiej mocy, generujący cyberprzestrzeń kontrolowaną w rzeczywistym czasie. Jamie zatrudniał na stałe dziesięciu ludzi, ale kiedy Techcellence wiązało się kontraktem z Nintendo, Departamentem Obrony czy którymś ze szpitali klinicznych, wówczas podpisywał umowy z dodatkową dwusetką - specjalistami od cyfrowej obróbki obrazu i dźwięku, plastykami, scenarzystami, producentami, reżyserami i sporą liczbą programistów. Pod wieloma względami praca Jamiego przypominała pracę mistrza kulinarnego - wynajdował kucharzy specjalizujących się w określonych potrawach, które potem tak zestawiał, że budowały synergię smaku i aromatu, chociaż on sam nie wyhodował żadnej z użytych ingrediencji.

Często pracował w weekendy, gdy w firmie panował idealny spokój. Wówczas zabierał ze sobą Maggie.

Pewnej soboty, w kilka lat po ślubie, Jamie zmagął się z programem zamówionym przez indywidualnego klienta - swego czasu doskonałego tenisistę-milionera, całkowicie sparaliżowanego od szyi w dół na skutek wypadku podczas uprawiania heli-skiingu. Maggie, otwarcie przyznająca, że odczuwa lęk na widok tak wielkiej liczby komputerów, siedziała skulona z książką w wysokim fotelu kupionym od Armii Zbawienia, który był świadkiem niejednej burzy mózgow.

Jamie utknął w martwym punkcie. Naturalnie, problem nie polegał na samym wygenerowaniu animacji komputerowej - każdy w miarę sprawny haker mógł ściągnąć z Internetu odpowiednie do tego pliki. Chodziło o to, że jego klient miał bardzo szczególne życzenie - chciał ponownie zagrać w tenisa na korcie.

Gdyby Jamiemu zależało jedynie na wydojeniu z niego kasy, po prostu wykreowałby rzeczywistość wirtualną oferującą tetraplegikom standardową interakcję.

Opaska założona na głowę mierzyłaby natężenie pola elektromagnetycznego wytwarzanego przez nerw wzrokowy, więc użytkownik

programu mógłby poruszać kursorem - czy w tym wypadku rakieta tenisową - za pomocą ruchów gałki ocznej. Jamie był, jednak perfekcjonistą i dlatego pragnął stworzyć coś o wiele ambitniejszego.

Nie wystarczy, by klient ujrzał na ekranie komputera ruch rakiety, która się zderza z piłką, jak w tych archaicznych grach na Atari. Jamie chciał stworzyć system immersyjny - sprawić, by jego klient przeżył całkowite zanurzenie zmysłowe: uwierzył, że znowu stoi na korbie.

Normalnie nie stanowiło to większego problemu: dobry hełm precyzyjnie śledził wszelkie ruchy głowy, prezentował trójwymiarowe obrazy w polu widzenia o kącie 190 oraz odcinał od zewnętrznego świata. Przy włączeniu do układu skafandra, rękawicy sensorycznej i specjalnej platformy można było uzyskać trzy rodzaje wzajemnie skorelowanych sprzężeń zwrotnych.

Symulatory dotyku wytwarzały wibracje w określonych partiach ciała, co w połączeniu z efektami wizualnymi oraz słuchowymi - skłaniało mózg do określonych interpretacji.

Aby zwiększyć intensywność strumienia bodźców, można było zastosować pewne dodatkowe subtelności - na przykład wykorzystać częstotliwości poddźwiękowe dla stworzenia efektu ruchu lub nieważkości. Natomiast odpowiednie operowanie siłą fizycznego nacisku na określone partie mięśni dodatkowo zwiększało rozmaite wrażenia: powiedzmy przeciążenia odczuwanego podczas wystrzelenia rakiety w kosmos.

Problem w tym, że generowanie bodźców dotykowych i kinestetycznych nie miało najmniejszego sensu w przypadku człowieka, który nie czuł niczego od szyi w dół.

Jamie zdjął hełm z głowy i w znużeniu przejechał dłońmi po twarzy. Nie zdawał. sobie sprawy, że jęknął z frustracji, dopóki Maggie nie odłożyła książki i nie stanęła za jego plecami.

- Problemy w pracy? - Zaczęła masować mu ramiona.
- Kolosalne - przyznał Jamie. - Jak mam sprawić, żeby ktoś niezdolny do odczuwania jakiegokolwiek dotyku odbierał bodźce czuciowe?

Maggie zmarszczyła brwi.

- Nie bardzo pojmuję, o co chodzi.



- VR dla tetraplegika. - Podał jej HMD. - Facet sparaliżowany od szyi w dół chce grać w tenisa.

Uśmiech, który się pojawił poniżej linii hełmu, jasno wskazywał, że Maggie jest zachwycona wirtualnym odwzorowaniem centralnego kortu Flushing Meadows - białych linii boiska, pocących się tłumów, dymno-niebieskiego nieba. Obraz na komputerze świadczył, że Maggie poruszyła okiem: na skraju monitora pojawiła się rakietka tenisowa, która śmignęła naprzód w silnym forhendzie.

- Chce także, aby przyjaciele mogli się podłączyć do jego cyberprzestrzeni, a jednocześnie życzyłyby sobie zainstalowania opcji „inteligentnego przeciwnika” - na wypadek gdyby akurat żaden inny tenisista z krwi i kości nie zalogował się do gry.

- A dlaczego właściwie utknąłeś?

Jamie wzruszył ramionami.

- Nie potrafię sprawić, by poczuł wilgoć potu na uchwycie rakietki czy zmęczenie w mięśniach nóg, wywołane nieustannym bieganiem.

- Trudno mieć o to do ciebie pretensje - zauważyła Maggie.

- Czy nie możesz takich doznań zrekompensować w inny sposób? Na przykład za pomocą aromatu mleczka do opalania, dobiegającego od strony trybun, czy zapachu gumy, który uderza w nos, ilekroć się otwiera puszkę z piłkami do tenisa?

- Do odbioru tych doznań nie jest mu potrzebny program VR - zauważył Jamie. - Ten facet chce się znowu poruszać na własnych nogach.

Maggie przysiadła na kolanach męża. Ściągnęła hełm, przyłożyła dłoń do monitora i pokręciła głową.

- Zawsze mnie zdumiewa, o ile wspanialszy jest obraz, gdy się go ogląda z HMD.

- O to właśnie chodzi - zaśmiał się Jamie.

- Tylko sobie wyobraź - westchnęła Maggie. - Być tak niesamowicie sprawnym i aktywnym, a potem w jednej chwili wszystko utracić. Gdybym kiedykolwiek uległa wypadkowi i doznała całkowitego porażenia, masz mnie bez wahania zastrzelić.

Jamie odruchowo objął mocniej żonę.

- Nawet nie żartuj na ten temat. Poza tym, jestem pewien, że w gruncie rzeczy tak nie myślisz.

Maggie uniosła w zdumieniu brwi.

- A ty chciałbyś wieść żywot warzywa?

- W takiej sytuacji człowiek wcale nie jest warzywem. Umysł nadal działa równie sprawnie jak przedtem.

- A ty stajesz się jego więźniem - dodała Maggie. - Dziękuję uprzejmie.

- Wciąż funkcjonują wszystkie zmysły - upierał się Jamie. - Wzrok, słuch, węch, nawet dotyk w obrębie twarzy. No i smak.

- Smak to przereklamowany zmysł - rzuciła Maggie. - Wcale bym za nim nie tęskniła.

- Tęskniłabyś, gdybyś nagle została go pozbawiona - stwierdził Jamie.

- Tak czy owak, wolałabym być ślepa i głuchoniema niż sparaliżowana od szyi w dół.

Jak na gust Jamiego w pomieszczeniu zapanowała zbyt ponura cisza, pomimo szumu wydawanego przez komputery. Nie mógł się uwolnić od myśli, że dalsza rozmowa na poruszony temat będzie czystym kuszeniem losu.

- Mam nadzieję, że nigdy nie staniesz przed takim dylematem - mruknął.

Maggie przycisnęła dłoń do jego policzka.

- Z pewnością bez problemu pogodziłbyś się ze świadomością, że już nigdy nie poczujesz mojego dotyku na swojej twarzy. - Powiodła palcami po czole Jamiego, a potem po jego wargach. - Ale tutaj, lub tutaj? - Mówiąc to, wsunęła rękę pomiędzy jego uda. - Jestem przekonana, że wpadłbyś w rozpacz, gdybyś zapomniał, jakie to uczucie.

Jego penis urósł w dłoni żony. Z pewnością nigdy by nie zapomniał niesamowitych doznań, jakie go ogarniały, gdy dotykała go Maggie. Może właśnie na takich przesłankach powinien oprzeć założenia swojego programu: aktywować pamięć, która by rekompensowała ułomność ciała, wykorzystać zapachy i odgłosy dobiegające

zawodnika na korcie, zamontować w hełmie maleńki wiatraczek, aby wywoływał złudzenie ruchu powietrza wywołanego aktywnością fizyczną.

Jeżeli wygeneruje odpowiednio silny strumień bodźców, by przywołać wspomnienie biegu czy podania serwisowego, może zmusić mózg do przyjęcia złudzenia za stan faktyczny?

Maggie lekko zacisnęła dłoń.

Jamie szybko przełknął ślinę, gwałtownie napływającą do ust. Problem w tym, że ludzki umysł, który tak łatwo się poddawał iluzji, był jednocześnie cały czas zdolny do racjonalnego myślenia. Kuglarzskie sztuczki nie omamią człowieka, który przez czterdzieści dwa lata z wyjątkową sprawnością poruszał się na własnych nogach. Mężczyzna, który dotykał swojej żony, zatapiał się w jej wnętrzu, czuł jej pot schnący na własnej skórze, nie zadowolony się jedynie wskrzeszeniem pamięci.

A więc w ostateczności wszystko się sprowadzało do jednego: bez względu na to, jak dobry był Jamie w swoim fachu, świat wirtualny nigdy w pełni nie zrekompensuje utraty tego realnego.

Chwytał w dłonie piersi żony i delikatnie przejechał zębami po jej szyi.

- W tym punkcie muszę ci przyznać rację - wyszeptał.

- Jeżeli się nie boisz siedzieć sama z trupem, pójdę poszukać Hugona - powiedział Zandy Monroe.

Allie wzruszyła ramionami. Nie czuła strachu na myśl o pozostaniu sam na sam ze zmarłą Maggie MacDonald, poza tym Cam - chociaż nie wyraził tego jasno i wprost - niewątpliwie życzył by sobie, aby upoważniona osoba jak najszybciej usunęła ciało z widoku publicznego.

- Nigdzie się stąd nie ruszymy - zapewniła z uśmiechem.

Już wcześniej wysłała Mię z powrotem do kwaciarni z przykazaniem, by przygotowała tak wiele wiązanek pogrzebowych, jak tylko zdoła.

- Róże - zadysponowała. - Wykorzystaj wszystkie, które mamy.

Doróż poleciła dodać dzwonki - symbol czułości - oraz lewkonie, wyrażające siłę więzów miłości.

Zerknęła na bladą, woskową twarz Maggie.

Ruta - pomyślała.

Zapomniałam o rucie, kwintesencji smutku.

Ledwo Zandy zniknął z zasięgu wzroku, Allie bliżej się przysunęła do zmarłej.

Zerknęła na boki, poczym przytknęła dłoń do policzka Maggie. Był zimny i jędrny w dotyku. Allie szybko cofnęła rękę i wcisnęła do kieszeni.

Kilka minut później Zandy powrócił w towarzystwie Hugona Huntleya, miejscowego przedsiębiorcy pogrzebowego, który - jak wszyscy pracujący przy Main Street - również się znajdował pośród tłumu zgromadzonego wokół Jamesa MacDonalda.

- Allie. - Hugo skinął jej głową na powitanie.

Spojrzał uważnie na zwłoki przez okulary o tak grubych soczewkach, że jego oczy zdawały się maleńkie jak szpilki i głęboko zatopione w twarzy.

- Nie żyje - oznajmił Zandy rzeczowym tonem.

- Dziękuję, geniuszu. Właśnie widzę.

Zandy chwycił Maggie na ręce, by ją zanieść do „Domu Pogrzebowego Huntleya”, znajdującego się po drugiej stronie ulicy, i Allie w tym momencie doznała wstrząsu, ponieważ zobaczyła, że w furgonetce już się rozpoczął proces stężenia pośmiertnego: gdy sierżant trzymał zmarłą w ramionach, jej kolana - zamiast zwisnąć bezwładnie - wpiły mu się w brzuch.

Zandy położył zwłoki na boku na stole w preparatorni, po czym zwrócił się w stronę Allie:

- Pani Mac, już chyba może pani iść.

Allie stanowczo pokręciła głową.

- Złożyłam temu człowiekowi obietnicę. Jeżeli ty zostajesz, to ja też.

Oboje spojrzeli na Hugona, który tymczasem włożył biały laboratoryjny fartuch i przewrócił Maggie na plecy, tak że teraz jej kolana sterczały w stronę sufitu.

Allie wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz, bo na ten widok przypomniała sobie, jak wyglądały przygotowania do pogrzebu w dawnych czasach: zmarłego się kładło na solidnym, drewnianym stole, a potem silne ramiona łamały jego kości uwięzione przez mięśnie zdjęte w rigor mortis, aż denat był na tyle wyprostowany, że mógł się zmieścić w trumnie. Szybko odwróciła głowę, słodko-mdły zapach płynu do balsamowania pomieszany z zapachem środka dezynfekcyjnego przyprawiał ją o mdłości.

- Myślę, że na razie nic nie powinieneś z nią robić - rzucił i Zandy do Hugona. - Przynajmniej, póki Cam nie zarządzi inaczej.

Hugo pełnił również funkcję miejscowego koronera, chociaż jego doświadczenia w zakresie medycyny sądowej ograniczały się do wykonania jednej autopsji przed mniej więcej dziesięciu laty, ostatecznie zgon się okazał o wiele mniej tajemniczy, niż pierwotnie podejrzewano - delikwent nie został otruty, ale zszedł na prozaiczną marskość wątroby.

Hugo bacznie spojrział na martwą kobietę.

- Zdejmę z niej tylko ubranie i strzelę kilka polaroidów.

Bez względu na wszystko, zdjęcia i tak trzeba zrobić.

Allie tęsknie zerknęła w stronę drzwi, ale niemal natychmiast skrzyżowała ramiona i wzięła się w garść. Pozostanie przy tej kobiecie, będzie czuć.

Zandy oparł się o tacę z chirurgicznymi narzędziami i zaczął pilnie pocierać palcem mosiężny guzik ciężkiej kurtki, udając przy tym, że w ogóle nie patrzy w stronę Hugona, który bardzo się męczył, ściągając ubranie z zeszywniałego ciała.

W końcu oboje - i Allie, i Zandy - odwrócili wzrok.

- Nie ma żadnych zadrapań - oznajmił radośnie Hugo. - Ani sińców na szyi. Nie widzę choćby najdrobniejszego zdraśnięcia. - Allie usłyszała trzask sztywnego prześcieradła rozkładanego i zaciąganego na zwłoki. - Na moje oko śmierć przez uduszenie spowodowane zatkanie ust i nozdrzy.

Allie potrząsnęła głową - usiłowała wymazać z pamięci obraz Jamiego, rzucającego się w stronę pikapa, by uniemożliwić Zandy'emu dotknięcie żony.

- Czemu ktoś miałby zrobić coś podobnego ukochanej osobie? - wyszeptwała.

Hugo delikatnie dotknął jej ramienia.

- Być może owa osoba go o to poprosiła. - Poprowadził Allie w stronę stołu do balsamowania, po czym wskazał na małe kropki na policzkach Maggie, które wyglądały jak zrobione długopisem. - To ślady po radioterapii - wyjaśnił.

A potem odchylił róg prześcieradła i odstąpił czerwony, kłujący w oczy zygzak zbliznowacenia, widniejący w miejscu, w którym Maggie MacDonald miała kiedyś pierś.

- Gotowy?

Jamie się odwrócił na dźwięk głosu Camerona.

Już złożył podpis podoświadczeniem, że został powiadomiony o prawie do zachowania milczenia oraz do obecności adwokata przy każdym przesłuchaniu, ale z niego rezygnuje i zamierza dobrowolnie złożyć zeznania. Wiedział, że słono zapłaci za tę decyzję, ale chciał mieć policyjne procedury jak najszybciej z głowy.

Cam zdjął mu kajdanki ponad godzinę temu, gdy sekretarka przyniosła kawę.

Jamie chwilę czekał, aż kuzyn przygotowuje w izbie zatrzymań sprzęt nagrywający, teraz, gdy się odwrócił, jego wzrok padł na najpiękniejszą kompozycję z jesiennych kwiatów, jaką kiedykolwiek widział w życiu.

Mieniła się wieloma odcieniami czerwieni, gdzie nigdzie przełamanej fioletem i przygaszonymi żółcieniami.

Rośliny splotywały miękko w dół - ich linia przywodziła na myśl trajektorię lotu liści opadających z drzewa.

Jamie nie mógł oderwać oczu od bukietu, w pierwszej chwili zachwycało bogactwo i ciepło barw, w następnej - zachwyt ustępował wrażeniu, że kielichy się uginają pod ciężarem własnego piękna.

- Jeszcze nigdy nie widziałem kwiatów na posterunku policyjnym - zauważył Jamie.

Cameron rzucił okiem na bukiet.

- To pomysł mojej żony. Prowadzi miejscową kwiaciarnię. Co tydzień przynosi świeżą wiązkę.

Jamie potarł palcem kruchy płatek lilii, tak że subtelny aromat dobiegł aż do Camerona stojącego po drugiej stronie pomieszczenia.

- Kochasz ją?

Cam bezwiednie cofnął się o krok.

- Moją żonę? Oczywiście.

- Jak bardzo?

Cameron uśmiechnął się pod nosem.

- A istnieje jakaś gradacja?

Jamie wzruszył ramionami.

- Ty mi powiedz. Co na przykład byłbyś gotów dla niej zrobić? Skłamać? Dopuścić się kradzieży? Popełnić zabójstwo?

- Nie - uciął Cam sucho.

Podszedł i szarpnął Jamiego za ramię tak gwałtownie, że lilia wypadła z wazonu, po czym uległa zmiżdżeniu pod obcasem policyjnego buta.

- Idziemy.

Wszystko się zaczęło niemal dwa lata temu, gdy poszliśmy razem na lodowisko. Maggie była bardzo dobrą łyżwiarką: skakała aksla i tulupa, wzbudzając szczerzy podziw dzieciaków, z którymi grałem w hokeja. Stałem na bramce i boleśnie odczuwałem ciężar swoich trzydziestu czterech lat, ilekroć przyszło mi blokować strzały tych licealistów.

A jak tylko akcja się przenosiła na drugą połowę lodowiska, odwracałem głowę i patrzyłem na wyczyny Maggie.

Tylko przez przypadek dostrzegłem, że się przewraca. Szybko posunąłem w jej stronę, ale stwierdziła, że to głupstwo - pewnie jakaś wystająca z lodu gałązka, o którą zaczepiła czubkiem łyżwy. Nie mogła jednak wstać i w końcu przyznała, że coś cicho trzasnęło, gdy upadła.

Zaciągnąłem ją do samochodu na plastikowych sankach, które pożyczyłem od jakiejś małej dziewczynki, Maggie już płakała z bólu, a mimo to żartowała, że w przyszłym roku wystartujemy w Iditarod.\*

\*Jeden z najbardziej prestiżowych i najtrudniejszych wyścigów psich zaprzęgów, rozgrywany na Alasce (przyt. tłum.).

Lekarze pokazali mi zdjęcie rentgenowskie. Ujawniło złamanie kostki, ale ubytki w kościach, jakby coś wyżarło je od środka. Osteoliza - stwierdzili. Skutek metastazy - przerzutów nowotworowych z innego organu.

Wkrótce wykryto guza pierwotnego i odjęto Maggie pierś oraz wycięto węzły chłonne. Wykonano skany tomograficzne, oznaczono receptory estrogenowe. Nastąpił krótki okres remisji, po którym dały znać o sobie przerzuty do mózgu.

Maggie trzymała mnie za rękę i próbowała opisać czerwone błyskawice światła oraz rozmywanie obrazu na obrzeżach pola widzenia, gdy nowotwór coraz agresywniej atakował jej nerw wzrokowy.

Lekarze przyznali, że nie są w stanie powiedzieć niczego pewnego. Koniec był nieuchronny, ale nie sposób przewidzieć, kiedy nastąpi i gdzie się pojawią kolejne ogniska przerzutowe.

Najprawdopodobniej w drugiej półkuli, co pociągnie za sobą ataki epileptyczne. Może zostanie zaatakowana starsza struktura mózgu i upośledzeniu ulegnie ośrodek oddychania. Niewykluczone, że pewnego wieczoru Maggie pójdzie spać i już więcej się nie obudzi.

Parę miesięcy przed jedenastą rocznicą naszego ślubu pojechaliśmy do Kanady - na Zimowy Festiwal w Quebecu.

Śpiewaliśmy i tańczyliśmy na ulicach, a w godzinach najgłębszej nocy siadaliśmy na ławeczce przed rzeźbami lodowymi, ogrzewając się jedynie ciepłem własnych ciał.

Pewnego razu Maggie rozpięła mi kurtkę i koszulę, po czym położyła zimne dłonie na mojej piersi.

- Jamie, rak trawi mnie od środka. Moje kości, piersi, mózg. W końcu dojdzie do tego, że będę jedynie pustą łupiną.

Nie chciałem rozmawiać na ten temat, odwracałem wzrok. Ale dokładnie naprzeciwko nas widniała rzeźba przedstawiająca kobietę o zachwycających kształtach - uosobienie lekkości i gracji. Jej ramiona wyciągały się ku górze, w stronę drzewa, nieosiągalnego dla niej celu.

Spojrzałem w martwe oczy rzeźby, a potem przesunąłem spojrzeniem po tej postaci podszywanej się pod istotę ludzką - po tej przeczystej skorupie, którą na wylot można było przeszyć wzrokiem.



Maggie pociągnęła boleśnie za włosy na mojej piersi, zmuszając, bym na nią spojrział.

- Jamie, wiem, że mnie kochasz - powiedziała. - Pytanie tylko, jak bardzo?

Swoją opowieść o tym, w jaki sposób zabił Maggie, Jamie MacDonald zakończył z twarzą zalaną łzami, klęcząc na podłodze i kurczowo splatając dłonie.

- No już, Jamie.

- Głos Camerona był nienaturalnie niski i schrypnięty. - Już dobrze.

- Nachylił się niezdarnie, by dotknąć ramienia klęczącego mężczyzny, a wówczas Jamie chwycił jego rękę w dłonie. Odruchowo Cam przykrył je drugą ręką w geście wsparcia, i nagle zdał sobie sprawę, że Jamie przyjął postawę hołdowniczą, jaką przed wiekami przyjmowali członkowie szkockiego klanu, gdy się oddawali pod opiekę przywódcy.

Według złożonego pod przysięgą, dobrowolnego zeznania Jamesa MacDonalda, jego żona znajdowała się w terminalnej fazie choroby nowotworowej i sama go prosiła, by skrócił jej męki. W swojej opowieści Jamie nie wyjaśnił jednak, skąd się wzięły świeże zadrapania na jego twarzy i dlaczego postanowił popełnić zabójstwo w mieście, w którym nigdy wcześniej nie postąpiła jego noga. Maggie nie zarejestrowała swojej woli na wideokasie ani jej nie spisała w obecności notariusza, który mógłby zaświadczyć, że była wówczas w pełni władz umysłowych.

Jamie utrzymywał, że żona nie chciała, aby pozbawienie jej życia odbyło się w sposób sformalizowany - oczekiwała, że będzie to ze strony męża prosty dar serca.

Tak się przedstawiała wersja Jamiego. Problem polegał na tym, że jedyny świadek, mogący potwierdzić jego słowa, nie żył.

Cameron miał uwierzyć w opowieść Jamesa MacDonalda tylko dlatego, że należał do tego samego klanu.

Z wyjątkiem chwili, gdy wbrew własnej woli musiał powrócić do Wheelock i objąć po ojcu stanowisko komendanta policji, Cam nigdy się nie zastanawiał, co w istocie niesie ze sobą tytuł wodza MacDonaldów z Carrymuir. Uważał, że utrzymywanie tej godności to jedynie oznaka szacunku dla dawnej tradycji.

Taka sama jak fakt, że gdy się żenił z Allie, nie wystąpił w smokingu i muszce, ale w kilcie i białym żabocie z delikatnej koronki. To był anachronizm, malownicze nawiązanie do historii, które być może sprawiało, że Cam był nieco bardziej opiekuńczy w stosunku do mieszkańców swojego miasta niż inni komendanci policji, ale nie wpływało w znaczący sposób na jego obowiązki.

Niema więc mowy, by pofolgował mordercy tylko dlatego, że łączyły ich więzy krwi.

Naginanie prawa było czynem nieetycznym - nagannym moralnie. Jeżeli istniała jakaś zasada, której wiernie przestrzegał Cameron MacDonald, było to rzetelne wypełnianie powinności.

Obligowało go do tego stanowisko komendanta policji oraz honorowy tytuł lairda.

Z drugiej strony, Jamie MacDonald popełnił zabójstwo właśnie w Wheelock, dlatego, że to miasteczko znajdowało się pod jurysdykcją przywódcy klanu MacDonaldów. Nie oczekiwał specjalnego traktowania, wiedział jednak, że może liczyć na wysłuchanie, zrozumienie i uczciwy osąd.

Cameron niespodziewanie przypomniał sobie opowieść o MacDonaldzie zwanym Keppochem z Lochaber, żyjącym ponad dwieście pięćdziesiąt lat temu w Szkocji.

Pewnego razu sądził kobietę, która ukradła mu pieniądze. Keppoch kazał przywiązać ją za włosy do wodorostów na nadmorskiej skale i pozostawić do nadejścia przyływu.

Kobieta utonęła, a mimo to nikt z klanu nie zaprotestował przeciwko tak drakońskiej karze. Wszyscy hołdowali bowiem zasadzie, że kto okrada wodza, poniekąd okrada całą wspólnotę.

Teraz miał do czynienia z zabójstwem pierwszego stopnia. Morderstwa z premedytacją.

Zostało dokonane z miłości i współczucia.

Cameron był świadom tego, że w wypadku takiej sprawy mieszkańcy podzielą się na dwa przeciwstawne obozy. Ale wiedział jednocześnie, że - podobnie jak przed wiekami - nikt w Wheelock nie zakwestionuje jego werdyktu bez względu na to, czy puści mordercę wolno, czy będzie rekomendował dożywocie. Co jednak w najmniejszym stopniu nie ułatwiało podjęcia decyzji.

Było już po wpół do czwartej, gdy Allie powróciła do kwaciarni. Ślizgając się na ścinkach lodu, przebiegła obok Mii i wpadła do łazienki. Zatrzasnęła drzwi, a potem wymiotowała tak długo, aż w zolądku nic już nie zostało.

Kiedy w końcu wyszła z toalety, Mia czekała w pobliżu z miseczką zimnej wody i chusteczkami w rękę.

- Powinnaś usiąść - poradziła. - Zapach tych wszystkich róż może cię przyprawić o kolejne mdłości.

- Fakt, jest nieco duszący - przyznała Allie.

Usiadła na fotelu za biurkiem, odchyliła głowę do tyłu i pozwoliła, żeby Mia położyła mokrą chusteczkę na jej czole.

- Wielki Boże - westchnęła.

Gdy zamknęła oczy, Mia ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymała się jeszcze z ręką na framudze.

- Czy to prawda? - spytała. - Rzeczywiście zabił ją z miłości?

Allie natychmiast poderwała głowę.

- Gdzie to usłyszałaś?

- Dzwoniła kobieta imieniem Hanna. Powiedziałam, że cię nie ma. - Mia zawiesiła głos. - Zrobiłam wiązanki pogrzebowe, o które prosiłaś, i parę wieńców. Może chciałybyś obejrzeć?

Chociaż łomotało jej w skroniach, Allie zwlokła się z fotela. Rzuciła okiem na kompozycje Mii, z pewnością udane, a potem zamknęła kwaciarnię pół godziny wcześniej niż zazwyczaj.

Bukiety Mii stały nie opodal chłodni: były kolorowe, stożkowe w kształcie, tradycyjne - złożone z goździków, berberysu, ostróżek, żółtych róż i astrów.

Miłe dla oka, ale banalne.

I w niczym nie przypominały pogrzebowych wiązanek. Allie powiedziała wzrokiem po miękkih liniach, nieco rozczarowana. Dzisiejsza zielona w tonacji aranzacja Mii sprawiła, że Allie oczekiwała od niej czegoś zdecydowanie bardziej oryginalnego.

- O, nie. - Mia wytarła ręce w fartuch, o którego istnieniu Allie zapomniała już dawno temu. - Te nie są na pogrzeb. Zobaczyłam zamówienie złożone przez niejaką MacBean, nie wiedziałam, kiedy wrócisz i czy zdążysz je przygotować na ten jutrzejszy lunch. - Wzruszyła drobnymi, chudymi ramionami. - Pomyślałam, że biblioteka wołałaby uniknąć ekstrawagancji, próbowałam więc sobie przypomnieć, jak wyglądały stroiki zdobiące stoły na weselu mojej kuzynki, Louise.

- Allie uniosła pytająco brwi, a Mia zaczęła pokrywać zmieszanie szybkim potokiem słów.

- No wiesz, typowe tanie wesele w sali wynajętej w Domu Weterana, z podrzędnymi muzykami w niebieskich smokingach, wyśpiewującymi „Daddy's Little Girl”.

Allie wybuchnęła śmiechem.

- Niech zgadnę. Za panną młodą szła nawą mała dziewczynka i trzymała zawieszoną na wstążeczce kulę z miniaturowych, różowych goździków.

Mia skrzywiła się ironicznie.

- Też byłaś zaproszona? - Pomogła Allie powkladać stroiki do chłodni, po czym wskazała na kąt kwaciarni, gdzie pod wiszącymi na ścianie wieńcami z suchych kwiatów, przyszykowanymi dla klientów, którzy chcieliby kupić szybko coś gotowego, stały w koszach wiązanki pogrzebowe.

Allie oniemiała z wrażenia. Mia co prawda znalazła rutę, za to zupełnie nie uwzględniła sugestii dotyczących dzwonek czy lewkonii. I miała rację.

Jej bukiety w kształcie girlandy bardziej przypominały wiązanki ślubne niż aranżacje żałobne.

Konwalie, śnieżny, gwiazdzisty stefanotisi jasne orchidee spoczywały pośród gałązek wrzosu, ruty, rozmarynu, bluszczu i paproci. A pośrodku każdej kremowo-białej kompozycji tkwiła jedna czerwona róża - niczym kropla krwi.

- Och, Mio - westchnęła Allie. - Są cudowne.

- Naprawdę ci się podobają? - Mia zmięła w palcach brzeg bluzki. - Prosiłaś o coś innego.

- Te przechodzą moje najśmielsze oczekiwania. - Spojrzała uważnie na Mię, na jej palce, powalane florystycznym mchem, na jej buty, do których przywarły pucinanane liście. - Pan MacDonald będzie zachwycony.

- O ile kiedykolwiek je zobaczy - mruknęła Mia i pospiesznie odwróciła wzrok. - Pewnie nie dostanie przepustki z aresztu na po-grzeb.

- Cam nigdy by mu tego nie zrobił.

- Cam?

- Komendant miejscowej policji. I jednocześnie mój mąż.

Mia wróciła myślami do wczesnego popołudnia i wysokiego, rudowłosego mężczyzny, który wpadł do kwaciarni. Otaczała go aura autorytetu i siły. Komendant policji - no oczywiście! To przecież on energicznie zapanował nad zamieszaniem wywołanym przyjazdem pana MacDonalda.

Mia przypomniała sobie, że w pewnej chwili potężny policjant objął Allie ramieniem - tuż po tym, jak wyraziła gotowość towarzyszenia zmarłej w samochodzie. Komendant nachylił się nad Allie, żeby z nią porozmawiać, ale dla Mii wyglądało to tak, jakby chciał ją otoczyć własnym ciałem niczym obronnym murem.

- Mia? - odezwała się ponownie Allie. - Gdzie się zatrzymałaś?

Mia już w ciągu dnia się zastanawiała, jak rozwiązać problem mieszkania, prawdę powiedziawszy, nawet zadzwoniła do Wheelock Inn, żeby sprawdzić, na ile dni pobytu w motelu wystarczyłyby jej skromne środki. Okazało się jednak, że policja zablokowała wynajem pokoi, ponieważ hotel stał się miejscem dochodzenia prowadzonego w sprawie o morderstwo.

- Szczerze mówiąc, jeszcze nigdzie.

Allie rzuciła okiem na kosze z wiązkami pogrzebowymi. To prawdopodobnie z jej winy Mia nie miała czasu poszukać lokum. Allie ponownie przypomniała sobie o Maggie MacDonald i doszła do wniosku, że absolutnie nie ma ochoty zostać sama choćby na krótką chwilę.

- Może w takim razie przenocujesz u mnie? - zaproponowała. - Cam wróci dopiero w nocy, więc byłoby miło, gdybyś zechciała dotrzymać mi towarzystwa.

- Zrobię to z największą przyjemnością - odparła Mia.

I natychmiast nerwowo przygryzła wargę.

- Mam kota - przyznała. - Czeka na mnie w samochodzie.

Allie pobłażliwie machnęła ręką.

- Z pewnością nie wyrządzi w domu większych szkód od tych, które już poczynił Cam. - Chwyciła za miotłę i zabrała się do zgarniania ścinków z koncentracją i energią graniczącą z agresją, żeby się odciąć od wszelkich myśli. Tarła ostrym włosiem szczotki po drewnianej podłodze miejsce przy miejscu, aż w pewnym momencie rytmiczny szurgot zmienił się w jej uszach w przejmujący skowyt.

W końcu się zatrzymała, podparła o trzonek miotły i zaczęła powoli, głęboko oddychać: nie chciała się rozsypać psychicznie w obecności tej niemal obcej kobiety.

- Chcesz o tym pogadać? - Zza pleców dobiegł ją głos Mii.

Allie pokręciła głową, czuła ostre ściskanie w gardle.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - przyznała, siląc się na błady uśmiech. - Wciąż wraca do mnie pytanie, jak bardzo trzeba kogoś kochać, żeby się posunąć do takiego czynu. - Otarła oczy rękawem koszuli. - To przerażające.

- Może tak - odparła Mia cicho. - A może nie.

Mia Townsend wierzyła w miłość - autentycznie i szczerze. Wiedziała, że poraża niektórych ludzi niczym zbląkana błyskawica, zmienia w ognistą pochodnię, zapiera dech i powala na kolana. W każdym razie tak się miała sprawa z jej rodzicami. Mia dorastała w otoczeniu ich płomiennej miłości, ale zawsze gdzieś na peryferiach.

Ilekcroć wracała myślami do dzieciństwa, widziała siebie, jak stoi w śniegu i przyciska nos do kółka wychuchanego w zaszyronionej, okiennej szybie, przez które obserwuje rodziców wirujących w salonie w rytmie walca. W jej wspomnieniach kręgi zataczone przez tańczącą parę stawały się coraz mniejsze i ciaśniejsze, aż w końcu matka i ojciec zlewali się w jedno.

Gdy więc ktoś pytał Mię, czy wierzy w miłość, bez wahania odpowiadała, że tak, chociaż uważała, że nigdy nie została nią dotknięta. Myślała o miłości w naukowych kategoriach reakcji chemicznej, siebie jednak nie postrzegała jako istotnej składowej procesu, ale jakiś przypadkowy produkt uboczny, powstały podczas spalania.

Allie MacDonald zawiozła ją do niewielkiego domu w stylu kolonialnym, w którym od pięciu lat mieszkała z Camem. Zaparzyła herbatę i zaczęła gotować zupę, jednocześnie opowiadając Mii o historii niektórych ze zgromadzonych w domu przedmiotów: dębowym kufrze z kulą tkwiącą na samym środku, mieczu o koszarowej gardzie, zawieszonym nad kominkiem, czerwonych tartanowych pledach w rodowych barwach MacDonaldów z Carrymuir.

Potem rozciągnęła haftowane prześcieradła na kanapie w salonie, dała Mii dwie poduszki oraz jeden z krzaciastych pledów, i życzyła jej dobrej nocy.

Mia zasnęła z Kafką, swoim kotem, pod ramieniem i niemal natychmiast zaczęła śnić o najdziwniejszym incydencie z dzieciństwa: dniu, w którym rodzice zapomnieli o jej istnieniu.

Zdarzyło się to wtedy, gdy Mia miała cztery lata i wszyscy razem wybrali się na spacer do lasu.

Przez większość czasu Mia dreptała za rodzicami, wyprzedziła ich tylko raz, kiedy zniknęli w krzakach, by się tam oddawać namiętnym pocałunkom.

Wiedząc, że to potrwa dłuższą chwilę, odeszła kawałek dalej i wsłuchiwała się w mowę drzew. Była niezwykle wyczulona na dźwięki - wylapywała szum krwi płynącej w żyłach i szelest rozwijających się pączków kwiatów. Gdy więc rodzice, pojękując, rozplýwali się w uściskach, ona zaległa na miękkim mchu i nasłuchiwała szeptu kory, który wypełniał powietrze, ilekroć gałęzie się wyginały w poszukiwaniu popołudniowego słońca.

Kiedy w końcu Mia rozejrzała się na boki, rodziców nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Natężyła słuch w nadziei, że podmuch wiatru przyniesie echo ich śmiechu lub nieznaczny elektryczny trzask, jaki wypełniał powietrze,

ilekroć ojciec przesuwiał palcami po włosach matki, ale jedyny dźwięk, który do niej docierał, był nierównym: poświstem jej własnego oddechu.

Mia usiadła i podciągnęła kolana pod brodę. Powtarzała sobie, że rodzice nie zostawili jej umyślnie, w fakcie, że została sama, nie było ich winy. I problem nie polegał na tym, że jej nie kochali - po prostu siebie nawzajem kochali dużo bardziej.

Po mniej więcej trzech godzinach dotarła do szosy, skąd zabrał ją jakiś kierowca - którego w ogóle nie знаła - i zawiózł na posterunek policji. Mia wciąż żywo pamiętała miłego oficera, który się wówczas nią zaopiekował: miał włosy pachnące miętą, nierozsypujące się na wietrze, i pomógł jej wejść na krzesło stojące obok biurka.

A potem zawiózł do domu w policyjnym radiowozie.

Weszli razem do środka przez otwarte drzwi, a kiedy czekali w kuchni na pojawienie się rodziców, Mia naląła dla niego szklankę mleka. Usiadła bezszelestnie przy stole i zaczęła się zastanawiać, czy tylko ona jedna słyszy dobiegający spod sufitu szybki oddech matki, ciężkie sapanie stropu pod ciężarem wielkiego łóżka, pulsujący rytm miłosnej ekstazy.

Mia zbudziła się na odgłos klucza przekręcanego w zamku i chwilę później usłyszała w salonie ciche kroki.

Zamrugła gwałtownie, by szybciej przystosować wzrok do ciemności. Usiadła i zobaczyła Camerona MacDonalda unoszącego ramiona ponad głowę. Przeciągnął się miękko, z kocim wdziękiem i odwrócił w jej stronę.

W pierwszej chwili pomyślał, że Allie postanowiła na niego poczekać i w końcu zmógł ją sen. Ale przecież rozmawiał z nią wieczorem, miała się wcześniej położyć do łóżka.

Instynktownie sięgnął do pasa z bronią, który notabene zdążył już zostawić w kuchni. Ledwo jednak położył rękę na biodrze, dotarło do niego, że zna kobietę siedzącą na kanapie.

Miała na sobie jedną z nocnych koszul Allie, a jej włosy były w jeszcze większym nieładzie niż wtedy, gdy ujrzał ją w kwaciarni. Siedziała z szeroko rozwartymi, błyszczącymi oczami i ścisnęła w dłoniach tartan MacDonaldów.



Cameron próbował ruszyć z miejsca, lecz nie mógł. Ona się do niego uśmiechnęła i wtedy - pod wpływem impulsu, który bez wątpienia zrodził się z instynktu samozachowawczego - Cam zrobił w tył zwrot i umknął na górę po schodach.

Allie leżała na plecach, ubrana w batystową koszulę, na którą kładł się zimny pobłysk światła sącącego się przez okno. Chrapała.

Cam wstrzymał oddech i przysiadł obok żony na łóżku. Rozwiązał troczki jej koszuli i delikatnie odgarnął tkaninę. Obnażone piersi Allie zdawały się ofiarnym darem.

Nachylił się i zaczął wodzić językiem po sutku, aż w końcu ręka żony znalazła się w jego włosach. Allie wydała gardłowy jęk i próbowała usiąść.

- Nie! - szepnął Cam. - Leż tak, jak leżysz.

Szybko ściągnął buty, skarpetki i mundur, po czym rzucił je w kąt pokoju. Odznaka odbiła się od krawędzi komody z metalicznym brzękiem. Stał nagi naprzeciwko żony, taksując spojrzeniem jej pociemniałe oczy i stwardniałe sutki. Wiedział, że nawet nie musi jej dotykać, by była na niego gotowa.

Kiedy musnął ustami jej żebra, znowu próbowała usiąść, jednak Cam stanowczo pokręcił głową.

- Ale ja chcę - zaprotestowała Allie. - Chcę cię dotykać.

- Nie teraz. Nie tej nocy.

Pieścił ją metodycznie, jakby gdzieś w tyle głowy katalogował każdy centymetr jej ciała.

Kiedy wreszcie spojrzał jej w oczy, miał już erekcję. Próbował wyrzucić z pamięci obraz Jamiego MacDonalda zamkniętego w aresztanckiej celi i obraz ciała Maggie leżącego na stole do balsamowania, aż w końcu złapał się na tym, że myśli jedynie o kobiecie leżącej w salonie na kanapie.

Krew pulsowała mu w skroniach, gdy wszedł w żonę o wiele gwałtowniej, niż zamierzał.

A kiedy już było po wszystkim, przewrócił ją na bok i zauważył otarcia po świeżym zarostie na jej szyi i piersiach, znak swoich zębów na jej ramieniu.

Jamie MacDonald zamordował żonę subtelniej i delikatniej, niż Cam uprawiał seks ze swoją własną.

### 3.

Perspektywa rychłej śmierci nie wywierała na nim większego wrażenia, co w pewien sposób go dziwiło.

Miał dwadzieścia pięć lat i wciąż myślał o swoim życiu jako rzeczy, ciągnącej się długą wstęgą hen za horyzont, pełnej niespodziewanych meandrów i rwących dopływów.

Od dawna musiał walczyć o zachowanie tego, co należało do niego od dziewięciu lat, więc wiedział, że wystarczy jeden moment nieuwagi, a może zginąć od miecza. Jednak jeszcze nigdy szansę na ocalenie głowy nie były tak nikłe.

Ostro zacinający śnieg z deszczem wciskał się pod fałdy kiltu, nogi grzęzły w rozmokłym wrzosowisku.

Nagle mgła się rozstąpiła, ukazując gdzieś błysk złotego guzika, trzepoczący sztandar, parujący oddech konia kawalerzysty.

Rozejrzał się na boki i po raz pierwszy w życiu nie rozpoznał żadnego z mężczyzn, którzy walczyli z nim ramię w ramię. Jego ludzie, dzierżawcy, kuzyni znajdowali się teraz w drodze powrotnej do Carrymuir.

Podobnie jak on, widzieli wcześniej falujące niczym morze zastępy dziesięciu tysięcy Anglików, słyszeli grzmienie armat, słuchali chaotycznych rozkazów wydawanych armii szkockich górali. Dostrzegali żarliwy zapal w gładkiej twarzy Pięknego Księcia i wiedzieli, że nie mają szans na zwycięstwo.

U schyłku nocy, tuż przed świtem, poszedł dobić targu, z diukiem Perth. Powiedział, że tak jak obiecał, przyprowadził swoich ludzi, co jednak nie oznacza, że osobiście stanie do walki.

Czysta sofistyka, skoro przywiódł zbrojny oddział, rozumiało się samo przez się, że weźmie udział w bitwie, ponieważ żaden laird nie mógł wymagać od członków klanu tego, czego osobiście by się nie podjął.

Jednak w tym wypadku uznał, że musi nagiąć odwieczne prawa w imię ocalenia pobratymców.

Dobrze wiedział, jaki będzie wynik rokowań.

Stawiając naczelnego dowódcę przed alternatywą - albo niezaprawiona w boju garść górali z Carrymuir, albo jego niedościgłe umiejętności bojowe - w zasadzie nie dał mu wyboru.

Gdy po raz trzeci ciężko kuśtykał przez wrzosowisko - trafiony w nogę zbłąkaną kulą, którą z kartacza wystrzelił jakiś sassenach\* - zastanawiał się, czy choć jeden z tych szaleńców miał świadomość, że to ostatnie miejsce na ziemi, w jakim miał się ochotę znajdować.

\*Sassenach (szkoc.) - Anglosas, Anglik (przyp. tłum.)

Nie chciał więcej oglądać na oczy żadnego przeklętego Anglika ani deptać po wciąż drgających ciałach konających Szkotów. Zastanawiał się również, jak wygląda Bóg. Miał nadzieję, że niebo przypominało wyglądem Szkocję.

W uszach dźwięczały mu słowa pacierza, który w kółko odmawiał cichym głosem.

Na widok angielskiego żołnierza, zwracającego się w jego stronę, uniósł wysoko lewe ramię, potem spuścił kord na szyję wroga. Z szerokiej rany chlusnęła krewi zmieszała się z mokrym śniegiem na jego piersi.

Cameron MacDonald opadł na kolana. Zaczęły targać nim torsje.

Powtarzał sobie raz po raz, że poprzysiągł walczyć aż do śmierci. Nie tęsknił do niej, ale uważał, że dobił targu na dobrych warunkach. Za bardzo kochał swoich ludzi, żeby patrzeć na ich cierpienie.

Więc gdyby jeszcze raz przyszło mu dokonać podobnego wyboru, nie wahałby się ani chwili.

Angus MacDonald zbudził się gwałtownie na swoim wąskim łóżku. Po tych pogłoskach, które poprzedniego dnia pochwycił uchem w rzadkiej chwili pełnej jasności umysłu, nie zdziwił się, że duch jego praprapraprastryja Camerona nawiedził go we śnie. A jeszcze

mniej zaskoczył go fakt, że Cameron MacDonald I zachowywał się po śmierci równie niekonwencjonalnie jak za życia. Nie było żadnych pobrzękujących łańcuchów czy oparów wpełzających przez szparę w drzwiach. O nie.

Postanowił objawić się we śnie i pokazać Angusowi, jak w jego oczach wyglądał wir bitwy, gdy niczym karzący grom przemierzał wrzosowisko z wysoko uniesionym mieczem.

- Nie należało się spodziewać czegokolwiek innego - mruknął pod nosem Angus, gdy wciągał spodnie z grubego diagonalu i sfilcowany szetlandzki sweter.

Pewnego razu, gdy był jeszcze strażnikiem Carrymuir, ujrzał Marię Stuart odpływającą łodzią z zamku Loch Leven w chłopięcym przebraniu, jak wtedy gdy przed wiekami rzeczywiście umykała z więzienia. Nękało go potem dziwne ściskanie w trzewiach i pulsowanie w głowie - podobne do tego, jakiego się doświadcza po przepiciu.

I tak samo czuł się teraz.

Angus zdawał sobie sprawę, że większość ludzi chce widzieć w nim starca dotkniętego początkami alzheimera, on sam siebie jednak postrzegał jako ofiarę zbiorowej pamięci.

To było niczym reinkarnacja - czy raczej rezurekcja myśli i doznań zmarłych członków klanu. Na tej zasadzie dane mu było doświadczać trosk i niepokojów Camerona MacDonalda I. A dzisiejszej nocy Cameron MacDonald I był bardzo niezadowolony z posunięć Camerona MacDonalda II.

- Nie mam pojęcia, co też strzeliło mu do głowy - gderał Angus, wsuwając stopy w bambosze, bo akurat żadnego innego obuwia nie mógł znaleźć w sypialni. - Młodemu Camowi bez ustanku trzeba przypominać o odwiecznym porządku rzeczy.

W istocie to Angus nakłonił Camerona do powrotu do Wheelock i objęcia funkcji komendanta policji po śmierci ojca. Osiem lat temu, niemal co do dnia, Cam przybył do Szkocji, by powiadomić Angusa o tragicznym wypadku Iana. W owym czasie Angus miał siedemdziesiąt cztery lata i nadal sprawował pieczę nad Carrymuir, mimo że od dwunastu lat był wdowcem, a cała reszta rodziny mieszkała w Massachusetts.

Młody Cameron, który miał w sobie żyłkę wagabundy, zaoferował, że posiedzi kilka lat w Carrymuir, zwolni Angusa z obowiązku, ale przedwczesny zgon Iana pokrzyżował te plany.

Cam zabrał stryja na szklaneczkę whisky do pobliskiego szynku, wiedząc, że Angus, podobnie jak reszta klanu, będzie głęboko wstrząśnięty śmiercią przywódcy.

Rozpostarł dłonie na pokierszowanym, drewnianym blacie, a potem opowiedział o oblodzonej drodze, traktorze z przyczepą, wąskim zakręcie.

Mówił to wszystko beznamiętnym, monotonnym głosem, ponieważ sens tragedii jeszcze na dobre do niego nie dotarł. Nie zapomniał przy tym wspomnieć, że - według opinii lekarzy - ojciec zginął natychmiast, więc w ogóle nie cierpiał.

Kiedy skończył, Angus spojrział na niego jasnymi, suchymi oczami.

- No, cóż. A więc posiedzę tutaj trochę dłużej.

Ku przerażeniu Angusa młody Cam próbował dobić z nim targu na zasadzie handlu wymiennego.

Stwierdził, że chętnie zostanie w Carrymuir, a swoje prawa lairda sceduje na Angusa, który zamiast niego wróci do Ameryki. Ta propozycja wstrząsnęła starcem dogłębniej niż śmierć bratanka, to po prostu nie do pomyślenia, by w tak lekkomyślny sposób burzyć linię dziedziczenia.

Po dziś dzień Angus pamiętał, z jakim zacięciem na twarzy Cam usiłował rzucić z siebie ciężar przywództwa należny mu z racji urodzenia. „To w zasadzie fikcyjny tytuł” - utrzymywał. „Zresztą ty bez wątpienia będziesz lepszym lairdem”.

Angus wruszył ramionami, wychylił do końca whisky, po czym wbił w chłopaka uważne spojrzenie.

Ciekawiło go, czy Cam zdaje sobie sprawę, że płynnie przejął gardłową, twardą wymowę Angusa - i to wcale nie z tego powodu, że tak się już oswoił ze szkockim dialektem, ale po prostu dlatego, że miał to we krwi.

- Obowiązek jest obowiązkiem - zdecydował Angus. - I z klanem czy bez klanu, mój chłopcze, nigdy ci nie wolno zapominać o własnym dziedzictwie.

Upór był jedną z cech przekazywaną z pokolenia na pokolenie w rodzie MacDonaldów, ale ostatecznie Angus się zgodził na kompromis. Cam wrócił do Wheelock, ale razem ze stryjem. A włości i stary dwór w Carrymuir przeszły pod zarząd National Trust of Scotland.

Każdego ranka, wodząc wzrokiem po tęczowym wianuszku witamin i leków nasercowych, Angus uparcie powracał w myślach do Carrymuir, nie chciał dopuścić do tego, że pewnego dnia po przebudzeniu już nie będzie pamiętać swoich rodzinnych stron.

Przywoływał więc przed oczy solidne kamienne dworzyszczce, potężny kominek w wielkim holu, stada owiec obchodzące wokół stare chaty zagrodników na podobieństwo nurtu rzeki opływającej szare głazy. Starał się przy tym nie myśleć, że Carrymuir - nigdy niezdobyte przez Campbellów, Anglików czy też jakichkolwiek innych najeźdźców - padło teraz łupem turystów.

Dzisiaj nie miał jednak czasu na jakiegokolwiek rozmyślenia. Naciągnął na sweter szlafroki tuż po trzeciej rano ruszył w drogę, by w swoich bamboszach pokonać dwa kilometry dzielące jego niewielki dom od policyjnego komisariatu.

Musiał po raz kolejny przemówić do sumienia swojego stryjecznego wnuka.

## RAPORT DOCHODZENIOWY

Komenda Policji w Wheelock

Sprawa nr 95-9050

PODEJRZANY: MACDONALD James Re id

Płeć: męczyzna, rasa: biała,

wiek: 36 lat

Data urodzenia: 14. 03.1959

Miejsce urodzenia: Boston, Massachusetts

Wzrost: 194 cm, waga: 91 kg

Oczy: zielone, włosy: kasztanowe

## ZARZUT

Zabójstwo pierwszego stopnia

MIEJSCE PRZESTĘPSTWA:

Wheelock Inn, Main Street, Wheelock, Massachusetts

DATA PRZESTĘPSTWA: 19 września 1995

DOWODY RZECZOWE:

1. Powłoczka na poduszkę
2. Próbkki włókien pobrane na miejscu przestępstwa
3. Buty noszone przez podejrzanego
4. Próbkki włosów ofiary
5. Próbkki włosów podejrzanego
6. Protokół z autopsji
7. Zdjęcia miejsca przestępstwa i ciała ofiary
8. Dobrowolne zeznanie podejrzanego

Allie co rano z namaszczeniem parzyła własną mieszankę liściastych herbat.

To było bardzo angielskie w stylu i Cam czasami się z niej naśmiewał - twierdził, że musi utrzymywać swój nawyk w sekrecie, bo inaczej dobrzy Szkoci z Wheelock wygnają ją z miasteczka.

Z początku komponowała własne mieszanki z powodu zamiłowania do perfekcji w każdymdetalu.

Na tej samej zasadzie, na jakiej natychmiast wychwytywała okiem źdźbło trawy, burzące linię kwietnej kompozycji, wyczuwała smak pospolitego, torebkowego liptona gorzkiego niczym piołun. Po pewnym czasie jednak nauczyła się go pić i teraz tworzyła swoje mieszanki tylko dlatego, że od czasu do czasu zwracała tym na siebie uwagę Cama.

Allie robiła codziennie przynajmniej setkę rzeczy jedynie ze względu na męża. W ten sposób przywiązywała go do siebie: bez przypominania oddawała koszule służbowe do pralni, przed pójściem spać wystawiała płatki i miseczkę na kuchenny stół, aby czekały na Cama, gdy wróci po nocnej zmianie, wymyślała coraz to nowe mieszanki herbat, bo często tylko dzięki nim Cam wdawał się z nią w poranną rozmowę.

Robiła wszystko, żeby umilić i ułatwić mu życie - zwolnić z konieczności zwracania sobie głowy uciążliwymi, przyziemnymi drobiazgami.

Zawsze pamiętała, kiedy jesienią należy cofnąć wskazówki zegara, pilnowała, by w lodówce nie zabrakło mleka, a w domu znajdowały się wszystkie rodzaje baterii potrzebnych do bezbłędnego działania elektronicznego sprzętu.

Wmawiała sobie, że robi to wszystko dlatego, że lubi. A przy okazji wypełnia sekretne postanowienie, które powzięła w dniu ślubu z tym wspaniałym, nieprzytomnie przystojnym mężczyzną: zrobi wszystko, aby każdy jego dzień przechodził w następny bez najmniejszych zakłóceń, ponieważ w takiej sytuacji Cam nie będzie miał powodu do snucia alternatywnych scenariuszy. Do tęsknego: „Co by było, gdyby.”

Allie nie przychodziło do głowy, że dopuszcza się czegoś w rodzaju behawioralnego odurzania męża - że uzależnia go od siebie jak od heroiny. Uparcie nie przyjmowała do wiadomości, że ilekroć wyręcza męża w różnych obowiązkach, upodobia się do pająka, chwytającego ofiarę w jedwabistą sieć utkaną z poczucia winy.

Nie dopuszczała też do siebie myśli, że Cam jest dość silny i niezależny, by się wyrwać z każdej pułapki, jaką mogła na niego zastać.

Choć niewykluczone, że to wszystko właśnie przychodziło jej do głowy i dlatego nadal nie ustawała w wysiłkach.

Czasami, gdy Cam pracował na nocną zmianę - od północy do ósmej - Allie, leżąc w łóżku, roiła sobie, że pewnego dnia Cameron zauważy jakiś idiotyczny drobiazg - na przykład to że jego skarpetki są zawsze starannie poskładane parami w dolnej szufladzie komody - i wówczas spojrzy na nią tym samym wzrokiem, jakim ona zawsze wodziła za nim. „Allie” - odezwie się ze zdumieniem i uwielbieniem w oczach - „czy naprawdę zrobiłaś to wszystko dla mnie?”

Poprzedniej nocy Cam powrócił na posterunek, by zmienić Zandy'ego pilnującego Jamiego MacDonalda.

Kiedy teraz Allie usłyszała warkot samochodu wjeżdżającego na podjazd, wylała na skwierczącą patelnię wcześniej wybite do miseczki jajka.



I w tej samej chwili, gdy mąż - po wytarciu butów i odwieszeniu kurtki - wszedł do kuchni, Allie położyła świeżo usmażone jajko na toście.

Cameron ciężko usiadł za stołem i zaczął pocierać twarz rękami.

- Zmęczony? - spytała, kładąc dłoń na karku męża.

Cam wydał z siebie bliżej nie określony pomruk i chwycił za sztućce. Ślina mu leciała na widok parującego, świeżego jedzenia, a mimo to, nawet nie pokosztowawszy śniadania, starannie oparł widelec o skraj talerza i odwrócił się w stronę żony.

Stała przy zlewie i czyściła patelnię. Miała jakąś fobię na punkcie jedzenia krzepnącego w garnkach i obsesyjnie je szorowała tuż po każdym użyciu. Napinała ramiona z wysiłku, ale jednocześnie nuciła coś radośnie pod nosem.

- Allie. - Jego głos nie zdołał się przebić przez szum płynącej z kranu wody. - Allie!

Odwróciła się błyskawicznie, kurczowo chwytając za kant zlewozmywaka, jakby mąż śmiertelnie ją przeraził samym faktem uniesienia głosu.

- Nie smakuje ci jajko?

- Jest idealne. - Cam wziął głęboki oddech. - Allie, czy uważasz, że on postąpił słusznie?

Allie usiadła naprzeciwko męża. Nie miała wątpliwości, kim jest ów „on”.

- A ty?

Cam wpatrywał się w nią tak uporczywie, że fizycznie czuła na sobie jego wzrok.

Położyła ręce na piersi, a przed oczami mignął jej obraz Cama z minionej nocy - jego ust wodzących po jej sutkach.

- Nie umiem zdecydować - przyznał. - Ale mam związane ręce. Zabił tę kobietę, w naszej kostnicy leżą jej zwłoki. Wszyscy widzieli zadrapania na twarzy Jamesa, a Hugo znalazł pod paznokciami Maggie MacDonald ślady jego naskórka.

- Urwał na moment i przekrzywił głowę.

- Gdybym ja umierał na raka, cierpiał okrutne bóle i poprosił cię o skrócenie męczarni, czybyś to zrobiła?

- Tak - odparła Allie bez wahania.

- Ale zaraz potem zabiłabym siebie.

Cam mimowolnie rozdziawił usta ze zdumienia.

- Ponieważ czekałaby cię kara za zabójstwo? Gnębiły wyrzuty sumienia?

- Nie. Ponieważ ciebie by już nie było.

Mia odłożyła szczoteczkę do zębów na skraj umywalki i po raz kolejny zerknęła na apteczkę.

Robiła tak już wcześniej w domach innych ludzi - po prostu z ciekawości zaglądała do środka - jednak w tym wypadku chodziło o coś więcej niż zwykła ciekawość.

Teraz ogarnęła ją paląca potrzeba poskładania łamigłówek w całość. A jednocześnie Mia czuła, że posuwając się do wścibstwa, niewybaczalnie pogwałci prywatność kobiety, która jednego dnia dała jej zarówno pracę, jak i dach nad głową.

Przez chwilę zmagła się ze sobą, ale w końcu otworzyła lustrzane drzwiczki - patrzyła, jak jej odbicie się zniekształca, po czym gwałtownie znika, ustępując miejsca rzędom szklanych półek.

Paracetamol, jodyna i emetyk. Gaziki, plastry i perfumy Laury Ashley. Dezodorant, woda po goleniu. Syrop na niestrawność.

Jedynym lekiem na receptę, który rozpoznała, była jakaś pochodna penicyliny. Antybiotyk. No i tabletki antykoncepcyjne. Mia swego czasu łykała takie same.

Wzięła w rękę pudełeczko przypominające muszlę i przejechała palcem po wieczku. Otworzyła je i policzyła, ile tabletek brakowało. Przyszło jej na myśl, że gdyby zrzuciła kilka z nich do umywalki i puściła wodę, mogłaby całkowicie odmienić życie Camerona i Allie MacDonaldów. I w tej samej chwili szybko zatrasnęła wieczko, po czym odłożyła pudełko do apteczki.

Świadomość własnej potencjalnej mocy sprawczej wprawiła ją w drżenie.

Ledwo Cam odstawił opróżnioną szklankę, Allie natychmiast ponownie ją napełniła.

- To zabójstwo pierwszego stopnia - powiedział takim tonem, jakby sam nie mógł uwierzyć we własne słowa. - On doskonale wiedział, co robi, w tym celu przyjechał do wcześniej wybranego

miasta, a potem z własnej woli się przyznał do popełnienia zabójstwa. - Cam potrząsnął głową. - Nie pojmuję, czego w gruncie rzeczy ode mnie oczekuje. W takiej sytuacji nie mam przecież wyjścia, muszę jego czyn uznać za morderstwo z premedytacją.

- Wielu ludzi zupełnie inaczej oceni tę sytuację.

Cam wstał i objął żonę. Czubek jej głowy wsunął się gładko pod jego podbródek.

- Marnujesz się u boku kogoś, kto jest zaledwie przywódcą klanu. Byłabyś świetną towarzyszką życia dla ambitnego polityka.

- Caaam. - odezwała się przeciągle Allie, jakby to, co zamierzała powiedzieć, właśnie w tym momencie nasunęło jej się na myśl. - Przygotowałam pogrzebowe wiązanki. I wieńce. A ściśle rzecz ujmując, Mia je przygotowała.

Cameron skinął głową.

- Ostatecznie jesteś jedyną miejscową florystką. Nikt tego nie uzna za manifestacyjny wyraz poparcia dla Jamiego.

- A jeżeli o to właśnie chodziło?

- O co?

- Manifestacyjny wyraz poparcia.

Cam ze znużeniem opadł na krzesło.

- Allie, nawet ciebie musiałbym aresztować, gdybyś się dopuściła morderstwa. - Przejechał dłonią po gęstych włosach, rude kosmyki opadły mu na twarz. - Jestem komendantem policji.

Allie skinęła głową, wyobrażając sobie jednocześnie, jak Cam osobiście zamykają w małej, ciemnej betonowej celi.

- Racja - przyznała. - Ale nadal byłbyś także moim mężem.

Tym komentarzem przebrała miarę.

Cameron zerwał się na równe nogi tak gwałtownie, że aż przewrócił przy tym krzesło.

- Nie chcę wysłuchiwać podobnych tekstów we własnym domu. Nie tego od ciebie oczekuję.

Allie natychmiast przestawiła się na inny tryb. Rzuciła ścierkę, zamknęła drzwi lodówki i stanęła naprzeciwko Cama.

Odważnie przebiła się przez gniew i frustrację męża, oplótła go ramionami.

- Oczywiście. Rozumiem.

Cam pozwolił, żeby podprowadziła go do krzesła i ponownie posadziła za stołem. Zacisnął dłonie w pięści i zamknął oczy. Chciałby być teraz wszędzie, byle nie w Wheelock. Instynktownie zaczął

Ujrzał białego słonia w Tajlandii, który szarzał niczym niebo o zmierzchu po chluśnięciu nań wiadrem wody.

Żaluzje dziewięciuset kramów strzelające do góry w godzinie otwarcia kairskiego souku.

Różowy kamień katedr w mieście Meksyk.

Niespodziewanie coś się otarło o kolano Cama, brutalnie wyrwijając go z marzeń.

- Przepraszam - rozległ się nieznanym głosem. Cam otworzył oczy i ujrzał kobietę, która uprzedniej nocy spała na kanapie w salonie.

- A, Mia - odezwała się Allie z uśmiechem. - Wystarczyło dla ciebie ciepłej wody?

Mia skinęła głową. Patrzyła na siedzącego obok Cama, ale przed oczami widziała mężczyznę wyciągającego ramiona ku belkom sufitu, przeciągającego się leniwie niczym piękna, góraska puma.

- Dzień dobry - powiedziała, wyciągając dłoń. - Zdaje się, że do tej pory nie mieliśmy okazji oficjalnie się poznać.

Allie stanęła za mężem, objęła go w pasie.

- Rzeczywiście. Przeszkodziło wam wczorajsze zamieszanie. Cam, oto Mia Townsend, moja nowa asystentka. Mio, to...

- Komendant policji w Wheelock - wtrąciła Mia z promienną twarzą, mocno ściskając dłoń Camerona.

- Asystentka? - Chociaż Cam mówił do żony, ani na chwilę nie oderwał oczu od Mii - nawet wtedy, gdy cofnęła dłoń i nachyliła się nad miską płatków, którą Allie niczym troskliwa matka postawiła przed nią na stole.

- Mia ma w sobie coś wyjątkowego - oświadczyła Allie. - Tylko poczekaj, aż zobaczysz, jakie cuda umie wyczarować.

„Ma w sobie coś wyjątkowego”.

Cam z trudem przełknął ślinę, po czym położył rękę na dłoni Allie. Była mała, ciepła i gładka - Cameron znał na pamięć wszystkie wypukłości, fakturę skóry. Całkowicie się różniła od ręki Mii.

- Nie wierzę, by były wspanialsze od twoich.

- Wkrótce sam się przekonasz.

Cam niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

Po jednym dniu pobytu w Wheelock ta nieznajoma zauroczyła Allie i zdołała się wśliznąć do ich domu.

Zamarł, gdy dotarło do niego, że ilekroć się znajdował w pobliżu tej kobiety, wychwytywał płynącą od niej niespokojną energię, jakby nie do końca czuła się swobodnie we własnej skórze. A do tego za każdym razem nękało go przekonanie, że już kiedyś w życiu z nią rozmawiał, a przynajmniej ją widział lub znajdował się w jej pobliżu.

Nagle Mia zerwała się z krzesła.

- Mój kot - wyjaśniła.

- Chyba niechcący zamknęłam go w łazience. - Strzeliła nerwowo oczami w stronę piętra.

- Najprawdopodobniej poszarpał już pazurami na strzępy waszą zasłonę prysznicową.

Allie się roześmiała.

- Zjedz spokojnie śniadanie. Ja pójde po kota.

Mia jeszcze przez chwilę po wyjściu Allie stała nieporuszona w miejscu, ale w końcu uśmiechnęła się niepewnie do Cama i usiadła za stołem. Zalała mlekiem płatki, apotem, jedząc je, zagarniała od środka ku sobie.

Podczas pobytu na Wyspach Cam widział Anglików jedzących w identyczny sposób zupę.

- Jak nazwałś swojego kota? - zapytał w ramach zawieszenia broni.

- Kafka.

Nie uniosła wzroku.

- Kafka? - powtórzył Cam w rozbawieniu.

Skinęła głową.

- Chciałby być wszystkim, byle nie kotem.

- Skąd wiesz? - Cam złapał się na tym, że wbrew własnej woli nachyla się ku Mii.

Zawiesiła na nim spojrzenie swoich fiołkowych oczu.

- Kiedy mieszkaliśmy w Indiach, wydawało mu się, że jest krową. Paradował po jezdni między samochodami i nauczył się muczeć. W Paryżu zapędził się za ziębą aż na zewnętrzny parapet, a potem skoczył w dół przekonany, że umie latać. - Wzruszyła ramionami. - Nigdy nie można przewidzieć, co za chwilę zrobi.

- Hmm.

Dobiegał od niej zapach świeżego deszczu, który w niczym nie przypominał zapachu jakichkolwiek znanych mu perfum. Nagle oczami wyobraźni Cam ujrzał Mię przebiegającą przez ulice tych wszystkich miast, które od dawna chciał odwiedzić.

- Mieszkałaś w Indiach? I w Paryżu?

Kiedy nie odpowiedziała, przysunął się jeszcze bliżej. Teraz wystarczy, że lekko poruszy kciukiem, a muśnie jej nadgarstek. Wróciło do niego pytanie, które kołatało mu się po głowie poprzedniego dnia.

- Czy to możliwe, że już cię gdzieś spotkałem? - wyszeptał.

Mia pochwyliła uchem kroki Allie i radosne pomiaukiwanie Kafki. W milczeniu odsunęła się od Cama. Owszem, pomyślała, to najzupełniej możliwe.

#### 4.

Kiedy później tego samego rana Cam wszedł na posterunek, ujrzał swojego stryja Angusa ubranego w szlafrok, siedzącego w celi i grającego w szachy z Jamiem MacDonaldem.

- Na Boga jedyne - mruknął Cameron i otworzył kratę. - Angus, co ty tu robisz?

- Rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu patrolowego Caseya MacRae, któremu zlecił pilnowanie więźnia.

- Powiedziałem Caseyowi, że przejmę od niego wartę - odparł Angus. - Nie widziałem małego Jamiego od czasu, gdy skończył siedem lat.

Cam rzucił kapelusz na kontuar, po czym zerknął na kuzyna.

- Dobrze spałeś?

- Nie - odparł Jamie. - A ty?

Cameron odwrócił się do niego plecami i zaczął wertować wókanę sądu magistrackiego, modląc się w duchu, by jeszcze przed lunchem udało mu się na nią wcisnąć rozpatrzenie zarzutów przeciwko Jamiemu.

- Angus - westchnął Cam. - Wyjdź wreszcie z tej cholерnej celi. Nie wolno ci tam przebywać.

Starzec zacisnął mocniej pasek szlafroka, poburczał pod nosem, ale podniósł się z cementowej płyty, która spełniała funkcję pryczy.

- Mój chłopcze, nie powinienes się zwracać w ten sposób do starszych.

Cam nienawidził, gdy stryj przemawiał do niego, jakby miał przed sobą sześciolatka, a Cameron MacDonald I nie zginął przed

dwustu laty. Wskazał palcem na mokre bambosze Angusa.

- Zjawiasz się tu w piżamie, zamykasz w celi z człowiekiem oskarżonym o morderstwo i jednocześnie nie możesz pojąć, czemu chcę zatrudnić dla ciebie jakąś dzienną opiekunkę?

Angus wycząpał z celi.

- Żadna młódka nie będzie mi mówić, jak i kiedy mam jadać poranną owsiankę. Nie życzę też sobie, żeby ktoś mył moje intymne części ciała. - Poklepał Camerona po ramieniu. - Zresztą nie przyszedłem tutaj, by o tym rozprawiać.

Cam westchnął ponownie i chwycił za ciężką kratę.

- Za godzinę jedziemy do sądu - oznajmił kuzynowi i z trzaskiem zamknął celę.

Kiedy się odwrócił, ujrzał stryja siedzącego z nogami opartymi o biurko. Cameron strząsnął z ramion kurtkę i powiesił na haku przy-mocowanym do drzwi.

- Niekiedy myślę, że powinienem był cię zostawić w Carrymuir - oznajmił.

- Niekiedy żałuję, że tego nie zrobiłeś.

Cam usiadł naprzeciwko i oparł łokcie o blat.

- Angus, wiem, co zamierzasz mi powiedzieć. Wierz mi, sam dużo o tym rozmyślałem. Ale fakty są nieubłagane: w kostnicy po drugiej stronie ulicy leżą zwłoki, a w szufladzie mojego biurka ze-znanie aresztowanego, w którym się przyznaje do zabicia żony.

- No więc sprawy mają się następująco. - Angus sprawiał takie wrażenie, jakby nie usłyszał ani słowa z przemowy Cama. - Minionej nocy byłem pod Culloden.

Cameronowi odebrało mowę - zapewne dlatego, że kompletnie się nie spodziewał podobnych słów - i potrzebował dobrej chwili, aby dojść do siebie.

- Byłeś. Gdzie?

- Pod Culloden. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że zapomnia-łeś, co to za miejsce.

Przez długi czas Cam odrzucał od siebie myśl o umieszczeniu Angusa w domu opieki, ponieważ najbliższy z nich znajdował się za



górami, dobre czterdzieści pięć minut jazdy od Wheelock. Ponadto Cameron zdawał sobie sprawę, że ktoś, kto przez dziesiątki lat żył otoczony naturą, miałby poważny problem z zaadaptowaniem się do ciasnych pomieszczeń, zapachu środków antybakteryjnych i seansów bingo w stołówce.

Zaczynało jednak docierać do Camerona, że moment odesłania stryja nieuchronnie się zbliża.

- Angusie - odezwał się miękkim tonem. - Mamy rok 1995.

- Nie przeczę. Co jednakowoż nie zmienia faktu, że ubiegłej nocy gromiłem Anglików u boku księcia Charliego. - Pochylił się w stronę bratanka, jakby nie mieściło mu się w głowie, że chłopak nie pojmuje, o co chodzi. - Twój praprapraprapradziad jest niezadowolony. Dlatego mnie nawiedził.

Cam oparł czoło o blat. Zrobi przyjemność staruszkowi, pogada z nim przez kilka minut, potem wyprowadzi grzecznie na ulicę, a sam zawiezie aresztowanego do sądu usytuowanego po przeciwnej stronie miasta.

- Ubiegłej nocy nawiedził cię Cameron MacDonald.

- W pewnym sensie tego słowa - odparł Angus. - To było trochę tak, jakbym się wśliznął w jego umysł. - Urwał, by przywołać wspomnienia. - Wrzosowiska Culloden to ostatnie miejsce, w którym się chciał znajdować.

Cam nie uniósł głowy, więc jego głos stłumił rękaw munduru.

- Był słynnym wojownikiem. Stronnikiem Stuartów. Gdzie więc, jak nie na polu bitwy, miałby się znajdować w takiej chwili?

- Na mój rozum wolałby być w domu, wśród swoich.

Cierpliwość Camerona powoli się wyczerpywała.

- Angus, wszyscy się wychowaliśmy na tej historii. W tutejszej szkole pierwszaki wkuwają ją na pamięć zamiast cholernych zwycięstw wierszyków. - Poderwał głowę i zaczął płynnie recytować: - Cameron MacDonald rzucił na szalę własne życie, żeby wszyscy inni mogli powrócić do Carrymuir.

- Zaiste. - Angus wzniosł w górę palec. - Ale wiesz ty, dlaczego tak zrobił? Czemu był gotów iść na śmierć?

Cam przeżył chwilę olśnienia: wreszcie zrozumiał, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Ponieważ był wodzem klanu? - rzucił z zadowoleniem, szykując się w duchu na długie wyjaśnienie, dlaczego mimo wszystko musi przedstawić przed sądem zarzuty przeciwko Jamiemu MacDonaldowi.

- Nie - zaprzeczył Angus. - Bo nie był w stanie patrzeć na cierpienie swoich ludzi. - Starzec wstał zza biurka i położył chudą, białą dłoń na ramieniu bratanka. - Nie frasuj się, chłopcze. Przyjdzie na ciebie opamiętanie.

Postukał na do widzenia w kraty aresztanckiej celi, po czym wyszedł z posterunku.

Według Mii sztuka bonzai opierała się na harmonii z naturą, a jednocześnie na pragnieniu, by nad nią zapanować i ukształtować na nowo - tyle że w miniaturowej skali.

Kunszt ten wywodził się z Chin, rozmiłowali się w nim Japończycy, a Francuzi rozpropagowali w Europie, zafascynowani mestrą azjatyckich artystów - zmuszających wielkie, wspaniałe drzewo do życia na maleńkiej przestrzeni.

Allie pilnie słuchała i patrzyła, gdy Mia szkicowała dla niej różne formy drzew:

pojedyncze pnie wychylone na lewo, gałęzie opadające kaskadą, pokręcone, gruzłowate konary, rośliny zakorzenione w skałach.

Powtarzała ich japońskie nazwy niczym mantrę:

chokkan, moyogi, sabamiki.

W szkółce leżącej za miastem kupiły kilka klonów palmowych, które Allie zamierzała przekształcić w drzewka bonzai - podobne do tego, jakie wczoraj pokazała jej Mia. Mia miała cały zestaw potrzebnych do tego narzędzi: piłki, nożyce, szczypce, nożyki.

„Jestem chirurgiem”, powiedziała, co bardzo rozbawiło Allie, jednak śmiech zamarł jej na ustach, gdy do niej dotarło, że Mia wcale nie żartowała.

Praca nie była skomplikowana. Mia odcięła piłką jedną z gałęzi, by zmusić przeciwnieległą do wypuszczenia pędów. Powiedziała Allie, że trzeba wykonać czyste, chirurgiczne cięcie, bo wówczas drzewo się szybko zagoi.

A potem zarządziła poobrywanie większości liści.

- Teraz wygląda łyso - zauważyła Allie.

Mia cofnęła się o krok, by z dystansu spojrzeć na swoje dzieło.

- Odrosną - zawyrokowała. - Nie można natomiast dopuścić, żeby drzewko się chaotycznie rozkrzewiało.

Najtrudniejsze było drutowanie. Gałęzie należało owinąć drutem pod kątem 45° i odgiąć do odpowiedniego poziomu. Drut pozostawał na roślinie przez kilka miesięcy, ale co kilka dni należało go przewijać, żeby nie wrósł w tkankę drzewka.

Przez parę minut Mia przyglądała się pracującej Allie. Łatwo nawiązywało się kontakt z tą kobietą - była chętna do rozmowy i do nauki, pilnie się stosowała do instrukcji. Mia nie umiałaby jednak zdecydować, czy odczuwa szczerą sympatię do Allie, czy też zaprzyjaźniła się z nią tylko dlatego, że była pierwszą osobą poznaną w Wheelock.

Dziewczyna przypominała sobie, jak nawiązywała nowe znajomości w szóstej klasie - tuż po tym, gdy zmieniła szkołę i nikogo w niej nie знаła. Po krótkiej chwili przerażającej samotności śmiała się razem z dwiema dziewczynkami, które siedziały obok niej na godzinie wychowawczej. Zanim dziesięć minut później wyszły razem z klasy, Mia zdążyła już wymienić swoje drobne sekrety na wiadomość, że Jenna się kochała w Billym Geffawneyu, a Phyllis umiała połknąć jajko na twardo w całości.

Dopiero kilka miesięcy później, gdy już się otoczyła prawdziwymi przyjaciółkami tak ciasno, jakby się otulała zimowym płaszczem, Mia zdała sobie sprawę, że praktycznie nie miała nic wspólnego z tymi pierwszymi koleżankami, płytkimi i teraz kompletnie jej obcyymi, a także - jak idiotyczny i bezpodstawny był jej lęk o przyszłość w nowym środowisku. Przez lata omijała szerokim kołem te dwie na początku zapoznane dziewczyny, bo w desperackiej próbie pozyskania przyjaźni powiedziała im o sobie tak dużo, że teraz owa pochopna niedyskrecja mogła się obrócić przeciwko niej.

Podczas gdy Allie pracowała nad swoim bonzai, Mia powyjmowała własne drzewka - w różnych stadiach drutowania - z

wypożyczonego samochodu, którym przyjechała do Wheelock, a wczorajszego wieczoru zostawiła pod biblioteką. Po kilku kursach do auta i z powrotem w kwaciarni znalazły się miniaturowe rośliny, sterta terakotowych, płytkich doniczek oraz zielona torba z demobilu.

- No proszę - mruknęła Mia, spoglądając na podłogę zastawioną drzewkami o poskręcanych pniach i gruzłowatych konarach. - Jakbyśmy się znalazły w Kioto.

- Dużo podróżowałaś, prawda? - spytała Allie, pracowicie owijając drut wokół gałązki. - Nie wywodzisz się z naszych okolic.

Mia pokręciła głową i zaczęła wynosić doniczki na zaplecze.

- Tak naprawdę pochodzę zewsząd i znikąd. Nigdy nie mieszkałam w jednym miejscu na tyle długo, by powiedzieć: „To są moje okolice”.

- Pochodzisz z wojskowej rodziny?

Mia przystanęła w progu.

- Nie. Moi rodzice nadal mieszkają w tym samym domu, w którym dorastałam. - Postawiła dwie doniczki obok Allie, a potem przeciągnęła krzesło do roboczej części kwaciarni. Odruchowo wyjęła drut z ręki Allie i skorygowała kąt nawijania.

- A ty się wychowałeś w Wheelock?

Allie skinęła głową z uśmiechem.

- Podobnie jak Cam. Mam wrażenie, że znam go od zawsze.

Mia nie była zdziwiona tą informacją. Mignęła jej przed oczami małeńka Allie, czepiająca się koszuli Cama, by zachować pionową pozycję.

- Byliście szkolną parą?

- Nie. Prawdę mówiąc, te banalne stroiki dla biblioteki zostały zamówione z okazji lunchu wydawanego na cześć dawnej dziewczyny Cama.

- Z ręką na sercu mogę zaświadczyć, że masz od niej o wiele lepszy gust.

- To nie wyjaśnia wiele - odparła Allie.

Zaczęła obskubywać liście z jednej strony drzewka, tak jak wcześniej pokazała jej Mia.

Mdłe światło sączące się przez wysoko położone okna kładło się refleksami na drewnianej podłodze.

- Znałam Cama w szkole średniej, ale on wówczas nie miał pojęcia o moim istnieniu. Nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Natomiast gdy o niego chodzi. Cameron był powszechnie znany. Kiedy skończył liceum, wyjechał na studia do Szkocji, potem trochę podróżował po świecie, a po śmierci ojca powrócił do Wheelock.

Poprzedniego wieczoru Allie opowiedziała Mii o obowiązującej w rodzinie Camerona sukcesji klanowych obowiązków - tradycji, która się wywodziła z zamierzchłej przeszłości szkockich wyżynach.

- Wkrótce po tym, jak wrócił do naszego miasteczka, natknęłam się na niego w sklepie z materiałami budowlanymi. - Allie przycięła gałązkę wyrastającą zbyt blisko korzeni. - I przyprawiłam o utratę przytomności.

Kupowała drewno w okresie prac remontowych poprzedzających otwarcie kwiaciarni. Zaopatrzona w szczegółowe instrukcje, Allie postanowiła własnoręcznie zbić stoły robocze z kilku grubych desek. Przypadek zrządził, że Cam stanął za nią w kolejce do kasy. Kiedy Allie szukała w portmonetce odliczonej sumy, balansując przy tym niebezpiecznie dechami zarzuconymi na ramię, usłyszała zza pleców głos Cama. „Mogę cię poratować drobnymi” - zaproponował i gdy się odwróciła, by wziąć od niego kilka monet, niepomna desek na ramieniu niechcący trzasnęła go ciężkim drewnem w potylicę.

Obudził się z głową na jej kolanach i nieznośnym bólem głowy, ale poza nieznacznym wstrząśnieniem mózgu nic mu nie dolegało. Ilekroć Cam opowiadał komuś tę historię, zawsze dodawał: „Już przy pierwszym spotkaniu sprawiła, że ujrzałem wszystkie gwiazdy”.

Allie wzruszyła ramionami. Czowała się trochę zażenowana swoimi wyznaniem. Tymczasem Mia siedziała przy roboczym stole,

podpierając brodę na dłoniach. Obok jej łokcia leżały klonowe liście - niektóre tak duże jak dłoń.

- Przypominasz mi moją matkę - oznajmiła.

Allie się roześmiała.

- Dlatego, że przygotowałam ci śniadanie?

- Nie. Śniadanie zawsze musiałam szykować sobie sama. Z powodu wyrazu twarzy, jaki przybierasz, gdy mówisz o mężu.

Mia wróciła wspomnieniami do rodziców. Kiedy opowiadali jakąś historię, siedzieli ramię przy ramieniu, nieustannie wpadali sobie nawzajem w słowo, a przy tym raz po raz stykali się dłońmi, co przywodziło na myśl kopulujące motyle.

- A czy Cam przypomina ci ojca?

Mia ujrzała przed oczami dużą dłoń Camerona przyciśniętą do kuchennego obrusa w kratkę i jego lśniące, ciemnorude włosy sięgające kołnierzyka.

Próbowała sobie wyobrazić Allie w ramionach tego potężnego mężczyzny, jego ciało leżące na jej ciele - i nie mogła.

- Nie - odparła. - Ani trochę.

Graham MacPhee jeszcze nigdy nie prowadził żadnej sprawy przed sądem - choćby rozwodowej - mimo że dołączył do kancelarii ojca przed czterema laty, tuż po otrzymaniu adwokackiej licencji, dzięki której zyskał wątpliwy status drugiego mecenasa w miasteczku, w którym pracy ledwo starczało dla jednego.

Ojciec, zapewniający obsługę prawną w Wheelock od czterdziestu lat, zajmował się po trosze wszystkim: testamentami, nieruchomościami, kontraktami biznesowymi, bankructwami, odszkodowaniami, przysłowiowymi „procesami o miedzę”.

Graham kilkakrotnie doprowadził z powodzeniem do ugody z prokuraturą i prowadził kilka postępowań notarialnych. Jednak burzliwe rozwody i szemrane przypadki ojciec zawsze zostawiał dla siebie - twierdził, że to kwestia doświadczenia, w Graham kwitował logiczną uwagą, że nigdy go nie zdobędzie, jeżeli - do cholery - nie dostanie takiej szansy.

Jednym słowem - wręcz się palił do wystąpień w sądzie.

Właśnie przeglądał kolejny pozew o odszkodowanie, gdy usłyszał dzwonek do drzwi.

Cleo - która pełniła funkcję recepcjonistki i zarazem prawnej asystentki - nie było akurat w pracy, więc Graham musiał sam wpuścić ewentualnego klienta.

Zerwał się zza biurka, i to tak gwałtownie, że zahaczyło akta, które się rozsypały po podłodze.

- A niech to szlag! - mruknął i kopnął papiery, dodatkowo potęgując bałagan.

Energicznie przeszedł przez hol kancelarii, szarpnął za klamkę i stanął oko w oko z komendantem miejscowej policji.

- Gdzie twój ojciec? - spytał Cam bez zbędnych ceregieli. - Muszę z nim pilnie porozmawiać.

Graham przypatrywał się pilnie stróżowi prawa, obracającemu w palcach regulaminowy kapelus, jakby sprawdzał obszycie ronda.

- Jest w sądzie. Może ja mógłbym pomóc? - odparł, prostując się na całą swoją wysokość.

Cam zerknął spod oka na Grahama. Dobrze wiedział, że młody prawnik trzęsie gaciami ze strachu na jego widok.

Kiedy Graham miał osiemnaście lat, Cameron zdybał go na miejscu pewnej budowy, gdzie wraz z grupą młodocianych przyjaciół opijał się piwem i sikał na świeżo wylane schody. Zgarnął go wówczas, pobrał odciski palców, odczytał prawa i zatrzymał w celi na całą noc, by wlać mu nieco oleju do głowy, ale nigdy nie wciągnął aresztowania do akt.

Graham odchrząknął niepewnie.

- Czy mógłbym coś dla pana zrobić, komendancie?

Cam skinął głową, a potem obrzucił chłopaka uważnym spojrzeniem, jakby chciał oszacować jego sprawność i wytrzymałość.

- Chodźmy do twojego gabinetu - zarządził.

Graham natychmiast przypomniał sobie o rozspanych dokumentach, walkmanie i magazynie wędkarskim rozłożonym na samym środku biurka.

- Lepsza będzie sala konferencyjna - zdecydował pospiesznie, kierując Camerona ku drzwiom po lewej stronie holu.

Cam zlekceważył oferowane krzesło.

- Zapewne słyszałeś o zabójstwie popełnionym przez jednego z MacDonaldów - powiedział i gestem nakazał Grahamowi, żeby usiadł.

Prawnik posłusznie wykonał polecenie, a potem przyglądał się Cameronowi okrążającemu dębowy stół. Gdy przyjdzie co do czego, z tą imponującą posturą i autorytatywnym głosem, komendant MacDonald wywrze piorunujące wrażenie na przysięgłych.

- Dotarło do mnie to i owo - odpowiedział Graham.

Cam trzasnął kapeluszem o błyszczący blat stołu.

- Potrzebuję adwokata dla tego faceta.

Graham zmarszczył brwi.

- On chce skorzystać z usług naszej kancelarii?

Cam pokręcił głową.

- Nie. To ja chcę wynająć ciebie do jego obrony. Pokryję wszystkie koszty. Ty natomiast nigdy nikomu nie wyjawisz, kto opłacił twoje honorarium. Absolutnie nikomu - ani własnemu ojcu, ani sędziemu, ani mojej żonie. I tak poprowadzisz sprawę, by przysięgli ujrzeli w Jamesie MacDonaldzie drugą Matkę Teresę. - Wziął głęboki oddech, a kiedy podniósł wzrok, Graham niemal uwierzył, że w oczach komendanta czai się strach. - Po prostu zdejmij go z haka - dorzucił miękko Cameron.

- A co pan będzie robił?

Cam chwycił kapelusz.

- Oskarżę go o morderstwo, a potem na każdym kroku będę zaciekle z tobą walczył.

Po spotkaniu z Grahamem MacPhee Cam pojechał do domu i odkrył, że drzwi nie są zamknięte na klucz.

Wiedział, że Allie jest w pracy, dosłownie przed chwilą rozmawiał z nią przez telefon. A więc to zapewne włamanie. Wyciągnął pistolet z kabury i cicho wśliznął się do holu. Obrócił się w prawo, w lewo, po czym jeszcze raz w prawo - dokładnie tak, jak był uczony na szkoleniach.



W głowie zaczęły mu się lęgnąć absurdalne, mrozące krew w żyłach scenariusze: James MacDonald należał do siatki handlarzy narkotyków, morderstwo żony było przykrywką dla o wiele gorszych zbrodni, ktoś buszował teraz w sypialni na górze, by ukraść spinki Cama, a może oberwać kilka guzików z jego munduru czy zebrać włókna z wykładziny, by następnie zrobić go w jakieś przestępstwo. Dokładne przeszukanie parteru nie wykazało obecności intruza. Cameron zakradł się na piętro i raptownie otworzył drzwi sypialni w przekonaniu, że natknie się na jakichś zbirów wybebeszających szuflady. Bez namysłu skierował broń w stronę postaci siedzącej na skraju łóżka.

- Policja! - wrzasnął, nie zważając na suchość i pulsowanie w gardle.

Mia Townsend zbladła na widok broni.

- Jezu Chryste! Cameron zabezpieczył pistolet i wepchnął go do kabury.

- Kurwa! - zmiął przekleństwo pod nosem. Drżąc na całym ciele, w dwóch susach pokonał szerokość pokoju.

- Mogłem cię zabić. Zabić! - Chwycił Mię za ramiona i mocno potrząsnął. - Co tu robisz, do diabła?

- Przyszłam po kota - odparła, szcękając zębami, po czym się rozplakała.

Jeszcze nikt nigdy nie mierzył do niej z broni, nie spodziewała się, że Cameron wpadnie tu w środku dnia, zastał ją myszkującą w sypialni, do której nigdy nie powinna wchodzić.

Palce Cama zacisnęły się mocniej na jej ramionach, gdy zaczął przyciągać ją do siebie. A potem pogłaskał jej plecy - kruche, delikatne w rysunku.

- Nic minie jest -zapewniła dziewczyna, odpychając się delikatnie rękami od Cama.

Cofnął się. Mia przysiadła na skraju łóżka.

- Gdzie Allie? - zapytał.

- W kwaciarni. Pracuje nad bonzai. Dzisiaj ją tego nauczyłam. - Mia wsłuchiwała się we własny głos - łamiący się, napięty - i zastanawiała jednocześnie, czemu nie jest w stanie wyartykułować ani jednego złożonego zdania.

- Bonzai? Tym właśnie się zajmujesz? Naginaniem drzew do swojej woli?

Mia uśmiechnęła się uśmiechnąć.

- Można to tak nazwać.

Cam usiadł u jej boku.

- Nasza znajomość nie zaczęła się najfortunniej.

Mia skinęła głową, poczym się nachyliła, podniosła z ziemi rozsypane zdjęcia i włożyła je do pasiastego pudełka w kształcie serca, które Allie wynalazła na jakiejś wyprzedaży.

- A co to? - zapytał Cam.

Mia poczuła gorąco pełnące spod jej piersi w górę, wykwitające czerwinią na kościach policzkowych. Jakże mogła być tak głupia. Tak nieprawdopodobnie głupia. Jeszcze nigdy w życiu się nie dopuściła podobnego występu - nigdy przedtem nie pogwałciła cudzej prywatności. Wręcz przeciwnie. Od wczesnego dzieciństwa wtapiała się w tło i trzymała na uboczu, ponieważ największą przyjemność sprawiała rodzicom wtedy, gdy schodziła im z drogi.

Mia podniosła dyskreję do wyżyn sztuki - z wiekiem zresztą nie tylko w sensie metaforycznym, ponieważ powściągliwość i idealne zharmonizowanie z tłem było miarą mistrzostwa w bonzai. Przez całe życie z rozmysłem ustawiała się w roli outsiderki i tak pozostało by do dzisiaj, gdyby wczorajsze dramatyczne wydarzenia nie przywiodły jej do samego centrum świata, należącego do Allie MacDonald.

Co dziwniejsze, jej zainteresowanie MacDonaldami błyskawicznie przeradzało się w obsesję. Zaparkowała samochód u wylotu ulicy, żeby nie zaalarmować sąsiadów widokiem obcego auta na podjeździe, a potem wśliznęła się do domu wiedziona potrzebą wypełnienia białych plam w szkicowym życiorysie MacDonaldów, który Allie kreśliła przed nią przez cały ranek. Nim minęła dziesiąta, Mia dowiedziała się, jak doszło do spotkania Cama i Allie, poznała imiona wszystkich psów Cama od czasów jego wczesnego dzieciństwa, usłyszała też, że Cam i Allie tradycyjnie obchodzili walentynki miesiąc wcześniej - ponieważ już na kilka tygodni przed świętem zakochanych każda florystka była zavalona pracą.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat Mia otrzymała szansę zbliżenia się do jakichś ludzi i dlatego poczuła potrzebę całkowitego zanurzenia się w ich życiu.

A przynajmniej tak sobie tłumaczyła swoją nagłą obsesję. Nie zauważyła przy tym, że o wiele więcej czasu poświęca na przeglądanie rzeczy Cama niż rzeczy Allie.

Że przez pełne pięć minut wodziła palcem po monogramie wyszytym na jego białej, wyprasowanej na listek koszuli.

Nie zdawała sobie sprawy, że wędrując od pokoju do pokoju, podświadomie dąży ku określonym miejscom - wiekowemu fotelowi czy krześle przy biurku, na których w jej wyobraźni często siadywał Cameron.

Mia rzeczywiście przyjechała po Kafkę, ale tak naprawdę o wiele silniej przyciągnęła ją do tego domu szansa na bezkarne podpatrzenie cudzej prywatności.

Przejrzała uważnie wszystkie książki leżące na nocnej szafce: Allie była miłośniczką romansów, Cam - ku wielkiemu zdumieniu Mii - poezji. Niczym w bajce o Złotowłosej posiedziała na każdej z sześciu poduszek salonowych sof.

A w łazience trysnęła nawet na rękę pianką do golenia Cama, bo chciała sprawdzić, czy to przypadkiem nie ten zapach prześladowuje ją przez cały ranek. I co najbardziej niesamowite - ona, Mia, tak wyczulona na dźwięki, że wyłapywała szmer muszyczych skrzydeł, ocierających się o okiennicę, czy ślizg księżycy po nocnym niebie - była tak pochłonięta oględzinami sypialni, że dała się zaskoczyć na wścibianiu nosa w nie swoje sprawy.

Cam wyjął z jej rąk kilka fotografii.

Mia nie miała odwagi na niego spojrzeć.

- Przylapałeś mnie na gorącym uczynku - powiedziała cicho. - Myszkowałam po waszym domu.

Ku jej wielkiemu zdumieniu Cam wybuchnął śmiechem.

- No i co zdołałaś odkryć?

Uniosła śmiało głowę, dochodząc do wniosku, że jeżeli teraz się nie zdobędzie na odwagę, to już nigdy tego nie zrobi.

- Nosisz bokserki, nie slipy, w dzieciństwie miałeś więcej blond włosów niż rudych, oddajesz mundury do pralni w Hancock.

- A czego się dowiedziałaś o Allie?

Mia zaczęła nerwowo skubać kapę łóżka.

- Jeszcze nie zdążyłam przejrzeć jej rzeczy. - Uśmiechnęła się ukradkiem. - Za to znalazłam twoje sekretne zbiory. Mam na myśli czasopisma podróżnicze w skrzyni na narzędzia.

Cam wziął kolejną porcję zdjęć z ręki Mii. Nie przeszkadzało mu, że odkryła czasopisma - zupełnie odwrotnie niż wczoraj w wypadku Allie. I nawet domyślał się dlaczego:

Allie nie była w stanie go zrozumieć.

Nie pojmowała, na czym polega wolność, ponieważ nie zdawała sobie sprawy, że żyje w klatce.

- Przeczytałam artykuł o Tybecie - wyznała Mia.

Cam skinął głową.

- Byłaś tam kiedyś?

Zaprzeczyła. A potem raz jeszcze się pochyliła i podniosła z podłogi resztę zdjęć. Przerzuciła kilka fotografii.

Allie z dzieciństwa, a potem ślubnych zdjęć Cama - olśniewająco przystojnego w szkockim, odświętnym stroju.

Zdawała się szukać czegoś określonego i Cameron odruchowo także zaczął przeglądać trzymane w ręku zdjęcia, jakby mógł telepatycznie odgadnąć, o co Mii chodzi.

- Natomiast byłam tutaj - odezwała się niespodziewanie, wyciągając ku niemu fotografię, która przedstawiała okazały kamienny dwór stojący w zielonej dolinie otoczonej górami. Właśnie w tym miejscu.

- Chyba żartujesz!

- To w Szkocji, prawda? Nie opodal Glencoe? - Powiodła dłonią po tartanowym kocu leżącym w stopach łóżka. - Czy stamtąd właśnie wszyscy się wywodzicie?

Cam spjrzał bacznie w pociemniałe oczy Mii. Nie wierzy w podobne zbiegi okoliczności - to brzmiało zbyt nieprawdopodobnie. Czyżby ta obca kobieta próbowała nim manipulować? Wojowniczo skrzyżował ramiona.

- Udowodnij to - zażądał.

Jakiś czas potem zaczął się zastanawiać, czy wydarzenia przybrałyby inny obrót, jeżeli Mia wyrecytowałaby liczbę otoczków składających się na podjazd wiodący do frontowych drzwi dworu, które wielokrotnie sam przeliczył w dzieciństwie, gdy wychodził na dwór znudzony rozmowami dorosłych prowadzonymi przy stole, lub gdyby wiedziała, że pod krzewem różanym, na lewo od bramy, znajduje się kamień znaczący miejsce pochówku starego foksteriera, który najchętniej przesiadywał w owym miejscu.

Tymczasem Mia tylko pokręciła głową i stwierdziła:

- Byłam tam bardzo dawno temu. Wszystko, co pamiętam, mogłam równie dobrze zobaczyć na jakiejś pocztówce. - Wzruszyła nieznacznie ramionami i utkwiła wzrok w szyi Cama, gdzie skóra była tak jasna, że było pod nią widać całą siatkę żył. - Więc będziesz musiał uwierzyć mi na słowo.

W tym momencie Cam doszedł do wniosku, że może właśnie w Carrymuir widział kogoś, kto wyglądał tak jak Mia - może gdy był tam po raz pierwszy, w wieku ośmiu lat, czy po raz drugi, jak skończył osiemnaście.

Niewykluczone, że wówczas Mia stąpała lżejszym krokiem lub miała krótsze włosy.

Teraz był już niemal przekonany, że dawno temu zapadła mu w pamięć ta delikatna sylwetka, burza kręconych włosów. Nagle poczuł, że tylko w jeden sposób może się upewnić w swoim przeświadczeniu: pokonał te kilkanaście dzielących ich centymetrów i zaczął całować Mię.

Idealnie do siebie pasowali. Przez przymrużone powieki zobaczył, że Mia ma wciąż otwarte oczy, a on koniecznie chciał zobaczyć, jak je zamyka. Powiódł językiem po linii jej warg, ucałował kąciki ust. Zatracił zdrowy rozsądek.

Powtarzał sobie, że jeżeli dziewczyna stężeje w jego objęciach, natychmiast się od niej odsunie. Potem zdecydował, że najpierw policzy w duchu do dziesięciu.

Jeden z jej loków oplatał palec Cama, jakby chciał go koniecznie zatrzymać.

Powieki Mii zaczęły powoli opadać, podczas gdy ona sama dawała sobie pytanie, co też najlepszego wyprawia. Krew pulsowała jej szybkim rytmem. Nie dlatego, że ten mężczyzna, obejmował swoimi dużymi dłońmi jej twarz, ale ponieważ już wcześniej wiedziała, że sytuacja do tego zmierza, i teraz oczekiwanie zmieniło się w rzeczywistość.

Cam wtulił twarz w jej szyję. To zupełnie niestylchane.

Kochał podróże, jednak prowadził ustabilizowane życie - był żonaty, miał stałą pracę, własny dom - a mimo to dopiero teraz, po raz pierwszy w życiu, ogarnęło go przeświadczenie, że odnalazł swoje

miejsce na ziemi. Poczul drzenie ust Mii na swoich ustach - drzenie, które rezonowało w całym jego ciele.

Dopiero po chwili sobie uświadomił, że Mia chce mu coś powiedzieć.

- Muszę iść. Muszę już iść.

Przerażony, że Mia wybiegnie przez drzwi i zniknie na zawsze z jego życia, Cam mocno chwycił ją za rękę.

- Odwiozę cię do kwaciarni - zdecydował.

Z trudem rozpoznał własny głos.

- Mam samochód.

- Niech tu zostanie. Allie przywiezie cię po pracy.

Popatrzyli na siebie uważnie, bali się choćby zasugerować, że to, co się wydarzyło przed chwilą, mogłoby się jeszcze kiedyś powtórzyć, lub że któreś z nich chciałoby czy też zdecydowanie nie chciało spędzić kolejnej nocy pod tym samym dachem.

W końcu Mia przystała na propozycję Camerona, ponieważ czuła lęk na myśl, co on mógłby powiedzieć Allie po przyjeździe do kwaciarni, gdyby jej, Mii, nie było przy tej rozmowie.

Kiedy schodzili po schodach, Cam trzymał się o krok za Mią, by wdychać zapach, jaki się za nią ciągnął.

Z każdą chwilą coraz trudniej przychodziło mu uwierzyć, że we własnej sypialni całował się z praktycznie nieznaną kobietą. Narastało w nim poczucie winy. Miał przecież żonę, którą kochał.

Do tego czekało go wystąpienie w sądzie - przedstawienie zarzutu o morderstwo. Nie pojmował, co właściwie strzeliło mu do głowy.

Chodziło o to, że kompletnie zatracił jasność myślenia do czego nie chciał się przyznać nawet przed samym sobą.

Na parterze Mia chwyciła Kafkę na rękę i ruszyła w stronę wyjścia. W drzwiach zatrzymała się na moment.

- Muszę wiedzieć, co jej powiesz. - Chciała rzucić te słowa lekkim, pewnym siebie tonem, ale zawiodła na całej linii.

Cam poczekał, aż Mia wyjdzie za próg, po czym starannie zamknął drzwi na klucz.

- Że uznałem cię za włamywacza i wziąłem na cel. Że śmiertelnie cię przeraziłem.

Mia wsiadła do radiowozu.

- W takim razie ani słowem nie skłamiesz.

Po tym, jak zakończyła drutowanie i zawiozła stroiki dla Verony MacBean do biblioteki, Allie postanowiła odwiedzić w areszcie Jamiego MacDonalda.

Wmawiała sobie w duchu, że w zasadzie nie działa niezgodnie z życzeniami Cama.

A jeżeli ktoś - powiedzmy Hanna - zapyta ją, dlaczego przyszła do człowieka, którego Cam oskarża o morderstwo, odpowie, że ze względu na więzy rodzinne.

Ułożyła dla Jamiego bukiet z suchych kwiatów, które w jej mniemaniu mogłyby mu przynieść ukojenie: róże - symbolizujące miłość, margerytki - żalobę, fiołki - wierność i miniaturowe chryzantemy, zapewniające pogodę ducha w trudnych chwilach. Całości dopełniły zatrwian i ozdobna drzączka. Allie wiedziała, że nikt nie wpuści jej do celi, ale nawet Cam nie mógł mieć nic przeciwko temu, by zatknęła bukiet na zewnątrz krat.

Kiedy radiowóz Cama odjechał spod komisariatu, odczekała piętnaście minut, apotem przeczesła włosy, otrzepała ubranie z zaszuszonych płatków i wyszła na ulicę.

Jedyną osobą obecną na posterunku - naturalnie oprócz więźnia - był Casey MacRae.

Hanna zadzwoniła rano z wiadomością, że leży w łóżku złożona przeziębieniem, natomiast Cameron - jak to ujął Casey - „podziwiał się Bóg wie gdzie”.

- Hej, Allie.

- Podniósł na nią wzrok znad pasjansa, którego układał na kontuarze. - Widzę, że na dziś przypada dzień wizyt MacDonaldów w naszych policyjnych progach.

Allie zdjęła kurtkę i zawiesiła na gałce drzwi prowadzących do biura męża.

- Kto jeszcze się zjawił?

Casey wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Stary Angus.

Przyszedł w środku nocy, w samej piżamie.

Allie wybuchnęła śmiechem.

- Cam był zapewne zachwycony. A tak à propos - czy aby na pewno nasz komendant wciąż jeszcze przebywa w miasteczku? Nie

zdziwiłabym się, gdyby Angus wytarzał go w smole i pierzu, po czym przegnał stąd na cztery wiatry. - Usiadła w obrotowym fotelu na kółkach, który na co dzień zajmowała Hanna, odepchnęła się mocno piętami od ziemi i posunęła po gładkim linoleum.

- Allie, ja naprawdę nie mam pojęcia, kiedy wróci Cam - oznajmił Casey.

Allie zatrzymała fotel w miejscu.

- Ja wcale nie przyszedłam do Cama - wyznała z rozbrajającym uśmiechem. - Chcę porozmawiać z Jamiem.

- Cam mnie zabije!

- Cam nie musi o niczym wiedzieć. - Allie poderwała się z fotela i weszła do izby zatrzymań. - Posiedzimy tutaj. Możesz go skuć i nawet stać obok w charakterze przyzwoitki.

Była pewna, że jest już bliska zwycięstwa. W końcu obiecała Caseyowi darmowy bon wartości siedemdziesięciu dolarów na wysłanie tuzina róż w walentynki do wybranej przez niego kobiety w zamian za piętnaście minut rozmowy z Jamiem MacDonaldem.

Jamie wyglądał marnie. Koszulę miał pogniecioną, bo musiał spędzić w niej noc, linię podbródka znaczył cień rudawego zarostu.

Casey skuł aresztanta starymi kajdankami, a dla wszelkiej pewności trzymał jeszcze swoją mięsistą dłoń na jego ramieniu.

- Panie MacDonald. - Allie poczuła gwałtowną suchość w gardle. Jakimi słowami zwracać się do człowieka, który zabił własną żonę?

- Proszę mówić mi Jamie.

Usiadł naprzeciwko.

- W takim razie ja jestem Allie - odparła i wzięła głęboki oddech. Uśmiechnęła się, otworzyła usta, po czym szybko je zamknęła. W końcu bezradnie potrząsnęła głową. - Chyba nie powinnam pytać, jak się miewasz, prawda?

- Możesz zadawać każde pytanie, jakie przyjdzie ci do głowy. Ja najwyżej nie odpowiem. - Pochylił się, oparł łokciami o uda i ten nie oczekiwany ruch sprawił, że Allie instynktownie się cofnęła. Jamie spojrział na nią ze zdumieniem. - Nie zrobię ci krzywdy.



- Tak. Wiem - wyszeptwała.

Położyła ręce na kolanach i dopiero wtedy sobie uświadomiła, że wciąż trzyma bukiet z suchych kwiatów. Nerwowym ruchem wyciągnęła suszki w stronę Jamiego. Kiedy je brał w skute dłonie, musnął palcami palce Allie. Były ciepłe i delikatne - zdawały się zupełnie niezdolne do przemocy.

- Prezent na nowe miejsce zamieszkania - rzucił Jamie ironicznie, obracając bukiet w rękach.

Allie przygryzła wargę. To spotkanie nie przebiegało zgodnie z założonym planem. Wcześniej roіła sobie, że wkroczy tu niczym druga Florence Nightingale i pozwoli, by Jamie otworzył przed nią duszę. Miałoby to być coś na kształt spowiedzi przed pokutą wyznaczoną przez wymiar sprawiedliwości.

Tymczasem okazało się, że Allie praktycznie nie ma nic do powiedzenia, Jamie zaś nie jest w nastroju do zwierzeń.

Już chciała życzyć mu powodzenia na rozprawie i ulotnić się z tego pokoju, gdy James odezwał się nie oczekiwanie.

- Zdecydowałaś się tu przyjść wbrew jego woli?

Allie zamarła.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- To nie wygląda najlepiej, gdy żona komendanta policji składa wizytę miłosierdzia człowiekowi, którego jej mąż oskarża o popełnienie zabójstwa z premedytacją.

- Nie przyszłam z wizytą miłosierdzia - zaprzeczyła Allie.

Powędrowała wzrokiem ponad głowę Jamiego, ku tablicom ogłoszeń tak strategicznie umieszczonym przez Cama, by spojrzenia pełniących dyżur policjantów padały na federalne listy gończe, grafik zmian czy pilne ogłoszenia.

- Doprawdy? A więc to coś na kształt spotkania towarzyskiego. - Nie spuszczał z niej wzroku. - Co by było, gdyby twój mąż się dowiedział, że tutaj przysłaś?

Allie wzruszyła ramionami, co jednak bardziej przypominało dreszcz przerażenia niż nonszalancki gest. Cameron z pewnością by nie krzyczał ani nie wysuwał żadnych grózb, ale zaciąłby się w sobie, wycofał emocjonalnie. Uznał, że Allie go nie wspiera lub mu nie ufa, a ponieważ nic podobnego się nie zdarzyło wciąż całych pięciu lat małżeństwa, jej zachowanie dotknęłoby Cama do żywego.

- To nie ma nic wspólnego z tobą, Jamie. A ni z tym, co zrobi-  
łeś. - Allie uważnie dobierała słowa. - Ja po prostu nie chciałabym go  
zranić.

Jamie uśmiechnął się szeroko, co tak niesamowicie odmieniło je-  
go twarz, że teraz Allie nie poznałaby go na ulicy, nawet gdyby się z  
nim zderzyła.

- W takim razie ty do nich należysz.

Posłała mu zdezorientowane spojrzenie.

- Do nich.

- Do tych, którzy kochają bardziej.

- Przynurzył się bliżej stołu i kajdanki z brzękiem uderzyły o me-  
talowy rant. - Miłość nie rozkłada się po równo w związku. Nigdy  
nie jest pół na pół. To zawsze siedemdziesiąt do trzydziestu. Lub  
sześćdziesiąt do czterdziestu. Ktoś zakochuje się pierwszy. Ktoś  
stawia drugą osobę na piedestale. Ktoś staje na głowie, by życie to-  
czyło się gładko i przyjemnie, a partner po prostu się załapuje na ten  
wózek.

Allie już miała zaprotestować, lecz zauważyła, że Jamie teraz  
nawet nie patrzy w jej stronę.

- Kiedy ujrzałem Maggie po raz pierwszy, stała po kolana w  
stawie dla kaczek i czyściła dno szczotką na długim trzonku. Myśla-  
łem, że została w tym celu zatrudniona przez jakieś miejskie służby,  
ale potem mi powiedziała, że wykonuje tę pracę raz w miesiącu z  
własnej inicjatywy, ponieważ nikogo innego ten staw nie obchodzi.

Miała na sobie złoty sztormiak, luźne szorty w paski, a w uszach -  
brylantowe kolczyki. To one pierwsze przyciągnęły moją uwagę -  
przechwytywały promienie słońca i mrugały w moją stronę.

Zupełnie surrealistyczny widok: kobieta powalana błotem i gu-  
anem, za to przyozdobiona brylantami. - Potrząsnął głową. - Wyją-  
łem szczotkę z jej dłoni i pomogłem wyjść ze stawu na soczystą tra-  
wę. Mieszkałem dokładnie po przeciwnej stronie parku, przechodzi-  
łem tamtędy co najmniej dziesięć razy dziennie i nagle dotarło do  
mnie, że gdy będę szedł tą drogą następnym razem, a tej kobiety tu  
nie będzie - krajobraz ulegnie bolesnemu zniekształceniu.

Allie zakryła usta dłonią i szybko odwróciła głowę. Stał przed oczami obraz żony Jamiego, leżącej na stole do balsamowania. Usiłowała sobie przypomnieć, czy Maggie miała w uszach kolczyki.

- Jestem taki jak ty - oświadczył Jamie. - To ja zakochałem się pierwszy. To ja zrobiłbym wszystko, żeby nasz związek wyglądał cały czas tak jak na samym początku.

Allie odniosła wrażenie, że napierają na nią ściany tego niewielkiego pomieszczenia. Z trudem się podźwignęła z krzesła.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Siedemdziesiąt do trzydziestu - powtórzył Jamie.

- Ale przecież ją zabiłeś!

Jamie pokręcił głową.

- Ja ją kochałem - powiedział cicho. - Kochałem tak bardzo, że pozwoliłem jej odejść.

Kątem oka spostrzegła, jak otwierają się drzwi posterunku, i ogarnęło ją przerażenie, że stanie w nich Cam - przyłapie ją na gorącym uczynku. Ze ściśniętym gardłem czekała, aż nowo przybyła osoba znajdzie się w centralnym pomieszczeniu komisariatu.

W końcu ujrzała młodego człowieka, którego dobrze знаła z widzenia, jednak nie umiała powiązać jego twarzy z nazwiskiem.

- Nie Cam? - mruknął James.

- Nie. - Allie odetchnęła z ulgą, i niemal natychmiast zrozumiała, że swoją reakcją potwierdziła w pełni słuszność teorii Jamiego.

Casey MacRae wsunął głowę w drzwi.

- Allie, muszę cię prosić, żebyś wyszła. Przyszedł adwokat pana MacDonalda.

Allie przeniosła wzrok na Jamesa.

- Życzę ci powodzenia - powiedziała sztywno.

Jamie chwycił jej zimną rękę w swoje dłonie.

Próbowała sobie wyobrazić, jak te same dłonie zatykają usta i nos Maggie: napierają z całej siły, bezlitośnie i nie mogła.

- Allie - odezwał się Jamie cichym głosem - czy sądzisz, że jestem winny?

Opuścił gardę. Nagle dostrzegła, ile wysiłku go kosztuje utrzymanie się prosto na krześle, ile bólu - samo oddychanie, ile cierpienia - migotliwe wspomnienie powolnego fokstrota wokół kaczego stawu wysrebrzonego księżycem.

- To zależy - odparła z uśmiechem. - Zależy od tego, czego według własnego mniemania miałbyś się dopuścić.

Po pięciu minutach spędzonych w towarzystwie Jamiego MacDonalda Graham MacPhee uświadomił sobie, że jego klient ochoczo by się poddał karze śmierci, gdyby tylko taka opcja była wciąż dostępna w stanie Massachusetts.

Nie zależało mu na pomocy prawnej - a już na pewno ze strony kogoś, kto się plasował jedynie oczko wyżej od obrońcy z urzędu.

Ten facet po prostu chciał zostać skazany i przez resztę życia gnąć w więziennej celi.

- Proszę powtórzyć to raz jeszcze.

- Jamie krążył wokół niewielkiej izby zatrzymań. - Kto pana dla mnie wynajął?

- Przyjaciel. Ktoś, kto pragnie, żeby odzyskał pan wolność.

- Ja nie mam przyjaciół w tym mieście.

Angus i Allie byli tutaj jedynymi życzliwie usposobionymi do niego ludźmi, jednak żadne z nich nie posiadało funduszy, pozwalających na opłacenie honorarium obrońcy sądowego.

Graham powoli tracił cierpliwość. To była jego pierwsza poważna sprawa - do diabła, sprawa, o jakiej marzy każdy adwokat! - a tymczasem jego cholerny klient nie miał najmniejszej ochoty się bronić.

- Proszę posłuchać, to nie ma najmniejszego znaczenia, jaka pieprzona dobra wróżka mnie wynajęła. Uważam, że mogę uratować pański tyłek, i to właśnie zamierzam zrobić.

Jamie znieruchomiał na dłuższą chwilę, a potem - jakby nagle opuściła go cała energia - osunął się na krzesło.

Graham odetchnął.

- Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło.

Przez następnych czterdzieści pięć minut młody adwokat zapełniał notatkami prawniczy blok o żółtych kartkach.

Kiedy wreszcie Jamie zamilkł, Graham przebiegł wzrokiem zapiski, bębniąc postole dwoma ołówkami niczym pałeczkami perkusisty.

W tym czasie Jamie siedział z pochyloną głową i obserwował swojego obrońcę spod przymkniętych powiek.

Graham nie miał do końca świadomości, w co się właściwie pakuje. W sprawach karnych adwokaci z zasady niedowierzali swoim klientom, w tym konkretnym, jakże rzadkim, przypadku zachodziła sytuacja odwrotna.

Niespodziewanie Jamie spojrział wprost w twarz Grahama i to podziało na młodego prawnika niczym kubek lodowatej wody. Zaczął się zastanawiać, jakim trzeba być człowiekiem, żeby popełnić czyn, którego się dopuścił Jamie.

Czy naprawdę zrobił to w imię miłości?

Czy nie kryły się za tym inne motywy?

Równie dobrze James i Maggie mogli się znajdować w środku paskudnej sprawy rozwodowej: wystarczyła jedna sarkastyczna uwaga ze strony żony, a u Jamiego doszło do reakcji krótkiego spięcia.

Możliwe też, że Maggie miała polisę na życie opiewającą na milion dolarów, której beneficjentem wyznaczyła męża.

No i niewykluczone, że James MacDonald był wyjątkowo dobrym aktorem.

Chociaż w to Graham jakoś wątpił.

- Mieszkał pan w Cummington przez szesnaście lat, z czego jedenaście w szczęśliwym związku, a pana żona umierała na przewlekłą, przyprawiającą o katusze, chorobę. W momencie rozpaczy, załamania i słabości pozbawił ją pan życia, ponieważ chciał ukrócić jej cierpienie. - Graham uśmiechnął się niepewnie. - Niewinny ze względu na chwilową niepoczytalność.

Jamie miał dość oleju w głowie, by nie tłumaczyć Grahamowi, że to niezupełnie tak się przedstawiało. Nie był też przekonany, czy w ogóle powinien zaufać tak niedoświadczonemu młokosowi.

Wyczuwając wahanie Jamiego, Graham przysiadł tuż przednim na blacie stołu.

- Spał pan ubiegłej nocy? - spytał.
- Nie.
- Dlaczego?

Jamie spojrział na adwokata - na ten dar od nieznanego dobroczyńcy - jak na człowieka niespełna rozumu.

- Bo kilka godzin wcześniej zabiłem kogoś, kogo kochałem? Dlatego, że tych kilka krytycznych minut mojego życia staje mi przed oczami, ilekroć przymknę powieki? Co pan wybiera? - Odwrócił się, zdegustowany, wściekły na Grahama za to, że był takim nowicjuszem, wściekły na siebie, że ujawnił aż tak wiele.

Przez kilka minut w pokoju panowała głucha cisza.

W końcu Jamie odezwał się ponownie głosem tak cichym, że sam ledwie siebie słyszał. - Ponieważ pierwszy raz od jedenastu lat musiałbym spać bez niej u boku.

Graham uśmiechnął się pod nosem i tylko ostatnim wysiłkiem woli powstrzymał się od odtańczenia triumfalnego tańca.

- I właśnie dlatego wygramy tę sprawę!

Jamie z wolna pokręcił głową.

- Mają ciało, podpisane zeznanie, odciski palców, zadrapania na mojej twarzy.

- Fakt - zgodził się Graham MacPhee - ale ja mam pana!

Martha Sully, jedna z sędziów sądu dystryktowego w Wheelock, zazwyczaj wyznaczała kaucję w wysokości proponowanej przez Cama.

Teraz siedziała na podwyższeniu za sędziowskim stołem i studiowała raport o zatrzymaniu.

Od razu zauważyła, że zarzuty zostały postawione na podstawie „pozyskanych informacji lub uzasadnionych podejrzeń”.

Wcześniej usłyszała od Jamesa MacDonalda, że się nie przyznaje do zarzucanych czynów.

- No cóż - zerknęła znad dokumentów na Cama. - Widzę, że wiele się działo po drugiej stronie miasta.

Cam uśmiechnął się szeroko.

- Można tak powiedzieć.

Lubił Marthę Sully, mimo że była sassena, lubił ton jej głosu i angielską, arystokratyczną wymowę. Słuchając jej, można było niekiedy odnieść wrażenie, że pod stołem trzyma dzbanek z herbatą i kanapki z ogórkiem.

Cam uważał ją za bezstronną, sprawiedliwą sędzię.

Na jej gniew naraził się tylko raz, gdy w lokalnej kawiarni Angus dostał ataku szału i zaczął wykrzykiwać sędzi Sully prosto w twarz, że już najwyższy czas zrzucić tych przeklętych Windsorów z tronu Stuartów.

Martha prowadziła rozprawy w dość swobodny sposób, przynajmniej na początkowym etapie postępowania. Skinęła głową w stronę Cama, dając mu do zrozumienia, że może zaczynać.

- Wysoki sędzie - zagaił po raz tysięczny w życiu - na podstawie materiału dowodowego, zebranego na miejscu przestępstwa, a także dobrowolnie złożonego oświadczenia Jamesa MacDonalda, został on zatrzymany pod zarzutem popełnienia zabójstwa pierwszego stopnia.

Ponieważ w grę wchodzi przestępstwo zagrożone wysoką karą, uważamy, że kaucja powinna wynosić nie mniej niż pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Kiedy padła ta kwota, James spojrział kuzynowi prosto w twarz. Cam nie umiał jednak zdecydować, czy tym, co dojrzał w oczach Jamiego, było rozczarowanie czy respekt.

- Wysoki sędzie - zza stołu poderwał się Graham - mój klient jest wzorowym członkiem swojej społeczności. Nigdy nie został ukarany choćby mandatem, należy do Stowarzyszenia Biznesmenów i przez trzy olejne kadencje był wybierany do Rady Miasta.

Ponieważ nie stanowi żadnego zagrożenia dla obywateli Wheelock, uważamy, że powinien zostać zwolniony bez konieczności wnoszenia kaucji. Z pewnością wystarczy zakaz opuszczania miasta do czasu rozpoczęcia procesu.

Martha zaczęła pocierać skronie i ponownie przebiegać wzrokiem leżące przed nią papiery.

Oczywiście, już wczoraj się dowiedziała o sensacyjnych wydarzeniach w Wheelock.

I nie miała wątpliwości, że dziś sprawa stanie na jej wokandzie. Była świadoma tego, jakie wrażenie Cam chce wyrzeźnić na widowni, a także czego zdecydowanie sobie nie życzy: z pewnością nie cieszyłby go widok jakiegoś MacDonalda za kratami pomimo zgłoszenia tak szokująco wysokiej kaucji.

- Oto warunki zwolnienia. Do czasu rozpoczęcia procesu karnego pan James MacDonald ma obowiązek przebywać w granicach Wheelock i codziennie, z wyjątkiem niedziel, meldować się w biurze komendanta MacDonalda przed dwunastą w południe. - Zerknęła sponad wąskich okularów na niewielką, stojącą przed nią grupę. - Wysokość kaucji ustalę na pięć dolarów.

Cam nie opuścił od razu sali rozpraw. Usiadł za stołem prokuratora, wyciągnął nogi na całą długość i wbił wzrok w amerykańskie godło. Mrużąc oczy, odczytał widniejące na nim motto.

Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, była rola dozorca Jamiego MacDonalda.

Niech diabli porwą Marthę Sully!

Wreszcie podniósł się z ciężkim westchnieniem. Czas stąd iść.

W komisariacie czekało na niego sporo papierkowej roboty, której nie skończył w zamieszaniu ostatnich dwóch dni. Musiał również pomówić z Allie. Jeszcze się z nią nie widział tego popołudnia.

Kiedy odwiózł Mię do kwaciarni, żony tam nie było - zostawiła jedynie enigmatyczną notkę, że niedługo wróci.

U stóp schodów ujrzał Jamiego.

Stał obok biura kaucyjnego i prowadził z kimś rozmowę.

Cam miał najszczerzą ochotę bez słowa wyjść z gmachu, ale to byłoby nierozsądne.

Odetchnął głęboko i ruszył w stronę kuzyna.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów? - odezwał się na jego widok Jamie.

Cam chciał odpowiedzieć, ale w tej samej chwili zobaczył kto stoi obok Jamesa. Allie chowała portmonetkę do torebki zapewne właśnie uiściła śmiesznie niską kaucję za Jamiego tym samym czyniąc z niego wolnego człowieka.



- Doprawdy, Cam - napomniała męża z uśmiechem.

Jej trójkątna twarz była zarumieniona od chłodu. Włosy opadały jej na ramiona, gdzieś wciśnięte pod kołnierz.

Nie minie godzina, a już wszyscy w Wheelock będą wiedzieć, że komendant wniósł o pięćdziesiąt tysięcy kaucji, która ostatecznie została ustalona na pięć dolarów, i że opłatę wniosła jego żona. Ciekawe, jak dużo byłaby gotowa wyłożyć, pomyślał Cam. Sto dolarów? Pięćset? Pięć tysięcy?

Wsunęła mu rękę pod ramię i pod jej dotykiem gniew, zaczął go opuszczać.

- Jamie się zatrzyma u Angusa - oznajmiła Allie takim tonem, jakby wyznaczała porządek usadzenia gości przy stole.

Posłała Jamesowi uśmiech na do widzenia i skierowała Cama ku drzwiom. Przyjechali do sądu oddzielnie, więc przystanęli pośrodku parkingu - w połowie drogi do swoich samochodów.

Z powodu chłodu oboje wciskali ręce do kieszeni kurtek, co sprawiało, że wyglądali jak wojownicy przed walką.

- Allie, chcę wiedzieć, po co przyszłaś dzisiaj do sądu.

Patrzyła na niego tak, jak gdyby wyczarował dla niej nowy wszechświat. Camowi natychmiast stanęła przed oczami, Mia i zaparło mu dech w piersiach.

- Ależ Cam - głos żony był czysty, szczery, kojący - przyszedłem tu wyłącznie dla ciebie.

## 5.

W siódmej klasie, na lekcji języków klasycznych, Mia usłyszała, że jej imię się wywodzi od łacińskiego słowa oznaczającego „moje”. Nauczyciel zażartował wtedy, że nikt z grupy niema bardziej „egoistycznego” imienia.

Mia uśmiechnęła się blado, a jednocześnie próbowała dociec, co kierowało jej rodzicami. Czyja dokładnie była? Ojca? Matki?

Chociaż tak bardzo się kochali, nie nazwali swojego dziecka „nasze”, jakby chcieli ją zmusić, by sama wybrała rodzica, do którego należy.

Resztę dnia spędziła na wagarach. Wróciła do domu i usiadła w różnym ogrodzie, którym jej matka przestała się zajmować przed kilkoma laty, gdy uznała, że weekendowa pielęgnacja roślin odrywa ją na zbyt wiele godzin od Eda Townsenda. Mia się zaopiekowała ogrodem, wyczarowała tam fantastyczne obrazy, zrodzone w jej wyobraźni.

Budowała drucziane szkielety, owijała wokół nich kolczaste gałęzie, po czym odpowiednio je przycinała, przekształcając krzewy w smoki, centaury, wielkobrzuche okręty. Naginała rośliny do swojej woli.

Rodzice uznali, że jest wyjątkowo utalentowaną małą ogrodniczką. Zawiesili nie opodal ganku hamak dla dwojga, by obserwować córkę podczas pracy. Tamtego dnia jednak nie było ich w ogrodzie. Mia nie poszła też od razu do szopy z narzędziami.

Usiadła na chłodnej, górnej trawie i rozszczępiła paznokciem jakiś liść na cienkie paseczki.

Rozmyślała nad sensem swojego imienia. I doszła do wniosku, że już od momentu jej narodzin rodzice chcieli, żeby egzystowała poza

magicznym związkiem, który ich łączył.

Była samowystarczalna.

Niezależna.

Mia. Moja. Owego dnia zrozumiała - choć na swój sposób wiedziała o tym od zawsze - że może przynależeć jedynie do siebie samej.

Cam usiadł pośrodku ciemnej ławki i wbił wzrok w postać Chrystusa - drewnianą, gładką rzeźbę o woskowej fakturze, wiszącą w miejscowym kościele.

Kiedy był mały, żeby nie zasnąć podczas niedzielnej mszy, wpatrywał się w nią szeroko rozwartymi, nieruchomymi oczami, aż zachodziły łzami, które sprawiały, że malowana krew na dłoniach i stopach Jezusa rozptyływała się jak prawdziwa.

MacDonaldowie od zawsze byli katolikami. I to właśnie z tej przyczyny niektórzy wodzowie klanu zdecydowali się poprzeć awanturniczą próbę restauracji Stuartów na brytyjskim tronie. Obecnie większość ludności zamieszkującej Szkocję wyznawała prezbiterianizm, jednak MacDonaldowie z Carrymuir, którzy przynieśli swoją wiarę do Massachusetts pod koniec lat 40. XVIII wieku, pozostali jej wierni do obecnych czasów.

Cam nie należał do ludzi szczególnie religijnych, ale wiara dawała mu poczucie istnienia siły wyższej, do której można się odwołać w trudnych chwilach.

Dzisiaj przyszedł do kościoła z kilku powodów. Chciał zapalić świeczkę za duszę Maggie i pomodlić się w intencji Jamiego MacDonalda.

Musiał też z kimś porozmawiać o swoim nierozważnym postępku, najchętniej na spowiednika wybrałby Mię Townsend, ale wiedział, że to absolutnie wykluczone.

Gdy czekał na ojca Gillivraya, jak na złość nieustannie przypominał mu się własny ślub.

Allie była uroczą panną młodą - drobną i elegancką w białej satynie, ściśle opinającej jej piersi i biodra.

Patrząc, jak idzie nawą, Cam myślał jedynie: Ależ ona lekka i krucha. Zdawało się, że Allie płynie kilka centymetrów nad ziemią i kiedy jej ręka znalazła się na dłoni Cama, chwycił ją z całej siły,

żeby przypadkiem oblubienica nie uleciała w dal.

Allie wyglądała pięknie, jednak wszystkie oczy były skierowane na Camerona.

Ostatecznie nieczęsto się zdarzało, by wódz klanu się żenił. Poza tym urodą i przepychem stroju także przyćmiewał pannę młodą. Miał na sobie ojcowski strój galowy: czarny, aksamitny żakiet zapinany na srebrne guziki, kilt w ostrych barwach MacDonaldów i białą, lnianą koszulę z niezwykle sutym, koronkowym żabotem i takim samym obszyciem mankietów.

Kiedy po weselu nowożeńcy znaleźli się w najokazalszym apartamencie hotelu Wheelock Inn, Allie stwierdziła ze śmiechem, że Cam ma do rozpięcia o wiele więcej klamerek i guzików niż ona.

Cameron zsunął się z ławki i uklęknął w nadziei, że twarde drewno wpijające się w kolana zmusi go do skupienia.

Nawet tu, w przybytku Boga, Cameron nie mógł wygnać z myśli Mii Townsend: lekko skośnych oczu, delikatnej spirali ucha, wygięcia pełnych warg.

Podobnie jak Allie, Mia była sercem i duszą po stronie Jamiego MacDonalda, ale jej Cameron nie miał tego za złe.

Sklonił głowę. Dotknął czołem oparcia stojącej przed nim ławki. Nie wiedział, z czego tak naprawdę chciałby się wypowiedzieć. Czy pocałowanie kobiety, która nie była jego żoną, zalicza się już do cudzołóstwa?

Czy cudzołóstwem można nazwać fakt, że nieustannie o niej myślał? Że wystarczyło, by przymknął powieki, a od razu słyszał jej głos?

To nie w porządku, by za grzech uważać dopiero cielesną zdradę. Całowanie Mii zdawało się Cameronowi mniej karygodne niż nieustanne kierowanie ku niej myśli - pielęgnowanie jej obrazu, jakby była cudowną scenérią górską przesuwaną się za oknem pociągu: po jakimś czasie przestaje się na nią patrzeć, a jednocześnie ciągle ma się świadomość, że ona tam jest - pozornie na wyciągnięcie ręki.

Przez ten czas, gdy Cam trzymał Mię w ramionach - siedząc na łóżku, które dzielił z Allie, nakapie, którą Allie uszyła własnoręcznie

podczas pewnego letniego kursu rzemiosła artystycznego, w pokoju, który Allie sama umeblowała i wytapetowała - ani razu nie pomyślał o swojej żonie.

Dostrzegł zaokrągloną, obleczoną w czerń sylwetkę ojca Gillivraya. Właśnie wyłonił się z przedsionka i kierował w stronę konfesjonałów, usytuowanych z tyłu kościoła.

Cam dał kapłanowi minutę na usadowienie, po czym wstał, odsunął kotarę i usiadł na rozkładanym krzeselku.

- Pobłogosław mnie, ojcze - zaczął - bo zgrzeszyłem. Od mojej ostatniej spowiedzi upłynęły cztery miesiące.

Przez drewnianą kratownicę widział profil ojca Gillivraya. Odruchowo przycisnął wielką dłoń do przepierzenia, jakby odcięcie się od obrazu księdza zapewniało mu większą anonimowość.

- Wiele myśli poświęcam pewnej kobiecie - wyznał. - Nie mogę się uwolnić od jej obrazu. Widzę siebie u jej boku. A nie jest moją żoną. Poza tym ją całowałem. Całowałem kobietę, która nie jest moją ślubną małżonką.

I w każdej chwili zrobiłbym to raz jeszcze, dorzucił w duchu.

- Zastanów się głęboko nad swoimi uczynkami - napomniął ojciec Gillivray. - Zważ je starannie w duszy.

Poczym zadał pokutę.

Cam przyklęknął i zaczął odmawiać różaniec. W gruncie rzeczy był hipokrytą, ponieważ często łamał nauki Kościoła. Zachęcał Allie do używania środków antykoncepcyjnych i nie zjawiał się na mszy każdej niedzieli.

Spojrzał w górę na twarz Matki Boskiej, ale zobaczył przed oczami rysy Mii. Zrozumiał, że jest skazany na potępienie.

Przez dwuskrzydłowe, ciężkie drzwi wypadł na blednące światło dnia.

Był spocony jak po forsownym biegu. Nie zmówił do końca pokutnego różańca. Zupełnie stracił nad sobą kontrolę. Ruszył w stronę posterunku, gdzie zostawił samochód. Czuł, jak wiatr owija mu się wokół szyi.

I dopiero kiedy jechał w stronę domu, zdał sobie sprawę, że nie zapalił świeczki za duszę Maggie MacDonald i nie zmówił ani jednej modlitwy w intencji Jamiego MacDonalda.

W Techcellence dla Jamiego pracowało dziesięciu ludzi, z których każdy był po części maniakiem komputerowym, filozofem i geniuszem. Dwóch z nich - Flanders i Rod - towarzyszyło Jamesowi od ponad dziesięciu lat, od chwili narodzin firmy.

Podobnie jak on, obsesyjnie dążyli do nieustannego przesuwania granic w swojej dziedzinie.

I tak jak Jamie spędzali większość wolnego czasu w pracowni - oddając się burzy mózgow, a nieraz trywialnym pogawędkom.

Jesienią 1992 roku wygrali przetarg na pierwszy ze swoich wielkich kontraktów.

Podczas gdy Jamie zabawiał się potężnym komputerem do generowania grafiki, Rod wyskoczył po skrzynkę piwa. Szybko wysuszyli połowę butelek, wznosząc toasty za sukces i własną niekwestionowaną błyskotliwość.

- Hej, rzuć mi HMD - zarządził Rod z błyskiem w oku.

Włożył hełm na głowę, włączył parę komputerów i załadował program, który właśnie opracowali dla pewnej firmy architektonicznej z Nowej Szkocji wirtualną wędrówkę po szpitalu, który jeszcze nie został wybudowany.

- Czy kiedykolwiek wchodziliście w VR, kiedy byliście nawaleni?

Jamie zerknął na Roda przez ramię.

- Jeśli spieprzysz coś w tym programie, to cię zabiję. Dopracowanie szczegółów zabrało mi kilka ładnych miesięcy.

Flanders też włożył HMD i do tego rękawicę sensoryczną. Jamie tymczasem obserwował na monitorze swoich dwóch kolegów wkraczających do szpitalnego holu przykrytego szklaną kopułą.

Rod spojrzął na imponujące sklepienie i gwizdnął z wrażenia.

- Nieźle - ocenił. - Ale jak zdołają stąd zeskrobać ptasie gówna?

- Wirtualne guano - cmoknął z podziwu Flanders. - Jamie pomyślał o każdym detalu. Gotowy? - Rod się odwrócił w prawo, by skaner w jego Firmie wyłąpał Flandersa.

Flanders skinął głową.

- No to czadu - zarządził Rod i puścił się szaleńczym biegiem przez główny hol szpitala

Flanders deptał mu po piętach - jego nogi przebierały szybko po bieżniku platformy podłączonej do komputera.

Jamie pociągnął łyk piwa i uśmiechnął się pod nosem na widok wariactw przyjaciół, którzy buszowali po cudzym wirtualnym świecie: urządzili wyścig inwalidzkich wózków i skakali w górę, by dotknąć ostro bijących jarzeniówek.

Flanders przykucnął na platformie, jakby pchał niewidzialny ciężar, co pozwoliło mu przelecieć przez biurko dyżurnej sekretarki, stojące w wygenerowanym komputerowo świecie.

- Hej! Zabawmy się w czubków!

Rzucił wirtualnym flamastrem w kolegę.

Rod wyciągnął dłoń w rękawicy i zacisnął palce na wyimaginowanym pisaku.

- Zbyt ciężki - zawyrokował. - Jamie, musisz finazyjniej dopracować korelację dotykową.

Flanders zaczął bazgrać po dziewiczo białych ścianach.

- Chryste, jestem w tym genialny. Powiniennem poświęcić życie destrukcji.

- Graffiti? - parsknął kpiąco Rod. - Graffiti jest dobre dla dzieciaków. - Przeszedł dosali operacyjnej i zrzucił na podłogę tacę z narzędziami.

- A niech to szlag! - wykrzyknął Jamie - Wynoście się stamtąd. I to już!

Niechętnie, z ociąganiem, obaj mężczyźni ściągnęli hełmy i rękawice.

- O co tyle krzyku - nadąsał się Rod. - Zresetujesz system i wszystko będzie równie sterylne, jak przed naszym wejściem.

Flanders odsunął się od terminalu.

- Skąd wiesz? - zapytał.

- Skoro cyberprzestrzeń jest tak realna, że każde przeżyte w niej doświadczenie odbierasz wszystkimi zmysłami, jak możesz twierdzić, że to się nie działo naprawdę?

- Jezu - jęknął Rod. - Trzy piwa i ma się za Arystotelesa.

- Nie. Mówię poważnie. Jeżeli jestem przekonany, że biegałem

po tym szpitalu i zostawiłem na ścianie graffiti, kto może dowieść, że tego nie zrobiłem?

- Kiedy zbudują ten szpital - Rod ziewnął szeroko - twojego graffiti z pewnością tam nie będzie.

- Trafisz w punkt - zgodził się Jamie. - Żeby jakieś zdarzenie uznać za rzeczywiste, musi ono wyrzucić trwałe, zauważalny wpływ na zewnętrzny świat.

Jeżeli stworzysz cyberprzestrzeń, w której obrabujesz bank, nie będzie miało znaczenia, co z tego zachowasz we wspomnieniach, ponieważ nie przysporzy ci to żywej gotówki. Nikogo też w istocie nie skrzywdzisz.

Rod rozparł się wygodniej w fotelu.

- W porządku. Ale co, jeśli w wirtualnym świecie dopuścisz się postępu, który i w realu nie pozostawia po sobie śladów widocznych dla postronnego obserwatora? Wówczas liczy się jedynie pamięć dokonania czynu. - Uśmiechnął się łobuzersko. - A jeżeli do tego masz współnika - kogoś, kto razem z tobą jest podczepiony do systemu? Wówczas już dwie osoby noszą pamięć określonych wydarzeń. Czyż to nie dowód ich zaistnienia?

- A znasz taki czyn, który nie pozostawia żadnych widomych znaków? - Jamie uniósł pytająco brwi.

Rod nie przestawał się uśmiechać.

- Cudzołóstwo. Dobry, stary, cyberseks. Ona jest na jednym końcu terminalu, ty na drugim. Do diabła, przy odpowiednio czułym skafandrze można nawet przeżyć odlotowy orgazm. Ona będzie miała te same doświadczenia. Jak udowodnisz, że to się nie wydarzyło naprawdę?

- Nie dojdzie do wymiany płynów ustrojowych - wtrącił rzeczowo Flanders.

- Ale tak czy owak sam seksualny akt nie wywiera trwałego, zauważalnego wpływu na zewnętrzny świat. Dowód jego zaistnienia jest jedynie przechowywany w pamięci dwojga ludzi - czy uprawiającego w łóżku, czy przy komputerze. - Rod zaczął pohukiwać triumfalnie. - No, dalej, Jamie. Spróbuj to logicznie obalić.

Potrząsając głową, James zabrał się do zbierania pustych butelek.



- Jeżeli w lesie zwali się drzewo, a nikt nie jest tego świadkiem.
- Daj spokój. Chcesz mi powiedzieć, że przy superczułym sprzęcie byłbyś w stanie odróżnić prawdziwy seks od wirtualnego?
- Wy, chłopcy, tego nie zrozumiecie.
- W przeciwieństwie do ciebie, starego żonkosia.
- Właśnie. Nic nie byłoby w stanie mnie oszukać - seks z Maggie w realu jest nie do podrobienia w cyberświecie.
- Oświeć nas, Konfucjuszu - wtrącił Flanders.

Jamie nie odpowiedział, tylko z powolną systematycznością zaczął gasić komputery, potem światła.

Dla złączenia z kobietą w wirtualnym świecie wystarczy jedynie dobry program i odrobina komputerowych umiejętności. Nie ma w tym zaangażowania serca, niczego duchowego i nieuchwytnego. James jednak nie umiałby wytłumaczyć komuś, kto nie kochał równie silnie i głęboko jak on, że seks z Maggie przenosił go do świata, którego sam nigdy nie byłby w stanie wykreować.

Mia wynajęła lokum w Wheelock Inn po promocyjnej cenie dla długoterminowych gości.

Był to najmniejszy pokój w tym niewielkim piętrowym hotelu, położony w zachodnim skrzydle, sąsiadujący z pomieszczeniem gospodarczym. Ale miał własną łazienkę, a w niej wannę na lwich nóżkach, otoczoną plastikową zasłoną dla amatorów prysznica. Miał też małą kuchnię. Na łóżku leżał kraciasty koc, podobny do tego, jakim Mia się przykrywała w domu Camerona, a na małej komódce stał lekko wyszczerbiony, niebieski dzbanek wraz z porcelanową miską.

Rzuciła płócienną torbę na łóżko, a na chybottliwym stoliku delikatnie położyła plecak.

Kiedy go otworzyła, ze środka wyskoczył Kafka - szczęśliwy, że znów odzyskał wolność.

Jeżeli Mia będzie często i ostrożnie opróżniała kuwetę, zasuszony recepcjonista z dołu nigdy się nie zorientuje, że jest tu kot.

Następnie wyjęła swoje bonzai i delikatnie odwinęła z warstw ochronnej gazy.

To było to samo drzewko, które pokazała Allie, żeby zdobyć pracę: figowiec o odsłoniętych korzeniach, dwudziestoosmioletni - tak jak Mia. Pracowała nad nim od kilku lat i osiągnęła godne podziwu rezultaty. Drzewo miało się doskonale. Mia przesunęła palcami po jego liściach wielkości dziesięciocentówki.

- Witaj - szepnęła.

Dzięki tej niezwyklej roślinie obca przestrzeń nabrała cech prawdziwego domu.

Mia wynajęła ten pokój, bo nie chciała już spotykać Camerona MacDonalda.

Wiedziała, że to praktycznie niewykonalne w miasteczku liczącym niespełna dwa tysiące mieszkańców, szczególnie w sytuacji, gdy pracowała razem z jego żoną, co jednak jej nie powstrzymało od próby zwiększenia dystansu. Stała przed toaletką i spojrzała w wiekowe lustro. Zobaczyła odbicie swojej twarzy, która zdawała się dziwnie przybrązowiona, zasnutą mgłą, i swoich ust - pełnych, prostych w rysunku. Wargi nie sprawiały już wrażenia obrzękniętych jak wtedy, gdy Cam odwiózł ją do kwaciarni.

Kiedy Mia się zorientowała, że Allie wyszła, zamknęła sklep i stanęła naprzeciwko lustra w łazience, przyciskając palce do ust, jakby chciała zachować na dłużej ich świeżo rozbudzoną wrażliwość na dotyk.

Raz jeszcze rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu, a potem zaczęła otwierać szuflady toaletki.

Nie z tego powodu, że się spodziewała znaleźć coś konkretnego, ale dlatego, że to dość naturalny ludzki odruch tuż po wprowadzeniu do hotelowego pokoju.

W dolnej szufladzie leżała wotywna świeca o intensywnym zapachu brzoskwini, a w szafce nocnej, stojącej po lewej stronie podwójnego łóżka - Biblia Króla Jakuba. Teraz Mia już wiedziała, że Jakuba szkockiego.

Pod Biblią leżał stosik papieru listowego z godłem miasta i logo hotelu w nagłówku, a obok nadgryziony ołówek.

Mia zapaliła świecę, potem wyjęła papier i położyła Biblię na kolanach, by posłużyła za podkładkę.

„Cameronie” - napisała, bo lubiła pełne brzmienie jego imienia - „Myślę o Tobie”.

Stała jej przed oczami jego jasna skóra i rude włosy, z których promienie słońca wydobywały wszystkie barwy jesieni.

Przypomniała sobie, że gdy się przestraszyła na widok broni, przyciągnął ją do siebie i silnie przytulił do szerokiej piersi. Usłyszała wówczas bicie jego tętna - tak mocne, jakby serce chciało się wyrwać na wolność.

Mia ponownie chwyciła za ołówek i przekreśliła słowa, które przed chwilą napisała.

„Cameronie” - zaczęła od nowa - „Myślę tylko o Tobie”. A potem wstała, przytknęła papier do płomienia świecy i patrzyła, jak jej szaleństwo się rozsypuje w spopielaty proch.

Allie zamknęła kwaciarnię wcześniej niż zwykle i pojechała do Angusa.

Jego dom stał na skraju kukurydzianego pola, należącego do Darby Maca - jedyne go farmera w Wheelock, niemal równie wiekowego jak Angus. Przez całe dorosłe życie zwano go Darby Macem, żeby uniknąć dowcipów na temat Starego MacDonalda i jego farmy. Teraz, pod koniec września, kukurydza wyrastała już bardzo wysoko i niemal całkiem przesłaniała dom Angusa.

Allie zerknęła na pole, dojrzała pośród kolb plamę jaskrawego koloru: na wietrze kołysał się duży balon z napisem „Gratulacje!” Na całej długości pierwszego rzędu widniały także baloniki w standardowych rozmiarach - żółte, białe, różowe oraz srebrne w kształcie liter, układających się w napis „Wszystkiego najlepszego”. Angus otworzył drzwi, zanim zdążyła zapukać.

- Ależ odświętnie - zauważyła Allie, zerkając przez ramię.

- Ech, tak. Darby Mac utrzymuje, że to odstrasza ptaki.

Allie ogarnęło rozczarowanie.

Przez jedną ulotną chwilę wyobraziła sobie, że w domu Angusa odbywa się jakaś fiesta.

- Zamierzasz wejść, córuś, czy zostajesz za progiem?

Allie weszła do holu.

- Jamie już gotowy? - spytała.

Wnętrze domu Angusa można by delikatnie nazwać spartańskim. Poza chodnikiem, który Allie uplotła własnoręcznie z kolorowych ścinków, oraz wysokim fotelem, sprowadzonym z Wielkiego Dworu w Carrymuir, nie znajdowało się tu wiele więcej.

Był prosty drewniany stół, ale bez krzeseł - Angus utrzymywał, że nie zamierza celebrować posiłków, skoro jedyną osobą, z którą mógłby prowadzić konwersacje przy stole, jest on sam. Na półce nad kominkiem nie stały żadne ozdoby, a ostentacyjny brak obrazów na ścianach sprawiał, że wyjątkowo się rzucała w oczy stojąca na podęcznym stoliku mała ramka z brązu, a w niej pocztówka przedstawiająca zieloną dolinę, otoczoną pasmem górskim - dolinę, którą Angus zawsze nazywał rodzinnym domem.

- Jamie jest na tyle gotowy, na ile to możliwe - odparł starzec.

Złapał ze stojaka parasol i postukał nim w sufit.

- Chłopcze! - zawołał. - Allie do ciebie!

Jamie cicho zszedł na dół po wąskich schodach, miętosząc w rękę marynarkę - niewątpliwie jedną z Angusowych.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - spytał szorstko.

Allie poczęstowała go uśmiechem.

- Wcześniej czy później musisz wyjść z czterech ścian - zauważyła. - A poza tym. gdzie się podziała słynna duma MacDonaldów, o której tak wiele się nasłuchiłam przez te wszystkie lata?

James wciągnął na siebie bezkształtną, brązową marynarkę. Miała o wiele za krótkie rękawy. Tymczasem Allie odwróciła się do Angusa.

- Jesteś pewien, że nie masz ochoty z nami jechać?

Angus parsknął lekceważąco.

- Na wykład do piekła? - Pokręcił głową. - W moim wieku nie należy kusić losu.

Allie pocałowała go w policzek i poszła do samochodu. Kiedy zapinała pas, dotarło do niej, że James wciąż tkwi na zewnątrz, z ręką na klamce. Odkręciła okno.

- Chyba nie chcemy się spóźnić?

Jamie wbijał wzrok w poruszaną wiatrem balonową tęczę kolorów.

- Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego - powiedział.

Allie przekręciła kluczyk w stacyjce.

- Darby Mac twierdzi, że to skuteczne.

Jamie usiadł na miejscu pasażera, zatrzasnął drzwi i zapatrzył się w dal.

- Wiesz, kiedy wczoraj dotarłem do domu Angusa, na polu był tylko jeden balon. Ten z napisem "Gratulacje!" - Uśmiechnął się ironicznie. - Pomyślałem, że jest dla mnie.

Allie zwolniła, po czym odwróciła się w stronę Jamesa.

- Może tak było w istocie, kto wie?

Odczytanie w sądzie zarzutów przeciwko Jamesowi MacDonaladowi wywołało takie poruszenie w małym, sennym miasteczku, że wszyscy, którzy zamierzali wysłuchać Verony MacBean, czytającej fragmenty swojej książki o naturze piekła, zupełnie o tym zapomnieli. Członkowie Klubu Miłośników Książki przewidzieli jednak taką ewentualność i zapobiegliwie przełożyli imprezę na następny dzień, poprosiwszy uprzednio Allie, żeby przez jeszcze jedną noc przechowała stroiki w chłodni.

Ponieważ zgodziła się to zrobić nieodpłatnie, Verona osobiście wręczyła jej dwa zaproszenia na to literackie wydarzenie.

Treść zaproszeń, drukowanych złotymi literami na czarnych, prostokątnych kartonikach, była następująca: „Urodzona i wychowana w Wheelock, Verona MacBean zaprasza na autorskie omówienie swojej książki, niezwykle wysoko ocenionej przez krytyków, zatytułowanej: Potępienie pod koniec XX wieku - w stronę piekieł i z powrotem”.

Allie, naturalnie, zaoferowała jedno z zaproszeń Camowi, on jednak uprzejmie odmówił.

Nawet gdyby miał czas się wybrać na odczyt, wystarczyłby uśmiech i zostałby wpuszczony do środka: to jeden z rozlicznych przywilejów związanych ze stanowiskiem komendanta policji.

- Niewykluczone, że się tam spotkamy- oznajmił, gdy rano wciągał skarpetki. - Chętnie zobaczę, jak teraz wygląda Verona.

- W takim razie znajdę sobie kogoś innego do towarzystwa. Z pewnością wielu mężczyzn z tego miasteczka chętnie się ze mną wybierze na wykład o piekle.

Cam się roześmiał.

- Zaprosiłaś już Angusa.

Allie wojowniczo podrzuciła głową.

- Kto powiedział, że chodzi o Angusa? Może zabiorę Jamiego.

Po tych słowach Cameron zamilkł i poważnie spojrzał w ciemne oczy żony.

Allie była pewna, że mąż zaraz wpadnie w gniew lub bez ogródek zgłosi sprzeciw, tymczasem on tylko skinął potakująco głową.

- Może rzeczywiście powinnaś to zrobić.

Zajechała pod bibliotekę i zaparkowała przy krawężniku. Z zaproszeniami w ręku podeszła do kobiety stojącej przed salą konferencyjną, poczym zwróciła się do Jamiego z pytaniem, gdzie chciałby usiąść.

Jamie z nie pewną miną patrzył na kobietę, która się wykręciła plecami i zaczęła oddalać.

- Chwileczkę - zawołała za nią Allie.

Przedarła zaproszenie Jamiego na pół, wciągnęła go do sali i poklepała po ramieniu kobietę sprawdzając zaproszenia.

- W czym problem?

Kobieta zerknęła na Jamesa.

- Obecność tego pana w naszej bibliotece uważam za niestosowną - oznajmiła tak głośno, że wszystkie oczy skierowały się w ich stronę.

- Mój kuzyn nie został skazany za żadne przestępstwo. I na razie jest gościem w tym mieście.

- Co nie znaczy, że ma się nam to podobać - oznajmił gniewnie Jock Farquhason, chudy, tykowały kasjer z banku.

- Chodźmy stąd. - Jamie pociągnął Allie za rękaw swetra.

- Nie ma mowy - wysyczała.

Poprowadziła Jamiego do stołka stojącego tuż przed mównicą. Wokół robiło się coraz liczniej, parę osób pozdrowiło Jamesa skinieniem głowy, gdy wraz z Allie przechodzili przez salę, jednak nikt

się do nich nie przysiadł - nawet ci, którzy nigdy pierwsi nie rzucili-  
by kamieniem, nie chcieli się jawnie opowiadać po stronie zabójcy,  
choćby powodowanego najszlachetniejszymi pobudkami.

Allie nie miała pojęcia, że Cam był świadkiem całej tej scenki.  
Stał z tyłu, oparty plecami o ścianę, ponieważ nie chciał na oczach  
całego miasteczka być widziany u boku Jamesa. Nie czułby się z tym  
komfortowo.

Mimo to mógłby powiedzieć parę słów do słuchu temu dupkowi  
Farquasonowi, jednak nie zamierzał tego robić - zarówno z racji  
osobistych uprzedzeń, jak i ze względów zasadniczych.

Jeżeli Jamie chciał wygrać swoją bitwę, musiał walczyć na tych  
samyach zasadach, jakie obowiązywały wszystkich innych wokół.

Kiedy przygasły światła, a na scenie pojawiła się Verona  
MacBean w całej swojej okazałości, Cam nie zdołał stłumić uśmie-  
chu. Kobieta w surowym czarnym kostiumie, z włosami mocno ścią-  
gniętymi do tyłu, w niczym nie przypominała gorącej sztuki, która  
się rzucała na niego po lekcjach w męskiej szatni gimnastycznej.  
Próbował rozebrać ją oczami, przywołać z pamięci kremową skórę i  
apetyczne krągłości, które w czasach liceum utrzymywały go w sta-  
nie permanentnej semierekcji, ale na twarz i sylwetkę Verony nakła-  
dał mu się obraz przerażonych oczu Mii, delikatnej linii jej kręgosłu-  
pa.

Odwrócił się i wyszedł, zanim Verona zdążyła otworzyć usta.

A zaczęła od tego, że według badań Gallupa przeprowadzonych  
w 1994 roku, sześćdziesiąt procent Amerykanów wierzy w istnienie  
piekła. W 1965 roku deklarację taką złożyło pięćdziesiąt cztery pro-  
cent badanych, a więc zanotowano wzrost.

Koncepcja piekła, obecna niemal we wszystkich religiach, zrodzi-  
ła się z przeświadczenia, że niektórym udaje się uniknąć kary za  
grzechy wżyciu doczesnym, powinni więc odpowiedzieć za nie po  
śmierci.

Verona stała przed niewielką mównicą przetransportowaną z auli  
miejscowej podstawówki.

- U Żydów była to gehenna - ciągnęła - która swoją nazwę

wzięta od doliny leżącej nie opodal Jerozolimy, gdzie palono zwierzęce truchła i nieczystości. W Nowym Testamencie spotkamy się z terminami „jezioro pełne ognia” czy „ciemności zewnętrzne”. - Verona z uśmiechem powiodła wzrokiem po audytorium. - Natomiast w 1990 roku prasa bulwarowa doniosła, że na jednym z sowieckich roponośnych pól dowiercono się do piekła. Zaprzesano eksploatacji złożyła tuż po tym, jak zaczął się z niego wydobywać swąd palonych kości oraz nieludzkie jęki grzeszników.

Każde dziecko bez trudu opisałoby szczerzącego zęby diabła, czelusz zionącą ogniem i siarką, jednak - jak podkreśliła prelegentka - według najnowszej doktryny teologicznej piekła nie należy rozpatrywać w kategoriach literalnej przestrzeni.

- Ludzie nie są zsyłani do piekieł. - Verona pociągnęła łyk wody. - To czyniłoby z Boga bezdusznego sędziego. Obecnie patrzymy na piekło jak na wybór, którego każdy człowiek dokonuje osobiście. Jeżeli za życia zdecyduje, że nie potrzebuje Boga, spędzi całą wieczność bez Niego.

Jamie nie chciał przyjść na odczyt Verony MacBean, nie miał najmniejszej ochoty na opuszczenie bezpiecznej przystani domu Angus MacDonalda, tymczasem złapał się na tym, że chłonie jej słowa niczym w transie.

Gdy zaczęła opisywać Danteskie kręgi piekielne o gorejących murach, nieoczekiwanie stanęła mu przed oczami Maggie. Zawsze kładła się spać około północy, ale potem wstawiała raz czy dwa w ciągu nocy.

Mawiała, że ma pęcherz wielkości napałka. Kiedy wracała do łóżka, była zlodowaciała. Wślizgiwała się pod kołdrę i opierała zimne stopy o łydki Jamiego, a on przyciągał ją mocno do siebie - jej krągła pupa naciskała na jego podbrzusze - i altruistycznie się dzielił ciepłem własnego ciała.

Nie do końca się zgadzał z wizją kreśloną przez Veronę. Jego opinii istota piekła była mniej skomplikowana niż ta przedstawiana przez teologów.

Człowiek wiedział, że jest skazany na potępienie, gdy się budził rano i z trwożnym zdumieniem odkrywał, że nadal żyje. Wiedział, że jest potępiony, gdy kładł się w nocy do łóżka, widział obok siebie



miłość swojego życia, ale jak wyciągał rękę, by dotknąć jej twarzy, ona zniknęła niczym odbicie w tafli wody.

Jamie zerknął na Allie, w skupieniu słuchającą odczytu. Przyszła wczoraj do sądu, żeby udzielić mu moralnego wsparcia. Był tego pewien - podobnie jakiego, że nie podała Camowi prawdziwego powodu swojej obecności w sali rozpraw.

Jamie założyłby się też bez wahania, że nie powiedziała mężowi, gdzie i z kim jest w tej chwili. I nie miał jej tego za złe - doskonale rozumiał mechanizm funkcjonowania podobnego związku.

Zatajenie prawdy było dużo prostsze niż przyznanie przed samym sobą, że działa się wbrew życzeniom osoby, do której ma się niemal bałwochwalczy stosunek.

Nagle, pośrodku Biblioteki Publicznej Miasta Wheelock, na Jamiego spłynęło oświecenie i wszystkie elementy układanki wskoczyły na właściwe miejsce.

Zrozumiał, jakim cudem był w stanie zabić Maggie. Do tej pory, podczas bezsennych nocy wmawiał sobie, że wynikało to z jednego: zrobiłby dla Maggie wszystko, o co poprosiła, ponieważ na tym polega istota prawdziwej miłości.

Niespodziewanie zrozumiał, że posunął się do owego czynu z pobudek czysto egoistycznych: nie chciał patrzeć na Maggie cierpiącą, złamaną przez chorobę, ponieważ nie tak pragnął ją zapamiętać. Podtrzymywał jej głowę podczas torsji wywołanych chemioterapią, całował bliznę w miejscu, gdzie kiedyś się znajdowała pierś, był chodzącym ideałem męża, a nie człowiekiem z krwi i kości.

Ale kiedy budził się rano pierwszy i spoglądał na śpiącą żonę - na skórę nienaturalnie napiętą na kościach, asymetrię klatki piersiowej, zapadniętej z jednej strony, unoszącej się w nierównym oddechu - wstrząsały nim dreszcze.

Nieznaczone, łatwe do zduszenia tuż przed tym, zanim obejmował Maggie ramionami i budził ją ze szczerym, radosnym uśmiechem. Nie zmieniało to faktu, że chciał odzyskać swoją dawną Maggie. Tę kobietę, w której się zakochał do szaleństwa.

I sam siebie za to nienawdził.

Niemniej owo silne pragnienie drążyło go tak głęboko, że odebrał jej życie, gdy tylko o to poprosiła, chociaż musiał zdawać sobie

sprawę, że Maggie nie jest w stanie podejmować logicznych, klarownych decyzji.

Ogarniało go obrzydzenie, ilekroć uświadamiał sobie, że ostatnich sześć miesięcy spędzonych z żoną było przemyślnie skonstruowanym kłamstwem.

Ogarniała go zimna furia na myśl, że nie miał dość odwagi, by przebić się przez spustoszenia poczynione przez raka i dojrzeć pod nimi te wspaniałe wartości, które jeszcze pozostały.

Najtragiczniejsze w tym wszystkim było to, że swoim czynem nie osiągnął zamierzonego celu.

Zabił Maggie, ale przez to wcale mu się nie objawiła w swojej dawnej świetności.

Jamie zerknął na Veronę MacBean, obleczoną w czerń, pewną siebie, pseudoartystycznie wystylizowaną, i doszedł do wniosku, że ona nie ma bladego pojęcia, czym naprawdę jest piekło.

Graham MacPhee siedział w swoim gabinecie z butelką piwa w rękę - ostatecznie było już po godzinach urzędowania - i szkicował różne warianty obrony na odwrócenie menu chińskiej restauracji.

Z definicji zabójstwo pierwszego stopnia musiało wyczerpywać znamiona działania w złej wierze.

W wypadku Jamesa linia obrony oparta na twierdzeniu, że nie kierował się złą wolą, wydawałaby się najbardziej logiczna. Niestety, nikt by nie zdołał skutecznie jej przeprowadzić. Bo czy można udowodnić, co naprawdę się działo za zamkniętymi drzwiami domu Maggie i Jamiego?

Poza tym, czy zabójstwo popełnione z miłości lub raczej miłosierdzia można podciągnąć pod tę samą kategorię, co wypadek ze skutkiem śmiertelnym?

Graham zaczął się zastanawiać nad zeznaniami swojego klienta złożonymi na policji.

W szczególności skupił się na jego stwierdzeniu, że Maggie prosiła, by ją zabił.

- Jeżeli ofiara wyraziła zgodę na pozbawienie życia, czy wykonanie tego aktu w ogóle należało kwalifikować jako przestępstwo?

Uderzył głową o kant biurka.

W podobnej linii rozumowania były tak ogromne dziury, że można by przez nie przegonić stado afrykańskich słoni.

Na sali sądowej oskarżenie zabiłoby go śmiechem.

Graham wymachiwał ołówkiem niczym miniaturową batutą. „Samobójstwo”, napisał. „Pomoc do samobójstwa”.

To dość naciągane, ponieważ Maggie MacDonald była bez wątpienia fizycznie zdolna do podjęcia sobie gardła lub połknięcia garści pigułek. Do czego więc potrzebowała Jamiego?

W niektórych stanach zamach samobójczy - gdy delikwent przypadkiem spartaczył robotę - uznawany był za akt zbrodniczy.

Jednak nie dotyczyło to Massachusetts, dzięki wielu generacjom rządów demokratów.

A więc skoro samobójstwo nie było przestępstwem, to i pomoc do samobójstwa nie powinna być karana.

- Dobrze sobie - mruknął Graham. - Powiedz to Jackowi Kevorkianowi.

„Chwilowa niepoczytalność”. Taki wariant Graham zasugerował Jamieu już przy pierwszym spotkaniu. To ostatecznie najpowszechniejsza strategia adwokatów, gdy tylko w sprawie się pojawiały jakiegokolwiek okoliczności łagodzące. Trzeba by się upierać, że Jamie nie panował nad swoją psychiką w chwili, gdy zabijał żonę.

Nie był w stanie ogarnąć natury i konsekwencji swojego działania.

A więc biorąc poduszkę w rękę, nie miał pojęcia, że można nią kogoś udusić, kiedy przyciskał ją do twarzy żony, nie zdawał sobie sprawy, że doprowadzi do śmierci.

Chwilowa niepoczytalność oznaczała jedno: w momencie działania Jamie nie miał świadomości, że wyrządza zło.

Graham parsknął kpiąco. Jamie cholernie dobrze wiedział, co robi. Po prostu był przekonany, że postępuje słusznie.

W werdyktach ogłaszanych w sprawach o zabójstwo powodowane miłosierdziem, gdzie obrona opierała się na ekspertyzach psychiatrycznych, wyłaniał się pewien schemat: im brutalniejszy sposób pozbawienia ofiary życia - broń palna, nóż - tym większe prawdopodobieństwo wysokiego wyroku.

Im bardziej ubezwłasnowolniona fizycznie była ofiara w chwili zabójstwa, tym większe prawdopodobieństwo ułaskawienia, problem w tym, że Maggie poruszała się o własnych siłach - śmiała się i prowadziła logiczną rozmowę jeszcze na parę minut przed śmiercią.

Graham wysączył resztkę piwa i odstawił butelkę na brzeg wypolerowanego blatu.

W istocie krążył na palcach wokół prawdy, która objawiła mu się z całą zaskakującą wyrazistością i w wyobraźni przybrała postać padlinożernego ptaka, który niespodziewanie przysiadł na parapecie okna.

Jamie MacDonald zabił swoją żonę, ponieważ ona i tak wkrótce by umarła, a od miesięcy żyła nękana ciągłym bólem i nie chciała już dłużej cierpieć.

Zabójstwo powodowane miłosierdziem należało do zbyt szarej strefy, żeby na jego szlachetnych przesłankach budować linię obrony. Poglądy ludzi, a więc potencjalnych przysięgłych, były w tej kwestii bardzo ambiwalentne, a to nie gwarantowało uniewinnienia. Ponadto w takich wypadkach prokuratorzy stosowali sprytnie chwyt retoryczne: przyznawali, że eutanazja jest zazwyczaj aktem miłosierdzia wobec bliźniego, co jednak nie uzasadniało łamania prawa.

Kiedy Graham decydował się na wstąpienie do palestry, dobrze wiedział, że jego praca nie będzie polegała na moralnym wazeniu postępów klientów, ale uzyskaniu dla nich wyroku uniewinniającego. Jego ojcu zdarzało się reprezentować przed sądem najgorsze szumowiny i wygrywać dla nich sprawy, ponieważ za to właśnie mu płacono.

Czy Graham mógłby oprzeć swoją strategię na obronie prawa do śmierci?

Cóż, to byłoby równoznaczne z zakwestionowaniem fundamentów obowiązującego systemu prawnego.

Graham nie umiał określić własnego stosunku do eutanazji.

Nigdy tak bardzo nie kochał kobiety, żeby mógł sobie chociaż w przybliżeniu wyobrazić, jakie procesy myślowe doprowadziły Jamiego do popełnienia tego czynu.

Spróbował więc spojrzeć na całą sytuację z punktu widzenia Maggie - gdyby on został skazany na egzystencję pełną cierpienia, czy

chciałby, żeby ktoś pomógł mu się od niej wyzwolić?

Czy jest to równoznaczne z wypełnieniem woli kogoś, kto sobie zastrzegł, by w razie popadnięcia w stan wegetatywny, odłączyć go od maszyn podtrzymujących życie?\*

\*W większości stanów USA przy podpisywaniu dokumentów związanych z ubezpieczeniem zdrowotnym można jasno określić, kiedy i w jakiej sytuacji lekarze mają zaprzestać dalszej terapii (przyt. tłum.).

Łatwo snuć podobne rozważania po trzech piwach, gdy się w pełni panuje nad własnym ciałem i cieszy końskim zdrowiem. I jest się jeszcze bardzo młodym.

Z drugiej strony, Maggie nie była od niego wiele starsza.

Graham westchnął głęboko i zaczął po wielokroć zakreślać zapisane słowa.

Czy istnieją takie okoliczności, takie ciągi wydarzeń, w wyniku których prawo nie powinno przejmować kontroli nad śmiercią? Czy całą złożoność ludzkich poczynań da się opisać tomami przepisów? W opinii Grahama, próba legalistycznego zdefiniowania zabójstwa powodowanego miłosierdziem przypominałaby żmudne obieranie cebuli. Każdy indywidualny przypadek odsłaniałby inną warstwę, następną kolejną, do tego dochodziłyby wyjątki i precedensy, i zanim człowiek by się obejrzał, nic by już nie zostało.

Wrzucił butelkę po piwie do kosza na śmieci i zgasił ciężką, mościezną lampę stojącą na biurku. Wrzucił na luz, napomniał się w duchu. Masz jeszcze sporo czasu.

Jednak gdy zamykał drzwi gabinetu, uderzyła go nagła myśl: Ty masz czas. Ale Jamie go nie ma.

Cam przypomniał sobie o istnieniu techniki uczenia języków obcych, zwanej „całkowitą immersją”, która polegała na tym, że człowiek miał do czynienia tylko z owym językiem, żył w kraju, gdzie jest on obowiązujący, i kładł się do łóżka ze słuchawkami na uszach, aby chłonąć przez sen lekcje Berlitz’a.

Cameron osobiście znał ludzi, którzy z powodzeniem zastosowali tę metodę, a do tego szczerze pokochali nowy język. Mając ten fakt żywo w pamięci, nazajutrz wziął dzień wolnego i zaproponował Allie wspólną wyprawę na ryby.

Od trzech lat nie zabierał jej na żaden wypad za miasto, doszedł jednak do wniosku, że jeżeli spędzi cały boży dzień z Allie, tylko ją będzie miał przed oczami i będzie słuchał jedynie jej głosu, zdoła wyrzucić Mię Townsend ze swoich myśli.

Oparł o balustradę w holu bambusowe wędzisko, które należało jeszcze do jego dziadka, i wówczas na szczycie schodów pokazała się Allie. Miała na sobie spłowiałą dżinsową koszulę i luźne spodnie khaki z nogawkami podwiniętymi do kolan. Usiadła na górnym stopniu i włożyła na nogi tenisówki poznaczone dziurami.

- I tak się pomoczemy, prawda? - spytała, zawiązując sznurówki. - Po tym, co zrobił Arbuth, nic już nie może im zaszkodzić.

Arbuth był mastiffem sąsiadów.

Cam uśmiechnął się pod nosem, bo przypomniał sobie, jak Allie goniła psa z batem w rękę, kiedy przyłapała go na ogryzaniu nowych tenisówek.

Cameron zatknął za pasek podbierak o krótkim trzonku i wcisnął na głowę czerwony filcowy kapelusz, do którego były przypinane rozmaite rodzaje sztucznych much i przynęt. A potem rozłożył ramiona i obrócił się dokoła na pięcie.

Allie gwizdnęła z uznaniem.

- Wyglądasz imponująco. - Zeszła na dół i mocno objęła męża w pasie. - Widzisz, jakie to szczęście, że Mia zawitała do naszego miasteczka? - Cam zeszywniał. - Gdyby nie ona, nie mogłabym sobie pozwolić na wolny dzień.

- Szczęście. - powtórzył głucho Cameron, wrywając się z uścisku żony.

Sięgnął po wędkę, nie miał ochoty patrzeć na Allie.

Ledwo usłyszał imię „Mia”, wiedział, co się zaraz stanie - ilekroć spojrzy na żonę, zacznie porównywać jej zarumienione policzki i ostry podbródek do pewnego gładkiego czoła i gęstych loków.

- Chodźmy - zarządził oschle i ruszył w stronę drzwi, a Allie sterczała w holu, pozostawiona sama sobie, w zmieszaniu pocierała ramiona i próbowała odgadnąć, co tym razem zrobiła źle.

Szybko jednak się pozbierała i podążyła za Camem. Ku jej zdumieniu, skierował się na tyły domu.

- Pospiesz się - kiwnął na nią ręką. - Nie mamy całego dnia.
- A ja myślałam, że właśnie mamy - mruknęła pod nosem.

Cam stanął pośrodku opadającego w dół trawnika.

Z kołowrotka odwinął nieco jaskrawożółtej żyłki, a potem lewą ręką zaczął machać wędką w przód i tył, niczym żywy metronom aż nagle żyłka śmignęła pomiędzy oczkami wędziska i pofrunęła nad Camem łagodnym łukiem, przywodzącym na myśl monochromatyczną tęczę.

- Bez wątpienia nie znam się na tym sporcie - powiedziała Allie - ale czy nad wodą nie mielibyśmy większych szans na złapanie ryby?

Cameron spojrział na żonę z pobłażaniem.

- Myślisz, że pozwoliłbym ci się posłużyć wędką mojego dziada bez solidnej suchej zaprawy? - Oparł czubek wędziska o trawę i spojrział bacznie na żonę. Stała z rękami na biodrach, jej kucyk opadał na jedno ramię. Rozstawiła stopy palcami na zewnątrz, jakby za chwilę miała wykonać plie.

Kiedy ostatnim razem zabrał Allie na ryby, łowili na zasadzie moczenia kija w wodzie.

Ten sposób nie należał do jego ulubionych, ale Cam nie miał czasu ani ochoty uczyć żony łowienia na muchę, które w jego mniemaniu było bardziej sztuką niż sportem.

Wyprawili się na głębokie wody z całą grupą obcych im ludzi, Allie musiała się nauczyć obchodzić z kołowrotkiem, ale potem złowiła największą rybę. Ubrana w pożyczony sztormiak, odtańczyła triumfalny taniec, kiedy kapitan wręczył jej darmowy karnet na kolejny całodzienny połów - główną nagrodę za złapanie najdorodniejszego okazu.

Cameron szybko odsunął od siebie wspomnienia i pociągnął za żyłkę. Okazało się, że haczyk zaczepiło kępę trawy.

- No proszę, jaki jestem zdolny - powiedział z szerokim uśmiechem. - Pierwszy rzut i już mam branie. - Pociągnął delikatnie jeszcze kilka razy i w końcu neonowa żyłka wystrzeliła w powietrze.

- A teraz popatrz jeszcze raz - powiedział, koncentrując się całkowicie na pięknie ruchu, który miał zaraz zademonstrować. Rytmicznie zakołysał wędziskiem w przód i w tył. - Haczyk nie jest niczym obciążony. Żeby wykonać dobry rzut, trzeba wykorzystać masę samej żyłki. Do diabła, to nawet trudno nazwać rzutem. Trzeba sprawić, żeby żyłka niczym zaczarowana zwiśla nad wodą.

- Nad trawą - mruknęła Allie.

- Jak zwał, tak zwał. - Zamknął oczy i pozwolił, by rytm kierował jego zmysłami. - Musisz rozpostrzeć żyłkę przed ślepiami ryby, niczym dywan, rozwijać, rozwijać, do czasu, aż mucha delikatnie muśnie powierzchnię - pyknął cicho ustami dla ilustracji - i wpadnie w wodę.

Zamilkł. Wykonał swobodny zamach ramieniem, rozwijając więcej żyłki, zarzucając ją wyżej i dalej.

Czuł promienie słońca na karku, widział stadko żeb frunące w stronę ciemnowodnej przełęcz górskiej, oddalonej o kilkanaście kilometrów. Za każdym zamachem i rzutem mocno wciągał w płuca powietrze, aż w końcu zdołał się przenieść w świat uludy.

Był w Nowej Zelandii i próbował złowić wielkiego tęczowego pstrąga.

Był na Alasce, gdzie stojąc wśród wysokich, twardych traw, zarzucał wędkę na łososia.

Kolejny wdech - i znalazł się na łowiskach w Montanie. W końcu, siedząc w małej łódce, unosił się natarganych podwodnymi prądami wodach Loch Leven - w miejscu, które zawsze nazywał prawdziwym domem - gdzie pod powierzchnią kłębiły się górskie pstrągi i zwodnicze duchy jeziora.

- Dokąd odpłynąłeś? - spytała Allie.

Szybko powrócił do rzeczywistości zdziwiony, że żona tak łatwo go rozszyfrowała. Potrząsnął głową.

- Twoja kolej - oznajmił, podając Allie wędzisko. Stał tuż za nią.

- O, tak - poinstruował, wsuwając korkowy uchwyt do jej dłoni. - Pamiętaj, nie wolno ci zginać nadgarstka. - Odwiódł jej ramię, potem pchnął do przodu. - Nie powinnaś ostro szarpać żyłką. Pofrunie



sama, zobaczysz pętlę, która się łagodnie rozwija, a kiedy dojdzie do tego miejsca - widzisz? - wówczas pchniesz ją do przodu.

Allie czuła pierś Cama pod swoim barkiem, jego palce na swoich palcach.

Odciągnął jej rękę niczym wahadło, dzieląc się swoją niezwykłą gibkością, którą zademonstrował kilka chwil temu.

Allie zamknęła oczy, próbowała sobie wmówić, że w ten swoisty sposób Cam ją zaprasza do wspólnego tańca.

Do tyłu, dwa, trzy, do przodu, dwa, trzy. Do tyłu, dwa, trzy, do przodu, dwa, trzy.

Ujrzała siebie wirującą w walcu pośród kolumn roziskrzonych światłem sali balowej, w objęciach Cama ubranego w smoking. Wydało jej się, że czuje zapach nadciągającej zimy i ciężkiego od mrozu powietrza, poczuła, jak krew szumi w jej żyłach, i nabrała przekonania, że poruszają się z Camem w idealnie zestrojonym rytmie. Jak cudownie, pomyślała.

- Teraz przeciwicz to sama - zarządził Cam i lekko odepchnął żonę.

Allie uniosła wędzisko, wsłuchując się w bezsensowne pouczenia męża - „skieruj koniec na godzinę dziesiątą, a potem na trzynastą” - i usztywniła nadgarstek.

Próbowała zachować rytm, nucąc coś pod nosem, speszona świadomością, że Cam patrzy na te niezdarne wygibasy.

Zarumieniła się gwałtownie i marzyła już tylko o tym, żeby ponownie chwycił ją w objęcia.

Minęło południe, zanim Cameron uznał, że żona nabrała dość wprawy, by posłużyć się jego cenną wędką na wodach Wee Loch - jeziora, od którego nazwę wzięło całe miasteczko.

Wówczas umocował kajak na dachowym bagażniku samochodu Allie, po czym pojechali na przystań.

Allie została usadzona z przodu kajaka, a następnie Cameron powiosłował w kierunku przeciwległego brzegu, gdzie istniało większe prawdopodobieństwo złowienia dorodnego okonia.

- Okay- zdecydował w końcu. - Oto magiczne miejsce.

Allie powiodła wzrokiem po liściach nenufarów i zbutwiałych pieńkach wystających z wód niewielkiej zatoczki, do której wpłynęli. Cameron sięgnął po wędkę, kajak zakołysał się gwałtownie i Allie pobladała, kurczowo chwytając za burty.

- Cam - wykrztusiła. - Proszę, nie rób tego.

Wprawnym ruchem właśnie wiązał do żyłki muchę.

- Czego mam nie robić? Nie używać muchy? - Ściągnął brwi, spojrzał na własne dłonie. - Może masz rację. Może lepsza byłaby inna.

- Cam - przerwała mu Allie. - Ja nienawidzę łodzi.

To było niedomówienie.

Niewiele rzeczy tak serdecznie nie znosiła, jak niestabilności świata pod nogami, poza tym nigdy nie sprawiała jej przyjemności jakakolwiek aktywność na świeżym powietrzu.

Podczas gdy Cam z przyjemnością sunął przez jezioro, od czasu do czasu zwracając jej uwagę na rozmaite gatunki ptaków lub drzew, ona liczyła ślady ukąszeń komarów na swoich ramionach. Dzika natura jej nie pociągała, ale Allie wiedziała, że tylko na wolnych przestrzeniach mąż czuje się naprawdę swobodnie, więc nigdy nie rezygnowała z okazji, by oglądać go w jego żywiole.

- Daj spokój. - Cam pociągnął za przynętę, żeby sprawdzić jej uwiązanie. - Głębokość w tym miejscu wynosi góra metr osiemdziesiąt. Nie ma więc najmniejszych powodów do obaw. - Uśmiechnął się i podał żonie wędkę. - Do dzieła.

Dobrze wiedział, że Allie nie lubi spędzać czasu na świeżym powietrzu. Do diabła, ostatecznie wybrała zawód, który polegał na ścinaniu najpiękniejszych wytworów natury i zestawianiu ich w taki sposób, żeby się dobrze prezentowały na stole w jadalni. On natomiast zachwycał się panującą na dworze aurą.

Słońce stało wysoko, jasne promienie tańczyły na powierzchni jeziora, a góry w oddali przedstawiały wprost bajkowy widok a trudno było uwierzyć, że są prawdziwe. Cam zerknął na Allie, która pracowicie motała żyłkę wokół wskazującego palca, tak jak jej pokazywał. Jeżeli będzie się równie pilnie przykładała do każdego etapu, w końcu pokocha ten sport. Docenienie go wymagało praktyki i czasu.

Patrzył, jak Allie zarzuca żyłkę - niebezpiecznie blisko splątanych gałęzi drzew - i wyobraził sobie, że zabiera ją na wędkowanie pod lodem, polowanie na kaczki, przeprawę przez Wheelock Pass. Jej nogi by się opaliły i nabrały wyrazistszej rzeźby, jej twarz by jaśniała w blasku ogniska.

Ciekawe, ile zajęłoby czasu przejście od takich wypadów do wypraw na Madagaskar, na Kretę czy w Góry Skaliste.

Zastanawiał się, czemu właściwie do tej pory nie zaplanował jakiejś ciekawej podróży - Allie pojechałaby za nim wszędzie, gdyby poprosił - i nagle uświadomił sobie, o co chodzi: nie chciałby patrzeć na żonę wgapioną tępo w zaparowane samolotowe okienko z miną jasno wskazującą, że wołałaby być zupełnie gdzie indziej.

Zastanawiał się, czy Allie czuje się równie nieswojo, gdy u niego widzi taką minę praktycznie każdego dnia.

- Złapałam coś! - oznajmiła głosem, który skoczył o oktawę wyżej wraz z ponownym zachybotaniem kajaka. - Zdaje mi się, że widzę rybę.

Okoń szarpnął się na żyłce, woda trysnęła w górę. Cam zdecydowanym, spokojnym głosem wydawał Allie instrukcje: podpowiadał, kiedy poluzować, a kiedy lekko ściągnąć żyłkę kołowrotkiem. Kiedy okoń stał się wyraźnie widoczny tuż pod powierzchnią brunatnej wody, Cameron wyjął zza paska podbierak.

- Odchyl się do tyłu - polecił, i uniół rękę żony, by przyciągnąć rybę do burty.

Wsunął gwałtownie podbierak do wody i przyglądał się, jak ogon okonia wali gorączkowo o nylonowy splot.

- Piękny okaz! - pochwalił gorąco w nadziei, że wzbudzi w Allie entuzjazm. - To jeden z największych okoni, jakie widziałem w tym jeziorze.

- Naprawdę? - zaczęła Allie.

Poluzowała uchwyt na wędce i przechyliła się na tę samą stronę, w jaką pochylał się Cam, bo chciała zajrzeć do podbieraka i z bliska popatrzeć na zdobycz.

- Spójrz na jego oczy - powiedziała.

Wyciągnęła palec, pogłaskała pokryty łuską łeb i w tej samej chwili kajak się wywrócił.

Allie natychmiast wyskoczyła w górę. Gwałtownie łąpała ustami powietrze i młóciła ramionami wodę. Oczami wyobraźni ujrzała wszystkie odrażające, oślizłe stwory, które mogły zamieszkiwać dno tak zamulonego jeziora. Ku jej zdziwieniu, świat wokół był idealnie czarny. Szybko przebiegło jej przez myśl, że może wyrznęła o coś głową i straciła przytomność, nagle jednak uświadomiła sobie, że się znajduje dokładnie pod wywróconym kajakiem.

Już miała się wychylić na powierzchnię, gdy usłyszała śmiech Cama. Nie żartobliwy, w rodzaju „jak mogła nas spotkać podobna przygoda?” ale nieprzyjemny rehot.

Cameron sztychł z jej nadgorliwości i głupoty, które doprowadziły do wywrócenia kajaka.

Allie chwyciła za brzeg burty i pozwoliła unosić się wodzie. Od-dychała wolno i rytmicznie. Dam mu nauczkę, pomyślała.

Cam rzeczywiście bawił się przednio. Wyobrażał sobie, jak żona wylezie na brzeg, otrząsając się i sycząc ze złości niczym zmokła kotka.

Gdyby tylko widziała wyraz własnej twarzy, tuż zanim fiknęła do wody. Otarł łzy, z trudem zapanował nad śmiechem i wówczas dotarło do niego, że Allie nie wypłynęła.

- Allie. - Obrócił się dookoła, żeby sprawdzić, czy jej nie przeoczył. - Allie! - Powiódł wzrokiem po pniakach gęsto wystających z wody z tej strony, na którą upadła żona, a potem po rozłożystych liściach nenufarów, których podwodne pędy tworzyły zawiłą płataninę - jeżeli zahaczyło się o nie nogą, ciągnęły człowieka na dno.

Tętno podskoczyło mu gwałtownie, poczuł nieprzyjemne pulsowanie w skroniach.

Wiedział, że jest dobrą pływaczką, ale nie miało to żadnego znaczenia w sytuacji utraty przytomności.

- Allie! - wrzasnął, a gdy usłyszał odbicie własnego krzyku od lustra jeziora, zupełnie nie rozpoznał tembru własnego głosu. - Allie!

Wskoczył do wody, wyteżył wzrok, ale w mętnej toni nie widział dalej jak na kilka centymetrów.

Zaczął macać stopami muliste dno.

Serce mu zamarło, zęby szczykały w tempie staccato.

Allie wyskoczyła na powierzchnię niewiele ponad pół metra przed nim.

- Kurwa mać! - wybuchnął. - Jezu Chryste! - Za jednym uderzeniem ramion o wodę znalazł się obok żony, z całej siły przyciągnął ją do siebie, a potem na wpół brodząc, a na wpół płynąc, ruszył w stronę brzegu.

Kiedy wciągnął ją na ląd i postawił na własnych nogach, wciąż drżał. Przycisnął ją do piersi tak mocno, że poczuł jej żebra na swojej skórze.

- Śmiertelnie mnie przeraziłaś! - rzucił gniewnie, zdumiony gwałtownością własnej reakcji. - Śmiertelnie. - Odsunął Allie na odległość ramienia i dotknął jej czoła powalanego śliskim mułem, a potem jej włosów, w które się zaplątały zbutwiałe liście i jedna z jego sztucznych much. - Żebyś nigdy więcej czegoś podobnego nie zrobiła - mruknął.

Allie chciała mu wytłumaczyć, że to był tylko żart, że nie spodobало jej się, jak się z niej wyśmiewał, ale Cam trzymał ją mocno w objęciach i patrzył w taki sposób, jakby po wsze czasy chciał utrwalić w pamięci rysy jej twarzy - jakby chwilę wcześniej dojrzał bezdenną pustkę życia bez niej u boku.

Powróciły do niej słowa Jamiego MacDonalda - „siedemdziesiąt do trzydziestu”.

Spostrzegła też, że w tej chwili Cam patrzy na nią w taki sposób, w jaki to ona zawsze na niego patrzyła.

Zafascynowana tym odkryciem, przyłożyła dłoń do policzka męża, poczuła drżenie jego ciała.

- Nie zrobię - obiecała i zacisnęła palce na torsie jego mokrej koszuli w nadziei, że uda jej się przedłużyć w czasie tę niezwykłą chwilę.

## 6.

Jamie MacDonald wypatrywał aniołów. Poprzedniego dnia chodził długo po sklepie z pocztówkami, przeglądał wszystkie kartki w stylu wiktoriańskim, przyglądał się bardzo pilnie kupidynom o pulchnych policzkach i eterycznym, srebrnowłosym istotom w plisowanych tunikach. Wytężał wzrok, ale w żadnej z twarzy nie dostrzegł choćby cienia podobieństwa do Maggie.

Wiedział, że ona mu się objawi. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, i gotów był czekać na ten moment choćby przez całą wieczność.

Niekiedy, gdy przymykał powieki, dobiegał go nieznacznym aromatem konwalii, który przenikał wszystkie ubrania Maggie, lub też świeży, miodowy zapach jej włosów.

Widział ją oczami wyobraźni ubraną w biały golfi zwiewną białą spódnicę, z miękkimi skrzydłami u ramion unoszącymi ją w dal.

Teraz czekał, aż Graham MacPhee zjawi się wreszcie w swojej cholernej kancelarii.

Ostatecznie facet nie miał poza nim żadnych klientów, James więc zupełnie nie rozumiał, czemu jest zmuszony czekać na tego młokosa.

Zerknął na Allie, swoją nieformalną opiekunkę - w tej chwili ze stoickim spokojem przeglądała stary numer „Good Housekeeping”, z którego ktoś powycinał niemal wszystkie przepisy kulinarne.

Musiała poczuć na sobie spojrzenie Jamiego, ponieważ podniosła wzrok, skinęła głową i uśmiechnęła się pokrępiąco.

Do tej pory Allie zabrała go już na pocztę, do minimarketu i pralni chemicznej. Przetarła szlaki na tyle, by mógł - nie narażając się

na przykrości - iść do wypożyczalni filmów czy do fryzjera, punktów usługowych prowadzonych przez mężczyzn, którzy nie ukrywali, że uważają Jamesa MacDonalda za ropiejący wrzód na zdrowej tkance miejscowego społeczeństwa.

Bardzo się postarała, aby w banku trafił do okienka, gdzie urzędowała kasjerka, która spojrzała na Jamesa zażwawionymi oczami i oznajmiła, że jest świętym, a także do stolika w kawiarni, obsługiwanego przez kelnerkę, która cmoknęła go w policzek, po czym wyznała, że przywrócił jej wiarę w prawdziwą miłość.

Do tej pory dwukrotnie zjawił się na posterunku policji przed obliczem Camerona MacDonalda, zgodnie z postanowieniami warunkowego zwolnienia.

Allie i tam mu towarzyszyła, silnie trzymając go pod rękę. Cam burczał coś pod nosem i odprawiał Jamiego machnięciem dłoni, ale nie zachowywał się w jawnie wrogi sposób. James był pewien, że to także zawdzięczał Allie.

Stojąc teraz przy atrapie kominka, zupełnie otwarcie przyglądał się tej kobiecie.

Nie należała do klasycznych piękności, ale była całkiem ładna z tymi swoimi oczami koloru whiskey oraz błyszczącymi, prostymi włosami. Zdawała się krucha niczym cienka gałązka, ale Jamie doskonale wiedział, że Allie ma w sobie wielkie pokłady siły.

Może i przypominała cienką gałązkę - ale jeśli tak, należało ją uznać za wierzbową witkę, która może się ugiąć, ale nie da się łatwo złamać.

Maggie by ją uwielbiała.

Na tę myśl szybko odwrócił głowę. I wówczas po raz pierwszy zauważył, że płaskorzeźba na obramowaniu kominka przedstawia bukoliczną scenę: pasterze i dójki płąsali wzdłuż krawędzi paleniska, a na nich, sponad chmur, wyglądały anioły.

James zaczął bacznie studiować ich białe twarze, w desperackiej próbie odnalezienia linii czoła Maggie lub zarysu jej brody.

Gdy zaciskał kurczowo palce na półce kominka, podeszła Allie i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Jamie, może jednak usiądziesz.

Odwrócił się do niej ze łzami w oczach.

- Nie mogę jej odnaleźć.
- Odnajdziesz - zapewniła.

Usadziła Jamesa na fotelu, poklepała po kolanie, a kiedy już się opanował, podeszła do sekretarki.

- To czekanie doprawdy zbyt długo się przedłuża.

W tym momencie, jak na zawołanie, w holu pojawił się Graham MacPhee. Maszerował sprężystym, energicznym krokiem, a jego zaczesane do tyłu włosy były wyraźnie mokre, chociaż minęła już pierwsza południe.

- Jamie, Allie - połączył ich imiona w jedno, jakby stanowili nierozłączną całość. - Zupełnie zatraciłem poczucie czasu.

Ruchem dłoni zaprosił ich do sali konferencyjnej, gdzie na stole leżały w nieładzie jakieś papiery. Allie usiadła w jednym z foteli, jednak James zatrzymał się tuż za progiem.

- Przygotowałem już wszystkie dokumenty w sprawie Techcel-lence - oznajmił Graham.

Jamie postanowił warunkowo przekazać zarząd nad firmą Rodowi i Flandersowi.

- Chociaż nadal uważam, że powinniśmy dokładnie określić okres obowiązywania cesji. - Graham zmarszczył czoło. - Możesz jeszcze zmienić zdanie i wyznaczyć limit czasowy.

Jamie podszedł do okna, pokręcił głową.

- Ujmijmy to tak: obecnie nie podzielam twojego optymizmu.

Graham odchrząknął w zakłopotaniu, ale szybko się zmusił do uśmiechu.

- W środę odbędzie się rozprawa wstępna - zagruchał radośnie, jakby obwieszczał wyjątkowo dobrą nowinę.

James nieporuszony stał przy oknie i z nieprzeniknioną miną śle-dził leniwy ruch na Main Street. Allie zwilżyła nerwowo wargi, skrzyżowała stopy i pochyliła się do przodu.

- Czyli?

Graham wzruszył ramionami, kropla wody spłynęła z włosów na kołnierz oliwkowej marynarki w jodełkę.

- To zwykła formalność. Stawimy się w sali rozpraw, prokura-tura oznajmi sędziemu, że mają ciało, wezwie na świadka - Cama, by omówił dowody oraz zeznanie Jamiego, a następnie sędzia stwierdzi,



że są podstawy do wystąpienia o akt oskarżenia, i potem wszyscy wrócimy do domu.

- A co z Jamiem? - zainteresowała się Allie. - On nie przedstawi własnej wersji wydarzeń?

Graham przeniósł wzrok na swojego klienta, który wciąż uparcie wyglądał przez okno.

- Na rozprawie wstępnej obrona nigdy nie przedstawia własnych argumentów. Zachowujemy nasze dowody na wielki show. Nie chcę, żeby Jamie był dwukrotnie maglowany przez przeciwną stronę.

Jamie niespodziewanie uderzył płasko rozłożoną dłonią o szybę.

- Ile to zajmie?

- Co? - spytał zdezorientowany Graham.

- Doprowadzenie tej sprawy do końca. - Jamie po raz pierwszy odwrócił się w jego stronę. - Poślanie mnie za kraty na resztę życia.

Graham podniósł się z fotela, ale i tak musiał wyciągać szyję, żeby spojrzeć Jamiemu w oczy.

- Mam nadzieję, że do tego nigdy nie dojdzie. O to właśnie toczy się gra.

- Założmy jednak, że przegramy - powiedział Jamie z wolna. - W takim razie straciłem cenne pół godziny, czekając, aż zwleciesz tyłek z roweru treningowego.

Graham się zaczerwienił aż po linię włosów.

- To nigdy więcej się nie powtórzy. - Zmieszany, opadł na obrotowy fotel i zaczął przerzucać dokumenty. - A gdy już jesteśmy przy tematach sądowych, powinniśmy omówić naszą linię obrony. Potrzebuję listy osób, które złożą zeznania na temat stanu zdrowia Maggie - mam na myśli przyjaciół, sąsiadów, krewnych, znających dobrze was oboje.

- Krewnych. - prychnął ironicznie Jamie.

Graham zerknął ukradkiem na Allie, a potem zaczął kreślić maleńkie kółka wrogu leżącej przed nim kartki.

- Musimy znaleźć też ludzi, którzy zaświadczą o prawości twojego charakteru.

- Ja to zrobię - zaoferowała Allie.

Graham uśmiechnął się do niej szeroko.

- Potrzebujemy kogoś, kto znał Jamesa przedtem, nim się pojawił w naszym mieście. Ale mogłabyś pomóc w nakłonieniu świadków do złożenia zeznań. Jako żona komendanta policji z definicji wzbudzasz zaufanie. - Postukał piórem o brzeg biurka, ponownie zwrócił się do Jamiego. - Musimy ściągnąć przed oblicze sądu wielu nieskazitelnie uczciwych członków twojej lokalnej społeczności, szczerze zaszokowanych wieścią, że komuś takiemu jak ty przedstawiono zarzut morderstwa.

Jamie usiadł wreszcie w przeznaczonym dla niego fotelu. Zaczął się kręcić na boki i niemalże pozwolił sobie na cień uśmiechu.

- A kto pojedzie do Cummington i oznajmi tym filarom społeczności, że czeka mnie proces karny?

Graham wydawał się zdumiony pytaniem.

- Ja, oczywiście - odparł i zaczął nerwowo poprawiać krawat, bo zauważył, że James mierzy go uważnym spojrzeniem - od czubka głowy, po sprzączkę paska i z powrotem.

- Nie. - Jamie odchylił się na fotelu i położył nogi skrzyżowane w kostkach na mahoniowym blacie stołu.

- Nie?

- Nie. - James uśmiechnął się przyjaźnie, ukazując śnieżnobiałe zęby. - Chcę, żeby Allie tam pojechała. - Allie drgnęła na dźwięk swojego imienia, które w ustach Jamiego brzmiało Jak kojąca kołysanka. - Ostatecznie, kto będzie bardziej wiarygodny dla ewentualnych świadków - nieopierzony prawnik czy modelowa żona komendanta?

Allie położyła dłoń na rękę Jamiego, splótła swoje palce z jego palcami.

- Pojadę z przyjemnością - ze zdumieniem usłyszała własny głos. - Porozmawiam z ludźmi w Cummington, sprawdzę, co się dzieje w twoim domu, zabiorę stamtąd zdjęcia, akt małżeństwa i inne potrzebne dokumenty.

- To niemożliwe - zaprotestował Graham, chociaż tak naprawdę

nie umiałby w żaden merytoryczny sposób uzasadnić sprzeciwu.

- Nie możesz jej wystawić jakichś pełnomocnictw czy czegoś w tym rodzaju? Daj jej nakaz włamania do mojego domu. Wszystko mi jedno.

- Istota nieleży w... - podjął Graham.

- Istota - przerwał mu Jamie - leży w tym, że ufam Allie. A tobie nie.

Mówił podniesionym głosem, do tego wstał z fotela, oparł dłonie o stół i gromił Grahama wzrokiem.

W tym samym momencie Duncan MacPhee, starszy z adwokatów, wsunął głowę w drzwi i ujrzał swojego syna kulącego się w fotelu przed klientem oskarżonym o morderstwo.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Oczywiście. - Allie i Graham odparli jednocześnie, natomiast Jamie opadł na krzesło, jakby nagle uszło z niego powietrze.

Graham skinął ojcu głową.

- Właśnie omawiamy, w jaki sposób pani MacDonald mogłaby skutecznie wysondować dla nas mieszkańców Cummington. - Wstał, przeprosił i ruszył w stronę drzwi, zastanawiając się przy tym, czy James MacDonald dostrzeże, jak bardzo drżą pod nim kolana.

Ledwo Graham zniknął w holu, Allie natarła na Jamiego.

- Byłeś dla niego wyjątkowo surowy - napomniała. - A on przecież robi wszystko, żeby ci pomóc.

Jamie uśmiechnął się promiennie i wyrwa żółtą kartkę z prawniczego bloku.

- Czyżby jeszcze nie dotarło do ciebie, że nie można pomóc człowiekowi, który nie chce pomocy?

Allie poczuła ściskanie w gardle, zwróciła wzrok w stronę okna. Odruchowo powędrowała spojrzeniem ku posterunkowi policji, do którego ktoś właśnie wchodził.

Allie znajdowała się zbyt daleko, by wyraźnie dostrzec, kto zaczął, ale wzięła sobie, że to był Cam, i od razu poczuła się lepiej.

Tymczasem Jamie wziął z biurka długopis i wyraźnymi drukowanymi literami zaczął wypisywać listę nazwisk.

- Nie znam wszystkich adresów - powiedział. - Ale znajdziesz je w książce telefonicznej.

Allie bez słowa skinęła głową.

Zastanawiała się, co powie Cam, gdy usłyszy o jej spontanicznie podjętym zobowiązaniu.

I czy Mia poradzi sobie sama w kwaciarni, po zaledwie kilku dniach wspólnej pracy.

- Możesz się zatrzymać w moim domu. Mam u Angusa klucze. - Zawahał się na ułamek chwili. - Nie krępuj się i przejrzyj wszystko, co uważasz za stosowne. Przywieź takie rzeczy, które według ciebie będą mi potrzebne. - Napisał ostatnie nazwisko i odłożył pióro. - Proszę. - Wyglądził dłonią kartkę, wyciągnął w stronę Allie, przetrzymując w palcach chwilę dłużej niż to konieczne. - Dziękuję - powiedział cicho. - Wiem, że nie masz ochoty go zostawiać.

Allie nie miała wątpliwości, o kim mówi James.

- To tylko kilka dni. - Dla własnego pocieszenia odwołała się do logiki i rozsądku - Jak wrócę, Cam wciąż tutaj będzie.

Jamie cmoknął ją w czoło i wstał z fotela. Kilka razy przeszedł się wzdłuż stołu, a potem znowu stanął przy oknie. Zapatrzył się w niebo.

Wyobraził sobie, że tkwi zamknięty w murach jakiegoś nowoangielskiego więzienia o zaostrowym rygorze - być może w Concord, gdzie przez całą noc dobiega głośny huk ruchu na obwodnicy - odcięty na resztę życia od Wheelock i Cummington. Pomyślał o Maggie - eterycznej, świetlistej przebiegającej tanecznym krokiem oba miasteczka, zagładającej do okien wszystkich domów, uchylającej ciężkie drzwi, próbującej za wszelką cenę go odnaleźć. Podczas gdy ona będzie bezszelestnie poszukiwać człowieka, który zniknął bez śladu, w niebiosach zapanuje pępna pustka.

- Muszę cię prosić o jeszcze jedną przysługę - powiedział Jamie, oparłszy czoło o chłodną szybę. - Gdy ona przyjdzie. Gdy Maggie się pojawi.

- Powiem jej. - Allie stanęła tak blisko, że poczuł ciepło jej oddechu na swoim ramieniu. - Powiem, gdzie cię znaleźć.

W odróżnieniu od innych wyznawców ruchu New Age, Ellen MacDonald nie obchodziło, kim była w poprzednim wcieleniu, o ile nie miało to jakiegokolwiek związku z jej zmarłym mężem.

Jeszcze osiem lat temu, za życia Iana, gdy ktoś wspominał przy niej słowo „kryształ”, pytała, czy chodzi o szkło marki Waterford czy Baccarat. Teraz nosiła na szyi wisiołek w kształcie sztyletu, wykonany z kwarcu wydobytego ze świętej jaskini w Arizonie.

Preferowała ubrania z recyklingowej bawełny, wierzyła w projekcję myśli i czakry oraz studiowała korespondencyjnie medycynę naturalną w Mothers of Light New Age Community School z siedzibą na jednej z farm w północnym Vermoncie.

Większość mieszkańców Wheelock - z jej synem, Cameronem łącznie - żyła w przeświadczeniu, że po stracie męża kompletnie jej odbiło.

I tylko z jednego powodu Ellen niestała się obiektem powszechnych kpin: przez tak wiele lat była żoną przywódcy klanu, że po jego śmierci w naturalny sposób została kimś w rodzaju szacownej królowej-matki, której ekscentryczność wyrozumiale się akceptuje.

Wszyscy byliby bardzo zdumieni, gdyby się dowiedzieli, że miała gdzieś bambusowe fletnie, tofu z grilla czy spersonalizowane olejki aromatyczne. Rozprawiała o nich tylko dlatego, że stanowiły idealny temat zastępczy.

Jej znajomi byliby zaszokowani wiadomością, że Ellen MacDonald zainteresowała się ruchem New Age z jednego, jedyne go powodu: dzień po pogrzebie Iana znalazła w skrzynce na listy broszurę pewnej komuny, zatytułowaną wielkimi, czarnymi literami: „Miłość Twojego życia na zawsze pozostanie u Twego boku”.

To była pomyłka pocztowa, co w miasteczku, gdzie aż się roilo od MacDonaldów, nie należało do rzadkości. Tandetna reklama jednej z grup New Age obiecywała singłom odnalezienie drugiej połówki na podstawie układu planet i związków karmicznych.

Ale dla Ellen, która właśnie utraciła miłość swojego życia, opisy przedstawione w broszurze brzmiały tak prawdziwie, że nie miała serca wyrzucić jej do kosza.

Przez tydzień trzymała ją przymocowaną magnesem do drzwi lodówki.

W tym samym czasie wprowadziła się do niej żona Cama, Allie: pilnowała, żeby Ellen jadła regularnie posiłki i zażywała środki nasenne przepisane przez lekarza.

Ellen na dziesięć dni całkowicie pogrzyżyła się w żałobie, a potem zażyczyła sobie wizyty w bibliotece, gdzie chciała w kilku książkach poszukać uzasadnienia pewnych teorii. I nie minęły trzy miesiące, a przemieniła się w całkiem inną osobę.

Nie chodziło o to, że nagle uwierzyła w migrację materii czy reinkarnację. Dla niej najważniejszy był kontakt z ludźmi, którzy szczerze wierzyli, że miłość dwojga ludzi może trwać przez wieki.

W jej mniemaniu o wiele zdrowsze było poszukiwanie wewnętrznego spokoju i życie nadzieją, że w taki czy inny sposób jeszcze się spotka z Ianem, niż usychanie z tęsknoty i czekanie już tylko na śmierć. Ostatecznie, nigdy nic nie wiadomo, powtarzała sobie w chwilach racjonalistycznego zwątpienia.

Allie była jedyną osobą, znaną Ellen, która z entuzjazmem zaakceptowała jej nowy styl życia.

Co najmniej raz w tygodniu odwiedzała teściową z naręczami świeżych i suszonych kwiatów, a potem we dwie wprawiały się w sporządzaniu wyciągów, kataplazmów i naparów na drobne dolegliwości. Jak na razie ich największym sukcesem był wyciąg z maruny, który działał cuda, gdy Allie chwyciły bóle menstruacyjne. Sporządziły też napar na bazie czarnego bzu i pewnego ranka Allie potajemnie dołała go do soku pomarańczowego Cama, a potem zaklinała się na wszystkie świętości, że nim minęło południe, kaszel męża całkowicie ustąpił.

Teraz siedziała w kuchni teściowej i ogławiała nagietki, podczas gdy Ellen poszła po pocztę, którą chwilę później rzuciła na stół.

- Dostałaś coś ciekawego? - spytała Allie.

- Rachunki. I bony rabatowe na artykuły, których zupełnie nie potrzebuję.

Allie parsknęła śmiechem.

- Oddaj je Angusowi. Wciąż jeszcze się nie połapał w systemie funkcjonowania amerykańskich supermarketów. Jeżeli dostanie jakiś bon, natychmiast z niego korzysta, bez względu na oferowany towar. - Zerknęła spod oka na teściową. - Raz nawet widziałam, jak kupował tampaksy.

Ellen skwitowała tę wiadomość uśmiechem i stanęła u boku Allie.

- Myślisz, że to będzie skuteczne?

Allie przygryzła wargę.

- Nie wiem. Maści to wyższa szkoła jazdy. Jeszcze nigdy żadnej nie ukręciłam. - Spojrzała na nie oznakowane pojemniki z woskiem pszczelim i lanoliną. - Tak czy owak, najpierw musimy sporządzić napar. - Napełniła wodą czajnik i postawiła go na gazie. - Jak sądzisz, mamy już pół kilo? - musnęła palcami zgniecione płatki kwiatów.

Ellen skinęła głową.

- Z pewnością. - Usiadła naprzeciwko i oparła łokcie na stole. - We dwie stanowiłybyśmy niezłą parę czarownic.

Uwaga teściowej rozbawiła Allie.

- Tylko to sobie wyobraź. Już nie machałabym miotłą, gdy po raz dwudziesty jednego dnia sprzątam kwaciarnię, ja bym na niej fruwała.

Odezwał się gwizdek czajnika. Allie zgarnęła nagietki, wrzuciła do wrzącej wody, po czym starannie umieściła pokrywkę z powrotem na swoim miejscu.

- Dwadzieścia minut - oznajmiła, zerkając na zegarek.

Ellen lubiła swoją synową.

Była uroczą i pracowitą, no i szalała za Cameronem. Niekiedy zachowywała się zbyt potulnie, czy może zbyt przymilnie, ale Ellen wyjątkowo dobrze wiedziała, jak trudno jest żyć na co dzień z kimś o temperamencie tropikalnego huraganu.

- Czy Cam wciąż nie chce ze mną rozmawiać? - zapytała.

Allie zdmuchnęła kosmyk włosów opadający jej na czoło.

- Niestety - odparła prostolinijnie. - Jest nadal wściekły z powodu tej kwatery.

Ellen zaproponowała Jamiemu, żeby pochował Maggie w jednej z kwater w rodzinnej części miejscowego cmentarza. Uznała, że ona i James mają ze sobą wiele wspólnego. Bez względu na to, jak się zakończyło życie Maggie, Jamie o wiele chętniej podążyłby za nią, zamiast pozostawać na tym padole i niezdarnie zbierać w całość resztki własnego życia. Ellen doskonale to rozumiała - ostatecznie znajdowała się w identycznej sytuacji od ośmiu lat - szybko więc na swój koszt zamówiła dla Jamesa prenumeratę jednego z pism New Age i w akcie darowizny przekazała kwaterę na cmentarzu.

Za co Cam miał ochotę urwać jej głowę.

- Miło mi myśleć, że Ian i Maggie będą doglądać siebie nawzajem - oświadczyła Ellen.

Allie wyjęła z szafki naczynie do łaźni wodnej i zaczęła w nim podgrzewać wosk, lanolinę oraz olejek migdałowy.

- A kto będzie doglądać Jamiego? - spytała.

- Ty, naturalnie.

Allie nie zamierzała informować teściowej o wręcz organicznej niechęci, jaką jej syn żywił do Jamiego MacDonalda, udała więc, że bardzo ją pochłania precedzanie nagietkowego naparwu, który potem dodała do gorącej mieszaniny lanolinowo-woskowej. Przez chwilę obie kobiety czekały, aż woda z łaźni wyparuje, po czym Allie zaczęła studzić zawartość naczynia.

- Gotowe. - Otarła dłonie o dzinsy. - Szkoda, że natychmiast nie możemy wypróbować efektów jej działania.

Ellen wetknęła palec w ciepłą miksturę.

- Przypomnij mi raz jeszcze, do czego ma służyć?

Allie ściągnęła brwi.

- Przecież to ty studiujesz medycynę holistyczną - zauważyła - Ma przyspieszać gojenie drobnych oparzeń, w tym słonecznych, oraz egzemy.

Ellen odwróciła się z uśmiechem.



- Jedna chwila - powiedziała.

Podeszła do szklanych, rozsuwanych drzwi wychodzących na ogród. Rozpięła kaftan, potem biustonosz, ukazując białą, gładką skórę. Zasłoniła dłońmi piersi i wyobraziła sobie twarz Iana. Na oczach Allie obnażyła lewą pierś, na której - tuż nad sercem - widniała duża, świeża oparzelina.

Allie odruchowo przycisnęła dłoń do ust. Ellen raz jeszcze zanurzyła palec w nagietkowej maści i kolistymi ruchami zaczęła ją wmasowywać w bolesne zaognienie.

- A! - uśmiechnęła się na użytek Allie. - Od razu lepiej.

Zaczerwienienie nieco zbladło, a Ellen dodatkowo stwierdziła, że zmniejszyło się również pieczenie skóry. Nie przyćmiło jednak głębiej umiejscowionego bólu, bo nagietek - czy też żadna inna maść znana ludzkości - nie jest w stanie zagoić ran duszy.

Cam spóźnił się na pogrzeb z powodu niejakiej panny Emily Kerr, osiemdziesięciolatki, która zjawiła się na posterunku i oznajmiła, że chce wykupić pozwolenie na broń.

- Dlaczego? - zainteresował się Cam.

To było rutynowe pytanie, zadawane każdemu w takiej sytuacji.

Emily wyprostowała się dumnie na całą swoją wysokość stu czterdziestu ośmiu centymetrów.

- Żeby się bronić przed takimi typami, jakich nie brak w waszej rodzinie - oznajmiła, po czym niespodziewanie odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z komisariatu.

Była to już druga osoba tego dnia, która przyszła po pozwolenie, umożliwiające zakup pistoletu.

Wcześniej wystąpiło nie Donald Burns, tłumacząc, że potrzebuje broni, ponieważ wykupił sezonowy karnet na mecze Bruinsów, a Boston to niebezpieczne miasto.

Cam jednak dobrze wiedział, jak interpretować poranne zdarzenia. Ten nagły i niezwykły dla Wheelock wzrost zainteresowania pozwoleniami na krótką broń był wynikiem pojawienia się w miasteczku Jamiego MacDonalda.

Jamie MacDonald. Ledwo Cam o nim pomyślał, w panice zerknął na ścienny zegar. Klnąc pod nosem, chwycił z wieszaka kurtkę i pobiegł do swojego nie oznakowanego radiowozu. Uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się pół godziny temu.

Ominęła go msza. Ojciec Gillivray zebrał już grupę żałobników przed mrocznym, świeżo wykopanym dołem.

Ku zdumieniu Cama, wokół trumny zgromadziło się całkiem sporo mieszkańców miasteczka. Allie trzymała Jamiego pod rękę. U jego drugiego boku stała matka Cama, Ellen.

Miała na sobie jeden z tych swoich długich, fioletowych kaftanów i nieustannie przrzuciała w palcach zawieszony na szyi ankh. Musiała szóstym zmysłem wyczuć obecność syna, bo kiedy tylko Cam stanął nad grobem, obracając kapelusz w dłoniach, spiorunowała go takim samym wzrokiem jak w latach młodości, gdy znalazła „Playboya” ukrytego pod materacem łóżka.

Mia także przyszła na pogrzeb, ale trzymała się nieco na uboczu. Była ubrana w luźny, czarny sweter, który wyglądał jak skrzyżowanie habitu zakonnicy z kurtką lotniczą.

Oczy i nos zasłaniał jej czarny kapelusz o szerokim rondzie, ale Cameron i tak natychmiast ją rozpoznał.

Chwilę później poczuł szarpnięcie za rękaw. Allie posłała mu niepewny uśmiech i pociągnęła w stronę Jamiego. Chwyciła ich obu pod rękę i w tej samej chwili Cama ogarnął elektryzujący smutek, jakby Allie stała się przekaźnikiem emocji kuzyna.

Za sprawą Ellen Maggie MacDonald chowano w kwaterze należącej do MacDonaldów, nie opodal grobu ojca, dziadków i pradziadków Camerona, a także bohaterskiego stryja Jamiego.

Cam wydzierał się na matkę przez ponad godzinę, kiedy się dowiedział, że ofiarowała miejsce na cmentarzu dla Maggie.

Oznaczało to, że pewnego dnia Cameron zostanie pochowany w tej samej ziemi, że James MacDonald, i będzie musiał znosić jego sąsiedztwo przez całą wieczność, a na to zdecydowanie nie miał ochoty.

Ojciec Gillivray ciągnął swoje modlitwy. Cam, który zszedł właśnie z nocnej zmiany, zachwiał się na nogach. Żeby nie zasnąć, zaczął wodzić wzrokiem po wiązankach pogrzebowych otaczających trumnę. Były nieskazitelne: biel i kość słoniową przełamywała tylko

jedna krwista łza - wysmukły pąk czerwonej róży.

Cam przymknął powieki i odniósł wrażenie, że dźwięczy mu w głowie muzyka kobz, która towarzyszyła odesłaniu w zaświaty duszy jego ojca. Wyraźnie usłyszał skrzyp sznurów podczas spuszczenia trumny do ziemi.

Palce Allie zacisnęły się kurczowo na jego ramieniu i wówczas Cameron zdał sobie sprawę, że odgłos, który uznał za kobzy, wydobywał się z ust Jamiego MacDonalda. Cam słyszał o zwyczaju praktykowanym przez zamożne chińskie rodziny - wynajmowaniu zawodowych płaczek, by zawodziły podczas ceremonii pogrzebowej, ponieważ duża liczba okazujących jawną rozpacz żałobników podnosiła prestiż zmarłego.

W wypadku Maggie MacDonald był tylko jeden zawodzący żałobnik, co jednak nie zmniejszało ciężaru gatunkowego rozpaczcy.

Jamie dosłownie zapadł się w siebie. Podczas gdy trumna zjeżdżała w dół, wyrwał ramię spod ręki Allie, opadł na kolana i zakrył twarz dłońmi.

Za plecami Cama zmieszani mieszkańcy miasteczka zaczęli niespokojnie przestępować z nogi na nogę. Ojciec Gillivray uniósł wzrok znad Biblii.

- Mój synu. - odezwał się miękim głosem.

Szeroko rozwarte oczy Jamesa były całkowicie suche.

- Mo chridhe. - wypowiedział półgłosem, a potem się podniósł niezdarne i chwycił Allie za ramię.

- Zabierz mnie stąd - rzucił błagalnym tonem.

Allie zerknęła znacząco na Cama, po czym zaczęła się oddalać wraz z Jamiem od otwartego grobu.

Ojciec Gillivraypospiesznie zakończył modlitwy, a ponieważ głównego żałobnika już nie było, wszyscy inni także szybko się rozeszli.

Teraz mogli wkroczyć grabarze.

Cam wsunął ręce w kieszenie i przyglądał się ich pracy. Postanowił osobiście wszystkiego dopilnować w ramach pokuty za nieobecność na mszy.

Wreszcie w miejscu zięjącej dziury pojawił się starannie usypany, zaokrąglony kopczyk. Dwaj zziązani mężczyźni oparli łopaty o pobliski dąb i otarli pot z czoła. Wówczas Cam uznał, że może odejść.

Odwrócił się na pięcie i ujrzał przed sobą Mię.

Patrzył na nią w taki sposób, jakby miał ją oglądać po raz ostatni w życiu.

Mimowolnie zacisnął dłonie i czekał, aż szerokie rondo kapelusza uniesie się na tyle, by zdołał zajrzeć Mii w oczy. Kiedy je wreszcie zobaczył, serce podskoczyło mu do gardła i poczuł dziwne łaskotanie w brzuchu - jak w czasach, gdy był jeszcze nastolatkiem.

Podobne emocje były wysoce niestosowne w tym miejscu i okolicznościach, ale Cam nie potrafił zapanować nad gorącym zalewającym go gwałtownymi falami. Chryste, pomyślał, gdy już nieco ochłonął. Ta kobieta jaśniejnie niezwykłym, wewnętrznym światłem.

Mia bez słowa podeszła do grobu i uniosła jedną z własnoręcznie wykonanych wiązanek.

Delikatnie odwinęła drut mocujący krwistoczerwoną różę, wyciągnęła ją z gąbki i podała Cameronowi.

Obrócił kwiat w palcach, przejechał nim po wnętrzu dłoni. Allie nie przepadała za różami - twierdziła, że są plebejskie - ale jemu zawsze się podobały. Lubił ich fakturę - gładką i aksamitną niczym skóra kobiety.

Powolnym pociągnięciem oderwał łodygę od kwiatu i teraz pozostały mu w dłoni luźne płatki, które chwilę później zdmuchnął wiatr, tak że najpierw zaczęły wirować w powietrzu, potem opadły na uklepaną ziemię.

- Co to znaczy? - spytała Mia.

- „To”, czyli co? - Camowi zawirowało w głowie milion rozmaitych możliwości.

- Mo chridhe.

Cam pokręcił głową, udając, że nie wie.

Ale w Wheelock każdy znał przynajmniej kilka słów w gaelic, szczególnie tych odnoszących się do miłości, które mogłaby wypowiedzieć matka - lub kochanka. W milczeniu odprowadził Mię do centrum miasteczka, a po drodze raz po raz stawał mu przed oczami obraz Jamiego MacDonalda klęczącego nad grobem - jakby w modlitewnej pozie, Jamiego MacDonalda chylącego się ku trumnie żony, szepczącego „Moje serce”.

Kiedy umilkły anielskie armaty, zdołał się doczołgać do rowu, w którym leżał teraz z twarzą w kałuży, i usilnie próbował przewrócić się na bok, by wreszcie zaczerpnąć powietrza.

Nie było to łatwe, ponieważ miał strzaskane oba kolana, a oczy zalewała mu krew płynąca z rany na głowie.

Mimo to wciąż dzierżył w ręku swój kord. Przynajmniej nie okazał się krzywoprzysięzcą.

Dał słowo, że będzie walczył z Anglikami, póki zdoła ustać na własnych nogach. Teraz nie był już do tego zdolny.

Modlił się o szybką śmierć.

Już raz w życiu wznosił podobne modlitwy - w dniu, gdy zyskał swoją nieśmiertelną sławę niezwykłego wojownika. Walczył u boku ojca.

A jego niezwykle cięcie lewą ręką, które tak zaskakiwało większość praworęcznych wrogów, było również powodem, dla którego ojciec otrzymał śmiertelną ranę.

Kiedy Cameron wznosił lewicę, pomiędzy nim a ojcem powstała wolna przestrzeń, w konwencjonalnej sytuacji osłaniana tarczą.

Ojciec został ciężko ranny w brzuch i poprosił Camerona o coup de grace.

Nie ulegało wątpliwości, że skona, ale był zbyt słaby, żeby własnoręcznie skrócić swoje cierpienia. Cameron nabił więc pistolet, przyłożył do ojcowskiej skroni, a potem ojciec sam pociągnął za cyngiel.

Formalnie Cam nie zabił ojca, ale w duchu żywił przekonanie, że to zrobił.

Jeszcze tego samego dnia ponownie rzucił się w wir walki przeciwko Campbellom.

Był odziany jedynie w długą białą koszulę, ale chroniony niewidzialną zbroją - swoją niepohamowaną furią. Pragnął zginąć. Lec w grobie u boku ojca.

Nie chciał być tym, który zaniesie straszną wieść swojej matce, braciom i siostrze. Nie chciał zostać lairdem Carrymuir.

Miał zaledwie szesnaście lat i tego jednego popołudnia rozsiał czterdziestu Campbellów. Sam nie został choćby draśnięty.

Bardowie wędrujący od dworu do dworu zaczęli wkrótce śpiewać pieśni o magicznym lewym ramieniu Camerona MacDonalda. Kiedy się zjawiali w Carrymuir, Cameron opuszczał komnatę. Bez względu na to, ilu zabił Campbellów czy Anglików, nie był w stanie wskrzesić ojca z martwych.

Nie ustawał jednak w wysiłkach aż do dzisiejszego dnia, do masakry pod Culloden.

Uniósł wzroki ujrzał końskie kopyta zbliżające się do niego w szaleńczym pędzie. Zacisnął powieki, modląc się i szykując na śmierć, prosząc w duchu, by najpierw dane mu było stracić przytomność.

Nie dalej jak metr od niego z konia stoczył się człowiek i wierzchowiec natychmiast stanął w miejscu.

Cam odwrócił głowę i zobaczył przed sobą zakurzony, czerwony mundur angielskiego żołnierza, który trzymał w dłoni pistolet.

Cameron rozciągnął usta w uśmiechu.

- No już, mo charaid - powiedział, rozrzucając ręce na boki. - Wybaw mnie z tej niedoli.

Żołnierz rozwarł szeroko oczy. Spojrzał na pistolet, potem na własny brzuch, przesiąknięty krwią.

- Mam nadzieję, że będziesz zdychał przez wiele dni - powiedział sucho, po czym przyłożył sobie pistolet do głowy i pociągnął za spust.

Huk tak blisko oddanego wystrzału niemal ogłuszył Camerona, przed którym stanęło teraz nowe wyzwanie.

Mógł chwycić za pistolet wroga, nabić go i skończyć ze sobą lub złapać za cugle konia, który stał posłusznie w miejscu, od czasu do czasu przebierając kopytami w grząskim błocie.

Cameron przenosił wzrok z broni na wierzchowca i z powrotem. A potem zamknął oczy, ujrzał twarz ojca i gorzko zapłakał.

Kto by pomyślał, że w godzinie wyboru wcale się nie zdecyduje na najłatwiejsze rozwiązanie?

Gdy Angus się zbudził z gwałtownie bijącym sercem i zamętem w głowie, wciąż dźwięczał mu w uszach tętent końskich kopyt.

Przejechał rękami po swoich kolanach - chudych i węzlastych, zaatakowanych przez artretyzm, ale poza tym nieuszkodzonych. Zdusił przekleństwo na widok mokrych od potu prześcieradeł, po czym wygramolił się z łóżka i ruszył do holu, gdzie stała komoda z bielizną pościelową.

Z pokoju Jamiego dobiegły go jakieś odgłosy i w pierwszej chwili starzec pomyślał, że Cameron MacDonald przegalopował z jego własnego umysłu wprost do umysłu Jamiego, jednak szybko odrzucił tę myśl jako niedorzeczną.

Duchy - te prawdziwe - nie zachowywały się w podobny sposób. Pewnie chłopak przeżywał na nowo dzisiejszy pogrzeb, może nawet zjawiła się u niego Maggie.

Angus zaśmiał się pod nosem na tę myśl: pewnego dnia będą musieli zasiąść w czwórkę do śniadania - Angus, Jamie i dwójka duchów nawiedzających ten dom.

Ze świeżą bielizną pościelową w ramionach, Angus podszedł na palcach do pokoju Jamiego.

Uchylił drzwi i zaklął cicho, gdy zaskrzypiały w zawiasach. Jamie leżał na kołdrze, zaciskał dłonie w pięści i od czasu do czasu rzucał się na obie strony.

Przez chwilę starzec stał nieruchomy w progu. A potem Jamie wydał z siebie nieznaczny dźwięk, który na jawie jest zduszonym jękiem, ale we śnie - rozdzierającym krzykiem.

Prześcieradła z cichym świstem opadły na ziemię, gdy Angus rzucił się przez pokój i wszedł do łóżka Jamiego. Mocno oplótł chłopca ramionami, próbując opanować jego drżenie i konwulsyjne szamotanie. We śnie Jamie nie widział swojej Maggie - to jedno było pewne. Najprawdopodobniej widział samego siebie.

Ledwo Angus to pomyślał, Jamie wtulił twarz w jego szyję i przywarł do stryja tak kurczowo, jakby od tego zależało jego życie.

A potem poddał się rozpacz.

Allie wyczytała gdzieś pewnego razu, że małżonkowie poświęcają mniej niż cztery godziny dziennie na wspólne aktywności, i ta statystyka wprawiła ją w przerażenie, tym bardziej że z powodu

wariackiego grafiku Cama zdarzały się i takie dni, kiedy w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Z innego źródła dowiedziała się również, że kobiety w ciągu dnia wypowiadają dwa razy więcej słów niż mężczyźni, i zaczęła się zastanawiać, czy dzieje się tak dlatego, że kobiety są z natury gadatliwe, czy może mężczyźni potrzebują dwukrotnie dłuższego komunikatu, aby zrozumieć, co się do nich mówi.

Obie te statystyki miały ścisły związek z rozwodami, chociaż teraz Allie już nie pamiętała jaki.

Tak czy owak, po owej lekturze uznała za swój obowiązek wciąganie Cama w rozmowę przy każdej nadarzającej się okazji. Ich związek był zbyt ważny, aby miał się rozpaść przez coś tak przyziemnego jak niedostatek komunikacji. Wskoczyła do łóżka i odwróciła się w stronę Cama, który natychmiast wyciągnął rękę w stronę nocnej szafki i zgasił lampę. Allie westchnęła ciężko, przewróciła się na plecy i skrzyżowała ręce na brzuchu.

- Jesteś na mnie wściekły.

- Przestań mi cokolwiek wmawiać - zachnął się Cam.

Nie odezwał się jednak do niej ani słowem od chwili, gdy przy kolacji oznajmiła, że w przyszłym tygodniu pojedzie do Cummington, by pomóc Grahamowi MacPheew pozyskaniu świadków obrony.

- To dlaczego ze mną nie rozmawiasz?

- Przecież właśnie rozmawiamy. - Teraz on westchnął i spojrzał na Allie. - Nie zamierzasz gasić światła?

- Nie chcesz, żebym pomagała Jamiemu.

- Jesteś już dorosła, Allie. To twój wybór.

Allie ściągnęła brwi i sięgnęła do wyłącznika.

- Ty stoisz po stronie oskarżenia, a ja obrony.

- Jestem jedynie świadkiem. Nie prokuratorem. I wszystko mi jedno, jaki werdykt zapadnie w tej sprawie.

Allie wbiła spojrzenie w sufit, gdzie światło księżycy układało się w blade, kalejdoskopowe wzory.

- To bardzo miły człowiek - mruknęła.

- Jak powiedziałem, nie jestem prokuratorem. To jemu powinnaś złożyć podobne oświadczenie. - Wymacał pod kołdrą rękę żony,



uniósł ją do ust. - Dobranoc - powiedział, zerkając przy okazji na cyfrowy zegar.

- Nie będzie mnie przez trzy dni - oznajmiła Allie. - Może nawet cztery.

Cam skinął głową i wymamrotał zaspanym głosem:

- Baw się dobrze.
- Nie powiesz, że będziesz za mną tęsknił?
- Będę za tobą tęsknił. - Odwrócił się do niej plecami, zagarniając przy tym większość kołdry.

Przez dłuższą chwilę Allie obserwowała, jak świetliste plamy na suficie zastygają w kształt lamy, wieloryba, anioła. A potem ponownie włączyła światło.

- Nie możemy spać.

Cam przewrócił się na plecy, osłonił oczy dłonią.

- Ty nie możesz - skorygował.

Allie przygryzła wargę.

- Czy wiesz, że małżonkowie poświęcają mniej niż cztery godziny dziennie na wspólne aktywności?

- Czy obecna nie mogłaby należeć do pozostałych dwudziestu?

- Nie - sprzeciwiła się stanowczo Allie. - Myślę, że powinniśmy częściej ze sobą rozmawiać. W tym tygodniu z powodu Jamiego, Mii i Bóg wie czego jeszcze prawie nie zamieniliśmy ze sobą słowa.

Zrezygnowany, Cam usiadł i podłożył sobie poduszkę pod plecy.

- A o czym mianowicie chcesz porozmawiać?

- O tym i owym - odparła Allie.

Kiedy wyobrażała sobie ich ożywioną dyskusję, nie myślała o takich detalach.

- Nie zamierzam ci recytować listy zatrzymań.

- Mógłbyś... - Allie się zawahała - ...mógłbyś mi powiedzieć, co zamierzasz zeznać na rozprawie wstępnej.

- Nie. Tego w żadnym razie nie mógłbym ci powiedzieć.

Siedzieli obok siebie w milczeniu, aż w końcu Cam się nachylił i pocałował żonę w ramię.

- W naszym związku lubię między innymi to, że mogę w twojej obecności swobodnie pomilczeć.

- A o czym rozmawialiśmy przed laty? - zapytała bardziej samą siebie niż Cama.

Tak naprawdę znała odpowiedź.

Tuż po ślubie, przed pięciu laty, praktycznie wcale się nie znali.

Snuli wtedy plany na przyszłość, wymyślali imiona dla swoich nienarodzonych dzieci, projektowali wielką rezydencję, którą zamierzali wznieść na obrzeżach Wheelock.

Natomiast teraz jedno skrzyżowanie wzroku podczas śniadania zastępowało całe zdanie.

Ona i Cam byli dwójką bardzo różnych ludzi, więc Allie desperacko wmawiała sobie, że przeciwieństwa się przyciągają, a dwa identyczne kawałki puzzli nigdy do siebie nie będą pasowały.

Zaczęli się spotykać w najzimniejszej porze roku - w środku stycznia. Cam niekiedy wpadał do Allie na kolację i kieliszek brandy. Aż w końcu pewnej niedzieli zaprosił ją na spacer.

Na dworze panował siarczysty mróz. Cameron ubrał Allie w swoją puchową kurtkę oraz nieprzemakalne spodnie narciarskie i zabrał na wędrowkę po lesie rozciągającym się poniżej przełęczy Wheelock.

Allie wpatrzyła się w gęstwinię lasu, miała wrażenie, że po zmrozonej, śnieżnej powierzchni - kruchej niczym wafel - zmierza do samego jądra zimy.

Cam opowiadał o wzgórzach Chimborazo, o hiszpańskim Costa de la Luz, o uroku Belfastu, a z każdym wypowiedzianym słowem wykwitwała przed nim mgiełka zastygająca w małe, zmrożone wstęgi.

- Nie chciałybyś podróżować po świecie? - zapytał w końcu, a ona pokręciła przecząco głową. Powiedziała, że sama myśl o dalekich wyprawach ją przeraża i przypomina o sennym koszmarze, który prześladował ją w dzieciństwie.

Znajdowała się w obcym, kamiennym mieście, gdzie wszyscy się porozumiewali za pomocą kłaśnień językiem i pomruków, których kompletnie nie mogła zrozumieć.

Próbowała sobie wmówić, że jeżeli tylko się postara i wyczerpie słuch, te dźwięki ułożą się w jakąś sensowną całość, jednak w rezultacie czuła się tylko coraz bardziej wyobcowana, a kiedy się

wreszcie obudziła nie mogła pojąć, gdzie i jaki popełniła błąd.

- To nie kwestia błędów, tylko innego pojmowania rzeczywistości - wyjaśnił Cam.

- Nieważne - ucięła Allie. - Ja lubię kroczyć jedynie znanymi sobie ścieżkami.

Tamtego dnia pocałował ją na do widzenia, a potem powiedział, że podróże są wspaniałe tylko wtedy, gdy ma się do kogo wracać.

- Czy uważasz, że jesteśmy swoimi przeciwieństwami? - spytała teraz Allie, a w nocnej ciszy jej szept poniósł się dramatycznie głośnym echem. - Cam, czy tak uważasz?

Odwróciła się w stronę męża.

Miał zamknięte oczy, jego rzęsy kładły się miękkim cieniem na policzkach.

Allie położyła głowę na piersi Camerona i objęła go mocno ramionami. Chłonoła całą sobą jego zapach i milczenie, dostosowując się do jego rytmu - jak zwykle.

Cam siedział na stołku w kafeterii i kruszył w palcach muffinkę z jagodami.

Tak naprawdę wcale nie miał na nią ochoty, ale oprócz tego były jeszcze pączki.

Cameron kategorycznie zabronił wszystkim funkcjonariuszom jądania pączków na służbie, ponieważ zdecydowanie nie życzył sobie, by jego podwładni stanowili wdzięczny przyczynek do oklepanych dowcipów o gliniarzach.

- Chcesz coś jeszcze? - spytała Jenny, jego kuzynka trzeciego stopnia, pracująca tutaj jako kelnerka.

- Nie, dzięki - odparł i Jenny pospieszyła w stronę czterech łóż, stojących przy ścianie.

Cameron zerknął na zegar wiszący za barem, nad wypchanym łbem dzika, po czym rozluźniony odchylił się na oparcie. Do rozpoczęcia jego zmiany pozostało jeszcze całe dziesięć minut.

Allie miała wyjechać pojutrze i Cam czuł się dziwnie na tę myśl. Przez pięć lat ich małżeństwa jego żona nigdy nie opuściła Wheelock. To on wyjeżdżał na szkolenie do Negaintree, spędził też

kilka dni w szpitalu przy okazji operacji kolana. Allie natomiast była domatorką. Tkwiła na straży fortu.

Już wręczyła mu listę zakupów, które będzie musiał zrobić w spożywczym, oraz opis czynności niezbędnych do funkcjonowania domu. Czy to doprawdy możliwe, że przez pięć lat nie nauczył się obsługiwać zmywarki?

Cameron zastanawiał się od czasu do czasu, jak, u diabła, Jamie MacDonald zdołał nakłonić Allie do dobrowolnego wyjazdu poza granice Wheelock.

Zerknął raz jeszcze na swoją listę i wówczas przypomniała mu się kolejna - ta, którą żona sporządziła tego ranka dla Mii.

Była dwa razy dłuższa niż jego.

Już miał zaproponować, że podrzuci tę listę do kwaciarni - szczęśliwie w ostatniej chwili uświadomił sobie, że przecież Allie osobiście się tam wybiera.

Odzywający się przez okrągły rok dzwonek od sań oznajmił pojawienie się w kafeterii nowego klienta. Jakby ściągnięta myślami Cama, do kontuaru podeszła Mia.

- Witaj - rzucił lekko.

Zastygła na dźwięk jego głosu, ale po chwili spojrzała na niego z nieśmiałym uśmiechem.

- Witaj.

Wskazał na sąsiedni stół. Mia posłusznie usiadła, po czym przyjęła z rąk Cama filiżankę kawy. Pociągnęła długi łyk, przymykając przy tym oczy, a potem zerknęła na kartkę papieru, którą Cameron wciąż trzymał w dłoni.

- A więc oboje zostaniemy osieroceni - zauważyła.

Cam zamachał kartką przed jej nosem.

- Moja lista jest krótsza.

- Może w takim razie powinnam scedować na ciebie część moich obowiązków. Wolisz pojechać po nawóz czy obdzwonić klientów zalegających z płatnościami?

- Wybieram zaległe płatności - zdecydował ze śmiechem Cam. - Moje groźby brzmią bardzo przekonująco.

Zaczęła się śmiać razem z nimi Cameron natychmiast umilkł, żeby posłuchać dźwięków wydobywających się z ust Mii. Otwarcie wpatrywał się w jej twarz, chociaż wiedział, że nie powinien tego robić, szczególnie tutaj, w kafeterii - istnej wylęgarni wszelkich

plotek. Ale nie był w stanie się powstrzymać. Chciał dotknąć jej włosów. Chryste, jak bardzo tego pragnął!

Tymczasem Mia zerknęła na zegarek.

- Muszę lecieć - oznajmiła. Cam natychmiast zeskoczył ze stołka.

- Ja też.

- Zawahał się, niepewny, jak sformułować to, co zamierzał powiedzieć. - Jeżeli wciągu tych paru dni czegokolwiek będziesz potrzebowała. - zaczął, ale urwał, gdy zobaczył, że Mia wysupłuje z chudej portmonetki dwa dolary i kładzie je na kontuarze.

- Mio - odezwał się, gdy zmierzali do drzwi - zostawiłaś stuprocentowy napiwek.

Wzruszyła ramionami.

- Wiem. Ale zawsze się czuję nieswojo, gdy zamawiam tylko kawę. Kiedyś sama byłam kelnerką.

- Gdzie?

Spoglądała na niego przez dłuższą chwilę w milczeniu, po czym wyszła z kafeterii.

Cameron bez zastanowienia skoczył za nią i już chwilę później szli krok w krok.

- We Włoszech, w 1986 - odparła w końcu. - W kawiarni, która się nazywa „Mano del Diavolo”, czyli „Ręka Diabła”. Nie opodal mostu Rialto.

Cam stanął jak wryty. Mia szła przed siebie, a tymczasem on nie mógł ruszyć z miejsca. Był tego samego roku na moście Rialto w Wenecji i widział w oddali małą kawiarnię.

Doskonale pamiętał pasiaste fioletowo-białe parasole, krzesła z kutego żelaza i marmurowe blaty stolików.

Jednak tam nie wstąpił. Wyjeżdżał już z Włoch do Szkocji, do Angusa. Spojrzał teraz na Mię, która się odwróciła w jego stronę, i wyobraził sobie, jak wyglądała dziesięć lat temu - kaskada loków, czarny fartuszek zamotany wokół cienkiej talii, głos pytający „Cosa desidera? - Oczywiście duszy zobaczył, jak Mia rozgląda się ukradkiem na boki, a potem siada na terakotowym murku, ściąga buty - najpierw jeden, potem drugi - i masuje obolałe stopy. Nagle uderzyła go myśl, że niewstąpienie do kawiarni „Ręka Diabła” było największym błędem jego życia.

- Gdybym nie miał świadomości, jakie to niedorzeczne, powiedziałbym, że podążasz moim tropem - mruknął Cam, pocierając szczękę dłonią. - Byłem tam.

Mia skrzyżowała ramiona.

- Gdzie?

- W Wenecji w 1986.

Stałem na moście Rialto. Widziałem twoją kawiarnię.

Po plecach Mii spłynęła strużka lodowatego potu.

- Udowodnij to - powtórzyła jego niedawne żądanie.

Praca kelnerki nie sprawiała jej przyjemności - była jednym z wielu zajęć, których się podejmowała, by opłacić swoją długą podróż po Europie.

Miała taką zasadę, że najpierw przez kilka tygodni zarabiała w kraju, który chciała zwiedzić, a dopiero potem pozwalała sobie na przyjemności.

Ale musiała też obiektywnie przyznać, że „Ręka Diabła” nie była najgorszym miejscem, w jakim się zatrudniła.

O wiele gorzej wspominała pracę na nocnej zmianie w dyspozytorni ruchu wielkich ciężarówek przewozowych w Sydney czy w toalecie zamku Schönbrunn.

Kiedy kelnerowała w weneckiej kawiarni, uważnie lustrowała klientów, próbując odgadnąć, kto zostawi największy napiwek. Czy starszy mężczyzna o długich, siwych włosach a la Benjamin Franklin? Para zakochanych, którzy ogolili sobie na głowie identyczne serca? A może Pakistańczyk w turbanie spiętym połyskliwym, niebieskim kamieniem?

Mia wrzucała do kieszeni fartucha złote krążki lirów, które przy każdym jej ruchu wyśpiewywały brzękliwą melodię.

Przynajmniej raz w ciągu swojej zmiany spoglądała na most Rialto i wypowiadała sekretne życzenia.

Prosiła o pieniądze, o wielką przygodę, o prawdziwą miłość. Rzuciła marzenia wprost pod nogi przechodzących przez most ludzi, wierząc, że któryś z nich poniesie je dalej.

Nigdy nie spoglądała na twarze tych, którym powierzała swoje prośby, ostatecznie uważała ich jedynie za nic nieznaczących posłańców.

Teraz uderzyła ją myśl, że być może to było największym błędem jej życia.

Przypomniała sobie, jak parę dni temu Cameron wpatrywał się w zdjęcie przedstawiające Carrymuir. Przez jego twarz przebiegł cień niedowierzania - nie mógł zaakceptować myśli, że być może połączyła ich wspólna przeszłość, zanim się jeszcze spotkali.

Oczami wyobraźni Mia ujrzała Camerona stojącego na moście Rialto, jego włosy o odcieniu lirów pobrzękujących w jej kieszeni.

- Udowodnij to - powtórzyła.

Cam wprost nie mógł pojąć, że swego czasu znajdował się w odległości zaledwie kilkuset metrów od Mii Townsend i był tego kompletnie nieświadomy. Chciała dowodu?

Mógłby opisać fioletowe obrusy i oparcia żelaznych krzeseł wykute w kształt serca, ale - jak Mia zauważyła wcześniej - takie szczegóły można równie dobrze poznać z pocztówek.

- Chciałem tam wstąpić - powiedział jedynie. - Ale nie miałem już czasu. - Niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. - A co ty właściwie robiłaś w weneckiej kawiarni?

„Czekałam na ciebie”.

Te słowa były już na ustach Mii, więc szybko przycisnęła dłoń do warg, żeby je powstrzymać.

Dopiero po chwili, z niepewnym uśmiechem, wcisnęła ręce do kieszeni kurtki.

- Cóż za niezwykle zbieg okoliczności - rzuciła z wymuszonym ożywieniem. - Musimy opowiedzieć o nim Allie.

Gdy wypowiedziała to imię, poczuła się trochę lepiej, znowu mogła swobodnie oddychać, a skóra na policzkach tak bardzo już nie paliła. Cam skinął głową, również się uśmiechnął i cofnął o krok.

A potem życzył jej miłego dnia.

Mia odprowadzała go wzrokiem, gdy podążał w stronę komisariatu.

A gdy tylko zniknął jej z oczu, pobiegła na drugą stronę ulicy. Jednak zamiast iść do kwaciarni, gdzie czekała na nią Allie, wróciła pędem do swojego pokoju w Wheelock Inn.

Chwyliła gobelinowy plecak i zaczęła gorączkowo go przeszukiwać - wyrzuciła ze środka papiery, ołówki, małe torebki z nasionami, aż w końcu znalazła to, czego szukała.

„Drogi Cameronie”, napisała na kawałku papieru, który leżał na stole. „Lepiej późno niż wcale. Mia”.

Na kopercie wypisała adres posterunku, dodała adnotację, że to korespondencja prywatna i poufna.

Na końcu wzięła w rękę małą papierową serwetkę, którą znalazła w plecaku. Pochodziła z „Ręki Diabła”, była pamiątką po tamtym miejscu. Mia zawsze się starała zabierać przynajmniej po jednym drobiazgu z miejsc, które odwiedzała, by budowały coś w rodzaju historii jej życia.

Wsunęła list do koperty, po czym ponownie rzuciła okiem na serwetkę. Była nieznacznie wystrzępiona na brzegach, ozdobiona logo weneckiej kawiarni: parą kochanków bez twarzy, otoczonych pierścieniem płomieni, które - nawet w tej szkicowej formie - zdawały się gorzeć, zwiastować zgliszcza i śmierć.

Mia wzięła głęboki oddech i wcisnęła serwetkę do koperty. Potem polizała brzegi i zakleiła, przypieczętowując w ten sposób swoją przyszłość.



## 7.

Pomiędzy rachunkiem za elektryczność a ulotką reklamową miejscowego mechanika, który serwisował wszystkie tutejsze radiowozy, znajdowała się koperta z logo Wheelock Inn. Cam westchnął i przejechał dłonią po włosach. Prawdopodobnie skarga na Zandy'ego - a raczej na sposób, w jaki dokonał przeszukania w pokoju zajmowanym przez Jamiego MacDonalda. Albo też kolejny dowód w sprawie - jego policjanci wiedzieli, że zawsze mają prosić osoby obecne na miejscu zbrodni o kontakt, gdyby coś sobie przypomniały.

Cameron chwycił z biurka srebrny nóż do listów i naciął brzeg koperty.

Najpierw wyjął serwetkę, a pierwszą rzeczą jaka go uderzyła, wcale nie było mroczne logo, lecz zapach zawsze otaczający Mię Townsend - koniczyny, deszczu i świeżej trawy - który teraz zdawał się wypełniać cały pokój.

Przytknął sfatygowaną, miękką bibułkę do policzka.

Kiedy już chciał wyrzucić kopertę do kosza, zauważył, że w środku jest jeszcze notka skreślona ołówkiem. Pismo było wyraźne i staranne.

Cam uśmiechnął się pod nosem na ten widok - założyłby się o duże pieniądze, że już jako trzecioklasistka Mia nigdy nie wyjeżdżała literami poza linię. Przeczytał liścik. A potem zrobił to raz jeszcze. Uniósł karteczkę pod światło, żeby sprawdzić, czy jakieś słowa nie zostały wymazane.

Następnie włożył ją pomiędzy warstwy weneckiej serwetki. Wszystko razem schował do kieszeni na piersi.

Z szuflady biurka wyjął arkusz papieru. „Mio”, rozpoczął po czym wpatrzył się w zapisane imię. Zdecydowanym ruchem zmiął kartkę w kulkę, uznał, że litery są koślawe i schodzą w dół.

„Mio”, napisał na nowym arkuszu. I raz jeszcze zgniół papier, który lobem wrzucił do kosza. Co też, do cholery, strzeliło mu do głowy?

Zasiadł za biurkiem, otworzył kopertę z nagłówkiem elektrowni, a potem przejrzał pozostałą pocztę, jednocześnie ją sortując na rachunki i pisma wymagające szybkiej odpowiedzi. W ten sposób ułatwiał Hannie pracę. Kiedy skończył, położył dłonie płasko na blacie - jedną na drugiej.

Zamknął oczy i rozpoczął targi z Panem Bogiem. Jeżeli przyślesz kogoś do mojego biura, zanim zdążę policzyć do dwudziestu - pomysł - nie odpiszę na tę notkę.

Wstrzymał oddech. Rozpoczął odliczanie.

Usłyszał, jak Hanna otwiera szafkę przeładowaną dokumentami, a Zandy się szykuje do wyjścia po skończonej zmianie. Dobiegł go trzask otwieranych drzwi komisariatu i zduszony głos zadający jakieś pytanie. A potem odgłos zbliżających się kroków.

Czternaście, piętnaście.

Otworzył oczy, chwycił za ołówek, zaczął pisać.

„Mio. Mam wielką ochotę na cappuccino. Ale nienawidzę pić czegokolwiek w samotności. Spotkamy się?”

Nie podpisując listu, wsunął go do koperty opatrzonej nagłówkiem „Komenda Policji w Wheelock”, i przed wyjściem położył na biurku Hanny wraz z resztą poczty do natychmiastowego wyekspediowania.

Allie wytarła ręce o biały, piekarski fartuch i na ziemię poleciało kilka jaskrawożółtych płatków nasturcji. Była już spakowana na wyjazd do Cummington.

Wysprzątała także cały parter domu, a teraz szykowała kolację dla Cama i Mii, chcąc im w ten sposób awansem podziękować za przejęcie wszystkich ważnych obowiązków w czasie, gdy ona będzie przebywać poza Wheelock.

Na kolację zaplanowała pieczonego kurczaka, szparagi smażone na sposób chiński oraz swoją popisową sałatkę z kwiatami nasturcji, przyprawianą olejem z orzechów włoskich, w której żółcieniu i oranże płatków tworzyły piękną dla oka kompozycję z zielenią liści szpinaku i endywii.

Gdy ludzie już się otrząsnęli z pierwszego szoku na widok kwiatów podanych jako danie, zawsze chwalili Allie za oryginalność.

Tylko Cam nienawidził tej sałatki - mówił, że na jej widok czuje się niczym Robinson Crusoe zmuszony do jedzenia chwastów. Jednak Allie wiedziała, że Mia doceni jej potrawę, i cieszyła się namyśl, że tym razem ona pokaże Mii coś zupełnie nowego.

- Cam! Czy tonie dzwonek do drzwi? - zawołała.

Cam siedział w salonie i usiłował się skoncentrować na popołudniowej gazecie.

Oczywiście usłyszał dzwonek, wiedział, że to Mia, ale chciał jak najbardziej odwlec moment spotkania.

Kiedy Allie powiedziała, że zaprosiła Mię na kolację, krew uderzyła mu do głowy.

Nie mógł sobie wyobrazić bardziej niezręcznej sytuacji niż wieczór w towarzystwie zarówno żony, jak i kobiety, która nieustannie narzucała się jego myślom.

- Już otwieram! - odrzyknął i niechętnie podniósł się z kanapy.

W przedpokoju na chwilę oparł czoło o frontowe drzwi w nadziei, że siłą woli odwróci bieg wydarzeń i jakimś cudem nie dopuści do tej kolacji.

Mia miała na sobie olbrzymi beżowy sweter, pod spodem kremowy golf, a do tego legginsy w kolorze płatków owsianych. Jakby barwą stroju chciała się całkowicie wtopić w tło.

- Witaj - mruknął Cam.

Gdyby mógł, sam by się teraz najchętniej wtopił w ścianę.

- Dobry wieczór - odparła, umykając wzrokiem. Sięgnęła do plecaka i wyjęła butelkę jeżynowego wina. - Uznałam, że będzie pasować do każdej przystawki.

- Allie jest w kuchni. - Cam, wbrew sobie, nie mógł oderwać oczu od niej. Zastanawiał się, czy dostała jego list - miejscowe

przesyłki często trafiały do adresata jeszcze tego samego dnia którego zostały wysłane.

Mia minęła go bez słowa i skierowała się do kuchni, a chwilę później dobiegł stamtąd Cama odgłos kobiecych głosów i śmiechu, który przywołał na myśl ćwierkot ptaków.

Nie wiedział, jak długo tkwił w holu, zapatrzony w przestrzeń, gdy Allie chwyciła go za ramię. Parę kroków za nią stała Mia.

- Cam? - zagaiła Allie. - Mógłbyś otworzyć wino? Za chwilę podaję do stołu.

Ty tymczasem bądź tak miły i zajmij się Mią.

- Naturalnie. - Cameron sam się zdziwił, że wypowiedział te słowa z takim opanowaniem. - Już się robi.

Nalał wina do fantazyjnych kieliszków, które otrzymali w prezencie ślubnym - z czaszą w kształcie kwiatu tulipana, osadzoną na cieniutkiej, złotej nóżce.

Kiedy podawał Mii kieliszek, jej ręka lekko zadrżała i wino się rozlało na wierzch dłoni Cama.

- Ach! - Odwróciła się, by sięgnąć po serwetkę. - Jak mogłam być tak niezdarne!

Cameron otarł dłoń o spodnie, mając gdzieś, że zostawi na nich plamę.

- Nic się nie stało - zapewnił.

Przez nieznośnie długą chwilę w milczeniu popijali wino, siedząc na przeciwległych krańcach kanapy, aż wreszcie do pokoju wpadła Allie z talerzem spanakopity.

- Nie jesteśmy już w siódmej klasie - zażartowała ze śmiechem. - Chłopcy i dziewczynki nie muszą sterczeć po przeciwnych stronach sali.

Cam spoglądał za żoną, gdy wracała do kuchni, i zastanawiał się przy okazji, jakim cudem udaje jej się każdy ruch zamienić w taniec. Chciał, żeby teraz stała u jego boku.

Wówczas mógłby rozprawiać beztrudnie o pogodzie, o wydarzeniach opisanych w gazecie i nie bałby się, że straci nad sobą kontrolę.

Tymczasem Mia wodziła lekko palcem po brzegu kieliszka, wydobywając z niego jakiś niesamowity dźwięk, przywołujący na myśl lament potężnej duszy.

- Mój pierwszy chłopak mnie tego nauczył.  
- Doprawdy? - wydusił Cam przez zaciśnięte gardło. - A kto dostąpił owego zaszczytu pierwszeństwa?

- Niejaki Freddy Homburger. To nie żart - tak się naprawdę nazywał. Był bratem mojej najlepszej przyjaciółki. Odciągnął mnie na bok na przyjęciu z okazji jej czternastych urodzin i zapytał, czy chcę zobaczyć, jak sowa kręci głową dookoła. Kiedy wyszliśmy na dwór, okazało się, że nie ma tam żadnej sowy, za to Freddy rzucił mnie na leżak i zaczął całować tak gwałtownie, jakby chciał mnie połknąć.

- I mimo to zostałeś jego dziewczyną?

Mia wzruszyła ramionami.

- Doszłam do wniosku, że w tej sytuacji nic innego mi nie pozostało. Chociaż przez cały następny tydzień całkiem go ignorowałam i przysięgałam sobie w duchu, że już nigdy w życiu z nikim się nie będę całować.

- Uniosła kieliszek w geście toastu. - Jednak w końcu zmieniłam zdanie.

Cam również unioś kieliszek.

- W takim razie za Freddy'ego - powiedział, ale kiedy pociągnął łyk wina, okazało się, że nie może go przełknąć.

Mia przesunęła się nieznacznie na swoim końcu kanapy.

- Peszy mnie rozmowa z tobą - przyznała.

- Doskonale cię rozumiem. Ja też się czuję nieswojo.

Chociaż nie był w stanie pojąć dlaczego. Niemal cały czas miał wrażenie, że zna Mię lepiej niż siebie samego - i vice versa - a mimo to oboje nie byli w stanie wyjść poza zdawkowe grzeczności.

Może tak jak on, Mia wyczuwała, że temat ich rozmów musi ograniczać solidna tama, bo inaczej słowa się wyleją powodziową falą, której nikt i nic nie zdoła już zatrzymać.

Cam zachodził też w głowę, czemu Mia nie wspomniała o jego liście ani o notce, którą wysłała mu wcześniej.

- Kolacja! - wykrzyknęła Allie.

Była bardzo dobrą kucharką. Twierdziła, że z powodu swojego zamiłowania do słowa pisanego: wszystkiego można się nauczyć z dobrych książek kucharskich.

- Jezu - mruknęła Mia, odkrawając plasterek mięsa. - Nigdy nie zdołałabym przyrządzić czegoś podobnego.

- To całkiem proste. Wsadzasz kurczaka do piekarnika, nastawiasz timer, termostat i gotowe.

- Może i tak. Ja jednak w życiu nie ugotowałam niczego bardziej wymyślnego niż spaghetti z puszki.

Allie zmarszczyła brwi.

- Hmm. Właśnie chciałam cię prosić, żebyś przez najbliższe dni zapraszała Cama na kolację, ale puszkę to on sam może sobie otworzyć.

Cameron wypuścił widelec z ręki.

- Umiem o siebie zadbać - zauważył gniewnie.

Allie położyła dłoń na ramieniu męża.

- Wiem. Pomyślałam jednak, że wołałbyś inne rozwiązanie.

- Tak czy owak, moja kuchenka nadaje się co najwyżej do ugotowania wody - wtrąciła Mia.

Allie nałożyła sobie porcję szparagów, poczym przekazała miskę Cameronowi.

- To przesądza sprawę - zdecydowała. - W takim razie Cam przyjmie cię u siebie.

„Cam przyjmie cię u siebie”.

Słowa Allie na moment zawisły w powietrzu - tak wyraziste, niemal fizycznie namacalne, aż Cam się zdziwił, że nikt w żaden sposób się do nich nie odniósł.

„Cam przyjmie cię u siebie”.

Wyobraził sobie Mię - zaróżowioną, czekającą na niego w sypialni, z kapą zarzuconą niedbale na smukłe, nagie ciało.

- A więc - odezwała się Mia - jak długo to potrwa?

- Masz namyśli mój wyjazd do Cummington czy proces? - Zapytała Allie i nie czekając na odpowiedź, powiedziała: - Trudno powiedzieć. Sądzę, że trzy do czterech dni zajmą rozmowy z osobami, które Jamie umieścił na liście. No i pewnie będę potrzebowała co najmniej dnia na przejrzenie domu - zawiesiła głos. - Dziwnie się czuję, gdy o tym myślę. Jakbym się wdzierać w cudze życie.

- Nie będzie to przecież ukradkowe myszkowanie - mówiąc to,

Cam bardzo się pilnował, by nie przenieść wzroku na Mię. - Jamie sam cię poprosił o zgromadzenie różnych dokumentów.

- To fakt - zgodziła się Allie, żując w zamyśleniu.

Kiedy na poplamionym winem obrusie zostały już tylko puste półmiski i talerze upstrzone kośćmi, Mia poderwała się z krzesła.

- Zmywanie należy do mnie - oświadczyła. - I nie przyjmuję żadnych sprzeciwów.

Posprzątała szybko ze stołu i wkrótce z kuchni dobiegł szum leżącej z kranu wody.

Wówczas Allie wyciągnęła męża zza stołu i pchnęła w stronę salonu, gdzie usiadł w swoim ulubionym, skórzanym fotelu.

Cameron się zdziwił, gdy Allie przysiadła na poręczu, ponieważ każde z nich miało określone miejsce w tym pokoju: do niego należał zabytkowy fotel, do niej - kanapa.

Allie zarzuciła mężowi ręce na szyję, ziewnęła i, przyciskając usta do jego włosów, wymruczała:

- Mam nadzieję, że Mia szybko sobie pójdzie.

- Po co w ogóle ją zapraszałaś?

Allie wykrzywiła usta.

- Czułam, że jestem jej to winna Nikogo tutaj nie zna, a ja na dodatek zostawiam całą kwiaciarnię na jej głowie. - Przygryzła niepewnie wargę. - To był bardzo miły wieczór, Jednak wolałabym się z tobą pożegnać bez świadków.

- Wkrótce się wyniesie - mruknął Cam, zaciskając palce na ramieniu żony. - Jestem tego pewien. - Stała mu przed oczami Allie taka, jaką zobaczy za godzinę: w białej koszuli nocnej zapiętej pod samą szyję, żeby mógł powoli ją rozbierać, otoczona znajomymi światłocieniami wykreowanymi przez blask nocnej lampki.

Cameron wiedział, że Allie wyszoruje zęby, a potem będzie czekać na niego w łóżku, wiedział, że gdy on już się położy, żona pierwsza podejmie inicjatywę.

Wiedział, że będą uprawiać seks według utartego schematu i chociaż w założeniu Allie miało to być pożegnanie, on wiedział, że się poczuje jak przybysz witany w dobrze znanych progach.

Nagle dotarło do niego, że nie chce dłużej znosić obecności Mii Townsend w swoim domu.

Jeżeli usunie pokusę, znikną wszelkie problemy. Wstał raptownie z fotela.

- Dokąd idziesz? - zdziwiła się Allie, z trudem łapiąc równowagę.

Uśmiechnął się.

- Przyspieszyć bieg wydarzeń.

Kiedy wszedł do kuchni, Mia stała przy zlewozmywaku z podciągniętymi rękawami, odsłaniającymi jej szpiczaste, różowe łokcie. Stał w milczeniu, podziwiając naturalną grację jej ruchów - nawet przy szorowaniu garnków. Teraz, z perspektywy czasu, nie pojmował, jak zdołał przetrwać tę kolację, jakim cudem mógł wypowiadać okrągłe, stosowne do chwili zdania, skoro przez cały czas był pochłonięty rytmem oddechu Mii, linią jej brwi, barwą głosu.

Chwycił ścierkę i zabrał się do wycierania.

- Allie została sama? - spytała Mia.

Wypowiadając to imię, wzniosła pomiędzy nimi grubą, nienawistną barierę.

Cameron skinął głową. Zaczął jeździć biało-niebieską tkaniną po owalnym, żaroodpornym naczyniu, czując, jak za każdym ruchem materiał coraz bardziej nasiąka wilgocią i wiotczeje. Potem przejechał ścierką pomiędzy zębami dużego szpikulca do mięsa. Jak się w końcu zorientował, że niema już nic więcej do wycierania, uniósł wzrok i zobaczył, że Mia przygląda się pilnie jego dłoniom.

- Co zrobiłeś z serwetką? - wyszeptwała.

- Cały dzień nosiłem ją w kieszeni koszuli.

Mia sięgnęła po rękę Camerona - powoli, jak w transie.

Splotła palce z jego palcami, a ciepła, mydlana woda sklepiła je niczym najtrwalsze spoiwo.

Cameronowi przypomniał się stary szkocki zwyczaj zaślubin przez złączenie dłoni - wystarczyło, że para chwyciła się za ręce i obwieściła swój związek wobec świadków.

- Gdy chodzi o to wspólne picie kawy lub herbaty? - mruknęła cicho. - Spotkajmy się jutro, o siódmej.



Księżyc przysiadł nonszalancko na parapecie, białą szatą zahaczając o welur dywanu sypialni.

Jego blask przemienił Allie w postać utkaną ze światła, której sama nie rozpoznałaby w lustrze, zwiewną kobietę pewną swojej wartości i urody.

Leżała oparta o poduszki i wpatrywała się w Cama.

Cam powiódł ustami po łuku jej szyi, a potem po wąskiej linii pomiędzy piersiami.

Allie dotknęła rozsypanych na jej skórze włosów męża, zdumiona gładkim chłodem tych pasm, które zawsze zdawały się żarzyć żywym ogniem.

Lubiła grę wstępną.

I to ona głównie czerpała z niej przyjemność.

Cam - zgodnie z rytuałem - przejedzie ustami przez jej całe ciało, a kiedy Allie poczuje, że jest już zbyt egoistyczna, przewróci Cama na plecy, przesunie palcami po jego brzuchu i wsunie dłoń między jego nogi. Cam zawsze szybko osiągał punkt wrzenia, więc po minucie wejdzie w nią, by szybko rozładować napięcie.

Właśnie roztrącił na boki jej kolana.

- Jeszcze nie - wyszeptła.

Spojrzał na żonę spod grzywki, zdjął jej rękę ze swojego ramienia i szybko ucałował, a potem położył pomiędzy jej własnymi nogami, nakrywając swoją dłonią.

Ledwo Allie poczuła dotyk męża, gwałtownie zwilgotniała.

- Teraz - powiedziała.

Wpiła się palcami w jego plecy, gdy wszedł w nią ostro, głęboko i naparł z taką siłą, że aż się posunęli po prześcieradle.

Chwilę później Cam odrzucił do tyłu głowę, a z jego gardła wydobył się przeciągły jęk.

Jak zwykle wyskoczył szybko z łóżka i poszedł do łazienki.

Z kranu poleciała woda - Cam zawsze niezwłocznie zmywał z siebie wszystko, co po niej pozostało.

Allie zdawała sobie sprawę, że to po prostu przyzwyczajenie, ale i tak mimowolnie zadawała sobie pytanie, czemu mężowi tak się spieszy - jakby ona mogła go zarazić czymś zarażającym. Marzyła, że pewnego dnia Cam kompletnie się zatraci w seksie i nie będzie zdolny do żadnego ruchu, poza ujęciem jej dłoni w cichym,

radosnym przypieczętowaniu niedawnego złączenia.

Pewnego razu, wkrótce po ślubie, Allie się przeziębila i cały dzień przeleżała w łóżku.

Oglądała wówczas odcinek teleturnieju „Nowożeńcy”. Jedno z pytań zadanych żonom brzmiało: „Do jakiej dyscypliny olimpijskiej przyrównałabyś wasze igraszki w łóżku - maratonu, gimnastyki sportowej czy hokeja?”

Kiedy Cam wrócił wieczorem z pracy, zadała mu to samo pytanie. „Do hokeja”, odparł bez wahania.

I miał rację - w ich seksie czaiła się furia, jakby się nawzajem karali za to, że są inni niż w pierwotnych wyobrażeniach.

Od tamtego teleturnieju, podczas wielu bezsennych nocy, w słuchana w rytmiczny oddech Cama, Allie się zastanawiała, dlaczego jedną z dyscyplin do wyboru nie była któraś z tych artystycznych i pełnych gracji - jak jazda figurowa na lodzie czy pływanie synchroniczne - wymagających jednocześnie pełnego zgrania i zaufania do partnera.

Cam szybko wsunął się z powrotem pod kołdrę, rozsiewając zapach płynu do ust. Przytulił żonę do piersi.

- To było miłe - mruknął w jej włosy.

Jutro Allie będzie spała w łóżku Jamiego i Maggie MacDonaldów.

Zastanawiała się, jak twardy będzie materac i jakie sekrety objawi jej w snach.

- Do zobaczenia - powiedziała.

- Jestem temu przeciwna z przyczyn zasadniczych - oświadczyła Maggie.

Jamie zbył słowa żony śmiechem i pchnął ją na krzesło, ustawione pośrodku pracowni.

- Nic nie poczujesz - zapewnił.

- Nie o to chodzi. Nie podoba mi się sama idea. Czuję się jak Barbie, a każdy wie, że żadna kobieta z krwi i kości nigdy nie osiągnie jej wymiarów.

Jamie podszedł do laserowego urządzenia, za pomocą którego zamierzał trójwymiarowo zeskanować ciało Maggie.

- Ty zdecydowanie nie jesteś lalką Barbie.

Maggie sceptycznie uniosła brew.

- To miał być komplement?

James przykucnął przed krzesłem i chwycił żonę za rękę.

- Dla mnie jesteś kobietą idealną. Dlaczego więc nie miałbym cię sklonować?

Był 1993 rok. James chciał wykorzystać skan ciała żony do programu VR dla pewnej pracowni architektonicznej, która otrzymała kontrakt na budowę szkoły podstawowej na bogatym przedmieściu Nowego Jorku. Projektanci zlecieli Jamiemu opracowanie wirtualnej wędrownki po nie istniejącej jeszcze szkole.

Zażyczyli sobie również, by „zwiedzający” mógł się wcielić w różne postaci: dziecka - bo w ten sposób uda się sprawdzić, czy na poziomie oczu maluchów nie ma przypadkiem żadnych ostrych kątów i czy szafki nie są zbyt wysokie jak na zasięg dziecięcych rąk, a także postać dorosłego - ponieważ dzięki temu nauczyciele będą w stanie wskazać najlepsze miejsca na pomoce naukowe, a także wytropić potencjalne zagrożenia. Ponieważ nikt nie sprecyzował płci, w którą miałby się wcielić użytkownik programu, James postanowił dostarczyć obie - do wyboru - i dodatkowo umożliwić „zwiedzającemu” wczytanie własnej twarzy w cyfrowy model.

- Kogo zeskanujesz jako idealną postać męską? - zainteresowała się Maggie.

- Roda.

Parsknęła śmiechem.

- Roda? A dlaczego nie samego siebie?

- Chętnie bym tak sobie pochlebił, jednak jestem za wysoki. Rod ma około metra osiemdziesięciu, a więc mniej więcej odpowiada przeciętnej.

- O! Więc wcale nie jestem kobietą idealną, tylko po prostu przeciętną.

- To twoje słowa, nie moje. - Przebiegł palcami po klawiaturze i lasery, które miały odwzorować fizyczne cechy Maggie, po czym przenieść je do pamięci komputera, zaczęły wysyłać wiązki bladzielonego światła.

- Nie ruszaj się - polecił James. - Zaczynamy.

Zielone smugi przebiegły przez twarz żony, przesunęły się przez wypukłość piersi, dolinę brzucha, a potem przez ramię i zagięcie łokcia. Rozbłysnęły na łopatkach.

Jamie skoncentrował się na monitorze komputera. Niczym na polaroidowym zdjęciu, obraz Maggie wyłaniał się stopniowo, powoli.

Na ekranie zamrugały jej oczy, po chwili zmaterializowały się dłonie spoczywające po bokach. Nogi - przez moment upiornie ucięte w kolanach - wkrótce się ujawniły w całej swojej imponującej długości.

- Okay. A teraz wstań. - Jamie chciał sprawdzić, czy osiągnął idealną korelację ruchową, póki jeszcze pracowały lasery. - Unieś prawą rękę - zarządził, a kiedy Maggie wypełniła polecenie, jej komputerowe odwzorowanie natychmiast powtórzyło gest. - Dotknij talii. Obróć się dokoła.

Wszystko działało bez zarzutu.

Jamie śledził na ekranie, jak Maggie podnosi ręce, a potem przesuwa nimi wzdłuż ciała. Przytknął palce do ekranu - żona była na nim taka mała, że zmieściłaby się w jego dłoni, w kieszeni, na półce w charakterze filigranowego, bezcennego dzieła sztuki.

- Dobrze wyszło? - zapytała, a na ekranie jej nieme usta wydeły się tak, jakby czekały na pocałunek.

Jamie zapatrzył się na zapisane w pamięci komputera jędrne, tryskające zdrowiem ciało Maggie.

Bez względu na to, jak wiele razy będzie odtwarzany ten program i jak bardzo się oboje zestarzeją w realnym życiu - ono już na zawsze pozostanie takie samo.

- Idealnie - odpowiedział.

Swoim wystrojem kwaciarnia „Glory in the Flower” przywodziła na myśl domowy salonik, oglądany w deszczowe jesienne popołudnie. Zamiast ład Allie ustawiła pośrodku dwie duże kanapy oraz stolik, na którym leżało kilka czasopism, stał mały serwis do herbaty i codziennie inny, świeży bukiet.

Jedynie drobne, zaskakujące detale sugerowały, że to wnętrze kwiaciarni: bluszcz wijący się wokół nogi i opasłej poręczy sofy, szklane pękate naczynie pełne różanych płatków, ustawione obok cukru i śmietanki, abażur spleciony w całości z suszonych prymuli i zatrwanu w żywych kolorach wszelkich drogocennych kamieni.

Z tyłu sklepu, za kanapami, znajdowała się przeszklona, dwudrzwiowa chłodnia oraz roboczy stół, na który padało światło z dachowego okna. Za chińskim parawanem było ukryte wejście na zaplecze, gdzie stały półki zapchane folią, ozdobnymi tkaninami, wstążkami we wszystkich możliwych odcieniach, koszykami, klatkami dla ptaków i brokatowymi pudełkami, służącymi za pojemniki do roślin.

Tuż po przyjeździe do kwiaciarni Mia otworzyła jedno z drzwi chłodni i przy czarnym wiadrze pełnym ceglasczerwonych róż postawiła swój lunch - kubeczek jogurtu.

Potem zdjęła kurtkę i rzuciła na krzesło stojące na zapleczu. Mechanicznie powiodła wzrokiem po akcesoriach zawodu florystki: gumowych opaskach, zielonym drucie, sekatorach, nabłyszczaczu do liści oraz wielkich pudłach pełnych mchu i gąbki.

Dopiero wczoraj się zorientowała, według jakiego klucza Allie ustawia kwiaty w chłodni.

Nie był to system oparty na popularności kwiatów, ich dostępności czy też zharmonizowaniu kolorystycznym, ale na symbolicznej wymowie. Mia wiedziała, że w dawnych czasach bukiety nie pełniły funkcji czysto ozdobnej, ale niosły swoiste przesłania.

Kiedy zaczęła się interesować florystyką, zafascynował ją ten koncept. Allie - jak widać - również uległa owej fascynacji. I tak rośliny symbolizujące pozytywne wartości stały po lewej stronie chłodni, a te o konotacjach negatywnych po prawej. I dlatego też w jednej grupie, w czarnych, plastikowych kubkach, stały kamelie, pasiflora, jaśmin i bez - reprezentujące perfekcję, żarliwość wiary, wdzięk i pierwsze zauroczenie.

W drugiej zaś, tej niechlubnej, krokusy, głogi, piwonie i akant - symbolizujące nadużycie, oszustwo, wstyd i podstępność.

Mię ogarniał lęk na myśl, że musiałyby otworzyć prawe drzwi chłodni - jakby z jej wnętrza miało wyfrunąć całe zło tego świata, niczym z mitycznej puszkii Pandory.

Dzwonek telefonu odezwał się tak nieoczekiwanie, że Mia aż podskoczyła.

- Dzień dobry - rzuciła do słuchawki.
- Kwiaciarnia „Glory in the Flower”.

W pierwszym odruchu pomyślała, że to Allie, by sprawdzić, czy nie doszło do jakiejś katastrofy i czy kwiaciarnia została otwarta o czasie.

Ale Mia od razu się zreflektowała - takie postępowanie nie leżało w naturze Allie, która wszystkim z zasady udzielała kredytu zaufania.

- O, Antonio! - ucieszyła się, słysząc głos jednego z dostawców, po czym przebiegła wzrokiem po brzegu półki, gdzie na gwoździach były zatknięte zamówienia klientów na poszczególne dni tygodnia. - Potrzebna mi jakaranda i liście paproci.

Allie przykazała, żeby wszystko co możliwe Mia zamawiała u Antonia, bo chociaż był nieco droższy od innych hurtowników, jego rośliny odznaczały się wyjątkową świeżością.

Mia przez chwilę targowała się o cenę alstromerii, ostatecznie godząc się na cztery dolary siedemdziesiąt pięć centów za pęk, a potem przyznała, że bardzo by jej się przydały słynne amarantowo-fioletowe tulipany ze stanu Washington.

Kiedy odłożyła słuchawkę, zamknęła oczy i wyęczyła słuch.

Cisza pulsowała rozmaitymi odgłosami: szumem powietrza w szybie wentylacyjnym, szmerem jedwabistych płatków róż, mozolnie rozwijających się z pąków.

Mia przeszła do centralnej części kwiaciarni. Allie ustawiła jej drzewko bonzai na niskim stoliku wraz z siedmioma innymi, które razem zadrutowały w nadziei, że po uzyskaniu pożądanego kształtu znajdą nabywcę.

Z uśmiechem Mia podeszła do drzewek i zaczęła odwijać drut z jednego z nich, żeby zapobiec wrastaniu metalu w delikatną tkankę. Kora i korzenie wydały z siebie pełne ulgi westchnienie.

- Przykro mi - mruknęła Mia, na powrót okręcając miniaturowe konary miedzianym drutem. - Ale jeszcze nie mogę was wyswobodzić.

Powtórzyła tę samą procedurę z pozostałymi drzewkami, gdzieś niedziedzie uskubując liście lub małą gałązkę. Allie nie miała w tej sztuce żadnego doświadczenia, więc nie potrafiła jeszcze ocenić, co i w jakim miejscu należy usunąć.

Skończywszy z drzewkami, Mia usiadła na kanapie - tej zwróconej frontem do wejścia.

Czekało ją jeszcze mnóstwo zajęć, wyszczególnionych na przekłetej liście, ale w tej chwili Mia pragnęła tylko jednego: zamknąć oczy i oddać się rozmyśleniom o Camie. Wiedziała, że musi go powiadomić, gdzie się mają spotkać nadchodzącego wieczoru, ale w tym celu nie mogła przecież wparować do komisariatu na oczach całego miasta. I wcale nie dlatego, że w jej mniemaniu czynili cokolwiek zdrożnego. Ostatecznie Allie poprosiła Mię, żeby się zaopiekowała Camem.

Wstała i wyjęła z chłodni pęk bratków oraz gałęzi obsypanych delikatnymi kwiatami jabłoni.

Owinęła łądyżki kilku bratków wokół zdrewniałej jabłoniowej gałązki i całość związała tiulową wstążką.

Wykręciła wywieszkę na drzwiach na stronę z napisem „Zamknięte”, po czym pobiegła w stronę posterunku i zatknęła mały bukietek za wycieraczkę samochodu Cama.

Kiedy wpadła z powrotem do kwaciarni, nie mogła złapać oddechu, a jej tętno galopowało w szaleńczym tempie, zupełnie nieadekwatnym do niewielkiego w końcu wysiłku.

Usiadła z powrotem na kanapie i wbiła wzrok w płatki kwiatu jabłoni, opadłe podczas układania bukietu.

W głębi duszy była przekonana, że Cam zrozumie jej przesłanie.

Bratki oznaczały „Myślę o tobie”. A jabłoń, od czasów Ewy, symbolizowała pokusę.

Allie nie pojechała od razu do domu Jamiego. W pierwszej kolejności udała się do gabinetu doktora Dascomba Whartona, lekarza rodzinnego, który otoczył Maggie medyczną opieką, gdy w 1993 roku poważnie zapadła na zdrowiu.

Usiadła w fotelu pokrytym czarnym, splekanym skajem i zaczęła przeglądać jakieś czasopismo, które było aktualne w chwili wybuchu pierwszej wojny w Zatoce.

A ilekroć czuła na sobie wzrok recepcjonistki, ostantacyjnie spoglądała na zegarek.

Dwie godziny po tym, jak niezapowiedziana zjawiała się w lekarskiej poczekalni, została zaprowadzona przed oblicze Whartona krętym korytarzem, biegnącym na tyłach recepcji.

Kiedy stanęła w progu, doktor w najlepsze wcinął calzone, zanużając je od czasu do czasu w małym naczyniu pełnym sosu do spaghetti.

- Proszę siadać - zarządził tubalnym głosem. - Mam nadzieję, że nie będzie pani przeszkadzać, jeżeli w czasie naszej pogawędki spożyję lunch.

Allie grzecznościowo kiwnęła głową. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała równie otyłego człowieka - może oprócz żalonych osobników pokazywanych w programie Ophry Winfrey - i nie mogła się nadziwić, jakim cudem cienkie nóżki krzesła, na którym spoczywał olbrzymi tyłek Whartona, są w stanie wytrzymać ten ciężar. W końcu doktor otarł usta serwetką i poczęstował gościa uśmiechem.

Ależ ty masz wielkie zęby, pomyślała Allie, po czym również się uśmiechnęła.

- W czym mógłbym pomóc, pani MacDonald?

Allie wyjęła z torebki polaroidowe zdjęcie Jamiego, które z pewnością nie należało do najbardziej udanych z tej prostej przyczyny, że pochodziło z kopii policyjnych akt i zostało jej łaskawie wypożyczone przez Cama.

- Jestem tutaj w imieniu tego człowieka - powiedziała, podając fotografię lekarzowi. - Czy pan go zna?

Doktor Wharton zaciął usta.

- Naturalnie, że znam Jamiego. Chociaż nie tak dobrze jak jego żonę, Maggie, która jest moją pacjentką.

- Była - skorygowała odruchowo Allie i doktor posłał jej pytające spojrzenie.

- Ona. Maggie zmarła kilka dni temu.



- Ach, tak. - Wharton przyjął wieść z pełnym spokojem. - Cóż, tego należało się spodziewać.

Allie wetknęła zdjęcie z powrotem do torebki.

- A więc jej stan był krytyczny?

- Moja droga, tego rodzaju informacje są objęte tajemnicą lekarską.

Allie ze zrozumieniem skinęła głową.

Była przygotowana na podobną odpowiedź.

Wyjęła list napisany przez Grahama MacPhee na firmowym papierze kancelarii adwokackiej i bez słowa wręczyła Whartonowi.

- A więc tak się mają sprawy - mruknął po przeczytaniu kilku pierwszych linijek.

- Rozprawa dopiero przed nami. - Allie nachyliła się ku lekarzowi. - Dlatego przyjechałam do Cummington. Chcę odnaleźć ludzi, którzy dobrze znali Jamiego oraz jego żonę i są gotowi zeznać, że to oskarżenie jest niedorzeczne.

Doktor Wharton wetknął do ust ostatni kęs calzone, a kiedy go przelknął, opadł na oparcie krzesła, które niebezpiecznie przechyliło się do tyłu.

- W tej sprawie mam tylko jedno do powiedzenia - czy to pani, czy przed jakimkolwiek sądem: moim zdaniem Maggie MacDonald nie dożyłaby końca roku. Rak piersi, zdiagnozowany u niej dwa lata temu, błyskawicznie dał przerzuty do kości i mózgu. Był oporny na radio- i chemioterapię. Kiedy widziałem Maggie ostatnim razem, zaatakowany został nerw wzrokowy. - urwał i obrzucił Allie baczynym spojrzeniem, jakby szacował poziom jej inteligencji. - Czyli, upraszczając, oko.

- A nowotwór pierwotny jakiego był rodzaju?

- Rak przewodowy naciekający - odparł Wharton i zabębnił palcami po gładkim blacie biurka.

Allie przymknęła oczy, nim zadała kolejne pytanie. Pod powiekami ujrzała Maggie leżącą w balsamiarni domu pogrzebowego, z kolanami groteskowo sterczącymi w powietrzu.

- Czy bardzo cierpiała?

Lekarz wydał z siebie bliżej nie określony dźwięk.

- Cóż, cierpienie jest odczuciem bardzo subiektywnym. Niektóre kobiety przechodzą przez poród z uśmiechem na ustach, inne błagają o znieczulenie.

- Nie mówimy teraz o porodzie.

- W istocie - zgodził się Wharton.

Zetknął dłonie czubkami palców i oparł na nich brodę.

- W mojej ocenie Maggie MacDonald musiała się zmagać z wysokim poziomem bólu, owszem - zawyrokował.

- Ale. - podsunęła Allie.

- Ale nie sądzę, by fizyczny ból był najpoważniejszym źródłem jej cierpienia.

Allie uniosła w zdumieniu brwi, a wówczas doktor Wharton uśmiechnął się nieznacznie - fałdy jego twarzy zaszyły jedne na drugie i pojawiły się w nich dołeczki, zmieniające lekarza w zupełnie innego człowieka.

- W mojej opinii tym, co przyprawiało Maggie o rozpacz, była świadomość, że opuści Jamiego.

Każdy, kto by zobaczył, że kwaciarnia jest otwarta po godzinach, uznałby, że Allie szykuje oprawę ślubu.

Niekiedy samo przygotowanie wiązanki dla panny młodej zajmowało dwa do trzech dni mozolnego splatania i wiązania kwiatów, więc Allie zdarzało się siedzieć do późnych godzin nocnych, aby ukończyć dzieło. Między innymi z tego powodu, gdy Cam szedł do kwaciarni, nie próbował kluczyć czy kryć się na widok znajomych, zmierzających na kolację do pobliskiej kafeterii, schował jedynie przywiędły bukiet głęboko do kieszeni kurtki. Po drodze poczęstował promiennym uśmiechem Geordiego MacDonalda i Sarę Murray, po czym zgodził się, że owszem, w tym roku chłód nadciąga wcześniej niż zazwyczaj.

Mia zaryglowała drzwi, musiał więc zapukać. To go bardzo zaskoczyło, chociaż sam nieustannie napominał Allie, że po godzinach powinna zawsze się zamykać, na co nie odmiennie odpowiadała, że gdyby w Wheelock pojawił się jakiś rabuś, z pewnością nie napadłby na sklep, który przynosi tak marne zyski.

Ledwo twarz Mii ukazała się w niewielkim okienku, Cameron wyrzucił żonę z pamięci.

Mia była ubrana w miękkie, sprane dzinsy oraz białą, męską koszulę z rękawami zrolowanymi do łokcia.

Na ten widok, przez jedną szaleńczą chwilę, Cameron miał ochotę potrząsnąć Mią z całej siły i wydusić z niej, do kogo wcześniej należała ta koszula.

Ostatecznie jednak tylko się uśmiechnął i wyciągnął z kieszeni maleńki bukietek.

- Znalazłem kwiaty od ciebie.

Jej twarz była równie biała, jak kołnierzyk koszuli, co tylko sprawiło, że oczy zdawały się jeszcze większe, bardziej szafirowe i błyszczące. Cameron zdjął ciężki pas i delikatnie położył na ładzie, obok kasy. Kiedy się odwrócił, Mia stała zaledwie dwa kroki przed nim.

- Skąd pewność, że z mojej strony nic ci nie grozi? - spytała cichym głosem.

Rozsiadł się na jednej z kanap, które Allie wynalazła na wyprzedazy w miasteczku położonym po drugiej stronie wzgórz, a on przywiozł ciężarówką kuzyna i osobiście wtaszczył do środka.

Tymczasem Mia ustawiła na stoliku zestaw do parzenia herbaty, a obok wazon z takimi samymi kwiatami, z jakich skomponowała bukietek, który znalazł pod wycieraczką.

- Są bardzo ładne - zauważył, wodząc palcem po jednym z bratków. - I pachną wiosną.

Mia usiadła na przeciwległej kanapie, po czym wyciągnęła z kompozycji jedną gałąź.

- Kwitnąca jabłoń. Bardzo trudno ją zdobyć w październiku. - Wpatrzyła się w bukiet, jednocześnie oskubując gałązkę z kory.

- Czy wiesz - podjęła - że jeżeli w wigilię Bożego Narodzenia przetniesz jabłko na pół, schowasz lewą połówkę za pazuchę, w okolicy serca, a prawą położysz przy wejściowych drzwiach, o północy przy prawej połówce spotkasz osobę, której najbardziej pożądasz?

Cameron patrzył, jak jej palce spiralnymi ruchami zdzierają korę z gałązki.

- Czy to wiedza wyniesiona z twoich osobistych doświadczeń?
- Nie. Kiedyś coś podobnego usłyszałam.
- A skąd wiadomo, która jest która?
- Co proszę?

Cameron dotknął kwiatu jabłoni.

- Która połówka jest prawa, a która lewa?

Mia uniosła brwi.

- Nie wiadomo. Przypuszczam, że to zależy od indywidualnego wyboru. - Przejechała palcem po obrzeżu jednej z dwóch filiżanek, których do tej pory nie napelniła herbatą - ba, nawet nie zaproponowała Cameronowi czegokolwiek do picia.

Jej kolana podskakiwały nieznacznie, gdy stukała o posadzkę palcami stóp, i ten widok uświadomił Camowi, że Mia jest jeszcze bardziej zdenerwowana od niego.

Niespodziewanie poderwała się z kanapy i podeszła do chłodni. Z miejsca, w którym siedział, Cameron widział wyraźnie odbicie jej twarzy w szklanych drzwiach.

Rysy miała tak napięte, że najmniejszy ruch ust mógł doprowadzić do skurczu mięśni. A jednak się odezwała.

- Podczas moich podróży zbierałam wszelkie możliwe wiadomości i ciekawostki na temat roślin. Na przykład mieszkańcom Korfu słoneczniki służą za kapelusze.

A we Francji wieśniaczki wykorzystują powojnik w charakterze sznura do suszenia bielizny. - Przejechała dłonią po szkle, po czym zacisnęła palce na uchwycie tak kurczowo, jakby tonęła.

- Czy wiesz, że Allie trzyma tutaj także świeże zioła? To bazylia. Jest ponoć symbolem nienawiści. - Odwróciła się szybko i podała wonną lodyżkę Cameronowi, który teraz już stał tuż obok.

Cameron przyjął zioło, odłożył delikatnie na brzeg kanapy, po czym zacisnął palce na palcach Mii.

Mia wyszarpnęła rękę i skrzyżowała ramiona.

- Ale w Rumunii - podjęła kruchym, łamiącym się głosem - panuje wierzenie, że jeżeli mężczyzna przyjmie z rąk kobiety bazylkę, będzie jej wierny do końca swoich dni. - Powiedziawszy to, osunęła się na podłogę po drzwiach chłodni, jakby nagle kolana odmówiły jej posłuszeństwa, i schowała twarz w dłoniach. - O Boże - jęknęła. - Wielki Boże.

Cameron chwycił ją w ramiona i trzymał przyciśniętą do piersi, aż w końcu rozluźniła się w jego ramionach i zaczęła cicho szlochać.

- Cii - wyszeptał w jej włosy i przeniósł wzrok na bazylię leżącą na skraju kanapy. - Już dobrze.

Jamie mieszkał w skromnym domu w stylu kolonialnym, stojącym po północnej stronie słynnego kaczego stawu.

Dom był pomalowany na biało i miał czarne okiennice, które zaczynały już obłazić z farby.

Kiedy Allie wjechała na podjazd i zatrzymała przed wejściem, została powitana przez jedną z sąsiadek przyjaznym machnięciem dłoni, jakby była od dawna oczekiwanym gościem.

Na wejściowych drzwiach wisiał ładny wieniec: wierzbowe witki splecione w kształt serca, poprzątkane czerwonymi i białymi suszonymi różami.

Allie wyłowiła klucze Jamiego z kieszeni kurtki, po czym otworzyła zamki i weszła do środka.

W domu panowała cisza i idealny porządek. Allie dowiedziała się od Jamiego, że wraz z Maggie opuszczali dom w pośpiechu, a tymczasem nigdzie nie było śladu rozgardiaszu, ani smugi błota na drewnianej podłodze holu czy czarnego śladu po gumie obcasa.

W powietrzu unosił się zapach wosku, golterii i jeszcze jakiś inny, którego Allie nie umiała zdefiniować, niemniej założyłaby się o duże pieniądze, że był to aromat typowy dla Maggie - zapewne jej perfum.

- No dobrze - powiedziała, głównie po to, by się przekonać, jak brzmi jej głos w cudzym domu. - Trzeba się zabierać do pracy. - Zawiesiła kurtkę na zwieńczeniu balustrady schodów i z tylnej kieszeni spodni wyjęła listę, sporządzoną przez Jamiego. - Dokumenty znajdują się w gabinecie - przeczytała i wsunęła głowę do pierwszego pokoju po prawej stronie.

Okazało się, że to jadalnia, w której stał duży owalny stół z wiśniowego drewna, przykryty białym bieżnikiem z irlandzkiej koronki. Pośrodku stał olbrzymi cynowy kielich, w którym leżały pękate, woskowe winogrona.

Z jadalni Allie przeszła do pokoju rekreacyjnego, gdzie spojrzęła na nią czarne, martwe oko telewizora.

Wgłębienia w oparciu stojącej przed nim kanapy jasno wskazywały, że Jamie i Maggie często siadywali tutaj obok siebie.

Powinłam się zajmować kryminalistyczną analizą śladów, pomyślała Allie, katalogując w myślach setki drobiazgow z życia Jamiego i jego żony, które odkryła poza ledwie kilku minutach w ich domu.

W kuchni otworzyła lodówkę, a potem, marszcząc z niesmaku nos, wylała skwaśniałe mleko do zlewu i wyrzuciła kawałek spleśniałego chleba do śmietnika.

Wreszcie dotarła do gabinetu.

Tutaj ściany zostały pomalowane na ciemnoniebieski kolor, a jedną z nich zajmował wielki regał pełen starych pożółkłych ksiąg. Patrząc na nie, Allie doszła do wniosku, że chyba nikt normalny nie miałby dość cierpliwości, by je przeczytać.

W pomieszczeniu ponadto znajdowała się deska kreślarska i prosta dębowa sekretera pełna ukrytych szufladek i przegródek. Najpierw Allie podeszła do deski.

Jamie napomknął kiedyś, że Maggie była ilustratorką - przynajmniej do czasu, gdy miała jeszcze siłę pracować.

Teraz deska była pusta, tylko obok stało pękate naczynie z wymalowaną twarzą Myszki Miki, a w nim flamastry w niemal wszystkich kolorach znanych Allie roślin: szarozielony niczym szafwia, cytrynowy, miodowy, bladoróżowy, błękitny, w odcieniu oberżyny i kości słoniowej.

W rogu deski, przypięte klipsem, widniało zdjęcie Jamiego i Maggie. Allie przyjrzała mu się uważniej, zafascynowana niezwykłą linią ust Maggie wygiętych w uśmiechu, żywym blaskiem jej oczu. Na fotografii Jamie obejmował żonę ramieniem i wyciskał na jej policzku gorącego buziaka.

Allie dotknęła tego miejsca na policzku Maggie, które całował Jamie, a potem uniosła palec do własnych ust. Z lekkim poczuciem winy wysunęła zdjęcie spod klipsa i włożyła do kieszeni swojej irchowej koszuli.

W biurku Jamiego leżały wszystkie rachunki i deklaracje podatkowe. Allie bez trudu znalazła ognioodporną kasetkę pod prawą szufladą - dokładnie tam, gdzie wskazał Jamie.

Klucz tkwił w zamku, więc wystarczyło go przekręcić, by zyskać dostęp do aktu małżeństwa, paszportów, aktu własności domu, polis ubezpieczeniowych.

Allie chwyciła jedną z grubych kopert leżących na biurku, wytrząsnęła jej zawartość, po czym włożyła do środka wszystkie dokumenty, które znalazła w kasetce. Następnie wyjęła z kieszeni zdjęcie Jamiego i Maggie i delikatnie wsunęła je na sam wierzch.

Gdyby ona była członkiem ławy przysięgłych, dobrze by wiedziała, które dowody uznać za bardziej wiarygodne.

Po wyjściu z gabinetu weszła na piętro, gdzie znajdowała się sypialnia, a w niej trzy pary drzwi.

Za pierwszymi kryła się łazienka, za dwoma kolejnymi - przepastne garderoby.

Na jednej z półek, obok prześcieradeł, piętrzyły się starannie ustawiane w rzędach testy owulacyjne.

Allie sięgnęła po jeden z nich i wpatrzyła się w rozmyte zdjęcie na opakowaniu, przedstawiające matkę z niemowlęciem na ręku. Maggie i Jamie - podobnie jak Allie i Cam - nie mieli dzieci. Różnica polegała na tym, że Maggie i Jamie bardzo chcieli je mieć. To znaczy Allie także marzyła o dziecku - i to od dnia, gdy zaczęła się spotykać z Camem - on jednak, choć minęły już lata, wciąż utrzymywał, że nie jest gotowy na ojcostwo.

Więc w tej kwestii - jak i w każdej innej - Allie zgodziła się do niego dostosować.

Zamknęła drzwi garderoby i przeszła na drugą stronę sypialni. Usiadła przed lustrem toaletki Maggie i rozpyliła jej perfumy. „Joy”.

Allie знаła ten zapach - był piękny, ale nigdy nie mogła sobie na niego pozwolić.

Po lewej stronie flakonu z perfumami stał dezodorant. A po prawej - rząd bursztynowych, plastikowych buteleczek, zawierających valium, demerol i mnóstwo innych medykamentów, których nazwy brzmiały zupełnie obco.

Och, Maggie - westchnęła Allie w duchu.

Ja nigdy by mnie trzymała leków w miejscu, w którym musiałabym na nie patrzeć za każdym spojrzeniem w lustro.

Z dokładnością badacza Allie zanotowała na odwrocie koperty z dokumentami nazwy i dawki wszystkich leków, zalecone przez lekarzy.

Z perspektywy czasu zupełnie nie umiała wyjaśnić, co ją skłoniło do kolejnego posunięcia - powoli, metodycznie Allie się rozebrała. Wsunęła tenisówki pod toaletkę, powiesiła dzinsy i koszulę na oparciu krzesła, a potem podeszła do garderoby Maggie MacDonald.

Włożyła cieniutką koszulkę w morelowym kolorze i spódnicę do kostek z jedwabnego rypsu we wszystkich barwach zachodzącego słońca. Okazała się za szeroka, więc Allie ściągnęła ją w pasie skórzanym paskiem wyszywanym indiańskimi koralikami.

Całości dopełnił turkusowy sweter w łódkę - obszerny, sięgający kolan, w którym Allie zdawała się tonąć.

Maggie była od niej dużo wyższa.

W pudełku na kapelusze, stojącym na górnej półce, leżała peruka w tym samym kolorze, co naturalne włosy Maggie. Allie była pewna, że w ostatnim czasie Maggie nie nosiła peruki, ponieważ wykazałaby to autopsja.

Zapewne żona Jamiego korzystała z niej ponad rok temu, kiedy została poddana bezskutecznej chemioterapii.

Allie przykucnęła przed toaletką i mozolnie zaczęła upychać swoje nieatrakcyjne w kolorze włosy pod siatkę, aż w końcu pasma peruki objęły zgrabnie owal jej twarzy. Z komody wyciągnęła samonosiące pończochy, na które włożyła skarpety i skórzane tenisówki.

Wokół szyi udrapowała szal w deseń przedstawiający tropikalne owoce, natomiast drugi, dużo cieńszy, zamotała wokół talii. W górnej szufladzie znalazła biustonosze - koronkowe, zwiewne niczym ulotne wspomnienie, upchnięte pod sztywne staniki protetyczne dla kobiet po mastektomii.

Allie poczuła wzbierające mdłości. Przycisnęła rękę do ust i już miała biec do łazienki, gdy jej wzrok padł na łóżko. Dopiero teraz zauważyła, że jest nie zaścielone. W domu, gdzie każdy drobiazg znajdował się na swoim miejscu, a kurz nie chciał osiadać, pomięte niebieskie prześcieradła i skołtuniona kołdra zakrawały na profanację. Allie przysiadła na skraju łóżka, uniosła poduszkę do nosa i poczuła zapach „Joy” oraz wody po goleniu Jamiego.

Być może Maggie czuła się zbyt słaba, by tego ostatniego dnia pościelić łóżko, lub też Jamie zapomniał to zrobić.

Niewykluczone, że jego żona już wcale nie sypiała na górze, bo chodzenie po schodach zbyt ją męczyło.



Allie jednak zobaczyła oczami duszy zupełnie inny obrazek. Był tak wyrazisty w jej wyobraźni jak barwy spódnicy, którą na siebie włożyła.

Jamie i Maggie już mieli opuścić progi domu, gdy niespodziewanie Maggie chwyciła go za rękę i pociągnęła w górę po schodach, by po raz ostatni kochać się z mężem w tym łóżku.

Allie położyła się na prześcieradłach, naciągnęła na twarz kołdrę i zanosła się szlochem.

Zanim Cameron i Mia odnaleźli wspólny rytm, przy pocałunku odwracali twarze w tę samą stronę i zderzali się nosami. Niemniej odkrywanie siebie nawzajem było tak cudownie ekscytujące w porównaniu z małżeńską nudną rutyną, że Cam czuł się jak w niebie. Siedzieli z Mią na kanapie, całowali się zachłannie niczym dwójka nastolatków i muśnięciami palców delikatnymi niczym trzepot skrzydeł ćmy - badali nawzajem swoje ciała.

Cameron pomyślał, że Mia pachnie i smakuje zupełnie inaczej niż Allie, i był to ostatni raz, gdy pozwolił sobie na przywołanie wspomnienia o żonie.

Potem z pełnym rozmysłem wyrzucił z pamięci i skoncentrował się na skórze Mii, na jej tętnie, na świeżym, uderzającym do głowy aromacie włosów.

Rozbierał ją powoli, wyczulony na najmniejszy odruch protestu, ale Mia w żaden sposób nie próbowała się bronić, więc zaczął sobie poczynać coraz śmielej. A gdy duża koszula rozchyliła się na udach Mii niczym płatki lilii, Mia poderwała się z kanapy i zaczęła rozpiąć guziki munduru Camerona.

Rzuciła mundur za siebie i odznaka uderzyła z metalicznym brzękiem o kant stołu, przypominając Cameronowi, kim jest i dlaczego nie powinien robić tego, co właśnie robił. Ale teraz już go to nie obchodziło. Szybko ściągnął buty, skarpety i spodnie.

Stanął nagi przed Mią, a ona położyła dłoń na jego udzie, po czym obeszła go ciasnym kółkiem, nie odrywając palców od jego ciała.

- Rany - mruknęła cicho, gdy znów stanęła zwrócona do niego twarzą. - Ideał bez skazy. Jak to możliwe?

Cameron pochwycił ją w ramiona i uniósł lekko z podłogi, tak że ich ramiona, brzuchy i uda znalazły się na tym samym poziomie. Pocałował lok, który się zaplątał w okolice jego ust. Położył Mię na sofie i zaczął wchodzić w nią powoli, najdelikatniej jak umiał.

Mia postrzegąca niezwykle urodę Cama nie w całości, ale w jej fragmentach - na podobieństwo kamery wodzącej w zbliżeniu obiektywem po dużym obiekcie.

Przesunęła wzrokiem po rdzawych, gęstych włosach, potem po niebieskawych żyłkach widocznych pod białą skórą szyi, prostym zgięciu ręki w miejscu, gdzie ramię łączy się z bicipsem. Przejechała dłonią po jego piersi i brzuchu. Schodziła coraz niżej, zatrzymała się dopiero w miejscu ich złączenia. I wówczas Cameron zaczął gwałtownie drżeć.

Już dłużej nie był w stanie się powstrzymać. Wcisnął twarz w szyję Mii i ostatnim wysiłkiem woli wysunął się z jej wnętrza, jednocześnie z całej siły przyciskając do siebie tę filigranową kobietę.

Poczuł mleczną lepkość spajającą ich oboje niczym wspólny grzech.

- Nie zabezpieczyłem się - szepnął dla wyjaśnienia.

Mia skinęła głową.

- Następnym razem będziesz o tym pamiętał. Cameronowi serce skoczyło z radości. A więc chciała się z nim znowu spotkać! Chciała się z nim znowu kochać! Przewrócił się na bok, w ostatniej chwili uchronił Mię przed upadkiem z wąskiej kanapy, po czym przytulił ją mocno do siebie. I dopiero wtedy zauważył, że Mia płacze.

- Dlaczego? - spytał, niepewny, czy rzeczywiście ma ochotę poznać odpowiedź.

- Przypomnieli mi się moi rodzice - wyszeptała - I zrozumiałam, że czekałam na ciebie zbyt długo.

Cameron musiał się przesunąć, a jednocześnie bał się to zrobić - bał się, że wystarczy jedno drgnienie powieki, a Mia się przemieni w obłok pary i zniknie. Wyciągnął rękę, po omacku odnalazł łożysko bazylii, po czym zatknął ją Mii za ucho.

- To może teraz porozmawiamy o tej herbacie, na którą mnie zaprosiłaś? - rzucił filuternie.

I wówczas Mia, niczym słońce do słońca, zwróciła się w stronę jego promiennej twarzy.

## 8.

W 1692 roku czterdziestu MacDonaldów z Glencoe - miasta oddalonego o niecałe osiem kilometrów od Carrymuir - zostało zamordowanych przez żołnierzy klanu Campbellów, którzy wcześniej przez dwa tygodnie jedli, pili i spali pod dachem swoich ofiar.

Ówczesny laird nie należał do entuzjastów Wilhelma Orańskiego i ze złożeniem przysięgi lojalności nowemu królowi zwlekał do ostatniego wyznaczonego edyktem dnia.

Niemniej ją złożył, więc gdy oddział Campbellów stanął pod murami Glencoe i poprosił o gościnę w imieniu króla Anglii, nie przewidział podstępny.

Tymczasem Anglicy postanowili dać szkockim góralom nauczkę, a Campbellowie, odwieczni wrogowie MacDonaldów, z niezwykłą gorliwością podjęli się wypełnienia woli Wilhelma Orańskiego. Po dwóch tygodniach pobytu w Glencoe, wraz z nastaniem świtu dokonali krwawej masakry.

Zastrzelili lairda, poodgryzali jego żonie palce, na których nosiła pierścienie, a potem rzucili ją nagą na śnieg, by tak dokończyła żywota.

W Glencoe - podobnie zresztą jak w Carrymuir - do dziś panuje przekonanie, że każdy Campbell jest podstępny i zdradziecki.

I dlatego też pod Jamiem MacDonaldem aż się ugięły kolana, gdy usłyszał nazwisko swojego oskarżyciela.

Audra Campbell, zastępca prokuratora okręgowego, stanęła przed sędzią Sully podczas przesłuchania wstępnego w sprawie „Stan Massachusetts kontra James Re id MacDonald” i uniosła w górę

dużą fotografię przedstawiającą białe, martwe ciało, którego Jamie wolałby już nigdy w życiu nie oglądać.

- Wysoki Sądzie, oskarżenie dysponuje raportem z autopsji Margaret MacDonald, podpisanym zeznaniem Jamesa MacDonalda, w którym przyznaje, że doprowadził do zgonu żony, polaroidowymi zdjęciami podejrzanego, wykonanymi w dniu aresztowania przez komendanta policji Camerona MacDonalda, dokumentującymi obrażenia na twarzy Jamesa MacDonalda jasno wskazujące, że Margaret MacDonald broniła się przed śmiercią, oraz rozlicznymi dowodami rzeczowymi bezpośrednio wiążącymi Jamesa MacDonalda z miejscem przestępstwa. - Audra uniosła znacząco brwi, jakby chciała powiedzieć: „Materiał jest tak przytłaczający, że nie ma sensu, byśmy tracili czas na dalsze deliberacje”.

Graham, siedzący u boku Jamiego, niespokojnie poruszył się na krześle.

W swojej hondzie, w drodze do sądu, wyjaśnił klientowi, jakie reguły rządzą rozprawą wstępną.

Jamie wiedział więc, że dzisiaj obrona nie przedstawi żadnych argumentów, ponieważ wówczas oskarżenie miałoby prawo wziąć podejrzanego w krzyżowy ogień pytań.

„Na tym etapie nie przesądza się o winie bądź niewinności”, tłumaczył Graham Jamesowi.

„Chodzi jedynie o ustalenie, czy istnieją podstawy do postawienia w stan oskarżenia i wszczęcia postępowania procesowego”.

Zdawało się, że Jamie pojął sens całej procedury, czym więc wytłumaczyć fakt, że gdy tylko spojrzał na prokurator przedstawiającą dowody oskarżenia, zapadł się w sobie i przybrał taką minę, jakby właśnie ujrzał złowrogą zjawę.

Audra Campbell była drapieżną tygrysią: zawsze chmurna, nawet nie próbowała nadać odrobiny kobiecości swoim surowym w kroju garsonkom czy krótko, po męsku strzyżonym włosom. Nie miała żadnego osobistego stosunku do spraw, które prowadziła w hrabstwie Berkshire, po prostu zależało jej na wygranej. W gruncie rzeczy nie widziała w oskarżonych gwałcicieli, morderców czy złodziei, jedynie wrogów, których trzeba złamać i odesłać w niebyt.

Teraz stanęła przed solidnym drewnianym stołem oskarżenia i powiodła wzrokiem po widowni.

- Wysoki sędzie, na sali zasiada świadek, który potwierdzi, że po południu 19 września 1995 roku podejrzany podjechał pod posterunek policji w Wheelock, a następnie oświadczył w obecności wielu członków lokalnej społeczności, że własnoręcznie zabił żonę. Owym świadkiem jest komendant miejscowej policji, który aresztował podejrzanego i przyjął od niego zeznanie.

Inny ze świadków jest gotów zeznać, że podejrzany zaatakował go fizycznie przed budynkiem komisariatu, w związku z czym musiał zostać obezwładniony.

Audra posłała chłodne spojrzenie Grahamowi MacPhee, który jednak był w tym momencie zbyt zajęty baczным lustrowaniem widowni, żeby to zauważyć.

Zandy Monroe, sierżant, który miał zeznać, że został napadnięty przez Jamiego, siedział u boku Camerona MacDonalda i gorączkowo szeptał mu coś do ucha.

Graham się zastanawiał, czy Cam rzeczywiście posunie się do przymierza z oskarżeniem.

I czy jest w stanie spać spokojnie ze świadomością, że z powodu jego posunięć członek klanu MacDonaldów może spędzić w pudle resztę swojego życia.

Graham przeniósł wzrok na żółty prawniczy blok. Do tej pory zdążył wyrysować kilka trójkątów i swój ozdobny inicjał, ale nie zanotował niczego sensownego.

Teraz z namaszczeniem zapisał nazwisko komendanta policji i starannie je podkreślił.

Allie przebywała w Cummington, gdzie próbowała pozyskać świadków obrony, Graham tymczasem zrozumiał, że w swojej strategii musi koniecznie uwzględnić Cama. Oczami wyobraźni ujrzał taki oto obrazek: podczas przesłuchania komendanta policji stoi non-szalancko oparty o barierkę, oddzielającą miejsce dla świadków od reszty sali, i prosi Camerona, żeby przedstawił zawile związki rodzinne, łączące wszystkich MacDonaldów. A potem zmusza obecniego lairda do wyrecytowania rodowego motto klanu z Carrymuir - tego samego, które widniało w herbie miasta: Ex uno disce omnes - Na podstawie jednego sędź pozostałych.

Jeżeli Cam oświadczy, że jego kuzyn jest mordercą, jak to będzie świadczyć o nim samym?

Graham uśmiechnął się pod nosem. Musi jedynie sprawić, żeby najcenniejszy świadek oskarżenia stracił rezon podczas przesłuchania. A gdy do tego doda zeznania Jamiego, znajdzie się w domu.

Natomiast w tej chwili musi zgłosić legalnie dopuszczalną linię obrony.

- Mecenasio? - odezwała się Martha Sully. - Co pan na to?

Graham podniósł się z miejsca i wygładził kosztowną marynarkę.

- Wysoki sędzio - rozpoczął - obrona przyznaje, że niektóre przedstawione przez oskarżenie fakty rzeczywiście miały miejsce, niemniej mój klient w żadnym razie się nie przyznaje do postawionych zarzutów. A to z tego prostego powodu, że - zaślepiony rozpaczą - krytycznego dnia po prostu nie był sobą.

Działął pod wpływem impulsu zrodzonego z chwilowej niepoczytalności. I jeżeli dojdzie do rozprawy, obrona przedstawi na to stosowne dowody.

Kiedy Graham opadł na krzesło, Jamie spojrział na niego z uśmiechem, wyrażającym szczere rozbawienie. Nachylił się do ucha adwokata i mruknął:

- Kto by pomyślał. Brzydkie kaczątko zaczyna wyrastać na łabędzia.

Graham zawadiacko uniósł brew.

- Jeszcze nie widziałeś, na co mnie naprawdę stać.

Z wyżyn swojego podwyższenia Martha Sully powiodła wzrokiem po zgromadzonych, wsunęła na nos okulary i zanotowała coś w leżących przed nią aktach.

- Sąd uznaje, że istnieją uzasadnione powody, by sprawę przekazać do rozpatrzenia wielkiej ławie przysięgłych - ogłosiła po chwili i z trzaskiem zamknęła teczkę z dokumentami.

Audra Campbell wcisnęła papiery do sztywnej, skórzanej aktówki. Wstała, wygładziła spódnicę i podeszła do stołu obrony.

- Wkrótce się spotkamy - rzuciła w stronę Grahama, a potem spojrzała na Jamiego ze złowieszczym uśmiechem, zdającym się przecinać jej twarz na pół.

- Panie MacDonald, ja dla nikogo nie mam litości.

Jamie spojrzał jej prosto w oczy.

- Cóż - powiedział chłodnym, opanowanym głosem - trudno się spodziewać czegokolwiek innego po członku rodziny Campbellów.

Mia nie wystraszyłaby się tak bardzo nagłym pojawieniem Ellen MacDonald, gdyby wykonywała jakąś rutynową dla florystki czynność - trzymała drzewka bonzai czy komponowała miniaturowe ogrody. Tymczasem ona z rozmarzoną miną pokrywała formularz zamówień imieniem „Cameron”.

- Dzień dobry.

- Ellen odezwała się dopiero wtedy, gdy stała zaledwie dwa kroki od Mii.

Mia raptownie poderwała się ze stołka, nerwowo wepchnęła niezszcześnie formularz do tylnej kieszeni dżinsów i zwróciła się w stronę matki Camerona, którą miała okazję poznać kilka dni wcześniej, na cmentarzu.

- Pani MacDonald - zmusiła się do uśmiechu. - Czyżby Allie nie poinformowała pani o swoim wyjeździe?

- Naturalnie, że mnie poinformowała. - Ellen podeszła do ekspresu i nalała sobie kawy do kubka, z którego zazwyczaj pijała Allie. - Jak i o tym, że zostawiła kwiaciarnię w kompetentnych rękach, więc mogę w dowolnej chwili wpaść i wziąć, co chcę.

Mia nie wiedziała, jak zareagować. **WZIAĆ, CO CHCĘ?**

Ellen otworzyła drzwi chłodni, przykucnęła i musnęła palcami zioła, które Allie trzymała po prawej stronie.

- Świeża palczatka cytrynowa i suszony kwiat lipy - powiedziała bardziej do siebie niż do Mii.

Podniosła się i ściągnęła brwi.

- Muszą gdzieś tu być. Allie co tydzień zamawia wszystko, o co proszę.

Mia przypomniała sobie, że w ostatniej dostawie Antonia znalazła się suszona roślina, której nie rozpoznała, więc ją zostawiła na zapleczu, na biurku Allie.

- Czy o to pani chodzi?

Ellen chwyciła pęk gałązek i potarła suche liście palcami, jakby chciała sprawdzić stopień ich kruchości.

- Cudowne - zawyrokowała.

- Działają kojąco.

Mia sceptycznym wzrokiem obrzuciła brzydkie, małe łodygi.

- Osobiście preferuję trochę żywsza kolory.

- Ach, one nie służą do ozdoby, mają działanie lecznicze. Przygotowuję z nich napar. Zajmuję się medycyną naturalną.

- Potrząsnęła pękiem i kilka małych, suchych kwiatów sfrunęło na podłogę. - Allie jest dla mnie istnym darem niebios. Bez niej nie udałooby mi się zdobyć tak wielu ekologicznie hodowanych roślin.

Mia uśmiechnęła się niepewnie. Nie bardzo wiedziała, jak się powinna w tej sytuacji zachować - podać pani MacDonald czajnik, żeby mogła uwarzyć swój napar, czy może poobrywać dla niej liście z tych badyli.

Ellen nie zgłaszała żadnych kolejnych życzeń, ale też nie spieszyła się do wyjścia.

- A więc pani jest mamą Cama - wypaliła Mia bez zastanowienia i natychmiast uświadomiła sobie, jak niestosownie intymną wymowę miała ta uwaga.

- We własnej osobie. - Ellen wsunęła rękę do kieszeni, z której wyjęła kilka małych, oszlifowanych kamieni. - Zdajesz się być nieco wzburzona, moja droga zauważyła, przerzucając kamienie w dłoni, jakby to były kości do gry. Kiedy spadły na blat biurka, zaczęła w nich starannie przebierać. To rodonit, koi nerwy, proszę, różowy kwarc, gwarantuje szczęście w miłości. Ten natomiast, o, nie, nie będzie stosowny. To karnelian, rozbudza apetyt na seks. Aha! - Z błyskiem zadowolenia w oku Ellen podała Mii gładki, zielony kamyk.

- Awenturyn. Sprowadza spokój ducha.

Mia dotknęła kamieni, rozrzuconych na biurku niczym dziecięce, szklane kulki.



- Czy naprawdę mają jakąś moc?

Ellen wzruszyła ramionami.

- To zależy od tego, jak bardzo się chce w nią wierzyć. Po roku od przyjazdu do Ameryki stary Angus dostał zawału i lekarze zgodnie orzekli, że zostało mu najwyżej parę dni życia.

Wówczas wszyłam kawałek malachitu w jego szpitalną koszulę.

Malachit ponoć wzmacnia serce i usprawnia krążenie.

No i wyobraź sobie, że staruszek już następnego ranka opuścił szpital - i to o własnych siłach.

- Niesamowite!

- Osobiście podejrzewam, że nie tyle zadziałała tu magiczna moc malachitu, ile charakter MacDonaldów - oznajmiła Ellen z uśmiechem. - Są zbyt uparci, żeby umrzeć w niedogodnym dla nich momencie.

Na odgłos otwieranych drzwi Mia wybiegła z zaplecza, żeby przywitać potencjalnego klienta.

Tymczasem niespodziewanie zobaczyła Cama - pochylał się nad roboczym stołem i rozkładał na blacie papierowe talerze oraz plastikowe sztuce.

- Hej - uśmiechnął się szeroko na widok Mii.

- Ponieważ w moim najlepiej pojętym interesie leży dbanie o twoją kondycję...

- Cameronie - weszła mu w słowo Mia. - Zgadnij, kogo tu goszczę?

Zza parawanu wyszła Ellen w zapiętym płaszczu, z pękami swoich leczniczych roślin w dłoniach.

- No, proszę. Okazuje się, że przypadkiem udało mi się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Cam nachylił się nad matką i cmoknął ją w policzek.

- Co tutaj robisz?

- Allie ściągnęła dla mnie suszoną lipę. - Podetknęła synowi rośliny pod nos. - Przygotuję z niej pierwszorzędną środek nasenny.

- Ach, do diabła. - Cam uśmiechnął się promiennie. Był w zbyt dobrym nastroju, żeby się przejmować wariactwami matki. - Ostatecznie ktoś musi się tym zająć.

Ellen spojrzała na stół zastawiony dla dwojga i na calzone znaczące tłustymi plamami papierową torbę. A potem przeniosła wzrok na syna.

- Chyba nie zapomniałeś, że Allie wyjechała?

- To dla Mii - odparł Cam gładko. - Allie kazała mi zadbać o jej regularne odżywianie.

Przez chwilę Ellen nie mogła się zorientować, co w zbudziło jej nagły niepokój.

Ale szybko na to wpadła: syn był rozpalony - niczym w gorączce. W żadnym razie nie sprawiał wrażenia chorego, jednak Ellen rozpoznałaby wszędzie ten płomień w oczach i rumieniec rozlewający się od szyi w górę. Spojrzała uważniej na Cama, który właśnie wyciągał coś, co wyglądało na parmezan, i nucił przy tym starą szkocką kołysankę. Zerknęła na Mię, niespokojnie zaciskającą dłonie. Ellen trzymała w kieszeni ametyst, który miał wzmacniać siłę woli, i już chciała go dać Camowi, gdy dotarło do niej, że ten problem syn będzie musiał rozwiązać samodzielnie.

Ledwo jednak to pomyślała, stanęła jej przed oczami nie obecna Allie, pochylona nad Kuchenkę, mieszająca rozpuszczony wosk i lanolinę. Ellen przypomniała sobie też dzień, gdy przegrzała tynkturę, która miała działać odżywczo na cerę, ale Allie mimo to się nią nasmarowała i przez kilka następnych dni chodziła z twarzą zabarwioną na zielono. Wróciło wspomnienie ślubu Allie i Cama - podczas składania życzeń panna młoda tak kurczowo ścisnęła rękę ukochanego, że potem przez tydzień miał na niej niewielkie siniaki.

Ellen odłożyła pęki suszonej lipy, poczym rozpięła płaszcz i przysiadła na stołku przed jednym z talerzy.

- Rety, jakie apetyczne - uśmiechnęła się radośnie. - Mam nadzieję, że wystarczy dla trojga.

Pokój gościnny w domu Jamiego i Maggie został przerobiony na komputerową pracownię, zapewnioną sprzętem najwyższej klasy.

Allie ostrożnie weszła do tego wnętrza, ponieważ komputery ją oneśmiały. Co prawda rok wcześniej uczęszczała na specjalny

kurs, gdzie się nauczyła korzystać z programu dla handlowców, usprawniającego inwentaryzację towaru i fakturowanie, ale jeszcze nigdy nie widziała na oczy urządzeń, które się znajdowały w domowej pracowni Jamiego. Na monitorze wirowały geometryczne wzory, jakby użytkownik komputera wyskoczył tylko na moment z pokoju. Wiedziała, że to wygaszasz ekranu, funkcja oszczędności energii w czasie, gdy nikt akurat nie korzystał z urządzenia. Allie była zdumiona, że Jamie przed wyjazdem nie zamknął systemu, ale szybko sobie uświadomiła, że w owej chwili miał umysł zaprzątnięty poważniejszymi problemami. Niemniej, podczas pobytu Jamiego w Wheelock, komputer pożre straszłą ilość energii i niemiłosiernie nabije rachunek za elektryczność. Allie więc nieśmiało przysiadła na obrotowym fotelu i zaczęła się rozglądać za wyłącznikiem prądu.

Ledwo jednak wyciągnęła rękę, geometryczne wzory zniknęły z ekranu, a na ich miejscu pojawiła się kulka ostrego światła, przywodząca na myśl flesz aparatu fotograficznego, która chwilę później zaczęła się przemieszczać od lewej do prawej strony monitora, ciągnąc za sobą sznur liter. WITAJ - przeczytała Allie. - ZAŁÓŻ RĘKAWICĘ ORAZ HMD. Allie była oszołomiona faktem, że komputer wyczuł jej obecność. Jak zahipnotyzowana wsunęła rękę w dziwną rękawicę, poruszyła wszystkimi palcami, a potem przeniosła wzrok na niezwykle hełm, który leżał nie opodal klawiatury. Nie miała pojęcia, czym jest HMD, jednak - poza rękawicą - jeszcze tylko on był w widoczny sposób połączony z komputerem. Niepewnie włożyła go na głowę.

I aż podskoczyła z wrażenia. Teraz już nie patrzyła na monitor, ale znalazła się w jego wnętrzu! Wszędzie w zasięgu wzroku, nawet gdy obracała głowę, widziała szare ściany małego pomieszczenia o podłodze pokrytej bładoniebieską wykładziną, przypominające nieco poczekalnię w gabinecie lekarskim. Kilka centymetrów przed jej oczami pojawiły się wyrazy - migotliwe jak skrzydła kolibrów - układające się w następujący przekaz: JESTEŚ W WIRTUALNYM STUDIUM ARCHITEKTONICZNYM „NORTHRUP”.

Allie wyciągnęła rękę i z zachwytem zauważyła, że litery, które teraz osiadły na jej dłoni, mają określoną wagę i fakturę powierzchni. Poniżej pojawił się także mniejszy napis: SOFTWARE - TECHCELLENCE, INC., 1993, WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE. Allie była zdumiona tą informacją. Dlaczego Jamie zajmował się projektem sprzed dwóch lat?

Zanim jednak zdążyła się nad tym głębiej zastanowić, wirtualny pokój rozpadł się na jej oczach, a w jego miejscu zawisły w przestrzeni trzy hologramy: wysokościowiec, kompleks hotelowy i maszt flagowy. Rozległ się także bezosobowy głos spikera: „Wybierz obiekt, który chciałbyś zwiedzić, przez wskazanie go dłonią w rękawicy”. A gdy Allie uniosła rękę, ten sam głos zaanonsował poszczególne opcje: Rystrom Towers... Hotel „Four Seasons” w Toronto... Szkoła Podstawowa im. Cartera S. Wildera.

Allie zacisnęła palce na flagowym maszcie.

„Wybrano szkołę podstawową. Powiedz, czy już teraz chcesz rozpocząć zwiedzanie”.

Allie odchrząknęła, poczuła się trochę głupio.

- Chcę rozpocząć zwiedzanie.

Ledwo to powiedziała, a znalazła się na trawiastym pagórku, z którego roztaczał się widok na nowy ceglany budynek, błyszczące stojaki rowerowe i zawiłą płataninę drewnianych drabinek. Allie poczuła podmuch wiatru we włosach, dobiegły ją krzyki i śmiechy bawiących się dzieci. Zdumiona przykucnęła i przejechała dłonią po trawie. Była gotowa przysiąc, że pod rękawicą poczuła łaskotanie świeżo przyciętych źdźbeł.

- Jamie - wyszeptwała. - Jesteś geniuszem.

Podniosła się i postąpiła naprzód, zdumiona, jakim cudem nie wpadła na stojący tuż przed nią sprzęt. Jedyнным logicznym wytłumaczeniem było to, że się znajdowała na ruchomej bieżni platformy, której wcześniej nie zauważyła.

Allie zesza z pagórka i stanęła przed ciężkimi, aluminiowymi drzwiami szkoły. Nacisnęła na klamkę - poczuła jej fakturę i nieznaczny opór zapadki - po czym weszła do środka.

W głównym holu znajdowała się gablota na szkolne trofea, a ściany były ozdobione kolorowymi, dzieciennymi rysunkami o rogach podwijających się nieznacznie niczym rzęsy. Allie przyglądała się bacznie patykowatym ludzikom wymalowanym przez jednego z małych artystów, gdy znowu usłyszała bezosobowy głos: „Wybierz postać, w którą chcesz się wcielić”. Znowu w powietrzu zawisły hologramy: kobieta, dziecko, mężczyzna, chłopiec na wózku inwalidzkim. Allie nie miała pojęcia, dlaczego komputer chce znać jej płeć i stopień sprawności fizycznej, wskazała jednak na postać, która się znajdowała najbliżej. „Dorośla kobieta”, oznajmił głos.

Małeńka postać z hologramu zaczęła się rozrastać i wkrótce stała przed Allie w całej swojej okazałości. Miała gęste włosy, rozbrajający uśmiech i niepowtarzalne rysy Maggie MacDonald.

- Wejdz, proszę - powiedziała Maggie. Ciekawe, czy to jej autentyczny głos, pomyślała Allie i dała krok przed siebie. Maggie ponowiła polecenie, ale dopiero za trzecią próbą Allie zrozumiała, że ma literalnie wniknąć w wirtualne odwzorowanie Maggie. Oczywiście! Jamie chciał, aby właśnie w takiej postaci użytkownik programu poruszał się po szkole. Allie przypomniała sobie nagły rozbłysk światła, który nastąpił tuż po tym, gdy zasiadła przed komputerem - zapewne miał wbudowaną kamerę, rejestrującą twarz użytkownika, by ją wczytać w wirtualny model. Dzięki temu, gdy Allie stanie przed lustrem w szkolnej łazience, czy też przed jakąś inną powierzchnią odbijającą obraz, ujrzy samą siebie. Z szeroko rozwartymi oczami wniknęła w postać Maggie, wzdrygając się lekko na myśl, że oto się znalazła w obcym ciele i ma oglądać świat cudzymi oczami. Zaczęła się też zastanawiać, czy smutek, który ją nagle ogarnął, był efektem w zamierzony sposób wprowadzonym do programu przez Jamiego, wytworem jej wyobraźni, czy raczej nie odłączną cechą Maggie, która przemieszczała się wśród murów tej dziewczęcej szkoły niczym przynębiona, niezaspokojona zjawa.

Cameron siedział przy roboczym stole w kwiaciarni i patrzył, jak Mia wymienia druty na drzewkach bonzai.

- To musi być dla nich bolesne - uznał.  
- Co ty powiesz? Kiedy ostatnim razem ktoś cię owijał miedzianym drutem?

Cam parsknął śmiechem.

- Brzmi zachęcająco.

To była trzecia wspólna noc z Mią. Oprócz matki, która wparowała tu przedwczoraj w najmniej odpowiedniej porze, nikt nie podejrzewał Camerona o niestosowne zachowanie. Zresztą nawet matka nie miała jakichkolwiek dowodów na istnienie zakazanego związku. W ciągu dnia Cam robił to, co zwykle: zjawiał się na posterunku, zwoływał odprawy, ustalał grafik zmian, sprawdzał wokandę sądową - zajmował się wszystkimi sprawami, wymagającymi jego uwagi. Ale gdy tylko wybijała szósta, zamykał drzwi biura i oznajmiał Hannie, że zabiera Mię Townsend na kolację, ponieważ Allie przykazała, aby się zaopiekował jej nową pracownicą. Szybko doszedł do wniosku, że półprawdy stanowią na dłuższą metę o wiele lepszą zasłonę dymną niż wymyślne kłamstwa.

Potem szedł do kwaciarni, zatrzymując się po drodze na okazjonalne pogawędki pod pocztą czy przy wejściu do kafeterii.

W końcu stukał do zamkniętych drzwi, a gdy się otwierały, jego zmysły pobudzał świeży, słodki zapach kwiatów, nad którymi po południu pracowała Mia. Zawsze zdawała się nieco zaskoczona widokiem Camerona, ale natychmiast wciągała go do środka, po czym zaczynała całować, mocno zaciskając dłonie na jego bokach.

Pierwsza wspólna noc była niesamowitym, cudownym przeżyciem, którego Cam nie potrafił opisać słowami. Kochanie się z Mią było niczym gwałtowne przebudzenie i odkrycie, że jest coś takiego jak kolor zielony. Nagle zaczynało się inaczej patrzeć na trawę, drzewa, niektóre znaki drogowe i człowiek zachodził w głowę, jak to możliwe, że przeżył tak wiele lat pozbawiony świadomości istnienia tej niezwyklej barwy, idealnie porządkującej świat.

Tego wieczoru Cameron przyglądał się pracy Mii, podziwiał sprawne, delikatne ruchy jej rąk, które miały moc kształtowania i uzdrawiania wytworów natury. Okopując korzenie chińskiego jałowca, Mia poprosiła niespodziewanie:

- Opowiedz, jakim byłeś dzieckiem. Chcę wiedzieć, ile straciłam.

Cam uśmiechnął się szeroko.

- Kiedy miałem sześć lat, zatkałem odpływ w prysznicu mamy. To była taka szklana konstrukcja, więc doszedłem do wniosku, że świetnie posłuży za basen. Woda przesączyła się przez strop i zniszczyła zabytkowy stół, stojący w jadalni na parterze.

- Aha! - Mia przejechała dłonią po karku Camerona. - To wiele o tobie mówi.

- I nagminnie wciskałem dziesięciocentówki pomiędzy białe i czarne klawisze fortepianu - dodał Cam.

- Czemu mnie to nie dziwi? - Objęła go mocno w pasie.

- Matka powtarzała - mruknął, podczas gdy Mia wodziła ustami po jego szyi - że znajduję się na prostej drodze do piekła.

Mia pchnęła Camerona na stołek, po czym usiadła na nim okrakiem. Cam wyraźnie wyczuwał gorąco jej skóry, pomimo wielu warstw ubrań.

- Noi w końcu do niego trafisz - oświadczyła Mia i zaczęła go namiętnie całować.

Cam poderwał się z Mią w ramionach i zaniósł ją na kanapę. Kiedy się nachylił, Mia przyłożyła palce do jego warg.

- Wyjaw mi swoją najskrytszą tajemnicę.

Cameron się zaśmiał.

- Zawsze chciałem zostać pisarzem - podróżnikiem - wyznał, owiewając szyję Mii ciepłym oddechem. - Podejmować dalekie wyprawy - na Jukatan, do Singapuru, Culebry czy Pragi - a potem uświadamiać reszcie świata, ile traci. - Zniżył głos do szeptu. - Byłbym w tym dobry. Jestem tego pewien.

Mia wyobraziła sobie Camerona stojącego na stopniach białej świątyni w Sagaing, wędrującego wzdłuż szarej wstęgi birmańskiej rzeki Irawadi.

Wyraźnie widziała ołówek, zatknięty za jego uchem i notatnik, wciśnięty do tylnej kieszeni spodni.

- Dlaczego więc tak się nie stało?

- Musiałem tu wrócić. Po śmierci ojca zostałem nominalnie przywódcą klanu. Nie mogłem pełnić tej roli bez stałego miejsca zamieszkania.

- Teraz mógłbyś to zrobić.

Cam zamknął powieki i ujrzał Mię w białej, lnianej koszuli, bosą, opaloną, siedzącą u jego boku na katamaranie sunącym wzdłuż wybrzeży Wysp Podwietrznych.

Otworzył oczy, odepchnął od siebie marzenia, które nie miały szansy się ziścić, i przytknął dłoń do policzka Mii.

- A jaka jest twoja najskrytsza tajemnica?

- Kocham cię.

Cameronamu zamurowało.

To były proste słowa, które słyszał milion razy wypowiedane przez żonę. I chociaż zdawało się to niedorzeczne, czuł, że tak jak jego dusza należy do Mii, tak to krótkie zdanie jest przypisane do Allie. Nie chciał, by wypowiadała je Mia, nie mógł znieść tych słów z jej ust, bo nic tak dobitnie mu nie uświadamiało, jak kolosalną musiałby zapłacić cenę i jak wiele zadać cierpienia innym, gdyby się zdecydował zatrzymać to, co od zawsze powinno należeć do niego.

Cameron odwrócił się od Mii, zsunął na podłogę. Oparł głowę na dłoniach i westchnął głęboko.

Mia skoczyła wróg kanapy, a kiedy na nią spojrzął, siedziała zwinęta w kłębek, jakby chciała zająć sobą mniej przestrzeni niż to fizycznie możliwe.

- Nie powinnam była tego mówić - mruknęła, skubiąc skórę paznokcia. - Przepraszam.

Cam sięgnął za siebie i ścisnął rękę Mii.

- Nie masz za co przepraszać. - zawiesił głos, badając w duchu grubość murów, które jego umysł wznosił dla ochrony przed ogniem, który rozpałał się w jego trzewiach i wędrował coraz wyżej. - Ja też cię kocham.

Mia znieruchomiła.

- Naprawdę?

- Cam skinął głową.



Nagle zrobiło mu się słabo i nie wiedział, czy to za sprawą zapachu bzu, wypełniającego każdą kątki kwaciarni, czy też dlatego, że - w mgnięciu oka - stał się człowiekiem, którego sam nie rozpoznawał.

- Niech mi Bóg dopomoże - szepnął. - Ale kocham cię całym sercem.

Mia położyła chłodną dłoń na szyi Camerona.

- Bóg nie ma z tym nic wspólnego.

Codziennie rano „Sunny Side Up”, lokalna kafeteria, była pełna barwnych postaci lokalnej społeczności, które miały tu nieformalne rezerwacje, a zamówienia składały jednym kiwnięciem głowy w stronę kucharza szykującego szybkie dania.

Od czasu do czasu Cam także przychodził do tego lokalu o poranku.

Nie zamawiał nic oprócz kawy, ponieważ Allie zawsze dbała, żeby przed wyjściem zjadł solidne śniadanie.

Należało jednak bywać w tym miejscu w godzinie szczytu, jeżeli się chciało wysondować, który nastolatek najpewniej podłożył ogień pod trybuny szkolnego boiska w dniu rozdania świadectw lub czyja żona ma na nosie ciemne okulary, kryjące popodbijane oczy.

Teraz jednak, pod nieobecność Allie, Cameron mógł zjeść w domu jedynie płatki śniadaniowe, więc gdy tu wpadł tego ranka, zamówił jajecznicę na bekonie. Dostał ją zaledwie po dwóch minutach - półpłynną, wydającą ohydny odór.

Cam podniósł wzrok na Verę, kelnerkę dziennej zmiany.

- Zdumiewające - powiedział. - Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś w takim tempie usmażył jajka.

Vera wzruszyła ramionami.

- Kucharz chciał ci zaimponować. Nie zdziw się, jak znajdziesz kawałki skorupki.

Cameron rozłożył na kolanach papierową serwetkę i uniósł pierwszy kęs do ust. Jajka pływały w tłuszczu, były na wpół surowe. Allie szybciej by umarła, niż zaserwowała coś podobnego. Cam chwycił za kubek z kawą i rozejrzał się dokoła. Starał się powiązać imiona i nazwiska z twarzami, uśmiechał się naprawo i lewo, pozdrowiał znajomych skinieniem głowy. Z tyłu lokalu siedziała Elizabeth Fraser, bibliotekarka szkolna, wraz z najnowszym obywatelem Wheelock - swoim trzytygodniowym dzieckiem.

Jedno z miejsc przy frontowym oknie zajmował Joshua Douglas, dziewięciolatek, wedle wiedzy Cama grzeczny dzieciak, który jednak nie powinien samotnie jadać śniadań w kafeterii.

Cam zakonotował w pamięci, że musi w najbliższym czasie wpaść do Douglasów i sprawdzić, co się tam dzieje.

W tej samej chwili mężczyzna siedzący obok pożegnał się uprzejmie i opuścił swoje miejsce przy barze, a wówczas oczom Cama ukazał się Jamie MacDonald, opuszczający gazetę znad oczu.

- Komendancie MacDonald.

Cam prychnął i skupił się na kawie.

- Dobre śniadanie? - spytał Jamie uprzejmym tonem.

Cameron przełknął łyk gorącego płynu.

- BYŁO dobre. - Wbił oczy w jajecznicę, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego na widok Jamiego zawsze ogarnia go rozdrażnienie.

Przecież wiele razy w życiu miał do czynienia z przestępcami i to o wiele bardziej zdeprawowanymi od Jamesa, jednak do tej pory żaden z nich tak go nie rozsierdził.

A złe emocje jeszcze się pogłębiły od czasu, gdy zaczął sypiać z Mią. Cam nie mógł spojrzeć temu człowiekowi w oczy bez świadomości, że chociaż Jamie zamordował swoją żonę, to tak naprawdę on, Cameron, jest bardziej godny potępienia.

O ile wierzyć Jamesowi, dokonał czynu, który był mu nienawistny i którego przenigdy by się nie dopuścił, gdyby nie prośba żony. By ją wypełnić, był gotów się skazać na piętno przestępcy. Tymczasem Cameron, otoczony powszechnym szacunkiem komendant policji, ochoczo wyrzucił z pamięci żonę, bo nie mógł sobie odmówić tego, czego najbardziej pragnął.

Zdegustowany własnym wiarołomstwem i linią rozumowania, która prowadziła do prostego wniosku, że Jamie to istny święty, Cam rzucił widelec na talerz.

Kątem oka zauważył, że kuzyn oddziela jedną z sekcji porannej gazety i wyciąga w jego kierunku.

- Dział sportowy?

Cam mruknął coś pod nosem i przyjął zaoferowane strony.

Przebiegł niewidzącym wzrokiem przez statystyki szkolnych drużyn hrabstwa, po czym odłożył gazetę.

Oparł brodę na zaciśniętych dłoniach i nie patrząc na Jamiego, zapytał:

- U Angus'a wszystko w porządku?

Jamie z niedowierzaniem odwrócił głowę w stronę kuzyna, który po raz pierwszy podjął próbę nawiązania cywilizowanej rozmowy. Nie zdążył jednak odpowiedzieć na zadane pytanie, bo w tej samej chwili drzwi kafeterii otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadł mężczyzna w czarnym prochowcu, wymachujący beretą.

Z dzikim błyskiem w żółtych oczach ruszył w stronę Jamiego, który tylko lekko zbladł i mocniej oparł się o bar. Kafeterię wypełnił głośny płacz dziecka Elizabeth Frazer.

- Jamesie MacDonalddie - wysyczał napastnik. - Tylko Bóg ma prawo odbierać życie. - Mówiacto, odbezpieczył broń.

Cam zerwał się ze stołka i szybkim, płynnym ruchem wyciągnął swój pistolet z kabury.

- Policja! - wykrzyknął, na wypadek gdyby ten świr nie zauważył munduru i odznaki. - Rzuć broń!

Mężczyzna nie odrywał oczu od Jamiego.

- Nie. Zostałem powołany do tego zadania.

Cam zerknął przez ramię, nakazując ruchem głowy, by pozostali klienci kafeterii powoli, gęsiego opuścili lokal.

- Jakiego zadania? - zapytał. - Odebrania Jamiego życia? Myślałem, że tylko Bóg ma do tego prawo.

- Ja jestem posłańcem Boga.

- Ach tak. Wobec tego możesz zastrzelić Jamesa - oznajmił Cam, nie zważając na zaszokowany wyraz twarzy kuzyna. - Tyle że wówczas ja będę musiał zastrzelić ciebie.

Jeżeli to oświadczenie wywarło jakiegokolwiek wrażenie na napastniku, nie dał tego po sobie poznać. Znów zaszarżował w kierunku

Jamiego, z biblijnymi cytatami na ustach, przerywanymi okrzykami: „Morderca!” W ułamku chwili, który w obliczu zagrożenia rozciągnął się w nieskończoność, Cam zdał sobie ze zdumieniem sprawę, że Jamie nie zamierza się w żaden sposób bronić.

Patrzył spokojnie na rozgrywającą się scenę, czekając, aż ten szaleniec wypali mu w łeb.

Cam rzucił się na napastnika, poderwał jego nadgarstek do góry i kula trafiła w sufit.

Posypał się tynk.

Cameron powalił niedoszłego zamachowca na podłogę, skuł mu rękę, po czym wprost do ucha wyrecytował przysługujące prawa.

Z zaplecza wyskoczył kucharz i wskazał na rozbebeszone płyty sufitowe.

- I co ja mam teraz zrobić?

- Zgłoś się do burmistrza - zasugerował Cam i szarpnięciem poderwał na nogi swojego aresztanta.

- Idziemy - zarządził.

Jamie podniósł się ze stołka. Szaleniec charknął głośno i plunął mu na szyję.

- Być może odebrałem komuś życie - powiedział cicho James. - Chociaż nie jestem pewien, czy owa egzystencja zasługiwała jeszcze na miano życia. - A potem przeniósł wzrok na kuzyna i mruknął: - Dziękuję.

Współczucie, które Cam odczuwał dla Jamiego zaledwie pięć minut temu - nagle uleciało.

Teraz Cameron już nie pamiętał, że jeszcze przed chwilą chciał z Jamesem nawiązać przyjazną rozmowę.

Nie pamiętał też tego momentu, w którym przeżył wstrząs, gdy sobie uświadomił, że James ochoczo godzi się na śmierć. Teraz tylko rejestrował obecność tłumu przed kafeterią i pochyloną głowę obezwładnionego napastnika.

Serce mu waliło, adrenalina buzowała w żyłach, tak samo jak wtedy, kiedy się kochał z Mią.

Spiorunował Jamesa wzrokiem, przenosząc na niego swój gniew i poczucie winy.

- Jeżeli jeszcze raz coś podobnego się wydarzy w moim mieście, pozwolę cię zabić - rzucił zapalczywie.

Mia wyskoczyła po coś do jedzenia - stwierdziła, że nawet Romeo i Julia robili od czasu do czasu przerwę na posiłek, a Cameron, w samych tylko bokserkach, siedział na kanapie w kwaciarni i przeglądał przedwczorajszą gazetę, w którą wcześniej była owinięta jakaś doniczka.

Przebiegał wzrokiem krótkie doniesienia ze świata - kilkudzaniowe anonse dramatycznych wydarzeń, pobudzające do myślenia przede wszystkim o tym, co nie zostało w nich dopowiedziane.

Tankowiec z potężnym ładunkiem ropy zatonął u wybrzeży Alaski, IRA przyznała się do podłożenia bomby w jednym z urzędów pocztowych w Devonshire, szeregowiec piechoty morskiej z amerykańskiej bazy wojskowej w niemieckiej Fuldzie dokonał bestialskiej egzekucji na facecie, który romansował z jego żoną.

Cameron przysunął gazetę bliżej do oczu. Żołnierz od jakiegoś czasu podejrzewał żonę o zdradę, a gdy już wytropił rywala, odrąbał mu głowę, którą zapakował w plastikowy worek i postawił przy szpitalnym łóżku żony.

Nieszczęsna kobieta leżała w owym czasie na ginekologii z powodu komplikacji ciążowych.

Cam poderwał się z kanapy i ruszył przed siebie, depcząc po stronach gazety, którą wypuścił z rąk.

- Kurwa - mruknął pod nosem. - Kurwa mać!

Wszedł na zaplecze i stanął przed maleńkim lustrem w toalecie. Było ukruszone w jednym rogu i pogrążone w mroku, mimo to Cam zdołał dostrzec odbicie własnej twarzy. Patrząc na nie, nie widział szefa policji, przywódcy klanu czy dobrego męża. Nie widział przyzwoitego obywatela, człowieka godnego szacunku.

Dojrzał natomiast błysk gniewu w oczach, groźne wyzwanie, które był gotów rzucić każdemu, kto by spróbował zakwestionować jego prawo do tego, by choć raz w swoim cholernym życiu mógł zrobić to, czego sam pragnął.

Zobaczył oznaki trawiącego go ognia - zaróżowione policzki - i przypomniał sobie, że to u niego oznaka głębokiego zakochania.

Teraz szybciej odrąbałby sobie rękę, niż wyszedł zza parawanu i poprosił Mię, aby zniknęła z jego życia. Przekonywał sam siebie, że nie może odczynić tego, co już się wydarzyło.

Wyszedł z łazienki i spojrzął na biurko, gdzie stało oprawione zdjęcie, na którym on i Allie klęczeli pośród piaszczystych wydm Nuntucket.

Cam uniósł fotografię, przesunął kciukiem po szkle. Zasłonił Allie, skoncentrował się na własnym wizerunku. Zmarszczył brwi.

Czy mu się wydawało, czy jego uśmiech na tym zdjęciu był sztuczny i wymuszony?

W ciągu ostatnich trzech dni nie pozwalał sobie na żadne myśli o żonie.

Po prostu wyrzucił ją z pamięci.

Problem w tym, że ona za chwilę miała wrócić do domu. Cameron nie chciał zranić Allie, szaleńczo kochał Mię, a tymczasem nie był w stanie pogodzić jednego z drugim.

Nie wyobrażał też sobie, jak mógłby narazić Mię na paskudną konfrontację, która nieuchronnie musiałaby nastąpić. Przypomniał sobie swoją niedawną wizję - płyną wraz z Mią katamaranem w gorącym słońcu Karaibów - i dotarło do niego, że chociaż on jest uwięzany do tego miasteczka, Mia może stąd odejść, kiedy tylko zechce.

To właśnie czyniło z niej tak niezwykle atrakcyjną postać.

Czy jeżeli się kocha drugą osobę - kocha głęboko i szczerze - można pozwolić jej odejść?

Niespodziewanie stanął mu przed oczami James MacDonald.

Camera ogarnęło nieprzyjemne wrażenie, że małe pomieszczenie zaczyna się gwałtownie kurczyć.

Rzucił fotografię na biurko, rozbijając przy tym szkło oprawy. Chwycił z kanapy spodnie, zapiął koszulę. Właśnie kończył się ubierać, gdy do kwaciarni wbiegła Mia.

Na luźnych splotach cienkiej kurtki wniosła do wnętrza zapach zimy.

- Mam mamucie kanapki z szynką, serem i pieczenią rzymską.
- Nie mogę tego zrobić- rzucił nagle Cam.

Mia wypuściła z ręki papierową torbę i postąpiła krok w jego stronę. Cameron uniósł ręce.

- Nie mogę - powtórzył łamiącym się głosem.

Wyminął Mię, pilnie uważając, by jej przypadkiem nie dotknąć, ale ona natychmiast ruszyła za nim niczym cień, od którego nie sposób się uwolnić.

Watchell Spitlick i jego żona Marie byli właścicielami „The Pickle Barrel” - wielobranżowego sklepu, typowego dla amerykańskich małych miasteczek sprzed ery supermarketów. Rok temu przeszli na emeryturę, ale zabrali większość pozostałego asortymentu ze sobą i we własnym domu zrekonstruowali miejsce, któremu poświęcili czterdzieści pięć lat życia.

Olbrzymia biała zamrażarka co prawda już nie działała, ale wciąż wielką naklejką na drzwiach zachęcała do picia moxie. I przy niej właśnie usiadła Allie, w lewej ręce trzymała oszronioną szklankę z mrożoną herbatą, prawą zaś głaskała pasiastego, ślepego kocura, który przy każdej próbie przemieszczenia się z miejsca na miejsce wpadał na jakiś mebel.

Watchell zajął skórzany popękany fotel i uśmiechał się przyjaźnie, Mary natomiast przycupnęła na kilku belach różnobarwnych tkanin.

- Imponująca kolekcja - zauważyła uprzejmie Allie.

- No, cóż - rozpromieniony Watchell skinął głową - nigdy nie wiadomo, czego może potrzebować potencjalny klient.

Marie uderzyła męża po kolanie.

- Daj spokój, Bud. Pani MacDonald nie przyszła tutaj w interesach. - Przeniosła wzrok na Allie, ściągnęła brwi. - A gdy już o tym mowa, moja droga, to co właściwie cię do nas sprowadza? - Jednak zanim Allie zdążyła odpowiedzieć, Marie klepnęła się w czoło. - Ależ jestem nierozgarnięta! Pani jest zapewne krewną Jamiego. I nie zastała go w domu. - Marie rzuciła się do półki zapchanej kartonami z semoliną, butelkami z tonikiem wzmacniającym oraz różnymi drażniaczami do rur, i zaczęła czegoś usilnie szukać. - Maggie zostawiła mi klucze, muszę gdzieś

tu leżeć. Pamiętasz, Bud, to było zeszłego lata, kiedy poprosili, żebyśmy podlewali ich kwiaty.

- Pani Spitlick - wtrąciła Allie. - Ja mam klucze do domu. - Odstawiła szklankę na olbrzymią beczkę, która pełniła funkcję stolika. - Chciałam natomiast z państwem porozmawiać na temat Jamiego i Maggie.

- Wspaniałe dzieciaki - oświadczył Watchell.

- Kochamy je jak nasze własne - dodała Marie.

Allie już otwierała usta, żeby im oznajmić tragiczną wieść, jednak coś ją powstrzymało.

- Zastanawiam się. - zaczęła niepewnie, zaciskając mocno ręce na kolanach. - Jestem daleką kuzynką Jamiego, nie widziałam go od wielu lat. - Uśmiechnęła się najniewinniej, jak umiała. - Jakim on jest teraz człowiekiem?

- Ach! - Marie ponownie przysiadła na belach. - Cudownym. Jednym na milion. Ma bardzo dobrze poukładane w głowie. Zajmuje się komputerami, czy czymś równie wymyślnym, co to przechodzi moje wyobrażenie. A całą zimę odśnieża nasz podjazd, bo nie chce, żeby Watchell się nadwreżał.

Allie tak usilnie rozciągała usta w uśmiechu, że aż rozboleły ją wszystkie mięśnie twarzy.

- A od dawna jest żonaty?

Watchell i Marie wymienili szybkie spojrzenia.

- To znaczy, że nie poznała pani Maggie?

Allie pokręciła głową.

- Nie. Postanowiłam sprawić Jamiemu niespodziankę swoim przyjazdem.

Marie zacisnęła usta.

- Niema drugiej równie cudownej pary. Są dosłownie nierozłączni. Mój Boże, pamiętam, co się działo, zaraz po tym, jak Maggie się sprowadziła do Jamiego - bo on tu mieszkał jeszcze za kawalerskich czasów. Potrafili przez wiele dni w ogóle nie wychodzić na dwór, i wtedy po naszej ulicy wciąż kursowały furgonetki z pizzerii, a od czasu do czasu jakieś cienie migały na piętrze ich domu, to Maggie i Jamie ganiłi się po pokojach. - Uśmiech na ustach starszej



pani sprawił, że kąciki jej oczu objęła delikatna siateczka zmarszczek. - Chyba nikt nigdy nie powiedział Jamieu, że miesiąc miodowy trwa zwyczajowo cztery tygodnie.

- A więc państwo dobrze znali ich oboje.
- O, tak - zapewniła Marie.
- Jak rozumiem, Jamie jest bardzo oddany Maggie.
- Nigdy wcześniej nie widziałam podobnego przywiązania.

Allie podniosła się z miejsca.

- Nie będę państwu dłużej przeszkadzać. Poczekam na Jamiego w domu. - Powiedziała, w myślach skreślając Spitlicków z listy potencjalnych świadków.

Watchell zerknął przez okno na posesję młodych MacDonaldów.

- Długo już pani czeka? Bo prawdę mówiąc, od kilku ładnych dni nie widziałem samochodu Jamesa na podjeździe.

- Dlatego wpadłam do państwa, żeby zasięgnąć informacji - improwizowała Allie. - Jamie pewnie zapomniał o mojej wizycie. - Te wszystkie kłamstwa powoli wypęzwały rumieńcem spod jej kołnierzyka.

- Mam nadzieję, że to nic poważniejszego. - Marie z niepokojem spojrzała na męża. - Chyba Maggie się nie pogorszyło?

Wkładająca kurtkę Allie zastygła w pół gestu.

- Co pani ma na myśli?

- Maggie ciężko choruje - wyjaśniła Marie. - Rak - dodała cichym szeptem, jakby się bała, że głośnymi słowami może sprowadzić nowotwór w progi swojego domu.

Ruszyła z Allie w stronę frontowych drzwi.

- Jeżeli rzeczywiście miałyby się jej pogorszyć, to pani wizyta jest jak dar z niebios. Dobrze mieć rodzinę u boku w najgorszych chwilach życia. - Starsza pani odwróciła głowę i krzyknęła w stronę salonu. - Bud! Odprowadź panią Mac Donald.

- Ależ to zupełnie zbyteczne - zaprotestowała Allie.

- Jest już ciemno. Nie przyjmuję żadnych sprzeciwów - oznajmiła Marie.

Watchell Spitlick powoli zaciągnął suwak kurtki, a potem - gdy schodzili po betonowych schodach - podał Allie swoje ramię. Kiedy się znaleźli w połowie trawnika, przystanął nagle i wbił wzrok w podjazd przed domem Jamiego, jakby nagle zobaczył ducha.

- Kilka miesięcy temu - podjął, a każde jego słowo zastygało w powietrzu kulistym obłokiem pary - Maggie bardzo się pogorszyło w środku nocy. Jakiś lek, który brała, źle podziałał na jej płuca i nie mogła oddychać. Przyjechało pogotowie, gdzieś o drugiej nad ranem, i kiedy wywieźli Maggie na tych składanych wózko-noszach, Jamie wciąż przy niej tkwił. Był goły jak go Pan Bóg stworzył, ale w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy. Ilekroć teraz patrzę na ten dom, widzę migające czerwone światła i nagiego Jamiego całującego Maggie tak, jakby chciał tchnąć w nią własne życie.

Allie otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, ale nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Watchell przeprowadził ją przez frontowy trawnik Jamiego.

- Oto jesteśmy - powiedział, czekając, aż Allie przekreśli klucz w zamku. - Proszę koniecznie zadzwonić, gdy wróci Jamie. Chcielibyśmy usłyszeć, że wszystko z nim w porządku.

W niedzielę Cam postanowił iść na mszę. Włożył najlepszy garnitur, zawiązał tartanowy krawat w barwach MacDonaldów, po czym zaparkował w centrum, w sensownej odległości od kościoła.

Po drodze zamienił kilka słów ze swoją cioteczną babką Chloe i pomógł się wdrapać na szczyt stromej ulicy swojej dyspozytorce, która była w dziewiątym miesiącu ciąży.

Każdegozainteresowanego informował, że Allie wyjechała w sprawach rodzinnych, nie zdradzał jednak żadnych szczegółów. A kiedy zobaczył Jamiego MacDonalda, prowadzącego Angusa w górę kościelnych schodów, nawet się zdobył na uśmiech.

Pragnął oczyszczenia.

W dzieciństwie, gdy zmuszano go do chodzenia na niedzielną mszę, zamiast słuchać księdza, rozmyślał o nowej piłce do koszykówki lub o meczu hokeja, który miał się rozpocząć w południe na stawie Dundee, a i tak gdy wychodził z kościoła, oddychał pełniejszą pierśią i czuł się jakby lżejszy.

W owym czasie nie postrzegał coniedzielnej liturgii w kategoriach przeżycia duchowego - kościół był dla niego cudowną machiną z dziecięcych książek, z której się wychodziło odmienionym w kolorze, kształcie lub sposobie patrzenia na świat.

Minionej niedzieli Cam nie poszedł do spowiedzi. Niemiał na to najmniejszej ochoty.

Wydawało mu się, że jeżeli opowie głośno o swoim uczuciu do Mii, straci ono na intensywności - będzie bladło tym bardziej, im więcej słów na ten temat rozwieje się w powietrzu.

Przeszedł przez drzwi wiodące do głównej nawy i dostał ulotkę z porządkiem mszy.

Ponieważ jednak zrobił się zator podczas zajmowania przez wierzniących miejsc w ławkach, Cameron wyszedł z kolejki i postanowił postać jeszcze chwilę na dworze, w chłodnym jesiennym powietrzu.

Zatrzymał się na górnym stopniu schodów, wytartym pośrodku przez dwa wieki pobożności dobrych obywateli Wheelock. U stóp Cama rozciągało się jego miasto. Znał tu każdą ulicę, każdego mieszkańca. Wiedział, który ze sklepikarzy na Main Street pierwszy odgarnie śnieg sprzed swojego lokalu.

Wiedział, którego dzieciaka przyłapie na picciu piwa pod szkolnymi trybunami w najkrótszą noc lata.

Przesunął wzrokiem od lewej do prawej - od kafeterii, poprzez pocztę, do posterunku, na który właśnie wchodził

Zandy. A potem Cameron spojrział w dół kościelnych schodów i zobaczył Mię.

Nie miał pojęcia, że jest katoliczką, i to go uderzyło. Wiedział, że ma alergię na czekoladę, że jej skóra wykazuje nadwrażliwość na zimno, że na jej prawym udzie widnieje małe kwadratowe znamię, ale nie wiedział, jaką Mia wyznaje religię. - Ani gdzie się urodziła. I czy ma drugie imię.

Siła woli całkowicie zawiodła Cama i zaczął zbiegać po schodach - ku Mii.

Ale jeszcze zanim się znalazł na dole, ona zniknęła mu z oczu. Cam wyciągnął rękę w stronę, gdzie Mia była zaledwie przed momentem - chociaż miał świadomość, że ludzie na niego patrzą i szepczą coś między sobą.

Jego dłoń przeszła jedynie zimne, szkliste powietrze. I wówczas Cam doszedł do wniosku, że jednak nie ma ochoty na mszę.

Mia czuła się kompletnie rozbita, nabrała więc pewności, że jest zakochana. Głowa jej pękała, ramiona ciążyły, a skóra zdawała się nie pasować do ciała.

W kwaciarni godzinami układała monochromatyczne bukiety bez śladu żywego koloru.

W hotelu leżała przed telewizorem z Kafką na brzuchu i oglądała powtórki „The Love Connection”.

Żałowała swojego przyjazdu do Wheelock.

Żałowała, że zmarnowała tak wiele lat, nim tu przyjechała.

Tym, co najbardziej pociągało ją w Cameronie MacDonaldzie, nie była jego twarz w migotliwym blasku świecy ani widok jego prostych, rudych włosów na tle jej własnych loków, ale to, co sobą reprezentował: stabilne życie, aura człowieka powszechnie szanowanego. Cam był solidnie zakotwiczony w świecie.

Prawda, tę kotwicę zarzucili za niego przodkowie, przez co w życiu Cama z definicji nie było miejsca dla Mii, niemniej cały ten koncept był niezwykle atrakcyjny dla kogoś, kto od dziecka nie mógł znaleźć dla siebie miejsca.

W wyobraźni Mii każda nominalna funkcja Camerona była łańcuchem przykuwającym go do tego miasteczka: komendant policji, przywódca klanu. Każdy w Wheelock, gdyby go zapytać, kim jest Cam, umiałby udzielić stosownej odpowiedzi: moim kuzynem, lairdem Carrymuir, moim mężem.

Mia zsunęła Kafkę z kolan i sama zwinęła się w kłębek. Zamknęła oczy, pod powiekami ujrzała Cama takiego, jakim go widziała po raz ostatni: stojącego w drzwiach kościoła, z rozwianymi włosami, z rękami zwisającymi luźno po bokach, ale dłońmi zwiniętymi w pięści, jakby chciał stanąć do walki z własnymi uczuciami.

Nie było sensu dłużej odwlekać nieuniknionego. Mia wepchnęła ubrania do plecaka, na wierzchu położyła swoje bonzai. Wcześniej owinęła je w koszulę, zostawiając u góry nieco odsłoniętej przestrzeni, by roślina mogła swobodnie oddychać. Potem wyłączyła telewizor, pogasiła światła, zaciągnęła rolety i pokój pograżył się w gęstym mroku. Mia wsłuchiwała się pilnie w odgłosy przenikające przez wykładzinę - brzęk klucza wyciąganego z przegródki przez recepcjonistkę, szurgot otwieranych frontowych drzwi, pisk zacinającego się kółka w wózku bagażowym boja.

Po pewnym czasie te dźwięki zlały się w jednolity szum tła, a do uszu Mii dobiegł subtelniejszy szmer nadciągającego zmierzchu. Wówczas usiadła przy stole i na kartce z logo hotelu, ledwo mającą w mroku, zaczęła pisać list.

Kiedy doszła do wniosku, że powiedziała już wszystko, co mogła powiedzieć Cameronowi, zakleiła kopertę, chwyciła na ręce kota i wyszła, zamykając za sobą drzwi na klucz.

# CZEŚĆ DRUGA

Nic grzechu bardziej nie rozzuchwala jak miłosierdzie.

WILIAM SZEKSPIR, Tymon Ateńczyk.

## 9.

Allie poinformowała Pauline Cioffi że Maggie MacDonald nie żyje, i wówczas Pauline zacisnęła mocno powieki, jakby wierzyła, że gdy Allie zniknie z jej pola widzenia, tragiczna wieść się zdezaktualizuje. Ale kiedy otworzyła oczy, a Allie wciąż przed nią stała, przygryzła drżącą wargę i skinęła głową.

- No, cóż. Tego się należało spodziewać - oświadczyła.

Allie poczekała, aż zostanie zaproszona do środka, i dopiero wtedy wyjawiała Pauline, że Jamie został oskarżony o zamordowanie żony. Spodziewała się kolejnej reakcji wyparcia czy wręcz wybuchu oburzenia, tymczasem Pauline zaczęła wybierać skarpetki z naręcza świeżo wypranego, idealnie białego prania, i starannie zwijać je parami.

- Tego też należało się spodziewać - westchnęła.

Pauline była najlepszą przyjaciółką Maggie, a przynajmniej tak wynikało z listy sporządzonej przez Jamiego.

Kobiety poznały się na organizowanych przez miejscowy kościół zajęciach aerobiku, które pozwalały Pauline przez trzy godziny w tygodniu uwolnić się od dzieci.

By przedłużyć te cudowne chwile, pewnego ranka zaprosiła Maggie na kawę i ich wspólne spotkania szybko przerodziły się w tradycję.

Pauline przypominała wyglądem perkate jabłko, a po całym jej domu wałały się zabawki, tetrowe pieluszki i dziecięce buty nie do pary. Zaprosiła Allie do pokoju rekreacyjnego, jednak nie zaproponowała kawy. Wsadziła spoconego malucha do kojca, resztę dzieci wyekspediowała z pokoju, a potem usiadła i wysłuchała, w jakich okolicznościach doszło do śmierci jej przyjaciółki.

- Nie jest pani zdziwiona, że Jamie został oskarżony o morderstwo? - spytała Allie. - Dobrze go pani znała?

Pauline wzruszyła ramionami.

- Na tyle dobrze, by mieć pewność, że kiedy Maggie go poprosi o skrócenie życia, on to dla niej zrobi.

Allie nie wierzyła własnym uszom.

- Pani WIEDZIAŁA, że Maggie chciała go o to prosić?

Pauline ze stoickim spokojem skinęła głową, jakby prowadziły rozmowę na trywialny temat w rodzaju długoterminowej prognozy pogody czy wyboru płatków śniadaniowych.

Allie zaczęła rozważać w duchu możliwe konsekwencje powołania przyjaciółki Maggie na świadka obrony. Czy jej zeznania wystarczą do potwierdzenia wersji wydarzeń, przedstawionej przez Jamiego? A może zostaną odrzucone przez sąd jako informacje z drugiej ręki?

- Życie z takim człowiekiem jak Jamie MacDonald to błogosławieństwo i przekleństwo zarazem.

Allie drgnęła gwałtownie.

- Jak mam to rozumieć?

- Maggie wciąż to powtarza. Powtarzała - poprawiła się szybko Pauline.

Mimo gasnącego światła popołudnia wyraźnie było widać łzy w jej oczach.

- Przepraszam. Wydawało mi się, że jestem gotowa na tę wiadomość. To znaczy, wiedziałam, że koniec jest bliski, często rozmawiałyśmy na ten temat z Maggie. Mimo to ból nie jest wcale mniejszy - na najgorsze nigdy tak naprawdę nie można się przygotować. - Zaczerpnęła głęboki oddech i podniosła wzrok na Allie. - Proszę mi jeszcze raz powtórzyć, dlaczego pani tu przyjechała? Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc. Przez pamięć o Maggie.

- Wspomniała pani, że życie z Jamiem to błogosławieństwo i przekleństwo zarazem. - Allie postanowiła sprowadzić rozmowę na poprzednie tory.

- A, tak. Maggie kochała go na zabój. Wiedziała, że James zrobiłby dla niej wszystko, doszła więc do wniosku, że jeżeli dostatecznie go przyciśnie, on jej pomoże, gdy nadejdzie odpowiedni



czas. - Pauline zerknęła spod oka na Allie. - Czy pani poznała Maggie?

Allie pokręciła głową.

- Niestety, nie. I bardzo żałuję, że już nie będę miała tej możliwości.

Pauline wstała i wyjęła z kojca swoje najmłodsze dziecko - pulchną dziewczynkę, która natychmiast zaczęła żuć matczynej warkocz.

- Maggie nie sposób opisać w oderwaniu od Jamiego. Byli praktycznie nierozłączni. W kółko jej powtarzałam, że zamieniłabym się z nią bez chwili wahania - oddała zsikane pieluchy, szkolne lunchy i rozwożenie dzieci do przedszkola za mężczyznę, który by mnie szczerze wielbił - a wówczas Maggie zawsze odpowiadała, że to wcale nie jest takie cudowne, jak mi się wydaje. Myślę, że gnębiło ją poczucie winy, bo nie potrafiła tak bardzo się poświęcić dla Jamiego, jak on się poświęcał dla niej. - Pauline zaczęła podrzucać dziecko w ramionach. - Powiedziała mi kiedyś, że gdyby sytuacja była odwrotna - i to Jamie miał raka - ona nie zdobyłaby się na, na taki czyn. Przyznała, że za bardzo by się bała tego, co ją spotka już po fakcie. Tymczasem Jamie w ogóle nie rozumował takimi kategoriami, ponieważ nie był w stanie wyobrazić sobie przyszłości bez żony u boku. - Pauline spojrzała znacząco na Allie. - Kiedy rozmawialiśmy o śmierci, Maggie powiedziała, że sprawa jest praktycznie przesądzona. Miała świadomość, że obrzydliwie wykorzystuje Jamiego, ale już jej to nie obchodziło - chciała tylko, żeby wreszcie się skończyło fizyczne cierpienie.

Łykając łzy, Pauline ucałowała zmierzwione włosy córeczki.

- A jak się miewa Jamie? - spytała po chwili.

- Jest przepełniony gniewem. Sfrustrowany. Samotny. I chyba zaczynają go opadać wyrzuty sumienia.

- To samo się działo z Maggie na krótko przed śmiercią - powiedziała Pauline, po czym powiodła ręką po zagraconym pokoju, zdradzającym chaos jej codziennego życia. - Pewnie pani nie uwierzy, ale ona mi tego wszystkiego zazdrościła. Ona zazdrościła komuś takiemu jak ja! Mawiała, że bez względu na to, co sądzę o swoim małżeństwie, przynajmniej ja i Frank jesteśmy równorzędnymi partnerami pod względem emocjonalnym. Gdy zaś chodzi o Jamiego, im bardziej się starał, im więcej z siebie dawał, tym większe wyrzuty

sumienia ogarniały jego żonę, ponieważ nie potrafiła odwzajemnić mu tym samym. - Pauline potrząsnęła głową. - Powiedziałam jej, że postradała zmysły.

Allie przypomniała sobie, jak kurczowo Jamie przywierał do martwego ciała żony, jak nie pozwolił komuś całkiem obcemu dotykać Maggie.

I wróciło także wspomnienie tych chwil, gdy niezapowiedziana wpadała na posterunek, by sprawić niespodziankę Cameronowi. Z dławiającą niepewnością podchodziła do drzwi, a jednocześnie karmiła się naiwną nadzieją: może wreszcie tym razem mąż jakimś słowem lub gestem da jej do zrozumienia, że jest mile widzianym gościem.

- Postradała zmysły? - powtórzyła głucho Allie. - Nie sądzę.

Cam wsiadł do samochodu, pootwierał wszystkie okna i ruszył przed siebie, byle dalej od Wheelock. Jechał bocznymi drogami i łamał wszystkie ograniczenia prędkości, łudząc się, że może w ten sposób zdoła uciec przed własnym poczuciem winy. Ostre podmuchy powietrza niemal go oślepiały, ręce drętwiały z zimna na kierownicy, ale to mu pomagało zapomnieć o Mii. I skoncentrować się na Allie.

Z drzew zaczęły już opadać liście - żółte i szkarłatne, wirowały przed szybą samochodu na podobieństwo miniaturowych primabalerin. Właśnie jesienną porą, kiedy zieleń ustępowała miejsca złocieniom i burgundom, w okolicy gór Berkshire zjeżdżało mnóstwo turystów, by podziwiać piękno scenerii.

Pierwsze trzy tygodnie października to jedyny okres w roku, gdy w hotelu Wheelock Inn nie było żadnych wolnych miejsc, a przed kawiarnią w centrum ustawiały się długie kolejki. Wheelock nie miało w sobie majestatu Great Barrington czy uroku Lenoksu, jednak należało do tych kilku miasteczek, leżących nie opodal międzystanowej ósemki, które się oparły nowoczesności i nęciły swoją staroświecką nobliwością.

Sława tych okolic rodziła wiele problemów: turyści często przyjeżdżali z przekonaniem, że tutejsze miejscowości są rekonstrukcjami dawnych osad - jak Shaker w Pittsfield - bo na ich gust wyglądały zbyt bajkowo, żeby mogli w nich na co dzień mieszkać ludzie.

Cameron pamiętał, że gdy był jeszcze dzieckiem, do drzwi ich domu zapukał mężczyzna w eleganckim włoskim garniturze i kosztownych butach, któremu towarzyszyła kobieta w kapeluszu z piórkami i mufce z króliczego futra.

„Chcielibyśmy się dowiedzieć” - przemówił elegant z nowojorskim akcentem w głosie - „czy są tu jakieś antyki na sprzedaż?”

Cameron zjechał na pobocze i oparł czoło o kierownicę. Słabo mu się robiło na myśl najeździe turystów na miasteczko, które było zbyt małe, żeby w swoich granicach pomieścić Mię, Allie i jego samego.

A na dodatek, z powodu tego cholernego procesu o morderstwo, o którym z pewnością będą trąbić wszystkie media ze wschodniego wybrzeża, Wheelock zamieni się w jeden wielki cyrk.

Cam wysiadł z samochodu, trzasnął głośno drzwiami i dopiero gdy się rozprostował, przeciągnął kości, dotarło do niego, że wciąż ma na sobie garnitur i krawat, które włożył z myślą o niedzielnej mszy.

Wcisnął palec pod węzeł i mocno szarpnął w dół. Rozpiął kilka górnych guzików koszuli. A potem zdjął buty oraz skarpetki i położył je na masce auta.

Po domu w zasadzie cały czas chodził boso, nie zważając na protesty Allie, która nieustannie straszyla go przeciągami, przeziębieniem. Za to minęło już całe siedem lat od czasu, gdy biegał na bosaka po dworze.

Był początek października, zupełnie tak jak teraz, i Allie wpadła na posterunek z piknikowym koszem.

- Nie daj się prosić - rzuciła rażno. - W tak piękny dzień jak dzisiaj nikt nie będzie łamał prawa.

Spotykali się niezobowiązująco od paru miesięcy. Cam na swój sposób polubił tę kobietę i przywykł do spędzania niedzielnych południ z gazetą w ręku na jej kanapie. Zdawał sobie sprawę, że gdy na niego patrzyła, w wyobraźni wkładała mu na palec obrączkę przed ołtarzem, ale nic sobie z tego nie robił. Jeżeli on się zdecyduje na ślub, zrobi to w wybranym przez siebie czasie i na własnych warunkach.

Wymuszono na nim powrót do Wheelock i objęcie po ojcu stanowiska komendanta policji, nikt jednak nie zdołał go nakłonić, by wbrew własnej woli podpisał cyrograf na resztę życia.

Allie chciała, żeby się rozłożyli za boiskiem futbolowym miejscowego liceum - zapewne wiedziona bezsensownym sentymentem do miejsca, w którym krzyżowały się ich życiorysy - Cam jednak stwierdził, że zrobi sobie wolne tylko wtedy, gdy to będzie prawdziwy piknik na łonie natury.

Jak należało się tego spodziewać, Allie skwapliwie przystała na jego warunek, pojechali więc jednym z radiowozów nad jezioro Wheelock, leżące na północnych obrzeżach miasta.

Gdy stanęli na czerwonych światłach, Cam zwrócił się w stronę Allie, oczekując, że spojrzy na niego z uśmiechem - ba, próbował ją nawet do tego nakłonić siłą własnej woli ona jednak wbijała wzrok w deskę rozdzielczą, po czym, nie podnosząc oczu na Cama, wskazała na jeden z przycisków.

- Policyjne światła? - Delikatnie przejechała palcem po guziku.

Cam się roześmiał i położył rękę na jej dłoni.

- Śmiało - zachęcił. - To twoja niepowtarzalna szansa.

Allie nacisnęła guzik i na migających światłach pognali w stronę jeziora. Cam zaparkował nieopodal brzegu, w cieniu drzew, a potem rozsiadł się wygodnie na siedzeniu, skrzyżował ramiona i zerknął na Allie.

- Jak było? - zapytał.

- Czuję się zaszczycona. Chociaż ze swojego miejsca nie widziałam tych światel.

- Wolisz być obserwatorem niż bezpośrednim sprawcą wydarzeń? - spytał z uśmiechem Cam.

- To zależy od tego, co ma być obiektem obserwacji.

Cam zarządził, by zostawili buty w samochodzie - ostatecznie, kto się wybiera na piknik w butach?

Chwytał w rękę kosz i ruszył w stronę niewielkiej łąki, dając Allie czas na oswojenie stóp z kamykami i żołądziami, które dla niego nie stanowiły najmniejszego problemu.

Allie przygotowała wielkie kanapki na francuskich bagietkach z włoskim salami, pieczoną wołowiną i serem provolone. Zabrała też termos z mrożoną brzoskwińową herbatą i nieduży pojemnik sałatki ziemniaczanej. Na deser upiekła małe tarty z jabłkami. Powiedziała, że upichciła to wszystko w mgnieniu oka, pod wpływem impulsu, ale patrząc na cienie pod jej oczami, Cam od razu odgadł prawdę: planowała tę eskapadę od wielu dni i gotowała dla niego po nocach.

Ku jego własnemu zdumieniu, ta świadomość sprawiła mu przyjemność.

Allie zważowo się zabrała do rozpakowywania kosza. Kiedy wystawiła już połowę jego zawartości, z przerażoną miną spojrzała na Cama.

- Zapomniałam zabrać koc. - Gdyby ją ktoś wówczas usłyszał, pomyślałby, że właśnie zawalił się świat. - Jak mogłam zapomnieć o tym głupim kocu!

Wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozplakać, a tego Cam nie byłby już w stanie zdzierżyć, poderwał się więc na równe nogi.

- Powinienem mieć coś w radiowozie.

Ale w bagażniku znalazł jedynie lewarek i kilka flar.

Kiedy z pustymi rękami wracał nad jezioro, Allie patrzyła na niego wyczekująco, trzymając szarlotki w dłoniach. Już miał jej powiedzieć, że będą musieli sobie jakoś poradzić bez koca, ale powstrzymał go wyraz bezgranicznej ufności na jej twarzy. Cam widział tę samą ufność w oczach wszystkich mieszkańców miasteczka, którzy przyszli na pogrzeb jego ojca, a potem ślepo oddali się pod opiekę nowego lairda. Więc ilekroć Cam widział ponownie ten wyraz bezgranicznej ufności, czuł się tak, jakby ktoś zarzucił mu wielki głaz na ramiona.

Poczucie odpowiedzialności było przytłaczające.

Ale - o, dziwo - patrząc teraz na Allie, nie poczuł znajomego ciężaru.

Spróbował spojrzeć na siebie z jej perspektywy i nagle uwierzył, że w tych oczach można być bohaterem dnia codziennego.

Nigdy nie zdołał sobie przypomnieć, co wówczas do niej powiedział, i jakim cudem zgniótł kolaniem jedną z szarlotek.

Pamiętał jednak, że chwycił Allie w ramiona i padł z nią na ziemię usłaną złocistymi liśćmi.

Nie odczuwał wcale szczególnego pożądania, miał jedynie potrzebę utwierdzenia się w przekonaniu, że nie zawiedzie swojej społeczności. A najpewniejszym na to sposobem było złączenie z osobą, która wzbudziła w nim to przekonanie.

Cam zaczął ściągać z siebie ubranie, nerwowo szarpiąc za guziki, aż w końcu to Allie je rozpięła. A potem, sama na wpół naga, wyciągnęła ku niemu ramiona.

Kiedy w nią wszedł, był tak skoncentrowany na ciepłe jej ciała, że nie zauważył, jak leżąca pod nim Allie stężyła i, przyciskając usta do jego szyi, wydała z siebie zduszony krzyk.

Nie miał pojęcia, że w wieku dwudziestu pięciu lat Allie Gordon wciąż była dziewicą, dopóki nie przetoczył się na plecy i nie ujrzał jaskrawoczerwonej smugi krwi na złocistych klonowych liściach i pomiędzy jej udami.

Cameron błyskawicznie poderwał się z ziemi i zaczął szybko wciągać na siebie ubranie.

Zapinał guziki zacięty w milczeniu, a tymczasem Allie zarzuciła na ramiona sweter i mocno objęła ramionami podciągnięte pod brodę kolana.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - wykrzyknął Cam, piorunując ją wzrokiem.

- Nie pytałeś.

Przeklinając pod nosem, Cam ruszył w stronę jeziora, rozkopując po drodze opadłe liście.

Zatrzymał się nad samym brzegiem, i minęło sporo czasu, zanim się zorientował, że Allie stanęła za jego plecami.

- Jesteś na mnie wściekły.

- Pewnie, że jestem, do cholery!

Allie zadrżała.

- To, co się stało, niczego między nami nie zmienia. Ostatecznie mamy lata osiemdziesiąte.

Nie myśl, że chciałam podstępnie wymusić na tobie jakieś deklaracje. Zresztą wcześniej czy później i tak by do tego doszło.

- Nie o to chodzi - mruknął Cam. - Pierwszy raz powinien wyglądać zupełnie inaczej. Powinien być powolną celebrazją.

- W takim razie nie jesteś wściekły na mnie, tylko na siebie - zauważyła z rozpromienioną twarzą.

Objęła go od tyłu i przytuliła policzek do jego pleców. Postali tak jeszcze przez moment, patrząc, jak złote liście ścigają się nad taflą jeziora niczym psotne skrzaty. W końcu Cam wyzwolił się z objęć osaczającej go swoją miłością kobiety i ruszył w stronę samochodu.

- Zabiorę po drodze koszyk - oświadczył.

Nie chciał, żeby Allie tam wracała.

Podnosząc kosz z ziemi, zasypał liśćmi miejsce, w którym uprawiali seks, by ukryć świadectwo cudzego bólu.

A kiedy się odwrócił, zobaczył Allie stojącą przed maską radiowozu. Wcześniej włączyła silnik oraz policyjne światła i teraz błękitny, świetlisty snop omiatał ją co kilka sekund, przemieniając w białawą, cudną postać, podobną do anioła.

Gdy się wjechało na międzystanową ósemkę, pierwszą miejscowością za Wheelock było Shelley Pass - także archetypowe nowoangielskie miasteczko, położone w nad wyraz malowniczej okolicy. Ze swoim sąsiadem dzieliło wspólny los: wraz z nadejściem jesieni było oblegane przez turystów.

Tutaj na gości czekała dodatkowa atrakcja: w Shelley Pass przyszedł na świat autor wiersza „Little Boy Blue” i stąd w centrum miasta, naprzeciwko kościoła, widniał pomnik z brązu, przedstawiający leniwego, małego pastuszka, zaciskającego w dłoni róg, pogrążonego w błogim śnie pod snopem zboża.

Z przyczyn zupełnie dla Cama niepojętych ludzie zjeżdżali się tutaj tylko po to, żeby obejrzeć tę statwę i sfotografować się na jej tle.

Cam z wolna przejeżdżał przez miasteczko, jego buty leżały wciśnięte pod siedzenie pasażera, więc przed każdym zardzewiałym znakiem stopu mocno zaciskał palce stóp na pedale hamulca.

Sam nie wiedział, co właściwie chciał znaleźć, wiedział jedynie, że czegoś szuka.

Minął przybytki typowe dla każdego nowoangielskiego miasteczka - zakład golibrody, remizę strażacką, pocztę.

Nachylił się w stronę przedniej szyby, jakby dzięki temu miał się na jego drodze zmaterializować jakiś butik. Postanowił, że pokręci się tu jeszcze przez pięć minut, a potem zajędzie pod pierwszą lepszą kwiaciarnię - byle nie tę, w której pracowała Mia Townsend - i kupi dla Allie tuzin róż.

Pod wpływem impulsu skręcił w najbliższą przecznicę i na końcu zakurzonej ślepej uliczki dojrzał pięknie wymalowany szyld. U ME-ENY I HEDDY - głośiły fioletowe litery. SZTUKA PIĘKNA I IN-NE. Cam uśmiechnął się pod nosem. Co było niepiękną sztuką? Szydełkowe chodniki? Obrazki malowane według numerków?

Wchodząc do środka, musiał schylić głowę, żeby nie przydzwoić w niski sufit. Poza nim w sklepie była tylko niziutka kobieta, ubrana w tunikę, zachodzącą wysoko pod szyję i spływającą aż do kostek.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć?

Cam uśmiechnął się szeroko.

Sprzedawczyni sięgała mu najwyżej do żeber.

- Szukam prezentu dla żony. Chciałbym się rozejrzeć, jeśli można.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Jak pan sobie życzy.

Cam zaczął się przechadzać po tej graciarni i przypomniał sobie od razu, jak Allie przykazała mu pewnego razu, żeby osobiście ją zastrzelił ze swojego smitha wessona, jeżeli jej sklep stanie się - jak to określiła - przesłodzony i kiczowaty.

Cameron przesunął palcami po kamieniach oszlifowanych w kształt serca i ręcznie lepionych kubkach z uszami w kształcie jaszczurek. Powiódł wzrokiem po kolekcji abażurów zdobionych muszelkami. Zerknął na akwarelki przedstawiające spaniele, na haftowane kamizelki i bogaty asortyment wiszących kolczyków ze srebra.

- Czy to ma być prezent urodzinowy? - spytała w końcu sprzedawczyni.



Cam obrócił się na pięcie. Nie, odparł w duchu. Ma zagłuszyć moje poczucie winy.

- Żona jest florystką. Mogłaby mi pani zaproponować coś odwołującego się do jej zainteresowań?

Pokazała mu wieńce z suszonych prymuli i koszyki z rafii, z których się wychylały wąsy bluszczu, ale takie rzeczy Allie miała we własnym sklepie. Zrezygnowany, Cam pokręcił głową.

- Dziękuję pani - mruknął.

- Proszę zaczekać.

To nieprawdopodobne, ale ta maleńka kobieta miała siłę głosu sierżanta od musztry.

Cam posłusznie się zatrzymał.

- Moja siostra jest na zapleczu, właśnie wykańcza pewną pracę. Może dojdziemy do porozumienia.

Druga, równie drobna kobieta, z wielką pieczołowitością przycinała mały skrawek błękitnego szkła.

Był to ostatni element łamigłówki, układającej się w uderzająco piękny panel witrażowy, przedstawiający trzy wdzięczne żonkile na szafirowym tle.

Cieniutkie łodyżki kwiatów były bladozielone, ich środki - w kolorze płomieni.

Same kielichy miały złocisty odcień jesiennych liści klonu, które już do końca życia miały się kojarzyć Camowi z Allie. Natomiast szafirowe tło było tej samej barwy co oczy Mii.

Cameron doszedł do wniosku, że jeżeli do końca swoich dni będzie musiał patrzeć na ten panel, to dopełni pokuty.

- Wezmę go - zdecydował.

Cena nie grała roli.

Począł, aż sprzedawczyni zapakuje witraż w kilka warstw gazy i bibułki, a potem niemal pieczołowicie ułoży delikatny pakunek na tylnym siedzeniu samochodu Cama.

Przez całą drogę do domu Cameronowi stawały przed oczami fioletowo-błękitne jagody szkarłatne plamy krwi i inne równie niedorzeczne obrazy, aż w końcu zaczął zadawać sobie pytanie: czemu ludzka dusza potrzebowała tak wiele czasu na oczyszczenie?

Graham MacPhee miał kłopoty ze snem. Prawdę powiedziawszy, nie przespał porządnie ani jednej nocy od dnia gdy zawarł pakt z komendantem policji i oficjalnie został adwokatem Jamiego MacDonalda.

A po tym, jak na rozprawie wstępnej zadeklarował chwilową niepoczytalność swojego klienta, budził się zlany zimnym potem po zaledwie pięciu minutach, i natychmiast zaczynał zachodzić w głowę, czemu, u diabła, nie oparł linii obrony na prawie do eutanazji.

Ubrany tylko w jedwabne bokserki, wyszedł na balkon swojego apartamentu.

W gruncie rzeczy dobrze wiedział, czemu ominął eutanazję szerokim łukiem.

Przede wszystkim zależało mu na wygranej, a nie na ustanowieniu precedensu.

Poza tym nieortodoksyjną linią obrony mógłby ściągnąć do Wheelock stada żądnych sensacji pismaków, a oni już by rozkręcili medialny cyrk, który miałby absolutnie nieprzewidywalny wpływ na przysięgłych.

Jedno natomiast można było bez trudu z góry przewidzieć - w rezultacie nagłośnienia sprawy każdy, kto zabił bliźniego bez świadków, zacząłby utrzymywać, że dokonał zabójstwa na prośbę ofiary. Eutanazja kryła w sobie wiele pułapek, w które można wpaść w trakcie procesu i już nigdy się z nich nie wypłatać.

Bo na przykład, kto miałby być uprawniony do udzielenia zgody na zabójstwo z litości?

Teoretycznie Maggie się zgodziła, żeby mąż pozbawił ją życia, ale jak przedstawiałaby się sprawa, gdyby żona Jamiego leżała w śpiączce i nie mogła wyrazić swojej woli?

Poza tym, kto powiedział, że zgoda Maggie miałaby być wystarczająca? A co z jej najlepszą przyjaciółką? Ciotką Lou z Chicago? Współlokatorką z college'u? I innymi ludźmi, którzy chcieliby dłużej się cieszyć jej towarzystwem?

Założmy jednak, że osoba zainteresowana w sposób jasny i klarowny wyraziła zgodę na śmierć.

Czy tej zgody nie powinna dodatkowo autoryzować jakaś postronna osoba? Powiedzmy lekarz, który musiałby złożyć oświadczenie, że nie ma już szans na powrót do zdrowia? Z drugiej strony, czy ktokolwiek mógłby z czystym sumieniem zawyrokować, że określony przypadek jest rzeczywiście beznadziejny?

Wszyscy słyszeli historie o ludziach, którzy po piętnastu latach wybudzali się ze śpiączki. Czy prawo do eutanazji miałoby obejmować tylko przypadki chorób przewlekłych? Wywołujących bóle? Nieuleczalnych?

Czy osoba pragnąca się poddać eutanazji w ogóle musiałaby być chora?

Do tego wszystkiego dochodził problem dopełnienia samego aktu. Na przykład uduszenie byłoby dopuszczalne, ale strzał w głowę absolutnie wykluczony.

Graham usiadł na lodowatym, metalowym krześle i oparł stopy o balustradę balkonu.

We wszechświecie istniały miliardy gwiazd i mniej więcej tyle samo różnych komplikacji prawnych kryło się za zalegalizowaniem eutanazji. W tym wypadku ustanowienie zmodyfikowanego przepisu czy powoływanie się na określony precedens nie miałoby najmniejszego sensu, ponieważ każda jednostkowa sprawa wymagałaby uwzględnienia specyficznych okoliczności i uwarunkowania czynu.

Jamie MacDonald nie wyglądał na obłąkanego, i zapewne nie był owładnięty chwilową niepoczytalnością, kiedy zabijał żonę, ale tę kartę Graham mógł bezpiecznie rozgrywać na wiele sposobów. Tymczasem eutanazja, eutanazja to bardzo grząski i zdradliwy grunt.

Graham westchnął ciężko i podniósł się z krzesła. Zerknął na dachy pobliskich domów, oświetlone blaskiem latarni, wydających od czasu do czasu dziwaczne bzyczenie. Ciekawe, czy Jamie MacDonald też się wpatrywał teraz w niebo.

Następnego ranka Cam się zjawił na posterunku później niż zwykle. Po wejściu do biura ustawił witraż na podłodze za biurkiem, na wypadek gdyby Allie - która miała wrócić tego popołudnia - najpierw przyszła tutaj, a nie do domu.

Potem ściągnął kurtkę, usiadł za biurkiem i, wygodnie rozparty w fotelu, pozwolił myślom swobodnie błądzić. Gdy rozległo się pukanie do drzwi, aż podskoczył. Krzyknął: „Wejść!” i w progu pojawiła się Hanna wraz z Jamiem MacDonaldem.

- Szefie - powiedziała. - Już południe.

Cam zerknął na zegarek. Ściśle rzecz biorąc, była za minutę dwunasta.

Pieprzony Jamie, wypełniał zalecenia sędzi Sully co do joty - jeszcze ani razu nie spóźnił się choćby o kilka sekund.

Codziennie wyglądało to identycznie: Hanna pukała do drzwi, ciągnąc za sobą Jamiego jak krnąbrnego uczniaka.

Jamie uprzejmie pytał Cama o samopoczucie, a Cam w odpowiedzi burczał coś pod nosem i odprawiał kuzyna skinieniem głowy.

- Komendancie MacDonald - odezwał się James uprzejmym tonem.

Zawsze zwracał się w ten sposób, co z bliżej niewyjaśnionych przyczyn cholernie drażniło Cama.

- Jak się pan miewa dzisiaj rana?

Cam spojrzał na niego z marsową miną.

- Chciałem podziękować - powiedział cicho Jamie. - Za wypożyczenie żony.

Cameron miał wrażenie, że krew przestała mu krążyć w żyłach, i z ledwością zapanował nad furią, wywołaną tą prywatną, dwuznaczną uwagą.

- Wynoś się - rzucił głosem równie zimnym i ostrym jak nóż do listów, którym bezwiednie zaczął wywijać niczym śmiercionośną bronią.

Przez resztę popołudnia próbował się uspokoić. Siedział przy biurku, z głową na blacie i ćwiczył głębokie oddechy, mające oczyszczać organizm ze złych emocji. Kiedy Hanna weszła z pocztą, aż jęknęła.

- Wielki Boże!  
- Rozsunęła zasłony i uchyliła okno. - Istne mauzoleum. - Zgrabnym lobem ponad głową Cama rzuciła plik kopert na biurko. - Przyszedł rachunek telefoniczny - oznajmiła, kierując się ku drzwiom. - Połączenie z Kanadą było moją prywatną rozmową, za którą już potrąciłam sobie z wypłaty.

Cam westchnął głęboko i zabrał się do przeglądania poczty. Śmieci, śmieci, wniosek adwokata, więcej śmieci, rachunek telefoniczny. A tuż za nim - mniejsza koperta z nadrukiem „Hotel Wheelock Inn”. Jeszcze zanim Cam otworzył list od Mii, poczuł nieprzyjemne walenie w skroniach.

„Cameronie, oddaj proszę te klucze Allie i przeproś ją w moim imieniu. Poinformuj też, że drut z drzewek bonzai musi być całkowicie usunięty mniej więcej w połowie lutego.

Nie mogę tutaj zostać. Wiem, że postępuję jak ostatni tchórz. Wybacz.

Na koniec chciałam Ci powiedzieć jedno: w swoim życiu sypiałam z kilkoma mężczyznami, ale kochałam się tylko z Tobą”.

Cam wpatrywał się pilnie w litery skreślone miękkim, grubym ołówkiem, jakby one mogły mu zdradzić, gdzie w tej chwili jest Mia.

Jeszcze zanim skończył czytać krótką notkę, drżał już na całym ciele. Wybiegł z komisariatu bez kurtki, ignorując zdumione spojrzenie Hanny. Przebiegł przez ulicę, wpadł do hotelu i zażądał klucza do pokoju, który zajmowała Mia.

- Ależ, komendancie. - zaczął zdezorientowany recepcjonista, ale Cam go uciszył wymownym uniesieniem dłoni.

Pokój był pusty. I nie pachniał Mią, ale świeżo krochmaloną białą oraz środkami czystości.

Biblia Króla Jakuba znajdowała się na swoim zwyczajowym miejscu w szufladzie nocnej szafki, pilot leżał w równej linii z telewizorem. Nie zważając na zdumionego boja, stojącego w drzwiach, Cam opadł na kolana.

W drodze do Shelley Pass wyrzucił Mię z pamięci i teraz ponosił tego konsekwencje.

Ogarnęło go irracjonalne przekonanie, że jeżeli pobiegnie na posterunek i roztrzaska witraż - który zaczął utożsamiać ze zniknięciem Mii - ona w cudowny sposób powróci.

Położył się na łóżku, podciągnął kolana, przypomniał sobie, jak trzymał Mię w ramionach, gdy spała obok niego na kanapie w kwiatni. Zamknął oczy i próbował wyczuć najdrobniejsze wgłębienia w materacu, szukając odcisku jej ciała.

Udawał, że leży w tym samym miejscu, w którym leżała Mia - aż w końcu w to uwierzył.

Wówczas wstał. Poprawił krawat przed lustrem i spojrzął w stronę drzwi. Boj zniknął.

Cameron spokojnym krokiem wyszedł z hotelu i ruszył w stronę posterunku z zaciętą miną.

W jego biurze stała Allie i trzymała w rękach zapakowany witraż. Na jej twarzy malował się wyraz zachwyty, jaki się widuje na buziach małych dzieci, gdy mają przed sobą nowy, zupełnie nieznanymi im przedmiot.

- Cam! - wykrzyknęła z błyszczącymi oczami. - Czy to dla mnie?

Allie powiesiła witrażowy panel w sypialni, na ręcznie kutym haku, wcześniej okupowanym przez bujną, pasiastą trzykrotkę.

- Jest precudny - zawyrokowała.

Siedziała na łóżku po turecku ze szklanką coli w rękę, balansując trzymanym na kolanie talerzem obiadowym. Uparła się, że poczeka na Cama z kolacją, a potem zarządziła, że zjedzą w sypialni, bo chciała popatrzeć na swój prezent, gdy będzie prześwietlony promieniami zachodzącego słońca.

- Muszę częściej wyjeżdżać - oświadczyła.

Siedzący obok Cam uśmiechnął się pod nosem.

A potem spojrzął na wzór witrażu, który rozlewał się po kołdrze plamą barw i dopełzał do jego stopy. Cameron cofnął nogę, ale chwilę później plama znowu zaczęła się zbliżać.

Na posterunku Allie uniosła witraż w stronę jasnego, popołudniowego światła i obróciła go na wszystkie strony.

A potem zaczęła się rozwodzić na temat kolorów tła: jaśniejsze przypominały jej skorupkę jajka drozda, ciemniejsze - wieczorne, bezksiężycowe niebo. W końcu porzuciła swoje porównania, bo - jak stwierdziła - nie sposób opisać te błękity słowami. Trzeba je podziwiać w milczeniu i na tym właśnie polega ich piękno.

Cameron wiedział, że jego żona głęboko się myli. Jaśniejszy odcień był dokładnie taki sam jak kolor oczu Mii tuż przed tym, zanim zaczynał ją całować, ciemniejszy - taki jak oczy Mii chwilę po tym, jak się kochali.

Słońce zaszło i kolory witraża dziwnie przyszarzały.

- Mogłabym patrzeć na ten panel w nieskończoność - oznajmiła Allie. - Może każę go wprawić bezpośrednio w okno.

- Niezły pomysł. - Cameron wepchnął do ust porcję tłuczonych kartofli i teraz walczył, by je przełknąć.

Wiedział, że zachowuje się nie fair wobec Allie - nie było jej przez ponad pół tygodnia, powinien więc wykazać więcej ożywienia i zainteresowania, zasypać ją pytaniami - ale nie mógł przestać myśleć o Mii. Bał się, że gdyby to zrobił, umknęłaby jeszcze dalej od niego.

Musi ją odnaleźć, zanim to nastąpi.

- Powinnam zostać detektywem - rzuciła Allie lekko.

Cam spojrział na nią ze zdumieniem, czyżby żona czytała w jego myślach?

- Dużą przyjemność sprawiło mi prowadzenie tego małego śledztwa na rzecz Jamiego. - Odłożyła talerz i leniwie się przeciągnęła. - Opowiedziałabym ci o moich dokonaniach - zniżyła głos do szeptu - ale to ściśle tajne. Zawsze chciałam wypowiedzieć tę kwestię - dorzuciła ze śmiechem.

- Uważasz, że twoje działania pomogą obronie?

- Jestem pewna, że Jamie zostanie uniewinniony. Nie mogę ci powiedzieć, z kim się spotkałam, ale jedno jest pewne: ludzie w Cummington uważają, że postawienie Jamiemu zarzutu zabójstwa było grubą pomyłką.

- Taki argument to za mało, by przekonać przysięgłych - zauważył Cam.

- Fakt - zgodziła się Allie. - Ale przedstawimy im takie dowody,

że nie będą mieli wątpliwości, jaki był cel działań Jamiego.

- Tym celem było zabicie żony. Osobiście mi to oznajmił.

Allie prychnęła sarkastycznie.

- Jasne, jeżeli jego słowa traktować z bezduszną dosłownością.

Ale co, jeżeli zabijając ją, nie był sobą?

Cam spojrział w błyszczące oczy żony: w jej źrenicach odbijały się żonkile z witrażu.

- Wyobrażasz sobie, jak się czuje człowiek, który tak bardzo kogoś kocha, że całkowicie zatracą zdrowy rozsądek? - Uśmiechnęła się bezwiednie. - To szalenie romantyczne.

Nie, pomyślał Cam.

To istne piekło.

- Ja, chociaż cię kocham, nie zabiłbym cię w żadnych okolicznościach - zdołał wydusić.

Allie spojrzała bacznie na męża.

- Nie. Ty byś tego nie zrobił. - Milczała przez chwilę, a potem powiedziała tak cicho, że Cameron musiał wytyżyc słuch, aby ją usłyszeć. - Ale też nasz związek jest zupełnie inny od związku Jamiego i Maggie.

W tej sprawie Cam nie miał nic do powiedzenia. Odstawił talerz na podłogę i oparł się o poduszki, wsuwając splecione ręce pod głowę.

- Nie ma to jak miła poobiednia pogawędka - mruknął.

Allie uśmiechnęła się radośnie.

- O czym w takim razie chciałbyś porozmawiać?

O Mii.

Cam wrócił myślami do notki, która tkwiła w tylnej kieszeni spodni, i przypomniał sobie o kluczach, których do tej pory nie oddał Allie. Może nie powinien tego robić dzisiaj wieczorem. Niech Allie się spokojnie wyspi.

Równie dobrze może usłyszeć rano, że jej asystentka chyłkiem wyniosła się z miasta.

Jakiś niezrozumiały impuls kazał mu jednak wyjąć klucze z kieszeni.

- Mia prosiła, żebym ci je oddał. Musiała wyjechać.

Allie zmarszczyła brwi.

- Stało się coś złego?



Owszem. I to bardzo.

- Nie sądzę. Jakaś drobna sprawa rodzinna.

- Powiedziała, kiedy wróci? Zostawiła numer telefonu, pod którym można ją złapać?

Cam opadł z powrotem na poduszkę.

- Praktycznie nic nie powiedziała.

Allie położyła się obok męża i przytuliła do jego ramienia.

- Mam nadzieję, że jej nie wystraszyliśmy.

Cam zamknął oczy.

Pod powiekami ujrzał włosy Mii rozburzone jego własnymi rękami w chwili namiętności.

Allie wsunęła palce pomiędzy guziki męzowskiej piżamy i zaczęła gładzić Cama po brzuchu.

On wyobraził sobie, że w ciemności pulsującej ciszą leży na nim Mia - wilgotna, z radością przyjmująca go do swojego wnętrza, krzycząca z rozkoszy.

Allie pocałowała go w ramię, a jej oddech odcisnął się ciepłym kręgiem na cienkiej tkaninie.

Cameron zwolnił i pogłębił oddech. Udało mu się nawet cicho chrapnąć.

Allie delikatnie przesunęła dłonią po jego czole.

- Ciężki tydzień? - szepnęła.

Pocałowała Cama w kącik ust, a potem delikatnie się przesunęła na swoją połowę łóżka.

Cam nie otwierał oczu, mimo to doskonale wiedział, w którym momencie Allie wsunęła dłoń między własne uda. Zadrzały srebrne sztucce na obiadowym talerzu.

Cam zacisnął szczęki - już chyba mniejszą przykrość sprawiłby mu seks z żoną niż to ciche uginanie się materaca, gdy Allie dawała sobie samej to, czego on nie mógł jej dać.

## 10.

Balmoral Beene dzielił swoje imię z zamkiem położonym w Aberdeenshire, należącym do brytyjskiej rodziny królewskiej. Jednak nie otrzymał tego imienia dlatego, że jego rodzice pochodzili ze Szkocji lub Anglii, czy też spędzili niezapomniane chwile po drugiej stronie Atlantyku.

Po prostu jego matka dostała kiedyś pocztówkę, przedstawiającą ów zamek, i zachwyciła się jego nazwą, ponieważ wypowiedana na głos wypełniała usta równie przyjemnie jak naponczowany biszkopt. Za sprawą szczególnego zrzędzenia losu nazwisko Beene'a znalazło się na liście współpracowników komendy policji w Wheelock - najprawdopodobniej jedynym miasteczku w Stanach, gdzie każdy mieszkaniec bez wyjątku wiedział, czym jest Balmoral. Może więc z tego powodu Beene kazał mówić na siebie Bally - i to jeszcze na kilka lat przedtem, nim został prywatnym detektywem.

O ile Camowi było wiadomo, miejscowa policja - czytaj: jego dziadek, ojciec czy on sam - nigdy nie korzystała z usług Bally'ego Beene'a.

Jasne, narzekali na braki kadrowe, ale w wypadku poważnych przestępstw, popełnionych na terenie znajdującym się pod jurysdykcją komendy w Wheelock, zawsze mogli liczyć na batalion policji stanowej. Mimo to numer telefonu Bally'ego widniał na odnośnej liście.

Bally osobiście podniósł słuchawkę, a potem tak się certolił z ustaleniem daty spotkania, jakby harował bez wytchnienia od rana do późnej nocy. Tymczasem gdy Cam przyjechał do jego biura w Great Barrington o oznaczonej porze, Bally siedział z nogami na biurku i piłował paznokcie.

- O, cześć! - rzucił na widok Camerona, jakby go znał od urodzenia. - Robiłeś sobie kiedyś profesjonalny manikiur?

Cam stanął jak wryty w otwartych drzwiach.

- Niiieeee.

- Niech mnie szlag, jeżeli to nie najbardziej relaksująca rzecz na świecie. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Co u twojego ojca?

- Nie żyje.

- A, tak. Wiem.

To po co mi zadałeś to idiotyczne pytanie? - pomyślał Cam.

Rozejrzył się po małym pomieszczeniu, które leżało nad cukiernią, i w konsekwencji było przesiąknięte cudownym aromatem cynamonu, świeżo pieczonych rogalików i babki czekoladowej.

- Odpowiedź brzmi nie - odezwał się Bally. - Nie można przybrać nawadze od samego wciągnięcia tych zapachów. - Wrzucił jednorazowy pilnik do śmietnika, na którym widniało zdjęcie Larry'ego Birda i duży numer „33”.

- Wchodź i zamknij za sobą drzwi. - Bally wskazał na stojące przed biurkiem krzesło. - Czuj się jak u siebie.

Cam zbierał się w sobie.

Zależało mu, by jego głos brzmiał całkiem obojętnie, gdy będzie wynajmował tego faceta do odnalezienia kobiety, której prawie nie znał, a bez której nie był w stanie żyć.

Ku jego zaskoczeniu Bally wybuchnął głośnym śmiechem.

- Aż przyjemnie popatrzeć, na kogo wyrosłeś.

Twój ojciec pękałby z dumy!

- Czy myśmy się już kiedyś spotkali?

- Niezupełnie - odparł Bally.

Cam przesunął się nerwowo na krześle.

- Może to dobry moment, żebyś mi wyjaśnił, dlaczego twoje nazwisko figuruje na liście współpracowników komendy w Wheelock. Co robiłeś dla nas w przeszłości?

- Jestem detektywem. Prowadziłem dochodzenie.

- W jakiej sprawie?

Bally zmrużył oczy i westchnął.

- Normalnie nie udzielam takich informacji, ale skoro facet, który mnie wynajął - znaczy się twój ojciec - już nie żyje, zaspokoje twoją ciekawość. - Uśmiechnął się ujmująco, odsłaniając równe, śnieżnobiałe zęby, które wyglądały jakoś nienaturalnie pośród zmarszczek szczupłej twarzy. - Śledziłem cię.

Cam nie wierzył własnym uszom.

- Mnie?

- Jak słyszałeś.

- Z polecenia mojego ojca?

Bally przytaknął.

Cam potrząsnął głową, wciąż oszołomiony tą rewelacją.

- Ale dlaczego?

Bally westchnął ponownie.

- „Śledziłem” to może nie najlepsze słowo. Powiedzmy, że miałem na ciebie oko. Kiedy się rozbijałeś po świecie. - Znowu się uśmiechnął. - Nigdy nie byłem w Paryżu, nie wspominając już o Nepalu. Diabła tam, nie byłem nawet w Kalifornii.

- Ojciec ci zapłacił, żebyś podążał moim tropem?

- Już ci powiedziałem, że nie podążałem twoim tropem. Trzymałem rękę na pulsie, siedząc tu, na miejscu. Wprost nie do wiary, ile można zdziałać za pomocą komputera i telefonu. Sprawdzałem, skąd bierzesz pieniądze, kto ci je wypłaca, w czyich mieszkaniach spędzasz noce. Nie chodziło o to, że ojciec ci nie ufał. Po prostu chciał mieć pewność, że nic ci nie grozi.

Cam spuścił wzrok na swoje dłonie, zaciśnięte w pięści. Zastanawiał się, czy matka wiedziała o tej inwigilacji. I która z cech jego charakteru sprawiła, że ojciec uznał za konieczne kontrolowanie jego życia.

Przy okazji zaczął wątpić, czy Beene jest człowiekiem, którego powinien wynająć do odnalezienia Mii.

Już miał wstać i wyjść, gdy Bally odezwał się ponownie.

- Zanim uznasz, że przychodząc tu, popełniłeś błąd, pozwól, że ci przypomnę, jak dobrym jestem detektywem.

I jak dyskretnym.

Ostatecznie minęło piętnaście lat od czasu, gdy cię inwigilowałem, a ty tego nigdy nie odkryłeś.

Cameron wciągnął głęboko do płuc haust powietrza przesyconego zapachem anyżku, drożdży i lukru.

- Muszę kogoś odnaleźć. I nie ma tonic wspólnego z żadnym policyjnym dochodzeniem.

- A! Sprawa prywatna. - Bally wyciągnął długopis z kieszeni koszuli i zaczął coś zapisywać na serwetce do pączków.

- Czysto prywatna.

- Czy ona coś ci ukradła?

- Nie. I skąd wiesz, że chodzi o kobietę?

- Zgadłem. Szczęśliwy traf - odparł Bally, nie unosząc oczu znad serwetki.

Przez następną godzinę Cam odpowiedział na tyle pytań dotyczących Mii, że zaczęła się materializować przed jego oczami, jakby siedziała tuż przed nim, przycupnięta na blacie biurka.

Wprost nie mógł oderwać wzroku od jej jasnej skóry widocznej w wycięciu dekoltu swetra i od wdzięcznego wygięcia jej szyi.

- Nie masz jej zdjęcia?

- Nie.

Bally niczego nie obiecywał, ale powiedział, że postara się odnaleźć Mię. Zapewne pozostawi za sobą jakiś biurokratyczny trop - kopię rachunku hotelowego, podanie o pracę, numer prawa jazdy - a ponieważ nie jest zbiegiem w dosłownym tego słowa znaczeniu, najprawdopodobniej nie będzie zwracała sobie głowy zmianą nazwiska. Na koniec Bally oznajmił, że gdy tylko zdobędzie jakieś informacje, zadzwoni do biura Cama i przedstawi się jako Albert Prince.

- Księżę Albert? Małżonek królowej Wiktorii? - Cam wybuchnął śmiechem.

Bally wzruszył ramionami.

- Czy to ważne? - Ruszył z Camem w stronę drzwi, namawiając przy okazji nowego klienta, żeby w cukierni na dole koniecznie spróbował napoleonek, a potem rzucił od niechcenia:

- To niesamowite. Historia rzeczywiście kołem się toczy. Kiedy pierwszy raz pracowałem dla twojego ojca, też miałem odszukać pewną kobietę.

- W związku z policyjnym dochodzeniem? - spytał Cam, zapinając kurtkę.

- Nie. Sprawa prywatna. Jak to określiłeś? A, tak. CZYSTO prywatna.

Cam przeżył kolejny wstrząs. Obraz ojca, który przechowywał w pamięci, zaczął się rozsypywać w proch.

Facet kazał tropić własnego syna przez pół świata - w Europie, Afryce, Rosji. A sam miał na boku jakąś laskę.

- I odszukałeś?

Bally się roześmiał.

- Czy twój ojciec zwróciłby się do mnie po raz drugi, gdybym jej nie odszukał? Oczywiście, że odszukałem.

Cameron spojrział uważnie na detektywa. Bally zapewne nie wiedział, co zrobił Ian MacDonald po tym, jak dostał adres tajemniczej kobiety. Czy zainstalował ją w jakimś miłosnym gniazdku, gdzieś niedaleko domu, w którym dorastał Cam?

Czy w towarzystwie syna i żony tylko egzystował, a budził się do życia u boku całkiem kogoś innego?

- Ciekawe, czy pozostał z nią w kontakcie - powiedział Cam równym, opanowanym głosem. Bally uniósł wysoko brwi.

- Zdecydowanie tak. To twoja matka.

Komin w rodzinnym domu Cama przez wieki bujnie zarósł bluszczem.

\*Mowa o kominie typowym dla starych nowoangielskich domów, biegnącym od podwalin przez całą wysokość szczytowej ściany (przyp. tłum.).

Był widoczny już z daleka i w dzieciństwie Cam wierzył, że jest to wielka, włochata, uśpiona bestia.

Właśnie obok tego komina odnalazł Ellen. Ze swoimi cennymi, miedzianymi różdżkami w pełnej gotowości, ruszyła powoli w poprzek trawnika.

- Chcesz wykopać nową studnię? - Cam stanął w szklanych, przesuwanych drzwiach.

- Sprawdzić swoje przecucia - odrzyknęła Ellen. Po śmierci męża zajęła się różnymi ezoterycznymi praktykami, wstąpiła do Amerykańskiego Towarzystwa Różdźkarzy i stała się w tym tak dobra, że kilka lat temu, po zlokalizowaniu na mapie składu broni bośniackich Serbów, zdobyła tytuł Różdźkarza Roku.

Teraz zajmowała się różdźkarstwem tylko hobbystycznie - badała przebieg żył wodnych na prośbę ludzi, którzy się sprowadzali do Wheelock, określała płęć nienarodzonych dzieci, poszukiwała zagubionych sztuk starej, pamiątkowej biżuterii.

- Wydaje mi się, że w północno-zachodnim rogu jest jakieś źródło promieniowania elektromagnetycznego, które ma fatalny wpływ na Peppera.

Pepper był czternastoletnim cairn terierem, który już nie zwracał najmniejszej uwagi na dzwonki do drzwi, drobne katastrofy domowe w rodzaju pożaru na kuchence czy na cokolwiek innego.

Ellen obróciła się przez ramię i posłała synowi ciepły uśmiech.

- Ostatnio nie jest taki jak dawniej.

Cam przewrócił oczami i leniwym krokiem przeszedł przez trawnik, żeby przyjrzeć się z bliska poczynaniom matki.

Ellen trzymała różdżki na wysokości pasa, niczym rewolwero-wiec swoje kolty, i zamykała oczy za każdym razem, gdy któryś z prętów nachylił się do drugiego.

Kiedy nadszedł Cam, różdżki zaczęły się przecinać nawzajem i podskakiwać jak szalone.

- Synu, zniweczyłeś moje wysiłki.

- Dlatego, że uważam te praktyki za czyste szarlatanstwo?

Ellen westchnęła i opuściła pręty.

- Ponieważ wytwarzasz zbyt silne pole energetyczne. Kiedy stoisz obok mnie, nie wyłapuję niczego innego. - Spojrzała uważnie na syna i po raz kolejny w życiu przypomniawszy sobie ten dzień, gdy chciała sprawić mu lanie i nagle odkryła, że Cameron jest od niej ponad trzydzieści centymetrów wyższy.

- Co się z tobą dzieje? - spytała.
- Ty mi powiedz. Podobno jesteś obdarzona szóstym zmysłem.

Ellen uśmiechnęła się ironicznie.

- To żadne wyzwanie. Nawet idiota by spostrzegł, że parujesz z gniewu. Ciągnie się za tobą wielka, czarna chmura.

Cam odruchowo zerknął przez ramię i matka wybuchnęła głośnym śmiechem.

Dlaczego uciekła?

- Dzisiaj się spotkałem z jakimś Balmorałem Beene'em i dowiedziałem kilku ciekawych rzeczy.

- Doprawdy? - Ellen ruszyła w stronę domu. - Zjesz ze mną lunch?

Cam podążył za matką.

- Mamo, wiesz, o kim mówię?

- Oczywiście. - Ellen zdjęła z półki puszkę z tuńczykiem dla Peppera, który przepadał za kocim żarciem - bardziej niż jakikolwiek kot w okolicy. - To prywatny detektyw, z którego usług od czasu do czasu korzystał twój ojciec. Czy prowadzisz jakieś skomplikowane dochodzenie?

Cameron zmartwiał. Poniewczasie zdał sobie sprawę, że matka będzie chciała wiedzieć, do czego mu potrzebny prywatny łaps.

- Nie jest jakoś szczególnie skomplikowane - odparł nonszalanckim tonem.

- Bally mi powiedział, że ojciec go wynajął, by śledził moje wszystkie ruchy za granicą.

- Owszem. Sama go o to poprosiłam.

- TY go poprosiłaś?

- Chciałam mieć pewność, że wszystko u ciebie w porządku.

- Miałam wtedy dwadzieścia lat. Nie byłam już małym chłopcem.

Ellen wzruszyła ramionami.

- Bez względu na wiek zawsze będziesz moim dzieckiem. - Otworzyła lodówkę i wyjęła plastikowy pojemnik, wypełniony jakąś gęstą, brązową masą. Wyłożyła ją na talerz i podeszła do mikrofalówki.



- Jesteś pewien, że się nie skusisz? To strogonoff z tofu.
- Dlaczego uciekłaś?

Talerz wypadł z ręki Ellen i płasko uderzył o laminat blatu, kilka kropli brązowego sosu prysnęło na jej koszulę.

- Kto ci o tym powiedział?

- Bally. Dowiedziałem się, że wytropienie ciebie było pierwszą sprawą, jaką powierzył mu ojciec.

Ellen wetknęła talerz do mikrofalówki i zaczęła nakrywać do stołu. Zdjęła dwie maty z półki i starannie rozpostarła na blacie. Dołożyła serwetki i sztućce. Wyciągnęła z szafki dwa kieliszki i dopiero wtedy spojrzała na syna.

- Zacznijmy od tego, że tak naprawdę nie mam pięćdziesięciu trzech lat, ale pięćdziesiąt dwa.

Matka chyba sobie z niego kpiła!

- Jeżeli o mnie chodzi, możesz kłamać na temat swojego wieku, ile wlezie. Mam to gdzieś. Dzisiejszego rana dowiedziałem się, że moi rodzice za grosz mi nie ufali, a jakby tego było mało, to, co usłyszałem, mogłoby sugerować, że zostałam przymuszona do małżeństwa z ojcem.

- Synu - weszła mu w słowo Ellen. - Zastanów się przez moment. Czy naprawdę sądzisz, że nie chciałam wyjść za Iana?

Cameron zaczął poszukiwać w pamięci chwil, gdy był świadkiem interakcji między rodzicami, i pierwsze wspomnienie, które do niego wróciło, pochodziło z czasów dzieciństwa.

Miał pięć lat, senny koszmar obudził go w środku nocy, więc przerażony pobiegł do sypialni rodziców.

Mimo ciemności dojrzał na ich łóżku podrygujące, jęczące, bezkształtne wybrzuszenie.

Cam zamarł, bo wydawało mu się, że słyszy krzyk matki i nagle dotarło do niego, co się dzieje: Jakaś straszna bestia pożerała jego rodziców żywcem!

Podpełzł do łóżka i wówczas dostrzegł swojego ojca. A więc to była jakaś gra.

Cameron przyglądał się jej przez chwilę, a potem dźgnął palcem kołdrę. „Czy mogę się przyłączyć?” zapytał. Matka zaczęła się zaśmiewać, mimo to rodzice nie zaprosili go do wspólnej zabawy -

czego wówczas kompletnie nie potrafił zrozumieć.

- Posłuchaj - odezwała się Ellen. - Czemu, według ciebie, miałabym opowiadać wszystkim wokół, że jestem STARSZA niż w rzeczywistości? - Usiadła na krześle, które zawsze zajmowała przy stole, od kiedy tylko Cameron sięgał pamięcią. - A jeżeli kiedykolwiek zdecydujesz się obdarzyć mnie wnukiem, zrozumiesz, że dwumiesięczny wcześniak nigdy, przenigdy nie waży pięć kilogramów.

- Uciekłaś dlatego, że zaszłaś w ciążę?

- Ponieważ zaszłam w ciążę. I ponieważ twój ojciec sądził, że jestem osiemnastolatką. Był ode mnie jedenaście lat starszy. Uznałam, że stanowiłam dla niego przyjemną odskocznnię, jednak nie chciałby być do mnie uwiązany na resztę życia.

Pamiętaj, że mówimy o 1959 roku, kiedy mężczyźni o mniejszym poczuciu honoru od Iana w określonych sytuacjach postępowali w honorowy sposób. Doszłam do wniosku, że oszczędzę mu problemów. Tyle że Ian mnie odnalazł - za pośrednictwem Bally'ego Bee-ne'a.

Pobraliśmy się w dniu moich siedemnastych urodzin w stanie Maryland, gdzie łatwiej nam przyszło sfałszować moją datę urodzin, i gdzie nie wymagano zgody rodziców.

Cameron ujrzał matkę w zupełnie innym świetle.

- Ojciec przystał na to oszustwo?

- Owszem. Ponieważ bardzo mu na mnie zależało. I zależało mu na tej - wówczas niewyobrażalnie maleńkiej - istocie, którą nosiłam pod sercem. Przez cały tydzień po ślubie nie odezwał się do mnie słowem, był wściekły, że w swojej głupocie mu nie zaufałam.

Mikrofalówka zapiszczała. Cam wyjął z niej parujący talerz i postawił przed matką.

- Ty mała bałamutnico! - rzucił ze śmiechem.

Ellen nadziała na widelec kawałek tofu.

Podmuchała.

- Powiesz mi, w jakim celu zatrudniłeś Bally'ego? - spytała.

Cam, wciąż uśmiechnięty, pokręcił głową.

- Będziesz musiała się wedrzeć na posterunek i pomachać nad aktami swoimi różdkami. Może zdołasz odkryć prawdę. To tajna operacja policyjna.

- Byłam żoną jednego komendanta policji i jestem matką drugiego. Nie wmawiaj mi podobnych bzdur.

- Chodzi o delikatną sprawę.

- Mam tylko nadzieję, że nie ma ona nic wspólnego z Jamiem. On i bez tego ma dość kłopotów.

- Szukanie dodatkowych haków na mordercę to nie moja sprawa. Takie zabawy zostawiam prokuraturze.

- Człowieka, który zabił, powodowany miłosierdziem - skorygowała Ellen. - Nie mordercę.

- Siedemnaście lat, osiemnaście - powiedział Cam.

- Czysta semantyka.

Ellen spiorunowała go wzrokiem.

- Przepraszam - mruknął.

Matka wstała od stołu i zaczęła się krzątać po kuchni: opłukała talerz i sztućce, włożyła je do zmywarki. Cichy tupot jej tenisówek był tak bardzo swojski. Cam przypomniał sobie, że ta jasno oświetlona kuchnia zawsze tętniła śmiechem i muzyką, nawet w deszczowe, sobotnie poranki, kiedy wafle przypiekały się na brzegach, a rodzice w improwizowanym tańcu wirowali wokół stołu.

I uświadomił sobie, że jego własna kuchnia w niczym nie przypomina tej rodzicielskiej - nie była sercem domu, pompującym życiodajną energię w pozostałe pomieszczenia.

Kiedy oni Allie siedzieli w kuchni - podczas przygotowania posiłków, parzenia kawy czy nawet wspólnego posiłku - zazwyczaj panowała głucha cisza.

- Allie już wróciła?

Cam bez słowa skinął głową.

Matka stała odwrócona do niego tyłem, a i tak jakimś zmysłem wyczuwała wszystkie jego gesty.

- Musi cię to cieszyć.

- Owszem - podszedł do stołu i zaczął zbierać nakrycie, które przygotowała dla niego matka.

- Nie fatyguj się - powiedziała matka, nie odrywając oczu od strumienia wody leżącego z kranu nad zlewem.

- Mówiłem, że nie jestem głodny. Niepotrzebnie to wystawiałaś. Ellen zakręciła wodę, starannie wytarła ręce w ścierkę.

- Nie nakryłam dla ciebie - oświadczyła i oblała się rumieńcem, który w jakiś niesamowity sposób wygładził jej zmarszczki, zniwelował upływ lat i nagle Cam wyraźnie zobaczył, jak musiała wyglądać w wieku siedemnastu lat.

- Ale dla twojego ojca.

Cam wybałuszzył oczy.

- Dla taty?

Rzucił okiem na miedziane różdżki matki, schowane z powrotem do ochronnego, wełnianego futerału.

Zainteresowanie ruchami New Age to jedno, ale wiara w duchy i ektoplazmę to zupełnie inna para kaloszy.

Cameron już otwierał usta, by powiedzieć matce, że nie powinna zbyt łatwo łudzić się nadzieją.

Ale nie zdążył.

- Nie jest tak, jak myślisz - odezwała się Ellen.

- Uznałam, że jeżeli Ian będzie chciał wrócić na chwilę do tego świata, zapewne zjawi się u mnie i to w porze posiłku. Najprawdopodobniej w jakiś wtorek, kiedy zwyczajowo gotuję potrawkę z kurczaka.

Cam przrzucił w palcach frędzle maty i przywołał z pamięci obraz ojca siedzącego za stołem, Ian miał zwyczaj solenia wszystkiego jeszcze przed spróbowaniem, aż pewnego dnia Ellen dorzuciła do kurczaka całe opakowanie soli, żeby dać mu nauczkę.

Cameron przypomniał sobie również, że gdy matka nakładała ojcu na talerz warzywa - a gorąca para zwiјаła w pierścionki końce jej włosów - Ian obejmował ramieniem biodra żony i przytulał ją mocno do siebie.

- I co? Już kiedyś powrócił?

- Jeżeli tak, ja tego nie zauważyłam - przyznała Ellen. Stanęła obok Cama i położyła dłoń na ręku syna. Połyskliwa glazura talerza odbiła ich twarze, lekko zniekształcone ogromem nadziei.

- Co nie znaczy, że to nie nastąpi.

Graham zabrał się do otwierania paczki w obecności swojego klienta.

Przyszła na adres kancelarii mocno sfatygowana.

Jamie nerwowo przebierał palcami po poręczach fotela, a tymczasem adwokat zaatakował śmiało żółtą, samoprzylepną taśmę i pako-  
wy papier.

- Chyba nie sądzisz, że to bomba? - mruknął James.

- Nie słyszę żadnego tykania - odparł Graham, ale poczuł dreszczyk ekscytacji.

Zobaczył siebie w roli bohatera nieprawdopodobnie dramatycznego wydarzenia - ładunek wybuchowy przysłany dla jego klienta via kancelaria! Odważnie oderwał bok kartonu i ujrzął egzemplarz Biblii - taki, jaki można znaleźć w każdym hotelowym pokoju.

Kiedy podawał ją Jamiemu, ze środka wypadła złożona we czwo-  
ro kartka. James starannie ją rozprostował i zaczął czytać na głos.

- Okaż skruchę. Żałuj za grzechy, a Pan nasz ci przebaczy. Wspomnij słowa Księgi Izajasza: „Chodźcie więc, a będziemy się prawować - mówi Pan!

Choć wasze grzechy będą czerwone jak szkarłat, jak śnieg zbieleją, choć będą czerwone jak purpura, staną się białe jak wełna”.  
Wiem, że podczas procesu będziesz się modlić o wybaczenie. Nie-  
chaj ta Biblia rozpocznie proces twego zbawienia.

Jamie zmiął kartkę w dłoni.

- Ja nie wybaczyłem Bogu tego, że pozwolił Maggie zapaść na tak straszną chorobę.

Dlaczego on miałby zwracać sobie głowę przebaczeniem komuś takiemu jak ja?

Podczas tej ciągnącej się niczym wieczność nocy - tuż po tym, jak Maggie poprosiła, żeby ją zabił - Jamie zapadł w kilkuminutową drzemkę. Nie pamiętał tego faktu - był przekonany, że obserwował każdą mijającą minutę na cyfrowym zegarze - ale gdy w pewnym momencie uniósł powieki i pomacał ręką drugą stronę łóżka, tę zajmowaną przez Maggie, trafił na pustkę.

Usiadł gwałtownie i, zdjęty paniką, pomyślał: Już ode mnie odeszła!

Szybko jednak ochłonął, wróciła mu jasność myślenia i wówczas podniósł się z łóżka.

Najpierw zajrzał do łazienki, potem zszedł do kuchni - niekiedy, gdy ból się nasilał, żona parzyła sobie herbatę w środku nocy.

Tym razem jednak Maggie tam nie było.

Jamie systematycznie zaczął obchodzić cały parter, objając w ciemności łydki i łokcie o najprzeróżniejsze sprzęty.

Wysunął nawet głowę na ganek i wyszeptał imię żony.

A potem ruszył z powrotem w stronę sypialni.

Kiedy znalazł się na piętrze, dostrzegł smużkę światła wypływającą spod drzwi jego domowej pracowni komputerowej. Ostrożnie przekręcił gałkę w drzwiach i ujrzał Maggie stojącą naprzeciwko terminalu, z HMD na głowie i w sensorycznej rękawicy na dłoni.

Nie było sensu odzywać się do Maggie, ponieważ hełm odcinał ją od wszelkich zewnętrznych bodźców.

Jamie podszedł więc do żony w milczeniu i wówczas zobaczył, że się załogowała do jednego z jego starych programów.

To wydało się Jamiemu kompletnie absurdalne, ale ostatecznie od chwili, gdy kobieta jego życia poprosiła o śmierć, cała ta noc nabrała surrealistycznego zabarwienia.

Maggie nie pasjonowała się komputerami. Nie wykazywała nimi żadnego zainteresowania. Nawet nie sprzątała w pracowni Jamiego, ponieważ się obawiała, że może poplątać czy porozłączać jakieś kable i zburzyć delikatną równowagę systemu.

Przez wszystkie lata ich małżeństwa ani razu nie weszła z własnej woli do pracowni, nie wspominając już o uruchomieniu któregoś z jego programów VR.

Jamie przeniósł wzrok na monitor. To, co widział na płaskim ekranie, bardzo się różniło w odbiorze od trójwymiarowej przestrzeni, którą - dzięki HMD - miała przed oczami Maggie.

Bez trudu jednak rozpoznał, że wybrała program, który opracował przed paru laty dla pewnej firmy architektonicznej - wędrowkę po projektowanym obiekcie, na potrzeby której zeskanował postać żony.

Maggie znajdowała się w murach szkoły podstawowej i zdecydowanym krokiem przemierzała korytarze.

- Musi przecież gdzieś tutaj być - powiedziała cicho.

Pchnęła wirtualne drzwi, prowadzące do toalety dla personelu. Jamie projektował tę toaletę z myślą o pracujących w szkole kobietach, dlatego wyposażył ją w wielkie lustro. Maggie się zatrzymała przed własnym odbiciem. Tyle że było to odbicie postaci zeskanowanej w 1993 roku, jeszcze sprzed czasów choroby.

Rozwiązała pasek szlafroka, a potem ręką w rękawicy zaczęła gładzić swoje ciało.

Jamie mniej więcej wiedział, co widzi żona, bo ten sam obraz, tyle że dwuwymiarowy, pokazał się na monitorze komputera. Różnica polegała na tym, że dzięki HMD i rękawicy Maggie odbierała również bodźce dotykowe - wyczuwała jędrność i ciepło własnego ciała.

Jamie podszedł bliżej żony. Miał ją teraz na wyciągnięcie ramienia. Jej ręka w rękawicy zawisała kilka centymetrów od skóry. Przesunęła się wzdłuż linii żeber i zacisnęła lekko tuż nad blizną po mastektomii. Na ekranie, w lustrzanym odbiciu, Maggie trzymała w dłoni zdrową pierś.

I uśmiechała się nostalgicznie.

Jamie poczuł nieznośne pieczenie w oczach. A potem popełnił kardynalny grzech - on, który tworzył cyberprzestrzeń, odcinające od świata zewnętrznego.

Objął żonę, zdjął z jej ręki rękawicę, ściągnął na powrót poły szlafroka. Zacisnął palce na palcach Maggie i ścisnął tak mocno, aż krzyknęła z bólu i w ten sposób uświadomiła sobie, że nadal czeka na nią rzeczywisty, namacalny świat.

## 11.

Audra Campbell, zastępca prokuratora okręgowego, udawała, że prowadzi ożywioną rozmowę z jednym z młodych asystentów, pracujących w sądzie wyższej instancji w Pittsfield, ale tak naprawdę ukradkiem śledziła wzrokiem małą, lecz zaangażowaną grupkę dziennikarzy, zebraną przed sądowym gmachem.

Posiedzenia wielkiej ławy przysięgłych rzadko budziły zainteresowanie mediów - ostatecznie dziewięćdziesiąt dziewięć procent przedstawianych im spraw kończyło się wystawieniem aktu oskarżenia - tym razem jednak stawili się przedstawiciele kilku gazet oraz jednej lokalnej stacji telewizyjnej.

Wystarczy odrobina ambicji, a człowiek może osiągnąć bardzo, bardzo wiele, Audra doszła do wniosku, że jeśli rozerwie na strzępy Jamesa MacDonalda, to po jego trupie dojdzie prostą drogą do awansu.

- Pokażę ci, o co chodzi. - Przeniosła wzrok na asystenta, którego nazwisko już umieściła w myślach na liście ludzi winnych jej jakąś przysługę.

Położyła ołówek na kłykciach palca serdecznego i wskazującego i zahaczyła od góry palcem środkowym.

Asystent od dawna próbował opanować tę banalną, barwą sztuczkę, ale wciąż mu nie wychodziła. Audra zacisnęła palce, łamiąc ołówek na pół.

- To nie kwestia siły fizycznej - wyjaśniła.- Lecz siły woli.- Uśmiechnęła się promiennie do młodego człowieka i odwróciła na pięcie, pozdrawiając skinieniem głowy dwudziestu trzech przysięgłych, wchodzących na małą salę obrad.

Kilka tygodni temu uczestniczyła w ich wyborze. Każdy odznaczał się jakąś cechą charakterystyczną, która pozwoliła Audrze



dobrze zachować ich w pamięci: opadające wąsy, ciężarny brzuch, czarne, przebiegłe oczka.

Przewodniczący składu miał nos tak zadarty, że przypominał ryj świni o nierównych dziurkach nozdrzy - czegoś podobnego Audra nie mogłaby zapomnieć, nawet gdyby bardzo chciała.

Tak czy owak, poczęstowała faceta szerokim, przyjaznym uśmiechem.

Wezwani przed ławę świadkowie siedzieli w rzędzie przed salą. Hugo Huntley, przedsiębiorca pogrzebowy, rozwiązywał krzyżówkę. Komendant policji i jego podwładny, który przeprowadzał oględziny pokoju Jamesa MacDonalda w hotelu Wheelock Inn, pochylali się ku sobie, niemal stykając się głowami. Ubrani w identyczne mundury, wyglądali jak własne lustrzane odbicia.

Podjeźzanego i jego adwokata nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Jeżeli o Audrę chodzi, mogli równie dobrze bawić teraz na Bermudach czy też na Księżycu.

Za sprawą niewytłumaczalnej i - z punktu widzenia prokuratury - cudownej regulacji kodeksowej, obowiązującej w tym kraju, obrona nie miała prawa prezentować swoich argumentów przed wielką ławą przysięgłych.

Nawet jeżeli w trakcie postępowania dowodowego zostały złamane reguły gry.

Z pełnym podniecenia wyczekiwaniem, rozlewającym się gorącą falą po kręgosłupie, Audra weszła dosali i zamknęła za sobą drzwi.

- Postawią mnie w stan oskarżenia - oznajmił Jamie ponuro.

Siedział na wielkim worze psiej karmy i przyglądał się Angusowi, wypełniającemu swoje rutynowe, poranne obowiązki.

Graham MacPhee, który przyjechał do domu Angusa, żeby w tym trudnym dniu podtrzymać klienta na duchu, stało party o drzwi garażu i starał się, jak mógł, żeby żadne psie gówno nie przywarło do jego kosztownych mokasynów.

- Wielka ława przysięgłych stawia wszystkich w stan oskarżenia. Do diabła, gdyby prokurator oznajmił, że przestępstwo popełniła kanapka z szynką, też by wystawili stosowny dokument - powiedział

Graham. - Ich decyzje nie mają żadnego wpływu na dalsze postępowanie sądowe. - Zerknął na Angusa, który zszedł z drogi groźnemu, czarnemu rottweilerowi. - Dlatego musimy się skoncentrować na najważniejszym: przeanalizować informacje pozyskane przez Allie i dopracować linię obrony.

Angus pełnił mało zaszczytną funkcję miejscowego hycła. Cameron zaoferował stryjowi tę pracę tuż po tym, jak ściągnął go do Stanów, bo nie chciał, żeby starszy pan czuł się bezużyteczny. O, dziwo, Angus przyjął propozycję z entuzjazmem. Za domem wznosił kilka dużych kojców z drutu, po czym zaczął pilnie objeżdżać wszystkie boczne uliczki i drogi wokół Wheelock w poszukiwaniu bezpańskich lub porzuconych psów.

Dzisiaj w kojcach siedziały dwa kundle, wspomniany rottweiler, puchate stworzenie, przypominające bichon frise'a oraz zapasiony dalmatyńczyk. Wszystkie głośnym szczekiem próbowały zwrócić na siebie uwagę Angusa, który spokojnie, z niewzruszoną miną, napełniał karmą wielkie miski.

Kiedy skończył, zamknął bramkę prowadzącą do kojców, wyjął z kieszeni mały kapciuch z tytoniem i powoli nabił fajkę.

Kilka razy zaciągnął się głęboko dymem i dopiero wtedy zwrócił się w stronę Jamiego i Grahama.

- Urządziliście sobie ceilidith, he?
- Nie nazwałbym tego fetą - odparł Graham.
- Jamie nie jest w imprezowym nastroju.
- Tak, no cóż... powinieneś być sądzony w Carrymuir, mój chłopcze. W Szkocji mogą zapaść trzy rodzaje wyroku: „winny”, „niewinny”, „wina niedostatecznie udowodniona”. - Angus zerknął bystro na Jamiego. - Co tłumaczy się mniej więcej tak: „niewinny, ale nie rób tego więcej”.

Jamie rył czubkiem buta w żwirze.

- Tutaj bym specjalnie nie liczył na podobny werdykt.
- Jamie, wyciągnę cię z tego. Na bank - wtrącił Graham z rozpromienioną twarzą. - Zapewniam, że nie będziesz pokutował przez resztę swoich dni.

Jamie uśmiechnął się ponuro.

- Myślisz, że to takie proste?

- Jasne! - Graham odepchnął się od garażowych drzwi i podszedł do Jamiego z najbardziej pewną siebie miną, na jaką umiał się zdobyć. - Bułka z masłem.

Angus zmierzył uważnym spojrzeniem obu młodych mężczyzn.

- Tępak - mruknął pod nosem.

Wyprostował się, zlustrował szczekające psy, a potem ruszył w stronę domu.

- Wychyliłbyś naparstek whisky, Graham? - krzyknął przez ramię. - Nie? - dorzucił, nie dając Grahamowi czasu na odpowiedź. - W takim razie wpadnij do nas jeszcze kiedyś, jak nie będziesz miał równie pilnych spraw do załatwienia w biurze.

Siatkowe drzwi zamknęły się za starcem z trzaskiem i Jamie pozostał sam na sam z Grahamem.

- Skontaktuję się z tobą, jak tylko coś będę wiedział - obiecał adwokat, idąc w stronę podjazdu.

Jamie usiadł na schodkach domu Angusa. Potarł oczy zwiniętymi dłońmi i westchnął głęboko.

- Zjada cię smutek, co, chłopcze?

James uniósł wzroki zobaczył stryja, trzymającego butelkę whisky oraz małą szklaneczkę, którą sprawnie napełnił i podał bratanekowi.

- Jeszcze nawet nie wybiło południe - zauważył Jamie.

- To równie dobry powód, by się napić, jak każdy inny. - Angus pociągnął zdrowy łyk whisky wprost z butelki i przysiadł obok Jamiego. - Często cię dziś nawiedza?

- Kto? - James poczuł się nieswojo.

- Maggie. - Starzec poklepał bratanka po ramieniu. - W niektóre dni czuć wyraźniej ich obecność niż w inne. Kiedy miałem taką minę jak ty teraz, Fee mawiała, żebym się otrząsnął i przestał kopać własny grób, ponieważ ona z pewnością umrze pierwsza.

- Fee?

- Fiona. Moja żona. Zmarła - tak jak zapowiedziała - na długo przede mną. W 1975.

Jamie rozdziawił usta ze zdumienia.

- Nie miałem pojęcia, że byłeś żonaty.  
- No cóż - uśmiechnął się Angus. - Śmiertelnie się bała, że zostanie sama. Jak zasypiałem w fotelu, dźgała mnie palcem albo podstawiła mi lustro pod nos. - Parsknął śmiechem. - Doszło do tego, że gdy się budziłem, a ona nie wyczyniała tych swoich hokus-pokus, wydawało mi się, że naprawdę umarłem - Angus nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń. - W końcu to ja znalazłem Fee martwą. Pewnego ranka długo nie schodziła na dół i wtedy już wiedziałem, że stało się coś złego. - Angus przymknął powieki.

Przypomniał sobie, jak w owej krytycznej chwili rysy Fiony zaczęły mu się rozmywać przed oczami, aż w końcu ujrzał twarz tej samej dziewczyny, którą spotkał stojącą boso nad brzegiem rzeki Dee.

Jamie wyjął butelkę z ręki Angusa, napełnił ponownie szklaneczkę i bez słowa podał stryjowi.

- W końcu wszystko wychodzi na dobre, prawda? - Angus chwycił za słupek barierki, dźwignął się na nogi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Starszy pan uniósł butelkę w stronę światła.

Jego twarz, widziana przez filtr bursztynowego płynu, nabrała ciemniejszego, bardziej posępnego odcienia.

- W ostatecznym rozrachunku nie liczy się to, że Maggie i Fiona odeszły - powiedział cicho. - Tym, co jest i pozostanie najważniejsze, mój chłopcze, jest fakt, że obie umarły dokładnie tak, jak chciały.

- Ta sprawa dotyczy morderstwa, zabójstwa pierwszego stopnia - oznajmiła Audra, przesywając bacnym spojrzeniem wszystkich dwudziestu trzech przysięgłych.

- Z punktu widzenia prawa o zabójstwie pierwszego stopnia mówimy wtedy, gdy sprawca działa w złej wierze.

By ustalić, czy mamy do czynienia z takim przypadkiem, musicie państwo rozważyć trzy ważne aspekty: premedytację, wyrachowanie i determinację. Przez premedytację rozumiemy wcześniejsze opracowanie planu działania. Przez wyrachowanie - rozważenie przez sprawcę korzyści i strat, jakie odniesie z popełnionego czynu. Przez

determinację - świadome i konsekwentne wprowadzenie planu w życie.

Podjezranego należy oskarżyć o morderstwo, jeżeli jego postępek wyczerpuje wszystkie trzy wspomniane znamiona.

Jak wszystkim wiadomo, Maggie MacDonald nie żyje. Stanie przed państwem świadek, który słyszał, jak podejrzany przyznaje, że pozbawił żonę życia.

Prokuratura dysponuje również dobrowolnie podpisanym zeznaniem podejzranego, w którym ten stwierdza, że opuścił miejsce swojego stałego zamieszkania i przyjechał do Wheelock tylko po to, aby zamordować Maggie MacDonald.

Usłyszycie państwo zeznania funkcjonariusza policji, który prowadził oględziny miejsca przestępstwa i znalazł ślady bezpośrednio wiążące podejzranego z tym miejscem.

Natomiast koroner przedstawi państwu wyniki autopsji. - Audra wstała z twardego, plastikowego krzesła, rozstawiła stopy, splotła ręce za plecami.

- Będę wprowadzać po kolei każdego ze świadków i zadawać mu pytania. Następnie, jeżeli uznacie państwo, że jakiś punkt wymaga wyjaśnień, chętnie ich udzielę.

Audra otworzyła drzwi i skinęła na Hugona Huntleya, który niespiesznie wsunął krzyżówkę do kieszeni, po czym wstał z wyraźną niechęcią, jakby prokurator wciągała go nieubłaganie w odrażającą, lepką sieć. Podczas gdy przewodniczący składu zaprzysięgał świadka, Audra bacznie mu się przyglądała.

Hugo miał włosy zaczesane niesymetrycznie na lewą stronę, jakby próbował w ten sposób zamaskować łysinę, a jego szeroki, garbaty nos przywodził na myśl dziób pelikana.

- Proszę podać do protokołu nazwisko i miejsce zamieszkania - zaczęła prokurator chłodnym tonem.

- Hugo Huntley. 1450Braemar Way, Wheelock w stanie Massachusetts.

- Czym się pan zajmuje, panie Huntley?

Hugo powoli oblizał wargi.

- Jestem właścicielem Domu Pogrzebowego Huntleya w Wheelock. Pełnię również funkcję miejscowego koronera.

Audra skinęła głową.

- Proszę opowiedzieć przysięgłym o wydarzeniach, których był pan świadkiem dziewiętnastego września bieżącego roku.

- Pracowałem w swoim zakładzie, gdy Zandy Monroe, sierżant miejscowej policji, poprosił, żebym się zajął zwłokami. Zaprowadził mnie na drugą stronę ulicy i wskazał na kobietę siedzącą w pikapie. Już na pierwszy rzut oka widać było, że nie żyje od kilku dobrych godzin. Zabraliśmy...

- My? - wtrąciła ostro Audra.

- Znaczy ja, Zandy i Allie MacDonald, żona komendanta policji, która pozostała przy zmarłej, gdy sierżant się oddalił, żeby mnie sprowadzić. Zabraliśmy ciało Maggie do zakładu, gdzie przygotowałem je do pogrzebu. Jak w wypadku innych zmarłych w Wheelock.

- Ale to nie był zwyczajny pogrzeb - podsunęła Audra.

Hugo zamrugał gwałtownie.

- Wszystko się odbyło, jak należy. Ksiądz odmówił modlitwy, może tylko trumnę otaczało więcej wieńców i wiązanek niż zwykle.

- Miałam na myśli okoliczności, w jakich zmarła straciła życie - wyszczała przez zaciśnięte zęby Audra. - Mógłby pan podać przysięgłym przyczynę jej zgonu?

- Uduślenie - rzucił sucho Hugo. - Najprawdopodobniej przez zamknięcie otworów nosowych i ust, ponieważ na szyi nie było żadnych krwawych podbiegnięć, które mogłyby sugerować zadziergnięcie, zagardlenie lub ucisk. Nie stwierdzono również śladów walki.

- Huntley zdjął okulary z nosa i zaczął starannie czyścić je o klapę marynarki.

- Czy autopsja wykazała coś jeszcze?

Hugo zastanawiał się przez chwilę.

- Zmiany typowe dla pacjentów poddawanych radio- i chemioterapii. Po prawej stronie klatki piersiowej zmarła miała dużą bliznę po radykalnej mastektomii.

Audra zastygła w miejscu. Uważnie przebiegła wzrokiem przez twarze przysięgłych, wypatrując najmniejszych oznak współczucia.

- Miałam na myśli coś nadzwyczajnego.

Hugo spojrział na nią beznamiętnie.

- Nie wiem, co właściwie chce pani ode mnie usłyszeć.

- Znalazł pan ślady naskórka podejrzanego pod paznokciami ofiary?

Hugo skinął głową.

- Na głos, proszę - pouczyła ostro Audra.

- Tak.

- I o czym to świadczy?

Wzruszył ramionami.

- Że przejechała paznokciami po skórze męża. Z czego dokładnie nic nie wynika. Może robiła mu masaż pleców? - Hugo się zarumienił. - Nie znałem tych dwojga za życia zmarłej, ale widziałem jej męża na pogrzebie. Wierzcie mi, jak mało kto napatrzyłem się na żałobników, ale jeszcze nigdy nie spotkałem wdowca, który by był tak przygnieciony smutkiem, że - jak James MacDonald - nie mógł ustać na własnych nogach. Jego rozpacz...

- Dziękuję, panie Huntley. - Audra szybko weszła mu w słowo, zanim zdążył poczynić jeszcze większe szkody w linii argumentacji oskarżenia. - Nie mam więcej pytań.

Hugo wyszedł, zamykając za sobą drzwi, i Audra odwróciła się w stronę przysięgłych z ciepłym uśmiechem na ustach.

- No, dobrze. Czy macie państwo jakieś dodatkowe pytania?

Cam chodził po małym mieszkanku przeładowanym meblami, urządzonego w stylu wiejskiej gospody, nie brakowało tu rustykalnych chodników pospłatanych z resztek tkanin, a nad drzwiami wisiało nawet drewniane jarzmo dla wołów. Ogólnie rzecz biorąc, krocie elementy stanowiły lejtmotyw wystroju: stojak do łyżek, solniczka i pieprzniczka były malowane w łaty typowe dla holsztynek, porcelanowa jałowka pełniła funkcje dzbanka na mleko, na fotelach leżały cielece, łaciate skóry, a ściany zdobiły plakaty przedstawiające dorodne okazy bydła.

Panowała tu duszna, zatęchła atmosfera i Cam wżyciu by nie uwierzył, że Mia mieszka w tym miejscu, gdyby nie ujrzał jej drzewka bonzai stojącego na kuchennym stole - oazy spokoju pośród morza chaosu.

Bally Beene zadzwonił trzy tygodnie i jeden dzień po zniknięciu Mii z informacją, że dziewczyna cały czas znajdowała się niemal pod nosem Camerona.

Kiedy Cam odebrał w biurze telefon od „Alberta Prince'a”, zebrał się w sobie, szykując na najgorsze: zaraz detektyw wymieni adres w Teksasie, czy może nawet w Bombaju.

Tymczasem Bally oznajmił ze śmiechem: „Nie uwierzysz. Wynajmuje mieszkanie nad garażem u pewnej rodziny z North Adams”. I za minimalną dopłatą zdobył dla Cama klucz.

North Adams dzieliło od Wheelock piętnaście minut szybkiej jazdy samochodem.

Cam poinformował Allie, że tego wieczoru ma spotkanie na temat edukacji antynarkotykowej w szkołach, więc nie wróci na kolację. Planował, że normalnie przepracuje dzień, a potem wyruszy do North Adams.

Wyjechał na rutynowy patrol, zatrzymał pijanego kierowcę i wówczas się okazało, że nie jest w stanie przypomnieć sobie formuły zwyczajowego pouczenia o przysługujących zatrzymanemu prawach, którą normalnie mógłby wyrecytować przez sen.

Więc zaraz po lunchu wstał zza biurka i pojechał pod adres podany przez Bally'ego.

Zaparkował u wylotu ulicy, a potem przez dłuższy czas wpatrywał się w dom, w którym kobieta jego życia zdołała przetrwać bez niego przez ponad trzy tygodnie.

W myślach raz po raz odtwarzał następującą scenę: Mia otwiera drzwi, na sobie ma biały, puszysty szlafrok, a na głowie ręcznik, spod którego wystają mokre loki, unosi rękę do szyi - jakby zobaczyła ducha, a potem szeptem wypowiada: „Cameron” i wtula się w jego ramiona.

Co dziwne, w swojej wizji wcale nie wskakiwał z nią do łóżka - Siadali oboje na podłodze: on oparty plecami o ścianę, ona między jego rozsuniętymi nogami, Cam zdejmował ręcznik z jej włosów i zaczynał rozczesywać mokre loki. Ich przyciszone głosy opłatały



cały pokój gęstą siecią, mogącą powstrzymać nadejście nocy.

Okazało, że Mii nie ma w domu, ale Cam i tak się rozgościł w jej małym mieszkanku.

Przesunął palcami po znajomych, powyginanych konarach starego bonzai, pozwolił Kafce ocierać się o swoje nogi.

Otworzył puszkę z tuńczykiem - połowę zjadł sam, resztą nakarmił kota. Chętnie napiłby się piwa, ale w lodówce znalazł jedynie słoik musztardy i butlę soku z aloesu, poprzestał więc na dużej szklance wody.

Siedział w „krowim” fotelu, z Kafką na ramieniu, gdy usłyszał na schodach kroki Mii.

Otworzyła drzwi, rzuciła plecak na mały stolik i zapaliła światło. Na widok Cama w pierwszym odruchu przycisnęła ręce do ust, ale niemal natychmiast spuściła je luźno po bokach.

- Wyjdź z mojego domu.

- Wyjdę - mruknął Cam, podnosząc się z fotela. - Już niedługo.

Kafka, miaucząc radośnie, wsunął się między nogi Mii. Podniosła kota z ziemi, ważąc go w dłoniach, jakby miał jej posłużyć za broń.

Odwróciła się plecami do Cama i dopiero wówczas zwrócił uwagę na to, w co Mia jest ubrana.

Krótką, czerwona spódniczka ledwo przykrywała pupę, powyżej widniał kusy, pasiasty top o bufiastych rękawach. Kostiumu dopełniały szkarłatne rajstopy i kapelusz w kształcie koguciego grzebienia.

Bally powiedział, że Mia pracuje w fast foodzie serwującym dania z kurczaków, ale aż do tej chwili Cam o tym nie pamiętał.

- Pachniesz frytkami - zauważył.

Mia przeszła do części kuchennej.

- Ryzyko zawodowe - rzuciła sucho.

Cameron stanął przy blacie oddzielającym kuchenkę od reszty mieszkania.

- Dlaczego wyjechałaś?

Zerknęła na niego znad szklanki z wodą.

- Dlaczego mnie odszukałaś?

Cam nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

Mia była wkurzona, idiotycznie wojownicza i wyglądała kretyńsko przebrana za kurczaka, a mimo to nie mógł oderwać od niej

oczu. I jednocześnie ogarnęło go przeświadczenie, że od trzech tygodni nie panował nad sobą i własnym ciałem tak zdecydowanie jak w tej chwili. Postanowił się targować.

- Odpowiedz na moje pytanie, to ja odpowiem na twoje.

Mia ściągnęła kłapciaty kapelusz i potrząsnęła lokami.

- Już odpowiedziałam dawno temu. W swoim liście. - Cam nie zareagował, więc dodała z westchnieniem: - Nie mogłam zostać.

- A ja nie mogę pozwolić, byś odeszła. Więc chyba znaleźliśmy się w impasie.

Mia wyjęła z szafki puszkę z jedzeniem dla kota.

- Już go nakarmiłem - powiedział Cam.

W duchu powtórzył jeszcze raz to zdanie, bo bardzo mu się spodobało, że przekazuje Mii taką domową, trywialną informację.

Pomyślał, że życie byłoby cudowne, gdyby codziennie mógł ją pytać, gdzie leży jego pas, ile pieniędzy jest jeszcze na bieżącym rachunku, czy ma kupić mleko po drodze do domu - gdyby prowadzili zwykłą, małżeńską rozmowę.

Ale to nigdy nie miało być im dane i świadomość tej niemożności przyprawiała o większy ból niż brak fizycznego kontaktu.

- Jak mnie znalazłeś?

Cam wzruszył ramionami.

- Wynająłem detektywa. Nie miałem wyjścia.

- Ja nie wrócę.

Przysiadł na kanapie.

- Czy z powodu Allie? Bo jeśli tak, to ja...

- Nie kończ - szepnęła. - Nie wypowiadaj tych słów. - Opadła na stojący naprzeciwko fotel, pochyliła się do przodu, objęła kolana ramionami.

- Ty masz wszystko - zaczęła takim tonem, jakby objaśniała małemu dziecku porządek świata. - Rodzinę, świetną pracę, jesteś otoczony powszechnym szacunkiem. Masz dokąd wracać. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Więc wracaj.

Cameron pokręcił stanowczo głową.

- Nie bez ciebie.

Mia zaczęła wodzić palcem wokół jednej z łat na obiciu fotela.

- Nie możesz mnie zmusić do powrotu.

Cam milczał przez dłuższą chwilę, zadowolony, że ma okazję, patrzeć na grę jej dłoni, profil oświetlony promieniami zachodzącego słońca, ramię barwy muszli perłopława.

Zsunął się z fotela i klęknął przed Mią jak pokorny suplikant.

Dotknął jej palca, rysującego kółka na obiciu fotela - ich pierwszy fizyczny kontakt od tygodni.

Oboje się wpatrywali w swoje ręce, sparaliżowani wspomnieniami.

- Przecież mnie kochasz - powiedział Cam.

Mia zdołała wysunąć palec spod jego dłoni.

- Dlatego odeszłam.

Cameron obwiodł palcem linię jej ust z taką niezachwianą pewnością ręki, jakby był rzeźbiarzem, który ją wcześniej stworzył.

- Nie rób mi żadnych przysług - szepnęła.

A potem odwrócił się i wyszedł.

Już zza drzwi dobiegło go miauczenie Kafki i stłumiony szloch.

C. J. MacDonald, pracujący na pół etatu jako funkcjonariusz policji w Wheelock, a przez resztę czasu jako zaopatrzeniowiec w hurtowni wielobranżowej, powoli i metodycznie przedstawiał przed ławą przysięgłych wyniki oględzin miejsca zabójstwa Maggie MacDonald.

- Znaleźliśmy włókna odpowiadające włóknom z ubrania podejrzanego. A także liczne odciski palców podejrzanego i jego żony. - Urwał na moment, zaczął odliczać coś na palcach, jakby chciał sprawdzić, czy aby na pewno wyrecytował wszystko to, co wcześniej pracownicy wkuł na blachę. - Myślę, że to tyle.

- Czy na podstawie panującego w pokoju rozgardiaszu mógłby pan zrekonstruować przebieg zbrodni? - Nie dawała za wygraną Audra.

C. J. w skupieniu ściągnął brwi.

Nikt mu nigdy nie zadawał podobnych pytań, wyciąganie wniosków należało do komendanta.

Spojrzał na chudą kobietę w granatowej garsonce, która przypominała mu paskudnego, złośliwego teriera mieszkającego na jego ulicy.

- Tam nie panował żaden rozgardiasz. Łóżko było załane, a walizki stały równo przy drzwiach, jakby przyszykowane do wyjazdu.

Audra raptownie odwróciła się w stronę C. J'a.

- Przyszykowane do wyjazdu? A może do ucieczki z miejsca przestępstwa?

C. J. wzruszył ramionami.

- Może. Ale tego nie wiem na pewno.

- Naturalnie - zgodziła się Audra. - Jest pan jednak jednym z detektywów, którzy badali miejsce przestępstwa. Jaki scenariusz zbrodni zdołał pan zrekonstruować na podstawie przeprowadzonych oględzin?

Z dużym ociąganiem C. J. miał zawsze problem z budowaniem dynamiki opowiadania, (przez co niemal zawałił szkołę średnią) zaczął snuć niespójne przypuszczenia. Tymczasem Audra oparła się plecami o ścianę i przymknęła powieki. Przed oczami stanęła jej Maggie MacDonald - rysy zastygłe w przerażeniu, gdy Jamie unosił poduszkę, szybka zmiana decyzji, zmanifestowana zadrapaniami na twarzy i dłoniach męża.

Audra była ciekawa, czy w owej chwili cokolwiek było w stanie powstrzymać Jamesa MacDonalda od wprowadzenia swojego zamiaru w czyn.

Cam stał oparty o szafkę i w zawrotnym tempie pochłaniał płatki śniadaniowe.

Allie wyciągnęła właśnie ze zmywarki umyte sztućce i rozkładała je teraz do odpowiednich przegródek w szufladzie z brzękiem, który cholernie działał Camowi na nerwy.

- Sypiesz za dużo proszku do zmywarki - burknął. - W ten sposób naczynia nigdy nie są naprawdę czyste. Zostaje na nich detergentowy

film, który potem wchłaniamy z jedzeniem.

Allie skinęła głową i ponownie nachyliła się nad zmywarką - tym razem, żeby wyciągnąć talerze. Zaczęła wstawiać je do szafki, nie bacząc na to, że fajansowe powierzchnie uderzają o siebie z nieznośnym szcękaniem.

Cam z trzaskiem odstawił miseczkę na blat i tylko czekał, aż żona go zapyta, czemu, u diabła, czepia się jej od samego rana. Co nie znaczy, że zamierzał wyjawić prawdę - od spotkania z Mią minęły już cztery dni, a ona nadal nie powróciła.

Chciał jedynie, żeby Allie spiorunowała go wzrokiem i powiedziała, by następnym razem sam obsłużył tę pieprzoną zmywarkę. Chciał ją wyprowadzić z równowagi.

Chciał zmusić żonę do tego, by ona sprowokowała jego, ponieważ dzięki temu mógłby bezkarnie wyrzucić z siebie gniew, który buzował w jego trzewiach.

Tymczasem Allie, jak zwykle, tylko przymilnie się uśmiechnęła.

- Wybacz. Boli cię głowa?

Cam odwrócił się do niej tyłem. Gdyby przyznał, że ból pulsuje mu w skroniach, próbowałaby wmusić w niego jakieś gówno uwarzone z mlecza.

Nie pozwoliłaby mu wyjść do pracy, póki nie poczułby się lepiej. Póki nie uznałaby, że zdołała doprowadzić wszystko do normy.

Od kilku dni Cameron nie lubił samego siebie.

Patrzył na Allie krzątającą się po kuchni, „szykującą dom” - jak to nazywała - przed wyjściem do pracy.

Drażnił go niemal każdy jej ruch: sposób, w jaki zakręcała kran nad zlewozmywakiem czy wstawiała mleko z powrotem do lodówki. Dobrze wiedział, że tak naprawdę nie chodzi o Allie jako taką czy o codzienną, domową rutynę - rutynę, której był pierwszym beneficjentem, bo to z dbałości o jego dobre samopoczucie i wygodę Allie przykładła tak wielką wagę do szczegółów. Problem polegał na tym, że na miejscu żony chciałby widzieć kogoś zupełnie innego.

Allie podeszła, opłótła męża od tyłu ramionami i przytuliła policzki do jego pleców.

- Jesteś pewien, że nic ci nie dolega? - spytała niskim, kojącym głosem.

Z zupełnie niewytłumaczalnego powodu jej reakcja tylko jeszcze bardziej rozsierdziła Camerona.

Miał ochotę powiedzieć: przepraszam. Nie powinienem ci tego robić.

Ale podobne słowa nie chciały mu przejść przez gardło, co dodatkowo podsyciło jego gniew. Gwałtownie wyrwał się z objęć żony.

- Czemu, do cholery, nie zostawisz mnie w spokoju?

Usta Allie zadrgały, wygięły się w podkówkę - mimo najszczerzych chęci nie zdołała tego ukryć przed Camem.

Ale już za moment, odwołując się do najgłębszych pokładów siły woli, przywołała na usta szeroki uśmiech przebaczenia.

Cameron przez dłuższą chwilę piorunował żonę wzrokiem, a potem chwycił swój pas oraz kapelusz i wypadł za drzwi.

Cameron został wezwany na przesłuchanie przed wielką ławą przysięgłych.

I nie był tym w najmniejszym stopniu zdziwiony - ostatecznie to on dokonał aresztowania - co jednak nie zmieniało faktu, że czuł się bardzo niekomfortowo w sytuacji, która wymuszała publiczne wystąpienie przeciwko własnemu kuzynowi. Z tego też powodu jak nigdy wcześniej ważył każd wypowiedziane słowo.

- Przyjechał do centrum - oświadczył w odpowiedzi na pytanie Audry. - I oznajmił, że musi porozmawiać ze mną osobiście. Chciał mi wyznać, że pozbawił własną żonę życia.

- Czy podejrzany w sposób nie pozostawiający wątpliwości przyznał się do zabicia żony?

- Tak.

Cam wywołał z pamięci obraz Jamiego, siedzącego w pikapie z twarzą ściągniętą smutkiem i napięciem, upewniającego się, czy w istocie ma do czynienia z Cameronem MacDonalodem, lairdem Carrymuir. Tym, co wówczas natychmiast rzuciło się Cameronowi w oczy, były rude włosy MacDonaldu, równie charakterystyczny,

imponujący wzrost Jamiego, a także trzy równoległe zadrapania na lewym policzku.

Cameron widział się z kuzynem dzisiejszego rana, tuż przed wyjazdem do Pittsfield na to przesłuchanie, ponieważ James, jak zwykle, pilnie się stawił na komendzie zgodnie z zaleceniem sądowym.

Teraz, miesiąc po krytycznych wydarzeniach, po zadrapaniach nie było ani śladu.

Cam w głębi ducha podejrzewał, że Jamie wolałby, aby pozostała po nich przynajmniej nieznaczna blizna.

- Komendancie MacDonald?

Podniósł wzrok i wówczas uświadomił sobie, że umknęło mu jakieś pytanie.

- Przepraszam. Mogłaby pani powtórzyć?

- Chciałam, żeby pan opowiedział przysięgłym, jak doszło do sporządzenia zeznania - mówiąc to, machała mu przed ręką arkuszem papieru, w którym Cam rozpoznał oficjalny raport z przesłuchania podejrzanego sporządzony na posterunku w Wheelock.

Westchnął głęboko.

- Zaareztowałem podejrzanego, a on wówczas opowiedział o okolicznościach, które doprowadziły do śmierci żony. Wyjaśnił, że cierpiała na przewlekłą, śmiertelną chorobę - raka z wieloma ogniskami przerzutowymi. Powiedział również, że żona poprosiła, aby ją zabił, nie dysponował jednak żadnymi dowodami na poparcie swoich słów.

Audra z wolna rozciągnęła usta w powolnym uśmiechu, co ją upodobiło do krwiożerczego drapieżcy.

Cam pomyślał w tym momencie o Grahamie MacPhee - oby chłopak się już zabrał do ostrzenia pazurów.

- Pouczył pan podejrzanego o przysługujących mu prawach?

- Oczywiście.

- Czy zeznanie nie zostało w takiej lub innej formie wymuszone?

Cameron posłał suce mordercze spojrzenie.

- Nie stosujemy podobnych praktyk na naszym posterunku.

- A więc co dokładnie znalazło się w zeznaniu podejrzanego?

Cam miał już tego dosyć.

- Przecież trzyma pani ten cholerny dokument w ręku. - Podniósł się z krzesła, czerpiąc niemałą satysfakcję z faktu, że twarz Audry powlokła się ognistą czerwienią. - Dostarczyłem prokuraturze wszystkie dowody, jakimi dysponowałem. Podejrzany przyznał się do winy. Kropka. A teraz przepraszam, mam ważniejsze sprawy nagłowie.

Audra przeszła Cama lodowatym spojrzeniem.

- Panie przewodniczący, proszę pouczyć świadka, że wolno mu się odzywać tylko w celu odpowiedzi na zadane pytanie.

Niski facet z nosem tak zadartym, że Cam mógłby zajrzeć w jego nozdrza, uśmiechnął się przepraszająco.

- Komendancie MacDonald, proszę ściśle odpowiadać na pytania prokuratury.

Cam opadł z powrotem na krzesło i spiorunował Audrę wzrokiem, a ona mu się zrewanżowała sardonicznym spojrzeniem.

- Nie mam więcej pytań - oznajmiła.

Jeżeli Camowi zdarzało się podnieść na nią głos, to tylko dlatego, że Allie była dla niego najbliższą osobą. Z tej też przyczyny uważała nawet takie wybuchy za rodzaj szczególnego wyróżnienia.

Wiedziała, że mąż w gruncie rzeczy wcale na nią się nie złości - rozsierdził go jakiś aresztant bądź dochodzenie zbyt szybko się ślimaczyło, ale dopiero w domu, u boku żony czuł się na tyle swobodnie, że dawał upust nagromadzonym emocjom.

Węc tym, co tego ranka tak bardzo ją poruszyło, nie były słowa, które wypowiedział, ale wyraz jego twarzy. Cameron patrzył na Allie tak, jakby jej szczerze i z całego serca nienawidził.

Przez kilka minut studiowała w lustrze swoją twarz, wypatrując znaków, które mogły być przyczyną takiej nagłej zmiany uczuć męża.



- Jesteś przewrażliwioną idiotką - powiedziała w końcu na głos do swojego odbicia. - I wmawiasz sobie jakieś bzdury.

Zdjęła z ramion ciężki, frotowy szlafrok - granatowy, naszywany metalicznymi gwiazdkami.

Dostała go od Cama na urodziny wraz z uroczą, dwuznaczną notką, w której napisał, że tylko ona potrafi poruszyć dla niego niebo i ziemię. Allie nie miała wiele seksownych sztuk bielizny - wszystko, czym dysponowała, zawdzięczała koleżankom zaproszonym na wieczór panieński pięć lat i pięć kilogramów temu. Jednak na dzisiejszą noc przygotowała sobie sięgającą kolan narzutkę ze szmaragdowej satyny, która swego czasu bardzo podobała się Camowi. Allie przypomniała sobie, jak kiedyś się kochali na tym chłodnym, śliskim kawałku materiału.

To było dawno temu. Allie nie wkładała żadnego ponętne de-sous od czasu podróży poślubnej. Uważała, że nie ma sensu pozować na seksownego kociaka przed mężczyzną, który widział, jak rzygała w czasie grypy żołądkowej, czy własnymi rękami zbierała śmieci rozwleczone przez szopy po frontowym trawniku.

Niemniej, sprawił jej przyjemność dotyk satyny na ciele - lekko naelektryzowanej, klejącej się do nóg, ciasno opinającej biodra. Allie chwyciła butelkę z perfumami - psiknęła na nadgarstki, popstrykała się za uszami, a po chwili także i podkolanami. Widziała, że tak robią kobiety na filmach, chociaż kompletnie nie pojmowała dlaczego.

Jaki facet traciłby czas na obwąchiwanie kobiecych kolan?

Zaciągnęła poły narzutki na piersi, przewięzała się paskiem, po czym weszła do sypialni.

Cam leżała na łożku z podciągniętymi kolanami, na których trzymał egzemplarz magazynu wędkarskiego.

Zerknął na żonę, gdy wchodziła do łazienki, i ostentacyjnie potarł palcami oczy, dając do zrozumienia, że jest skonany.

Allie przysiadła na skraju łóżka. Od rana - od kiedy wypadł z domu jak burza - Cam praktycznie się do niej nie odzywał.

W każdym razie nie wypowiedział ani jednego słowa ponadto, co niezbędnie konieczne.

- Hej - mruknęła.

Kąciki ust Cama drgnęły w uśmiechu.

- Hej.

- Nie chcę się kłócić.

Spojrzał na nią uważnie.

W ciepłym, łagodnym świetle nocnej lampki oczy Allie zdawały się czarne i bezdenne, a na jej szyi tańczyły smukłe, trójkątne cienie.

- Ja też nie - zapewnił. - Sięgnął po jej rękę, tę samą, którą nerwowo zaciskała na satynowym pasku. Jej silne palce w znajomy sposób owinięły się wokół jego palców.

- Chodź tutaj. - Poklepał prześcieradło obok siebie.

Allie błyskawicznie przywarła do męża. Wtuliła twarz w zagłębienie nad obojczykiem, objęła rękami jego pierś, wsunęła łydkę pomiędzy jego nogi. Czemu tak rzadko kładli się w podobny sposób?

Cameron poczuł narastające podniecenie. Wyobraził sobie ciało żony rozłożone przed nim zapraszająco. Jego członek był już w pełnym wzwodzie. Chciał, żeby żona go dotknęła. Teraz. Natychmiast.

Wziął rękę Allie i położył na swoim kroczu. Wstrzymał głośno oddech, gdy wśliznęła dłoń w rozcięcie bokserów i zaczęła go pieścić.

Zawsze uprawiali seks według określonego schematu. Cam przewrócił się na bok, pchnął Allie na plecy.

Całując wnętrze ud żony, coraz wyżej zakładał jej nogi na swoje ramiona, myśląc przy tym o baseballu, najnowszych doniesieniach prasowych, grafiku dyżurów, żeby za szybko nie eksplodować.

Kiedy jednak już w nią wszedł, wyrzucał z głowy wszelkie myśli. Jego ciało kierowało się własnymi potrzebami. Pierwsze pchnięcia były tak gwałtowne, że Allie uderzyła potylicą w zagłówek łóżka.

Cameron wcisnął twarz w jej piersi. Mocno chwycił żonę za nadgarstki i przyszpilił ją do łóżka. Wiedział, że nie czuła bólu - podobnie jak on, gdy drapała go po plecach czy gryzła po ramieniu. Tak zawsze wyglądał seks z Allie.

Cam przypomniał sobie te noce, gdy kochał się z Mią - delikatnie, godzinami, pozwalając, by ich niosła nawracająca fala przypiływu i odpływu ekstazy.

Cóż za szokujący kontrast.

Kilka minut później ogarnęły Cama wyrzuty sumienia - napierały zewsząd, niczym szczęki bestii, która chciała go pochłonąć żywcem. Czuł się winny, że myślał o Mii w chwili, gdy powinien myśleć o Allie. Czuł się winny, że uprawiał seks z Allie, chociaż tak naprawdę kochał Mię. Czuł się winny, że pożąda ich obu.

- Dlaczego na filmach to nigdy tak nie wygląda? - mruknęła Allie, przysuwając usta do jego szyi.

Cam mocniej zacisnął dłonie na jej talii.

- To znaczy jak?

Poczuł, że żona się uśmiecha.

- Jakby dwoje ludzi zamierzało się pomordować.

Cameron przypomniał sobie, jakie emocje ogarnęły go tego ranka w kuchni. Może właśnie jak najgorsze instynkty kierowały nim dzisiejszego wieczoru.

Audra Campbell zamaszystym gestem otworzyła drzwi sądu i z niezwykle pewną siebie miną powiodła wzrokiem po grupie dziennikarzy, czekających na ogłoszenie postanowienia wielkiej ławy przysięgłych.

- Pani Campbell - wykrzyknął jeden z reporterów. - Proszę nam powiedzieć, jak się zakończyło przesłuchanie?

Prokurator uśmiechnęła się promiennie do obiektywu najbliższej stojącej kamery, zastanawiając się jednocześnie, ile stacji telewizyjnych pokaże tę relację i czy zdoła nagrać wszystkie przekazy na wideo.

- W sprawie „Stan Massachusetts kontra James MacDonald” wielka ława w wyniku głosowania zdecydowała o postawieniu podejrzanego w stan oskarżenia.

- Czy tego właśnie należało się spodziewać? - Z tłumu padło kolejne pytanie.

- Naturalnie - odparła Audra. - Przecież doszło do morderstwa.

Po raz kolejny przesunęła spojrzeniem po stojących przednią ludziach, łapczywie łowiących jej słowa, gorączkowo spisujących je dla potomności w małych notesach.

- Co więcej - dodała po chwili - jestem pewna, że w procesie sądowym doprowadzimy do wyroku skazującego. - Kiwnęła nonszalancko ręką niczym władczyni odprawiająca pacholków, po czym ruszyła w dół po stopniach z takim wyrazem twarzy, że reporterzy uniżenie zeszli jej z drogi.

Gdyby ktoś dał Allie do wyboru: przygotowanie florystycznej oprawy pogrzebu lub wesela - zawsze wybrałaby to pierwsze. W wypadku pogrzebowych wiązanek i wieńców nikt nigdy nie narzekał, a i ona nie musiała drżeć z niepokoju, że za sprawą zwiotczącej róży czy alstromerii zrujnuje komuś jeden z najważniejszych dni w życiu. Każda panna młoda marzyła o cudownej ceremonii ślubnej. Jeżeli stefanotis nie był dość precyzyjnie okręcony wokół drucianego szkieletu, część girlandowego bukietu panny młodej mogła odpaść w połowie drogi do ołtarza, co równało się katastrofie.

Dzisiaj Cam podrzucił Allie do kościoła - wraz z wiadrami pełnymi kwiatów, szpulami florystycznego drutu, rafii i kilogramami gąbki.

Wysokie kompozycje były już gotowe i stały w koszach po obu stronach ołtarza, ale jeszcze trzeba było przystroić kwietną girlandą ławki przeznaczone dla najbliższej rodziny młodej pary.

W normalnej sytuacji Allie miałyby to już dawno za sobą, jednak przez całą sobotnią noc musiała szykować bukiety i stroiki do bu-tonierek dla absurdalnie licznej grupy druhen i družbów.

Usiadła w tętniącej ciszą nawie głównej i zaczęła oplatać mimozę wokół drutu.

Robiła to już tak wiele razy, że nie musiała się w jakiś szczególny sposób koncentrować na wykonywanej czynności. Po raz tysięczny żałowała, że Mia musiała wyjechać.

Gdyby Allie mogła prosić o cud, zażyczyłaby sobie, żeby nagle zjawiła się tutaj jej asystentka, podwinęła rękawy i zabrała się do pomocy.

Ostatecznie panna młoda zdecydowała się na tradycyjny ślub w bieli, którą miały przełamywać tylko jesienne lilie w różnych odcieniach szkarłatu. Po długiej perswazji Allie przekonała dziewczynę do tej koncepcji. Ponieważ za dwa dni wypadał Halloween, przyszła oblubienica początkowo chciała, żeby w kościele panował czarnopomarańczowy wystrój.

Co gorsza, goście od dawna wiedzieli, że mają się stawić w przebraniu - i tego już nie udało się zmienić.

Na kościelnych schodach Allie spotkała brata panny młodej, który tego dnia występował jako Napoleon.

Teraz zdecydował się wejść do środka. Podniosła na niego wzrok i po raz kolejny pomyślała, że jak na Napoleona jest niedorzecznie wysoki.

- Chyba pani nie przeszkadza moja obecność? - Wsunął rękę za połę płaszcza w charakterystycznym, napoleońskim geście.

Pokręciła głową.

- Nie. Ale jestem zbyt zajęta, żeby prowadzić towarzyską pogawędkę.

- Muszę czekać na pastora. - Prychnął ironicznie. - Do tej pory żyłem w przekonaniu, że jak klechy nie prawią kazań, siedzą cały dzień pod amboną.

Allie starannie oplatała drut kolejną gałązką mimozy, delikatne, blad różowe kwiaty drżały za każdym jej dotknięciem.

- Rozumiem więc, że kapłan jeszcze nie przyjechał?

Napoleon pokręcił głową.

- Ani widu, ani słyhu.

- Mogę mieć na niego oko. Za kogo będzie przebrany?

Spojrzał na nią jak na wariatkę.

- Jak to za kogo? Za pastora.

Na odgłos kroków Allie w panice odwróciła się przez ramię. Dopiero dochodziła jedenasta - do rozpoczęcia ceremonii zostały jeszcze całe dwie godziny - ale najwyraźniej goście już się zaczęli zbierać. A przynajmniej wydawało się, że to goście - kobieta w stroju średniowiecznej dworki, królewski błazen i Elvira, Królowa Nocy.

- Hej! - wykrzyknął Napoleon i entuzjastycznie zamachał ręką. - Ciciu Anne! Wyglądasz cudownie!

Przez kilka następnych minut zajmował się krewnymi (Allie w tym czasie zdążyła spleść całą girlandę z bluszczu), ale potem powrócił na dawne miejsce, jakby szczerze wierzył, że swoją obecnością może cokolwiek przyspieszyć.

- Przyjechali za wcześnie, bo nie wiedzieli, ile czasu zajmie im podróż z Nowego Jorku - wyjaśnił.

Allie skinęła głową i wyjęła kolejną lilię z wiadra. Lilie miały stanowić podstawę girlandy, przymocowaną bezpośrednio do szczytu ławek, a mimozy opadać w dół kaskadą na podobieństwo zwiewnej zasłony.

- Ładne kwiaty - zauważył Napoleon.

Rozgniół w palcach błądzący pączek i Allie mimowolnie wykrzywiła usta.

- A do tego pięknie pachną.

- Jak to mimozy.

Niech pan popatrzy. - Szybko wyjęła gałązkę z rąk chłopaka, zanim zdążył poczynić dalsze szkody, po czym delikatnie musnęła palcem bladnoróżowy kwiatek. Płatki od razu cofnęły się lekko, niczym zawstydzone. - To dlatego mimoza jest tradycyjnym kwiatem ślubnym. Swego czasu panowało przekonanie, że jeżeli obok tych kwiatów przejdzie panna, która się dopuściła cudzołóstwa i nie jest już dziewicą, płatki skurczą się gwałtownie, jakby za dotknięciem zła.

Napoleon wybuchnął głośnym śmiechem.

- A więc nici z marzeń siostry o bajkowym ślubie. - Wskazał dłonią na powstającą girlandę. - Ledwo ruszy nawą, te wszystkie kwiaty natychmiast skurczą się i zwiędną. Ona i Peter od roku mieszkają pod jednym dachem.

Allie mocowała pierwszą girlandę, gdy w kościele pojawili się: terrorysta, Shirley Temple oraz hippis. Usiedli za wcześniej przybyłymi gośćmi i wdali się w cichą rozmowę.

- Nie ma mowy, bym skończyła na czas - mruknęła pod nosem Allie.

- Aha! - Napoleon poderwał się z ławki. - Słyszę zajeżdżający samochód. To zapewne wielebny Allsop. - Pospieszył nawą w stronę

drzwi po białym chodniku, wygłuszającym odgłos kroków.

Kiedy Allie po raz kolejny zobaczyła przed sobą parę wysokich, sięgających za kolano butów i usłyszała głos chłopaka, tłumaczącego coś drugiej osobie, odruchowo zacisnęła zęby.

- Znalazłem kogoś, kto pani szukał - oznajmił Napoleon.

Allie podniosła głowę i wprost nie mogła uwierzyć własnym oczom. Tuż za Napoleonem stała Mia.

- Nie mogłaś wybrać lepszego momentu! Możesz mi pomóc? - spytała z szerokim uśmiechem.

Mia odłożyła miauczący plecak na ławkę, przykucnęła obok Allie i zaczęła oplątywać wokół drutu kolejną porcję lilii.

Allie jednak wskazała na już gotową girlandę, którą mocowała specjalnymi gwoździkami do brzegu ławki.

- Udrapuj odpowiednio dół - poprosiła.

Mia chwyciła splecioną z mimoz kurtynę i cofnęła się kilka kroków.

Delikatnie poprawiła palcem jeden z kwiatków, który się przekreślił w niewłaściwą stronę.

Jego płatki stuliły się gwałtownie, niczym zdjęte straszonym wstydem. A potem zamknęła się kolejna korona, następnie jeszcze jedna i kilka sąsiednich - jakby nagle zadziałał efekt domina - aż w końcu, drżąc, pozamykały się wszystkie kwiaty i nie było w nich już żadnego piękna.

## 12.

Dlaczego tylko na samym początku miłosnego związku człowiek jest tak nieprawdopodobnie wyczulony na ciepło płynące od ukochanej osoby, tak precyzyjnie świadomy, o ile centymetrów się przesunąć, by otarcie o ramię wyglądało na zupełnie przypadkowe?

Cam nie odrywał wzroku od drogi. To zabawne.

Zderzał się z Allie co najmniej czterdzieści razy dziennie - choćby przy lodówce czy przy umywalce w łazience - ale nigdy nie odczuwał tej fizycznej bliskości dosłownie każdym swoim nerwem. Zastanawiał się, czy przed laty, gdy Allie siedziała obok w samochodzie, też próbował wymyślić, w jaki sposób otrzeć się o jej nogę i bezkarnie zrzucić winę na oblodzoną kałużę na szosie.

Mia siedziała tak blisko, że czuł zapach jej wełnianego swetra, a kiedy stanęli na czerwonych światłach, kątem oka mógł pochwycić żyłkę pulsującą za jej uchem.

Od czasu, kiedy przyjechał po Allie do kościoła, praktycznie nie zamienił z Mią słowa.

Kiedy ją zobaczył pochyloną nad gałązkami pokrytymi maleńkimi, białymi stokrotkami, gdy ujrzał jej loki zwinięte na czubku głowy i strategicznie spięte ołówkiem, przeżył autentyczny wstrząs.

Stanął pośrodku głównej nawy i czuł, jak w jego piersi wzbiera fala gorąca. Nie umiał jednak zdecydować, czy to była ulga, czy raczej eksplozja nadziei.

- Cześć - wykrztusił. - A więc wróciłaś. Jak się miewa ciotka? - Słowa wytoczyły się z jego ust na biały, ślubny chodnik i dopiero



wówczas zdał sobie sprawę, że w swoich wymysłach posunął się za daleko - do szczegółów, o których teoretycznie nie powinien mieć bladego pojęcia.

Allie wepchnęła część drutu i noże do skrzynki, która jej służyła do przewożenia narzędzi, spierzchniętymi, zabarwionymi na zielono palcami wcisnęła haczyk w oczko zamknięcia, po czym spytała:

- Skąd wiesz, że chodziło o ciotkę? - Podniosła się i pocałowała męża w policzek.

Cam objął ją ramieniem w talii, ponieważ tego właśnie od niego oczekiwała.

- Bo to ciotki zazwyczaj zapadają na nagłe przypadłości. - Zwrócił się w stronę Mii, wzrokiem błagając o wsparcie.

- Już miewa się dużo lepiej - odparła Mia. Pochwyciła tę nić kłamstwa, świadoma, że wkrótce powstanie z niej gęsta sieć, równie wielka jak na statkach poławiaczy krewetek, i równie zdradliwa.

Samochód Allie był w naprawie, dlatego Cam podrzucił dziś żonę do kościoła, a teraz odwoził wraz z Mią do kwaciarni. Z przyczyn logistycznych musiał jednak wziąć nieoznakowany radiowóz, którego bagażnik był zawalony pudłami z ulotkami policyjnego programu antynarkotykowego dla nieletnich oraz T-shirtami ze stosownymi nadrukami.

W rezultacie wszystkie wiadra, narzędzia, niewykorzystane kwiaty i materiały musiały jechać na tylnym siedzeniu, a obie kobiety z przodu, obok kierowcy.

Mia starała się trzymać jak najbliżej Allie - notabene Cam do tej pory nie mógł zrozumieć, jakim cudem w ogóle znalazła się pomiędzy nim a żoną - ale od czasu do czasu za sprawą nierówności terenu wpadała na jego ramię.

Wówczas dolatywał do niego żywiczny aromat jej włosów, a kiedy się mieszał z jabłkowym zapachem wody toaletowej Allie, Camowi zbierało się na mdłości.

- Sześć dwa jeden do czwórki - zaskrzeczało policyjne radio.

Cam zerknął w dół i zobaczył, że mikrofon wpija się w udo Mii.

Sięgnął po niego zdecydowanym ruchem.

- Czwórka do sześć dwa jeden - zameldował i usłyszał ciąg liter i cyfr układających się w znajome kody. - Obowiązki wzywają - powiedział do Allie i docisnął pedał gazu, tak że już parę minut

później znaleźli się na parkingu przy kwiaciarni.

- Poradzisz sobie z wniesieniem tego wszystkiego? - zapytał.

Allie skinęła głową.

- Mam wprawę - zapewniła. Wysiadła z samochodu i z tylnego siedzenia wytargała wiadra z kwiatami.

- Pomogę ci - zaferowała się Mia, umykając wzrokiem przed spojrzeniem Cama.

Allie podeszła do drzwi kwiaciarni, balansując niebezpiecznie wiadrami, gdy szukała w kieszeni kluczy.

- Wróciłaś - powiedział cicho Cam.

Mia skinęła głową.

Chwyła za skrzynkę z narzędziami, która jednak zaplątała się w pas bezpieczeństwa.

- Kiedy się spotkamy? - spytał Cameron.

- Nigdy. - Mia ponownie pociągnęła za czerwony uchwyt skrzynki.

Cam położył rękę na jej dłoni i szarpnął.

Skrzynka pofrunęła do przodu, haczyk wyskoczył z oczka i nożyczki, drut, gąbka i noże rozsypały się po tylnym siedzeniu.

- Niech to szlag - mruknęła Mia, schylając się po szpulę wstążki, która potoczyła się pod fotel pasażera.

Cam pociągnął Mię za ramię, a potem zaczął ją całować. Tutaj, na samym środku Main Street, z Allie po drugiej stronie otwartych na oścież drzwi kwiaciarni.

Mia usłyszała odgłos zbliżających się kroków i odepchnęła Camerona. Jego policzki płonęły, a wargi zdawały się pociągnięte karminową szminką.

Mia uświadomiła sobie, że sama musi wyglądać podobnie, pochyliła więc nisko głowę, aby loki zasłoniły jej twarz, i macając dłońmi zabłocony dywanik, próbowała odszukać zaginioną wstążkę.

Allie otworzyła tylne drzwi i obrzuciła szybkim spojrzeniem narzędzia rozsypane po tylnym siedzeniu. Z jednego z wiader wyłowila zwój florystycznego drutu.

- Co się stało?

Była zbyt zajęta wytaszczaniem z auta kolejnych dwóch wiader pełnych lilii, by zauważyć, że jej mąż i asystentka wymieniają ukradkowe spojżenia.

- Doszło do drobnego wypadku - powiedziała Mia, po czym zdecydowanym ruchem zatrasnęła drzwi samochodu, jakby naprawdę chciała raz na zawsze odciąć się od Camerona.

Początek procesu w sprawie „Stan Massachusetts kontra James MacDonald” wyznaczono na szesnastego stycznia, co oznaczało, że Graham MacPhee miał niecałe dwa miesiące na wyczarowanie królika z kapelusza.

Dlatego też od jakiegoś czasu zaczął sypiać z notesem przy łóżku, by bez względu na porę zapisywać każdą błyskotliwą myśl, jaka przyszła mu do głowy w związku z obroną Jamiego.

Wciąż zamierzał oprzeć ją na tezie o niepoczytalności, ale przy okazji chciał sypanąć piaskiem w tryby oskarżenia.

Na przykład, powołać na świadka tę kobietę, która się przyjaźniła z Maggie i była gotowa zeznać, że żona prosiła Jamiego, by ją zabił - co powinno osłabić podnoszony przez oskarżenie aspekt wyrachowania. Poza tym Graham chciał wzbudzić w przysięgłych pokłady współczucia przez subtelne zagrywanie kartą eutanazji. Młody adwokat wyobrażał sobie, jak stoi na sali rozpraw i ratuje tyłek Jamiego swoją końcową przemową - pochwałą cnoty miłosierdzia - dorównującą siłą rażenia „Kupcowi weneckiemu”.

Graham od dwóch tygodni składał rozmaite formalne wnioski przedprocesowe - całkiem rutynowe, pozwalające jednak zyskać nieco na czasie.

W oficjalnym piśmie poinformował prokuraturę, że oprze obronę na niepoczytalności swojego klienta, upoważniając tym samym oskarżenie do powołania własnego psychiatry, który po piętnastominutowej rozmowie z Jamiem będzie wygłaszał na rozprawie autorytatywne sądy.

Następnie, tylko po to, żeby wkurzyć Audrę, Graham wniósł o rewizję dowodów oskarżenia.

Osobiście nie podejrzewał prokuratury o chowanie jakichś asów

w rękawie, ale wiedział, że strona przeciwna zmarnuje trochę czasu na sporządzanie kopii zeznań, raportów, protokołów laboratoryjnych, et cetera - czasu, który winnym wypadku Audra by wykorzystała na szlifowanie strategii oskarżenia.

Dzisiaj jednak przyjechał do sądu w Pittsfield, żeby przekonać sędziego Roarke'a do odrzucenia wniosku strony przeciwnej, w którym prokuratura wносиła o zakaz używania w jakiegokolwiek formie pojęcia „zabójstwo powodowane miłosierdziem”.

Oskarżenie wyraźnie dążyło do narzucenia przysięgłym manichejskiej koncepcji walki dobra i zła - postrzegania ludzkich motywów i działań jedynie w czarno-białych barwach, bez żadnych łagodzących ostre kontrasty odcieni pośrednich.

Audra, niech ją diabli porwą, była dość inteligentna, by wiedzieć, które uwarunkowania sprawy Graham mógłby wygrywać na swoją korzyść. Gdy młody prawnik po raz pierwszy przeczytał ten wniosek, zgiął się wpół na krześle, przerażony rysującą się przed nim perspektywą.

Sędzia Roarke, potężny czarnoskóry mężczyzna, uwzględnił postulat Audry.

- Ależ, wysoki sędzie - próbował argumentować Graham - nie mówimy tu o mordzie popełnionym z zimną krwią. Mówimy o czynie dokonanym w imię złagodzenia cierpień drugiej istoty ludzkiej.

Jak w takim wypadku można pozbawiać obronę możliwości uwypuklenia aspektu miłosierdzia?

Sędzia spojrzał beznamiętnie na adwokata.

- To już pański problem, mecenasie, nie mój. - Kątem oka Graham zauważył, że twarz Audry przecina szeroki, połyskujący bielą zębów uśmiech.

Tymczasem sędzia ciągnął swoją przemowę: - Na żadnym etapie rozprawy nie wolno panu użyć pojęcia „miłosierdzie” lub „zabójstwo powodowane miłosierdziem”, ponieważ w innym wypadku, no, cóż, myślę, że pan pojął, do czego zmierzam.

Pouczy pan również świadków obrony, że w wypowiedziach obowiązują ich te same restrykcje. Jeżeli któryś z nich się do nich nie zastosuje, pan osobiście poniesie tego konsekwencje i zostanie oskarżony o obrazę sądu. Czy to jasne, mecenasie?

- Jak słońce - mruknął Graham.

Wepchnął dokumenty do teczki i szybkim krokiem wyszedł z sali rozpraw, by ani dłużej nie być świadkiem triumfu Audry.

Wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Wheelock. Na dworze panował zmrok - w połowie listopada ciemność zapadała zatrważająco wcześnie.

Graham nie mógł się zdecydować, czy jechać do Angusa i od razu przekazać fatalną nowinę Jamiemu, czy raczej oszczędzić klientowi bezsennej nocy i zapoznać go z sytuacją nazajutrz rano.

W końcu wybrał zjazd omijający centrum miasta, wiodący wprost na posesję starego Szkota.

Droga prowadziła wzdłuż cmentarza, na co Graham zazwyczaj nie zwracał uwagi.

Jedynie zimą, gdy groby pokrywał śnieg, zastanawiał się, czy o tej porze roku zmarłych ogarnia większy chłód i poczucie klaustrofobii. A im dłużej nad tym rozmyślał, tym bardziej utwierdzał się w swoim przekonaniu o wyższości kremacji nad tradycyjnym pochówkiem.

Nagle dojrzał silne, zielonkawe światło, błyskające gdzieś na tyłach cmentarza.

Było już po Halloween, więc raczej należało wykluczyć jakieś głupie wybryki miejscowych dzieciaków, ale z nastolatkami nigdy nic nie wiadomo.

Graham uznał, że sytuacja wymaga interwencji - ostatecznie jego dziadkowie byli pochowani w tym północno-zachodnim zakątku. Zatrzymał się więc przed cmentarną bramą, zgasił silnik. A potem obrał kurs na migające światło i ruszył wąską ścieżką wijącą się pomiędzy zmurszałymi kamieniami nagrobnymi.

Postawił wysoko kołnierz palta, zastanawiając się przelotnie, za co, do cholery, biorą pieniądze policjanci w Wheelock, skoro on, Graham, musi z narażeniem życia sprawdzać, czy na lokalnym cmentarzu nie dochodzi przypadkiem do aktów wandalizmu.

Minął potężny klon palmowy - teraz zupełnie nagi, na tle tarczy księżycy przywodzący na myśl starą, przygarbioną kobietę - i wówczas zobaczył Jamiego MacDonalda siedzącego na rozkładanym, turystycznym krzeselku.

Na kamieniu nagrobnym Maggie - tak nowym, że wycięte w granicie litery rzucały się w oczy już z daleka - stała lampa sztormowa, jasno oświetlająca Jamiego, który w tym momencie kiwał potakująco głową, jakby w reakcji na głos niesłyszalny dla uszu Grahama.

- Tak, wiem. Angus próbuje wyekspediować mnie z kraju. Ale ja nie chcę wyjeżdżać. - Jamie wstał i zaczął spacerować wzdłuż grobu, pilnie bacząc, by nie nadepnąć na pas niezarośniętej ziemi, wyznaczający miejsce pochówku trumny. - Nieustannie o tobie myślę. Przywołuję z pamięci twój obraz, a potem go noszę w sercu przez cały dzień.

Dzisiaj przypomniałem sobie, jak wyglądałaś w dniu moich trzydziestych urodzin, gdy zorganizowałaś przyjęcie-niespodziankę. Niemal wszystko popusłem, pamiętasz?

Przyszedłem z pracy wcześniej niż zazwyczaj, bo chciałem cię zabrać na kolację, a ty akurat w tym momencie wpuszczałaś do domu mojego współlokatora z college'u.

Chryste, to było niesamowite!

Jakimś cudem zdołałaś przekonać moich dawnych, od lat niewidzianych kumpli, żeby przyjechali z miejsc tak odległych jak Kalifornia czy Floryda. Ale tak naprawdę najbardziej wzruszyło mnie coś zupełnie innego.

Mniej więcej w połowie przyjęcia wszedłem do kuchni po kolejne piwo, a ty właśnie wrzucałaś do gara górę posiekanego mięsa - o ile się nie mylę, gotowałaś teksańskie chili - i uśmiechnęłaś się do mnie szeroko poprzez mgłę pary.

Chociaż byłaś zdeklarowaną wegetarianką, z promienną miną stałaś nad gotującym się mięsem, jakbyś całe życie nie marzyła o niczym innym tylko o przyrządzeniu tej potrawy.

I wtedy w pełni zrozumiałem, jak bardzo mnie kochasz.

Jamie ponownie usiadł na krzeselku, ustawionym tak blisko kamienia nagrobnego, że mógł bez trudu dotknąć go palcami. Graham cofnął się o krok, nie mógł jednak oderwać oczu od swojego klienta, który gładził zimny kamień w taki sposób, jakby to była ciepła, jędrna skóra kobiety.

Nie chciała się z nim spotkać.

Cam wysyłał liściki do hotelu, zostawiał wiadomości w recepcji, a nawet raz - podczas nocnej zmiany - zapukał do jej drzwi. I chociaż Mia bez wątpienia była wówczas w pokoju, nie wpuściła go do środka.

Coraz częściej dochodził do wniosku, że popełnił poważny błąd, prosząc Mię o powrót, bo o wiele trudniej żyło mu się ze świadomością, że ona, choć tak blisko, jest zupełnie nieosiągalna, niż wtedy, gdy w jego wyobrazeniach znajdowała się na krańcu świata.

Od jakiegoś czasu zaczął dwa razy dziennie wpadać do kwaciarni w nadziei, że zobaczy się z Mią.

Ona jednak zazwyczaj pracowała na zapleczu. Cam prowadził banalną rozmowę z Allie, a jednocześnie nie spuszczał Mii z oczu.

Spostrzegł, że tworzy swoje kompozycje w oparciu o fantazyjne kształty i niezwykle faktury, a nie grę kolorów.

Odkrył też, że Mia jest obdarzona szóstym zmysłem lub nad wyraz wyczulonym słuchem, ponieważ kilka razy chwyciła za słuchawkę telefonu, zanim jeszcze ktokolwiek inny usłyszał dzwonek. Podnosiła też wzrok, ilekroć Allie - choćby najbardziej bezszelestnie - zbliżała się do Cama.

Pewnego dnia, gdy wszedł do kwaciarni, Allie wkładała kurtkę.

- Kiepskie wyczucie czasu - powiedziała. - Muszę jechać do kancelarii Grahama. - Ruszając w stronę drzwi, posłała jeszcze Mii spojrzenie przez ramię.

- Przemysł moją propozycję. Przecież możesz zabrać ze sobą ciotkę.

- Dokąd? - zainteresował się Cam.

- Na obiad w Święto Dziękczynienia. - Allie wspięła się na palce i cmoknęła w policzek męża, trzymającego przednią otwartą drzwi.

Chwilę później oboje znaleźli się na parkingu.

- Zaprosiłam Mię do nas na indyka, ale powiedziała, że już umówiła się na ten dzień z ciotką.

- Z tą, która choruje?

- Która już wyzdrowiała - uściśliła Allie, sadowiąc się w samochodzie.

Cam z uśmiechem pochylił się nad autem.

- Zapnij pas - przykazał.

Począł, aż żona wypełni polecenie, a potem poprawił elastyczną taśmę, by zupełnie płasko leżała na ramieniu.

- Baw się dobrze.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, wsiadł do radiowozu, a potem przez chwilę bawił się gałkami radia. Kiedy samochód Allie zniknął mu oczu, wrócił biegiem do kwaciarni.

Mia siedziała na pękatej poręczy kanapy i najwyraźniej na niego czekała.

- Podobno będziesz pracował w Święto Dziękczynienia.

- Jak zwykle - odparł Cam. - Przecież nie masz ciotki.

Mia wstała i podeszła do chłodni, otrzepując po drodze sweter z gałązek dziurawca i nachyłka.

- Właśnie, że mam - rzuciła wojowniczo. - W Seattle. - Zerknęła bystro na Cama. - Widzę, że policja w Wheelock nie cierpi na nadmiar zajęć.

Cam zahaczył kciukami o kieszenie spodni.

- Dlaczego mnie unikasz?

Mia odwróciła się do niego plecami.

- Nie unikam.

Podszedł bliżej i delikatnie położył ręce na jej ramionach.

- Miło mi to słyszeć. - Odwrócił ją, pociągnął w stronę frontowych drzwi i zasunął rygiel.

- Co ty wyprawiasz? - Mia próbowała sięgnąć do zasuw, ale Cam zastawił jej drogę.

W obronnym geście objęła się ramionami.

- Mio - odezwał się z uśmiechem - za kogo ty mnie bierzesz? - Chwytał jej dłoń i głaskał tak długo, aż poczuł, że opór Mii słabnie. - Chcę cię jedynie zabrać na spacer.

- Na spacer? - Spojrzała na niego zwężonymi oczami.

- Przejdziemy się chwilę po świeżym powietrzu. To bardzo proste. Najpierw stawiasz przed siebie jedną nogę, potem drugą. Jestem pewien, że do tej pory zdążyłaś opanować tę umiejętność do perfekcji.



- Najwyżej na dziesięć minut - zgodziła się w końcu Mia.

Tylnymi drzwiami wyszli na ścieżkę, która prowadziła wprost ku wzgórzom Berkshire.

Po drodze Mia potykała się o korzenie i zarośla, ślizgała na opadłych, mokrych liściach. Jej oddech nabierał coraz większego przyspieszenia, nie wiedziała jednak, czy z powodu wysiłku, czy bliskości Camerona, podążającego przodem pewnym, równym krokiem.

W końcu Cam się zatrzymał i pomógł Mii wejść na niewielkie wypłaszczenie, z którego rozciągał się widok na parking położony przy kwaciarni.

Rosło tu też wiele małych sosenek, więc ziemia wokół była usłana brązowymi igłami.

- Ładna polana - zauważyła Mia, wychylając się zza cienkiego pnia.- Nie wiedziałam, że w pobliżu Wheelock znajdują się takie miejsca.

- Na świecie jest mnóstwo pięknych rzeczy, ale trzeba uważnie się rozglądać.- Cam rozciągnął się na gołej ziemi i podparł na łokciach. - Dlaczego wróciłaś?

Mia usiadła po turecku u jego boku.

- Z powodu lepszych warunków płacowych.

Cam parsknął śmiechem.

- Nie wspominając już o obowiązującym w pracy stroju. Ktoś powinien oskarżyć ten kurczakowy fast food o seksualne molestowanie.

Mia czekała, aż Cameron zada kolejne pytanie, w rodzaju: „Czy był jakiś jeszcze inny powód twojego powrotu?” lub „Nie wróciłaś ze względu na mnie?” - on jednak milczał.

- Poza tym okazało się, że mam więcej talentu do układania kwiatów niż smażenia drobiowych hamburgerów - dorzuciła nerwowo.

- W to nie wątpię - powiedział Cam. - Chociaż tam z kolei z pewnością miałaś do czynienia z bardziej fascynującą klientelą.

Mia wybuchnęła śmiechem na wspomnienie pryszczatych nastolatków, wyciągających z kieszeni drobniaki oblepione paprochami.

- Założę się, że nie była ani w połowie tak interesująca jak ludzie, z którymi ty masz do czynienia w swoim fachu - powiedziała.

Położyła się na plecach i zamknęła oczy, zupełnie nieświadoma, że na ten widok Cam wstrzymał oddech.

- Jakie są najdziwniejsze sprawy, z którymi miałeś do czynienia?

Czuła się cudownie, leżąc u jego boku. Wyobraziła sobie, że jej słowa łączą się w cienką, pajęczą nić, oplatającą Camerona, przyciągającą go coraz bliżej. Jego odpowiedź będzie taką samą nicią, spajającą ich w jedno. Tego właśnie brakowało Mii najbardziej - wcale nie seksu czy zakazanej ekscytacji.

- W pierwszym roku mojej pracy w policji - rozpoczął Cam, z trudem się powstrzymując, by nie chwycić tej niezwyklej kobiety w ramiona - jeszcze przed wyjazdem do Europy, jako pierwszy zjawilem się na miejscu wypadku samochodowego.

Facet, który się rozbił o słup telefoniczny na międzystanowej ósemce, miał czterdzieści sześć lat i był zupełnie trzeźwy - po prostu przysnął za kierownicą. Kiedy wyciągnąłem go z wraku, zaczął mówić po francusku, płakał się jak dziecko, a potem znowu zalał mnie potokiem francuskich słów.

Okazało się, że nigdy w życiu nie opuszczał hrabstwa Berkshire i nie uczył się żadnych języków obcych.

O ile mnie pamięć nie myli, po paru tygodniach powrócił do normy, ale i tak zdołał się zapisać w annałach medycznych.

Innym razem rój pszczoł wpadł do sklepu z artykułami żelaznymi i zaatakował wszystkich obecnych tam ludzi. Okazało się, że mieszkaniowiec domu sąsiadującego ze sklepem zapuścił kosiarkę w pobliżu ula i pszczoły dostały szału. Trzydzieści osób zostało pożądlonych, u niektórych doszło do ostrych reakcji alergicznych.

Mia podparła się na łokciu.

- Ludzie wzywają policję do takich przypadków?

- Ludzie wzywają policję do wszystkiego - jęknął Cam.

- Dałbyś wiele za spektakularny pościg samochodowy, co?

- Podobne rzeczy też się tutaj zdarzają. Wheelock nie jest tak sennym miasteczkiem, jak mogłoby się wydawać. - Ściągnął brwi. - Dwa lata temu, w Halloween, ktoś wykopał zwłoki z cmentarza,

po czym zabrał sobie na pamiątkę głowę i ramię trupa, który przeleżał w ziemi trzydzieści lat.

- Ugh!

- No właśnie. Bez względu na to, ile lat człowiek pracuje w policji, niektóre sytuacje są dla niego równie trudne jak na początku. - Cam przewrócił się na bok, żeby mieć Mię dokładnie na przeciwko. - Na przykład konieczność poinformowania rodziców, że ich dziecko zginęło w wypadku motocyklowym.

Lub otworzenie drzwi ze świadomością, że za nimi stoi ktoś, kto chce cię zabić. Przed niektórymi rodzajami broni trudno się zabezpieczyć.

Mii mignęły przed oczami wszystkie czyhające na Camerona zagrożenia.

- Ale to chyba nie zdarza się zbyt często - szepnęła.

Cam nie odrywał oczu od tej cudownej kobiety, która nie miała pojęcia o kalibrach broni i rodzajach pocisków, zapewne w życiu nie trzymała w ręku pistoletu, za to jednym swoim uśmiechem potrafiła rzucić go na kolana.

- Byłabyś zdziwiona - odparł.

Szanowny Mecenasiu MacPhee,

Przeczytałam o Panu w „Boston Globe” i uznałam, że muszę napisać. Trzy lata temu mój brat uległ wypadkowi na motocyklu, w wyniku czego amputowano mu obie nogi.

Doszło również do złamania kręgosłupa w kilku miejscach i przez ponad rok Jeff strasznie cierpiał. Gdy nie był w stanie znieść tego dłużej, strzelił sobie w głowę.

Usłyszałam huk wystrzału i wpadłam do jego pokoju.

Mój brat nie miał połowy twarzy, wił się w agonii bólu i okrutnie jęczał.

Nie zastanawiając się, co robię, podniosłam pistolet i dokończyłam dzieła.

Potem czekała mnie ta sama gehenna, przez którą - jak przypuszczam - przechodzi Pański klient.

Po sześciu miesiącach dochodzenia i nagonki medialnej lekarz sądowy zdecydował, że Jeff nie miał szansy na przeżycie po pierwszym strzale.

Proszę pokazać ten list swojemu klientowi. Mam nadzieję, że przysięgli zrozumieją, czym jest prawdziwe miłosierdzie.

Angus zbudził się z drzemki, którą uciął sobie na sofie w salonie Allie. Zasnął gdzieś w połowie drugiej kwarty, natomiast teraz już było dobrze po przerwie.

Zmrużonymi oczami wpatrzył się w telewizor, próbując sobie przypomnieć, pomiędzy jakimi drużynami toczy się ten mecz.

Ellen MacDonald, z miską batatów w rękach, zajrzała do salonu.

- Proszę, proszę. A już myśleliśmy, że się przeniosłeś w zaświaty.

- Ech, cóż. Nie powinniście tak lekko spisywać mnie na straty.

Potań dłońią twarz, a potem podniósł się ciężko z kanapy i poczłapał w stronę jadalni. W holu o mały włos nie zderzył się z Allie, niosącą półmisek z olbrzymim indykiem.

- Uwaga! - krzyknęła zza kłębow pary.

Angus usiadł na swoim miejscu, a właściwie na miejscu Cama, który pełnił dziś służbę - tak jak w każde Święto Dziękczynienia przez ostatnie osiem lat.

Nie był to wbrew pozorom zły układ, bo dzięki temu zawsze miał wolne w Boże Narodzenie.

Stary Szkot nie mógł jednak pojąć jednego: dlaczego Allie się upiera, by co roku zapraszać całą rodzinę swojego męża na tradycyjnego dziękczynnego indyka.

Wydawało się starcowi, że skoro Allie była skazana na samotne siedzenie w domu, to ktoś inny powinien zaprosić ją do siebie.

Nie wyjawiał jednak nikomu swoich spostrzeżeń. Uznał, że postąpi najroztropniej, jeżeli będzie trzymał język za zębami i rozkoszował się posiłkiem.

Allie wyciągnęła rękę ponad ramieniem Angusa i poprawiła ułożenie jednego z jaskrawo pomarańczowych kwiatów w stroiku, który przygotowała specjalnie na tę okazję.

Była to wydrążona dynia, którą wypełniła nieśmiertelnikami, miechunką, gałązkami trzmieliny i śnieguliczki. Na stole stały już

sałatka oraz nadzienie z indyka, na gazie dochodziła brukselka.

- Jamie! - krzyknęła Allie. - Obiad!

Wyraźnie niespokojny, James wśliznął się na krzesło obok Angusa.

- Jak myślicie? - spytał. - Czy w więzieniu podają indyka z okazji Święta Dziękczynienia?

- Po mojemu dają - zdecydował Angus. - Przypominam sobie, że.

- Dajcie spokój - wtrąciła Allie. - To nie jest rozmowa odpowiednia na taką okazję.

- No cóż... mnie też trudno nazwać odpowiednim towarzystwem - zauważył Jamie.

Ellen przechyliła się przez stół i wrzuciła na talerz Jamesa solidną porcję tłuczonych batatów.

- Jedz! - zarządziła surowo.

Allie tymczasem obchodziła wokół stołu i napełniała kieliszki białym winem. Kiedy pominęła Angusa, zdecydowanym ruchem złapał ją za sweter.

- A ja?

- Ty będziesz pił sok winogronowy. Wiesz, że leków naserco-  
wych nie wolno mieszać z alkoholem.

- W takim razie wolę podarować sobie pigułki - mruknął.

Allie jednak pozostała nieugięta. Odstawiła karafkę na stół, po czym wzniosła w górę kieliszek.

- W imieniu swoim i Cama chciałam wyrazić podziękowanie, że wszyscy się tu zjawiliście z okazji kolejnego Święta Dziękczynienia. Gdy zaś chodzi o tych, którzy nie mogli usiąść przy tym stole nasze myśli i serca są teraz z nimi. - Zwróciła się w stronę Jamiego. - Zechcesz pełnić honory pana domu i pokroić indyka?

Jamie wziął w rękę srebrne sztućce.

Słyszał perkotanie sosu na palniku, szmer rozmów prowadzonych przy stole, głosy komentatorów sportowych dobiegające od telewizora. Zerknął na pieczonego ptaka, którego ze względów dietetycznych

Allie pozbawiła skóry - zatrzymał wzrok na jego białej piersi. Odłożył szpikulec, przytknął palce do jasnej wypukłości i przed oczami ujrzał łagodny łuk szyi Maggie. Rzucił nóż na stół i pobiegł na górę.

Usiadł na skraju wanny. Chwilę później dołączyła do niego Allie, po czym wcisnęła mu w dłoń coś śliskiego od tłuszczu. Okazało się, że to „kość życzeń”.

- Ellen ją wykroiła. Pomyślałam, że chętnie się przełamiesz.

Jamie od razu poczuł się lepiej. Niezwykła osoba z tej jego przyżenionej kuzyneczki.

- Maggie lubiła ten zwyczaj - mruknął. - Zawsze jednak nalegała, żebyśmy uzgadniali wspólne życzenie. Twierdziła, że wówczas, bez względu na to, kto wygra, nasze marzenie się spełni.

- Niech zgadnę. - powiedziała Allie. - Prosiłiście o pokój na świecie? Wygraną w ogólnonarodowej loterii?

- Zazwyczaj prosiliśmy o dzieci - przyznał Jamie. - Więc tak naprawdę żadne z nas nigdy nie wygrało. - przesunął palcem wzdłuż „kości życzeń”.

- Dlaczego Cam nie weźmie sobie wolnego w Święto Dziękczynienia?

- Musiałby wówczas pracować w Boże Narodzenie.

- Powinien w oba dni mieć wolne - wziąć na przykład urlop bezpłatny.

- A kto by w tym czasie strzegł bezpieczeństwa mieszkańców? - Allie uśmiechnęła się promiennie. - Los żony policjanta przypomina życie żony lekarza. Kiedy rodzi się dziecko, nikt nie może mu nakazać, by poczekało do zakończenia święta. Podobnie z napadami rabunkowymi czy wypadkami drogowymi.

- Mimo to. powinien przede wszystkim troszczyć się o ciebie.

Allie poczerwieniała. Wyjęła kość z rąk Jamiego. - Obojczyk kurczaka bądź indyka, który dwie osoby rozrywają równocześnie, wypowiadając przy tym jakieś życzenie. Komu zostanie w ręku dłuższa część, tego życzenie się spełni.

- Wypowiedz życzenie - zarządziła, wyciągając jeden koniec widełek w jego stronę.

Jamie zastanawiał się przez chwilę.

- Niech ludzie, których najbardziej kochamy, jak najszybciej do nas powrócą.

Cam z wolna patrolował ulice miasteczka. Przyciszył odbiornik w swoim radiowozie i wsłuchiwał się w chrzęst kamyków wpadających w bieżnik opon.

Nie musiał się obawiać, że nie usłyszy ewentualnego wezwania, wywołanie jego kodu zawsze huczało na cały regulator, bez względu na to, jak cichy był głos dyspozytora.

Po raz kolejny przejechał obok własnego domu, przesuwając wzrokiem po oknach jasno oświetlonej jadalni i salonu, gdzie niebieskawą poświatą pobłyskiwał telewizor.

Dzień Dziękczynienia nie należał do najgorszych. O wiele bardziej przygnębiające były święta Bożego Narodzenia, kiedy to samotni starzy ludzie wzniecali kuchenne pożary lub wychodzili na dwór bez klucza do zatrzasku tylko po to, żeby ktoś się nimi zainteresował - choćby funkcjonariusz policji - i przez chwilę porozmawiał.

Cam w swojej pracy najbardziej nie lubił jednego: w odróżnieniu od pozostałych mieszkańców nie mógł udawać przed samym sobą, że Wheelock to sielskie nowoangielskie miasteczko.

Doskonale wiedział, kto wyżywa się na swoich dzieciach, kto bije żonę, kto sprzedaje dragi pod bramą szkoły i kto najprawdopodobniej będzie pijany w środku tygodnia już o dziesiątej rano.

Cam znał swoje miasteczko od podszewki - niczym matka własne potomstwo.

Kiedy znudziło mu się jeżdżenie wzdłuż Main Street, zjechał na parking przy Wheelock Inn i włączył swój wewnętrzny radar. Czy Mia siedziała teraz w pokoju? Czy jedynie w towarzystwie Kafki? Czy w jakiś szczególny sposób obchodziła dzisiejsze święto?

Czy o nim myślała?

Kiedy w radiu rozległy się elektrostatyczne trzaski, bez namysłu ruszył przed siebie.

Chwilę później usłyszał kodowe zgłoszenie napadu w toku - w minimarketce przy stacji benzynowej.

Cam docisnął gaz do dechy i pomknął na drugą stronę miasta, zastanawiając się po drodze, czy dorwie sukinsynów, zanim się ulotnią. Problem z takimi rozbojami polegał na tym, że często dopuszczali się ich idioci, którzy szybciej pociągali za spust, niż myśleli.

Z oczywistych przyczyn Cameron wyłączył policyjne światła już kilometr przed minimarketem.

Przez przeszklone ściany dojrzał Gordo Stuckeya - nastolatka, który tu pracował przez większość popołudni w roku - rozciągniętego na ziemi z uniesionymi rękami, podrygującymi w rytm spazmatycznego szlochu.

Gdzie, do cholery, podziwia się wsparcie?

C. J. też patrolował dzisiaj ulice, a ostatecznie Wheelock to mała miejscina.

Ze smithem wessonem w ręku Cameron przemknął przed frontem sklepu.

Napastników było dwóch: jeden, z solidną nadwagą, wsuwał czekoladowego batona i trzymał na muszce nieszczęsnego Gordo, drugi - zgarniał pieniądze z kasydo płóciennej torby z nadrukiem „Klub Miłośników Książki z Wheelock”.

Celując w faceta stojącego nad Gordem, Cam wszedł do środka.

- Rzuć broń!

Napastnik wybuchnął śmiechem.

- Ani mi się, kurwa, śni.

Cameron ruszył w stronę grubasa, a wówczas ten, który zajmował się kasą, wyciągnął przed siebie pistolet.

- To nie było mądre posunięcie, glino.

Cam powoli uniósł rękę.

Kurwa, kurwa, kurwa - kłął w duchu.

A potem pomyślał niedorzecznie: Przecież dziś jest Święto Dziękczynienia.

Mierzący w jego głowę bandzior wyszedł zza lady, minął wielki ekspres do kawy, rząd styropianowych kubków i metalowy



pojemnik z mlekiem, z którego wiecznie ciekło.

Tak było i tym razem.

Niepomny zagrożenia, napastnik pośliznął się na mokrej posadzce, wylądował na plecach, a jego pistolet pofrunął pod regał z pieczywem.

- Rzuć broń! - po raz kolejny Cam wrzasnął na grubasa, kierując na niego wylot pistoletu.

Ledzący na podłodze Gordo załkał jeszcze głośniejsze.

Cameron bardziej poczuł, niż zobaczył, że facet naprawdę zamierza pociągnąć za spust.

Wydawało mu się, że jakiś potężny kompresor wysał z tego pomieszczenia powietrze, by nagle wtłoczyć je z powrotem pod wielkim ciśnieniem, które naparło mu na pierś i doprowadziło do ogłuszającej eksplozji.

Pocisk ze smitha wessona trafił grubasa w ramię tuż przedtem, zanim bandyta wystrzelił ze swojej broni, a na szklanej ścianie, trafionej rykoszetem, wykwitła wielka, biała pajęczyna.

- Ani drgnij! - wykrzyknął Cam, gdy kumpel miłośnika batonów próbował się przeczołgać za jedną z pótek.

Kiedy C. J. dotarł wreszcie na miejsce zdarzenia, obaj napastnicy siedzieli na posadzce, przykuci do solidnego stojaka z gazetami.

- Jasna cholera! - mruknął C. J. lustrując baczny spojrzeniem swojego szefa. - Jasna cholera!

- Pod regałem z pieczywem znajdziesz broń. - Cam ze znużeniem przejechał dłonią po karku. - Karetka jest już w drodze. - Skinął głową w stronę zaplecza. - Trzeba zarekwirować ich samochód. Gordo Stuckey przyjdzie na posterunek i złoży zeznania, jak tylko się umyje i przebierze.

- Zsikał się ze strachu?

Cam skinął głową, C. J. tymczasem podszedł do zatrzymanych.

- Wpakuję ich do aresztu. - Przyklęknął obok rannego mężczyzny, który próbował napluć mu w twarz. C. J. spojrzął spod oka na komendanta.

- Rzeczywiście chciałeś mu tylko przestrzelić ramię, czy pechowo spuściłeś?

Cameron burknął coś pod nosem, wyszedł i wszedł do radiowozu.

Od chwili, gdy otrzymał zgłoszenie, upłynęło zaledwie siedem minut.

Kiedy parkował przed posterunkiem, wciąż był oszołomiony. Musiał sporządzić raport, szczegółowo opisać, czemu doszło do użycia broni palnej, tylko dlatego, że te dwie szumowiny pojawiły się w Wheelock, czekało go milion spraw do załatwienia. Jednak zamiast się nimi zająć, zadzwonił do dyspozytora i oświadczył, że jedzie do domu.

Przypomniał, że C. J. zjawi się wkrótce na komisariacie z zatrzymanymi, i zasugerował, żeby ściągnąć na dyżur jednego z półetatowych policjantów - na wypadek gdyby tych dwóch szmaciarzy miało przyjaciół.

Potem wsiadł w swój prywatny samochód. Zacisnął dłonie na kierownicy i poczuł, że cały drży. Pomyślało swoim domu pełnym ludzi, tryskających świąteczną wesołością, których nie miał ochoty oglądać.

Włączył silnik i pilnując, by nie przekroczyć szybkości dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, ruszył ulicą prowadzącą do Wheelock Inn.

Kiedy Mia otworzyła drzwi, kot wymknął się z jej ramion. Rzuciła się przez próg, żeby złapać Kafkę, i wówczas spostrzegła, że Cameronem wstrząsają dreszcze - tak spazmatyczne, jakich nie widziała jeszcze u żadnego dorosłego mężczyzny.

Puściła kota, który pomknął korytarzem w stronę maszyny do lodu.

- Co się stało? - spytała, wciągając Camerona do pokoju. Spodziewała się najgorszego: Moja matka zmarła. Mam raka. Allie się dowiedziała.

Cam usiadł ciężko na łóżku. Mia wsunęła się za jego plecy i objęła go ramionami. Opowiedziało wezwaniu, które otrzymał, gdy siedział pod hotelem wpatrzony w jej okno, o bandycie z włosami splecionymi w warkoczyk, o Gordo, który trząsł się niczym w febrze, i o pojemniku na mleko, który zawsze plamił mu buty, dzisiaj zaś uratował życie.

Kiedy wszystkie słowa zostały już wypowiedziane, Cameron otworzył oczy.

Mia leżała tuż przed nim zwinięta w kłębek - tak samo jak on. Jej ramiona były splecione z jego ramionami, stopy - wsunięte między jego kostki.

Na ten widok Camowi przypomniała się jedna z chińskich łami-główek, złożona z różnej wielkości ogniów, których rozplatanie trwa-ło godzinami.

Jednak spróbuj, nakazał sobie w duchu.

Przynajmniej spróbuj.

Zniknął strach i teraz jego ciało zdawało się rozsadzać skórę. Wy-rywać ku wolności.

Cameron przewrócił Mię na plecy, zaczął ją całować z zachłanną namiętnością.

W tej chwili nie traktował jej równie delikatnie jak wcześniej, te-raz kochał się z nią tak, jak zazwyczaj z Allie - gwałtownie i z furią. Gdy zdał sobie z tego sprawę, zdumiał się, z jaką łatwością - w sytu-acji określonego zagrożenia - rozmywają się granice, które zdawały się trwałe i nieprzekraczalne.

Nie zdjął nawet koszuli. Mia przywarła do niego mocno i wkrótce podjęła jego rytm. W ostatniej chwili Cam wysunął się z jej wnętrza, tryskając spermą na czyste, białe prześcieradło.

- Wybacz - szepnął.

Mia uniosła kącik ust w uśmiechu.

- Kto by pomyślał. Gliniarz, który nie potrafi się zabezpieczyć.

Odgarnął loki z jej twarzy.

- Tęskniłem do ciebie - szepnął.

Zaczął całować jej szyję, a potem przejechał palcem po zadrapa-niu na piersi, pozostawionym przez ostry kant odznaki.

Mia przetoczyła się na drugą stronę łóżka i poszła do łazienki. W lustrze obejrzała zadrapanie.

- To nie boli - zapewniła. - I wkrótce się zagoi.

Jednak skóra pozostała ostro zaczerwieniona przez następne trzy godziny - gdy kochali się po raz drugi, a potem brali wspólną, długą kąpiel w wannie. Tuż przed wyjściem Camerona Mia wciągnęła na siebie grubą, szarą bluzę dresową, jakby dzięki temu oboje mogli zapomnieć, że tej nocy Cam oznakował ją szczególnym piętnem niczym swoją niepodzielną własność.

## 13.

Graham potrzebował całych dziesięciu minut, żeby się zebrać na odwagę i odbyć telefoniczną rozmowę z komendantem policji. Przez ten czas pocierał zwilgotniałymi dłońmi kosztowne spodnie, łączył się z posterunkiem i odkładał słuchawkę na dźwięk głosu Hanny. Do procesu pozostały niecałe dwa miesiące, które zamierzał przede wszystkim poświęcić na rozmowy z ewentualnymi świadkami obro-ny.

Cam zostanie wezwany przez oskarżenie - to oczywiste i naturalne - Graham jednak nie chciał zostawiać niczego przypadkowi.

Nawet przy przesłuchiwanie świadków drugiej strony każdy dobry adwokat trzymał się podstawowej zasady: nie należy zadawać pytań, na które z góry nie zna się odpowiedzi.

Jeżeli zdołałby wcisnąć czubek buta w szparę w drzwiach, może udałoby mu się wybadać, co srogi stróż prawa z Wheelock tak naprawdę myśli o swoim kuzynie.

- MacDonald.

- Głos Camerona był równie obcesowy i beznamiętny jak jego sposób postępowania.

- Mówi Graham MacPhee. - Adwokat wziął głęboki oddech. - Chciałem zapytać, komendancie, czy zechciałby mi pan poświęcić kilka minut?

Policjant milczał przez dłuższą chwilę.

- Czy nasze spotkanie miałoby dotyczyć tego, co mi się zdaje? - spytał w końcu.

Graham skinął głową, zanim sobie uświadomił, że przecież Cam go nie widzi.

- Chodzi o sprawę Jamiego.

- Nie ma mowy - odparł Cameron MacDonald i bezceremonialnie odłożył słuchawkę.

Cóż, tego należało się spodziewać. Adwokat westchnął ciężko, odchylił się na fotelu i położył nogi na blacie biurka. Ostatecznie policja i prokuratura zawsze działały ręką w rękę.

W normalnej sytuacji Graham by się tym nie przejmował. Dysponował kopią protokołu aresztowania podejrzanego, raportem Camerona, opisującym rozwój wydarzeń od chwili przybycia Jamiego do miasta, a także wynikami badań laboratoryjnych dowodów zebranych na miejscu przestępstwa. Do diabła, w swojej łaskawości Audra Campbell przesłała mu nawet ksero policyjnych akt.

Młody prawnik przypomniał sobie przygodę z czasów szkoły średniej - gdy Cam go zgarnął za imprezowanie na terenie jakiejś budowy.

„Pierdolę cię”, powtarzał w kółko Graham, kiedy komendant zakładał go w kajdanki, wiózł na komisariat i pakował do celi.

„Pierdolę cię, pierdolę, pierdolę!”

Cameron jedynie roześmiał mu się w twarz.

„Powinieneś znaleźć kogoś, kto przy okazji tego pierdolenia dostarczy ci więcej przyjemności”.

Komendant wiedział, że chłopak jest świadomy niestosowności własnego zachowania. I nie zamierzał tak naprawdę srogo karać młokosa. Chciał jedynie go przestraszyć i przypomnieć, że po to istnieją pewne reguły, by ich przestrzegać.

Był to dziwny sposób propagowania praworządności, ale roztropny.

Teraz, wiele lat po owym pamiętnym zdarzeniu, Cameron MacDonald przyszedł do kancelarii Grahama, by mu powierzyć obronę swojego kuzyna, którego osobiście zaaresztował kilka godzin wcześniej. I do tego zażądał zachowania pełnej anonimowości. Może nie wierzył, że obrońcazę urzędu należycie się wywiąże ze swoich obowiązków, a może w głębi serca kibicował podejrzanemu, pomimo związków łączących go z prokuraturą.

Tak czy inaczej, bez względu na to, z jak pełnym wyższości potencjałem zdawał się Cameron traktować tę sprawę, musiał współczuć kuzynowi i chcieć jego uniewinnienia.

Oto czego Graham musi dokonać: unaocznic przysięgłym, że Cam przejmuje się losem kuzyna i w głębi serca go rozgrzesza, więc oni też powinni.

Adwokat wpatrywał się przez chwilę w czarny telefon, stojący na jego biurku, a potem spojrział przez okno na posterunek policji. Jeżeli będzie dość spostrzegawczy i czujny, może zdoła „przypadkiem” wpaść na Camerona w kafeterii, gdy policjant uda się tam na późny lunch, albo dziwnym trafem spotkają się rankiem na ulicy, kiedy komendant będzie szedł do pracy.

A może wreszcie nadszedł czas na skorzystanie z najpotężniejszej broni, którą Graham miał w swoim arsenale.

Z uśmiechem triumfu młody adwokat podniósł słuchawkę i wystukał numer kwaciarni.

Allie odwinęła drut z konarów swojego drzewka bonzai.

- Tylko popatrz! - wykrzyknęła, ciągnąc Cama za koszulę. - Przyjęły pożądaną kształt!

Cameron zerknął na miniaturową roślinę.

- To jest coś - rzucił obojętnym tonem. - Pod warunkiem, że się lubi takie cuda.

Allie zaczęła starannie owijać drutem wymagające dalszego modelowania części pnia i niektóre gałązki.

- Tak się składa, że ja je lubię. Mia będzie ze mnie bardzo dumna.

- Z jakiego powodu mam być z ciebie dumna? - Głos dobiegł zza tylnych drzwi kwaciarni, w których chwilę później pojawiła się Mia we własnej osobie, obciążona ostrokrzewem, bluszczem i gałęziami sośniny. Posłała szybkie spojrzenie Cameronowi, a potem rzuciła rośliny na podłogę i otrzepała kurtkę z zielonych igieł.

- Nienawidzę Bożego Narodzenia oświadczyła. - Nienawidzę tego taniego sentymentalizmu.

Allie skinęła głową.

- W takim razie pomyśl o Gwiazdce w kategoriach czysto merkantylnych - dla kwaciarni to jeden z najlepszych okresów w roku.

- Oparła się ramieniem o Cama, a drugą ręką dumnym gestem wskazała na jedno z drzewek.

- Tylko popatrz na mój klon!

Mia powiodła palcami po wygiętym konarze.

- Bardzo ładnie - pochwaliła. Kątem oka spostrzegła, że Allie gładzi męża po karku, i zmusiła się do odejścia.

Cam oderwał dłoń żony od swojej szyi, udając, że chce ją po-trzymać, po czym szybko wstał i odszedł parę kroków.

Zupełnie nie pojmował, jakim cudem doszło do tego, że zaczął dzielić życie pomiędzy te dwie kobiety: Allie zawłaszczyła jego dom i nazwisko, Mia - jego nastroje, wspomnienia, miejsce na karku, które przed chwilą w uzurpatorskim geście gładziła Allie.

Tak naprawdę nie lubił przychodzić do kwaciarni, ale wpadał tu przynajmniej raz dziennie, żeby zobaczyć Mię.

Powiedział żonie, że w środy musi brać po dwie zmiany naraz - dzienną od dziewiątej do szóstej i nocną, od północy do ósmej - ponieważ jeden z półetatowców się zwolnił i jeszcze nie dostali nikogo na jego miejsce. W tak ukradzionym czasie kochał się z Mia w jej pokoju, pod czujnym spojrzeniem żółtych, wszystkowiedzących oczu Kafki.

W środy zazwyczaj kładł się do łóżka po wczesnym obiedzie, a następnie wstawał o jedenastej w nocy, starając się omijać wzrokiem wtuloną w niego Allie i przygaszone żonkile witraża wiszącego na oknie. Ubierał się po cichu i jechał do Wheelock Inn, parkował w bocznej przecznicy i wchodził na piętro służbowymi schodami.

Po kilku tygodniach weszło mu to w krew i wprost nie mógł uwierzyć, że kiedyś jego życie wyglądało zupełnie inaczej.

Allie zabrała się do sortowania ostrokrzewu rzuconego na ziemię przez Mię.

Na jedną stronę odkładała gałęzie z jagodami, na drugą - te jagód pozbawione.

- Wieńce - westchnęła. - Przez cały boży dzień będę robiła świąteczne wieńce.

Zerknęła na męża.

Kilka dni temu zadzwonił do niej Graham i znowu poprosiło pomoc, ale obecne zadanie nie było tak proste jak gromadzenie

informacji o życiu Jamiego w Cummington.

Adwokat wyjaśnił Allie, jak zamierza prowadzić rozmowy z ewentualnymi świadkami obrony i że ona nie może być jednym z nich, ponieważ nie spotkała Jamesa, zanim doszło do śmierci jego żony. Za to jak nikt inny znała swojego męża.

Więc gdyby zdołała wy badać, co on tak naprawdę sądzi o swoim kuzynie, bardzo by ułatwiła skonstruowanie skutecznej obrony.

- Chcesz zrobić ze mnie szpicla! - zażartowała.

- Skąd - odchrząknął z zażenowaniem. - Miałem jedynie na myśli drobną infiltrację przeciwnego obozu.

Graham nie wyjaśnił, dlaczego to takie ważne, by nieustannie przypominała mężowi o Jamie, powiedział jedynie, że to konieczne do opracowania listy pytań, które zada Camowi podczas procesu. Allie nie była idiotką - dobrze wiedziała, że chodzi o wzbudzenie w Cameronie poczucia winy.

Doszła też do wniosku, że nie będzie miała najmniejszych problemów z wpleceniem wątku Jamiego do rozmów przy obiadowym stole.

Chwyliła małą gałązkę ostrokrzewu i wsunęła mężowi w kłapę kieszonki na piersi.

- Bardzo elegancko - zapewniła.

Cameron zerknął w dół na swoją kieszeń.

- Muszę już lecieć.

- Aha! - wykrzyknęła i przytknęła palec do ust. - Właśnie sobie przypominałam, o co miałam cię spytać. Jamie chciałby wiedzieć, czy masz zestaw wiertel udarowych.

- Jamie chciałby coś takiego wiedzieć? - Ściągnął brwi. - Mam rozumieć, że coś w domu Angusa wymaga szybkiej naprawy?

Allie pokręciła głową.

- Nie sądzę. Wydaje mi się, że zaczął się zastanawiać nad prezentami gwiazdkowymi. - Schyliła się i udawała, że bardzo ją pochłania obrywanie dolnych liści z gałęzi ostrokrzewu. - Chyba mu zależy, żeby cię obdarować czymś przydatnym i praktycznym.



- Nie chcę od niego żadnych prezentów! Niczego nie chcę od tego faceta. - Cam wyszarpnął ostrokrzew z kłapy kieszeni i zaczął obracać go w palcach.

- Przecież to twój kuzyn - napomniała Allie.

Cameron wcisnął kapelusz na głowę, ściągnął rondo na oczy.

- Nie wiem, czy się jeszcze dzisiaj zobaczymy - z rozmysłem zmienił temat. Kątem oka pochwycił Mię.

Stała na ganku przed frontem sklepu i mocowała się z witkami wierzbowymi, które zwijała w duże pierścienie, mające stanowić podstawę wieńców.

- Dziś środa - dodał.

Allie skinęła głową i schyliła się po leżący u jej stóp bluszcz.

- Ja pewnie też posiedzę tu do rana - westchnęła. - Nawet sobie nie wyobrażasz, ile zamówień już wpłynęło na przyszły tydzień.

Do Bożego Narodzenia pozostało półtora tygodnia, co normalnie nie byłoby problemem, ale Allie wkrótce wyjeżdżała na kilka dni do Cummington z Grahamem, by ułatwić adwokatowi nawiązanie kontaktu z ewentualnymi świadkami obrony, których wynalazła podczas swojego pobytu w owym mieście.

To oznaczało, że Mia będzie musiała wykonać pięćdziesiąt ozdobnych wieńców oraz rozmaitych stroików. A przede wszystkim - że będzie tu sama.

Pokrzepiony tą myślą, Cameron chwycił za gałkę w drzwiach. Mia wciąż stała na zewnątrz, jej oddech w mroźnym powietrzu zmieniał się w biały obłoczek. Przed wyjściem raz jeszcze zwrócił się w stronę żony.

- Pomyśl może o jakimś prezencie dla Jamiego, żebym w razie czego miał się czym zrewanżować.

Stał już znów do niej tyłem, więc nie zauważył szerokiego uśmiechu, jaki się pojawił na jej twarzy.

- Zajmę się tym - obiecała. - Możesz się nie przejmować.

Hugo Huntley wprowadził Grahama do pomieszczenia wypełnionego trumnami.

- Bardzo przepraszam - powtórzył po raz piąty z rzędu. - Ale w czasie czuwania przy zmarłym to jedyne miejsce, gdzie można spokojnie porozmawiać.

Graham ochocho odłożyłby spotkanie z przedsiębiorcą pogrzebowym i koronerem w jednej osobie, gdyby został poinformowany, że trwa wystawienie zwłok. Ale Hugo był tak zapracowany, że zapomniał powiadomić o tym Grahama, w efekcie prawnik na dzień dobry składał kondolencje drobnej, zapłakanej kobiecie.

Teraz siedział w sali ekspozycyjnej, gdzie klienci mogli obejrzeć trumny. W wieku dwudziestu sześciu lat nie poświęcał wiele czasu rozmyślanii o śmierci, nawet w kontekście sprawy Jamiego. Śmierć dopadała ludzi starych i zmęczonych życiem. Nie było więc sensu już teraz zawracać sobie głowy zakupem kwatery na cmentarzu ani też wykazywać jakiegokolwiek zainteresowania trumnami. A gdy już o nich mowa - Graham nie miał pojęcia, że występują w tak wielu kształtach, rozmiarach i kolorach, że mogą być „skrojone” na miarę, dostosowane do gustu i potrzeb zmarłych - tak samo jak ubrania, w których ich grzebano.

- Panie Huntley - podjął Graham.

- Próbuję zrekonstruować wydarzenia, które doprowadziły do śmierci Maggie MacDonald. Pan, o ile mi wiadomo, przeprowadził autopsję na zlecenie prokuratury.

- A, tak. - Hugo oparł się o jedną z trumien. - Z przyjemnością podzielę się z panem wszystkimi informacjami.

Graham odetchnął z ulgą - oto świadek oskarżenia, który podczas przesłuchania w sądzie będzie chętnie współpracował z obroną.

- Co może pan powiedzieć o przyczynach śmierci Maggie?

Hugo ściągnął usta, poprawił okulary noszące.

- Potocznie rzecz ujmując, Maggie MacDonald zmarła na skutek uduszenia. Kiedy ją zobaczyłem po raz pierwszy, prawdopodobnie nie żyła od jakichś pięciu, sześciu godzin. Sprawca zapewne użył poduszki: badania laboratoryjne wykazały, że włókna poszewki są identyczne z włóknami znalezionymi we włosach i na ustach ofiary.

To samo w sobie nie stanowi jednak dowodu popełnienia przestępstwa - równie dobrze może świadczyć o zamiłowaniu pani MacDonald do spania na brzuchu.

- Coś jeszcze?

Z przyległej sali dobiegł głośny płacz kogoś z żałobników.

- Zapewne panu wiadomo, że ofiara cierpiała na zaawansowaną chorobę nowotworową.

Graham skinął głową.

- Za kilka dni będę rozmawiał z jej lekarzem. Natomiast podczas autopsji pan stwierdził. - Adwokat zachęcająco zawiesił głos.

- Pani MacDonald przeszła radykalną mastektomię, usunięto jej również węzły chłonne. Ponadto była poddawana radioterapii z powodu ogniska przerzutowego do nerwu wzrokowego. Cierpiała także na zaawansowaną osteolizę - czyli, upraszczając, nowotworowe ubytki w kościach. - Hugo wzruszył ramionami, spojrzął na Grahama. - Ta kobieta była w bardzo kiepskiej formie.

- W swoim raporcie wspomina pan o obecności obcego naskórka pod jej paznokciami?

- Badania wykazały, że to naskórek męża. Ale, jak już podkreśliłem w rozmowie z panią Campbell, nie musi to sugerować walki z napastnikiem. Tym bardziej że nie ma innych śladów potwierdzających podobną hipotezę - nie stwierdziłem żadnych mechanicznych urazów, choćby zasinień, słyszałem też, że pokój się znajdował w idealnym stanie, choć, naturalnie, do jego uporządkowania mogło dojść już po śmierci Maggie MacDonald. - Hugo uśmiechnął się smutno. - Panie MacPhee, jeżeli ktoś przez dłuższy czas pracuje w moim fachu, rozwija w sobie coś na kształt szóstego zmysłu.

Nie jestem co prawda ekspertem w dziedzinie kryminalistyki ani związków uczuciowych, jednak potrafię wiele powiedzieć o ludziach, których przygotowuję do pochówku. Gdyby Maggie MacDonald walczyła przed śmiercią z mężem, natychmiast bym to

zauważył. Ludzie, którzy giną gwałtowną śmiercią - od kuli lub noża - mają wytrzeszczone, pełne przerażenia oczy, usta wciąż rozwarte w niemym krzyku. Tymczasem Maggie wyglądała tak, jakby zapadła w błogi sen.

- No, no. - Graham zmusił się do uśmiechu. - To niezmiernie interesujące. - W tym momencie zdał sobie sprawę, że siedzi na brzegu jednej z trumien, i jak oparzony zerwał się na nogi.

Przy okazji przypomniał sobie, że trumna Maggie była biała i delikatna w formie. Ciekawe, czy James wybrał ją osobiście tuż po tym, jak został zwolniony za kaucją.

Adwokat próbował sobie wyobrazić, co się czuje, gdy jest się zmuszonym do dokonania podobnej decyzji.

Czy działa się automatycznie, podobnie jak przy doborze szafek kuchennych lub koloru farby na ścianę?

Piaskowa?

Raczej nie.

Może w takim razie czarna ze złotymi trymowaniami?

Jak podejść do wyboru czegoś, w czym ma się pogrzebać na wieki połowę własnego serca?

Aż trzy pełne dni zajęło Angusowi nawiązanie kontaktu z urzędnikami National Trust of Scotland i przekonanie ich, że rzeczywiście jest poprzednim zarządcą majątku, ale ostatecznie - trzy tygodnie później - starzec przekazał Allie przesyłkę z oznaczeniami międzynarodowej poczty lotniczej.

- Nigdy nie zdołasz mi się wywdzięczyć za trudy, które musiałem ponieść, córuś - oznajmił na wstępie. - Więc nawet nie próbuj.

Allie zakochała się w tym zdjęciu od pierwszego wejrzenia. Było nieco pożółkłe, oprawione w popękaną ramkę z obsydianu. Przedstawiało dwóch małych chłopców siedzących na stopniach dworu Carrymuir.

Jeden z nich się pochylał nad szklanymi kulkami do gry, drugi obejmował potężnego wilczarza.

Chłopcy mieli mniej więcej po pięć lat i wyglądali jak rodzeni bracia - obaj byli ostrzyżeni à la Beatlesi, identycznie zbudowani, o tym samym kolorycie włosów i cery.

O ile Allie było wiadomo, Cam nigdy nie widział tej fotografii zrobionej w 1965 roku, na której widniał w towarzystwie swojego kuzyna Jamiego.

Po powrocie z kwaciarni Allie wyjęła zdjęcie z ramki, którą następnie starannie pokleiła.

Proces utwardzenia kleju miał potrwać całą dobę, ona jednak wsunęła delikatnie fotografię z powrotem za szkło, by Cam mógł już teraz ocenić ostateczny efekt.

Cameron wrócił do domu wyraźnie wykończony. Zdjął pas i kapturę, zrzucił buty, po czym padł na kanapę, nie zwracając najmniejszej uwagi na Allie siedzącą za stołem w jadalni.

- Męczący dzień? - spytała przymilnym głosem.

- Musiałem odgrywać rolę sygnalizatora świetlnego w godzinach szczytu - burknął.

Allie uśmiechnęła się promiennie.

- To mnie więcej tak, jakbyś odgrywał goblina w Halloween.

W odpowiedzi Cam jęknął i przycisnął jedną z poduszek do pierśsi.

- Kompletnie nie pojmuję, czemu Wydział Komunikacji uznał, że sygnalizatory w Wheelock powinny działać tylko do szesnastej trzydzieści.

Allie potarła obsydianową ramkę rękawem, żeby nadać jej dodatkowy połysk.

- Czy doprawdy ktoś musi kierować ruchem na ulicach? Jak to wyglądało, zanim wynaleziono sygnalizatory?

- Ludzie ginęli w wypadkach. - Cam po raz pierwszy spojrzął na żonę. - Co tam kombinujesz?

Allie weszła do salonu.

- Załatwiłam bożonarodzeniowy prezent dla Jamiego - oznajmiła, w triumfalnym geście prezentując zdjęcie.

Cam obrzucił fotografię obojętnym wzrokiem i już miał zdawkowo pochwalić żonę, gdy nagle dotarło do niego, co naprawdę ma przed oczami.

- To ja!

- Razem z Jamiem.

Cam gwałtownie wyrwał zdjęcie z rąk żony.

- Zostało zrobione w Carrymuir. Skąd, do cholery, je wytrzasnęłaś?

Gorączkowo wbijał wzrok w fotografię, jakby dzięki temu mógł wyostrzyć rozmyte kontury tła lub cofnąć czas o trzydzieści lat.

- Było u Angusa. - Allie uznała, że powinna nagiąć nieco prawdę.

Cam uważnie spojrział na żonę. Światła przejeżdżającego samochodu na moment zmroziły jej rysy, które jednak szybko odzyskały swoją, aż nazbyt dobrze znaną Cameronowi, miękkość.

- Angus ma w domu tylko jedno zdjęcie. To, które National Trust powielił w formie pocztówki.

- Dopiero co sobie przypomniał, że ma jeszcze drugie.

Cam położył oprawioną fotografię obok siebie na kanapie, po czym stanowczo pokręcił głową.

- Nie ma mowy, byś dała ją Jamiemu.

Allie uśmiechnęła się promiennie.

- Wiedziałam, że też chciałbyś mieć takie zdjęcie, zleciłam więc wykonanie odbitki. Będzie gotowa...

- Wybij sobie ten pomysł z głowy! - powtórzył ostro Cam. - Nie chcę, żeby patrząc na mnie, ten facet myślał: „Do diabła, kiedyś graлиśmy razem w kulki, więc chyba coś mi się od niego należy”.

Allie wojowniczo skrzyżowała ramiona.

- Nie wygaduj bzdur. Oddaj mi fotografię.

- Nie. - Cam podniósł się z kanapy i wyprostował ramiona, tak że Allie musiała zdrowo wyciągać szyję, żeby spojrzeć mężowi w oczy. - Już rzygać mi się chce od tych wszystkich dywagacji na temat Jamiego MacDonalda, którymi jestem zarzucany na każdym kroku - przez ciebie, przez matkę i lokalne gazety! Nie chcę pamiętać, że w dzieciństwie bawiliśmy się razem w Szkocji. Nie życzę sobie, by łączono jego życie z moim!

Na jego szyi w szaleńczym tempie pulsowała gruba żyła, a oczy tak bardzo pociemniały, że stały się niemal czarne. Allie od razu

wyłapała te sygnały i cofnęła się o krok. Zazwyczaj na takim etapie sprzeczeki ustępowała pola. Rozpływała się w uśmiechu i mówiła to, co w danej chwili chciał usłyszeć Cam.

Jednak tym razem z jej ust wyrwały się zupełnie inne słowa.

- Nie możesz odwrócić biegu wydarzeń. Co się stało w przeszłości, już się nie odstanie.

Cameron nie miał pojęcia - ani wówczas, ani dużo później - co właściwie go doprowadziło do białej gorączki.

W chwili, gdy Allie stanęła okoniem i uraczyła go tą życiową mądrością, w ogóle nie myślał już o Jamie.

Przed oczami stanęła mu Mia i ogarnęło go poczucie winy. Spojrzał na żonę, piękną w swoim zapamiętaniu, i zdał sobie sprawę, że wreszcie osiągnął to, do czego dążył od ponad miesiąca - zdołał ją sprowokować do kłótni. I teraz aż gotował się z wściekłości.

Na siebie - za to, że zakochał się w Mii, na Allie - że wygrzebała skądś to zdjęcie, które wcześniej czy później trafi do gazet, na Jamiego - że tak bardzo zawładnął umysłem Allie, iż nie widziała, co się dzieje dookoła, i nie powstrzymała męża od uwikłania się w sieć, z której można się było wyswobodzić jedynie za cenę bolesnego, nie odwołalnego cięcia.

- Chcesz się założyć? - spytał jadownicie słodkim głosem, po czym chwycił za fotografię, wciąż leżącą na kanapie.

Świeżo sklejoną ramką nie wytrzymała nacisku jego palców, na ziemię z chrzęstem posypało się szkło.

Cam wyszarpnął z pozostałości oprawy poźółtkłe zdjęcie i zdecydowanym ruchem przedarł je na pół, tak że wizerunek jego samego u boku wilczarza wylądował dobry metr od wizerunku Jamiego.

Allie pchnęła męża tak gwałtownie i niespodziewanie, że wylądował z powrotem na kanapie.

- Ty sukinsynu! - wyszczała. - Czy chociaż raz w życiu pomyślałeś, że to, czego TY chcesz, czego TY potrzebujesz, niekoniecznie jest najlepsze dla wszystkich innych wokół?

Z drewnianej, zabytkowej ławy, stojącej pod oknem, chwyciła torebkę i ruszyła w stronę wyjściowych drzwi. W uszach dźwięczały jej własne słowa, a po głowie kołatało się tylko jedno pytanie:

w którym momencie trywialna sprzeczka na temat prezentu bożonarodzeniowego przerodziła się w poważną awanturę, kwestionującą podwaliny jej związku z Camem?

Podporządkowała temu mężczyźnie całe swoje życie. Lokalną kwiaciarnię wybierała pod względem jego usytuowania względem komisariatu.

Zmieniła godziny swoich posiłków, żeby się pokrywały ze zmianami Camerona.

W ciągu ostatnich pięciu lat nauczyła się łowić ryby, strzelać do tarczy, określać godzinę na podstawie położenia słońca i panować nad umysłem podczas godzin spędzanych na siarczystym mrozie. Przez te wszystkie lata praktycznie przestała być sobą, stała się żoną komendanta policji, żoną przywódcy klanu. Osiem lat temu pragnęła jedynie zdobyć Cama dla siebie, była kompletnie zaślepiona, więc nie dostrzegała ceny, jaką przyjdzie jej za to zapłacić. A ceną była rezygnacja z własnej osobowości.

Teraz po raz pierwszy w życiu ogarnęła ją furia na męża, która miała w sobie dziwną moc wyzwolenia. Pozwoliła Allie zrozumieć dwa razy więcej w dwa razy krótszym czasie.

Parując z gniewu, postanowiła, że podaruje Jamiemu sto zdjęć, jeżeli będzie miała na to ochotę.

I skaże Cama na dłuższy okres samotnego pobytu w murach domu, o którego funkcjonowaniu nie miał bladego pojęcia.

Niech siłą własnego rozumu dojdzie do tego, jak ugotować coś poza wodą i gdzie leżą kwity z pralni na jego mundury.

W pierwszym odruchu pomyślała, że zatrzyma się u Mii, w Wheelock Inn.

Szybko jednak doszła do wniosku, że byłaby to uzurpacja przekraczająca granice dobrego smaku.

Graham MacPhee, prowokując ją do czynnych działań na rzecz Jamiego, był pośrednim sprawcą obecnych problemów - jednak znali się zbyt słabo, by wciągać go w zawirowania rodzinne. W domu Angusa nie było natomiast dość miejsca i dla niej, i dla Jamiego.

Allie pokonała na piechotę kilka ulic dzielących ją od centrum miasta, po czym weszła do budki telefonicznej stojącej przy komisariacie, wystukała numer matki Cama i poprosiła o gościnę na najbliższą noc.



Allie z zawziętością szatkowała łodygi selerów.

- Jest ostatnim dupkiem - oznajmiła. - Nie zamierzam dłużej tolerować jego wybryków.

Ellen zdjęła z powiek plasterki ogórka.

Leżała na podłodze w kuchni, żeby dotrzymać Allie towarzysztwa podczas tego zajadłego siekania.

Już dawno temu zjadły kolację, jednak wokół Allie unosiła się aura negatywnych emocji, którą należało rozproszyć przed snem, a ponieważ Ellen nie dysponowała bokserskim workiem treningowym, oddała synowej do dyspozycji wszystkie warzywa ze swojej lodówki.

- Jest również moim synem - zauważyła.

Allie zerknęła przez ramię na teściową.

- Tak, wiem - powiedziała współczującym tonem, jakby na barki Ellen zwałił się krzyż zbyt ciężki do uniesienia. - Ja przynajmniej mogę odejść.

Ellen parsknęła śmiechem i podniosła się z podłogi, poprawiając fałdy tuniki, spływającej do jej stóp.

- Żadna z nas nie może tego zrobić, moja droga. - Chwyliła Allie za nadgarstek, przekręciła wnętrzem na wierzch i w ostrym świetle jarzeniówki zamigotała biała blizna. - Masz go literalnie w swoim sercu.

Ellen miała identyczną bliznę, podobnie jak większość mieszkańców z Wheelock, gdzie kościelną ceremonię kończył pogański zwyczaj ślubów krwi, przywieziony tu przed dwoma wiekami zza morza. Po okolicy krążył dowcip o pewnej kobiecie, która wielokrotnie się rozwodziła i wychodziła za mąż - mówiono, że na jej ręku jest więcej nacięć niż na drewnianej metrowce do tkanin.

Ellen zemdląła, gdy Ian wyjął zza cholewy swój sgian dhu i wprawnym ruchem naciął ich nadgarstki, a potem ciasno związał białą chustką, by zatamować krwawienie.

Stali wówczas na schodach urzędu sędziego pokoju i nagle słońce eksplodowało jasnym blaskiem przed oczami Ellen.

Ocknęła się z głową na kolanach męża i z tępym bólem w przedramieniu. O ile pamięć ją nie myliła, Allie dzielnie zniosła rytualne

cięcie. To raczej Cam wyglądał tak, jakby za chwilę miał stracić przytomność.

Allie przycisnęła dłoń do blizny na nadgarstku, jakby pomimo upływu pięciu lat wciąż odczuwała w nim ból.

- Ten proces nas wykończy - westchnęła, siadając za stołem. - Zanim dobiegnie końca, już w ogóle nie będziemy ze sobą rozmawiać.

Ellen pokiwała głową ze zrozumieniem.

- To poczucie winy - zawyrokowała. - Tylko dlatego Cam wybuchła, ilekroć słyszy o jakimś życzliwym gościu wobec kuzyna. - Zawiesiła głos. - Z drugiej strony myślę, że nie powinnaś aż tak bardzo się angażować w sprawę Jamiego. Wykonałaś kawał dobrej roboty, teraz Graham mógłby już sam jechać do Cummington.

- O, nie - zbuntowała się Allie. - Zrobię to, na co mam ochotę. To Cameron ma problem, nie ja.

- Owszem. Ale powinnaś roztropnie toczyć swoje bitwy. Jeżeli tak bardzo ci zależy na czynnym uczestniczeniu w konstruowaniu obrony Jamiego, wycofaj się na innym polu. Nie dawaj mu tej fotografii na święta.

Allie westchnęła ciężko i oparła policzek o chłodne drewno stołu. Dopiero teraz zauważyła, że nadeszła pełnia księżyca. Z dworu dobiegało ujadanie psa, a z sąsiedniego pokoju świst wiatru w kominie.

- Wyjazd jest zaplanowany już na jutrzejszy ranek - mruknęła.

- Tak, słyszałam.

- Nie chcę odjeżdżać pokłócona z Camem. - Wyprostowała się na krześle i przetarła twarz dłońmi.

A potem w zamyśleniu powiodła palcem po nadgarstku.

Jaką przysięgę złożyli w dniu ślubu?

Przypomniła sobie słowa Cama - wypowiedziane mocnym, równym głosem - które opadły na jej ramiona niczym ochronny płaszcz.

„Oddaję ci siebie i wszystkie swoje doczesne dobra”.

Ona ślubowała to samo. Gdyby przysięga miała się spełnić, wówczas z czasem powinni się wymienić cechami charakteru, tak jak się wymienili cząsteczkami krwi.

Cam przejąłby jej spokój, ona - zyskała na temperamentcie.

Obdzieliliby się po równo swoimi wzajemnymi atrybutami i nie byli już dłużej dwoma odmiennymi osobowościami, ale swoimi bliźniaczymi odbiciami.

Wówczas nigdy by niedoszło do dzisiejszej kłótni.

Podniosła wzrok na teściową i uśmiechnęła się nieznacznie.

- Zawsze bierzesz jego stronę - zauważyła.

Ellen wybuchnęła śmiechem.

- Siła przyzwyczajenia - orzekła, po czym wręczyła Allie kluczyki do swojego samochodu. - Weź hondę. Przyjedziecie tu jutro razem z Cameronem dwoma samochodami, a on potem odwiezie cię do centrum.

Allie podeszła do zlewozmywaka i zmyła z rąk resztki soku z selera.

- Skąd wiedziałaś, że do niego dzisiaj wrócę?

- Ponieważ dobrze znam was oboje i wiem, że jesteś o wiele bardziej wielkoduszna od mojego syna.

Allie skwitowała tę uwagę westchnieniem.

- Zatrzymaj się do niego, kiedy będę w Cummington, dobrze? - poprosiła, całując teściową w policzek, i Ellen obiecała, że to zrobi.

Na dworze padał śnieg. Blask księżycawysrebrał biały puch, zmieniając krajobraz w krainę duchów. Allie uniosła głowę - śnieżny pył osiadł na jej rzęsach. A potem wysunęła język, pochwyciła kilka płatków i pozwoliła, by rozplynęły się w ustach wraz z jej poczuciem własnej dumy.

Kiedy weszła do sypialni, wyczuła, że Cam nie śpi. Włączyła więc lampę i oznajmiła:

- Wróciłam.

Cam gwałtownie zamrugał oślepiiony światłem.

Allie przysiadła na łóżku i zsunęła buty z nóg.

- Posłuchaj. - Głos Cama był niski i gęsty, jakby słowa więzły mu w gardle.

- Nie chcę już się kłócić - wtrąciła szybko Allie. - Jutro wyjeżdżam na trzy dni i postanowiłam przespać ostatnią noc we własnym

łóżku. - Zerknęła przez ramię na męża. - Czy jesteś przeciwny mojemu zaangażowaniu w obronę Jamiego?

- Możesz zrobić wszystko, na co masz ochotę, Allie.

- Nie o to pytałam.

- Możesz zrobić wszystko, na co masz ochotę - powtórzył Cam. -

Nie chcę natomiast w kółko wysłuchiwać różnych uwag na temat Jamiego. Tego jednego zdecydowanie sobie nie życzę. - Kiedy Allie milczała, obrzucił ją uważnym spojrzeniem. - Możesz mu dać to cholerne zdjęcie, jeżeli tak bardzo ci na tym zależy.

- Nie. Nie chcę działać wbrew tobie. Kupię mu sweter.

- Daj zdjęcie.

- W gruncie rzeczy sweter to o wiele praktyczniejszy prezent, więc...

- Allie - przerwał jej Cam. - Daj mu tę idiotyczną fotografię.

Położyła się na łóżku, skrzyżowała ramiona.

- Znowu się kłócimy. Nic nam ostatnio nie wychodzi.

Nie mogła zrozumieć, co się wydarzyło pomiędzy dniem wczorajszym a dzisiejszym, że doszło w niej do takiej zmiany.

Dawna Allie z zachwytem przyjęłaby przeprosiny Cama - ba, maksymalnie ułatwiła mu zadanie, mając świadomość, jak wiele kosztuje męża przyznanie się do błędu.

Dawna Allie ułożyłaby się do snu z uczuciem ulgi, że zdołała oczyścić atmosferę i przywrócić emocjonalny ład. Ostatecznie w tym właśnie celu wróciła tego wieczoru. Tymczasem tkwiła nieruchoma i zdystansowana na swojej połówce łóżka, starając się zachować równy rytm oddechu, pomimo ciężkiego kamienia, który utkwiał w jej piersi.

Rosnące za oknem drzewa zakołysały się gwałtownie, przesłaniając światło księżycy, i twarz Allie rozplynęła się w mroku przed oczami Cama.

- Niektóre rzeczy wciąż nam wychodzą - mruknął sugestywnie

Przyciągnął do siebie żonę, nie zastanawiając się, jakie motywy właściwie nim kierują - chociaż tego należałoby oczekiwać od dobrego policjanta.

Zamknął oczy i próbował się skoncentrować na znajomej linii ramion przyciśniętych do jego piersi, na stopach Allie wypełniających zimne przestrzenie prześcieradła.

Zalała go fala ciepła, przynosząc poczucie ulgi - niczym haust nikotyny namiętному palaczowi.

Musnął ustami wgłębienie poniżej ucha żony.

Zdawała się tajać w objęciach męża, przywierając do jego emanującego ciepłem ciała.

Ale już chwilę później, ku wielkiemu zdumieniu Cama, Allie Gordon MacDonald po raz pierwszy w życiu go odepchnęła.

Watchell „Bud” Spitlick zapowiedział Grahamowi, że gdy tylko skończą pogawędkę, zaprezentuje mu pomadę do włosów, którą zachował jeszcze z czasów dawnej biznesowej prosperity.

- Teraz używacie różnych frymuśnych żelów, które w niczym się od niej nie różnią. Płacicie - ile? - cztery dolce za opakowanie? Ja za tę samą cenę oddam panu całą skrzynkę mojej pomady.

Jeżeli właśnie owa pomada się znajdowała na włosach Watchella - oblepiała siwe pasma i przyklejała do różowej czaszki niczym nitki pieluchy do pupy niemowlęcia - Graham ani myślał korzystać z hojności gospodarza. Chociaż i tak trafił lepiej od Allie, skazanej przez Marie Spitlick na oglądanie w kuchni albumów zapełnionych zdjęciami pudła, którego starsi państwo musieli niedawno uśpić.

Graham miał mieszane uczucia względem tej pary.

Był niemal pewien, że jedno z nich powoła na świadka, nie mógł jednak zdecydować, kto - Watchell czy Marie - będzie bardziej wiarygodny w oczach przysięgłych.

- Szkoda, że pani MacDonald. znaczy się Allie nie powiedziała nam o wszystkim podczas swojej poprzedniej wizyty - powiedział Bud. - Czułbym się lepiej, gdybym wziął udział w pogrzebie.

- Allie przyjechała do państwa już po ceremonii pogrzebowej, która z przyczyn oczywistych została zorganizowana w dość gorączkowej atmosferze.

Starszy pan ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Jamie musiał przeżywać katusze. Powinien był zadzwonić. Na mój koszt. Ja bym go wysłuchał.

- Nie wątpię. - Graham odsunął się nieznacznie od ułożonych w wysoki stos kaset magnetofonowych z hitami Davida Cassidy'ego, Joni Mitchell i Bee Gees, które wbijały mu się w biodro.

- No cóż. - Bud wznosił w geście toastu szklankę z sokiem marchewkowym. - Biorąc wszystko pod uwagę, Maggie jest zapewne dużo lepiej tam, po drugiej stronie.

Graham czujnie wyprostował się na krześle.

- Pan wiedziało jej chorobie?

- Oczywiście. Czy pani MacDonald, znaczy się Allie.

- Założmy z góry, że ilekroć użyje pan określenia „pani MacDonald”, będzie chodziło o Allie - wszedł mu gładko w zdanie Graham.

- No więc, czy pani MacDonald nie wspominała panu, co jej opowiadałem ostatnim razem? - Jeżeli nawet wspominała, od poprzedniej wizyty w Cummington minęło parę miesięcy i Graham już niewiele pamiętał z relacji Allie. - O tej nocy, kiedy to Maggie przestała oddychać? Serca nam pękały, gdy patrzyliśmy, przez co musi przechodzić ta para dzieciaków. A przede wszystkim Maggie.

- Była już bardzo słaba?

Bud zaśmiał się głośno.

- Maggie? Słaba? W żadnym razie. Ona po prostu nie mogła znieść myśli o bezradności i fizycznym ubezwłasnowolnieniu. Kiedy przeżywałem trudne chwile z powodu problemów zdrowotnych mojej siostry, powiedziała mi prosto z mostu, że wolałaby umrzeć, niż być podłączona do tych podtrzymujących życie maszyn.

Starszy pan opadł na oparcie krzesła, odstawił szklankę po soku na podstawkę zrobioną z kapsli po piwie.

- To był dla mnie ciężki okres. Moja siostra dostała udaru i nigdy już nie doszła do siebie. Przez kilka tygodni ja i Marie niemal nie wychodziliśmy ze szpitala.

Wtedy Maggie wzięła urlop i prowadziła za nas sklep, a Jamie sprzątał nasz dom w czasie weekendów.

Maggie też codziennie przynosiła nam do szpitala herbatniki - te z literami M M - oraz półkilogramowe babki piaskowe.

Mówiła, że musimy zadbać o własne siły.

W każdym razie pewnego wieczoru, gdy Marie musiała się oddalić za potrzebą, Maggie podeszła blisko do szpitalnego łóżka, co nigdy wcześniej jej się nie zdarzało.

Przedtem wchodziła tylko krok za próg szpitalnego pokoju, a potem szybko umykała, jakby się bała, że złapie jakąś okropną, zakaźną chorobę. No ale wtedy spojrzała na twarz Frances, z jednej strony zniekształconą z powodu wylewu, a potem dotknęła jej policzka. „Takiego stanu nie wolno przedłużać. To już nie jest życie”, powiedziała.

Graham wyjął notes z kieszeni marynarki i zapisał słowa Watchella.

- Czy przypomina pan sobie coś jeszcze? - zapytał, z trudem kryjąc podniecenie.

- Odparłem na to, że Frances odejdzie wtedy, gdy Bóg ją do siebie powoła. A Maggie. - westchnął i potrząsnął głową - ...Maggie odparła, że w podobnej sytuacji ktoś powinien obudzić Boga i zapytać, na co jeszcze, u diabła, czeka.

Graham pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach, potrącając przy okazji stos kaset, które się posypały na jego designerskie mokasyny.

- Panie Spitlick, czy gotów byłby pan powtórzyć to wszystko w sądzie?

Bud uśmiechnął się smutno i przeniósł spojrzenie na opustoszały dom MacDonaldów, stojący po drugiej stronie ulicy.

- Dla tych dwojga zrobiłbym wszystko. - Wstał z krzesła, więc poderwał się i Graham, a wówczas Watchell położył ciężką, spracowaną dłoń na ramieniu adwokata. - Myślę że ona jest teraz jednym z aniołów - powiedział podejrzenie łamiącym się głosem.

Graham zerknął w stronę domu Jamiego na wiszący na ganku mosiężny dzwonek powietrzny, który załkał cicho. - Zapewne, zapewne.

Doktor Ranaoke Martin był w tej chwili o wiele bardziej zaabsorbowany myślami o swojej sekretarce niż problemami człowieka, który siedział naprzeciwko. Jako jeden z psychiatrów stanowych już dość się napatrzył w życiu na socjopatów, schizofreników i indywiduala o skłonnościach psychotycznych. Pewnego razu zdarzyło mu się nawet badać faceta, który utrzymywał, że przeszczepiono mu lewą - uwaga, tylko lewą! - półkulę mózgu Charlesa Mansona. Ranaoke Martin nie miał żadnych podstaw, by sądzić, że James MacDonald będzie się zasadniczo różnić - na korzyść bądź niekorzyść - od innych podeślanych przez prokuraturę oskarżonych. Tym bardziej te dziesięć minut, które musiał mu poświęcić, o wiele chętniej by wykorzystał na dobre, ostre rżnięcie z sekretarką.

Zaczął od standardowych pytań. Czy badany wie, jak się nazywa? Kto jest obecnie prezydentem? Jaki mamy rok?

Czy mógłby w kilku słowach opowiedzieć o swoim dzieciństwie? O rodzinie?

Facet sprawiał wrażenie wyciszonego, mówił spokojnym tonem i wysławiał się, jak na wykształconego człowieka przystało, był natomiast o dobre dwadzieścia centymetrów wyższy od Ranaoke'a, co wzbudzało w psychiatrze podskórny lęk - ale ostatecznie jak ma się do czynienia z wariatami, którzy w każdej chwili mogą dostać napadu szału, trudno nie zwracać uwagi na ich posturę.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, co się wydarzyło dziewiętnastego września? - spytał w końcu lekarz, przekręcając przy tym nieznacznie cienki, czarny zegar na biurku, by wyraźnie widzieć przeskakujące cyfry.

Angela już się zapewne kręci w obrotowym fotelu, z nogami na biurku, spódnicę podciągnęła do połowy ud.

- Zabiłem żonę - odparł Jamie.

- Przycisnąłem poduszkę do jej twarzy i w ten sposób ją udusiłem. Tak jak mnie prosiła.



Wbrew wcześniejszym intencjom, psychiatra pochylił się do przodu z zainteresowaniem.

- A czy żałuje pan swojego czynu?

Jamie wydał z siebie odgłos podejrzenie przypominający kpiące prychnięcie, jednak Ranaoke szybko doszedł do wniosku, że musiał się przestyszeć.

Podobna reakcja w żadnym razie nie wchodziła w grę, ponieważ oskarżeni dobrze wiedzieli, że muszą wyrzucić jak najlepsze wrażenie na ekspercie oskarżenia, stąd nawet ci autentycznie zaburzeni psychicznie zachowywali się, jak Bóg przykazał.

- Żal to bardzo wieloznaczne słowo, doktorze.

Ranaoke oparł palce o stół.

- A jak pan je rozumie?

- Zapewne tak samo, jak każdy inny człowiek władający biegle angielskim - wypalił Jamie, po czym przejechał dłonią po włosach. - Czy żałuję, że zabiłem Maggie? Nie. Czy żałuję, że byłem do tego zmuszony? Tak. Czy żałuję, że już jej nie ma? Bardziej niż zdoła pan sobie wyobrazić na podstawie pieprzonych dziesięciu minut pobieżnej rozmowy.

Ranaoke milczał przez dłuższą chwilę.

- Zdaje się pan nosić w sobie, wiele gniewu. - zawyrokował w końcu.

Jamie parsknął śmiechem.

- Do wygłaszania takich opinii trzeba skończyć studia?

Lekarz przesunął po biurku akta Jamesa MacDonalda.

Już zdecydował, co napisze w swojej opinii.

Oskarżony jest elokwentny, wrogi w reakcjach i absolutnie zdrowy psychicznie.

Zdolny do wszelkich czynności prawnych.

W pełni świadomy swojego czynu i jego konsekwencji - zarówno obecnie, jaki w chwili jego popełnienia.

Zimny i wyrachowany. Nie okazujący skruchy.

Z głębokim westchnieniem psychiatra wyjął swoją własną wersję testu Kohlberga, mierzącego poziom moralności, którą zawsze aplikował oskarżonym czekającym na rozprawę. Niektórzy uważali ten test za kontrowersyjny - ponoć dyskryminował kobiety - ale Ranaoke

był bardziej zainteresowany sposobem formułowania sądów przez oskarżonych niż wyliczaniem im punktów w Skali Ocen Moralnych.

Test Kohlberga opierał się na dziewięciu kontrowersyjnych etycznie historyjkach i wymagał od badanego dokonania oceny czynu popełnionego przez bohatera historyjki.

Jedną z owych historyjek był „Dylemat Heinza”, który brzmiał następująco.

Pewna kobieta umierała na raka, a jedyne lekarstwo mogące jeszcze uratować jej życie zostało wynalezione przez szwajcarskiego aptekarza, który żądał za nie horrendalnych pieniędzy.

Mąż umierającej kobiety, niejaki Heinz, nie zdołał zdobyć potrzebnej sumy, poprosił więc aptekarza o obniżenie ceny leku lub rozłożenie jej na raty.

Aptekarz odmówił.

Wówczas mąż, ogarnięty desperacją, włamał się do apteki i ukraść lekarstwo.

Czy miał prawo to zrobić?

Dlaczego?

Modyfikacja Ranaoke'a Martina polegała na tym, że na miejscu hipotetycznego pana Heinza ustawiał samego badanego i nie podsuwał rozwiązań, tylko o nie pytał.

W wypadku, gdy delikwent był stanu wolnego, umierającą żonę zamieniał na matkę lub ukochanego psa.

Poziom moralności osoby poddanej testowi określało się na podstawie kryteriów, jakimi się kierowała przy podejmowaniu decyzji. Niektórzy bezwarunkowo wykluczali możliwość złamania prawa. Inni dopuszczali określone wyjątki. Jeszcze inni proponowali negocjacje z aptekarzem.

Ranaoke uniósł testowy arkusz.

- Przedstawię panu teraz pewną hipotetyczną sytuację. Proszę powiedzieć, jak by się pan zachował w opisanych okolicznościach. Pańska żona umiera na raka i bardzo cierpi.

Urwał, gdy nagle na arkusz padł długi cień. Uniósł wzroki zobaczył nad sobą Jamiego MacDonalda wyprostowanego na całą swoją wysokość stu dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów, najwyraźniej zdecydowanego zakończyć spotkanie.

- Pan wybaczy, doktorze, ale zdaje się, że tę kwestię już omówiliśmy.

- Czy aby nie żartowała, kiedy to mówiła? - zapytał Graham. - No wiesz, może to była taka luźna uwaga, jaką się wypowiada, by rozbawić przyjaciółkę?

Siedzieli w Taco Bell w Cummington - po jednej stronie czerwonej łąki on i Allie, naprzeciwko zaś Pauline Cioffi.

Przyszła tutaj ze swoimi dziećmi, gęsto tłumacząc, że w tej kwestii nie miała żadnego wyboru: do czasu uzyskania własnego prawa jazdy latorośle przypominają uporczywe pasożyty wczepione w ciała matek.

- Maggie miała wielkie poczucie humoru - przyznała Pauline. - Ale miała też dużo dobrego smaku. A takie osoby nie oznajmiają: „Poproszę Jamiego, żeby mnie zabił” równie lekko, jakby mówiły: „każę mu znieść walizki ze strychu i naprawić zraszacze do trawy”.

- Czy dokładnie takich słów użyła, gdy mówiła o swoich zamiarach? - zainteresowała się Allie.

Pauline pokręciła głową.

- Nie jestem pewna. Ale nawet jeżeli nie brzmiały identycznie, miały taki właśnie sens.

- A co na to odpowiedziałś? - dopytywał Graham.

- Zaproponowałam, żeby na tydzień wzięła do siebie moje dzieci. One by wykończyły nawet Matkę Teresę.

Graham pokrywał notatkami papierową serwetkę.

- A więc to ty zażartowałaś.

- Tak, ja zażartowałam, a wówczas Maggie chwyciła mnie mocno za rękę - a musicie wiedzieć, że nie była skora do takich gestów, nie należała do osób, które ze wszystkimi się obejmują i obcałowują. W każdym razie, chwyciła mnie z całej siły za rękę, kazała spojrzeć prosto w oczy, po czym powiedziała:

„Mówię poważnie”.

Z kącika zabawowego, usytuowanego na tyłach restauracji, dobiegło zawołanie jednego z dzieci Pauline.

- Dlaczego uważała, że Jamie to zrobi? - spytała Allie.

Pauline krzyknęła w stronę płaczącego syna:

- Uspokój się! Nic ci nie będzie! - Po czym powróciła do

rozmowy.- Przy czym to byliśmy? Ach, tak. Dlaczego miała pewność, że Jamie to zrobi. - Wzruszyła ramionami. - Jamie podciąłby sobie gardło, gdyby wierzył, że tym uszczęśliwi Maggie, a dopiero po fakcie zastanawiałby się nad konsekwencjami.

Graham wydał z siebie zduszony pomruk. Allie spojrzała na niego, ale trzymał dłonie złożone tuż przed twarzą, więc nie widziała na tyle dobrze jego rysów, by wywnioskować, co o tym wszystkim sądzi.

- Rozumiem więc, że byli ze sobą wyjątkowo silnie związani?

Pauline uśmiechnęła się smutno.

- Ewidentnie za silnie, by wyszło im to na dobre.

Graham zmarszczył czoło.

- A więc potępiasz Jamiego za to, co zrobił? Przez dłuższy czas milczała, wodząc wzrokiem po dzieciach, które się właśnie wspinały na wielką, plastikową tortillę.

- Nie - odparła w końcu. - Nie potępiam Jamiego. Potępiam natomiast Maggie. - Ponownie się odwróciła w stronę Allie i Grahama, a spojrzenie jej brązowych oczu było teraz tak miękkie, że Pauline wydała się niemal piękna. - W mojej opinii miłość to wyższa forma wzajemnego zaufania. Maggie obiecała mężowi, że jeśli wypełni jej prośbę, wszystko dobrze się ułoży, i Jamie uwierzył jej bez zastrzeżeń. Jednak wydarzenia potoczyły się inaczej, prawda?

Bóg mi świadkiem, Maggie była moją najbliższą przyjaciółką, ale uważam, że to ona powinna zasiąść na ławie oskarżonych.

Egoistycznie wykorzystała fakt, że mąż szaleje na jej punkcie, i teraz on musi żyć z piętnem mordercy.

Pauline wymacała puszkę coli, pociągnęła długi łyk, po czym opadła na oparcie kanapy. Zaciśnęła powieki, ale się uśmiechała.

- Maggie i ja obiecywałyśmy sobie, że na moje czterdzieste urodziny (które obchodziłabym trzy lata przed Maggie) pojedziemy na Hawaje. Tylko my dwie, oraz James wetknięty w największą walizkę, ponieważ nie wiedziałyby, co ze sobą począć, gdyby został bez żony. - Zamrugnęła szybko, powstrzymując łzy. - Ale cóż. wiecie, co się mówi o najbardziej drobiazgowo dopracowanych planach.

- Skąd się to bierze... - syknął Graham do Allie, siedzącej po przeciwnej stronie poczekalni - ...że lekarze prenumerują tylko takie czasopisma, których nikt nie chce czytać, a na domiar złego w gabinetach wykładają egzemplarze co najmniej sprzed roku?

Allie uśmiechnęła się ciepło. Dobry człowiek z tego Grahama, zawsze ochoczo płacił za lunchy i nigdy nie robił Allie wymówek, gdy wtrącała się do przesłuchań świadków częściej, niż powinna.

- To ogólnościowy spiszek - zasugerowała. - Każdy lekarz doskonale wie, jak wkurzyć pacjentów.

Adwokat odrzucił trzymany w rękę miesięcznik - cienkie piśmko, wydawane przez jakąś katolicką organizację charytatywną - i wyciągnął przed siebie nogi.

- Może w taki sposób zapewnia sobie stały dopływ klientów mruknął w zamyśleniu.

- Trzyma ich znudzonych w poczekalni tak długo, aż zaczną niedomagać ze starości.

- Z pewnością doktor Wharton wkrótce nas wezwie. Chyba nie chciałbyś się wepchnąć przed tego małego chłopca?

Prawdę powiedziawszy, Graham wepchnąłby się przed dzieciaka bez najmniejszych skrupułów, ponieważ dzięki temu mógłby szybciej zakończyć trzydniowy, męczący pobyt w Cummington oraz przygnębiające rozmowy z ewentualnymi świadkami. I wrócić z Allie u boku do domu. A swoją drogą - niesamowita kobieta.

Była tylko kilka lat od niego starsza i pod wieloma względami bardzo pociągająca.

Zawsze dobrze się prezentowała, nawet jeżeli wkładała do jedwabnej bluzki grube śniegowce, pozwalające brnąć przez zalegające na ulicach błoto. Okazała się ponadto idealnym pilotem, bezbłędnie wynajdującym wszelkie drogi na skrót za jednym rzutem oka na mapę. I do tego odznaczała się podziwu godną nieustępliwością.

- Doktor państwa prosi.

Graham zerwał się na równe nogi.

Allie podążyła zanim do tego samego gabinetu, w którym ponad dwa miesiące temu spotkała się po raz pierwszy z Dascombem Whartonem. Tym razem lekarz niczego nie zajądł, ale jego ciało wciąż zdawało się przelewać przez poręcz fotela niczym roztopione masło. Młody prawnik wyciągnął dłoń na powitanie.

- Dzień dobry, panie doktorze. Nazywam się Graham MacPhee i jestem obrońcą w procesie Jamesa MacDonalda.

- Do rzeczy, proszę - uciął Wharton. - Jestem bardzo zajęтым człowiekiem. - Przerzucił akta medyczne na biurku i z ciężkim westchnieniem rozłożył przed sobą jedną z grubszych teczek.

- Upprzedzę pańskie pytanie i powiem, że owszem, zgadzam się zeznawać w sądzie. A oto informacje, po które pan przyszedł.

Maggie MacDonald cierpiała na raka przewodowego sutka, po raz pierwszy zdiagnozowanego w 1993 roku, chociaż najpierw wykryto przerzuty nowotworowe, dopiero potem ognisko pierwotne. - Lekarz opisał następnie lawinowo pogarszający się stan Maggie.

Przebiegał wzrokiem notatki, a fałdy jego rumianej twarzy pracowicie przemieszczały się na wszystkie strony za każdym ruchem ust.

Kiedy skończył, Graham poruszył się niespokojnie na krześle.

- Doktorze, czy Maggie MacDonald prosiła pana kiedykolwiek, by skrócić jej życie?

- Oczywiście, że nie.

- Ale prosiła ośrodki uśmierzające ból? O radioterapię?

Lekarz ściągnął brwi.

- Sam jej proponowałem i jedno, i drugie. To standardowe procedury w takich przypadkach.

- Doktorze Wharton - nie dawał za wygraną Graham - co pan sądzi o eutanazji?

- Składałem przysięgę Hipokratesa, panie MacPhee. Zawsze przedkładałem życie nad śmierć.

Allie przesunęła wzrokiem po dyplomach Whartona, zastanawiając się przy tym, do czego właściwie zmierza Graham.

Wyglądało to tak, jakby już przeprowadzał próbę generalną przesłuchania sądowego, Allie jednak nie mogła pojąć, dlaczego w takim razie antagonizuje własnego świadka.

- Nigdy z rozmysłem nie zwiększył pan dawki morfiny nieuleczalnie choremu, cierpiącemu pacjentowi? Nigdy, hmm, nie przyspieszył naturalnego biegu rzeczy?

- Pan wybaczy - odparł Wharton. - Nie sądziłem, że to ja jestem oskarżony.

Graham miał dość przyzwoitości, by się zaczerwienić.

Patrząc na dymny szkarłat pełznący od kołnierzyka w górę twarzy adwokata, Allie uznała, że to urocze. Cam nigdy się nie rumienił.

- Próbuję jedynie zgadnąć, jaka mogła być logika rozumowania Maggie - wyjaśnił Graham. - Dlaczego wybrała takie wyjście, a nie któreś z bardziej konwencjonalnych.

- Osobiście uważam, że Maggie w owym czasie nie odwoływała się już do rozsądku - odparł Wharton. - Przede wszystkim zmagала się z silnym bólem, miała świadomość, że umiera, ale nie wiedziała, kiedy i jak to nastąpi. Podobna sytuacja nie zostawia wiele miejsca na konstruowanie logicznych scenariuszy.

- Maggie wiedziała, że umiera? - spytał Graham.

Wharton posłał prawnikowi szczególne spojrzenie.

- To byłoby oczywiste dla każdego w jej stanie.

- Ale czy kiedykolwiek powiedziała panu, że ma tego świadomość? A gdy już jesteśmy przy tym temacie, czy pan jej powiedział wprost, że umrze przed upływem określonego czasu?

Wharton zdjął okulary i zaczął czyścić szkła o przód białego fartucha.

- Rozmawialiśmy na ten temat podczas jej ostatniej wizyty. Musi pan zrozumieć jedno - jej organizm obumierał kawałek po kawałku. Prawdą jest, że bez względu na wszystko zawsze bym walczyło życie pacjenta, nie oznacza to jednak, że nie dostrzegam degradacji jakości tego życia. Jedno powiedziałem Maggie całkiem jasno:

nowotwór wkrótce znowu da o sobie znać, jednak nie sposób przewidzieć jak i kiedy. Mogło się to zdarzyć jeszcze tego samego popołudnia. Lub trzy miesiące później. - Zerknął na Grahama. - Jej sytuację można porównać do sytuacji człowieka zamkniętego w ciemnym pokoju z grzechotnikiem, którego słyszać, ale nie widać, więc niewiadomo, gdzie uderzy.

Przez twarz Allie przebiegł mimowolny skurcz.

Graham instynktownie zacisnął kościste palce na jej dłoni.

- Kiedy dokładnie po raz ostatni widział się pan z Maggie, doktorze?

Wharton raz jeszcze zerknął na notatki.

- Piętnastego września - odparł. - Była ostatnią pacjentką owego popołudnia.

Allie i Graham wymienili znaczące spojrzenia.

- A więc wprowadzenie planu w życie zajęło jej trzy dni - mruknęła Allie.

Jeszcze nigdy nie spędzili tak wiele czasu sam na sam kompletnie ubrani.

Dwie godziny po tym, jak Allie wraz z Grahamem MacPhee udała się na trzydniowy wyjazd do Cummington, Mia zjawiała się u Camerona. Niemiała ze sobą żadnej podróźnej torby, ponieważ to dałoby zbyt wiele do myślenia sąsiadom. Zabrała tylko swój podręczny plecak, a w nim Kafkę i zmianę bielizny.

Była oszołomiona wizją zabawy w prawdziwy dom. Zamierzała gotować dla Cama, spać u jego boku do białego rana, siedzieć z nim razem na podłodze przy kominku i czytać na głos czasopisma podróżnicze.

- Jestem zachwycona - oświadczyła w niedzielę rano.

W jednej z szafek, za zepsutym ekspresem do kawy, znaleźli belgijską gofrownicę, w której teraz piekły się wafle.

- Jak tak dalej pójdzie, to już nigdy się nie wyprowadzę.

Cam zacisnął palce na kubku z kakao.

- To byłoby interesujące.



Przez cały weekend nie wysunął nosa z domu. Na widok Mii w jego szlafroku, pod jego prysznicem, w jego własnym łóżku, czuł się niczym nastolatek zrywający zakazany owoc. Dom zaczął przesiąkać zapachem tej niezwyklej kobiety, ale zamiast się przejmować, czy Allie przypadkiem tego nie zauważy po powrocie, Cameron tylko się zastanawiał, jak długo jeszcze będzie mógł się cieszyć towarzystwem Mii.

Która teraz siedziała z nosem w książce kucharskiej. Oboje nie mieli pojęcia o gotowaniu, byli więc skazani na przeglądanie stosu przepisów, które Allie trzymała na półce nad mikrofalówką.

- Zaraz spalimy wafle. - Mia pociągnęła nosem.

Cam zerknął na gofrownicę - wielką, czarną maszynę, która w zastraszającym tempie wyrzucała z siebie smugi dymu.

- Powinniśmy byli pozostać przy jajkach - zawyrokował.

Mia obróciła się w ramionach Cama, oplótła rękami jego szyję.

- No, nie wiem - odparła z uśmiechem. - Jak już spełniać marzenia, to na całego.

Chwycił ją za pośladki i posadził na blacie szafki.

- Gdybyś mogła w tej chwili wyjechać do dowolnego miejsca na ziemi, gdzie by to było?

Wciąż się uśmiechała. Na dworze zrobiło się całkiem ciepło, słońce topiło śnieg leżący na dachu, z którego leciały wielkie, widoczne przez kuchenne okno, krople.

- A zabierzesz się ze mną?

- Niewykluczone - odparł. - To zależy od miejsca przeznaczenia.

- W porządku. A więc wybieram. Turcję. - Zamknęła oczy i przywołała z pamięci małą willę nad morzem, którą wynajęła na miesiąc po tym, gdy zarobiła sporo pieniędzy jako osoba do towarzystwa kilku arabskich potentatów naftowych.

Willa była biała, przed wejściem do niej rosły czerwone maki, a z jej okien rozciągał się widok na niewyobrażalnie błękitne morze niepostrzeżenie zlewające się w jedno z niebem.

- Nosiłbyś luźne spodnie od piżamy i popijał mrożoną kawę, siedząc na werandzie.

- Sypiam w bokserkach, nie w piżamie, a poza tym nie lubię mrożonej kawy.

Mia zsunęła się po jego ciele z kontuaru.

- To moje fantazje. Nie psuj ich. - Przekrzywiła filuternie głowę. - A dokąd ty byś pojechał?

Zastanowił się nad tym przez chwilę. Ujrzał Mię zimą we włoskich Alpach, dyndającą nartami na wyciągu krzeselkowym.

I w Tokio, otoczoną japońskimi dziećmi, wskazującymi palcami na jej fiołkowe oczy. A potem wyobraził sobie, że trzymają mocno za rękę i prowadzi przez wszystkie komnaty Carrymuir.

- Do świata sprzed ośmiu lat - odparł. - Tam najbardziej chciałbym się znaleźć.

Chociaż w gruncie rzeczy wcale nie był pewien, czy w istocie zupełnie inaczej ułożyłyby sobie życie, gdyby jakimś cudem dostał taką niezwykłą szansę.

Nawet trzymając Mię w ramionach, nie umiał całkowicie zapomnieć o Allie, która w inny sposób chwyciła szpatułkę do jajek i własnoręcznie ułożyła kafelki nad zlewem, kotylsząc biodrami w takt przebojów wytwórni Motown.

Nie potrafił wyobrazić sobie rzeczywistości nieukształtowanej przez Allie, i równocześnie nie był w stanie uwierzyć, że zdołał przetrwać tak wiele lat bez Mii u boku.

Spoglądał na nią i rozmyślał, jak by się potoczyły wydarzenia, gdyby owego pamiętnego dnia wstąpił na latte do „Ręki Diabła”. Co by było, gdyby po śmierci ojca przywiózł Mię do Wheelock i gdyby to ją poślubił zamiast Allie?

Gdzieś w głębi serca doskonale wiedział, że nigdy by do tego nie doszło, ponieważ jedną z najatrakcyjniejszych cech Mii była jej całkowita niezależność, pozwalająca na swobodne przemieszczanie się z miejsca na miejsce. Jeżeli Cam wyznaczyłby jej granice, przestałaby być tą samą kobietą.

Niemniej niczego tak szaleńczo nie pragnął, jak tego, by jeszcze trochę dłużej ją przy sobie zatrzymać. Z pociemniałymi oczami rzucił się wraz z nią na podłogę - nie wdzięcznie i delikatnie, jak pokazują na hollywoodzkich filmach, ale gwałtownie i zachłannie, tak że aż obojgu zapało dech.

Nachylił nad nią twarz, powiódł wzrokiem po pięknie wygiętych ustach.

- Z tych wafli zostanie już tylko popiół - mruknęła Mia, a potem wsunęła dłonie we włosy Cama i przyciągnęła go mocno do siebie.

Po raz kolejny zachwyił się jej ciałem i skórą, która zdawała się emanować niezwykłym blaskiem.

Jego dłoń mieściła się idealnie pomiędzy piersią a talią Mii. Powiedział, że ją kocha - i to nie było wyznanie, ale gorąca modlitwa.

Mia leżała na Cameronie z głową odchyloną do tyłu, włosami tańczącymi spiralnymi cieniami na jego piersi, gdy otworzyły się kuchenne drzwi, prowadzące bezpośrednio do ogrodu. Mia wychwytywała gdzieś w podświadomości ten dźwięk, podobnie jak cichy szmer łap Kafki, przebiegającego po dywanie piętro wyżej, i poszum powietrza.

Ale jak zawsze, gdy wszystkimi zmysłami chłonęła Cama, nie zwróciła uwagi na żadne inne bodźce.

W drzwiach stała Ellen MacDonald z kluczami w jednym i talerzem w drugim ręku.

Jej policzki były równie białe, jak placek bezowy, który przyniosła dla syna. Specjalny przysmak, mający zrekompensować nieobecność Allie.

- Coś się pali - oznajmiła.

Trzasnęła talerzem o blat i wyszła, nie mówiąc więcej ani słowa.

Ponieważ Graham nie chciał, by ktokolwiek choć przypadkiem podsłuchał ich rozmowę, umówił się z Jamiem u podnóża przełęczy, przecinającej wzgórze Berkshire, którym Wheelock zawdzięczało swoją niezwykłą urodę.

Weszli na drogę, łączącą się w pewnym miejscu ze szlakiem Mohawk, która jednak przez kilkanaście kilometrów była wyboistą piaszczystą ścieżyną, gdzie o cieplejszej porze roku zapuszczały się jedynie ambitne nastolatki na swoich rowerach górskich w neonowych barwach. Teraz, kiedy śnieg zalegał na ziemi kilkunastocentymetrową warstwą, miejsce to gwarantowało pełnię prywatności, a w końcu nadszedł czas, by klient wyznał Grahamowi całą prawdę.

Jamie wiedział, dlaczego adwokat go tu ściągnął, zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później będzie musiał przedstawić swojemu obrońcy wydarzenia owego tragicznego, wrześniowego dnia bardziej szczegółowo, niż to zrobił w oficjalnym zeznaniu.

Przez niemal dwa kilometry obaj mężczyźni wędrowali w milczeniu, z rękami w kieszeniach, kuląc się przed wiatrem.

- Kiedy cię o to poprosiła? - spytał w końcu Graham.

- Po raz pierwszy? W styczniu. Gdy pojechaliśmy do Quebecu. Tuż po chemioterapii, ale przed naświetlaniami nerwu wzrokowego. Wówczas po prostu ją wyśmiałem.

- A potem?

Jamie schylił się po gałązkę leżącą na drodze i obrysował nią trop królika - białą pieczęć na śnieżnym pergaminie.

- Po wizycie u lekarza, we wrześniu. To był piątek. Maggie zawsze się umawiała na ostatni popołudniowy termin, ponieważ nie chciała, żeby złowrogie wieści psuły jej dzień. Zazwyczaj wracała koło szóstej, ale tym razem przyszła dopiero po dziewiątej. - Jamie uśmiechnął się blado pod wpływem wspomnień. - Oczywiście do tej pory zdążyłem już obdzwonić wszystkie okoliczne szpitale, wypytywałem też na policji, czy nie dostali przypadkiem żadnych zgłoszeń o śmiertelnych ofiarach wypadków samochodowych.

No więc przyszła po dziewiątej i przyniosła ze sobą wielki karton - zdaje się, że po wódce, musiała go dostać w jakimś monopolowym.

Bez słowa weszła na górę i do tego kartonu zaczęła pakować swoje ubrania.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał. - Co powiedział lekarz?

Maggie bez słowa składała w kostkę ubrania.

Najpierw włożyła do kartonu szorty, więc przez moment myślał, że może chce mieć więcej wolnego miejsca w szufladach i dlatego pakuje letnie rzeczy.

Ale kiedy zaczęła upychać w pudle bieliznę i nocną koszulę, którą miała na sobie zaledwie poprzedniej nocy, Jamie uklękł przy żonie, chwycił ją za ramiona i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

- Jamie - powiedziała. - Ja już dłużej nie mogę.

Czego „nie mogę”? - pomyślał.

Składać tych ciuchów?

Angażować się w rozmowę?

Czepiał się najidiotyczniejszych myśli, byle nie dopuścić do siebie najgorszego.

Złapał ją za rękę i nie puścił, póki nie przysiadła obok niego na łóżku.

- Pogodziłam się z myślą o śmierci - powiedziała. - Natomiast nie jestem w stanie znieść dłużej tej niepewności.

A potem prosto z mostu poprosiła, aby ją zabił. Odparł, że to absolutnie wykluczone. Maggie oskarżyła go o egoizm. Odparował, że można jej zarzucić dokładnie to samo. Wówczas stwierdziła, że w zaistniałej sytuacji ma prawo być egoistką.

Chciała, żeby to zrobił od razu. Poprosił o jeszcze jeden wspólny weekend.

Postanowiła, że wcześniej uporządkuje swoje rzeczy, bo nie chce, aby musiał się nimi zajmować, gdy jej już nie będzie, zmusił Maggie do powkładania ubrań z powrotem na swoje miejsce - wytłumaczył, że cień wspomnienia będzie lepszy od kompletnej pustki.

Postawił warunek - on sam wybierze, gdzie do tego dojdzie, ponieważ nie mógłby mieszkać dalej w Cummington, gdyby to miasto kojarzyło mu się z miejscem, w którym zabił ukochaną kobietę.

W sobotę spalili długo - Jamie się obudził z rękami zanurzonymi we włosach żony. Potem urządzili sobie piknik na dachu własnego domu, z którego rozciągał się widok na okolicę w promieniu trzydziestu kilometrów.

Po południu poszli do kina na film, którego jeszcze nie widzieli. Usiedli w spowitym mrokiem i ciszą ostatnim rzędzie - pieścili się i całowali jak dzieciaki.

Wieczorem wybrali się do bardzo kosztownej restauracji, gdzie jedenaście lat wcześniej Jamie poprosił Maggie o rękę. Zamówili najdroższe możliwe przystawki, a potem jedli palcami, wkładając sobie nawzajem do ust najdelikatniejsze kawałki polędwicy i homara.

W Red Lion Inn, w Lenox, wprosili się na cudze wesele i tańczyli dopóty, dopóki muzycy ze swingowego bandu byli w stanie grać.

W niedzielę oglądali wschód słońca - wachlarz świetlistych promieni rozpościerający się nad wzgórzami Berkshire. A potem przez cały dzień poszukiwali najbardziej soczystych barw -

czerwieszego wozu strażackiego - które Maggie chciała zabrać ze sobą na wieczność. Podczas nocy czarnej jak atrament, gdy księżyc był zbyt zawstydzony, żeby pojawić się na niebie, tulili się z całych sił i nadawali imiona swoim nienarodzonym dzieciom.

W poniedziałek rano pojechali do Wheelock i zameldowali się w hotelu.

Jamie przyniósł do pokoju szampana kupionego na dole w barze, a potem pili, pogryzali pizzę i omówili, jak to wszystko ma się odbyć. W końcu kochali się bardzo długo, padli z wycieńczenia i obudzili się o świcie wciąż złączeni w uścisku.

We wtorek rano Jamie ucałował żonę na pożegnanie.

- To nie trwało nawet pięć minut - powiedział Jamie, powłócząc nogami po śniegu. - Użyłem poduszki.

Maggie pod koniec mnie podrapała, ale wcześniej to omówiliśmy. Przykazała surowo, żebym przypadkiem w takiej sytuacji nie przerywał. Pochyliłem się więc tylko jeszcze niżej i szeptałem do niej: wspominałem o tym wszystkim, co było jej bliskie. A potem Maggie całkowicie znieruchomiła.

Bez słowa Graham zawrócił w stronę miasteczka. Ścieżka schodziła ostro w dół, obejrzał się więc za siebie dopiero wtedy, gdy się znaleźli na ulicy prowadzącej do centrum.

Twarz Jamiego była zaczerwieniona i spierzchnięta, ciekło mu z oczu i nosa.

Graham miał świadomość, że przedstawia sobą bardzo podobny widok. To kolejny powód, dla którego wybrał ową dziką ścieżkę na miejsce szczerzej rozmowy.

Gdy ktoś wracał spod przełęczy w grudniu, nikt nie byłby w stanie stwierdzić, co wywołało taki wygląd - zimno czy może płacz.

- Jamie - adwokat spojrzął na swojego klienta - wiem, że gdybyś musiał, zrobiłbyś to ponownie. Czy jednak w taki sam sposób?

Rysy Jamiego stężały jeszcze bardziej.

- Chciałbym powiedzieć z ręką na sercu, że tym razem zabiłbym również siebie - odparł cicho. - Ale obawiam się, że na to nie miałbym dość odwagi.

## 14.

Kiedy jej syn, Cameron, miał szesnaście lat, Ellen MacDonald zaskoczyła go w intymnej sytuacji z dziewczyną.

Naturalnie zapukała do drzwi pokoju, ale było to szybkie staccato, po którym natychmiast otworzyła drzwi.

Na łóżku klęczał Cam, a obok niego dziewczyna, której Ellen nigdy wcześniej nie widziała na oczy.

Oboje byli do pasa nadzy. Ręce syna zaciskały się na piersiach dziewczyny i w pierwszym odruchu Ellen właśnie na nich skupiła swoją uwagę - z zazdrością kobiety w średnim wieku pomyślała, że jej własny biust już nigdy nie będzie równie jędrny i idealnie kulisty.

Musiała mimowolnie wydać z siebie jakiś dźwięk, bo dziewczyna podniosła wzrok i krzyknęła.

Wówczas Cam odwrócił się gwałtownie i na widok matki jego usta zaczęły się układać bezgłośnie w kształt sylab, których nie był w stanie z siebie wydusić.

Przez dłuższy czas po tym incydencie Ellen nie mogła spojrzeć Cameronowi w oczy.

I nie z powodu jego wstydu czyjej zażenowania.

Owego dnia wydarzyło się coś nieprawdopodobnego, w co nigdy by nie uwierzyła, gdyby sama tego nie doświadczyła.

Minęło tak wiele lat, a ona wciąż żywo pamiętała, co wówczas nią tak wstrząsnęło: oto w ciągu zaledwie kilku sekund, tuż na jej oczach, mały chłopiec przemienił się w młodzieńca.

Ellen musiała natychmiast wyjść z domu Cama po tym, jak nakryła go z Mią.

Po prostu nie ręczyła za własne reakcje. Kiedy zaskoczyła go w takiej sytuacji po raz pierwszy, przypisała zachowanie syna młodzieńczej burzy hormonów. Teraz sytuacja przedstawiała się

zupełnie inaczej. I podczas gdy tamten dawny epizod przyjęła ze spokojem i skwitowała milczeniem, to teraz gotowała się z gniewu i oburzenia - na podobieństwo wulkanu tuż przed gwałtowną erupcją.

Gdyby wiedziała, gdzie jest teraz Allie, natychmiast by do niej zadzwoniła.

Przez najbliższe dwie godziny bezskutecznie próbowała się uspokoić.

W końcu zrozumiała, że musi poddać się gniewowi, i wyciągnęła z pokrowca swoje różdżki.

Przycisnęła przedramiona do bioder, rozluźniła nadgarstki, żeby amortyzowały wstrząsy, a potem ruszyła na obchód domu. Zaczęła od sypialni, miejsca poczęcia Camerona, następnie przeszła do pokoju, który był pokojem dziecięcym, zanim został gabinetem Iana, a wreszcie - do pomieszczenia, które na zawsze pozostanie królestwem jej syna.

Zatrzymała się na samym środku pokoju. Różdżki drgały nieznacznie.

Powiodła wzrokiem po tapecie, przedstawiającej wielkie żaglowce o dziwacznych, grubych masztach, spozjrzała na wąskie łóżko, na którym jej syn sypiał od ósmego roku życia.

Ponownie zerknęła na różdżki i zakłęła pod nosem.

Wciąż lekko drgały, jednak nie chciały się skrzyżować.

Niewykłuczone, że nawet te drgania, przebiegające przez miedziane pręty, nie były oznaką niczego innego poza jej wewnętrznym wzburzeniem.

Jednak Ellen szybciej pozwoli, by szlag ją trafił, niż zrezygnuje z dalszych prób.

Wróciła do sypialni, raz jeszcze przeszła tą samą drogą i ponownie się zatrzymała w pokoju Camerona.

Wciągnęła powoli nosem powietrze, jednak poczuła tylko cytrynowy zapach politurę do mebli.

A przecież coś, co gniło od tak dawna, powinno wydawać z siebie ciężki, łatwo wyczuwalny odór. Ellen opadła na kolana i zajrzała pod kaloryfer, powiodła palcem po podłodze przy kominku, gdzie kiedyś załagał się grzyb.

I przez cały czas powtarzała sobie, że nie spocznie, póki nie wykryje źródła tego moralnego zepsucia, które się wsączło w duszę jej dziecka.



Niech diabli porwą matkę!

Cam postępował krok w krok za Mią, gdy wyrzucała spalone gofry do śmieci, wyciągała swoje skarpetki ze szczelin między poduchami kanapy, zabierała szczoteczkę do zębów z łazienki.

Był napalony jak rzadko, bo nie mogli skończyć tego, co zaczęli, bardzo też chciał szczerze porozmawiać z Mią, ale teraz mógł myśleć tylko o jednym - wciąż jeszcze mieli dla siebie całe dwadzieścia jeden godzin.

- Dokąd idziesz?

Mia wrzuciła Kafkę do plecaka.

- A jak myślisz?

Cam przejechał palcem od nogi po gładkiej desce podłogi.

- W takim razie wpadnę do ciebie później. Tuż po tym jak własnoręcznie uduszę matkę.

- Nie przychodź. - Mia zarzuciła plecak na ramię.

Otarł się o winyl kurtki z głośnym szelestem, który w uszach Cama zdał się dramatycznie finalnym dźwiękiem.

- Mam wiele rzeczy do zrobienia.

- Przecież obiecałaś, że cały ten dzień spędzisz tutaj, razem ze mną.

- To było przedtem. - Odgarnęła włosy z oczu, rękaw kurtki się zsunął i zasłonił całą dłoń Mii, jak u małego dziecka.

Cameron zdjął plecak z jej ramienia, poprawił opadający rękaw. Znowu ukazały się wysmukłe palce. Chwytał je mocno, uniół do ust i zaczął całować.

- Matka nie piśnie słowa - obiecał.

- To nie ma najmniejszego znaczenia. Liczy się tylko to, że wie.

Cam zrozumiał, że w tej chwili nie zdoła jej zatrzymać. Zszedł więc za Mią na dół i dopiero przy drzwiach, kiedy zamierzała wyjść bez pożegnania, chwycił ją za ramiona i zmusił, by spojrzała mu w twarz.

- Czy wiesz, co się czuje - zapytała wówczas - gdy ma się świadomość, że można zyskać szczęście jedynie kosztem unieszczenia wielu ludzi wokół?

Cameron przyłożył dłoń do policzka Mii, gdy ją oderwał, była poznaczona wilgotnymi smugami.

Przed oczami stanęły mu stężale rysy matki, a potem, niespodziewanie, ujrzał twarz Allie.

- Wiem. I to lepiej, niż ci się zdaje - odparł z wolna.

W pośpiechu Mia pozostawiła kilka swoich rzeczy. Bransoletkę, którą Cam wsunął do kieszeni, czystą parę fig, która wymknęła się z plecaka w czasie gorączkowego pakowania, oraz T-shirt z wizerunkiem Minnie i wszytą wewnątrz tasiemką, jakich wymagano na wszystkich obozach - z wyhaftowanym nazwiskiem właścicielki. Obie sztuki ubrania Cameron wcisnął do swojej szuflady z bokserkami i skarpetami.

A potem wciągnął na siebie dżinsy, bluzę z logo college'u St. Andrew's i pojechał do domu matki.

Frontowe drzwi stały otworem, ale Ellen nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Jej różdżki leżały na kuchennym stole. Skrzyżowane!

Co dało Camowi jasne pojęcie o stopniu wzburzenia matki. Ileż to razy słyszał, że różdżek nigdy, przenigdy nie można krzyżować? Delikatnie uniósł miedziane pręty ze stołu, zdumiony mrowieniem, jakie przeszło mu ramiona, i wsunął różdżki do futerału.

Obrócił się w stronę drzwi i ujrzał matkę - stała nie dalej niż metr od niego.

- Do diabła! - mruknął z wymuszonym uśmiechem. - Ty to się umiesz zakradać!

Ellen wojowniczo skrzyżowała ramiona.

- Zamierzasz powiedzieć o wszystkim Allie? - zapytał Cam.

Matka spojrzała mu prosto w oczy.

- To należy do TWOJEJ pokuty.

Camerona dobiegły znane domowe odgłosy - skrzyp podłogi, jęk belek - które straszyły go w dzieciństwie po zapadnięciu zmroku i sprawiały, że w środku nocy biegł do matki, by w jej ramionach odnaleźć bezpieczne schronienie.

- Chcesz porozmawiać o zaistniałej sytuacji? - zapytał cicho.  
Ellen pokręciła głową.

- Nie znam cię - powiedziała.

- Nie na takiego człowieka cię wychowywałam.

W jej słowach zawierało się dodatkowe przesłanie: Nie takie zasady wpajał ci ojciec.

Ileż to razy słyszał podobne kazanie? MacDonaldownie nie kradną i nie kłamią. Biorą odpowiedzialność za własne słowa. I nigdy, przenigdy nie łamią przysięgi.

Jeżeli byłeś MacDonaldem, złożona obietnica wiązała cię aż po grób.

Przed oczami Cama mignęła twarz Jamiego. Co on ślubował swojej żonie? A gdy już o tym mowa, co Cameron ślubował swojej?

Na myśl o Allie zwiesił głowę i skulił się w sobie, przygnieciony ciężarem własnej porwyżności.

Ale niemal natychmiast dotarło do niego, że obecna sytuacja w swojej istocie nie miała nic wspólnego z Allie.

Cam nie zainteresował się Mią dlatego, że chciał poniżyć żonę czy wyrazić niezadowolenie ze swojego stabilnego związku małżeńskiego. Zrobił to z czystego egoizmu. Po raz pierwszy w życiu sięgnął po coś, czego sam szczerze pragnął.

Swego czasu marzył, że będzie całymi dniami chodził w obciętych dżinsach i spłowiałych koszulkach khaki, zostanie podróżnikiem i pisarzem.

Tymczasem był komendantem policji w prowincjonalnym miasteczku i dzień w dzień wkładał sztywno krochmalone mundurowe koszule.

Chciał przemykać nad powierzchnią globu i tylko przysiąść tu i ówdzie niczym ważka zwabiona urodą miejsca.

Jednak wbrew własnej woli został skazany na egzystencję w Wheelock.

Pragnął być jedną z miliona anonimowych twarzy w tłumie przecaczającym się przez Riwierę czy przebiegającym wąskie uliczki w gonitwie byków.

W zamian został powszechnie rozpoznawalnym, tytułarnym przywódcą klanu.

A teraz pożądał Mii tak niepohamowanie, że owo pożądanie wstrząsnęło podwalinami jego przekonań i zasad. Nie był w stanie

się powstrzymać od wyciągnięcia ręki po tę niezwykłą kobietę, nawet gdyby chciał, ponieważ ona była jego ostatnią i największą życiową szansą.

Ellen postąpiła krok bliżej. Cameron przypomniał sobie, jak w czasach dzieciństwa matka rosła w jego oczach, ilekroć się zamierzała, by wymierzyć mu klapsa. Dopiero po latach uświadomił sobie, że była to kwestia zaburzonej percepcji - że wówczas po prostu kulił się w ramionach, przytłoczony jej furią.

Tym razem stał wyprostowany jak struna i znacznie górował nad Ellen.

Uniosła głowę, przez ułamek chwili Cam nie mógł się zebrać na odwagę i spojrzeć na matkę. Kiedy jednak w końcu na nią zerknął, okazało się, że wcale nie piorunuje go wzrokiem.

W jej oczach dojrzał miękkość i niezwykłą głębię morskiego koloru.

„Ożeniłem się z nią z powodu tych oczu - zwykł mawiać Ian MacDonald. - Wpadłem w ich toń i już nigdy nie odnalazłem drogi na powierzchnię”.

- Nie jestem w stanie cię zrozumieć - powiedziała cicho matka i wyszła z kuchni, w której pozostało jednak blade, świetliste wspomnienie postaci Iana i widoku rodziców całujących się ukradkiem za drzwiami spiżarni. A nad owymi wspomnieniami ciężką chmurą zawisło pytanie: jak coś, co zdawało się tak niewiarygodnie piękne i słuszne, mogło być jednocześnie tak niezaprzeczalnie karygodne.

W jednym ręku Graham trzymał czasopismo z artykułem, z powodu którego przebył tę cholerną drogę do Bostonu, do gabinetu doktora Harrisona Hardinga, psychiatry.

W drugim - opinię psychologiczną lekarza stanowego, jaka powstała w rezultacie przerwane go przez Jamiego spotkania.

W trakcie badania pana MacDonalda nie stwierdzono żadnych psychopatologii w rodzaju neurozy, psychozy lub endogennych zaburzeń osobowości.

Pan MacDonald zachowywał się adekwatnie do sytuacji, udzielał logicznych i konkretnych odpowiedzi na pytania. Z przeprowadzonego wywiadu jasno wynika, że zdawał sobie sprawę z natury i konsekwencji własnych poczynań.

Jamie siedział obok Grahama i nerwowo stukał czubkiem buta o podłogę.

W akcie desperacji zgodził się poddać całej baterii testów psychologicznych: na inteligencję według Wechslera, a percepcji tematycznej, testowi Rorschacha i niedokończonych zdań. Mimo to podczas trzygodzinnej jazdy samochodem tłumaczył Grahamowi, że skoro nie jest umyślowo chory, żaden psychiatra nie orzeknie inaczej. W jego opinii doktor Harding nie będzie się wiele różnił od dupka, do którego wysłała go prokuratura.

Graham miał odmienny pogląd na sprawę.

- Jeżeli Harding nie uzna, że byłeś na tyle zaburzony, by zatracić zdolność trzeźwej oceny sytuacji, znajdziemy kogoś, kto to zrobi - oświadczył.

Osobiście jednak nie sądził, że będzie zmuszony szukać gdzieś dalej - poza ścianami tego eleganckiego acz surowego pomieszczenia. Zgodnie z artykułem w „Timie”, którego Graham się uczył niczym tonący brzytwy, doktor Harrison Harding był zagorzałym zwolennikiem eutanazji. I bynajmniej nie owładniętym jakąś manią oszołomem - ale gruntownie wykształconym, kulturalnym i nobliwie wyglądającym rzecznikiem pomocnictwa do samobójstwa.

Wywiad w „Timie” przeprowadzono z nim na fali dyskusji o Kevorkianie, dziennikarz zajmujący się tą sprawą chciał wyraźnie wykazać, że niejeden człowiek nauki - i przy tym lekarz - wierzy w słuszność zabójstwa powodowanego miłosierdziem.

Harding, elegancki mężczyzna o skroniach przyprószonej siwizną, osobiście wyszedł do poczekalni.

- Panie MacPhee - wyciągnął przed siebie dłoń.

- Panie MacDonald.

Graham zwrócił się w stronę Jamiego.

- Poczekaj tu przez moment - polecił niczym nadopiekuńcza matka. - Chciałbym najpierw porozmawiać sam na sam z doktorem Hardingiem.

Jamie burknął coś pod nosem, ale posłusznie usiadł na fotelu i wziął do ręki jedno z leżących obok czasopism. Tymczasem Graham wszedł do wewnętrznego sanktuarium psychiatry, które w odróżnieniu od poczekalni było ciepłe w wystroju i pełne słonecznego światła.

Na plastikowych sześcianach, pełniących funkcję podręcznych stolików, znajdowały się szklane misy z mieszankami orzechów. Doktor Harding usiadł na pękatej sofie, po czym gestem wskazał na jej bliźniaczkę, stojącą vis-a-vis.

- Podjął się pan nie lada sprawy - zauważył.

Graham nakreślił istotę problemu już wtedy, gdy zadzwonił do psychiatry, by umówić termin spotkania.

Teraz w kilku słowach opowiedział lekarzowi, jakie okoliczności doprowadziły do śmierci Maggie i jak postrzega swojego klienta.

- Niekiedy patrzę na niego i myślę: Jak, do cholery, mogłeś się tego dopuścić? A już za następnym rzutem oka mam wrażenie, że zaraz pęknie mi serce - powiedział na zakończenie.

Wziął głęboki oddech i spojrzął Hardingowi prosto w oczy, próbując wysondować, jakie wrażenie wywarł swoją przemową.

Harding skinął sucho głową, ale jego twarz pozostała nieprzenikniona. Ci pieprzeni psychiatry zapewne uczą się tego już na studiach.

- Postanowił pan powołać się na niepoczytalność - zagaił konwersacyjnym tonem lekarz. - Czemu nie na prawo do eutanazji?

- Ponieważ Ameryka nie jest jeszcze na to gotowa - odparł bez mrugnięcia okiem Graham. - A z pewnością nie jest na to gotowe hrabstwo Berkshire, gdzie ława przysięgłych będzie w większości składać się z farmerów, którzy skończyli edukację na szkole podstawowej, i pracowników fizycznych dumających, jak przyspawać kółko do kwadratu.

- Mecenasiu MacPhee, dlaczego pan się zwrócił właśnie do mnie?

Graham po raz pierwszy poczuł się nieswojo.

- Chciałbym, żeby pan ocenił, czy Jamie miał świadomość natury i konsekwencji czynu, który popełnił. Czy zdawał sobie sprawę,

że zabijając żonę, wyrządza zło... tego typu sprawy.

- Nie mogę zaręczyć, że moja ocena psychologiczna będzie zgodna z pańskimi oczekiwaniami.

Graham poczuł, że płoną mu policzki. Gdyby tu wparował i oznajmił, że zmienia linię obrony, Harrison Harding byłby gotów stanąć na czubku fiuta, byle jego nazwisko łączono ze sprawą Jamiego.

- Sądził pan, że zwrócę się o pomoc w uzasadnieniu prawa do eutanazji. - mruknął.

Psychiatra skinął głową, po czym westchnął cicho.

- Opowiem panu kilka słów osobie.

Moja żona i trzyletnia córka padły ofiarą snajpera, który wziął na cel jeden z barów KFC w Chicago.

Dziecko zginęło na miejscu, moja żona przez następne trzy lata leżała podłączona do respiratora.

Była karmiona przez rurkę, nosiła pieluchę i z każdym dniem marniała tak bardzo, że w końcu nie byłem pewien, kogo właściwie mam przed sobą. To doświadczenie uczyniło ze mnie zwolennika eutanazji.

Graham słuchał lekarza niczym w transie.

- Ale jej pan nie zabił.

- Co nie znaczy, że nie miałem ochoty tego zrobić. Czy że chciałbym odmówić tego prawa innym.

Graham przejechał palcem po brzegu miski z orzechami.

- W takim razie pan i Jamie będziecie mieli wiele wspólnych tematów do rozmowy.

Przez dłuższy czas obaj mężczyźni milczeli. W końcu Harding wstał z kanapy i podszedł do okna.

- Nie mogę niczego obiecać, a już z pewnością nie mogę formułować żadnych sądów przed spotkaniem z panem MacDonaldem. Niemniej, chciałbym zwrócić uwagę, mecenasie, na parę aspektów, które powinien pan rozważyć.

Na przykład impulsywność pańskiego klienta.

Czy Jamie MacDonald należy do facetów, którzy ni stąd, ni zowąd pakują walizki i wyjeżdżają na Fidżi, bo akurat przyszła im na to ochota? Czy raczej kupiłby bilet z sześciomiesięcznym wyprzedzeniem po promocyjnej cenie? Nie należy też pominąć ewentualności

regresji - tym mianem określamy zjawisko umysłowego cofnięcia do poziomu z okresu dzieciństwa. Zdarza się to niekiedy pod wpływem silnego stresu.

Graham wyciągnął notes i szybko poczynił kilka zapisków.

- Jeszcze inna teoria - zwana fuzją - głosi, że w określonych okolicznościach osoba o kruchej osobowości może mentalnie utożsamić się z kimś bliskim - ciągnął tymczasem Harding. - W takim wypadku Jamie współodczuwałby ból żony. W swoim wyobrażeniu przeżywał identyczne katusze. Zabijając ją, kładłby kres nie tylko jej cierpieniom, ale także swoim własnym.

- Tutaj chyba trafił pan w sedno, doktorze - zdecydował Graham. - Obawiam się jednak, że ta linia obrony nie przejdzie w sądzie.

Doktor odwrócił się od okna w zamyśleniu.

- W sytuacjach ekstremalnych przedłużający się stres może prowadzić do epizodów psychotycznych.

Proszę pomyśleć o weteranach z Wietnamu, cierpiących na PTSD - zespół stresu pourazowego. Niektórzy z nich dopuszczali się morderstw, bo nagle w ich wyobrażeniach stojący obok człowiek stawał się żołnierzem Wietkongu.

- Porozmawia pan z Jamiem? - Graham uniósł pytająco brwi.

Harding skinął głową.

- Przecież nie zabrał pan go tutaj jedynie w charakterze towarzysza podróży. - Podeszedł do drzwi i skinął na Jamesa, który zerwał się z miejsca z entuzjazmem szczenięcia, zbyt długo zmuszonego do siedzenia w jednym miejscu.

- Panie MacDonald - Harding skinął głową. - Pilnie śledzę pańską sprawę.

Jamie przenosił spojrzenie z psychiatry na Grahama i z powrotem.

Potem usiadł na kanapie i wojowniczo skrzyżował ramiona.

- Pewnie mam się położyć i opowiedzieć o swojej matce.



- Nie - odparł Harding.

Oparł się o kant biurka i sięgnął po mały dyktafon.

- Chciałbym nagrywać naszą rozmowę. Nie ma pan nic przeciwko temu? - Wcisnął czerwony guziki spojrzawszy uważnie na Jamiego. - Owszem, zamierzam zadać panu kilka pytań. Ale najpierw proszę wysłuchać opowieści o mojej żonie.

Cam przeglądał stare rachunki za naprawy radiowozów, gdy na posterunek weszła jego matka.

Nie widział się z nią od tygodnia - od czasu niefortunnego incydentu - wiedział jednak, że rozmawiała z Allie i nie puściła pary z ust. Ellen dzwoniła do synowej, by powiedzieć, że w tym roku nie przyjdzie na bożonarodzeniowy obiad, znajoma z komuny z Vermontu zaprosiła ją na święta.

- Jestem trochę rozczarowana - przyznała Allie. - Ale wobec perspektywy konnego kuligu i seansu spirytystycznego odpadamy w przedbiegach.

Matka stanęła w drzwiach jego biura z dwoma pięknie opakowanymi prezentami w rękach.

- Wesołych świąt - powiedziała z kwaśną miną.

- Wesołych świąt - mruknął w odpowiedzi, nie podnosząc oczu.

Wstał z fotela i wcisnął dłonie do kieszeni.

- Słyszałem, że wyjeżdżasz.

Ellen skinęła głową.

- Do wspólnoty Peace of n Living. Po śmierci męża założyła ją pewna kobieta, którą rok temu poznałam na zajęciach shiatsu. - Bezceremonialnie rzuciła prezenty na biurko. - Wprosiłam się. Nie byłabym w stanie spojrzeć Allie w oczy. Bóg jeden wie, jak tobie się to udaje.

Cam w końcu podniósł wzrok na matkę.

- Powiem jej. Naprawdę. Ale nie porzucę Mii.

- A czy ktoś poinformował Cię, jak bezsensowne jest wiązanie się z mężczyzną, który już raz opuścił swoją kobietę? Historia lubi się powtarzać.

Ellen wyprostowała ramiona i dotknęła prezentów leżących na biurku.

- Ten chudy jest dla ciebie - powiedziała. - Powinieneś otworzyć go w mojej obecności.

Cameron rozerwał zielony papier, rozplątał wstążki i ujrzał ręcznie wykonaną, słomianą zmiotkę o rączce z drewna sasafrasowego, rzeźbionej na kształt ludzkiej twarzy.

- Miotła?

Ellen zahaczyła palcem o rzemienną pętlę przytwierdzoną, do trzonka.

- Stary zwyczaj każe obdarować zakochaną parę miotłą na szczęście - powiedziała. - Więc to prezent wyjątkowo na czasie. I chociażbym wolała, aby wydarzenia potoczyły się inaczej, mimo wszystko życzę ci szczęścia, Cam. - Wskazała na rzeźbioną twarz steranego życiem starca. - To wyobrażenie strażnika drzew. Pomaga w duchowym oczyszczeniu. - Położyła dłoń na ramieniu syna. - Gdyby Bóg chciał, żebyśmy kierowali się odruchami, nie obdarzyłby nas rozumem. - Przytuliła Camerona mocno do siebie i wówczas owiął go zapach miętówek oraz Chanel 5 - aromatów, które snuły się wokół niego przez całe dzieciństwo.

- Obiecuj mi - ponownie odezwała się Ellen - że tym razem pomyślisz dwa razy, zanim coś zrobisz.

Mia otworzyła dekoracyjne pudełko i ujrzała w środku kraciasty szal w barwach MacDonaldów z Carrymuir.

- Dzięki - powiedziała z uśmiechem.

Udrapowała miękką tkaninę wokół nadgarstka, po czym zerknęła na Allie spod oka.

Co miał oznaczać ten prezent? Czyżby się dowiedziała?

- Ja nic nie mam dla ciebie. Bardzo mi przykro.

Allie uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Niczego nie oczekiwałam. Jeśli to poprawi ci samopoczucie, uznaj ten szal za gwiazdkową premię za zajęcie się kwaciarnią podczas mojego pobytu w Cummington. Gdyby nie ty, musiałabym zamknąć sklep.

Mia roześmiała się nerwowo. Dzisiaj, w dzień po Bożym Narodzeniu, praktycznie nie było żadnego ruchu, więc zajmowały się inwentaryzacją towaru i porządkowaniem wszystkich pomieszczeń,

zarzuconych ścinkami aksamitnych wstążek i pudełkami po świecach - pozostałościami po tworzonych w szaleńczym tempie świątecznych wieńcach. Mia nie widziała się z Camem w Boże Narodzenie, jedynie przez krótki moment w Wigilię, gdy przyjechał po żonę. Święta mieli celebrować dzisiaj. Ciekawe, jaką wymówkę wymyślił Cam, by urwać się na wieczór z domu.

Allie kręciła się po sklepie, zbierając kawałki florystycznej gąbki i szpule po wstążkach, które się uchowały przed miotłą. Miała na sobie nowe, zapewne otrzymane na Gwiazdkę ciuchy - różowe spodnie i luźny sweter w szaro-biało-różowe wzory. Poza tym co chwila unosiła dłonie do uszu i przesuwała palcami po kolczykach z szafirami.

- Czyż nie są cudowne? - Ton jej głosu jasno wskazywał, że to pytanie retoryczne. - Dostałam je od Cama.

- Bardzo ładne. - Mia starała się zachować obojętny ton głosu. - A co ty mu podarowałaś?

- Mnóstwo różnych rzeczy. - Allie chwyciła za miotłę i oparła się na trzonku. - Kilka T-shirtów, przenośny odtwarzacz CD, gitarę.

- Gitarę? Cam umie grać na gitarze?

Allie uśmiechnęła się przebiegle.

- Jeszcze nie. Ale wykupiłam mu również lekcje. Zawsze marzyłam o facecie, który śpiewałby dla mnie miłosne serenady.

Mia podeszła do niskiego stolika, gdzie stały drzewka bonsai, nad którymi rozpoczęła z Allie pracę kilka miesięcy temu. Przesunęła palcami po gałęziach, wciąż zadrutowanych, nienaturalnie powyginanych na boki i ku dołowi.

- Musisz pozbyć się tych pączków - pouczyła machinalnie.

A potem podeszła do chłodni i wyjęła ze środka swój jogurt.

Przypomniała sobie, jak razem z Cameronem stali pod prysznicem w łazience przylegającej do małżeńskiej sypialni Allie i wyspiewywali na całe gardło: „Row Row Row Your Boat”.

- A czy umie śpiewać? - spytała.

- Ani trochę - odparła Allie. - Ale mój świąteczny budżet był zbyt skromny, żeby temu zaradzić.

Mia miała duże problemy z wynalezieniem prezentu dla Cama.

Bardzo chętnie kupiłaby mu ciepły sweter lub miękką, bawełnianą koszulę - wówczas, rozbierając go, dotykałaby czegoś, co wreszcie sama wybrała - ale zdawała sobie sprawę, że to absolutnie wykluczone.

Co powiedziałyby żonie, gdyby zobaczyła w szafie nowe ubrania, o istnieniu których nie miała pojęcia?

Cam nie należał do facetów wpadających podczas lunchu do galerii handlowej na zakupy, jeżeli potrzebował, powiedzmy, nowych dżinsów, zapisywał Allie na kartce rozmiar w pasie i długość nogawek.

To samo odnosiło się do elektroniki czy sztuki użytkowej. Bez sensu byłoby również kupowanie mu karnetu na mecze Bruinsów, ponieważ już miał problemy ze znalezieniem czasu na ich ukradkowe spotkania, nie mogła więc oczekiwać, że wygospodaruje go jeszcze więcej. W końcu tak bardzo pochłonęło ją szukanie prezentu dla Camerona, że pewnego dnia zadzwoniła do kwiaciarni, wymówiła się chorobą, a potem cały dzień przesiedziała w pokoju nad katalogami wysyłkowymi, które zaścielały łóżko niczym wielobarwny patchwork.

- A więc nieuchronnie zbliża się proces Jamiego - zauważyła.

Allie na ułamek sekundy przerwała zamiatanie.

- Do rozprawy pozostał już niecały miesiąc. Wprost nie mogę w to uwierzyć.

- Że zostało tak niewiele czasu?

- Nie - odparła Allie. - Że Jamie w ogóle musi stanąć przed sądem. - Oparła miotłę o ladę i podparła się pod boki. - Prawdopodobnie nie będzie mnie w kwiaciarni przez kilka następnych dni, aż do Nowego Roku. Graham poprosił, żebym przeprowadziła jakąś sondę telefoniczną.

- Sondę?- Mia wygrzebała ostatnią łyżeczkę jogurtu i odstawiła plastikowy pojemniczek na wielki, woskowy liść bananowca. - W jakim celu?

- By pomóc w wyselekcjonowaniu członków ławy przysięgłych. Zdaje się, że Graham chce przechytryć system.

Dzisiaj mamy się spotkać z pewnym profesorem uniwersytetu, który wyjaśni, o co dokładnie w tym chodzi.

A potem wrócę do domu, do Cama. Te słowa nie zostały wypowiedziane, ponieważ dla Allie to była oczywista rutyna.

Mia spoglądała na stół, przesunęła wzrokiem po spiralnych liniach słoików. Chciała tego, co miała ta kobieta.

Chciała przyjścia i odejścia Cama przyjmować jako oczywistość nie przyprawiającą o szybsze bicie serca i mrowienie w palcach.

Sześć godzin, pomyślała. Jeszcze sześć godzin i on znów będzie należał do ciebie. Uniosła głowę i zobaczyła, że Allie patrzy na nią szczególnym wzrokiem.

- Nie masz nic przeciwko? - zapytała i Mia zamarła.

Jakie ważne pytanie jej umknęło?

- Przeciwko czemu?

- Że kwaciarnia znowu zostanie na twojej głowie.

Mia wrzuciła pojemnik po jogurcie do dziury w blacie stołu, pod którą stał duży pojemnik na śmieci.

- Oczywiście, że nie - odparła. - Z chęcią zajmę twoje miejsce.

Graham MacPhee z zasady nie uznawał randek w ciemno.

Uważał, że zdradzają jakąś skazę charakteru - głęboką niczym wulkaniczny krater.

Zawieranie znajomości w taki sposób było dla niego równoznaczne z wypaleniem sobie na czole słowa: FRUSTRAT.

Spędzał wieczory poza domem, gdy miał na to ochotę, co nie zdarzało się często, bo małe miasteczko nie oferowało zbyt wielu atrakcji. Ale z powodu ograniczonego życia towarzyskiego matka zaczęła ostatnio poważnie go podejrzewać o to, że jest gejem.

Matka Grahama była higienistką dentystyczną i bez przerwy próbowała mu narazić córkę lub siostrzenicę którejs z swoich pacjentek. „To cudowna dziewczyna - unosiła się podczas niedzielnego obiadu.

- Ukończyła studia w Skidmore z wyróżnieniem”.

Graham swego czasu podrywał dziewczyny w barze country western w innym miasteczku, leżącym na południe od Wheelock, ale

dojazd tam zajmował mu ponad pół godziny, a na dodatek po jednym z wypadów wrócił z wszami łonowymi, więc od jakiegoś czasu był samotny i żył w celibacie.

Z okazji ostatnich urodzin matka zapisała go do biura matrymonialnego, Graham jednak nigdy się tam nie zjawił, a ich broszurę wywalił do kosza.

Teraz matka miała obsesję na punkcie Weroniki Daws, która przyszła do gabinetu w trybie interwencyjnym z powodu wyflukanej plomby. Weronika była nauczycielką w młodszych klasach podstawówki, miała kręcone blond włosy i - według słów matki - oszałamiającą figurę. A co najważniejsze, wyraziła gotowość spotkania z Grahamem.

- To wspaniale - powiedział, gdy usłyszał tę wieść. - Ale ja nie mam na to ochoty.

Wówczas matka rozpoczęła swoją krucjatę. Skądś wytrzasnęła zdjęcie Weroniki - przeciętnie atrakcyjnej dziewczyny - i wysłała je Grahamowi listem poleconym za potwierdzeniem odbioru. Wspominała o Weronice przy okazji każdej rozmowy telefonicznej i każdego posiłku rodzinnego, aż w końcu Graham doszedł do wniosku, że mniej go będzie kosztować randka w ciemno z tą panną niż wysłuchiwanie trucia matki do końca swoich dni.

- Słyszałam o tym procesie, w którym masz wystąpić - oznajmiła Weronika Daws, grzebiąc widelcem w sałatce cesarskiej.

Od początku posiłku zgrabnie przemieszczała dania po talerzach, tworząc z nich wymyślne, abstrakcyjne kompozycje, jednak do tej pory Graham nie widział, żeby wkładała cokolwiek do ust. - Ciężka sprawa.

CIEŻKA? Posłał jej gniewne spojrzenie, ale szybko się zreflektował. Musi okazać tej kobiecie odrobinę wyrozumienia. Ostatecznie jakim innym słowem mogłaby zredukować płataninę skomplikowanych emocji składających się na przypadek Jamiego MacDonalda do poziomu pojęciowego trzecioklasisty?

- Zrobił to? - spytała.

Spoglądała na Grahama niebieskimi, dziecięco niewinnymi oczkami, dziobała widelcem liście sałaty i bezbłędnie realizowała

uniwersalne przykazanie widniejące we wszystkich podręcznikach dla randkujących kobiet: wciągnij faceta w rozmowę na tematy dla niego interesujące.

- Tak - odparł Graham.

Weronika wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

- Uch. Jak w ogóle możesz siedzieć z nim w jednym pokoju?

Adwokat spojrział ponad ramieniem dziewczyny na ścienny zegar wiszący nad barem.

- To nie jest człowiek o mentalności Charliego Mansona. Nie muszę się lękać o własne życie.

- Mimo wszystko - nie ustępowała Weronika. - Sam powiedziałeś, że ją zabił. To znaczy, wiem, że ona umierała i w ogóle, ale to nie dawało mu prawa do zabawiania się w Pana Boga.

Graham błysnął uśmiechem.

- Wybacz, muszę cię zostawić na moment.

Wszedł do toalety i stwierdził, że jedyne istniejące tu okno jest usytuowane zbyt wysoko, a na dodatek jest zbyt małe, by zdołał się przez nie przecisnąć.

Wzdychając ciężko, usiadł na opuszczonej klapie klozetu.

Jasne, Jamie zabawił się w Boga. Ale zrobił to na prośbę Maggie. Graham mógł zrationalizować czyn swojego klienta na setki różnych sposobów - egzystencję w stanie wegetatywnym trudno nazwać życiem, osoba cierpiąca męczarnie ma prawo żądać ich skrócenia, akt miłosierdzia ze swojej istoty nie ma nic wspólnego z morderstwem.

Na poziomie abstrakcyjnego konstruktu większość ludzi zgodzi się z tymi twierdzeniami.

One nie zmieniają jednak faktu, że Jamie MacDonald przycisnął poduszkę do twarzy żony i trzymał tak długo, póki Maggie nie przestała oddychać.

W gruncie rzeczy nie będzie miało znaczenia, jaką etykietką Graham opatrzy emocjonalne motywy działania Jamiego. Miłość, strach, desperacja, litość. Może zadziałały wszystkie te uczucia naraz, może żadne. Tak naprawdę liczyło się tylko jedno: Jamie MacDonald posunął się do czynu, na jaki nie zdobyłaby się większość praworządnych obywateli.

Graham doskonale wiedział, dlaczego Weronika Daws nie pojmowała jego stosunku do sprawy Jamiego.

I dlaczego kelner posłał mu szczególne spojrzenie spod oka na dźwięk nazwiska „MacPhee” podczas rezerwacji stolika. Trudno było przeciętnemu człowiekowi wznieść się ponad poziom twardych realiów oraz czarno-białych dowodów, takich jak zwłoki ofiary, i wejść w szarą sferę abstrakcyjnych dociekań nad istotą ludzkich motywacji i zagmatwanych uczuć.

Trudno przyznać przed samym sobą, że ktoś miał od nas więcej odwagi, niż my mielibyśmy w identycznej sytuacji, lub że kochał wszechogarniającą miłością, której nam nigdy nie było dane doświadczyć. A ponieważ ludziom tak trudno było to pojąć, Graham wiedział, że jedyną szansą wybronięcia Jamiego było przekonanie przysięgłych o jego niepopczyktałości.

Postanowił, że resztę tej randki potraktuje jak próbną rozprawę - postara się przeciągnąć Weronikę na swoją stronę. Była młoda i wrażliwa, teoretycznie mogłaby zasiadać w ławie przysięgłych.

„Wiesz - powie jej, gdy tylko zasiądzie za stołem - w procesach karnych często trzeba oceniać wydarzenia, które nie są tym, czym się wydają na pierwszy rzut oka”.

Graham szybko przecwiczyl przed lustrem pierwsze zdanie swojej próbnej mowy wstępnej i wyszedł z toalety.

Na jego widok Weronika - zarumieniona, podniecona - zamachała ręką. Graham poprawił krawat, zastanawiając się jednocześnie, czy w sprawach uczuciowych będzie miał kiedykolwiek tyle szczęścia co Jamie.

Fyvel Adams, profesor socjologii na Uniwersytecie Stanu Massachusetts w Amherst, pracował w kanciapie niewiele większej od przeciętnej szafy, ale już na wstępie uprzedził, że do gromadzenia oraz obróbki danych nie potrzeba wiele przestrzeni i światła.



Allie i Graham czekali w holu, oświetlonym jarzeniowymi żarówkami strategicznie rozmieszczonymi w metrowych odstępach od siebie. Ich zimny blask uwydatniał cienie pod oczami Grahama i cień zarostu na twarzy.

Patrząc na niego, Allie się zastanawiała, czy adwokat cierpi ostatnio na bezsenność, czy jego wygląd jest jedynie wynikiem piwnicznej aury panującej w tym miejscu.

Graham wyjaśnił Allie procedurę selekcji przysięgłych podczas długiej jazdy do Amherst.

Wybiera się ich z listy trzystu przypadkowo wylosowanych mieszkańców hrabstwa Berkshire, zarejestrowanych jako wyborcy. Sonda, którą miała zająć się Allie wraz z profesorem Adamsem, zostanie przeprowadzona na ich własnej losowej próbie obywateli. Następnie cechy osobowościowe osób przychylnie nastawionych do sprawy zostaną komputerowo przypisane parametrom demograficznym, takim jak wiek, płeć, zawód, poglądy polityczne. W rezultacie otrzymają profil idealnego przysięgłego dla tej konkretnej rozprawy i podczas selekcji członków ławy Graham będzie konfrontował kandydatów z tym wzorcem.

Fyvel Adams był takiego wzrostu, że Allie miała tuż przed oczami jego jabłko Adama.

Naukowiec w ogóle zdawał się składać z samej szyi - był nadzwyczaj chudy, a jego wąska głowa wydłużała się dodatkowo w śmieszny czubek. Przyprowadził ze sobą dwójkę studentów - swoich magistrantów - którzy ochotniczo i z zapalem postanowili pomóc Allie w przeprowadzeniu sondy.

Profesor rozłożył kilka dużych arkuszy na podłodze, żeby Allie i Graham mogli je dokładnie obejrzeć.

- Tutaj mamy dane bazowe - oznajmił, wodząc palcem po pierwszej stronie. - Wiek, płeć, wyznanie, narodowość i tym podobne. - Przerzucił kartkę na drugą stronę i zaczął szkicować wykres, który niczego nie mówił ani Grahamowi, ani Allie.

- A tutaj obszar ogólnikowych, wieloznacznych stwierdzeń.

Allie przyklęknęła i wpatrzyła się w marnie wydrukowany drugi arkusz.

Instrukcja mówiła, że respondent ma ocenić podane stwierdzenia

w skali od 1 do 4, gdzie 1 oznaczało „zdecydowanie tak”, a 4 „zdecydowanie nie”. Allie przeczytała pierwsze z owych stwierdzeń: W określonych okolicznościach można usprawiedliwić łamanie prawa. Ciężka praca gwarantuje osiągnięcie sukcesu. Bóg stworzył człowieka, nauce nie wolno tego podważać. Jeżeli lekarze stwierdzą śmierć mózgową pacjenta, można go odłączyć od maszyn podtrzymujących życie.

- Zapowiada się niezła zabawa - mruknęła Allie, podnosząc się z kolan.

Wyciągnęła z torebki rejestr wyborców hrabstwa Berkshire, w którym każde co siedemdziesiąte dziewiąte nazwisko było oznaczone czerwoną kropką.

- Ile to zajmie czasu?

Graham przetarł dłonią twarz.

- Mniej więcej tydzień - odparł. - Ty będziesz dzwonić z mojej kancelarii, dzieciaki skorzystają z telefonów wydziału socjologii.

Poczęstował Adamsa szerokim uśmiechem, podziękował mu za współpracę, po czym delikatnie ujął Allie pod łokieć i wyprowadził z profesorskiej pakamery.

- Na co ja, do diabła, liczę? Chyba mi odbiło.

Allie uśmiechnęła się promiennie.

- W każdym razie należy ci się plakietka wzorowego ucznia za wysiłki.

Graham parsknął kpiąco.

- Żeby wygrać ten proces, musiałbym być pieprzonym prymusem.

Praktycznie w milczeniu powrócili do Wheelock i kancelarii „MacPhee MacPhee”, gdzie resztę popołudnia Allie spędziła nad sałatką z kurczaka, przyniesioną z kafeterii, i ze specjalną słuchawką w ucho, która podczas rozmowy telefonicznej pozwalała na pełną swobodę rąk. Allie właśnie zakończyła czterdziesty wywiad, gdy do gabinetu wszedł Graham.

- Odkryłaś jakieś perły? - zapytał, kartkując wypełnione arkusze odpowiedzi.

Allie wzruszyła ramionami.

- Przerażająco konserwatywni ludzie. Mam wrażenie, że każdy, z kim rozmawiałam, potajemnie wspiera Ku-Klux-Klan. No może oprócz tych kilku osób, które stwierdziły, że są zbyt zajęte na prowadzenie pogawędek z telemarketerem, i w ogóle jak ja bym się czuła, gdyby ktoś nagabywał mnie we własnym domu.

Graham wybuchnął śmiechem.

- Mam nadzieję, że podałaś im swój numer. - Wetknął do ust kopsiastą łyżkę sałatki z kurczaka. - Wychodzę - oznajmił. - Mam własne metody oceny kandydatów na przysięgłych.

Allie zerknęła na prawnika spod oka.

- W drodze powrotnej kup mi kawę. Zapowiada się ciężki wieczór.

Graham usiadł w samochodzie i z teczki wyjął swoją kopię rejestru wyborców. Pierwsze nazwisko na liście to Marlene Abbot, 59 Cheshire Road, Wheelock.

Ruszył ulicą główną i tylko raz pomylił przecnicę, zanim odnalazł tę właściwą.

Dom Abbotów był niewielkim bungalowem, przed którym na wysokim maszcie powiewała amerykańska flaga. Graham pilnie odnotował ten fakt.

Domy jeszcze dwóch innych wyborców z Wheelock odznaczały się cechami, które w oczach Grahama były symbolami ortodoksji: ogrodzenia z metalowej siatki, owczarki niemieckie, pedantycznie wypielęgnowane trawniki.

Ze ściśniętym gardłem pilnie zapisywał te szczegóły.

Następna osoba, której obejście postanowił obejrzeć, to Lawrence Alban zamieszkały w Hanckock przy Groundhog Path 7572. Droga do sąsiedniego miasteczka zajęła Grahamowi trochę czasu, ale zdołał odnaleźć na mapie poszukiwany adres.

Kołpaki samochodowe walające się po podwórku, dom pomalowany na zjadliwie zielony kolor, karmniki dla ptaków wykonane własnym sumptem. Graham uśmiechnął się szeroko i postawił dużą gwiazdkę przy nazwisku będącym pierwszym zwiastunem nonkonformizmu.

Z okazji Bożego Narodzenia Mia podarowała mu świat. Cam rzucił opakowanie na podłogę i zaczął obracać w palcach maleńki glob.

Nie był osadzony na żadnej osi, w miejscu utrzymywała go jakaś magnetyczna siła - lub czary.

- Podszlifuj swoją wiedzę geograficzną - powiedziała ze śmiechem, dotykając barwnej kuli.

A potem uraczyła go jedną z tych ułud, w które chce się wierzyć w okresie Bożego Narodzenia.

- Kiedyś razem zwiedzimy wszystkie te miejsca. -Fantastyczny prezent - zachwycał się Cam.

- Wprost idealny. Ucałował Mię i pomyślał o Allie.

Dostał od niej gitarę, na której nie umiał grać Żona kupiła ten prezent z myślą o sobie samej, nie o nim.

Tymczasem Mia podarowała mu coś, co chciał dostać i z czego szczerze się ucieszył.

- Skąd wytrzasnąłeś to чудо?

Mia nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Cameronowi podobał się prezent. Naprawdę mu się podobał!

- Wybrałam z katalogu sklepu oferującego prezenty dla mężczyzn, którzy mają już wszystko.

- Ja nie mam wszystkiego - zaproponował Cam. „Nie mam ciebie”.

- No nie wiem. - Mia objęła go w pasie. - Jak na mój gust jesteś na najlepszej drodze do spełnienia amerykańskiego snu.

Cam zamyślił się nad tą uwagą. Miał dom, parę samochodów, urządzonego ogródek. Żonę i w perspektywie dzieci.

To wszystko składało się na ładny obrazek, problem w tym, że Mia znajdowała się poza jego ramami. I to budziło w Cameronie straszny lęk.

- Chciałam podarować ci coś, co mógłbyś trzymać w biurze. I żeby się zmieściło na dnie dolnej szuflady.

Cam odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy.

- Nie zamierzam nigdzie chować mojego prezentu. Zresztą i tak przez większość dnia będę się nim bawił. Leżeli na łóżku w Wheelock Inn, rozciągnięci na brzuchu. Przed nimi, na wyciągnięcie ręki, migotał ziemski glob.

Niczym ślepcy, wodzili palcami po reliefowej powierzchni kuli - wyrzuceniu Himalajów, płaszczyźnie Sahary, niecce Morza Śródziemnego.

- No cóż. - Z kieszeni na piersi Cam wyciągnął kopertę.

- Mój prezent nie jest równie egzotyczny. Niemniej, wszystkiego najlepszego z okazji świąt.

Mia niecierpliwie rozdarła kopertę. Wewnątrz znajdowała się broszura o wysmakowanym liternictwie, reklamująca Braebury House, pensjonat położony u stóp Gór Białych w stanie New Hampshire.

Mia zapatrzyła się na fotografię przedstawiającą fotel babuni stojący przed kominkiem, w którym trzaskał ogień, łóżko z baldachimem, piękne antyki.

- Za dwa tygodnie, licząc od dzisiaj - powiedział Cam, patrząc Mii błagalnie w oczy. - Powiem, że jadę na szkolenie do New Baintree. Twoja ciotka znowu zapadnie na zdrowiu.

Mia zaczęła się zastanawiać, jak by to było, gdyby miała Cama dla siebie przez cały weekend - i to w miejscu, gdzie nikt go nie znał i nie mógł ferować wyroków. Gdzie nikt nie patrzyłby na nią jak na „tę drugą”. Próbowała sobie wyobrazić, że nagle staje się częścią pary - takiej nierozdzielnej, jaką tworzyli jej rodzice, którzy nawzajem czytali w swoich myślach. Co poczuje, gdy choć przez chwilę nie będzie outsiderką.

Cam przycisnął policzek do jej szyi, jakby chciał stłumić jej wszelkie wahania, jakby myślał, że ona naprawdę mogłaby odmówić.

- Proszę - wyszeptał. - Chciałbym spróbować raz jeszcze.

W Wheelock o wiele huczniej od Bożego Narodzenia świętowało się Hogmanay, czyli sylwestra.

Tego dnia, podobnie jak w Szkocji, niemal wszyscy się upijali, a po północy sąsiedzi odwiedzali się nawzajem z kruchymi ciasteczkami, butelkami wina lub markowej whisky.

Cam zawsze pracował w wigilię Nowego Roku, więc dla Allie owa noc nie różniła się specjalnie od innych - poza hałasami

dochodzącymi zza okna: pijackimi śpiewami i hukiem fajerwerków odpalanych przez nastolatków na mokrych, zimnych ulicach.

W tym roku Allie namawiała Angusa i Jamiego, żeby wpadli do niej wieczorem i wspólnie obejrzeliby relację z Times Square w Nowym Jorku. Ale Angus poburczał coś pod nosem, a potem stwierdził, że skoro udało mu się przeżyć kolejny rok, to zamierza uczcić ten fakt kilkoma godzinami zdrowego snu. Natomiast Jamie, cóż, Jamie zdecydowanie nie był w nastroju do świętowania.

- W takim razie wpadnij chociaż po północy - nalegała Allie. - Wiesz, co mówią o pierwszym gościu w nowym roku. Jeżeli będzie to wysoki, ciemnowłosy mężczyzna z naręczem jedzenia, gospodarczy czeka szczęśliwy, bogaty rok.

Jamie roześmiał się głośno.

- Cam jest równie wysoki jak ja. Poza tym nie sądzę, by miał ochotę stuknąć się zemną szklaneczką po całej nocy pakowania pijaków do aresztu.

Tak więc Allie została skazana na samotne świętowanie. O jedenastej w nocy wyjęła butelkę glenfiddicha, którego nigdy wcześniej nie piła, i pierwszego drinka wychyliła duszkiem. Nim minęło w pół do dwunastej, wypła dwa następne. O północy czuła się naładowana energią i chętna do zabawy - w żołądku czuła przyjemne, rozgrzewające palenie, wydawało jej się, że jest w stanie zawojować cały świat.

Przez chwilę popatrzyła na Dicka Clarka, a potem poszła na górę. W Hogmanay Cam zazwyczaj wracał do domu po drugiej nad ranem. Do tego czasu Allie zdążyła się wykąpać i zmienić pościel w nadziei, że ukochany mężczyzna nie zjawi się zbyt wyczerpany trudami służby.

Tuż po pierwszej sypialnia prezentowała się przepięknie. Wypełniała ją światło bożonarodzeniowych świec i zapach olejku różanego, dodanego do detergentu, w którym prała się pościel. Allie co prawda wciąż była ubrana w obszerną, bawełnianą piżamę i wielkie pluszowe kapcie w kształcie słoni, ale miała jeszcze aż nadto czasu, by się przebrać. Wzdychając, rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia.

Nie miała szczególnej ochoty na porządki w szufladach Cama, ale postanowiła okazać mężowi wielkoduszność. Zawsze ją zdumiewało, że ktoś, kto na co dzień prezentował się nienagannie w wykrochmalonych, mundurowych koszulach, niemal z uporem maniaka gniótł wszystkie inne sztuki garderoby.

Allie zauważyła kiedyś żartobliwie, że Cam tylko dlatego został policjantem, ponieważ nie umiałby utrzymać w odpowiednim stanie żadnego innego ubioru poza mundurem.

On odparł na to, że gdy był dzieckiem, Ellen prasowała nawet jego majtki, więc może obecna niechęć do idealnie wygładzonych ubrań brała się z podświadomego buntu.

Allie otworzyła szufladę z T-shirtami, przejechała dłonią po tęczy kolorów.

Nie mogła sobie wyobrazić Ellen prasującej bokserki - prasującej cokolwiek, gdy już o tym mowa.

Prasowanie kłóciło się z jej obecnymi zasadami - ponoć pozbawiało tkaniny ich osobowości i zabijało naturalność. Teściowa skrytkowała nawet Allie za drzewka bonzai. Bo jak można pętać drutem twór natury, który miał się bujnie i swobodnie rozrastać.

Allie odruchowo poukładała T-shirty męża według kolorów. Wiedziała, że ten stan nie utrzyma się dłużej niż jeden dzień, ale nie miała nic innego do roboty.

A gdyby po wypiciu takiej ilości whisky położyła się do łóżka, po minucie spałaby jak zabita.

Czerwone koszulki na górze, granatowe i błękitne na dole. Białe i te z nadrukiem z boku, na odrębnej kupce.

Otworzyła kolejną szufladę i zaczęła związać parami skarpetki.

- Skaaarbie. - mruknęła, wyciągając z kłębu jedną szarą podkolanówkę - zaraz znajdę dla ciebie towarzyszkę!

Po chwili poszukiwań rzeczywiście tego dokonała. I w niedługim czasie wszystkie skarpetki leżały na komodzie starannie pozwijane w kłębki.

Allie dumnie powiodła wzrokiem po swoim dziele i w tej samej chwili usłyszała kroki Cama na schodach.

Odwrociła się w stronę drzwi z błyszczącymi oczami i płonącymi policzkami.

- Aha! - mruknęła. - Gdy pierwszym wchodzącym jest rudzielec, to nie wróży niczego dobrego. - Niepewnym krokiem podeszła do męża, uczepliła się przodu jego koszuli.

Cam poczuł zapach whisky, praktycznie poczuł ją już na parterze.

W sypialni odór alkoholu zdecydowanie dominował - przyćmiewał nawet kwiatowy aromat dobiegający od rozścielonego łóżka.

- Chryste. - Cam uśmiechnął się tak szeroko, że aż w policzkach pokazały mu się dołeczki. - Allie MacDonald! Jesteś kompletnie ubzdryngolona.

- Nic podobnego - powiedziała z oburzeniem w głosie. - To ty po prostu jesteś zbyt trzeźwy.

- Przyznaję - zaśmiał się Cam. Usiadł na łóżku, ściągnął buty, spojrzał na komodę i rząd starannie pozwijanych skarpetek.

- Chyba nie zrobiłaś tego specjalnie dla mnie. To beznadziejna, z góry przegrana bitwa.

Allie wzruszyła ramionami.

- Nudziłam się. - Podeszła do męża, sugestywnie zakołysała biodrami i w rezultacie niewiele brakowało, a zaryłaby nosem w podłogę. - Czekałam na ciebie.

- Obawiam się, że będziesz musiała poczekać jeszcze trochę. Marzę o prysznicu.

- Nie ma sprawy. Ja tymczasem się zajmę kolejnymi szufladami.

Teraz zaatakowała tę z bokserkami. Kilka par było białych, ale większość we wzorek z tropikalnych ryb, znaków drogowych czy zwierzyny płowej - efekt bożonarodzeniowych prezentów od Allie.

Kiedy zaczęła je wyjmować, spod majtek, na których widniały ułożone do pocałunku, mocno uszminowane usta, wypadł na podłogę T-shirt, w który była zawinięta para kobiecych, mocno wyciętych fig, zupełnie nie przypominających jakiegokolwiek sztuki bielizny, należącej do Allie.

- Coś takiego. - mruknęła, podsuwając figi pod światło lampy.

Cam właśnie ściągał koszulę przez głowę, gdy zobaczył, że żona trzyma w ręku ubrania, które Mia zostawiła tu w przedświąteczny



weekend, a on - ostatni idiota! - zapomniał jej zwrócić.

Rozwój wydarzeń poraził go jak nagły cios w brzuch, Cam usiadł ciężko na łóżku, gwałtownie wciągnął ustami powietrze. Jeszcze nie, jeszcze nie, jeszcze nie - zadzwęczało mu w głowie. Jeszcze nie chcę się z nią rozstawać.

W owej chwili wolał się nie zastanawiać, którą z kobiet ma właściwie na myśli.

Allie przyjrzała się uważniej T-shirtowi i spostrzegła naszywkę z nazwiskiem.

- To Mii - oznajmiła rzeczowym tonem. - Powinnam się była domyślić. - Złożyła starannie T-shirt i położyła na łóżku obok Cama. - Boże, aż strach pomyśleć, jak długo te rzeczy się tu przeleżały. Mia musiała je zostawić kilka miesięcy temu, tej pierwszej nocy w Wheelock, którą spędziła w naszym domu.

- Pewnie odruchowo je uprałaś. - Ze zdrętwiałych ust Cama z trudem się wydobywały gładkie słowa. - A potem przez pomyłkę włożyłaś do mojej szuflady.

Allie skinęła głową.

- Kiedy segreguję pranie, działam na automatycznym pilocie.

Jeżeli mam w ręku coś miękkiego, to muszą być bokserki.

Cam wsunął T-shirt i figi Mii pod łóżko, żeby nie patrzeć na nie i o nich nie myśleć. Nigdy jeszcze nie kochał Allie tak bardzo jak w tej chwili wprost dziecięcej naiwności.

Miłość do żony w tandemie z uczuciem wielkiej ulgi wezbrały tak potężnie w jego piersi, że Cameron poczuł się nagle bardzo ociężały, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu.

Zerknął na żonę, bezskutecznie walczącą z pijacką czkawką, na jej włosy wymykające się z luźno splecionego warkoczyka, na obszerną, flanelową piżamę. Allie składała porządnie jego bokserki i wyrzucała z siebie radośnie potok słów.

Z niewinnością było jej wyjątkowo do twarzy.

Miałaś rozwichrzone włosy i mocno przyciskałaś do ust kciuki, pomiędzy którymi trzymałaś czapeczkę od żołądka. „W ten sposób” powiedziałaś, ale zaśmiewałaś się przy tym tak bardzo, że nie byłaś w stanie mi pokazać, co dokładnie robisz ze zdrewniałą czapeczką i jak wdmuchujesz powietrze pomiędzy klin utworzony z palców, by

wydobyć ten niesamowity, przeciągły gwizd. Miałaś na sobie delikatne, czarne balerinki, ale wcale ci to nie przeszkadzało wędrować przez las. Pamiętam, że mokre, opadłe liście kleiły ci się do kostek na podobieństwo pijawek, i jestem niemal pewien, że jeden z jeżynowych kolców zahaczył o twoją spódnicę i pozostawił rozdarcie wielkości dziesięciocentówki.

Nie mogłem opanować sztuki gwizdania przez czapeczkę żołądza. Ty jednak nie ustawałaś w wysiłkach - godzinami próbowałam mnie tego nauczyć, naprowadzałaś moje dłonie i kazałaś szukać kolejnego cholernego żołądza, gdy czapeczka poprzedniego rozpadała się pod naciskiem moich niezdarnych palców.

Owego dnia kochałem cię szczególnie mocno. Nie z tego powodu, że słońce wyłaczało twoje loki lub że zaciskałaś swoje dłonie na moich i uczyłaś zupełnie nowych gestów.

Ale dlatego, że w tamtym dniu ani myślałaś się poddać.

## 15.

Allie i Cam zwyczajowo obchodzili walentynki 14 stycznia, ponieważ przez następny miesiąc, do późnego wieczoru czternastego lutego, w kwiaciarni panował taki ruch, że Allie nie mogła nawet marzyć o wygospodarowaniu kilku beztroskich godzin dla siebie. Tradycja wcześniejszego świętowania Dnia Zakochanych narodziła się przed sześcioma laty.

Allie tuż po przebudzeniu wyciągała z szuflady szafki nocnej okolicznościową kartkę i prezent dla męża, Cam natomiast wpatrywał się w nią z niedowierzaniem i bezgłośnie poruszał ustami - niczym wyrzucona na brzeg ryba - gdy docierało do niego, że po raz kolejny zapomniał o tym szczególnym święcie.

Allie nie kupowała mu z tej okazji niczego wymyślnego - zazwyczaj wpadała do sklepu turystycznego i wybierała kilka much z posezonowej wyprzedaży - co nie zmieniało jednego:

gdy kładła się spać w wigilię ich prywatnych walentynek, wmaśniała sobie, że w tym roku Cam na pewno sam z siebie będzie pamiętał o święcie. Mogłaby zwiększyć swoje szansę na spełnienie marzeń, gdyby na tydzień czy dwa przed czternastym stycznia zaczęła rzucać luźne uwagi na temat Dnia Zakochanych, ale przecież nie o to tak naprawdę jej chodziło.

Musiła też przyznać Camowi, że zawsze się reflektował. Po pracy wracał z pudłem czekoladek i stosowną kartką, na której słowa „Kocham Cię” były wypisane lekko rozchwianym pismem, jakby Cameron je kreślił dopiero podczas jazdy do domu samochodem. Tego roku wyjątkowo mieli świętować wcześniej, dwunastego stycznia, ponieważ Cam musiał w weekend wyjechać w sprawach służbowych.

Kiedy tego dnia Allie się obudziła, słońce stało już wysoko i nieruchomo na niebie, ona jednak zacisnęła powieki.

Udawała, że dobiega ją jakiś słodki, przyprawiający o zawrót głowy zapach - powiedzmy kalii, które Cam ukradkiem postawił przy łóżku w środku nocy.

Otworzyła jedno oko i spojrzała na męża, ale on spał w najlepsze, lekko pochrapując, z ręką zarzuconą nad głowę i jedną stopą wysuniętą spod kołdry.

Policzę do dziesięciu, pomyślała. A gdy skończę, Cam się obudzi i sprawi mi jakąś cudowną niespodziankę.

Raaaz. Dwaaa. Trzyyyy.

Nie wiedziała, dlaczego w tym roku bardziej się przejmowała walentynkami niż w poprzednich latach. Może dlatego, że w okresie świątecznym tak często się kłócili. Lub że z powodu jej zaangażowania w sondę Grahama tak niewiele czasu ostatnio spędzali razem.

A może po prostu już była zmęczona tym, że wszystko zawsze musi inicjować pierwsza.

Siedem. Osiem.

Z cichym westchnieniem przysunęła się do Cama.

Witraż, który dostała od niego kilka miesięcy temu, rzucał błękitny cień na połowę jego twarzy, nadając jej widmowy wygląd, krwisty środek jednego z żonkili odbijał czerwoną szramą od policzka.

Allie wyciągnęła z szuflady kartkę i małe pudełeczko, po czym dźgnęła męża w żebra.

- Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Zakochanych.

Cam zamrugał gwałtownie.

- O, nie! - jęknął i zagrzebał twarz w poduszkę. - Jasna cholera!

Allie przesunęła dłonią po umięśnionym barku, a potem po linii kręgosłupa.

- Niech zgodnę. - mruknęła.

Cam podparł się na łokciach i posłał żonie uśmiech, który zauroczyłby nawet kobrę.

- To wszystko z powodu tego idiotycznego szkolenia - powiedział. - No wiesz, musiałem się zająć reorganizacją pracy na posterunku przed moim dzisiejszym wyjazdem. Poza tym, mam czas do północy.

- Mówisz tak każdego roku.  
- Bo to uniwersalna prawda. - Przewrócił się na plecy. - A w ogóle, gdybyś miała odrobinę sprytu, czekałabyś ze swoją kartką do kolacji.

- Gdybym tak robiła, NICZEGO bym się nie doczekała -odparła chłodno.

Cam już otworzył swoją kartkę, przeczytał i ucałował żonę w policzek.

- W tym roku będzie inaczej. Ponieważ wyjeżdżam w południe, możesz być pewna, że dostaniesz coś ode mnie jeszcze rano. - Rozpakował mały prezent i uniósł w górę dwie pierzaste muchy, po czym ze śmiechem położył je na łóżku między sobą a Allie. - Cudny prezent. Akcesoria wędkarskie są doprawdy wyjątkowo przydatne, gdy na dworze zalega kilkudziesięciocentymetrowa warstwa śniegu.

Allie poderwała się z łóżka.

- Może przyspieszą nadejście wiosny - powiedziała, idąc do łazienki.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, Cam z wolna wypuścił powietrze z płuc i uniósł dłonie.

Mocno drżały.

Umówił się z Mią o pierwszej w Shelburne Falls, tam ona miała zostawić swój samochód, by większość drogi do New Hampshire pokonali razem.

Gdy zaczął się pakować na wyjazd, Allie wyszła z łazienki. Przyglądała się, jak Cam wkłada do torby dzinsy, sweter z golfem i ciepłą bluzę oraz parę kalesonów. Na wierzch dorzucił ciężkie, nieprzemakalne buty.

- Nie zapomniałeś o mundurze?

Właśnie zapinał zamek.

- Chryste! - wykrzyknął, odwracając się gwałtownie. - Śmiertelnie mnie wystraszyłaś. - Wskazał ręką na bagaż.

- To seminarium ma przebiegać w luźnej atmosferze. Bez mundurów.

Allie ściągnęła brwi.

- Będzie prowadzone w pomieszczeniach zamkniętych?

- Jakżeby inaczej? Przecież mamy połowę stycznia.

Podeszła do komody i wyjęła parę rajstop.

- Na co ci w takim razie kalessony?
- Przewidziane są również zajęcia survivalowe.

Biatlon.

Narty, strzelanie.

No wiesz, o co chodzi.

Cameron zachodził w głowę, jakim cudem zdołał tak szybko nabrać wprawy w zniekształcaniu prawdy.

Spod oka przyglądał się Allie wciągającej rajstopy. Wbrew wyobrażeniom nastoletnich chłopców, nie był to piękny czy pociągający widok.

Chwycił za torbę, odwrócił się na pięcie i wypadł z sypialni.

Graham siedział na podłodze w wymiętych spodniach khaki i wygniezionej koszuli, do tego tak krzywo pozapinanej, że jedna poła zdawała się dużo dłuższa od drugiej.

Zanurzył pączka we własnoręcznie uwarzonej brei, która miała uchodzić za kawę, po czym wbił wzrok w białą, samościeralną tablicę, pochodzącą z sali konferencyjnej kancelarii „MacPhee MacPhee”.

Wrysował na niej coś na kształt tabeli. W lewej kolumnie, zielonym flamastrem, wyszczególnił dni: 15, 16, 17, 18, 19września.

Na górze, przy dacie piętnastego, wypisał:

WIZYTA LEKARSKA U DR DASCOMBA WHARTONA,  
GODZ. 16:45.

Na dole, przy dacie dziewiętnastego -

CZAS ZGONU MAGGIE 7: 00 - 10: 00, HUGO HUNTLEY.

W obszarze pomiędzy tymi dwoma datami tabela przypominała diagram krzyżówki.

Na podstawie informacji uzyskanych od Jamiego podczas pamiętnego spaceru Graham próbował odtworzyć przebieg pozostałych dni. Ponieważ Allie zaangażowała się całym sercem w sondowanie poglądów obywateli Berkshire, on mógł się skoncentrować na poszukiwaniu świadków, którzy potwierdziliby wersję wydarzeń przedstawioną przez Jamiego. O dziwo, wiele osób zapamiętało

poczynania MacDonalldów w czasie weekendu poprzedzającego tragiczne wydarzenia.

Bud Spitlick widział, jak urządzili sobie lunch na dachu własnego domu - krzyknął nawet, że to niebezpieczne i że mają uważać. Pracownikowi multipleksu Maggie i Jamie też wyjątkowo utkwili w pamięci, rumieniąc się po same uszy, chłopina powiedział Grahamowi, że w sobotnie popołudnie musiał interweniować, bo przeszkadzali innym widzom swoimi igraszkami miłosnymi.

Wyciąg z karty kredytowej American Express potwierdzał, że tego samego dnia wieczorem Jamie zapłacił rachunek w Rooster's Comb - szpanerskiej knajpie, gdzie jedli kolację.

A menedżer Red Lion Inn podał Grahamowi namiary na nowożeńców, którzy owego dnia wyprawiali tam wesele.

Oboje doskonale pamiętali Jamiego i Maggie oraz własne zaskoczenie na wieść, że para, która tańczyła jitterbuga jak dwójka profesjonalistów, nie zaliczała się do gości żadnej ze stron.

Graham miał jedynie problemy ze znalezieniem ludzi, mogących poświadczyć wydarzenia niedzieli - dnia, gdy Maggie zbierała obrazy z tego świata, by zabrać je ze sobą do następnego.

Sprzedawca hot dogów, który stał ze swoim wózkiem u podnóża wzgórz, gdzie według Jamiego spędzili z żoną większość czasu, twierdził, że być może ich widział, ale nie był tego stuprocentowo pewien. Za to Bud Spitlick nie miał wątpliwości, że Maggie i James wrócili do domu koło piątej, bo akurat wtedy kosił trawnik.

W poniedziałek widział ich pracownik stacji benzynowej - napełnił bak samochodu Jamiego benzyną bezołowiową i wymył przednią szybę, prowadząc z kierowcą miłą pogawędkę.

Pan MacDonald wówczas mu powiedział, że ad hoc wybrali się z żoną na wakacje - chłopak w szczególności zapamiętał wyrażenie „ad hoc”, ponieważ nie wiedział, co ono oznacza.

Z księgi hotelowej Wheelock Inn jasno wynikało, że pan i pani MacDonald zameldowali się w sobotę o 11:15, co zostało poświadczony własnoręcznym podpisem Maggie. Przepytywany przez

Grahama barman hotelowy przyznał załamany, że od czasu tego strasznego zdarzenia wciąż się zastanawia, czy w pewnym sensie nie przyczynił się do tragedii, bo przecież niewykluczone, że Jamie popełnił morderstwo pod wpływem upojenia szampanem, zakupionym w barze.

Właściciel pizzerii twierdził, że w poniedziałek wieczorem nie widział w swoim lokalu ani Jamiego, ani Maggie, ale ponieważ praktycznie nie mówił po angielsku, mógł w ogóle nie pojąć pytania Grahama.

We wtorkowe popołudnie James zajechał pod budynek komisariatu w Wheelock, co potwierdzali liczni świadkowie - z samym komendantem policji i Allie na czele.

Przestrzeń na tablicy, wyznaczająca czas pomiędzy 20:30 w poniedziałek a 13:00 we wtorek, pozostawała pusta.

Graham wetknął do ust resztki pączka i przejechał palcami po białej plamie w swojej tabeli.

Nikt nie wiedział, co się wydarzyło w pokoju w Wheelock Inn w noc z poniedziałku na wtorek.

Nie można było wykluczyć, że między Jamiem a Maggie doszło do ostrej, zjadliwej wymiany zdań, i on zareagował przemocą. Ale też równie dobrze mógł się żegnać w tym czasie z ukochaną kobietą.

Młody prawnik zwiesił głowę i zmierzwił palcami włosy. Zdawał sobie sprawę, że wzroku przysięgłych nie przyciągnie wykaz potwierdzonych faktów, ale właśnie owe niezapełnione miejsca na tablicy. One zachęcały do własnych interpretacji i snucia fantastycznych przypuszczeń. Ostatecznie każdy kochał tajemnicę i zaangażowanie w proces kreowania historii.

Grahamowi stanęły przed oczami nieznane twarze przysięgłych, z których każdy - kierując się własną wyobraźnią - podejmie próbę rekonstrukcji owych ostatnich godzin życia Maggie. Ciekawe, czy choćby jednemu z nich uda się zbliżyć do prawdy.

Cam naprawdę chciał poświęcić odpowiednią ilość czasu na wybranie stosownej kartki dla Allie, jednak zaaresztowany przez Zandy'ego pijany kierowca najpierw pozrzucał wszystkie przedmioty z



kontuaru, a potem zaatakował sierżanta oraz funkcjonariusza dyżurnego i w efekcie trzeba było aż trzech ludzi, by poskromić dupka i wpakować go do celi.

- To wprost, kurwa, nie do wiary - warknął Cam. - Dlaczego najwięksi wariaci zawsze się trafiają w weekend, gdy nie możemy ich ekspresowo postawić przed sądem i wyekspediować do więzienia hrabstwa?

Dyżurnym był tego dnia MacIver, póletatowy policjant w średnim wieku, który pracował jeszcze z ojcem Cama.

- Na tej samej zasadzie, na jakiej dzieciaki dostają gorączki po zamknięciu gabinetów lekarskich - odparł. - Życie lubi człowiekowi dopieprzyć.

Aresztant zaczął grzmocić zwałistym cielskiem w kraty celi.

- Hej! - wrzasnął Cam.

- Mam się do ciebie pofatygować? - Zerknął na MacIvera i Zandy'ego. - Dacie sobie radę czy mam wezwać wsparcie?

- Nie zaszkodziłby oddział Gwardii Narodowej - mruknął Zandy w tej samej chwili, gdy plwocina wylądowała na metalu kraty. - Lub kilka złożonych na ołtarzu ofiarnym dziewic na obiad dla tego furiata.

Aresztant dorównywał wzrostem Camowi, ale dwukrotnie przewyższał go masą.

Cameron wiedział, że facet się nie wyswobodzi z celi.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że przez cały weekend będzie wszystkim uprzykrzał życie niczym ropiejący wrzód na dupie.

- Zadzwońię do sądu - zdecydował. - Może ściągną jakiegoś sędziego oraz szeryfa, żeby zawlókł tego kretyna do pierdla.

Zandy posłał szefowi pełne uznania spojrzenie.

- Rób, jak uważasz. Bylebyś tylko zdążył dotrzeć na czas do New Braintree.

Cam powiedział swoim podwładnym, że wyjeżdża na seminarium dotyczące zasad stosowania broni palnej, zorganizowane dla szefów policji hrabstwa. Dobrze wiedział, że nikomu nie przysłoby do głowy sprawdzać prawdziwość jego słów.

Wszedł do biura, zadzwonił do sądu i zdołał zorganizować przesłuchanie w sprawie agresywnego pijaka. Po skończonej rozmowie trzymał jeszcze chwilę słuchawkę przy uchu, ale w końcu odłożył ją na widełki. Miał się skontaktować telefonicznie z Mią, żeby doprecyzować szczegóły spotkania, ale tego ranka zupełnie zatracił poczucie czasu.

Gdy zerknął na zegarek, zdał sobie sprawę, że Mia już od dawna była w kwiaciarni - albo nawet w drodze do Shelburne Falls.

Z westchnieniem podniósł się zza biurka.

- Przed upływem popołudnia przyślą kogoś po tego pijanego dupka - poinformował Zandy'ego. - Chcecie, żebym się jeszcze skontaktował z wami, zanim dotrę na miejsce?

Zandy pokręcił głową.

- Wbrew twoim wyobrażeniom, szefie, umiemy sobie doskonale radzić bez ciebie. - Uśmiechnął się od ucha do ucha i wskazał na drzwi. - Na ciebie już czas.

Cam był już niemal pod drzwiami kwiaciarni, gdy przypomniał sobie o walentynkowej kartce dla Allie.

Zawrócił ostro na samym środku Main Street i popędził do sklepu z upominkami, położonego na drugim krańcu miasta. Włączył radio i zaczął podśpiewywać w takt kawałka Vana Morrisona. Z wizgiem hamulców zatrzymał samochód na parkingu przed sklepem i w tej samej chwili rozpoczęły się południowe wiadomości.

Zerknął na zegar wmontowany w deskę rozdzielczą.

Rzeczywiście minęła dwunasta. A nich to szlag trafi!

Wpadł do sklepu, chwycił pudełko czekoladek i pierwszą lepszą kartkę z wymalowanym sercem, po czym pognął w stronę „Glory in the Flower”, przekraczając dozwoloną prędkość o trzydzieści kilometrów.

Allie pochylała się nad drzewkiem bonzai i skrupulatnie owijała drutem powyginaną gałąź.

- Cześć! - rzuciła na widok męża i natychmiast powędrowała wzrokiem ku papierowej torbie, którą trzymał w ręku.

- Gdzie Mia? - zapytał Cameron tonem, który ćwiczył od samego rana.

Allie wrzuciła ramionami, otarła dłonie o dzinsy, ale przez ten cały czas ani na chwilę nie spuszczała oka z czerwonej torby. W końcu niemal ją wyszarpnęła z rąk męża.

- Poprosiła o parę dni wolnego. Jej ciotka znowu się rozchorowała.

Cam posłał żonie współczujące spojrzenie.

- A więc zostaniesz całkiem sama na weekend. Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

- Dzięki za troskę, ale potrafię całkiem nieźle funkcjonować i bez ciebie - odparła z uśmiechem.

Cam przysiadł na jednym z roboczych stołków.

- Już po raz drugi dzisiejszego dnia słyszę podobne słowa.

- I jaki z tego wyciągnąłeś wniosek? - spytała Allie, wyciągając z koperty czerwoną kartkę, na której widniało duże, różowe serce.

- WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI WALENTYNEK, TATUSIU

- przeczytała na głos tekst wypisany pod sercem.

- Otworzyła kartkę i przebiegła wzrokiem dalszy ciąg.

- CZASAMI JESTEM NIEGRZECZNA, ZA TO ZAWSZE CZARUJĄCA.

Na dole - „Kocham Cię, Cam”.

W pierwszym odruchu Allie pomyślała, że cierpi na omamy, więc jeszcze raz spojrzała na przód kartki.

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI WALENTYNEK, TATUSIU.

- Czy to jakiś żart? - spytała z niepewnym uśmiechem.

Cam wybałuszył oczy.

- O czym mówisz?

Podsunęła mu kartkę pod nos.

- Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek, TATUSIU?

Cameron wyrwał czerwony kartonik z rąk żony. Raz jeszcze przebiegł wzrokiem przez biegnący pod sercem napis, po czym przejechał dłonią potwarzy.

- Bardzo cię przepraszam. Nie zastanawiałem się nad tym, co robię.

Allie miała wrażenie, że źle słyszy.

NIE ZASTANAWIAŁEM SIĘ NAD TYM, CO ROBIĘ?

Czy doprawdy nie mógł zadać sobie odrobiny trudu i obejrzeć tę głupią kartkę przed kupnem?

niami, których nie sposób uniknąć, gdy się pracuje z drutem.

Nie chciała wszczynać sprzeczek tuż przed wyjazdem Cama.

Pochyliła głowę nad drzewkiem bonzai, żeby mąż nie widział wyrazu jej twarzy.

Może niepotrzebnie robiła z igły widły.

Może Cameron miał rzeczywiście jakieś bardzo ważne sprawy na głowie.

Żałowała tylko gorzko, że ona, Allie, nie jest jedną z tych spraw.

- No cóż. - mruknęła. Odłożyła kartkę i czekoladki na stół, wzięła w rękę nożyce do cięcia drutu.

- Zapewne musisz już jechać.

- Owszem. - Ochoczo poderwał się z miejsca. - Tym bardziej że na drodze mogą być korki.

Objęli się niezdarnie z powodu ciężkiego policyjnego pasa i nożyc w rękę Allie. Cam ucałował czubek głowy żony.

- Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek - rzuciła sztucznie ożywionym głosem.

- Wzajemnie - mruknął. Oparł brodę na ramieniu Allie i spojrzał w wystawowe okno. Wiedział, że wychodzi na północ.

Zastanawiał się, ile dokładnie kilometrów dzieli go w tej chwili od New Hampshire.

Mia patrzyła przez okno na śnieżne zasy - gładkie i zaokrąglone niczym zarysy kobiecego ciała.

Siedziała z podwiniętymi nogami na fotelu pasażera, zwrócona plecami do Cama, który prowadził jedną ręką, a palce drugiej splótł z jej palcami.

Znajdowali się w miasteczku Braebury, położonym po obu brzegach Connecticut River, wyznaczającej granicę pomiędzy stanami New Hampshire i Vermont.

Miejsce to słynęło z terenów narciarskich, jednak znajdowało się na uboczu utartych szlaków, dlatego nie było oblegane przez tłumy turystów.

Cam wjechał na podjazd wiktoriańskiego budynku, który z racji dachowych wieżyczek i wykuszowych okien przypominał bajkowy domek z piernika. Pomalowano go na jasnoróżowy kolor, co sprawiało, że na tle śniegu dom zdawał się płonąć delikatnym rumieńcem.

Przed wejściem stała tablica z napisem „Pensjonat Braebury House” i rzeźbioną w drewnie mewą, rozpościerającą skrzydła na wietrze.

- Rety! - wykrzyknęła Mia na widok zaokrąglonego ganku. - Ale tu pięknie!

Cameron parsknął śmiechem.

- Ty nawet na widok jaskini byłabyś zachwycona. - Ścisnął jej dłonie. - Wejdzmy do środka.

Wyjął z samochodu jej plecak - mieszczący Kafkę i puszki z gotowymi obiadami - oraz swoją własną torbę. Drepcząc ścieżką udeptaną w śniegu przez Cama, Mia pomyślała, że widok, który ma przed sobą, jest dobrą metaforą łączącego ich związku: jej bagaż i jego, tak bardzo od siebie różne, połączone w mocnym uchwycie potężnej dłoni.

Właściciele pensjonatu, Alice i Horvath Kingsley, już czekali w progu.

- Zapraszamy, zapraszamy - powiedział Horvath z silnym obcym akcentem.

Alice z z troskaniem zaczęła otrzępywać kurtkę Mii ze śniegu, który gdzieś po drodze przylgął do dolnego obszycia.

- Nie staliście państwo w zbyt wielkich korkach?

- Drogi były praktycznie puste - odpowiedział Cam z uśmiechem.

Mia zatupała kilka razy na wycieraczce, żeby strząsnąć z butów śniegowe błoto.

- Powinnam je zdjąć - zdecydowała.

Schyliła się i zaczęła rozwiązywać sznurowadła.

Czuła się dziwnie nieswojo w towarzystwie tych starszych ludzi. Chociaż nie znali ani jej, ani Camerona, miała wrażenie, że jest bezwstydną uzurpatorką.

Ledwo wyswobodziła stopy z butów, poczuła na karku dłoni Camerona, która nagle zdała się ciężka niczym jarzmo.

- Przyjechaliście państwo na narty? - zagaił konwersacyjnie Horvath.

Jego brzuch wylewał się spektakularnie ponad pasek spodni, podtrzymywanych przez szelki, co stanowiło zaskakujący kontrast z wyglądem jego żony - chudej jak patyk i kościstej.

- Między innymi - odparł lekkim tonem Cam. - Jesteśmy świeżo po ślubie.

Usta Mii rozwarły się mimowolnie ze zdumienia, na szczęście zdołała się opanować na tyle szybko, by nie wzbudzić podejrzeń gospodarzy.

Alice Kingsley rozpromieniła się w uśmiechu, co w dziwny sposób upodobniło ją do jastrzębia.

- Jak cudownie! A dokładnie od kiedy?

Mię nagle ogarnęło uczucie, że usta wypełniły jej kamienie.

- Od trzech. - nie mogła dokończyć prostego zdania. - Od trzech tygodni - wydusiła w końcu, w tej samej chwili, gdy Cam rzucił gładko: - Od trzech miesięcy.

Zerknął ukradkowo na Mię, po czym wybuchnął śmiechem.

- Mam wrażenie, że minęły już miesiące.

Niespodziewanie ponad skutą lodem doliną poniół się dźwięk wiolonczeli, do którego wkrótce dołączyły skoczne nuty piccolo i skrzypiec.

Mia ze zdumieniem zwróciła się w stronę krytego pasażu, przekonana, że coś jej się ubzdurało.

- Czy państwo też to słyszeliście?

Alice skinęła głową.

- Mniej więcej półtora kilometra stąd znajduje się kolonia muzyków. Członkowie Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej zjeżdżają tam od czasu do czasu na parę tygodni, i jeżeli wiatr wieje z odpowiedniego kierunku, słyszymy ich próby. Naturalnie o wiele przyjemniej słucha się smyczków niż, powiedzmy, perkusji. Za to w lecie miewamy tu prawdziwe muzyczne uczty, bo symfonicy niekiedy koncertują na świeżym powietrzu.

Objęła Mię mocno ramieniem i zaprowadziła do głównego salonu o wysoko wysklepionym suficie, gdzie znajdował się kominek, przed którym bez trudu mogło zasiąść sześć osób.

- Chodźmy, moja droga. Musi pani wypełnić księgę meldunkową. - Spojrzała na męża pogrążonego w rozmowie z Camem na temat karmników dla ptaków rozsianych po tylnym trawniku, przypominających swoim wyglądem miniaturowe budki telefoniczne. - Horvath, może zaprowadzisz pana MacDonalda do pokoju?

Mia chwyciła za ołówek, zawiesiła wzrok na nazwiskach ludzi, którzy przed nią wpisywali się do tej książki.

Wiedziała, że to, co zaraz zrobi, jest bardzo nie w porządku, ale ostatecznie Cam przedstawił ich jako małżeństwo.

Cameron MacDonald z żoną - napisała drżącą ręką. - Wheelock, Massachusetts.

Wpatrywała się w te kilka krzywo nakreślonych słów i z każdą chwilą poprawiało jej się samopoczucie. Ostatecznie ten weekend otrzymała w prezencie, miała prawo do drobnej mistyfikacji.

Cam podszedł od tyłu, przyciągnął ją do siebie i przypadkiem musnął kciukiem jej pierś. Spojrzał na swoje nazwisko wypisane jej ręką.

I wówczas uderzyła go pewna myśl. Jeżeli się szczerze wierzy, że ktoś do nas należy, żaden świstek papieru czy księżowskie błogosławieństwo nie uczyni owego przekonania bardziej realnym.

- Nieźle jak na nowicjuskę - mruknął.

Mia obróciła się w jego ramionach, spojrzała mu prosto w oczy.

- Ćwiczenie czyni mistrza - odparła.

#### OPINIA PSYCHIATRYCZNA BADANY:

James MacDonald

#### SPORZĄDZAJĄCY OPINIĘ:

Harrison Harding, doktor nauk medycznych.

Podczas pierwszej sesji Jamie zachowywał się z rezerwą. Nieustannie powtarzał, że skoro nie cierpi na chorobę umysłową, opinia psychiatryczna nie pomoże mu w sądzie.

Wyjaśniłem, że - abstrahując od procedur sądowych - osoba, która doświadczyła takiej traumy, jaka jemu przypadła w udziale, powinna podyskutować o swoich odczuciach z profesjonalnym terapeutą.

Odparł na to, że nikt - może oprócz jego obrońcy - nie uważa go za człowieka, którego dotknęły traumatyczne przeżycia.

Poprosiłem, żeby opowiedział kilka słów o przeszłości, obecnej sytuacji życiowej oraz swoim małżeństwie, ponieważ uznałem, że dzięki temu lepiej zrozumie, co się z nim działo w chwili śmierci żony. Zapowiedziałem, że porozmawiamy o wydarzeniach, które doprowadziły do zgonu Maggie, ale niekoniecznie na pierwszej sesji.

Podczas następných spotkań głównie opowiadał o żonie. Według jego opinii człowiek szczerze kocha tylko raz w życiu, a jemu przypadło w udziale wielkie szczęście, ponieważ doświadczał prawdziwej miłości przez jedenaście lat. Potrafił w niebywałych szczegółach opisać Maggie - kąt wygięcia jej łuku brwiowego, kształt paznokci, rozmieszczenie pieprzyków na ciele. Gdy o niej opowiadał, zawsze się uśmiechał i od czasu do czasu wyglądał przez okno, jakby się spodziewał zobaczyć żonę.

Kilkakrotnie nadmieniał, że kobieta, w której się zakochał, nie była tą samą kobietą, którą pozabawił życia.

Kiedy poprosiłem, żeby to wyjaśnił, powiedział:

„Wszyscy powtarzają, że zabiłem Maggie, ale ci ludzie nie wiedzą bądź nie pamiętają, jaka kiedyś była. Gdy dotarliśmy do Wheelock, z dawnej Maggie już praktycznie nic nie pozostało”.

Bardzo obrazowo opisywał jej cierpienia - zaczynając od nocnych halucynacji, a na torsjach wywołanych chemioterapią kończąc.

Ostatnio rozrost guza w mózgu doprowadził do upośledzenia funkcji nerwu wzrokowego.

James opowiadał, jak godzinami ścisnął głowę żony, ponieważ była przekonana, że błyskawice ostrych kolorów łada chwila rozsądzą jej czaszkę.

Jamie pilnie czytał wszystkie diagnozy lekarskie, jednak głównym źródłem jego wiedzy o przebiegu choroby i natężeniu bólu były relacje samej Maggie.

Co więcej, natura ich związku sugerowała by, że James doświadczał traumy wprost proporcjonalnej do fizycznych cierpień żony.

Kiedy zapytałem, czy chciałby Maggie coś ważnego powiedzieć, gdyby dostał taką szansę - potwierdził.



„Powiedziałbym jej, że się głęboko myliła. Gdy rozmawialiśmy o całej sytuacji, utrzymywała, że będzie lepiej, jeżeli zachowam ją w pamięci taką, jaka była, niż taką, jaką się staje na skutek choroby. Tymczasem teraz nie mam ani jednej, ani drugiej”.

Jamie bezwątpienia postrzega swoje małżeństwo jako uświęcony, wysublimowany związek.

Wszystkie jego działania w przeszłości były obliczone na uszczęśliwienie Maggie i spełnianie wszelkich jej życzeń, co w konsekwencji doprowadziło do wyrażenia zgody na pozbawienie jej życia.

#### NOTATKA TYLKO DLA OCZU GRAHAMA MACPHEE:

Wiem, czego pan ode mnie oczekuje, mecenasie, ale podczas wszystkich naszych spotkań James odznaczał się elokwencją i opanowaniem.

Bez wątpienia odczuwa żal - jednak nie z powodu czynu, który popełnił, ale faktu, że kobieta, którą idealizował i traktował z niemal bałwochwalczą nabożnością, dopuściła się wobec niego swoistej zdrady.

To człowiek, który nie cierpi z powodu zaburzeń emocjonalnych, ale złamanego serca.

Demokraci zostali wycenieni najwyżej. Za wiek poniżej trzydziestki otrzymywało się pięć punktów, za emerytalny - jeden.

Wyznanie mojżeszowe osiągało wartość sześciu punktów, protestanckie - trzech, katolickie - ledwie jeden. Za wykształcenie wyższe niż licealne zdobywało się dodatkowy punkt.

Według opinii Fyvela Adamsa, odpowiedzialnego za komputerowe sporządzenie profilu idealnego przysięgłego, płeć i narodowość nie miały żadnego znaczenia.

Każdy kandydat na członka ławy przysięgłych mógł zdobyć maksymalnie dwadzieścia punktów.

Ci, którzy otrzymali ich mniej niż piętnaście, powinni być bezwzględnie wyeliminowani.

Na godzinę przed rozpoczęciem wyboru składu ławy - dwunastu sprawiedliwych oraz dwóch ich zastępców - Graham i Audra Campbell spotkali się z sędzią.

Roarke już na wstępie przypomniał adwokatowi o nałożonych na niego restrykcjach werbalnych, wynikających z przyjęcia przez sąd wniosku prokuratury.

- A tak - mruknął Graham, posyłając Audrze ironiczne spojrzenie. - Rozumiem, że ma pan namyśli nieszczęsne słowo na M?

Roarke posłał mu złowrogie spojrzenie i wówczas Graham uświadomił sobie fakt brzemienny w skutkach dla obrony.

Sędziemu zależało na wyroku skazującym.

A to oznaczało, że będzie z żurawią czujnością pilnował, by nie doszło do jakichkolwiek uchybień proceduralnych, mogących skutkować apelacją lub unieważnieniem procesu.

W piątek po południu Graham, Allie, Jamie i Fyvel Adams zasiedli za stołem obrony i wówczas zaczęto pojedynczo wzywać na miejsce dla świadków kandydatów na przysięgłych.

Noga Jamesa podrygiwała nerwowo, póki Allie - opanowana i elegancka w sukience koloru śliwki - nie położyła dłoni na jego kolanie. Graham podziękował jej za to uśmiechem.

Na pierwszy ogień poszedł niejaki Alexander Grant, emerytowany pułkownik armii USA. Na jego widok Graham mimowolnie przewrócił oczami.

- Niezły początek - szepnął, po czym wykorzystał pierwszą ze swoich dwudziestu możliwości arbitralnego odrzucenia kandydata na przysięgłego.

Po Grancie na miejscu dla świadków zasiadła Roberta Cavendish, lat47, katoliczka, wykształcenie wyższe, matka pięciorga dzieci.

- Siedem punktów - mruknął Fyvel Grahamowi do ucha. - Dramatycznie niski potencjał.

Tymczasem adwokat zerknął na swój własny wykaz skontrolowanych posesji, ta należąca do Cavendishów w nim figurowała. Uwagi na marginesie głosiły, co następuje: Ubłocony kundel. Dom wymalowany tylko do połowy. Wszędzie mnóstwo bożonarodzeniowych lampek.

- Biorę ją - zdecydował, nie bacząc na protesty Adamsa.

Kolejna kandydatka, młoda nauczycielka muzyki z podstawówki w Wheelock, zasiadając za barierką, mrugnęła do Grahama.

Audra wojowniczo skrzyżowała ramiona i natychmiast ją odrzuciła.

Graham podziękował za usługi sześćdziesięcioletniego farmera, który zakończył edukację na sześciu klasach podstawówki. Audra odprawiła dwudziestopięcioletniego, czarnoskórego pracownika socjalnego.

Jako następna kołyszącym krokiem kulawej kaczki weszła na salę monstrualnie otyła kobieta o wyblakłych oczach. Miała włosy pofarbowane domowym sumptem na pomarańczowy kolor i niepewny sposób bycia, który między innymi przejawiał się tym, że nerwowo zaciskała dłonie, ilekroć Audra lub Graham strzelali w jej stronę jakimś pytaniem.

Na widok tej kandydatki Fyvel zaczął frenetycznie zakreślać uzyskaną przez nią ilość punktów - osiem - oraz powtarzać: „Nie! Nie!”.

Graham jednak spojrzawszy kobiecie w oczy i wydało mu się, że dojrzał szczególnie błysk, którego źródłem było zazwyczaj współczucie.

Aprobującą skinął głową w stronę sędziego.

Potencjalni przysięgli zdawali cię coraz bardziej beznadziejni, jakby złe moce sprzyściły się przeciwko Jamiemu już na etapie losowania kandydatów.

Każdy, kto się zjawił po krótkiej przerwie, ogłoszonej w okolicach południa, był katolikiem po sześćdziesiątce, a większość mężczyzn na jakimś etapie życia służyła w wojsku.

Graham przestał już zwracać uwagę na Fyvela, pociągającego gwałtownie za nogawkę jego spodni, skrobiącego coś zawzięcie na kartce.

W zamian wdał się w wymianę opinii z Allie.

„Podoba mi się to niewinne mruganie oczami”.

„Krawat z Myszką Miki jest świadectwem nonkonformizmu”.

„Jej usta mają w sobie rys życzliwości”.

Audra odrzuciła młodą kobietę ogoloną na łyso oraz programistę komputerowego japońskiego pochodzenia. Graham odprawił z kwitkiem przewodniczącą lokalnego oddziału ruchu obrońców życia.

Kiedy liczba potencjalnych, zaakceptowanych przez obie strony przysięgłych doszła do czternastu, Graham powiódł po nich uważnym wzrokiem.

Z owej grupy Fyvel pozytywnie zaopiniował jedynie dwoje: przymierającego głodem, domorosłego artystę oraz stażystkę przedszkolną.

Allie bardzo liczyła na mężczyznę w krawacie z Myszka Miki oraz na grubaskę z pomarańczowymi włosami.

Graham utrzymywał, że kobieta o ustach sugerujących życzliwe podejście do świata posłała mu serdeczny uśmiech.

Na początku rozprawy nie sposób przewidzieć, jak ostatecznie będzie głosował każdy z przysięgłych, jednak ludzie siedzący teraz w sądowej sali nie budzili optymizmu - nawet w Grahamie.

Przećiętny wiek dotychczas zaaprobowanej czternastki wynosił 52 lata. Większość to katolicy i republikanie z marnym wykształceniem. Fyvel z desperacji trzasnął o blat ołówkiem, który spadł na ziemię i wtoczył się pod stół.

Graham przyjrzał się kandydatom, którzy jeszcze czekali na przesłuchanie.

Morze nieruchomych, głównie starczych twarzy i ani jednej osoby, która na pierwszy rzut oka odznaczałaby się cechami gwarantującymi piętnaście punktów w skali Fyvela.

Naturalnie, nie sposób określić na podstawie samego wyglądu, czy ktoś jest żydem lub demokratą - trudno jednak uwierzyć, by czekający na wezwanie ludzie okazali się ni stąd, ni zowąd postępowymi liberałami.

Wedle własnego widzimisię mógł odrzucić jeszcze pięć osób. Jeżeli jednak odwoła się do tej broni, Audra może się zrewanżować wykluczeniem kandydata, na którym zależało obronie - jak walczący o byt artysta czy stażystka przedszkolna.

Przy szczęściu Grahama w zamian trafi mu się szef personelu Białego Domu z czasów prezydentury Reagana.

Graham zerknął spod oka na Audrę, a potem wstał i oznajmił sędziemu Roarke'owi, że obrona akceptuje obecny skład ławy.

Jeziro Hoecht tkwiło niczym cenna perełka pośrodku Braebury, w niecce otoczonej wzniesieniami, na których rozrosło się miasteczko.

Cam zasnurował Mii łyżwy, a potem pociągnął ją za sobą wzdłuż owalu jeziora, żeby nauczyła się samodzielnie utrzymać

równowagę. Ludzie śmigający po lodowej tafli śmiali się i falowali wokół na podobieństwo morza wielobarwnych baloników. Mała dziewczynka zrobiła im zdjęcie polaroidem, który zabrała ze sobą Mia.

Uchwycony przez obiektyw obraz ukazał się niemal natychmiast: Cameron na tle promieni słonecznych barwy jego włosów, z twarzą rozjaśnioną szerokim uśmiechem, mocno obejmujący Mię ramionami.

Problem w tym, że gdy się nie umie jeździć na łyżwach, ciągle upadki stają się w końcu frustrujące.

- Moje kostki mają jakąś poważną skazę genetyczną - zawyrokowała Mia, chwytając raptownie Cama za rękę, gdy zahaczyła o gałązkę sterczącą z lodu. - Ciągle wyginają mi się do wewnątrz.

- Twoim kostkom nic nie dolega. Są po prostu nieprzywykłe do tego rodzaju ruchu.

Cam puścił jej rękę i wysforował się naprzód w swoich hokejówkach, a po powrocie zahamował ostro, obsypującwarz Mii lodowym pyłem.

- Szpaner!

- A! To rzeczywiście jest u mnie genetyczne. - Wykręcił przed Mią kilka trójek, po czym położył dłonie na jej biodrach.

- Ruszamy - zarządził.

Nogi Mii posunęły naprzód, zupełnie poza jej kontrolą.

- Puszczaj! - Zaczęła odpychać ręce Cama. - Nie lubię szybkiej jazdy.

- Mio, TE DRZEWA przemieszczają się szybciej od ciebie. Puścił się do przodu, a Mia zahaczyła łyżwą o kolejną gałązkę i znowu wylądowała na lodzie. Cameron stanął nad nią okrakiem, chwycił pod pachy i dźwignął w górę.

- Wiedziałam, że wyjazd z tobą pociąga za sobą niebezpieczeństwa - mruknęła. - Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że aż tak wielkie.

- Jeżeli będziesz dla mnie miła, pozwolę ci przesiedzieć następne okrążenie.

Mia chwyciła go pod łokieć, uśmiechnęła się z wdzięcznością, a Cam odholował ją do jednej z drewnianych ławek.

- Wkrótce wrócę - zapewnił, po czym na łeb na szyję ruszył w stronę lodowiska hokejowego.

Mia patrzyła na Camerona śmigającego gibko pomiędzy zawodnikami, przebijającego się przez trzy równoległe rozgrywane mecze, zostawiającego po sobie na lodzie nitkowate, białe ślady. I niespodziewanie ta gracia ruchów przestała urzezać Mię pięknem, a zaczęła rodzić przynębnienie. Ona nigdy nie będzie tak jeździć na łyżwach.

Nigdy się nie zaadaptuje do ostrych, nowoangielskich zim równie gładko i bezboleśnie jak Cam. To kolejna z różnic między nimi - kolejna góra nie do przebycia.

Kiedy zziązany, uszczęśliwiony Cameron ponownie podjechał do ławki, Mia siedziała skulona w kłębek, z nogami podciągniętymi pod brodę, wbijając czubki łyżew w miękkie drewno.

Z nosa jej ciekło, miała zaczerwienione oczy i twarz spierzchniętą od mrozu.

Na ten widok serce podjechało Camowi do gardła, a w głowie kołatała mu tylko jedna myśl: Mia zrobiła sobie coś złego, gdy się przewróciła, a on jak ostatni głupek tego nie zauważył.

- Mio? - Przyciągnął ją do siebie. - Co się stało?

- Nie chcę iść na narty - pisnęła cicho.

- Ty... Co takiego?

Oderwała twarz od jego piersi.

- Nie chcę iść jutro na narty. - Otarła nos rękawem. - Nie chcę, żebyś patrzył, jak znowu coś mi nie wychodzi.

CMoknął ją w ucho. Jego usta były dużo cieplejsze od jej skóry.

- Wcale nie musimy jeździć na nartach - zapewnił, obejmując Mię ramieniem.

Ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie, że w gaelic nie mówi się „jestem w niej zakochany”, ale „mam dla niej miłość”, jakby uczucie było namacalnym bytem, którym można kogoś obdarować - niczym bukietem tulipanów czy złotym pierścieniem.

- Kochałbym cię równie mocno, nawet, gdybyś całymi dniami przesiadywała w fotelu.

Pograżyli się w przyjacielskim milczeniu i zapatrzyli w lodową rzeźbę, którą początkujący, lokalny artysta wznosił między dwoma

lodowiskami. Rzeźba przedstawiała jakiegoś mitycznego ptaka - zdaje się, że Feniksa - wyrastającego z tafla jeziora, rozpościerającego szeroko skrzydła.

Cameron poczuł nieprzyjemny ucisk w tyle głowy. Przypomniał sobie zeznania Jamiego, które czytał ponownie zaledwie parę dni temu w prokuraturze, gdy Audra się przygotowywała do rozprawy. Jamie wspominał o lodowej rzeźbie, którą oglądał z żoną na jakichś wakacjach, rzeźbie o martwych oczach, będącej pustą skorupą zupełnie tak, jak udręczona nowotworem Maggie.

Ręką obciążoną w wełnianą rękawiczkę Mia ścisnęła jego gołe palce.

- Widzę, że już nie narty ci w głowie.

Cameron potrząsnął głową.

- Jamie - rzucił takim tonem, jakby wszystko było oczywiste, a potem spojrział Mii prosto w oczy. - Co właściwi sądzisz o jego zbrodni?

Mia odwróciła wzrok.

- W gazetach piszą, że poprosiła, by ją zabił. W moim pojęciu to wszystko zmienia.

- Tak, wiem. Ale nie zapytałem cię o to w kontekście winy i kary. Chciałbym wiedzieć, co ty byś zrobiła, będąc na miejscu Jamiego.

Mia spojrzała uważnie na Camerona - na jego policzki pokryte cieniem zarostu, pierś unoszącą się w zdrowym, silnym oddechu. Ścisnęła jego palce tylko po to, by poczuć, jak odwzajemnia jej tym samym. Ona jak mało kto wiedziała, że deklaracje odnoszące się do hipotetycznych sytuacji mają niewiele wspólnego z decyzjami podejmowanymi w obliczu zaistniałych wydarzeń.

Czy zabiłaby Camerona, gdyby ją o to poprosił i miał ku temu poważne powody? Zapewne nie, ponieważ była zbyt egoistką. Natomiast jej rodzice postąpiliby identycznie jak Jamie, tyle tylko że na tym by nie poprzestali. Ta refleksja doprowadziła Mię do pytania, którego nikt nie zadał Jamiemu, a w jej pojęciu powinien. Jak mógł nie zabić również samego siebie?

- Myślisz, że postąpił słusznie? - Cam nie dawał za wygraną.

Mia przygryzła wargę.

- Ludzie się zatracają w miłości. - Starannie dobierała słowa. - W kuchni mojej matki wciąż wybuchały pożary, ponieważ myślała tylko o ojcu i w efekcie zapominała, że wstawiła coś dogotowania. - Urwała na moment. - Rodzice z pewnością nie pozostawialiby mnie równie często samej sobie, gdyby nie pochłaniało ich tak bardzo bycie zakochaną parą - gdyby pamiętali, że nie są jedynie mężem i żoną, ale także ojcem i matką. - Przynęła się jeszcze bliżej Cama. - Nie mogę się wypowiadać za Jamiego. Ale wiem jedno: czasami robimy coś z pełną świadomością, że nie powinniśmy tego robić i z jednoczesnym wewnętrznym przekonaniem, że w naszym postępowaniu nie ma niczego zdrowego.

Położyła głowę na ramieniu Camerona. Duża, pojedyncza kropla spłynęła z lodowej rzeźby i wydrążyła dziurę w śniegu leżącym na brzegu jeziora.

Cam przywarł twarzą do loków Mii, zastanawiając się, jak dużo czasu jeszcze im pozostało.

- Nie zamierzam ci składać pustych obietnic. - Graham skubnął kawałek sandwicza. - Musisz przede wszystkim pamiętać, o jaką stawkę toczy się gra.

Jamie patrzył z niesmakiem na kanapkę z indykiem, przesiąkniętą majonezem.

Kromki zostały zbyt cienko pokrojone i pod naciskiem palca majonezowa maź wypływała na wierzch.

- Nigdy nie przypuszczałem, że usłyszę od ciebie podobne słowa. - Spojrzał na młodego adwokata. - Jak to wyglądało trzy, cztery miesiące temu?

„Wyciągnę cię z tego. Na bank” - sparodiował falsetem.

Graham potrząsnął głową.

- Nic nie jest jeszcze przesądzone. Może ujść ci na sucho.

- Ale równie dobrze mogę dostać od dwudziestu lat do dożywcia.



Graham już miał zaprotestować, ale ugryzł się w język i chwycił za kanapkę.

Jamie to nie idiota, no i był świadkiem dzisiejszego wyboru ław przysięgłych. Widział, że po wszystkim Graham zwiesił nisko głowę, jakby nagle zwałił mu się na ramiona ciężar nie do udźwignięcia.

Musiał zauważyć, że sędzia Roarke przyszpilał go wzrokiem, niczym naukowiec rzadki okaz owada, ilekroć mu się wydawało, że oskarżony patrzy w inną stronę.

Jamie odłożył swojego sandwicza i pociągnął spory łyk wody. Pomyślał o śniegu zalegającym grubą warstwą świeży grób Maggie. Będzie mu brakowało wolnej przestrzeni, pomyślał. I widoku bezkresnego nieba. Poza tym zasądzona kara nie zmieni w zasadniczy sposób jego egzystencji. Czekają go dożywocie w ograniczonym świecie więziennych murów lub więzienie, jakim staje się świat, gdy wyrokiem jest dalsze życie.

W sobotę Allie zabrała Jamiego aż do Pittsfield, żeby kupić garnitur, w którym wystąpi na rozprawie.

Miał kilka eleganckich garniturów w domu, ale nie chciał wkładać żadnego z nich.

„Ona je dla mnie wybrała”, powiedział, a Allie pojęła w lot, na czym polega problem.

Butik z męską odzieżą nazywał się „U Lou” i Lou we własnej osobie zaoferował swoje usługi.

- Ależ z pana wielkolud - zauważyła, mierzząc Jamiego wzrokiem. - Jaki pan nosi rozmiar? Czterdzieści cztery? Czterdzieści sześć dla wysokiego wzrostu?

Allie uznała, że czas wkroczyć do akcji.

- Szukamy czegoś stonowanego. W dobrym guście. Bez ostentacji.

- W dobrym guście. - Lou smakował te słowa na języku, jakby nigdy wcześniej nie słyszał tego wyrażenia. - W dobrym guście.

Allie bez słowa minęła właściciela sklepu i podeszła do stojaka oznakowanego 44/190+.

- Jamie, wolisz granat czy szarości?

- Nie wiem. Chyba granat.  
- Przejechał ręką po marynarkach, aż zagrzechotały wszystkie wieszaki na stelażu. - Czy Cam właśnie tutaj kupuje ubrania?

Allie się zaśmiała.

- Cam kupuje wszystkie ubrania z katalogu policyjnego. Ma tylko jedną, sportową marynarkę, którą kupiła mu matka, gdy miał dwadzieścia dwa lata.

Wprawnym ruchem zdjęła kilka garniturów ze stojaka.

- Jesteś na tyle wysoki, że spokojnie możesz sobie pozwolić na dwurzędówkę - uznała - ale nie chcę, by przysięgli zobaczyli w tobie modnego cwaniaka.

- Codziennie będę musiał chodzić do sądu w garniturze? - Przepchnął palec przez dziurkę od guzika.

- Graham uważa, że nie. Tylko podczas wygłaszania mowy wstępnej i końcowej, gdy powinienesz wyrzucić najkorzystniejsze wrażenie na przysięgłych. Na pozostałe dni sugeruje swetry w serek i krawaty à la Wall Street.

- À la Wall Street?

Allie skinęła głową.

- Żółte lub czerwone w maleńkie, idealnie równo rozłożone romby. Sugerujące całkowity brak wyobraźni. Podejdz tu, proszę.

Wyciągając rękę najwyżej, jak umiała, przyłożyła jedną z marynarek do torsu Jamiego.

- Ten chyba będzie najlepszy. Idź przymierzyć spodnie. - Kiedy Jamie nadal tkwił przed nią nieruchomo, wybuchnęła śmiechem.

- No już, ruszaj! - zarządziła, popychając go delikatnie do przodu.

- Ja tam z tobą nie wejdę.

Jamie zaczął się rozglądać za przymierzalnikami i dopiero po chwili się zorientował, że są one ukryte z tyłu, za rzędem luster.

Wszedł do środka i powiesił na solidnych haczykach trzy garnitury.

Potem się rozebrał i wciągnął pierwszą parę spodni.

Allie zapomniała dać mu koszulę. Przez moment stał w bezruchu i wpatrywał się w swój nagi tors przecięty wzdłuż linią kręconych włosków, które poniżej talii przesłaniał dużo za luźny pasek spodni.

Jamie wyglądał w nich jak dzieciak, który się przebrał w ubranie ojca.

Przypomnił sobie, jak przed laty Maggie zaciągnęła go dosklepu z kostiumami kąpielowymi.

Powiedziała, że dla kobiety to wyjątkowo bolesne doświadczenie, więc chciałaby mieć przy sobie kogoś, kto ją kocha bez względu na niedostatki figury.

Przymierzalnia była obszerna, więc stał obok żony, gdy przymierała jeden kostium po drugim.

Jamie uważał, że Maggie w każdym wygląda doskonale, i nie omieszkął jej tego powiedzieć, ale ona zdawała się w ogóle nie zwracać uwagi na kostiumy.

Wciągała brzuch, dźgała biodra palcem, klepała się po udach i do Jamesa dotarło w końcu, że ona nie widzi tych skrawków fioletu, czerwieni czy akwamarynowego błękitu, tylko swoje ciało.

Po mastektomii zaczęła unikać luster. Kiedy brała rano prysznic, jeszcze w zaparowanej kabinie owijała się ręcznikiem, by na siebie nie patrzeć. A potem biegła do garderoby i wychodziła z niej kompletnie ubrana.

Nagle Jamiego oblał gorący pot. Zdjął błyskawicznie przymierzone spodnie i pospiesznie wciągnął własne ubranie.

Allie stała tuż za drzwiami przymierzalni. Trzymała w ręku dwie koszule.

Rzucił w jej stronę garnitury - w jodełkę, delikatną kratkę i idealnie gładki z ciemnej wełny.

- Wybierz którykolwiek - powiedział i skierował się do drzwi, za którymi czekało chłodne, czyste powietrze. - Mnie jest wszystko jedno.

Czas uciekał. Jutro po południu będą już musieli wyruszyć do Shelburne Falls, gdzie Mia się przesiądzie do swojego samochodu.

Cam powróci do domu, do Allie, a Mia - do pokoju hotelowego w Wheelock Inn.

Jeszcze jeden dzień, kolejny ranek, gdy Cameron się obudzi u boku tej cudownej kobiety, a potem będzie musiał powrócić do dawnego życia, jakby ten weekend nigdy się nie wydarzył.

Podczas gdy woda szumiała w łazience, rozpalili ogień w komin-ku sypialni. Wielkie łóżko skąpał czerwony, dymny blask, Cam ściągnął z siebie ręcznik zamotany wokół pasa.

Mia wyszła z łazienki wciąż wilgotna po kąpiel.

- Już się czujesz lepiej? - zapytał.

Podeszła do kominka i wtuliła się w Cama.

- W każdym razie jest mi cieplej. - Cameron zaczął masować jej biodra, a potem schodził coraz niżej, aż do stóp. - Dużo cieplej - mruknęła.

Ukląkł przed paleniskiem i zaczął całować jej ciało, wodząc ustami za migotliwym blaskiem płomieni, tańczącym na skórze. Czuł na plecach gorąco bijące od ognia i równie wielki żar między nogami, gdy zacisnął usta na jej sutku.

Mia jęknęła cicho i ten dźwięk wydał się Cameronowi najpiękniejszą symfonią, jaką kiedykolwiek słyszał w życiu.

Kiedy w końcu usiadła na nim okrakiem, zaczął chłonać ją oczami. Włosy Mii otaczała szkarłatna aureola, głowę trzymała odchylną do tyłu, więc nie widział wyraźnie jej rysów, jedynie migotliwe cienie.

W końcu zamknął powieki. Mia nauczyła go, jak słuchać głosów świata.

Najpierw dobiegł do niego pulsujący rytm zimy, a potem ekstazy kryk saksofonu zakochanego w dźwiękach fletu, dochodzących od strony kolonii muzyków. Wyłapał ciche chrapanie Kafki i szmer padających za oknem płatków śniegu.

A kiedy w końcu zasnął w ramionach Mii, śniło mu się, że to ostatnia noc na ziemi.

Dochodziło południe, gdy Mia zaczęła się wybudzać ze snu. Powrót do prozaicznej rzeczywistości przypomniał jej o pomysle, którym zamierzała się podzielić z Allie.

Mogłyby założyć Klub Kwiatów Miesiąca funkcjonujący identycznie jak Klub Owoców Miesiąca - tyle że zamiast kosza pomarańczy czy persymonów klubowicze za określoną kwotę subskrypcyjną otrzymywaliby w regularnych odstępach czasu kompozycję z sezonowych kwiatów.

- Wiesz, właśnie coś mi przyszło do głowy. - Z drugiej strony łóżka dobiegł ją głos Cama. - Przecież tak naprawdę nie musimy dziś wracać.

Przetoczyła się ku niemu.

- Zapomniałeś, jaki mamy dzień? Już niedziela. Po południu piękna karoca z powrotem przemieni się w dynię.

Przyciągnął Mię do siebie. Był nią upojony, przepełniony miłością i zupełnie sobie nie wyobrażał, jak mógłby powrócić do dawnej pustki i stagnacji - połowicznego życia.

- Mówię poważnie. Ruszyłabyś ze mną w świat, prawda?

Mia odzyskała równy rytm oddechu.

A więc wszystko w porządku. Wracają jedynie do swojej ulubionej zabawy w uludę.

- Dokąd tylko zechcesz. Na Grenlandię. Do Turcji.

Cam pokręcił głową.

- Chcę przez to powiedzieć, że zamierzam odejść. - Mia szybko zakryła mu usta ręką, ale słowa, które chciała zatrzymać, i tak wystrzeliły na powierzchnię, wplątały się w jej palce. - Od Allie.

Usiadła raptownie, podciągnęła pod brodę kołdrę, ściągając ją przy okazji z Camerona, który leżał teraz nagi i bezbronny.

- Nie opowiadaj takich rzeczy.

Położył dłoń na jej nodze.

- Czego tak naprawdę byś chciała?

Ciebie, pomyślała.

I życia, jakie obecnie wiesz.

Wyobraziła sobie Camerona podróżującego u jej boku w wypożyczonym samochodzie, z Kafką śpiącym na jego kolanach podczas długich przejazdów.

Camerona pracującego dorywczo na rozległych farmach Południa lub w dyspozytorni ciężarówek w jakimś wielkim mieście, by związać koniec z końcem.

Próbowała sobie wyobrazić go bezimiennego, pozbawionego obecnej pozycji i odciętego od rodziny. Próbowała sobie wyobrazić Cama w takiej sytuacji, ale widziała tylko siebie.

Gdyby Cameron po powrocie do Wheelock wystąpił o rozwód, nie byłby już tym człowiekiem, w którym się zakochała.

Gdyby ludzie mijali go obojętnie na ulicy, nie witali serdecznym pozdrowieniem, gdyby zamieszkał z nią pod gołym niebem i przez trzy tygodnie żywił się kocim żarciem z puszki, bo na nic innego nie mógłby sobie pozwolić - nie byłby tym człowiekiem, w którym się zakochała. Poza tym - jak szybko znienawidziłby ją za to, że pozwoliła, aby się sprzeniewierzył wartościom definiującym sens jego istnienia?

Uświadomiła sobie, że od przyjazdu do Wheelock najbardziej pragnęła tylko jednego: cofnąć czas, poznać Camerona, zanim Allie zajęła miejsce u jego boku.

W nagłym błysku ośnienia dotarło do Mii, że w gruncie rzeczy nie chciała tego, co mógł jej dać Cam, lecz tego, co miała Allie MacDonald.

Cameron odwrócił twarz Mii ku sobie, otarł palcem łzę z jej policzka.

- Jesteś smutna. Też nie chcesz stąd wyjeżdżać. Mia uśmiechnęła się niemrawo.

- Uhm.

Ale za jej smutkiem kryło się coś więcej. Jeżeli szczerze kochała Camerona - a tak było w istocie - musiała oszczędzić mu cierpienia, jakie się wiązało z wykorzeniem, brakiem miejsca na ziemi, które można nazwać domem.

Spojrzała przez okno na bezkres śnieżnej połaci. Cam siedział na skraju łóżka, wciągał bokserki. Mięśnie jego ramion napinały się i rozluźniały przy każdym ruchu. Za chwilę zapytają, co chciałyby robić, a jeżeli miałyby być szczerą, powinny odpowiedzieć: Zostać w tym pokoju.

Kochać się z tobą.

Zapisać w pamięci każdy szczegół twojej twarzy.

Podszedł do niej, chwycił ją w ramiona, błędnie interpretując milczenie.

Mia pozwoliła sobie na luksus przywarcia do ciała człowieka, któremu bez wahania powierzyłaby życie.

Pocałowała wgłębienie u podstawy jego szyi i powędrowała w górę językiem, pozostawiając wilgotny, szybko schnący ślad. A potem odsunęła się odrobinę - tylko na tyle, by jej ciało zrozumiało, że to pierwszy krok do rozstania.

O 8:05 w poniedziałkowy poranek Mia Townsend powymowała z szuflad hotelowej komody wszystkie swoje ubrania, a następnie każdą sztukę starannie zrolowała i zapakowała do plecaka.

Później chwyciła Kafkę na ręce i położyła się na łóżku, w którym spędziła z Camem wczorajszy wieczór.

Wrócili oddzielnie, ale Cameron zamiast do domu, przyjechał do niej do Wheelock Inn.

Rozebrał ją z nadzwyczajną czułością i w pierwszym odruchu Mia pomyślała, że odgadł jej zamiary.

Ale po chwili uświadomiła sobie, że on w ten szczególny sposób celebryje ciąg zdarzeń, który w jego przekonaniu był nie końcem, lecz nowym początkiem.

Jej ciało nie chciało się tak łatwo pogodzić z decyzją rozumu. Jej skóra pod dotykiem rąk Camerona wyśpiewywała cichą kołysankę, aż w końcu upojony rozkoszą, Cam zasnął głębokim snem.

Wówczas Mia zamknęła powieki i wsłuchiwała się w dźwięki dobiegające zza drzwi i okien - odgłosy rodzinnego życia u schyłku weekendu.

Przez chwilę przywoływała z pamięci rysy Camerona. A potem zagrzebała twarz w poduszkę, na której on zawsze trzymał głowę. Była pewna, że do końca życia nie zapomni jego zapachu, ale kiedy poszedł do łazienki, na wszelki wypadek ukradła jedną z bawełnianych bluz, które miał ze sobą w New Hampshire.

To był ten drobiazg, który postanowił zabrać na pamiątkę pobytu w Wheelock.

Kafka miauknęła. Mia wstała i rozejrzała się po pokoju. Sprawdziła

wszystkie szuflady, weszła do łazienki, by się upewnić, że nie pozostawiła w tym miejscu żadnej cząstki samej siebie.

Delikatnie powiodła ręką po powyginanych gałęziach starego drzewka bonzai, które towarzyszyło jej we wszystkich podróżach.

A potem położyła je na środku łóżka, by mieć pewność, że Cam go nie przeoczy.

Zamknęła drzwi pokoju, który przez chwilę był jej domem. Zezšla do recepcji, uregulowała rachunek, zwróciła klucz.

I wyszła z hotelu.

Dzień był wyjątkowo ciepły jak na połowę stycznia, pomimo porannej pory temperatura musiała dochodzić do 10C. W niektórych miejscach śnieg całkowicie stopniał, odsłaniając żółtawe, rachityczne kępki trawy - stratowane i zmiażdżone, jakby doświadczyły brutalnej przemocy.

Mia westchnęła głęboko. Idąc do samochodu, wysoko trzymała głowę, żeby nie patrzeć na kałuże, które odbijały obraz samotnej kobiety.

O 8:05 w poniedziałkowy poranek Allie zbierała po domu brudne ubrania, które trzeba było czyścić na sucho. Musiała przynajmniej co dwa tygodnie jeździć do pralni chemicznej pana Soonga, bo inaczej Camowi zabrakłoby czystych koszul mundurowych.

Cameron wyjechał z domu wcześniej rano, na JESZCZE JEDNO seminarium, tym razem dotyczące procedur policyjnych. A ponieważ z poprzedniego wrócił zaledwie wczorajszej nocy, i to grubo po dziesiątej, nie zdążył rozpakować swojej podróźnej torby.

Allie pamiętała, że na szkolenie w New Braintree nie zabrał munduru, ale nie wiedziała, czy przypadkiem nie wzięł innych ubrań, wymagających czyszczenia na sucho.

Cam miał na przykład kilka bawełnianych swetrów, których pod żadnym pozorem nie należało prać w wodzie, żeby się nie skurczyły.

Schyliła się nad leżącą na boku torbą. Wyciągnęła parę dzinsów i lekko zawilgocone kalesony. Przemknęło jej przez głowę, że brakuje żółtej, dresowej bluzy, którą Cam miał na sobie w chwili wyjazdu,



gdy nagle na podłogę wypadła jakaś fotografia.

W pierwszej chwili zauważyła jedynie, że to marna polaroidowa odbitka.

Obraz był nieco przymglony, kolory trochę nienaturalne, więc pomyślała, że może to przywidzenie - że osobami stojącymi przed zamarzniętym stawem pełnym radosnych łyżwiarzy nie są Cam i Mia.

Mieli krwistoczerwone źrenice - jak wszyscy ludzie na polaroidowych zdjęciach.

On tulił ją w ramionach.

Allie w ułamku sekundy pojęła wreszcie, jak straszna była idiotką.

Przed oczami niczym w fotoplastykonie zaczęły jej migać obrazy: Mia stojąca w kuchni u boku Cama, szcoteczka należąca do Mii w ich małżeńskiej łazience, Mia pogrążona w cichej rozmowie z Camem, gdy ona, Allie, pracowała na zapleczu.

Bielizna Mii w szufladzie Cama.

Nogi odmówiły Allie posłuszeństwa. Zaciskając fotografię kurczowo w dłoni, położyła się na podłodze i zwinęła w kłębek.

W tym momencie nie mogła pojąć tylko jednego - dlaczego nie rozpywa się we łzach.

Swego czasu sądziła, że taka właśnie będzie jej reakcja. Bo oczywiście każdy, kto żyje w związku, rozpatruje - przynajmniej w kategoriach hipotetycznych - możliwość zdrady partnera. Regularnie czytywała „Glamour” i „Cosmopolitana”, więc dobrze poznała rozmaite scenariusze.

Owe czasopisma namawiały kobiety do przyjmowania bezwzględnej postawy, Allie jednak była przekonana, że gdyby przyszło co do czego i mąż kiedykolwiek ją zdradził, zamknęłaby się na zawsze w skorupie rozpacz.

Tymczasem wydarzyło się coś zupełnie innego. Postępek Camerona zmobilizował ją do działania. Szarpnęła torbę z taką furją, że aż trzasnął suwak.

Podarła fotkę na tak drobne kawałki, na jakie tylko pozwalała polaroidowa klisza.

W kosmetyczce męża znalazła kondomy, sztywnym krokiem przeszła do łazienki, rozpakowała je wszystkie z folii i pojedynczo spuściła w toalecie.

I przez ten cały czas nie uroniła choćby jednej łzy.

Ani razu też nie zadała sobie pytania: Czym na to zasłużyłam?

W głowie pulsowała jej całkiem odmienna myśl: Co on takiego zrobił, żeby zasłużyć na kogoś takiego jak ja?

Ubrała się szybko, ponieważ czekało ją mnóstwo pracy. A potem przysiadła na łóżku, objęła się mocno ramionami i oswajała ze świeżo odkrytą wiedzą, aż zmieniła się ona w mały, palący gruzełek cierpienia równie twardy i nieusuwalny jak czysty kryształ węgla, tkwiący w głębi złoza.

O8:05 w poniedziałkowy poranek Jamie MacDonald w swojej wyobraźni dołączył do watahy wilków.

Wyszedł bosy na dwór i skierował się na pole Darby'ego Maca, które w zimie było zwykłym rżyskiem.

Zaczął biegać pomiędzy rzędami ścierni, a potem opadł na czworaki i zaczął się tarzać w topniejącym śniegu.

Miał nadzieję, że zapadnie na śmiertelne zapalenie płuc.

Pomimo zdrętwiałych z zimna stóp zmuszał się do ciągłego wysiłku. A gdy wreszcie palenie w płucach stało się nie do wytrzymania, a oczy łzawiły tak bardzo, że niemal nic już nie widział, przysiadł na piętach i zawył do słońca.

Krzyczał i wył tak długo, aż całkiem zdarł sobie gardło, aż w środku poczuł idealną pustkę.

Wtedy wstał. Był na powrót człowiekiem. Ruszył w stronę domu Angusa i skręcił za załom, na podwórze.

W kojcach siedziały dwa kundle i najczystszej krwi spaniel.

Na widok Jamesa zaczęły ujadać, ale kiedy wysunął ku nim rękę, wcisnęły w nią ciepłe, wilgotne nosy.

Nie zastanawiając się wiele, Jamie otworzył klatki i spoglądał za psami, które pędem puściły się drogą, podążając tropem wiodącym ku wolności.

O 8:05 w poniedziałkowy poranek Graham MacPhee spał z głową opartą o kilka zakurzonych ksiąg prawniczych, niepomny faktu, że

jeden z twardych grzbietów odcisnął się głęboką pręgą na jego policzku.

Adwokat niemal przez całą noc nie zmrzął oka, pracował bowiem nad swoją mową wstępną.

Normalnie proces ruszyłby już dzisiaj, wraz z początkiem nowego tygodnia, ale z racji Dnia Martina Luthera Kinga sądy nie zbierały się na sesje. I dzięki temu Graham, Jamie oraz wszyscy inni, zaangażowani emocjonalnie w tę sprawę, zyskali dwadzieścia cztery godziny odroczenia.

Pociągnął zdrowy łyk coli z dwulitrowej butli w nadziei, że wypłucze z ust nieprzyjemny, metaliczny posmak.

Ktoś, kto by go zobaczył w tej chwili - bosego, rozczochranego, o wyszarzałej twarzy - a jutro ujrzał na sali rozpraw, siedzącego za stołem obrony, nigdy by nie uwierzył, że to ten sam człowiek.

Przetarł zaczerwienione, zmęczone oczy, a kiedy oderwał od nich dłonie, okazało się, że przed samościeralną tablicą stoi jakaś kobieta.

- Hola! - odezwał się ostrym głosem, dumając jednocześnie, jak, do cholery, ona się dostała do jego gabinetu, skoro drzwi kancelarii były wciąż zamknięte na głucho.

- Kim pani jest i co tutaj robi?

W odpowiedzi dotknęła tablicy, ukazującej w chronologicznym porządku wydarzenia pięciu dni poprzedzających aresztowanie Jamiego, i jej dłoń przeszła na wylot przez szklane włókno.

Ponowiła próbę - tym razem dużo delikatniej musnęła palcem puasty, biały prostokąt reprezentujący ostatnią noc, którą Jamie spędził wraz z żoną.

Z walącym sercem Graham dźwignął się z miejsca i wówczas nieznajoma odwróciła ku niemu twarz.

Widział polaroidowe zdjęcia wykonane przez koronera. Oglądał fotografie, które Allie przywiozła z domu Jamiego. Nie miał więc wątpliwości, że patrzy w oczy Maggie MacDonald.

Próbował coś powiedzieć, jednak nie był w stanie wydobyć głosu ze ściśniętego gardła.

Raz jeszcze przetarł z całej siły oczy, lecz kobieta nie zniknęła. Przypomniał sobie uwagi doktora Harrisona Hardinga i pomyślał,

że oto doświadcza epizodu psychotycznego.

Maggie ponownie przesunęła dłonią po białej plamie, obejmującej te kilkanaście godzin, których Graham nie umiał udokumentować. I nagle zniknęła - równie niespodziewanie, jak się pojawiła.

Graham podszedł do tablicy i przyjrzał się miejscu, którego dotykała Maggie.

Pośrodku białego pustego prostokąta widniał wyraźny odcisk palca - czerwony jak krew.

O 8:35 Ellen MacDonald była na swoim codziennym, porannym spacerze.

Po wyjściu z domu zazwyczaj kierowała się na południe, poczym robiła pętlę wokół parku, biblioteki i Wheelock Inn. Jeżeli maszerowała dziarskim krokiem, pokonanie tej ponad trzykilometrowej trasy zajmowało jej niecałe pół godziny.

W uszach miała słuchawki walkmana, z których płynęła muzyka Enyi.

Jej sportowy strój był wykonany w całości z naturalnych włókien, a trampki - ze specjalnego tworzywa pozwalającego skórze swobodnie oddychać.

Gdy w ten poniedziałkowy poranek znalazła się przy Wheelock Inn, spostrzegła, że rozwiązało się jedno z jej sznurowadeł. Aby zrobić z nim porządek, przykucnęła tuż za topniejącą zaspą śniegu, nieświadomie skrywając się przed ludzkim wzrokiem. I właśnie wówczas zauważyła nie oznakowany radiowóz Cama, zajeżdżający na hotelowy parking.

Na ten widok poderwała się w górę i natychmiast zawróciła w stronę domu, żeby przypadkiem nie być świadkiem czegoś, czego nigdy w życiu nie chciałyby oglądać.

O 8:45Cam został poinformowany, że Mia Townsend wyprowadziła się na dobre z Wheelock Inn.

Gdy to usłyszał, miał najszczerzą ochotę chwycić menedżera za gardło i zmusić do obszerniejszych wyjaśnień, ale zdusił w sobie tę pokusę i opanowanym głosem poprosił faceta, żeby raz jeszcze

przejrzał wszystkie rejestry.

- Musiał się pan pomylić - oświadczył sucho. - Z pewnością powiedziała coś innego.

Ledwo Cameron wszedł do hotelowego lobby, menedżer - który został sownie opłacony za zachowanie dyskrecji - przywołał go do siebie, po czym oznajmił, że pani Townsend uregulowała rachunek i zwolniła pokój.

Na dowód swoich słów wyjął z niewielkiego pliku jeden z kwitów. Cam od razu rozpoznał pismo Mii: wydłużone, spiczaste litery, którymi wpisała ich do księgi meldunkowej zacisznego pensjonatu jako pana i panią MacDonald.

Wbiegając po schodach na piętro, powtarzał gniewnie w duchu, że dzisiaj nie ma czasu na podobnie nonsensowne zabawy. Czekają go szkolenie na temat włamań - tym razem autentyczne - i przed dziesiątą musiał być w Pittsfield. Wpadł tutaj tylko po to, by powiedzieć Mii, że nie rozmówił się jeszcze z żoną, ponieważ wczoraj wrócił zbyt późno, ale po południu, tuż po szkoleniu pójdzie do adwokata, a wieczorem poinformuje o wszystkim Allie.

Chciał też zobaczyć uśmiech Mii, przytulić ją mocno do siebie, poczuć ten dreszcz wzajemnego pożądania, by dodał mu sił na resztę trudnego dnia.

Otworzył drzwi małego pokoju kluczem, który dała mu Mia. Wnętrze było pozbawione jakichkolwiek osobistych akcentów, wokół panował bezosobowy ład.

Jedyny wyjątek stanowiło łóżko - unosił się nad nim zapach seksu, a pośrodku widniało bonsai.

Leżało podparte o poduszki, żeby nie rozsypała się ziemia. Żaden list nie byłby bardziej wymowny, więc pewnie dlatego je zostawiła.

Zostawiła!

Na oczach Camerona pień starego drzewa rozszczepił się i zaczął narastać.

Powykręcany, gruzłowaty konar, który sterczał w bok i opadał ku dołowi, napiął się i wystrzelił w górę, ku słońcu. W miejscach po urwanych pączkach pokazały się zielone, woskowate liście.

Drzewko już w niczym nie przypomniało bonzai - powróciło do kształtów danych przez naturę.

Cam musiał oprzeć się o ścianę, gdy w końcu jedno stało się dla niego boleśnie oczywiste.

Tym razem nie ma sensu zwracać się do Bally'ego Beene'a, by tropił Mię po całym kraju.

Drzewo się okryło różowymi kwiatami.

Tym razem nie będzie już powrotu.

O 9:50 Allie stała w kwaciarni naprzeciwko drewnianej ławy, na której stały drzewka bonzai, i w osłupieniu patrzyła, jak się uwalniają z pęt miedzianego drutu.

Gałęzie napięły się i zadygotały, rozrywając krępujące zwoje, i wkrótce rośliny wyglądały dokładnie tak samo jak wtedy, gdy zostały przyniesione ze szkółki.

Allie przysłała do kwaciarni, żeby się upewnić, że Mia na zawsze zniknie z jej życia i już nigdy do niego nie powróci. Jadąc samochodem do centrum, rozpatrywała w myślach różne scenariusze. Wpadnie do kwaciarni jak burza i każe się asystentce wynosić do wszystkich diabłów.

Zjawi się w pracy jak gdyby nigdy nic, będzie wyjątkowo słodka, a w najmniej oczekiwanym przez Mię momencie zdetonuje bombę - powie, że odkryła prawdę.

Tuż po przyjeździe zapłaci Mii za tydzień z góry i bez słowa wyjaśnienia ją odprawi.

To, co się działo ze stojącymi podoknem drzewkami bonzai, tak kompletnie zaprzętnęło jej uwagę, że dopiero po dłuższej chwili zauważyła, jak wygląda wewnątrz kwaciarni.

Mia powymowała wszystkie pelargonie z doniczek i rozrzuciła je po podłodze, po roboczym stole i po ladzie.

Białe, bordowe i różowe, karminowe i łososiowe płatki przywierały do obcasów Allie, kleiły się do mankietów spodni. Pelargonie oznaczały: „Już nigdy się z nim nie zobaczę”.

Zanim Allie zamknęła kwaciarnię i poszła do monopolowego po puste kartony, śnieg niemal całkiem stopniał.

Na frontowym trawniku praktycznie nie było po nim śladu - tylko w wiecznie zacienionych miejscach zachowały się białe mini łachy,

przypominające, że jest przecież środek zimy.

Allie spędziła resztę przedpołudnia na ogoławaniu domu ze wszystkiego, co należało do męża. Rugowaniu najdrobniejszego śladu jego istnienia. Na stojących wzdłuż podjazdu, odwróconych do góry dnem kartonach porozkładała jego książki, narzędzia elektryczne, wędziska i buty, na rozciągniętej między drzewami linie rozwiesiła koszule, bluzy, mundury - łącznie z galowymi - oraz jego jedyną marynarkę. Potem sama usiadła na leżaku z metalową kasetką na kolanach.

Ciepła, niemal wiosenna pogoda sprzyjała garażowej wyprzedazy.

Allie przeprowadzała transakcje z wdziękiem i zdumiewającą sprawnością. Nie zależało jej na zyskach, chciała jedynie upłynnić wszystko, co wystawiła.

Namawiała kupujących, żeby przysyłali przyjaciół.

Organizowała mini promocje: sprzęt sportowy - dwie sztuki w cenie jednej.

Kupisz mundur, buty dostaniesz gratis.

Patrzyła, jak dowody istnienia jej męża powoli znikają, unoszone w ramionach sąsiadów, którzy przypadkowo przechodzili ulicą.

Czuła na skórze promienie słońca, równie nie oczekiwane i gorące jak trawiący ją gniew.

I czekała na powrót Camerona.

# CZEŚĆ TRZECIA

Gdy komuś przebaczasz szczerze,  
chcąc, nie chcąc zaczynacie  
przynależeć do siebie -  
oto prawo dzierżawy serc.

JAMES HILTON, *Tone and Tune* Agam.



Allie niespodziewanie przypomniała sobie pewną piosenkę. Jej słowa głosiły, że osoba, która jest twoją pierwszą miłością, kradnie ci serce.

Osoba, z którą pierwszy raz w życiu się kochasz, kradnie ci duszę. A jeżeli w jednym i drugim wypadku, jest to ten sam człowiek, czeka cię marny los.

Siedziała na wysokim stołku w barze country western w Shelburne Falls i patrzyła, jak ludzie, których życie nie roztrzaskało się na kawałki, tańczą kowbojskie tańce w takt skocznej muzyki skrzypiec.

Zostawiła Cama sterczącego nad pustymi kartonami na frontowym trawniku przed domem, i na piechotę doszła do centrum. Potem łapała rozmaite okazje, aż w końcu znalazła się na tyle daleko od Wheelock, że mogła znowu swobodnie oddychać. W barze „Rodeo Joe” wylądowała tylko dlatego, że był to pierwszy lokal, na jaki się natknęła w Shelburne Falls, gdzie sprzedawano alkohol, a już wyruszając z domu, postanowiła, że dzisiejszego wieczoru spije się do nieprzytomności.

Przesunęła palcem po serwetce leżącej pod drinkiem - czystą tequilą, już szóstą.

Bar „Rodeo Joe” swoim reklamowym sloganem zapewniał, że każdy ubawi się tu po pachy.

Allie rozważała leniwie, czy w związku z tym ma prawo do zwrotu pieniędzy.

Jak to się dzieje, że człowiek nigdy nie może się upić wtedy, gdy tego najbardziej potrzebuje?

Mężczyzna w czerwonej, kowbojskiej koszuli zasiadł na sąsiednim stołku w taki sposób, jakby to nie był barowy mebel, tylko

siodło na końskim grzbiecie.

Skinął głową na powitanie, po czym zwrócił się do barmana.

- Rexie, podaj pani następną kolejkę na mój koszt.

Allie zawiesiła na nim wzrok. Kiedy to po raz ostatni jakiś mężczyzna postawił jej drinka?

- To bardzo miło z pańskiej strony, ale marne dziś ze mnie towarzystwo.

- Kiepski dzień? - zapytał.

Mówił z zachodnim akcentem i szczególną modulacją, jakby pracował na najprawdziwszym ranczu w samym środku Massachusetts. Allie nachyliła się nad drinkiem, żeby ukryć uśmiech. Przebywanie w takich barach miało niekiedy skutki uboczne - ludzie wkładali wysokie kapelusze z wielkim rondem i rzucali idiotyczne teksty, siląc się na akcent, który na co dzień uważali za gorzej niż obciachowy.

Siedzący obok niej facet w „cywilnym” życiu był pewnie doradcą podatkowym, chodził w starannie skrojonym garniturze i pracował na State Street w Bostonie.

- Cóż, kowboju. Powiem ci jedno - popełniłam błąd, wskakując na tego konia.

Nie był tak wysoki i muskularny jak Cam, ale w równie dobrej fizycznej formie. Szczupły i żylasty, ewidentnie nie zawdzięczał swojej świetnej sylwetki mozolnym ćwiczeniom na siłowni, ale raczej wielu godzinom spędzonym co tydzień na korcie do squasha.

Odznaczał się uderzająco ostrymi rysami twarzy, ale ta szczególna dysharmonia w połączeniu ze szczerym wejrzeniem oczu nadawała mu wygląd urokliwego twardziela.

Jego włosy były ciemniejsze od włosów Cama, brakowało mu też dołeczka w brodzie.

Ledwo Allie to pomyślała, poczuła niesmak do samej siebie. Kiedy wreszcie się uwolni od takich porównań?

- Jestem O'Malley.

- O'Malley? I nic więcej?

Skinął głową.

- W każdym razie na nic innego nie reaguję.

Roześmiała się i przejechała palcem po zaszronionej szklance.

- A ja jestem Allie.  
- Allie? I nic więcej? - Uśmiechnął się szeroko i to złagodziło jego twarz.

- W każdym razie na nic innego nie reaguję - powtórzyła.  
Mieszkasz w tych okolicach?

- Zdecydowanie bardziej na zachód. Pracuję na ranchu Double K. Allie rozwarła oczy ze zdumienia.

- Chcesz powiedzieć, że w Massachusetts istnieje prawdziwe rancho?

- W każdym razie coś w tym rodzaju - odparł, po czym nachylił się konspiracyjnie do jej ucha.

- Założę się o pięć dolców, że nikt z tańczących na tym parkiecie nie odróżniłby końskiego łba od zadu.

Allie znowu wybuchnęła śmiechem. To jej dobrze robiło: zmniejszało napięcie ramion i ucisk w piersi.

- A więc naprawdę jesteś kowbojem.

O'Malley wzruszył ramionami.

- Można tak to nazwać z braku lepszego słowa. W Double hodujemy bizona.

- Bizona? Te, które kiedyś wielkimi stadami przemierzały prairie?

- Te same.

Allie wlała w siebie spory łyk tequili.

- A po co?

- Głównie na mięso. Byłabyś zdziwiona, jak wiele eleganckich knajp z Bostonu podpisuje z nami długoterminowe kontrakty.

- Nigdy nie jadłam mięsa bizona.

O'Malley położył dłoń na jej ręku.

- Wierz mi, nic nie straciłaś. - Uśmiechnął się, ukazując białe, idealnie równe zęby. - Zatańcz ze mną, Allie - poprosił i zanim przypomniała sobie, że powinna odmówić, poprowadził ją na środek parkietu.

Trzymając jej lewą dłoń, od czasu do czasu pocierał obrączkę, którą wciąż miała na palcu, jednak nie poczynił na ten temat żadnego komentarza.

Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie był rozmowny.

Nucił pod nosem w takt nastrojowej ballady i poruszał biodrami z naturalną płynnością, którą - jak podejrzewała Allie - zawdzięczał wielu godzinom spędzonym w siodle.

Z początku nie mogła oddychać, tak bardzo była spięta. Ale potem zamknęła oczy.

Ostre światło stroboskopów już nie raziło, jedynie rytmicznie szczypało powieki.

Allie przywarła do silnego, szczupłego ciała, które miała naprzeciwko siebie. Źle się czuła w takiej bliskości z obcym mężczyzną, ale napomniała się w duchu, że przełamanie tej psychicznej bariery będzie już połową zwycięstwa.

Muzyka wciągała ich w swój wir, zbliżała do siebie nawzajem. O'Malley przyciskał już policzek do jej policzka i nucił słowa lecącej piosenki, których ona nie знаła, ale do tej samej melodii wyśpiewywała w duchu swój własny refren:

Cam to zrobił. Cam zrobił. Mogę i ja.

Cam rozejrzał się po trawniku. Jedyne rzeczy, które jeszcze pozostały, to te, których już absolutnie nikt nie chciał - i do tej kategorii zaliczył samego siebie. Na odwróconych do góry dnem kartonach leżało kilka par skarpetek i bokserek, bawełniana bluza, którą parę lat temu poplamiał wybielaczem, oraz zepsuta wiertarka. Zostawił je tam, gdzie były, i wszedł do domu. Dziwnie się poczuł na widok pustych miejsc na ścianach, gdzie kiedyś wisiały rodowe pamiątki z Carrymuir, oraz wolnych od kurzu krządków na półce - wspomnienia po kuflach, które przywiózł z Monachium i Stuttgartu.

Zastanawiał się, jak Allie reagowała na pytania ciekawskich. Skłamała czy powiedziała prawdę? Szczerze mówiąc, sam nie wiedział, co by wolał.

Dom nie był całkowicie ogołcony z mebli i dekoracyjnych przedmiotów, ale nabrał cech czysto kobiecej przestrzeni. Na fotelu i sofie leżały wykonane przez Allie patchworki. Nagle zaczęły się rzucać w oczy jasne, koronkowe firany, podpięte po bokach,

wpuszczające do środka resztki popołudniowego światła tak mdłego, jakby słońce zaczęło konać. Na regale dumnie panoszyły się książki kucharskie Allie, ustawione starannie według wielkości.

Opadł na kanapę - Bóg jeden wie, gdzie się w tej chwili znajdował jego ulubiony fotel - i dał się ponieść emocjom: frustracji, furii, zażenowaniu.

- Niech cię piekło pochłonie! - wrzasnął na całe gardło.

Tomu pomogło, więc podjął jeszcze jedną próbę.

- Jak mogłaś mi coś takiego zrobić?

Krzyczał tak ogłuszająco, że echo jego głosu wniknęło we wszystkie szczeliny domu.

- Czemu mnie opuściłaś? - zapytał dużo ciszej i wówczas uświadomił sobie, że jego gniew nie ma w ogóle nic wspólnego z Allie.

Zastanawiał się, czy Mia wciąż o nim myśli. Z ciężkim westchnieniem wstał z kanapy, wcisnął ręce do kieszeni. Ruszył na inspekcję domu, by ogarnąć wymierne rozmiary własnej zdrady. Do połowy pusta toaleta w łazience - ani śladu przyborów do golenia, za to festiwal lotionów, żelów do kąpieli i różanych mydełek. Warsztat w piwnicy - równie pusty jak w dniu, gdy się tu sprowadzili. Śmiesznie mała garderoba w sypialni - teraz przepastna, pełna kotów kurzu na podłodze.

Sprzedawała nawet jego pieprzone poduszki. Raz jeszcze wszedł do łazienki, tym razem z przyczyn czysto fizjologicznych, i zauważył, że za sedesem stoi jakiś pakunek owinięty w gazetę.

Okazało się, że to czwartkowe wydanie lokalnego dziennika, w którym na pierwszej stronie widniał wielki artykuł, dotyczący zbliżającego się procesu Jamiego, choć zapewne wykorzystanie akurat tego numeru w charakterze papieru pakowego było całkowicie niezamierzone.

Cam wiedział, co kryje pakunek, zanim jeszcze go rozwinął. Leżący na kaflach posadzki, nieprzesycony światłem, witraż zdawał się wydrenowany z koloru.

Dłaczego się nie znalazł w którymś z kartonów wraz z innymi prezentami, które jej podarował?

Teraz najprawdopodobniej już nigdy się tego nie dowie.

Cam pamiętał ten moment, gdy Allie po raz pierwszy wzięła w rękę witraż.

Powiedział wówczas, że z takim panelem trzeba się bardzo ostrożnie obchodzić. Rozmawiał z żoną, dawał jej prezent, a przez cały czas myślał tylko o Mii.

Teraz czekało go kilka tygodni udręki. Nieważne, co sięw tej chwili działo z Allie i kiedy się znowu zjawi w jego życiu.

Dzisiaj, wraz z odejściem Mii, jakaś jego częśćka umarła na zawsze. Więc przez jakiś czas będzie pogrążony w głębokiej żałobie.

Tyle że nie okaże tego na zewnątrz. Przynajmniej tyle był winien żonie.

Żona. To słowo zakrzepło mu na języku.

Oderwał kawałek papieru toaletowego i starannie wyczyścił kawałki szkła, przetarł ołowiane ramki.

Zabrał witraż do sypialni i powiesił na oknie, z powrotem na swoim miejscu.

A potem stał przed szklanym panelem do chwili, aż księżyc prześwietlił bladym światłem kolorowe szybki.

Cokolwiek jeszcze przyniesie ten dzień i dni następne, podda się temu biernie i z pokorą.

Kiedy kochasz się z własnym mężem, z którym jesteś w związku od wielu lat, dobrze wiesz, kiedy i jak długo będzie cię całował.

Wiesz, że zaczniesz od prawej piersi, a dopiero później skoncentrujesz się na lewej.

Wiesz, że powędruje ustami w dół brzucha, doprowadzi cię niemal na szczyt rozkoszy, a potem przylgnie wargami do twoich warg, i wówczas się dowiesz, jak smakuje twoje własne pożądanie.

Z mężczyzną, którego nie znasz, gubisz rytm.

Allie leżała całkiem naga na plecach w motelowym pokoju, a na niej - O'Malley.

Podczas pocałunków zderzali się nosami, i te drobne katastrofy bynajmniej nie były wynikiem zbyt dużej dawki alkoholu. Allie się denerwowała, jednak nie z powodu samego aktu zdrady, ale dlatego,

że nie wiedziała, jak będzie wyglądał każdy następny etap.

I ta całkowita nowość sytuacji, odstępstwo od dobrze znanego rytuału wzbudzały lęk.

O'Malley poświęcił sporo czasu na lizanie okolic jej ucha, co nie było szczególnie podniecające.

Szeptał przy tym takie teksty, że miała ochotę natychmiast zaciśnąć kolana. „Chcesz żeby cię ujeździł prawdziwy kowboj, skarbie? Potrafię godzinami utrzymywać się w siodle”.

A mimo to sutki jej stwardniały, a między nogami poczuła gorącą wilgoć i ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że ten obcy mężczyzna, którego nawet nie zdążyła polubić, doprowadzi ją do orgazmu.

To tylko seks, powtarzała sobie w duchu, gdy nakładał kondom i w nią wchodził.

Z takiego założenia z pewnością wyszedł Cam. Ona podejdzie do tego w taki sam sposób. Seks to nie to samo co małżeństwo.

Wreszcie z jej oczu poleciały łzy - te niewyplakane rano i popołudniu w drodze do Shelburne Falls.

Z początku płynęły w ciszy, ale już chwilę później Allie zaniósła się tak głośnym szlochem, że O'Malley z osłupiałą miną wysunął się z jej wnętrza.

Niczego nie wyjaśniała. Nie chciała. Nie musiała.

Zwinęła się w kłębek i próbowała sobie przypomnieć, którądy wiedzie najkrótsza droga do domu.

Angus i Ellen usiedli w sali rozpraw sądu w Pittsfield, zostawiając między sobą wolne miejsce dla Allie.

Do rozpoczęcia procesu pozostało zaledwie dziesięć minut, a jej wciąż nie było.

- Nie mam pojęcia, co ją zatrzymało. - Ellen zerknęła, na zegarek.

Graham zakołysał się nerwowo na obcasach.

- Nie opuściłaby mów wstępnych.

- Ani chybi przebiła oponę - zawyrokował Angus.

Graham skinął głową i popatrzył na drzwi, przez które za kilka minut miał wejść Jamie.

- Mam nadzieję, że Allie zaraz przyjdzie - mruknął.
- Serce mu pęknie, jeżeli ona się nie zjawi.

Adwokat oparł się o stół obrony i przy okazji strącił notatki.

Zastanawiał się, co w tej chwili czuje James, poszukujący w toalecie chwili wyciszenia.

I jak się będzie trzymał pod koniec tego dnia, pierwszego z wielu.

Oskarżony to najmniej istotna osoba na sali sądowej. Nie bierze czynnego udziału w rozprawie. Nie może przekonywać o swojej niewinności. Jest jedynie czymś w rodzaju pomocy wizualnej dla przysięgłych, wysłuchujących zeznań świadków.

Graham miał pełną świadomość, że ten proces nie będzie w niczym przypominał cywilnych spraw, którymi do tej pory się zajmował. Oskarżenie dysponowało inkryminującymi dowodami. On nie mógł ich w żaden sposób podważyć ani przedstawić własnych o równej sile rażenia.

W istocie większość świadków Grahama złoży zeznania, które w zasadniczej warstwie potwierdzą tezy prokuratury. Jego zadaniem będzie zrelatywizowanie faktów i wytworzenie wokół Jamiego odpowiedniej aury.

W istocie rola Grahama sprowadzi się do sugestywnego przekazania przysięgłym następującego komunikatu:

Owszem, doszło do zabójstwa. Ale musicie uwzględnić szczególny kontekst wydarzeń.

Z drugiej strony doskonale zdawał sobie sprawę, że niema mądrych, którzy by umieli przewidzieć, jakie wyobrażenia dwunastu sprawiedliwych wytworzy w swoich umysłach.

Jamie, błady i spięty, wszedł na salę niemal w tym samym momencie, gdy jeden z funkcjonariuszy sądowych wprowadził przysięgłych, po czym wrzasnął:

- Proszę wstać! Sesji przewodniczy sędzia Juno Roarke.

Ledwo Roarke ogłosił rozpoczęcie rozprawy, Audra Campbell poderwała się na równe nogi i rozpoczęła swoją mowę wstępną.

- Panie i panowie przysięgli - zaczęła stereotypowo. - W dniu 19 września 1995 roku Margaret MacDonald poniosła śmierć z ręki własnego męża, który przywiózł ją do leżącego niedaleko stąd miasteczka, wprowadził się z nią do hotelu, a potem docisnął poduszkę



do jej twarzy, całkowicie odcinając dopływ powietrza, tak że umarła przez uduszenie. Wykażemy, że oskarżony sam się zgłosił na policję i w dobrowolnie złożonym zeznaniu przyznał się do zamordowania żony.

Audra miała na sobie czarny, wełniany kostium, w którym poduchy modelujące ramiona sterczały na boki niczym ochraniacze w kostiumie futbolisty.

Wyszła teraz zza stołu, stanęła przed ławą przysięgłych i przywołała na usta dobrotliwy uśmiech.

- Przypominam państwu, że solennie przyrzekliście przestrzegać prawa i zgodnie z jego literą osądzić mordercę. - Niespodziewanie tak mocno ściągnęła brwi, aż się połączyły w jedną kreskę pośrodku wysokiego czoła. - Nikt, mnie nie wyłączając, nie zaprzeczy, że okoliczności przedmiotowej sprawy są poruszające do głębi, wręcz rozdzierające serce. I że główne postaci dramatycznych wydarzeń doświadczyły wiele cierpienia.

Jednakże. - wzmocniła znacznie siłę głosu - nie zmienia to zasadniczego faktu: oskarżony z premedytacją i wyrachowaniem dopuścił się morderstwa, do czego zresztą sam się przyznał.

Gdy będziecie państwo słuchać zeznań świadków, ani przez moment nie zapominajcie, że mamy się na tej sali zajmować kwestią łamania prawa. I nie wolno nam mieszać do tego współczucia czy litości. W swoich rozważaniach musicie się państwo kierować jedynie zasadami legalizmu, a one dyktują wydanie wyroku skazującego.

Raz jeszcze popatrzyła znacząco na przysięgłych i usiadła. Graham już się podnosił z krzesła, gdy nachylił się ku niemu Jamie.

- Gdzie jest Allie? - zapytał szeptem.

Adwokat pokręcił jedynie głową, raz jeszcze zerknął na puste miejsce pomiędzy Ellen a Angusem, po czym podszedł do przysięgłych. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, tylko przechadzał się tam i z powrotem przed barierką, jakby był czymś głęboko wzburzony i wcięż szukał odpowiednich słów dla wyrażenia swojego protestu.

- Panie i panowie - podjął w końcu - może was to zdziwi, ale zamierzam potwierdzić fakty przedstawione przez prokuraturę

Owszem, Maggie MacDonald została zabita 19 września 1995 roku.

I to prawda, że jej kochający mąż, Jamie MacDonald, przyznał się do popełnienia owego czynu.

Jednak w odróżnieniu od oskarżenia zamierzam przedstawić państwu emocjonalne uwarunkowania, które doprowadziły do tragicznych wydarzeń. W dniu śmierci Maggie Jamie znajdował się pod wpływem niewyobrażalnego stresu, wywołanego śmiertelną chorobą żony. Wyniki ostatnich badań lekarskich były tak zatrważające, że zawładnęła nim rozpacz.

- Graham zmiesił głos i spojrzał prosto w oczy przysięgłej o pomarańczowych włosach.

- Usłyszycie państwo zeznania wyjaśniające w jaki sposób owa przedłużająca się trauma i depresja wpłynęły na psychikę Jamiego, jak doprowadziły do takiego stanu że nie umiał już rozróżniać dobra od zła. W poranek śmierci żony James MacDonald nie był po prostu w stanie kontrolować swoich czynów i emocji.

Kobieta z pomarańczowymi włosami spuściła oczy. Nie kupowała tych tekstów.

Graham cofnął się o krok i zaczął wbijać klin w argumentację oskarżenia.

- Jego emocje zostały wystawione na dramatyczną próbę.

Jednego dnia dyskutował z lekarzem Maggie na temat nowych form terapii raka, o których się dowiedział, wertując fachową literaturę.

Następnego - okazało się, że żona będzie musiała przechodzić przez kolejne, przysparzające cierpień fazy konwencjonalnego leczenia, nie gwarantujące żadnych pozytywnych rezultatów.

Przysięgła o pomarańczowych włosach podniosła wzrok.

- To nie jest rutynowy proces o morderstwo - oświadczył Graham.

- Do zbrodni zazwyczaj popycha ludzi chciwość. Jamiego do działania pchnęła rozpacz. U podstaw większości zabójstw leży nienawiść. Jamie kierował się miłością. - Graham przesunął się bliżej stołu obrony, by przysięgli, chcąc, nie chcąc, musieli patrzeć na Jamiego. - Nie można sprawiedliwie ocenić jakiegokolwiek czynu bez osadzenia go w kontekście towarzyszących okoliczności.

Nie można prowadzić rozważań na temat motywów i konsekwencji ludzkich poczynań w oderwaniu od emocji i fundamentalnego poczucia moralności. Ponieważ nikt z nas nie żyje i nie działa w uczuciowej próżni. - Zerknął spod oka na Audry. - Oskarżenie będzie próbowało państwa przekonać, że to prosta sprawa, i przedstawiać rzeczywistość w czarno-białych barwach. Jednak rozejrzyjcie się wokół, panie i panowie przysięgli. Wasz świat jest pełen kolorów. Milionów rozmaitych odcieni.

Do śmierci Maggie MacDonald nie doszło w abstrakcyjnej krainie arbitralnych kodeksów, ale właśnie w naszym świecie. I zgodnie z realiami naszego świata musimy sądzić Jamiego MacDonalda - Zawiesił na moment głos.

- Wykażemy, że w naszym świecie wszystko jest nie tylko czarne lub białe. Że istnieje w nim między innymi nieskończenie wielka paleta szarości.

Cam zwolnił się z pracy, a potem przez cały czas chodził po domach ludzi, których ledwo co znał, i pokornie pytał, ile by go kosztowało odkupienie munduru, wędki czy misternie haftowanego herbu MacDonaldów.

Z zaciśniętymi zębami znosił złośliwości mężczyzn z pokolenia swego ojca i jawnie kpiące spojrzenia ze strony rówieśników. Zdołał się też zorientować, że Allie napomknęła jedynie o małżeńskiej sprzeczce, nie podała jednak nikomu żadnych szczegółów. Za to, jak przypuszczał, powinien być jej wdzięczny.

Niekiedy aż trząśł się na myśl, że przed ludźmi wyszedł na durnia, któremu żona spłatała sztubackiego psikusa.

W pierwszej kolejności pojechał do kwaciarni, przekonany, że Allie tam właśnie spędziła noc, ale natknął się jedynie na kartkę wywieszoną na drzwiach, głoszącą, że sklep będzie zamknięty aż do zakończenia procesu MacDonalda.

W pierwszym odruchu wpadł w panikę - oczami wyobraźni ujrzał chciwego kauzyperdę od rozwodów, który pozbawia go wszystkiego: domu, wszelkich ruchomości, pieniędzy. Dopiero po chwili do niego dotarło, że nie chodzi o rozwód, ale sądową rozprawę Jamiego.

Prokurator powiedziała, że zapewne jutro wezwie Cama na świadka, co jednak będzie absolutnie wykluczone, o ile do końca dnia nie odzyska choćby jednego cholernego munduru.

Jako kluczowy świadek oskarżenia musiał się pojawić w pełnym majestacie swojego urzędu.

Ciekawe, czy Allie obserwowała proces, czy z powodu ostatnich wydarzeń także o nim zapomniała?

Udało mu się odkupić nieco narzędzi oraz sprzętu wędkarskiego. Odzyskał też jeden z mundurów - praktycznie zdarł go z pewnego przedszkolaka zabawiającego się w policjanta.

Zjadł szybki lunch w samochodzie, a potem wrócił do biura, gdzie czekało na niego kilka innych, należących do niego rzeczy: sportowa marynarka, narty, para zimowych butów na grubej podszwie, galowy mundur. Kiedy wodził po nich wzrokiem, w drzwiach stała Hanna.

- Podzwoniłam tu i ówdzie i odwołałam się do ludzkich sumień - powiedziała cicho. - I nie, nie chcę wiedzieć, co się wydarzyło.

Podziękował jej, a gdy wyszła, zamknął drzwi na klucz. A potem usiadł za biurkiem i położył głowę na blacie.

Kilkanaście razy w ciągu dnia spoglądał przez okno w stronę Wheelock Inn. Jednak nie poszedł tam już więcej.

Po pracy wrócił prosto do domu, mocno zaciskając dłonie, w których trzymał maleńkie, połyskliwe ziarenko poczucia godności.

Pierwszym świadkiem oskarżenia był Hugo Huntley.

Pełen wyrozumiałości uśmiech nie schodził z ust Audry, gdy drobny mężczyzna usadawiał się na miejscu dla świadków, a potem długo czyścił okulary o koszulę.

- Proszę podać do protokołu imię, Nazwisko i adres - zagaiła w końcu.

- Hugo Huntley. - Odsunął się nieco od mikrofonu, gdy w głośnikach rozległ się nieprzyjemny pisk. - Braemer Way 1450, Wheelock, stan Massachusetts.

- Czy się pan zajmuje zawodowo, pa nie Huntley?

- Prowadzę jedyny w moim mieście dom pogrzebowy. Pełnię również funkcję koronera na potrzeby lokalnej policji.

Audra poprosiła, żeby podał upoważniające go do tego kwalifikacje: wymienił uczelnię, na której ukończył studia, podał numer certyfikatu wystawionego przez izbę lekarzy sądowych.

- Na czym polegają pańskie obowiązki jako koronera?

Hugo dumnie wypiął pierś.

- Przeprowadzam autopsje w wypadku niejasnych przyczyn zgonu. Innymi słowy dokonuję sekcji zwłok zawsze wtedy, gdy zachodzi taka potrzeba.

- Ile ich pan już dokonał w życiu? Hugo uśmiechnął się pod nosem.

- Bardzo wiele. Kilkaset. Często rodziny chcą wiedzieć, co dokładnie spowodowało śmierć ich bliskich.

- Czy we wrześniu ubiegłego roku przeprowadził pan sekcję i zwłok Maggie MacDonald?

Hugo kiwnął głową.

- Tak jest.

- I co pan uznał za bezpośrednią przyczynę śmierci?

- Uduślenie. - Pochylił się do przodu, westchnął głęboko. - Ściślej rzecz ujmując, odcięcie dopływu tlenu do mózgu, co w konsekwencji wywołało rozległy zawał serca.

- Rozumiem. Czy ustalił pan czas zgonu?

- Jedynie w przybliżeniu - przyznał Hugo. - Moim zdaniem zgon nastąpił między siódmą a dziesiątą rano.

Audra niczym osaczający ofiarę drapieżca krążyła wokół ławy przysięgłych.

- Czy dokonał pan również zewnętrznych oględzin zwłok?

- Naturalnie. To integralna część autopsji.

- I co pan stwierdził, panie Huntley?

Hugo wbił wzrok w kolana, jakby tam trzymał scenariusz swojego wystąpienia.

- Poza blizną po radykalnej mastektomii, na ciele nie było żadnych obrażeń. Żadnych skaleczeń, zsinień czy innych podejrzanych śladów.

Audra z cichym sykiem wciągnęła powietrze. Podczas przesłuchania własnego świadka nie wolno zadawać pytań bezpośrednio sugerujących odpowiedzi, a tymczasem Huntley zapomniało najważniejszym, najbardziej inkryminującym dowodzie!

- Poddał pan oględzinom także dłonie ofiary?

Hugo podniósł oczy, spojrzał Audrze prosto w twarz.

- Tak jest. Pod paznokciami znalazłem obcy naskórek, który następnie zidentyfikowano jako pochodzący od Jamiego MacDonalda.

- Czy widział pan oskarżonego wkrótce po tym, jak się zgłosił na posterunek?

Hugo przełknął nerwowo ślinę.

- Tak.

- Zauważył pan coś niezwykłego na jego twarzy?

- Zadrapania. Na prawym policzku.

- I jaką konkluzję w związku z tym faktem zawarł pan w swoim raporcie?

Hugo zerknął na Jamiego, poczym szybko umknął wzrokiem.

- Że tego typu obrażenia mogły powstać w wyniku szamotaniny.

Audra przerzuciła koniec francuskiego warkocza na plecy.

- Nie mam więcej pytań - oznajmiła.

Mijając stół obrony, zabębniła palcami po blacie.

Tymczasem Graham nie ruszał się z miejsca, jakby miał do dyspozycji cały boży dzień. Założył nogę na nogę, zarzucił ramię na oparcie wolnego krzesła i ogólnie sprawiał takie wrażenie, jakby siedział na werandzie własnego domu i prowadził z Hugonem luźną pogawędkę o dupie Maryni.

- Panie Huntley, czy zeznawał pan wcześniej w procesach sądowych?

- Tylko w jednym. Podejrzany zgon okazał się samobójstwem.

Graham z leniwym wdziękiem podniósł się zza stołu.

- Więc rutynowo nie bywa pan świadkiem w sprawach o morderstwo?

- O, nie. W żadnym razie. W Wheelock podobne wydarzenia nie są na porządku dziennym.

- Za co, jak nie wątpię, wszyscy jesteście wdzięczni niebiosom - odrzekł Graham i od strony ławy przysięgłych dobiegły go zduszony śmiechy.

- A w ilu pogrzebach uczestniczy pan każdego roku?

Hugo uniósł brwi.

- W wielu. Zakład cieszy się bardzo dobrą renomą, więc z naszych usług korzystają również mieszkańcy okolicznych miasteczek. Śmiało mogę powiedzieć, że w co najmniej pięćdziesięciu.

- A od jak dawna prowadzi pan dom pogrzebowy?

- Od piętnastu lat.

- Więc, lekko licząc, był pan już świadkiem siedmiuset pięćdziesięciu pogrzebów. - Graham gwizdnął cicho przez zęby. - W takim razie można pana uznać za eksperta w dziedzinie żałoby, czyż nie?

- Sprzeciw! - Audra poderwała się na równe nogi. - Może pan MacPhee zechce nam wyjaśnić, jakimi kwalifikacjami powinien się odznaczać ekspert w „dziedzinie żałoby” i czym w ogóle jest owa dziedzina? Osobiście nigdy o niej nie słyszałam.

- Ja jednak dopuszczę to pytanie - zdecydował Roarke.

- A ja na użytek oskarżenia je przeformułuję. - Graham oparł się o barierkę oddzielającą miejsce dla świadków i familiarnie nachylił w stronę koronera, jakby on i Huntley byli parą najlepszych kumpi na świecie. - Czy żałoba i desperacja to zjawiska, które towarzyszą panu na co dzień?

Hugo skinął głową.

- Napatrzyłem się na ludzką rozpacz, to fakt. Reakcje na śmierć są dość przewidywalne i uniwersalne - płacz, szoki tym podobne.

- Panie Huntley, czy brał pan udział w pogrzebie Maggie?

Hugo niemalże się rozpromienił.

- Owszem. To była piękna uroczystość. Zresztą osobiście ją zorganizowałem.

Ksiądz wygłosił wzruszającą mowę, trumnę otaczało mnóstwo kwiatów, zjawilo się także bardzo dużo osób, wzięwszy pod uwagę fakt, że w naszym mieście nikomu osobiście nie znał zmarłej.

- Obserwował pan zachowanie Jamiego podczas pogrzebu?

- O, tak. Szlochał niepoohamowanie, zanosil się płaczem, ale chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie mógł się utrzymać na własnych nogach. Zresztą nie był w stanie dotrwać do końca uroczystości.

Mówiąc szczerze, jeszcze nigdy nie widziałem podobnej rozpaczy.

- Czy podczas pogrzebu wypowiedział cokolwiek w gaelic?

Hugo uśmiechnął się nostalgicznie.

- Owszem.

Kiedy zaczęto spuszczać trumnę do grobu, wyszeptał wyraźnie: Mo chridhe.

- Mógłby pan przetłumaczyć dla nas te słowa?

- To oznacza „Moje serce”.

Graham z wolna pokiwał głową.

- Chciałbym pana zapytać jeszcze o jedno, panie Huntley. Powiedział pan, że widział zadrapania na policzku Jamiego?

- Tak jest.

- Czy był pan świadkiem tego, jak powstały?

- Nie. Nie byłem świadkiem żadnej bójki czy szamotaniny, jeżeli to ma pan na myśli.

- A więc nie może pan stwierdzić, że to Maggie MacDonald rozorała mężowi twarz?

- Nie.

Graham ruszył w stronę przysięgłych.

- Wróćmy do komórek naskórka pod jej paznokciami. Mogły się tam znaleźć z powodów innych niż szamotanina lub walka z nastnikiem?

- Owszem.

- Powiedzmy. na skutek wyjątkowo namiętnej nocy spędzonej w ramionach oddanego, kochającego męża?



Znowu od strony ławy przysięgłych dobiegły Grahama śmiechy, teraz jednak niskie, nieco lubieżne, bez wątpienia męskie. Hugo tymczasem skwapliwie pokiwał głową.

- To jak najbardziej możliwe.

Graham błysnął zębami w uśmiechu.

- Obrona nie ma więcej pytań.

Cam siedział samotnie w ciemnym salonie i kończył trzecie już piwo, gdy rozległ się cichy stukot otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych.

Nie wstał, żeby ją przywitać, jedynie odstawił butelkę na podłogę.

W progu zamajaczyła kobieca sylwetka. Allie przycisnęła włącznik światła, które zalało pokój ostrym, rażącym blaskiem. Cameron zamrugał gwałtownie, jakby miał przed sobą zjawisko, którego nigdy przedtem nie widział na oczy.

Przekrzywiła lekko głowę i przyglądała mu się w milczeniu. Wyglądał dokładnie tak samo jak zwykle - jak w wywoływanych z pamięci wspomnieniach jego twarzy.

Byłoby jej lżej, gdyby po tym wszystkim na jego policzku wykwitła szeroka szrama lub jakieś inne, rzucające się w oczy piętno - dzięki temu byłoby jej łatwiej zachować w pamięci to, do czego się posunął.

Odstawiła na podłogę kasetkę, którą trzymała na kolanach podczas wyprzedazy.

Cam zerknął na metalowe pudełko.

- Ile na mnie zarobiłaś?

- Nawet w przybliżeniu nie tyle, ile powinnam.

Skinął głową.

Nie wiedział, czego właściwie ma się teraz spodziewać. Allie, którą znał, którą poślubił, za nic w świecie nie sprzedałaby jego rzeczy.

Z góry założyłaby, że niewierność męża jest wynikiem jakiegoś popełnionego przez nią błędu, i błagałaby, żeby dał jej jeszcze jedną szansę. A ponieważ gnębiłyby go wyrzuty sumienia, łaskawie by się zgodził. Jednak ta nowa kobieta kierowała się zupełnie innym systemem myślenia, była dla niego nieprzewidywalna.

Chciał, żeby powróciła stara Allie.

I wcale nie dlatego, że pragnął odzyskać nad nią emocjonalną władzę, ale ponieważ cierpiał, był wyczerpany i najbardziej na świecie potrzebował stałego punktu odniesienia oraz szczodrej pociechy.

Zamknął oczy, porażony jedną myślą: jeszcze do dzisiejszego rana miał wszystko, o czym marzył, i nagle w jednej chwili został z niczym. Jak to w ogóle możliwe, że coś, co nowe, piękne, lecz niebywale ulotne, zauroczyło go do takiego stopnia, że w ogóle przestał dostrzegać wartość tego, co znane, stabilne, przypisane na stałe.

- Rozumiem, że chcesz. - starał się, naprawdę bardzo się starał, jednak to słowo nie mogło mu przejść przez gardło.

- Rozvodu? - dokończyła za niego Allie.

Skinął głową.

- Nie - odparła cicho.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

I jednocześnie ze zdumieniem uświadomił sobie, że po raz pierwszy od miesięcy nie marzy o tym, by na miejscu Allie stała teraz Mia. Patrzył na swoją żonę i gorzko żałował, że to wszystko w ogóle się wydarzyło.

Allie poczuła napływające do oczu łzy, ale szybciej padłaby trupem, niż się w tej chwili rozplakała. Uniosła dumnie głowę.

- Zraniłeś mnie - oświadczyła oskarżycielskim tonem. - Popełniłeś życiowy błąd. Ty, nie ja. Jednak gdy odkryłam prawdę, nie przestałam cię kochać. Przestałam natomiast ci ufać.

Ruszyła na górę, pozostawiając go sam na sam ze słowami, które mu rzuciła.

Cam spojrzał w głąb ciemnej klatki schodowej, ale chociaż wytężył wzrok, nie był w stanie dostrzec przyszłości.

## 18.

Kiedy nazajutrz Cam usiadł na miejscu dla świadków, od razu wpatrzył się w Allie.

A ponieważ siedziała niemal dokładnie za Jamiem, oznaczało to, że chcąc, nie chcąc, miał również przed oczami kuzyna.

Jamie prezentował się całkiem nieźle jak na człowieka sądanego za morderstwo.

Miał na sobie ciemnooliwkowy garnitur, świetnie leżąc w ramionach, oraz ciemnoczerwony, konserwatywny krawat.

Ludzie o mniej wytrenowanym zmyśle obserwacji od Cama zapewne nawet nie dostrzegali drobin potu na linii włosów nad karkiem oraz tego, że koniuszki uszu czerwieniały gwałtownie, ilekroć Audra Campbell rzucała kolejne pytanie.

Cam został zaprzysiężony, po czym włączył do materiału dowodowego raport aresztowania i zeznanie z przyznaniem do winy.

Uśmiechnął się do Audry, kiedy przeszła obok już wcześniej ze sobą współpracowali.

Nie darzył jej sympatią, ale miał określone obowiązki względem prokuratury.

Policjanci - a w szczególności komendanci z małych miasteczek - byli zwyczajowo kluczowymi świadkami oskarżenia.

Funkcjonariusze policji wzbudzali respekt.

Przysięgli mieli do nich zaufanie - oto widzieli przed sobą ludzi, którzy chronili ich mienie i życie.

Stąd gros członków ławy przyjmie za pewnik wszystko, co usłyszy z ust Cama.

Na potrzeby protokołu podał imię, nazwisko i zawód.

- Jak długo służy pan w policji? - spytała Audra.

- Osiem lat. Plus trzy na połowie etatu, zanim zostałem komendantem.

- Ile aresztowań dokonuje pan tygodniowo?
- Osobiście sześć lub siedem. Dziesięć w wypadku wyjątkowo pracowitego tygodnia. Przeciętnie ja i moi funkcjonariusze dokonujemy trzech zatrzymań dziennie z powodu rozmaitych wykroczeń lub przestępstw.

- Czy dziewiętnastego września był pan na służbie?

- Owszem. Dokładnie rzecz biorąc, miałem przerwę na lunch, gdy oskarżony zjawił się pod posterunkiem i oznajmił, że musi porozmawiać ze mną osobiście. Zostałem o tym powiadomiony przez jednego z moich sierżantów.

Graham pilnie przysłuchiwał się zeznaniom i robił niemal nieczytelne notatki.

Cam mówił czystym, beznamiętnym głosem, relacjonował tragiczne wydarzenia, odzierając je z emocjonalnego podtekstu.

- Oskarżony przyjechał czerwonym fordem pikapem - wyjaśniał dalej. - Ofiara siedziała na miejscu dla pasażera, chociaż wówczas nie było wiadomo, że nie żyje. Oskarżony zapytał, czy jestem komendantem miejscowej policji, a gdy potwierdziłem, przedstawił się i oświadczył, że zamordował żonę.

- Czy pamięta pan, jakich dokładnie użył słów?

Cam spojrzał na Jamiego.

- Powiedział: „Moja żona, Maggie, nie żyje. I to ja ją zabiłem”.

Audra stanęła obok przysięgłych, jakby była jeszcze jednym, zaintrygowanym członkiem ławy.

- I co się wówczas wydarzyło?

- Kiedy oskarżony podjechał pod posterunek, wokół zebrał się tłum. Po jego oświadczeniu parę kobiet zemdlało, a jeden z mężczyzn go uderzył.

- Czy doszło do jakichś jeszcze zajść?

Cam poprawił węzeł regulaminowego krawata. Zawiesił wzrok na przysięgłym, którego pochłaniała zabawa przyciskami elektronicznego zegarka.

- Owszem. Kazałem swojemu sierżantowi sprawdzić stan ofiary, a wówczas oskarżony posunął się do rękoczynów. W rezultacie został skuty i zaaresztowany.

- Czy odczytał pan przysługujące mu prawa?
- Tak - odparł Cam.

W tym samym momencie Allie pochyliła się nad barierką, oddzielającą widownię od osób sądowego dramatu i położyła dłoń na ramieniu Jamiego w geście moralnego wsparcia.

- Ale z nich zrezygnował i powiedział, że chce złożyć zeznania.
- Jakie postępowanie nakazują procedury w podobnym wypadku?

- Ponownie odczytujemy podejrzanemu jego prawa i dodatkowo się upewniamy, że rezygnuje z obecności adwokata. Nagrywamy zeznania na taśmę, a następnie sporządzamy transkrypcję, czyli protokół przesłuchania. Podejrzany podpisuje go po uprzednim przeczytaniu i ewentualnym wniesieniu poprawek.

Audra podeszła do stenotypistki.

- Proszę zaznaczyć, że zeznanie oskarżonego zostało włączone do materiału dowodowego pod sygnaturą 3-S. - Znowu zwróciła się w stronę Cama.

- Komendancie McDonald, czy mógłby pan pokrótce przedstawić sądowi, co zeznał oskarżony?

- Na wstępie wyjaśnił, że żona cierpiała na chorobę nowotworową, będącą już w zaawansowanej, terminalnej fazie.

Według słów oskarżonego w ostatni piątek przed zgonem Margaret MacDonald była na rutynowych badaniach lekarskich, z których powróciła bardzo przygnębiona.

Oskarżony oświadczył, że właśnie wtedy poprosiła, aby ją zabił. W poniedziałek rano wraz z żoną opuścili swój dom w Cummington, przyjechali do Wheelock i wynajęli pokój w miejscowym hotelu.

To tam właśnie, we wtorkowy poranek, oskarżony udusił żonę, dociskając poduszkę do jej twarzy.

- Jak się zachowywał podczas składania zeznań?
- Był spokojny, opanowany. Wystawiał się jasno i zwięźle, jakby z góry obmyślił, co powie.
- Sprzeciw - odezwał się Graham. - Świadek nie może, wiedzieć, co się działo w umyśle Jamiego.

Roarke skinął głową.

- Proszę, żeby przysięgli nie brali pod uwagę ostatniej części wypowiedzi świadka.

Audra zdawała się niewzruszona sędziowską interwencją.

- Komendancie MacDonald, czy po wysłuchaniu zeznań oskarżonego doszedł pan do wniosku, że w grę wchodzi zabójstwo z premedytacją?

- Tak.

- Czy sądzi pan, że czyn oskarżonego wyczerpuje znamiona wyrachowania?

- Tak.

- Czy w pana opinii z determinacją wprowadził w życie wcześniej opracowany plan?

- Tak.

Prokurator odeszła na bok i wtedy Cam ujrzał Allie - pociemniałe oczy o ostrym, niewypowiedzianym lodowatym spojrzeniu. Jakby z bezkresnej oddali dobiegł go stukot obcasów Audry o terakotową posadzkę i jej słowa:

- Nie mam więcej pytań.

Po przesłuchaniu Cama przez stronę oskarżenia sędzia zarządził krótką przerwę i wówczas Graham poinformował Allie, że Jamie chciałby z nią porozmawiać.

Zaprowadził ją do małej salki konferencyjnej na końcu korytarza, przed którą stał umundurowany funkcjonariusz sądowy.

Allie szybko wśliznęła się do środka i zamknęła starannie drzwi, odcinając salkę od zgiełku holu i przesycającej go atmosfery oskarżeń. Jamie siedział za stołem wpatrzony w blat, jakby nagle zafascynowała go faktura drewna.

- Tak mi przykro - powiedziała na wstępie.

Jamie spojrzął na nią z uśmiechem.

- Czyżbym już przegrał?

Allie pokręciła głową.

- Miałam na myśli wczorajszy dzień. Powinam tu być. Chciałam tu być. - Zamilkła na moment. - Zupełnie straciłam głowę.

Parsknął śmiechem.

- Ta linia obrony brzmi nieznośnie znajomo. Nie zapewni ci uniewinnienia. - Zacisnął gorzko usta. - Chyba że w mojej sprawie zapadnie precedensowy wyrok.

Allie usiadła naprzeciwko.

- Tak czy owak, doskonale się trzymasz.

Jamie zerknął na nią spod oka.

- To samo można powiedzieć o tobie. Jaki z tego wniosek?

Wiedziała, że jeżeli posiedzi tu pół minuty dłużej, zaleje się łzami, a nie chciała obarczać Jamiego swoimi problemami.

- Muszę już lecieć.

- Opowiedz mi wszystko - powiedział Jamie cicho.

- Chętnie się oderwę od własnych trosk. To będzie dla mnie miła odmiana.

Allie wcisnęła się głębiej w twarde, metalowe krzesło.

- No więc wygląda to tak.

Jak już zaczęła mówić, nie mogła się zatrzymać: jedno zdanie, pociągało za sobą następne.

Allie z bólem serca zaczęła od wyznania, że Cam miał romans z Mią, jej asystentką.

A ona była na tyle głupia, że nie zauważyła, co się dzieje pod jej bokiem. Nie zorientowała się w kłamstwach męża.

Odkryła wszystko dopiero wtedy, gdy kochankowie wyjechali razem na weekend do jakiegoś śnieżnego, ściętego mrozem miejsca.

Opowiedziała Jamiemu o garażowej wyprzedaży i wyjeździe autostopem do Shelburne Falls. Opowiedziała o kowboju i okropnej nocy w motelu. Przyznała, że jak ostatnia idiotka, nie była w stanie się powstrzymać od powrotu do Cama, jednak nie jest pewna, czy zdoła spełnić jego oczekiwania.

- A czego on oczekuje? - zapytał Jamie.

- Że wszystko wróci do normy! Że będziemy oboje tacy sami jak przedtem.

Jamie przyglądał się uważnie Allie - sińcom pod jej oczami, nerwowym ruchom rąk zaciskających się na fałdach spódnicy. Oczywiście, słuchał uważnie zeznań kuzyna, a także pilnie obserwował go spod oka i uderzyła go jedna rzecz. Przed rozprawą Graham

uprzedzał, że świadkowie prokuratury, a w szczególności tak zwani eksperci, będą kompletnie ignorować oskarżonego i patrzeć jedynie na Audrę lub na przysięgłych.

Cóż, Cam rzeczywiście ignorował Jamiego, za to niemal przez cały czas nie spuszczał wzroku z żony.

Jamie dobrze znał wymowę takiego spojrzenia. Zdawało się mówić: Błagam. Jesteś wszystkim, co mam.

I nagle uświadomił sobie, że Allie zdobyła się na wyczyn, na który on nie potrafił się zdobyć i w konsekwencji tej niemocy zabił Maggie. Aż do tej pory niezachwianie wierzył, że skoro kochał Maggie, powinien spełniać wszystkie jej życzenia, być tym, kim chciałyby go widzieć. Tymczasem Allie, zamiast postąpić zgodnie z przewidywaniami Cama - płakać, brać na siebie winę i błagać - zastosowała zupełnie inny manewr, wycofała swoje bezwarunkowe poparcie i kompletnie zaskoczyła męża. A przy okazji mimowolnie udowodniła błędność teorii Jamiego.

Jednym posunięciem przesunęła równowagę w związku. Teraz to nie ona potulnie się dopasowywała do rytmu życia Cama, ale on był gotów pokornie przyjąć wszystko, co racyłyaby zaoferować.

- Czterdzieści do sześćdziesięciu. - Jamie spojrzął na Allie z niekłamanym podziwem. - I kto by to pomyślał?

Po lunchu Cam ponownie zajął miejsce dla świadków, a naprzeciwko stanął Graham.

Adwokat wiedział, co powinien zrobić, i w duchu przyznawał, że sprawi mu to niekłamaną przyjemność.

Oczywiście miał świadomość, że nie należy dyskredytować zeznań policjanta, a w szczególności komendanta, który w oczach przysięgłych był ostoją prawa i porządku - publiczną osobą stojącą w hierarchii społecznej tylko o oczko niżej od Pana Boga i prezydenta. Jeżeli potraktowałby Cama w bezwzględny sposób, zraziłby do siebie członków ławy.

Nie wolno niszczyć autorytetu policjanta, należy natomiast wykazać, że nie ma takich autorytetów, które powinno się akceptować ślepo i bezgranicznie.



- Komendancie MacDonald - zagaił Graham przyjaznym tonem - czy w Wheelock często dochodzi do zabójstw?

Cam pokręcił głową. - To pierwszy tego typu wypadek, z jakim mam do czynienia. Dzięki Bogu - dodał z uśmiechem.

- A czy prowadził pan dochodzenie w jakiegokolwiek innej sprawie, gdzie śmierć poniosła osoba cierpiąca na terminalną chorobę?

- Nie wydaje mi się.

- Nie WYDAJE się panu?

- Nie prowadziłem takiego dochodzenia - poprawił się szybko Cam.

Graham wydał z siebie jakiś bliżej nie określony pomruk, podszedł do ławy przysięgłych.

- Czy według pana fachowej wiedzy sprawa, której dotyczy obecne postępowanie, różni się od typowych spraw o morderstwo?

- Pod pewnymi względami.

- A mianowicie jakimi?

- Po pierwsze, sprawca bardzo dobrze znał swoją ofiarę, poza tym...

- Rzeczywiście - wszedł mu w słowo Graham. - Znał ją nad wyraz dobrze. A czy prawdą jest, że w wypadku większości zabójstw ofiara nie udziela sprawcy zgody na pozbawienie życia?

- Sprzeciw!

- Audra zamachała ręką.

- Ujmę to inaczej. Czy to typowe, żeby ofiara zabójstwa wyraziła zgodę na pozbawienie życia?

- Oczywiście, że nie.

- Komendancie, jakie wrażenie wywarł na panu Jamie, gdy składał swoje zeznanie?

- Sprzeciw! - Tym razem Audra podniosła się zza stołu. - Świadek już odpowiedział na identycznie zadane pytanie.

- Podtrzymany. - Sędzia Roarke posłał Grahamowi przeciągłe spojrzenie.

- Komendancie MacDonald, powiedział pan wcześniej, że

podczas składania zeznań Jamie był opanowany, wyrażał się jasno i zwięźle. Zgadza się?

- Tak jest. - Cameron oparł łokieć o barierkę i sprawiał takie wrażenie, jakby dobrze się bawił całą sytuacją.

- Czy Jamie był równie opanowany i elokwentny przez całe popołudnie - od chwili przyjazdu pod posterunek do czasu podpisania zeznań?

Cameron pokręcił głową.

- Nie. Gdy jeden z moich sierżantów chciał sprawdzić stan ofiary, doszło do nieprzyjemnego incydentu.

Oskarżony z wielką siłą odepchnął go od pikapa i zaczął bełkocliwie powtarzać, że nikomu obcemu nie wolno dotykać jego żony.

- Czy mówiąc to, płakał?

- Tak.

- A więc w ciągu godziny Jamie przeszedł od wzburzenia i rozpacz do całkowitego panowania nad swoimi emocjami?

- Zgadza się.

Kątem oka Graham pochwycił muchę, która - głośno bzycząc - krążyła nad głową Jamiego.

Jamie odganiał ją kilka razy, aż w końcu, gdy przysiadła na stole, zdołał pochwycić w garść. Adwokat zauważył, że część przysięgłych z uwagą przygląda się tej scenie. I nagle zamarło w nim serce - Jamie przycisnął dłoń do stołu, a następnie usunął inkryminujący dowód za pomocą jednorazowej chusteczki.

Jasna cholera! Tym jednym ruchem anulował wszystkie dotychczas zdobyte przez Grahama punkty!

- Komendancie MacDonald, czy znał pan Jamiego przed dwiętnastym września?

Cam drgnął niespokojnie.

- Owszem. Oskarżony jest moim kuzynem.

- Wheelock to miasto, w którym większość mieszkańców jest ze sobą spokrewniona, prawda? Czy mógłby pan przedstawić genezę tej dość niecodziennej sytuacji?

- Sprzeciw!

- Audra uniosła długopis. - To niema żadnego związku ze sprawą.

Graham zwrócił się w stronę Roarke'a.

- Proszę wysoki sąd o odrobinę wyrozumiałości.  
- Niech pan tylko nie przeciąga struny, mecenasie. - Sędzia przeniósł wzrok na Cama. - Proszę, żeby świadek odpowiedział na pytanie.

Przez kolejnych piętnaście minut Cameron snuł opowieść o szkockim klanie, który dzięki przezorności jego imiennika dwieście pięćdziesiąt lat temu znalazł bezpieczną przystań wśród wzgórz Massachusetts. Następnie wyjaśnił, że formalnie rzecz biorąc, jest przywódcą klanu, ale w dzisiejszych czasach to jedynie honorowy tytuł.

- Jednakże jako nominalna głowa rodu czuje się pan zapewne w większym stopniu odpowiedzialny za członków swojej społeczności niż przeciętny komendant policji małego miasteczka?

Cam wzruszył ramionami.

- Chętnie tak myślę.

- A nie sądzi pan, że Jamie zdecydował się zabić żonę właśnie w Wheelock tylko dlatego, że to miasto się znajduje pod pańską jurysdykcją?

- Sprzeciw! Nie sądzimy tu mojego świadka! - zdenerwowała się Audra.

- Mecenasie, stąpa pan po kruchym lodzie - napomniał strofującym tonem Roarke.

- Komendancie - Graham nie zamierzał tak łatwo odpuścić - czy jako członek klanu MacDonaldów Jamie nie poszukiwałby u pana wsparcia i porady?

- Teoretycznie.

- Może więc właśnie w tym celu przyjechał do Wheelock?

Cam pochylił się do przodu i spiorunował adwokata wzrokiem.

- To dlaczego się ze mną nie skontaktował, ZANIM ją zabił?

Przez moment Graham nie wiedział, co powiedzieć.

Czuł, jak spod kołnierzyka jego koszuli wypęta w górę rumieniec.

- Czy jest pan człowiekiem honoru? - zapytał w końcu.

Cam spojrzął na żonę.

Zeznawał pod przysięgą.

Przesunął się nerwowo na krzesło, ale nie mógł uniknąć nieugiętego, twardego wzroku Allie.

- Staram się być.

- Mógłby nam pan powiedzieć, jakie jest motto miasta Wheelock?

- Ex uno disce omnes. Oznacza to „Na podstawie jednego sądz pozostałych”. - Zamilkł na moment. - To również motto szkockiego klanu z Carrymuir.

Graham skinął głową.

- W waszym rodowym credo zawiera się więc idea moralnego osądu. - Przeniósł wzrok na żółtawy zaciek na suficie. - Ale wobec tego, jeżeli Jamie MacDonald jest zepsutym nasieniem, jak to świadczy o całym klanie i panu osobiście, komendancie?

Cam ściągnął gniewnie brwi.

- Nie widzę związku.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Graham zerknął na przysięgłych, by sprawdzić, czy w ich opinii nie przypiera zbyt mocno policjanta do muru.

Większość z nich jednak wychyliła się w fotelach i w napięciu czekała na odpowiedź.

Cam spojrzął wprost w oczy żony.

- W każdej sytuacji istnieją okoliczności łagodzące, których nie można pomijać przy osądzaniu drugiego człowieka - odparł zwolna.

Po zakończeniu przesłuchania sędzieja Roarke, słynący z zamiłowania do ciastek Oreo, zarządził półgodzinną przerwę. Cam zerknął na zegarek - właśnie minęła trzecia. Ledwo sąd wznowi sesję, nadejdzie czas jej zakończenia. Allie przyjechała do sądu własnym samochodem, ale może zdoła ją nakłonić, by porozmawiali gdzieś nad kawą lub nawet przy wspólnej kolacji.

Chciał rozejmu.

Przywrócenia pokoju.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że choć przebywał z nią pod jednym dachem, nie miał bladego pojęcia, jakie myśli chodzą jej po głowie. W domu robiła wszystko to, co zwykle - opróżniała zmywarkę, oglądała Jaya Leno - jednak ilekroć spoglądała na Cama, patrzyła pustym, niewidzącym wzrokiem. Oznajmiła, że nie chce rozwodu.

Zaczynał jednak podejrzewać, że był tylko jeden powód, dla którego wciąż tolerowała jego obecność: w ten sposób mogła skuteczniej go karać.

Powtarzał sobie, że to on postąpił jak ostatni dupek, Allie więc miała prawo się zdystansować.

Przekonywał sam siebie, że jeżeli chce, aby Mia pozostała pięknym, zastygłym w czasie wspomnieniem, a nie symbolem jego zmarnowanego życia, musi okazać pokorę.

Problem polegał na tym, że nikt go nie nauczył, jak chodzić z podkulonym ogonem.

Allie powiedziała, że go kocha. W końcu mu odpuści.

Właśnie schylał się nad poidelkiem, gdy ktoś szarpnął go ostro za kołnierz koszuli i bez pardonowo rzucił na ścianę.

- Gdyby nie to, że z miejsca zostałbym aresztowany za napaść z pobiciem, rozwaliłbym ci nos - wycedził Jamie przez zaciśnięte zęby. Puścił Cama równie błyskawicznie, jak go pochwycił, pozostawiając przygodnych świadków oraz ochroniarzy sądowych w przekonaniu, że ta konfrontacja musiała im się przyśnić.

- A więc Allie ci powiedziała - mruknął Cam, zaambarasowany faktem, że ten człowiek tak dużo wie o jego życiu.

- Jesteś ostatnim idiotą. Nie masz pojęcia, co tracisz.

Cam wpatrywał się w Jamiego, myśląc o tych wszystkich fragmentach jego zeznań, o których nie wspomniał w sądowej sali - cierpieniach Maggie, wyprawie do Quebecu, niezmiernej delikatności, z jaką dotknął ciała żony tuż po tym, gdy odepchnął Zandy'ego.

I nagle dotarło do niego, że - o, dziwo - Jamie jest jedynym człowiekiem zdolnym go zrozumieć.

- Nie zdajesz sobie sprawy, co przez chwilę miałem - odparł cicho.

Dźwięk głosu kuzyna sprawił, że Jamie cofnął się o krok.

- Napad chwilowej niepoczytalności?
- Pewnie niektórzy tak by to nazwali.

Jamie zawiesił na Cameronie wzrok. Milczał, ale jego spojrzenie niosło jasny przekaz: A może zrobiłeś coś, co musiałeś zrobić? Nawet jeżeli to się wiązało z pogwałceniem wszystkich reguł?

Cam wskazał głową na koniec korytarza, o wiele mniej zatłoczony, dokąd obaj przeszli bez słowa.

Oparł się plecami i stopą zgiętej w kolanie nogi o ceglana ścianę i zerknął na kuzyna z ukosa.

- Jak tego dokonałeś? - spytał schrypniętym głosem. - Jak się zmusiłeś do tego, by pozwolić jej odejść?

Jamie nie patrzył mu w oczy.

- Po prostu zaakceptowałem fakt, że każdego dnia, do końca życia, będzie powoli umierała jakaś częśćka mnie samego.

Camowi stanęła przed oczami Mia, jej loki podskakujące na kołnierzu dużo za dużej kurtki, i zaczął się zastanawiać, czy ona, gdziekolwiek teraz jest, też czuje to samo.

- Obawiam się, że ci nie udzieliłem dostatecznego kredytu zaufania - mruknął Cam.

Jamie spojrział uważnie na kuzyna - na nienagannie wykrochmalone mankiety munduru, policyjną odznakę, mosiężne połyskliwe guziki. Rozważył to, co przed chwilą usłyszał od Cama, i jednocześnie stanęła mu przed oczami Allie. Być może wszystko między tym dwojgiem w końcu się ułoży, ale ona i tak pozostanie ze złamanym sercem.

- A ja się obawiam, że udzieliłem ci zbyt dużego - odparł i odszedł.

Ellen i Allie siedziały w niewielkim, pustym pomieszczeniu, zlokalizowanym tuż nad salą rozpraw, i z plastikowych kubków popijały kawę, kupioną na dole w automacie.

- Odnoszę wrażenie, że przysięgli polubili Jamiego - powiedziała Allie w nadziei, że w rozmowie z teściową zdoła uniknąć jakichkolwiek kwestii związanych z Camem.

- Na pewno polubiła go ta dziewczyna z koralikami we włosach  
- uznała Ellen. - Nauczycielka muzyki, czy tak?

- Stażystka przedszkolna - sprostowała Allie. - Ale ona od samego początku była po naszej stronie.

Ellen zaintrygowała ta uwaga.

- Skąd wiesz?

- Po kilku dniach w towarzystwie Grahama umiejętność oceny nastawienia przysięgłych wchodzi ci w krew.

Siedziała zwrócona twarzą do okna. Na dworze padało, na skutek wczorajszej odwilży i dzisiejszej ulewy po śniegu nie zostało ani śladu i świat zdawał się zupełnie innym miejscem niż zaledwie kilka dni temu.

Ellen zmięła w dłoniach papierową serwetkę, którą trzymała na kolanach. Naturalnie wiedziała o garażowej wyprzedaży, jaką zorganizowała Allie, ale ostatecznie w miasteczku nie było ani jednej osoby, która by o tym nie słyszała.

Prawdę mówiąc, to Ellen do spółki z Hanną wywiedziała się, co kto nabył.

Hanna dzwoniła po ludziach, Ellen posłużyła się różdżkami.

- Cam nieźle dziś wypadł - zauważyła, a synowa mimowolnie wykrzywiła usta.

Smugi deszczu padające na szybę rzucały na jej twarz ruchliwe cienie układające się w odrażające znamiona i Ellen aż się wzdygnęła na ten widok.

- Allie - odezwała się miękko. - Ja wiedziałam.

- WIEDZIAŁAŚ? Czy WIESZ?

- A to jakaś różnica?

Allie odwróciła głowę.

- Nie wiem. Nie jestem pewna.

W tej dziewczynie nagromadziło się tak wiele negatywnej energii, że Ellen mogłaby drążyć całym dniami, a mimo to nie dokopać się do jej źródła.

Musiała jednak spróbować. Ludzie spalali się do cna od wewnątrz z powodu tej destrukcyjnej mocy.

- Nie chcę z tobą o tym rozmawiać - rzuciła chłodno Allie.

Ale potem spojrzała na teściową i westchnęła ciężko.

- Nie mam do ciebie żalu. Jest przecież twoim synem.

- Tak jak ty moją córką - odparła Ellen bez wahania. - Więc trudno by mi było zaakceptować substytut.

Allie próbowała się uśmiechnąć, ale w zamian zwróciła się w stronę okna i zaczęła liczyć krople deszczu, które goniły jedna za drugą w szaleńczym pędzie, jakby w samotności było coś godnego potępienia.

Korzystając z faktu, że synowa spogląda w inną stronę, Ellen spuściła kubek z kawą na kolana.

- Wielkie nieba! Jak mogłam być tak niezdarne! - Zaczęła bezskutecznie zbierać cieknącą, brązową kałużę pojedynczą, wymiętą serwetką.

Allie poderwała się z miejsca.

- Jesteś pewna, że nic ci się nie stało? Przyniosę trochę papierowych ręczników.

Ledwo wybiegła na korytarz, Ellen szybko wyciągnęła z torebki małą fiolkę z mieloną kulczybą, mającą stanowić remedium na smutek, gniew i rozczarowanie, z którym nie radziła sobie dusza.

Kulczyba znalazła się w kawie Allie, zanim ta wróciła z ręcznikami, a potem, cmokając z zaskowaniem, pomogła teściowej usunąć kawę ze spódnicy.

- Już wszystko w porządku - zapewniła Ellen.

Rozsunęła lekko nogi i zaczęła wachlować spódnicą w nadziei, że do czasu wznowienia rozprawy zdąży ją osuszyć.

Ale przez cały czas obserwowała synową spod oka i z zadowoleniem stwierdziła, że Allie pociąga łyk kawy.

- Wypij do końca - zachęciła. - Już na pierwszy rzut oka widać, że bardzo ci potrzeba zastrzyku energii.

W końcu Allie przewróciła pusty kubek do góry dnem. Na stół wytoczyła się jedna maleńka kropla.

Ellen uśmiechnęła się do synowej i zastanawiała jednocześnie, kiedy zioło zacznie działać.

- Ile dostałaś za starą wędkę Iana? - zapytała.

Allie rozwarła usta ze zdumienia.

- Sześćdziesiąt dolców.

Teściowa pokiwała głową.

- Sama nie osiągnęłabym lepszego rezultatu.



Oskarżenie zakończyło prezentację dowodów.

Rozprawa została odroczone do następnego rana.

Ellen zapowiedziała Angusowi, że nie zabierze go do domu, póki nie zapnie wszystkich guzików kurtki, Jamie i Graham opuścili razem salę, chyląc ku sobie głowy, omawiając strategię na dzień następny.

- Miałabyś ochotę na kawę? - zwrócił się Cam do Allie.

- Tuż przed przerwą wypiłam cały kubek w towarzystwie twojej mamy.

Ruszyła do wyjścia, ale on nie dawał za wygraną.

- Chodźmy więc razem na kolację. Musisz przecieżyć coś zjeść.

- Ale niekoniecznie o wpół do piątej. - Przerzuciła włosy nad kołnierzem, rozsypały się po ramionach. - Nie przystoi ci takie nadszkakiwanie.

- To nie nadszkakiwanie, tylko negocjacje.

Zignorowała tę uwagę.

- Spotkamy się w domu.

Poszła do swojego auta i już miała wsiadać, gdy zatrzymał ją donośny głos Cama.

- Nieprawda. Oboje będziemy pod jednym dachem, ale każde z nas z osobna.

Jego krzyk poniósł się echem, Allie sądziła, że wszyscy znajomi już opuścili teren sądu, ale nie była tego całkiem pewna. Zawróciła i szybkim krokiem powróciła do męża. Zatrzymała się zaledwie krok od niego i uniosła twarz, wykrzywioną gniewem.

- Dwa dni - wysyczała. - Wyjechałam zaledwie na dwa cholerne dni. Jak śmiałeś!

Kropla deszczu wpadła jej do oka, gorąca niczym łza, rozmazująca kontury. Aż do tej pory Allie nie zauważyła, że nadal leje.

Podczas ich podróży poślubnej dzień w dzień lało jak z cebra. Na Arubie. Gdzie praktycznie nigdy nie pada.

- Wiem, o czym myślisz. - Cam uśmiechnął się szeroko, bezczelnym, leniwym uśmiechem, który najchętniej usunęłaby z jego twarzy siarczystym policzkiem. - Ja myślę o tym samym podczas ulewy.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Cam złapał ją za ramię.

- Wiesz doskonale. Możesz być wściekła na mnie jak jasna cholera, ale nie zdołasz wymazać tego wszystkiego, co nas łączyło.

- A czemu nie? Ty tak zrobisz.

Natychmiast po wznowieniu rozprawy Graham wniósł o oddalenie zarzutów w całości.

Razem z Audrą stali ramię w ramię przed Roarkiem, walcząc o lepszą pozycję przed sędziowskim stołem niczym dwa szczeniaki garnące się do tego samego cycka.

Roarke zdjął okulary, kciukiem i palcem wskazującym przetarł kąciki oczu. Ostatecznie ledwo minęła dziewiąta.

- Na jakiej podstawie, panie MacPhee? - Braku dostatecznych dowodów.

Audra wybuchnęła śmiechem.

Graham od początku powtarzał sobie, że ten numer nie przejdzie.

W gruncie rzeczy tylko dlatego wystąpił z podobnym wnioskiem, że była to standardowa taktyka adwokatów przed rozpoczęciem przesłuchań świadków obrony.

Brak dostatecznych dowodów?

Może rzeczywiście takie uzasadnienie nie było najbardziej trafne w tej sprawie, ale statystycznie stanowiło najczęstszą podstawę umorzenia postępowania.

- Oddałam wniosek- oznajmił Roarke. - Czy to już wszystko, mecenasie, czy ma pan zamiar dalej marnować mój czas?

Graham wyprostował ramiona. Czuł na plecach palący wzrok swojego klienta, siedzącego za stołem obrony.

- To głęboko niesłuszne, by sądzić Jamesa MacDonalda według tych samych procedur jak oszalałego snajpera, który wpada do fast

foodu i kładzie trupem trzydziestu Bogu ducha winnych ludzi. W tym wypadku mamy do czynienia z zupełnie inną kategorią czynu, wysoki sędzie.

Audra rozciągnęła usta w marnej imitacji protekcjonalnego uśmiechu. Tego dnia fatalnie położyła róż, ilekroć Graham na nią patrzył, stawała mu przed oczami twarz kłowna z okrągłymi, czerwonymi plamami wymalowanymi na policzkach.

- Zgłoś swojemu kongresmanowi petycję w sprawie zmiany obowiązującego prawa - powiedziała. - Ale póki to nie nastąpi, morderstwo pozostaje morderstwem.

Graham ponownie spojrzął na sędziego.

- Według prawa wyuczajowego pojęcie przestępstwa wyklucza zgodę ofiary na jego popełnienie.

Roarke skinął głową.

- Owszem. Ale nie znajduje to odzwierciedlenia w przepisach kodeksowych. Chyba nie zamierza pan doprowadzić w naszym prowincjonalnym sądzie do obalenia fundamentów systemu prawnego tego kraju, mecenasie?

Graham wciągnął głęboko powietrze do płuc i podjął ostatnią rozpaczliwą próbę zmiany stanowiska sędziego.

- W tej sprawie tak naprawdę nie chodzi o odebranie życia, ale przyznanie prawa do śmierci.

Audra skrzywiła się kpiąco.

- To wzruszające, Grahamie, ale legalnie niedopuszczalne.

Sędzia Roarke uderzył w stół młotkiem o wiele silniej, niż zamierzał.

- Dość tego. Odrzucam wszystkie zgłoszone wnioski. Rozprawa zostanie wznowiona po dziesięciominutowej przerwie.

Graham ruszył w stronę stołu obrony, powtarzając sobie w duchu, że wniosek o oddalenie zarzutów był rutynowym wybiciem, a jego odrzucenie - oczywistością.

Ale kiedy spojrzął w pełne nadziei oczy Jamiego, zdał sobie sprawę, czym tak naprawdę się kierował.

Podobne wnioski składało się po to, by przygotować grunt pod ewentualną apelację.

Co z kolei oznaczało, że na pewnym poziomie Graham już zaakceptował możliwość porażki.

Kosmicznie się wygłupił z tymi kwiatami. Nie dość, że musiał je kupić u konkurencji, to na dodatek widok tej masy kwiatów w całej sypialni nasunie Allie skojarzenia z „Glory of the Flower”, a w konsekwencji - przypomni o Mii.

Na komodzie i toaletce stały chryzantemy, gerbery, mieczyki, amarylis, eustoma i fuksje. Były lilie i cyklameny oraz wielki bukiet anafalisu.

Cam zgromadził pracowicie wszystkie kolory tęczy i przyniósł je żonie w podarunku.

Obudziła się, kiedy wślizgiwał się do pokoju z kolejnym wazonem pełnym kwiatów.

- Co tu robisz? - spytała ostrym głosem i poderwała się gwałtownie.

Uśmiechnął się rozbrajająco i zamiast postawić wazon na nocnym stoliku, wyciągnął go w stronę Allie niczym bukiet.

- Czyż to nie oczywiste?

Tej nocy także spał na kanapie, ponieważ nie wpuszczała go do sypialni.

- Nie mam dziś urodzin.

Cam przysiadł na skraju łóżka.

Ona odruchowo się odsunęła.

- Wiem.

Posłała mu pełne gniewu spojrzenie.

- Prezenty nie oczyszczą sumienia.

Przez oczy przemknęła mu czarna błyskawica, ale zniknęła pod maską wymuszonego opanowania.

Allie wiedziała, że zachowuje się wrednie. Powiedziała Camowi, że nie chce rozvodu, ale gdyby była na jego miejscu, już dawno by odeszła - po prostu nie zniosłaby tych wszystkich złośliwości i mściwych gestów, którymi go częstowała. Ale po prostu nie była w stanie się powstrzymać. Ilekroć otwierała usta, by ogłosić rozejm, ten straszny stwór, który zagnieździł się w jej wnętrzu, zaczynał pluć nienawiścią.

Zastanawiała się, ile czasu potrzeba, by się pogodziła z faktem, że walka dawno dobiegła końca. I że przegrała ją z kretesem. Bo bez względu na to, jak potężne werbalne armaty jeszcze wytoczy, nie zdoła zranić Cama tak bardzo, jak on ją zranił.

- Wiesz, gdzie ona teraz jest? - Allie usłyszała, jak te słowa wymykają się z jej ust, i wprost nie mogła uwierzyć, że je wypowiedziała.

Twarz Cama poczerwieniała, a potem zbladła jak chusta.

- Nie - odparł. - Ale nawet gdybym wiedział, to nie miałyby już najmniejszego znaczenia.

- Skąd możesz być tego pewien?

Cam spojrział na pewne miejsce na ścianie, tuż obok lewego ramienia żony.

Na tapecie widniał mały, ciemny ślad - pozostałość po komarze, który wleciał tu zeszłego lata.

Kiedy kochali się z Allie, insekt ugryzł ją w ramię i Cameron rozgniół go ręką na miązgę.

- Bo moje miejsce jest tutaj - odparł. - Przy tobie.

- Ale czy nie wolałbyś być gdzie indziej?

Nie wiem, odparł w duchu. Wziął wazon z rąk żony i postawił na toaletce.

- Posłuchaj. Musisz mi udzielić drobnego kredytu zaufania. Musisz trochę odpuścić.

Allie wojowniczo skrzyżowała ręce na piersi.

- Nie muszę ci nic dawać - rzuciła łamiącym się głosem.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z sypialni. Allie usłyszała szum wody lecącej z prysznica, cichy trzask bawełny, gdy mąż przeciągał przez głowę T-shirt i zdejmował bokserki. Wskoczyła z łóżka, narzuciła na ramiona swój wielki szlafroki zbiegła na parter.

Cam złożył już koc i prześcieradło w rogu kanapy. Jego pas, jak zwykle, zwisał ze stołu. Buty stały pod telewizorem.

Na odtwarzaczu wideo leżał natomiast portfel. Allie dotknęła palcem miękkiej skóry, a potem go otworzyła. Serce waliło jej jak młotem, jednym uchem nasłuchiwała, czy na górze ciągle leci woda.

Siedemnaście dolarów. Prawo jazdy. Karta dawcy organów. Wsuwała palce w ciasne przegródki, w których znalazła jeszcze certyfikat

ratownika medycznego, kilka kwitów bankowych, rachunek z restauracji w Pittsfield, karty kredytowe i bankomatowe.

W portfelu nie było żadnych tajemnych kieszonek. Wiedziała, bo sama go kupiła dwa lata temu, na Boże Narodzenie. Przeszukała każdy zakamarek i nie natknęła się na żaden świstek z nieznanym adresem czy numerem telefonu oznakowanym literą M. Ani jednego kondomu. Ani śladu zdjęcia Mii - pomiętego od częstego oglądania.

Nie znalazła niczego, co mogłoby świadczyć, że Cam znowu skłamał.

Allie wiedziała, jak się zakochać. Nie miała pojęcia, jak odzyskać utracone zaufanie. Zniesmaczona własnym wścibstwem, z trzaskiem zamknęła portfel.

Podczas ogłoszonej dziesięciominutowej przerwy córeczka sędziego Roarke'a spadła z drabinek i złamała nogę.

Przejęty i zdenerwowany Roarke wpadł na salę, przeprosił przysięgłych i odroczył rozprawę do dziewiątej rano dnia następnego.

Jamie uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Doskonale - oznajmił Grahamowi. - Nie uważasz, że to świetna nowina?

Graham zerknął na niego znad wpychanych do teczki dokumentów.

- W jakim sensie?

- Po całym dniu poza salą rozpraw przysięgłym zatrze się w pamięci argumentacja prokuratury.

- Jamie, gdy chodzi o członków ławy, nie należy robić żadnych założeń - odparł Graham.

Allie oparła się o barierkę oddzielającą uczestników postępowania od widowni.

- A ja myślę, że Jamie ma rację. Im bardziej przeciąga się proces, tym dalej od zeznań na rzecz oskarżenia.

Graham uśmiechnął się gorzko.

- Zapominacie, że Audra jeszcze wygłosi mowę końcową. - Zamknął teczkę, zerknął na zegarek. - Wracasz do Wheelock, Allie?

Bo ja powinienem popracować nad pewną ugodą i chętnie bym skorzystał z sądowej biblioteki prawniczej.

Allie skinęła głową.

- Zabiorę ze sobą Jamiego.

Jamie zerknął na Grahama.

- Czyżbyś poza mną otaczał prawną opieką jeszcze kogoś innego, mecenasie?

Graham uśmiechnął się łobuzersko.

- Dobry prawnik się stara, by każdy klient uważał, że zajmuje się tylko jego problemami. Co w twoim przypadku niewiele odbiega od prawdy. - Ruszył w stronę drzwi, unosząc dłoń na pożegnanie.

Allie odetchnęła głęboko i wygładziła przód wełnianego płaszcza.

- No, dobrze. Jesteś głodny?

Jamie pokręcił przecząco głową.

- Graham nie wypuściłby mnie poza granice Wheelock, gdybym wcześniej nie zjadł solidnego śniadania. - Ujął Allie pod łokieć i wyprowadził z sądu, przemykając niepostrzeżenie obok rosnącego tłumu reporterów lokalnych mediów. - Mam natomiast ochotę na spokojną przejażdżkę - powiedział. - Może po południu uda mi się zdrzemnąć.

Allie otworzyła najpierw drzwi pasażera i spod oka zerknęła, jak Jamie wciska się w niewielką przestrzeń i szybko odsuwa fotel, żeby mieć trochę więcej miejsca na nogi.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, silny strumień gorącego powietrza z nawiewu odgarnął jej grzywkę z czoła.

- Aż trudno uwierzyć, że wczoraj na dworze było dziesięć stopni.

Wydał z siebie dziwny, niski pomruk.

- Ostatnio wszystko się staje coraz bardziej nieprzewidywalne.

Zanim wyjechali z garażu, Allie pośłała mu spojrzenie z ukosa.

Miał zaczerwienione, podpuchnięte oczy.

Jamie poczuł na sobie jej wzrok.

- Tak, wiem. Wyglądam jak trzy ćwierci do śmierci.



- Ostatnio nie sypiasz zbyt wiele?
- Nawet tuż po zabiciu Maggie sypiałem lepiej niż teraz - rzucił gorzko. - Gdybym wiedział, jaką decyzję podejną przysięgli, byłoby mi łatwiej znieść wszystkie występy tej suki, Campbell. Nawet jeżeli z góry by zapowiedzieli, że mnie skazą na wieczność w więzieniu. Tym, co mnie dobija, jest ta straszna niepewność.

Allie skinęła głową.

- Ze mną jest dokładnie tak samo. Nie mogę sobie wyobrazić życia bez Cama, ale kiedy jest przy mnie, nie mam mu nic do powiedzenia. Chciałabym, żeby ktoś rozwinął taką harmonijkę fotografii, jakie rozdają w parkach tematycznych i powiedział:

„Oto twoja przeszłość. Tego właśnie możesz się spodziewać”.

Jamie odwrócił głowę w stronę okna i przyglądał się ptakowi - diabli wiedzą jakiemu, skoro była dopiero połowa stycznia - który fruwał równoległe do samochodu.

- A więc nie najlepiej układa wam się z Camem?

- Delikatnie rzecz ujmując.

- Za jego czy twoją sprawą?

Moją, pomyślała Allie. A raczej jakiejś okropnej części mnie, od której nie potrafię się odciąć.

- Nie jestem w stanie nad sobą zapanować. Mówię rzeczy, których wcale nie chcę mówić. Zupełnie nie poznaję samej siebie. Za to jego poznaję zawsze i wszędzie.

Zarumieniła się na tę myśl zaczęła manipulować przy suwaku ogrzewania, udając, że policzki zaczerwieniły jej się od gorąca.

- Jak wiesz - zagałł Jamie - Graham obsesyjnie koncentruje się na pytaniu, czy zabijając Maggie, wierzyłem, że postępuję słusznie.

Allie skinęła głową, chociaż nie do końca nadążała za tą niespodziewaną zmianą tematu.

- Taką przyjął linię obrony. Nie powinieneś brać sobie tego do serca.

- I nie biorę. Chodzi mi o to, że gdyby zadano mi to pytanie wówczas i teraz, udzieliłbym dwóch diametralnie różnych odpowiedzi.

Allie ostro nadepnęła na pedał hamulca. Wyrzuty sumienia i skrucha!

Przypomniała sobie, co pewnego razu młody adwokat powiedział na temat tego procesu: skrucha jest jedną z przesłanek do ułaskawienia. Jej brak - do skazania.

- Mówiłeś o tym Grahamowi?

- Dopiero teraz przyszło mi to do głowy. Poza tym, dla niego to spostrzeżenie nie byłoby równie przydatne jak dla ciebie.

- Co przez to rozumiesz?

- Wziąwszy pod uwagę moje doświadczenia, powiem tak: na twoim miejscu dwa razy się zastanowił, zanim bym unicestwił to, co łączy ciebie i Cama. Bo tego, co raz unicestwione, nie można już nigdy odzyskać.

Allie zjechała na pobocze, położyła dłoń na ramieniu Jamiego.

- Ależ to są dwie całkowicie odmienne sytuacje. Wasz związek zniweczyło coś, na co niemieliście żadnego wpływu. Nasz - to, co zrobił mój mąż.

Jamie uniósł kolano i oparł o schowek w desce rozdzielczej.

- Powiem ci coś jeszcze, o czym nigdy nie mówiłem swojemu adwokatowi.

Wiesz, dlaczego nie mogę spać? Bo gdy tylko zapadnę w sen, śnię o Maggie. I bynajmniej nie o jej śmierci, jak na początku. Ale o tym, co by się stało - co się STANIE - kiedy się ponownie spotkamy.

Zapomnij o tym całym pieprzeniu na temat jej choroby i prośby, żebym ją zabił.

Obecna sprawa - i powie ci to także każdy z przysięgłych - sprowadza się de facto do jednego.

Ja ją zabiłem.

Pozbawiłem życia.

I nie jestem pewien, czy ona kiedykolwiek mi to wybaczy.

Zacisnął palce na jej palcach - mocno, aż do granicy bólu.

- Trzy miesiące temu powiedziałbym, że jeżeli kogoś szczerze kochasz, musisz pozwolić mu odejść. Ale teraz patrzę na ciebie,

Allie, śnię o Maggie i widzę, jak głęboko się myliłem. Jeżeli kogoś naprawdę kochasz, musisz zrobić wszystko, żeby go zatrzymać.

Podrzuciła Jamiego do Angusa, a potem krętymi uliczkami Wheelock dojechała do centrum.

Minęła przecznicę prowadzącą do jej domu, potem posterunek policji i zatrzymała się pod kwaciarnią.

Poprawiła na drzwiach szyldzik z napisem „Zamknięte”, a następnie podeszła do chłodni, gdzie większość kwiatów znajdowała się w różnym stadium agonii.

Jednak nie przyszła tutaj po to, żeby robić porządki. Po pobieżnej inspekcji wyjęła z najbliższego wiadra naręcze lili i wrzuciła do metalowego pojemnika naśmieci. A potem zawiązała wyściełający pojemnik czarny worek i wyniosła na zewnątrz.

Żeby nie wzbudzić paniki sąsiadów, pootwierała wszystkie okna, wpuszczając do środka zimowe, świeże powietrze. Zaczęła przesuwać kosze z suszonymi roślinami i wyciągała na wierzch każdą gałązkę wawrzynu.

Kilka z nich wyszarpnęła nawet z gotowych kompozycji, przeznaczonych do sprzedaży.

Potem zaczęła przeczesać gnijące resztki w chłodni i natknęła się także na świeży wawrzyn.

Wrzuciła cały swój łup do opróżnionego, metalowego pojemnika, dołożyła kilka zmiętych gazet i podpaliła.

Jeden ze znanych jej przesądów głosił, że jeżeli kobieta chce odzyskać miłość wybranka, powinna spalić wawrzynowe liście.

Pochyliła się nad pojemnikiem. Dławiący dym owiał jej twarz, osadził się na włosach i włóknach płaszcza słodkim, dymnym zapachem, który się utrzymywał jeszcze przez kilka tygodni.

Zamknęła oczy i dlatego nie zauważyła, że wąs powoju, który przypadkiem przyłgnął do jej rękawa, wpadł do ognia, a jego dzwonowate kwiaty zapadły się i pomarszczyły gwałtownie pod wpływem żaru.

Ale gdyby nawet to spostrzegła, mało prawdopodobne, by sobie przypomniała, że ze spaleniem powoju również się wiąże pewien

przesąd: jeżeli ta roślina szczętnie w płomieniach, to zwiastun śmierci w rodzinie.

Kiedy Allie wróciła do domu, Cam siedział przed telewizorem i oglądał wieczorne wiadomości.

Wcześniej podgrzał supę z puszki i przynajmniej połowę zostawił dla niej w garnku.

Zdjęła z siebie płaszcz i zarzuciła na krzesło przy stole, tak że rękaw zahaczył o pas Cama.

- Cześć - rzucił. - Jak tam rozprawa?

- Odroczone - odparła.

Podniosła ze stołu pocztę, położoną tam przez męża, i zaczęła przerzucać rachunki oraz katalogi.

- Córka sędziego złamała nogę - wyjaśniła.

Cam zerknął na Allie spod oka.

- Cóż za szczęśliwy traf.

Wzruszyła ramionami.

- Jamie też tak uważa. Natomiast Graham przezornie zachowuje milczenie.

- Widziałaś supę?

Skinęła głową.

Usiadła na kanapie, ściągnęła buty i wsunęła stopy w szczelinę między dwoma poduchami.

- Przynieść ci trochę?

Odmówiła.

Cam odstawił swój talerz na podłogę i usiadł na przeciwległym krańcu kanapy, po czym spojrział tęsknie na miejsce, gdzie jeszcze do niedawna stał jego ukochany mebel.

- Kto kupił mój skórzany fotel? - zapytał.

- Darby Mac. Dla swojej żony.

- Myślisz, że zgodzi się go odsprzedać?

- Nie wiem. Trzeba było wcześniej się zastanowić nad konsekwencjami swoich poczynań.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, które w końcu przełamał Cam.

- Co dzisiaj robiłaś?

Wybałuszyła oczy ze zdumienia.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz zadał jej to pytanie. To od dawna była wyłączanie jej kwestia.

- O czym przed tym rozmawialiśmy? - mruknęła.

- Przed czym?

Wykonała nieokreślony ruch ręką.

- Przed tym.

Cam odchylił głowę na oparcie.

- Główna różnica polegała na tym, że brałaś czynny udział w wymianie zdań.

Allie wsunęła głębiej stopy w szczelinę. Pod palcami wyczuła coś małego i twardego. Dziesięciocentówka? Czerstwy precel?

- Wierz mi, dla ciebie lepiej, żebym się nie odzywała.

- Skończmy z tym wreszcie, Allie. Powiedz, co masz do powiedzenia, a potem zacznijmy wszystko od nowa.

- Nie mam pojęcia, co właściwie i jak miałabym ci powiedzieć - mruknęła. - Takie sytuacje nie figurują w żadnym podręczniku dobrych manier. - Poczucia napływające do oczu łyzy i zaczęła przeklinać się w duchu.

Szybko odwróciła głowę.

Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowała, to słabość. Wpatrzyła się w żyrandol wiszący pod sufitem. Był z kutego żelaza, powyginane druty układały się w kontury kilku biegnących postaci - niczym żywcem wyjętych z twórczości Keitha Haringa - wyciągających przed siebie ręce, w których podtrzymywały opasy, szklany abażur.

Kiedy Mia zjawiała się tutaj po raz pierwszy, od razu zwróciła uwagę na formę tego żyrandola.

- Czy o niej myślisz? - odezwała się tak niedosłyszalnym szepczeniem, że Cam musiał prosić, aby powtórzyła pytanie. - Czy o niej myślisz? - Tym razem wypowiedziała te słowa beznamiętnym tonem.

Milczał.

Tego dnia, gdy Mia odeszła, nie mógł myśleć o niczym innym i nawet w końcu urwał się ze szkolenia, żeby dokładniej rozważyć zaistniałą sytuację. Potem przyjechał do domu, ogołoczonego z należących do niego rzeczy, ale nadal myślał tylko o Mii, więc dopiero

nazajutrz rano podjął próbę odzyskania niektórych przedmiotów.

Teraz jednak od pamiętnych wydarzeń upłynęło już kilka dni, w ciągu których często miał kontakt z żoną.

Wpadali na siebie, ilekroć źle ocenili dzielącą ich odległość, co dla Allie było równoznaczne z sypaniem soli na rozjątrzoną ranę. Cam natomiast mniej się obecnie koncentrował na tym, co stracił, a bardziej na tym, co jeszcze można ocalić.

Wysunął przed siebie rękę, tak że się znalazła zaledwie parę centymetrów od kostki Allie.

- Owszem - przyznał. - Wciąż o niej myślę. Nie tak często jak kiedyś, ale jednak...

Allie odwróciła gwałtownie głowę, podciągnęła nogi pod siebie.

- Dlaczego nie sprzedałaś witrażu? - zapytał niespodziewanie.

- Bo jestem ostatnią idiotką. Zdecydowanie powinnam była to zrobić.

- Zerknęła na Cama.

- Czy razem wybieraliście wzór? Pomagała ci go zapakować?

- Przestań! - Próbował złapać ją za rękę.

Ale ona już wbiegała po schodach na piętro.

Kiedy wpadł za nią do sypialni, akurat zdejmowała witraż z żelaznego haka.

- Kiedy go dawałeś, powiedziałaś, że muszę się z nim delikatnie obchodzić. Bo wszystko może się rozpaść! - weszła na wysokie rejestry.

A potem uniosła szklany panel w górę i spuściła na podłogę.

Angus nie pojechał tego dnia do Pittsfield, ponieważ po przebudzeniu stwierdził, że oślepl.

Naturalnie nie zwierzył się z tego Jamiemu - ani rano, kiedy bratanek do niego zajrzał, ani po południu, gdy już Allie przywiozła go do domu. Powiedział jedynie, że ma drobną migrenę, więc woli sobie oszczędzić długiej jazdy samochodem.

Jamie okazał pełne zrozumienie, był takim dobrym chłopcem. Wypytał troskliwie stryja, czy czegoś nie potrzebuje - aspiryny, zimnego okładu na czoło, gorącej zupy - ale Angus machnął jedynie ręką. „Tylko zdrowego, długiego snu” - odparł. „Rano obaj się pozujemy dużo lepiej”.

Przypadłość, która dotknęła Angusa, nie była ściśle rzecz biorąc ślepotą.

Po prostu widział co innego, niż powinien.

Zajmował tę sypialnię od ponad ośmiu lat, więc znał jej rozkład na pamięć. Wiedział, gdzie są drzwi, gdzie komoda i okno zawieszona ciężką storą. Kiedy jednak tego ranka otworzył oczy, ujrzał przed sobą wewnątrz wielkiego dworu w Carrymuir.

Poczuł się - delikatnie rzecz ujmując - zdeprymowany na widok Jamiego, który stanął w drzwiach podparty o zdobioną herbem tarczę, liczącą sobie co najmniej trzysta lat.

Nie poprawił mu też nastroju widok wiekowego dębowego stołu, mogącego pomieścić co najmniej trzydziestu biesiadników, który ni stąd, ni zowąd wyrósł tam, gdzie powinno się kończyć łóżko.

Kilkakrotnie wciągu dnia Angus przecierał oczy, wkraplał do nich Visine, jednak owe zabiegi niczego nie zmieniły.

Tej nocy śnił. We śnie ściany jego pokoju nagle zniknęły, a sam dom stał się okrągły niczym ziemski glob.

Z miejsca na niebie, gdzie zazwyczaj wisiał księżyc, spłynęły w dół trzy świetliste kule.

Asfalt jezdni zwinął się w rulon i odtoczył w niebyt, odstawiając rozległe wrzosowisko.

Na jego krańcach zebrały się dwie potężne armie.

Żołnierze jednej nosili niebieskie barwy i stali pod szkocką flagą, drugiej - jaskrawoczerwone kubraki, nad którymi powiewała flaga Brytanii. Czerwoni dwukrotnie nacierali na niebieskich i niebiescy dwukrotnie ich odpierali.

Przy trzecim ataku Szkoci wdarli się w angielskie szeregi i zaczęli szerzyć spustoszenie mieczem.

Angus widział dym wypluwany przez armaty, błysk ścierającej się broni, trzepoczące sztandary, do których przywierał mokry śnieg, jednak nie docierały do niego żadne dźwięki.

To znaczy aż do chwili, gdy podszedł do niego mężczyzna odziany w błękit i wyciągnął rękę. Był równie wysoki jak ongiś Angus

i miał włosy żywsze w barwie od płomieni. Starzec także wyciągnął dłoń i wówczas zobaczył, że mężczyzna podaje mu kord rękojeścią do przodu, w tym też momencie uświadomił sobie, jak bardzo jest już zmęczony walką.

Uśmiechnął się i usiadł. Nagle ból w kościach ustąpił, a zwiotczałe mięśnie znów nabrały siły i sprężystości.

- Pójdź ze mną - powiedział mężczyzna. - Jesteś jednym z nas.  
I Angus do niego dołączył.

Audra Campbell wpatrywała się w stół obrony i zastanawiała, jaką sztuczkę szykuje tym razem Graham MacPhee.

Ani śladu oskarżonego, ani śladu adwokata, a i miejsca w pierwszym rzędzie, dzień w dzień okupowane przez kibicujących krewniakowi MacDonaldów, raziły teraz w oczy spektakularną pustką.

Przymrużyła powieki i zaczęła stukać ołówkiem o notatnik.

Graham wpadł na salę w tym samym momencie, gdy wprowadzano przysięgłych.

Nie zajął jednak swojego zwyczajowego miejsca, tylko poprawił krawat i stojąc, czekał na sędziego.

- Wysoki sędzie - odezwał się na widok Roarke'a. - Czy możemy podejść?

Roarke przywołał oboje prawników skinieniem dłoni.

- Obrona prosi o czasowe odroczenie - powiedział cicho Graham. - Angus MacDonald, stryjeczny dziad Jamiego, zmarł minionej nocy we śnie.

Roarke skinął głową. I nawet Audra powstrzymała się od komentarza.

- O jak długie odroczenie wnosi pan, mecenasie?

- Do poniedziałku? To będzie tuż po pogrzebie. Sędzia uderzył młotkiem w stół.

- Odraczam rozprawę do poniedziałku, do dziewiątej rano.

Kiedy odchodzili od sędziowskiego podwyższenia, Audra nachyliła się w stronę Grahama.

- Gdybym była bardziej podejrzliwa...



- Nawet nie kończ - przerwał jej Graham.  
Ale zaraz się uśmiechnął.
- Chociaż przyznając, że wycucie chwili, jakim się wykazał Angus, można uznać za kolejny akt miłosierdzia.

Przysięgli od pierwszego wejrzenia zapałali sympatią do Buda Spitlicka, który odpowiadał napytania Grahama, sapiąc, pochrząkując i nieustannie poprawiając się na krześle.

Miał na sobie szare spodnie i białą rozpinaną koszulę z tak cienkiej tkaniny, że każdy mógł odczytać nadruk na znajdującym się pod nią T-shircie:

#### BOŻE BŁOGOSŁAW AMERYKĘ.

Graham był zachwycony - nawet gdyby się bardzo postarał nie zdołałby wymyślić lepszego stroju na dzisiejszą okazję.

- Czy od dawna mieszka pan w Cummington, panie Spitlick?
- Z pewnością można tak powiedzieć. - Bud uśmiechnął się szeroko, ukazując przy tym złote plomby. - Ja i moja pani mieszkamy tam od urodzenia. Jesteśmy nawet czymś w rodzaju miejscowej instytucji. Swego czasu prowadziliśmy duży sklep spożywczo-przemysłowy. - Zwrócił się w stronę przysięgłych, ostatecznie reklamy nigdy za wiele. - Może ktoś z was o nas słyszał? „U Spitlicków”? Zostaliśmy kiedyś opisani w specjalnym artykule w „Globe”, zdaje się że w '89.

Teraz już nie mamy sklepu, zdecydowaliśmy się przejść na emeryturę, chociaż niezupełnie, bo nadal prowadzimy interes, tyle że we własnym domu.

- We własnym domu? Mógłby pan o tym opowiedzieć wysokiemu sądowi? - Graham cholernie dobrze wiedział, że to nie ma najmniejszego związku ze sprawą, ale ten facet wzbudziłby zaufanie nawet w najbardziej cynicznym spośród przysięgłych, stąd im dłużej będzie siedział na miejscu dla świadków, tym lepiej.

Bud pokraśniał z dumy.

- No więc w salonie trzymamy bele z tkaninami i inne artykuły przemysłowe. Oferujemy duży wybór hokejówek dla dzieci, handlujemy też używanymi łożwami, z których pociechy już wyrosły, więc przychodzi do nas sporo rodzin. Poza tym sprzedajemy cukierki za centa dla maluchów, bestsellery w broszurowych oprawach dla dorosłych i różne gry planszowe.

Można powiedzieć, że mamy wszystkiego po trosze.

- Jak pan poznał Jamiego, panie Spitlick?

Bud spojrział na Jamesa i uraczył go szczerym, promiennym uśmiechem. Graham miał nadzieję, że nie umknęło to uwagi żadnego z przysięgłych. Starszy pan nie widział Jamiego od śmierci Maggie, miał zakaz kontaktowania się z nim do czasu złożenia zeznań, więc tylko w ten sposób mógł okazać swoje wsparcie.

- Jamie kupił dom naprzeciwko mojego. Będzie, ze dwanaście lat temu.

- A czy znał pan również Maggie?

- A pewnie. Uroczą bestyjka. Pobrali się z Jamiem przed dziesięciu laty. Razem z żoną tańcowaliśmy na ich weselu.

Graham oparł się o barierkę miejsca dla świadków.

- Czy mógłby nam pan coś powiedzieć o Jamiem i Maggie?

Bud gwizdnął cicho przez zęby.

- A jakże! Ostatecznie któż zna ludzi lepiej od ich sąsiada?

No więc, Jamie i Maggie, o ile mnie pamięć nie myli, tuż po weselu pojechali gdzieś na miesiąc miodowy, który jednak dla nich nigdy się nie skończył. Nie należeli do tych małżeństw, co to ciskają w siebie garnkami, a wieczorami wyklócają się o pieniądze. Z ich domu zazwyczaj dobiegały śmiechy i odgłosy radosnych igraszek.

Graham zerknął na Jamiego, który się uśmiechał - po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia procesu.

- Zakochani do szaleństwa - zawyrokował Bud. - No i pod każdym względem słodkie dzieciaki. Traktowaliśmy ich z Marie, jakby były nasze własne.

- Bud pomarkotniał, po raz kolejny odchrząknął głośno. - No a potem wydarzyła się ta straszna historia. Maggie zachorowała i Jamie okropnie to przeżywał.

Widział, że ona cierpi, jednak nic nie mógł zaradzić. Ale troszczył się o nią bardzo.

- Zechciałby pan podać nam jakiś przykład?

- No więc ubiegłej wiosny. a właściwie na przedwiośniu, jakoś tak z początkiem marca. Maggie poważnie zaniemogła w środku nocy. Brała nowe lekarstwo (wciąż wypróbowywała nowe leki), które zaszkodziło jej na płuca.

Obudziła mnie syrena ambulansu. Po prawdzie to obudziła każdego na naszej ulicy i większość z nas wybiegła w szlafrokach na dwór, więc widzieliśmy sanitariuszy wywozujących Maggie na takim specjalnym, składanym wózku. No i ujrzeliśmy też Jamiego, gołego jak go Pan Bóg stworzył, nachylonego nad tym wózkiem, ratującego Maggie przez sztuczne oddychanie. Sanitariusze odciągnęli go w końcu na boki kazali się ubrać, ale on musiał być w szoku, bo stał w miejscu jak skamieniały.

Do końca życia nie zapomnę widoku Jamiego z tamtej nocy - czerwone migające światła odbijały się od jego nagiego ciała, a on spoglądał za ambulansem, którym zabierali Maggie.

Graham pokiwał głową w milczeniu, czekając, aż opowieść dobrze zapadnie w pamięć i serca przysięgłych.

- A czy mógłby pan opowiedzieć nam coś więcej o samej Maggie?

- Sprzeciw - odezwała się Audra. - Zmarła nie jest stroną w tym procesie.

- Proszę o odrobinę swobody, wysoki sędzie - zaoponował Graham.

Roarke skinął głową, też musiał być poruszony opowieścią o dramatycznych wydarzeniach marcowej nocy.

- Zalecam jednak daleko posuniętą ostrożność, mecenasie. - Zwrócił się w stronę Buda.

- Świadek może odpowiedzieć na pytanie.

Bud szybko przełykał ślinę. Był bliski łez i Graham podał mu pudełko z chusteczkami.

- No więc. - zaczął Bud, poczym głośno wydmuchał nos - Maggie bardzo ciężko chorowała. Wiedzieliśmy też, że nie ma najmniejszych szans na poprawę.

Graham czekał, aż Bud pociągnie opowieść, ale po chwili zdał sobie sprawę, że starszy pan się pogrążył we własnych wspomnieniach.

- Czy Maggie kiedykolwiek rozmawiała z panem na temat prawa do śmierci?

- Sprzeciw! - wrzasnęła Audra. - Ta kwestia nie ma najmniejszego związku ze sprawą!

- Wręcz przeciwnie. Ta kwestia jest kluczowa dla sprawy! - odparował Graham.

Oboje, i on, i pani prokurator, stopniowo zbliżali się do sędziowskiego podwyższenia, chyba nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

- A przede wszystkim dla zrozumienia stanu psychicznego Jamiego i natury jego czynu!

Tymczasem Roarke przenosił wzrok z jednego prawnika na drugiego, jakby się zastanawiał, które ze stojących przednim durniów jako pierwsze posłać do wszystkich diabłów.

- Podtrzymuję sprzeciw - odezwał się w końcu. - Niech się pan ma na baczości, mecenasie.

Graham zawrócił w stronę swojego stołu, radośnie uśmiechając się w duchu.

Dobrze wiedział, że sprzeciw Audry zostanie podtrzymany, ale i tak osiągnął swój cel: skierował uwagę przysięgłych na problem eutanazji. I to bez wypowiedzenia słowa „miłosierdzie”.

- Panie Spitlick, czy prowadził pan z Maggie rozmowy na temat jej stanu zdrowia?

Bud zaczął się obficie pocić, pod pachami jego koszuli wykwitły duże, ciemne plamy.

- Bardzo się przejmowała. Bo widzi pan, chodzi o to, że ona czuła się nieswojo w obecności chorych ludzi.

- Skąd panu o tym wiadomo?

- Jakiś czas temu, będzie już pięć lat, moja rodzona siostra dostała wylewu krwi do mózgu. Nie wiem, co byśmy wówczas zrobili bez pomocy Maggie. Była dla nas istnym aniołem - prowadziła sklep, gotowała obiady. Moją siostrę podłączono do różnych wymyślnych maszyn i tak to trwało przez jakiś czas. Maggie niekiedy wpadała do szpitala, żeby odwiedzić moją żonę do domu lub przynieść nam kanapki.

Natomiast nigdy nie chciała wejść do sali, gdzie leżała Frances. Mówiła, że widok ciężko chorych osób wzbudza w niej paniczny strach.

Pewnego razu jednak się przemogła i weszła do środka. Popatrzyła na moją siostrę, a potem powiedziała, że to nie jest już życie.

- I jak pan wówczas zareagował?

Bud płakał.

- Powiedziałem, powiedziałem, że Bóg zabierze Frances, kiedy nadejdzie pora. A Maggie odparła, że gdyby to ona była na miejscu mojej siostry, chciałyby, żeby ktoś poklepał Pana Boga po ramieniu i go obudził. - Otarł nos zmiętą chusteczką. - Przepraszam. Jest mi tak ogromnie przykro.

- Wszystko w porządku, panie Spitlick. Proszę się nie śpieszyć. - Graham poczekał dłuższą chwilę, aż Bud w końcu podniesie wzrok, a Jamie skinie mu głową i pośle ciepły uśmiech. I dopiero wtedy zwrócił się w stronę Audry.

- Świadek do dyspozycji oskarżenia.

Audra doskonale wiedziała, że strzeliłaby sobie w stopę, gdyby próbowała zdyskredytować świadka, którego przysięgli nie tylko polubili, ale również darzyli współczuciem.

Poza tym Bud był zbyt prostolinijny, aby ktokolwiek uwierzył, że odegrał wyrefinowany spektakl na potrzeby tej rozprawy.

Podeszła więc do niego z szerokim uśmiechem.

- Panie Spitlick, chciałabym zadać panu czysto hipotetyczne pytanie.

Jak by pan zareagował, gdyby trzydzieści lat temu usłyszał, że będzie prowadzić sprzedaż wprost z salonu własnego domu?

Bud się uśmiechnął.

- Powiedziałbym, że to niedorzeczne. W tamtych czasach byliśmy ważnymi postaciami w Cummington. Wtedy jeszcze nikt nie słyszał o Wal-Marcie i wszyscy zaopatrywali się w naszym sklepie.

- A więc zgodzi się pan, że nasze reakcje na sytuacje hipotetyczne nie zawsze muszą iść w parze z rzeczywistymi decyzjami, podejmowanymi w obliczu zaistniałych okoliczności?

Audra wyraźnie widziała, ile wysiłku myślowego Spitlick musi włożyć w logiczny rozbiór jej pytania. Boże, chroń mnie od tępych świadków, jęknęła w duchu.

- Taaak. - odezwał się Bud. - Zgadza się.

- A więc to, co zmarła powiedziała w reakcji na ciężki stan pańskiej siostry, nie musi oznaczać, że czegoś podobnego chciały dla siebie, gdyby się znalazła w analogicznym położeniu?

Twarz Buda powlekła się ciemną czerwienią.

- Nie wiem - mruknął. - Nie jestem pewien.

- Panie Spitlick, czy w okresie, gdy pańska siostra leżała w śpiączce, znajdował się pan pod wpływem silnego stresu? - Audra z wolna przechadzała się po sali, zwrócona plecami do świadka.

- O, tak- odparł z widoczną ulgą, wreszcie wrócili do zrozumiałego języka.

Prokurator błyskawicznie obróciła się na pięcie i przeszła Buda lodowatym spojrzeniem jasnoniebieskich oczu.

- Dlaczego więc pan jej nie zabił?

Graham poderwał się z krzesła.

- Sprzeciw!

- Podtrzymany.

Audra posłała oskarżonemu triumfujący uśmiech.

- Wycofuję pytanie.

Allie słyszała szum leżącej wody, wiedziała więc, że Cam wszedł pod prysznic.

W południe wrócił do domu po nocnej zmianie i działał według nowo przyjętego schematu: wybór z lodówki czegoś, co nie wymagało skomplikowanego gotowania, szybki posiłek, prysznic, a potem sześć bitych godzin kamiennego snu na kanapie.

Zostawił uchylone drzwi do łazienki, zza których wydobywała się poskręcana smuga pary i pełzła po leżącym w holu, orientalnym chodniku. Cam podśpiewywał, musiał myć głowę, bo niektóre słowa z gulgotem wydobywały się z gardła. A więc najprawdopodobniej miał zamknięte oczy.

Allie poszerzyła nieznacznie szparę w drzwiach i przysunęła do niej twarz. Powtarzała sobie w duchu, że wciąż jest na niego wściekła i że nie chce go oglądać.

Poprzez zaporowaną szybę kabiny dojrzała zarys jego długich nóg i zgrabnych pośladków.

Dopiero kiedy znalazła się w kuchni, przestała drżeć, a gorące rumieńce na policzkach zbladły, zdała sobie sprawę, że jej wzburzenie nie miało nic wspólnego z voyeuryzmem.

Za to wiele z faktem, że wbrew własnym intencjom wciąż pożądała czegoś, czego pożądać nie powinna.

Dascomb Wharton tylko z największym trudem zmieścił się na miejscu dla świadków.

Niemal wszyscy przysięgli przyciskali dłonie do ust, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu, gdy woźny dostawiał dodatkowe krzesło dla lekarza i niemal na siłę wciskał go w niewielką przestrzeń ograniczoną drewnianymi barierkami.

No cudnie, pomyślał Graham

Jedyny świadek wydarzeń, ekspert zarazem, powołany przez obronę, już na wstępie stał się pośmiewiskiem.

Kiedy jednak Wharton rzeczowym tonem profesjonalisty podał do protokołu swoje kwalifikacje, zaczynając od studiów medycznych na Harvardzie, a kończąc na wieloletniej praktyce w Massachusetts General Hospital, nawet Roarke był pod dużym wrażeniem.

- Od kiedy prowadzi pan gabinet w Cummington, doktorze? - zapytał Graham.

- Od dwudziestu jeden lat.

- Jakimi przypadkami głównie się pan zajmuje?

- Jestem internistą, lekarzem medycyny ogólnej. Przyjmuję rodziny. Otaczam opieką pediatryczną noworodki. Potem te same maluchy leczę ze wszystkich chorób wieku dziecięcego, przeprowadzam im testy medyczne przed rozpoczęciem nauki w szkole lub wstąpieniem do wojska. W końcu sprowadzam na świat ich własne dzieci. Często mam też do czynienia z nagłymi przypadkami w rodzaju zapalenia wyrostka robaczkowego czy ataku kamicy żółciowej. Prowadzę również wielu pacjentów, cierpiących na choroby przewlekłe - głównie różne postaci nowotworów.

- Kiedy po raz pierwszy zetknął się pan z Maggie?

Wharton poruszył się na krzesłach i deski podwyższenia dla świadków niebezpiecznie zatrzeszczały.

- Maggie przychodziła do mojego gabinetu od czasu, gdy się sprowadziła do Cummington, czyli od 1984 roku. Miałem więc okazję dobrze poznać jej historię medyczną.

- Zechciałby pan nam wyjaśnić, jak doszło do zdiagnozowania choroby nowotworowej?

Wharton pokrótce opowiedział o kontuzjowanej na lodowisku kostce i wykonanych na tę okoliczność zdjęciach rentgenowskich, które - oprócz złamania - niespodziewanie ujawniły osteolityczne zmiany w kościach, będące niczym innym jak przerzutowymi ogniskami nowotworowymi.

Graham nie słuchał lekarza, znał dobrze tę historię. Mógł zatem się skoncentrować na obserwowaniu przysięgłych. Po raz pierwszy od rozpoczęcia procesu niektórzy z nich prowadzili notatki. I wszyscy w napięciu wychylali się na swoich fotelach.

Wharton w zwięzły, przystępny dla laików sposób wyjaśnił, na jaki typ raka chorowała Maggie. Przedstawił, jak doszło do podjęcia decyzji o radykalnej mastektomii połączonej z usunięciem węzłów chłonnych. Opowiedział o radio- i chemioterapii oraz ich skutkach ubocznych. Uświadomił przysięgłym, jak wiele bólu i cierpienia te



drastyczne formy leczenia przysporzyły Maggie.

Podczas tego wywodu Jamie ani razu nie spojrzął na lekarza, tylko uporczywie wbijał wzrok w kolana.

- Panie doktorze, wzięwszy pod uwagę stopień zaawansowania choroby, jakie były rokowania?

Wharton ciężko westchnął.

- Maggie umierała. To nie ulegało wątpliwości. Otwarta pozostała już tylko jedna kwestia - kiedy to nastąpi.

- Wedle pańskiej wiedzy medycznej, czy istniała jakakolwiek szansa na poprawę stanu zdrowia?

- Nie. W żadnym razie.

Graham stanął u boku swojego klienta.

- Poinformował pan o powadze sytuacji Jamiego i Maggie?

- Naturalnie.

- I jak zareagowali?

- Maggie ze stoickim spokojem. Sądzę, że z góry wiedziała, co ode mnie usłyszy. Natomiast Jamie przyjął tę wieść dużo gorzej. Podczas moich wyjaśnień trzymał żonę kurczowo za rękę, a kiedy skończyłem, oznajmił, że chyba postradałem zmysły. Upierał się, że błędnie zinterpretowałem wyniki badań, i zapowiedział, że zasięgną dodatkowej opinii.

- Czy rzeczywiście jej zasięgnęli?

- Owszem - odparł Wharton. - Wnioski lekarza konsultacyjnego pokrywały się z moimi. Przesłał mi odpis swojej diagnozy, bym mógł ją dołączyć do akt pacjentki.

- Zdarzyło się panu rozmawiać sam na sam z Jamieem na temat choroby żony?

Doktor skinął głową.

- Kilka razy przychodził do mnie, żeby pomówić o nowych specyfikach lub cudownych terapiach, o których gdzieś się dowiedział. Wspominał o kuracji żeń-szeniem, o ile mnie pamięć nie myli, innym razem napomknął o pewnym kręgarzu, obiecującym szybkie wyleczenie z raka - czysty nonsens.

Jamie przed każdą wizytą zaznaczał, że ma zamiar skonsultować się ze mną w sprawie jakiejś kolejnej terapii, tłumaczył, że wolałby to zrobić w cztery oczy, ponieważ nie chce wzbudzać w żonie fałszywych nadziei. Trzeba przyznać, że pilnie śledził fachową literaturę medyczną, posiadał dość rozległą wiedzę na temat raka przewodowego i zazwyczaj przedstawiał mi kuracje, których skuteczność

została potwierdzona w testach klinicznych. Problem w tym, że Maggie już nic nie mogło pomóc.

- Czy w pana opinii James był oddanym mężem?

Po raz pierwszy od chwili, gdy zasiadł na miejscu dla świadków, Wharton skierował wzrok na Jamiego.

- Nigdy wcześniej nie widziałem mężczyzny równie oddanego kobiecie.

Graham usiadł za swoim stołem.

- Doktorze, kiedy po raz ostatni widział pan Maggie?

- Piętnastego września popołudniu. Przyszła na umówioną wizytę. To był, zdaje się, piątek.

- Jak przebiegła owa wizyta?

- Maggie uskarżała się na migające przed oczami błyskawice światła i napadową ślepotę. Wyjaśniłem, że to efekt ucisku guza na nerw wzrokowy. Bo w owym czasie nowotwór dał już przerzuty do mózgu. Przyznałem, że nie sposób wyrokować, które jego partie zostaną zaatakowane jako następne. W zależności od kierunku rozrostu tkanek rakowych w najbliższym czasie można się było spodziewać całkowitej utraty wzroku, ataków epileptycznych, upośledzenia ośrodka oddychania lub udaru. Nikt jednak nie umiałby określić, co nastąpi najpierw. I kiedy.

- W jakim stanie ducha Maggie opuściła pański gabinet?

- Sprzeciw - odezwała się Audra. - Świadek nie może wiedzieć, co się działo w umyśle zmarłej.

- Zapytam inaczej. Jak się zachowała Maggie po wysłuchaniu diagnozy?

Wharton pokręcił głową.

- Widziałem, że była bardzo przybita. Podziękowała i serdecznie uściśniła mi dłoń. - Zamilkł, jakby przywoływał jakieś wspomnienia. - Zapomniała płaszcz. Moja recepcjonistka biegła za nią aż do wyjścia. - Zacisnął usta. - Maggie od dłuższego czasu wiedziała, że umiera. Ale tego dnia usłyszała, że przed śmiercią czekają rosyjska ruletka. Ciężko żyć z taką świadomością.

Graham podziękował doktorowi i przekazał świadka do dyspozycji oskarżenia.

Jeszcze nie zdążył na dobre dojść do swojego krzesła, a Audra już stała naprzeciwko lekarza.

- Jedno pytanie, doktorze Wharton. Kierując się swoją wiedzą

medyczną, zechciałby pan powiedzieć wysokiemu sądowi, jaka była szansa, że ofiara umrze śmiercią naturalną o poranku 19 września 1995 roku?

Wharton powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Raczej nikła.

Audra uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Nie mam więcej pytań.

Graham wstał zza stołu.

- W trybie riposty, wysoki sędzie. - Podszedł do miejsca dla świadków.

- Doktorze Wharton, jeżeli Maggie nie zginęłaby 19 września 1995 roku, czy jakość jej życia miała szansę ulec poprawie?

Lekarz odwrócił się w stronę przysięgłych.

- To absolutnie wykluczone.

Cam poinformował Hannę, że musi przejrzeć listy dyżurów i dokonać tygodniowego rozliczenia nocnych zmian wszystkich funkcyjnariuszów, po czym zamknął się na klucz w swoim sanktuarium.

Usiadł za biurkiem i podniósł z blatu mały zegar.

Dostał go pięć lat temu w banku, kiedy razem z Allie zakładali pierwsze wspólne konto oszczędnościowe.

Gdyby wpłacili wówczas tysiąc dolarów, zostaliby dumnymi posiadaczami maszynki do robienia popcornu. Ale mieli przy sobie tylko dwieście pięćdziesiąt.

Otworzył dolną szufladę, w której trzymał czyste formularze za trzymania, przekazania aresztanta, książkę raportową i tym podobne szpargały.

Tam też wetknął miniaturowy globus, który Mia podarowała mu na Gwiazdkę.

Ujął go w dłonie i obrócił wokół niewidzialnej, magnetycznej osi.

- Gdzie jesteś? - powiedział nagłos. - Dotknął palcem Turcji, o której często rozmawiali.

Stawiając palce jeden za drugim, niczym piechur kroki, przemierzył dystans dzielący Turcję od Ameryki.

Puścił maleńki glob w wirowy ruch, i wówczas wszystkie kraje zwały się w jedną wstęgę koloru. Na koniec wrzucił wielobarwną kulę

do kosza na śmieci i przykrył zmiętymi, czystymi formularzami aresztowania. Jak dobrze pójdzie, najdalej jutro rano znajdzie się na wysypisku.

Pauline Cioffi odznaczała się niekłamany talentem komediowym. Kiedy Graham poprosił, żeby podała nazwisko, adres i zawód do protokołu, oznajmiła, że jest dublerką Mariny Stewart, ale chętnie wystąpi w roli świadka w kilku kolejnych sprawach znajdujących się na wokandzie sądu, ponieważ dzięki temu będzie dłużej przebywać z dala od dzieci.

Miała na sobie falbaniastą sukienkę z materiału o wzorze w wielkie fioletowe kwiaty i usiadła na miejscu dla świadków w taki sposób, jakby zasiadała na tronie królowej piękności.

Nawiązywała częsty kontakt wzrokowy z przysięgłymi, a kiedy nie patrzyła w ich stronę, posyłała pełne współczucia spojrzenia Jamiemu.

Graham był zachwycony, ochoczo zatrudniłby ją na stałe, gdyby tylko istniał taki zawód jak etatowy świadek obrony.

- Pani Cioffi - zagał. - Jak długo przyjaźniła się pani z Maggie?  
Pauline wbiła wzrok w sufit.

- Niech się zastanowię. To było przed urodzeniem Alexandry i Justina. ale miałam już bliźniaki. i chodziłam w ciąży z Chrisem. - Uśmiechnęła się promiennie do Grahama. - Osiem lat.

- A w jakich okolicznościach panie się poznały?

- Spotkałyśmy się na zajęciach aerobiku, organizowanych przez miejscową parafię. Jak już wspomniałam, w owym czasie byłam w ciąży, więc zawsze stawałam z tyłu, żeby nikt nie widział, jak idiotycznie wyglądałam z tym wielkim brzuchem w obcistym stroju do ćwiczeń. Maggie też się ustawiała za innymi, twierdziła, że cierpi na - jak to określiła - „dysleksję motoryczną”: kiedy cała grupa ruszała w lewo, to ona w prawo. Z miejsca przypadłyśmy sobie do serca i już po pierwszych zajęciach poszłyśmy razem na kawę. - Zerknęła na przysięgłych. - Oczywiście bezkofeinową.

- Jak często się widywałyście?

- Z początku dwa razy tygodniowo, zaraz po aerobiku. Ale kilka lat później miałam już tyle dzieci, że żadna opiekunka nie chciała mieć z nimi do czynienia, dlatego musiałam zrezygnować z ćwiczeń. Wtedy Maggie zaczęła wpadać do mnie do domu parę razy w tygodniu, a czasami zaglądała także w weekendy.

- Czy wiedziała pani o jej chorobie?

- Taaak. Wiedziałam. Straciła wiele ze swojej energii. Poruszała się też inaczej. I cały czas łykała tabletki przeciwbólowe, a niekiedy, gdy nie działały jak należy, jej oczy się zasnuwały szklistą mgłą. W krótkim czasie stała się zupełnie inną kobietą od tej, którą poznałam przed ośmiu laty. - Pauline zamilkła na moment. - Często rozmawiała ze mną na temat raka. Twierdziła, że musię wygadać, wszystko z siebie wyrzucić, a nie chce jeszcze bardziej przygnębiać Jamiego.

- Mogłaby nam pani coś powiedzieć o naturze ich związku?

Audra uniosła rękę.

- Świadek nie jest specjalistą w zakresie terapii małżeńskiej, wysoki sędzie.

- To prawda - zaczęła Pauline. - Tylko domorośłym guru. I w istocie zajmuję się terapią, tyle że moje porady nic nie kosztują.

- Ujmę to inaczej. Miała pani okazję często obserwować ich razem. Jak się wobec siebie zachowywali?

Pauline spoważniała.

- Jamie był jej niezwykle oddany, a ona w nim bardzo zakochana. Rozumieli się bez słów, często wystarczyły im tylko spojrzenia lub proste gesty w rodzaju uniesienia brwi czy wzruszenia ramionami. Przebywając w ich pobliżu, człowiek zawsze czuł się trochę jak intruz. - Uśmiechnęła się nostalgicznie. - Byłam okropnie zazdrosna. Dla mojego męża szczytem małżeńskiego poświęcenia jest uprzątnięcie po sobie łazienki. - Przysięgli parsknęli śmiechem, a Roarke posłał Pauline ostrzegawcze spojrzenie. - Maggie powiedziała mi kiedyś, że nie śmierć jako taka ją przygnębia, ale świadomość, że zostawi Jamiego.

- A więc Maggie wiedziała, że umiera?
- Oczywiście. Nie miała tylko pojęcia, kiedy to nastąpi, więc żyła w ciągłej niepewności. Pewnego razu powiedziała, że chciałaby przejąć kontrolę nad własną śmiercią. Wtedy też wyznała, że poprosi Jamiego, aby ją zabił.

Graham zerknął na Audrę. Zastanawiał się, jak sformułować kolejne pytanie, żeby się nie nadziać na jej sprzeciw.

- Czy słysząc to wyznanie z ust Maggie i znając jednocześnie Jamiego, wierzyła pani, że coś takiego zrobi?

Audra nie zareagowała.

Pauline też milczała i tylko wpatrywała się w Jamesa takim wzrokiem, jakby na podobieństwo zmarłej żony, chciała mu coś ważnego przekazać bez słów.

- Nie wiedziałam, co myśleć - powiedziała w końcu. - Zrobiłby dla niej wszystko, o co poprosiła, jednak nigdy by jej nie skrzywdził. Z drugiej strony, jeśliby uznał, że pozbawienie Maggie życia będzie ją kosztowało mniej cierpienia niż to, które na co dzień musiała znosić, przemógłby się i wypełnił jej wolę.

Graham stanął tuż na wprost Pauline.

- Czy Maggie była pani najlepszą przyjaciółką?
- Była dla mnie jak siostra, której nigdy nie miałam.
- Czy czuje pani wobec Jamesa gniew za to, co zrobił?

Pauline przesunęła spojrzeniem ponad ramieniem Grahama i zatrzymała je na Jamiem.

Uśmiechnęła się najcieplej, jak umiała, i w tym momencie napięcie wyraźnie opadło z mężczyzny.

Uzyskał rozgrzeszenie.

- W żadnym razie - odpowiedziała.
- Świadek do dyspozycji oskarżenia.

Audra wyszła zza stołu, po czym zaczęła krążyć pomiędzy Pauline a oskarżonym.

- To wysoce interesujące. Życzyła pani śmierci swojej najlepszej przyjaciółce?

Pauline spiorunowała Audrę wzrokiem. Od pierwszego wejrzenia poczuła awersję do tej suki, jej beznadziejnie sztywniackiego, designerskiego kostiumu, surowo ściągniętych włosów i nosowej wymowy. Do diabła, Pauline Cioffi jeszcze jej pokaże, co znaczy

prawdziwa lojalność. Kiedy dzieciak terroryzujący w szkole maluchy pobił jej synka, poszła do domu małego zbira i spoliczkowała jego matkę. Więc jeżeli ta wredna prawniczka spróbuje poddać w wątpliwość jej przyjaźń z Maggie - coś najpiękniejszego, niemal uświęconego, najjaśniejszy punkt w życiu Pauline - już ona jej odpłaci pięknym za nadobne.

- Nie - odparła. - Naturalnie, że nie życzyłam mojej przyjaciółce śmierci. Ale pani nie ma zielonego pojęcia, przez co Maggie musiała przechodzić.

- Tak czy owak uznała pani, że odejście z tego świata będzie dla niej lepszym rozwiązaniem niż pozostanie przy życiu. A co, gdyby kilka tygodni później wynaleziono lek mogący przywrócić jej zdrowie?

Pauline oparła się wojowniczo o barierkę i posłała Audrze Campbell mordercze spojrzenie. - Ale jak dotąd do tego nie doszło, prawda?

Audra odwróciła się na pięcie, pokonana własną bronią.

- Nie mam więcej pytań - oświadczyła.

## 21.

W tym samym momencie, gdy automat do napojów ukraść mu dolara, Jamie doszedł do wniosku, że amerykański system sądowniczy nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością.

To nie jest w porządku, aby dwanaście osób, których nigdy wcześniej nie widział na oczy, decydowało o jego przyszłości.

To nie w porządku, aby mieli prawo prześwietlać szczegóły jego życia u boku Maggie, które chciałby uchronić przed wzrokiem obcych, żeby nigdy nie straciły swojego blasku i intensywności. W idealnym świecie mógłby liczyć na sprawiedliwość. Ale też w idealnym świecie wszystko układałoby się jak w bajce. Ludzie, których kochamy, nie zapadaliby na raka. Nie istniałby temat eutanazji.

Po wrzuceniu pieniędzy do automatu zawsze otrzymywałoby się wybrany napój.

Guziki koszuli wpijały mu się w ciało. Jeszcze przed wyjściem z domu zauważył, że wciągnął ją na lewą stronę - był całkiem rozkojarzony, kiedy się ubierał.

Przez pleksiglasowe okienko w drzwiach, prowadzących do sali rozpraw, widział amerykańską flagę.

Pamiętał, że gdy w dzieciństwie uczył się Ślubowania Wierności, zawsze mylił słowa.

„Jeden naród, a nad nim Bóg. Naród wolny i NIEWIDZIALNY”.

Tyle że to niebyła szkolna klasa. Przypomniawszy sobie pierwsze dni po śmierci Maggie. Wtedy chciał jak najszybciej ponieść karę. Gnić w więzieniu do końca świata.

Zupełnie nie pojmował, jakim cudem doszło w nim do tak radykalnej zmiany - teraz na samą myśl, że zostanie zamknięty w



ciasnej celi, że nie będzie czuć trawy pod stopami, a nad głową widzieć bezkresu nieba, zbierało mu się na mdłości.

Więzienie i śmierć w pewnym sensie stały się dla niego tożsame - w jednym i drugim wypadku człowiek po prostu odchodzi. I nie ma większego znaczenia, dokąd się udaje.

W prostokącie pleksiglasu ukazał się Graham i zaczął go przywoływać skinieniem dłoni.

Jamie MacDonald przeszedł przez wahadłowe drzwi, dławiąc w sobie gorzki smak przyszłości.

Allie przesunęła się niespokojnie na twardej, drewnianej ławce. Jamie właśnie zmierzał w stronę miejsca dla świadków, eskortowany przez umundurowanego funkcjonariusza sądowego.

Kiedy usiadł na małym, ogrodzonym podwyższeniu, ze swoim wzrostem i szerokimi ramionami wyglądał jak wielkolud wciśnięty w ławkę dla przedszkolaków.

Tuż obok Allie siedziała Ellen. Trzymała synową za rękę i dociskała do jej dłoni czarny, okrągły kamyk. Wczoraj nauczyła Jamiego pewnej mantry, by odmawiał ją w domu, w sali rozpraw i w każdym innym miejscu, w którym potrzebował koncentracji.

Angus, niech Bóg ma w opiece jego duszę, spoczywał nieopodal Iana na cmentarzu w Wheelock.

Jednak Allie nie miała wątpliwości, że nad wszystkim czuwał. Wyczuła to wyraźnie, gdy spojrzała na siedzenie pasażera jego samochodu, od lat tkwiącego beczynnie w garażu, którym teraz Jamie przyjeżdżał do sądu. Allie rozejrzała się dyskretnie po sali. Na widowni zasiadali reporterzy i nieznani jej ludzie, którzy z jakichś względów byli zainteresowani toczącym się procesem. Ciekawe, czy istniało coś takiego, jak sądowi groupies - miłośnicy zagadek kryminalnych, którzy pilnie śledzili wokandy, stawiali się na wszystkich rozprawach i próbowali odgadnąć, jaki zapadnie werdykt.

Już miała skupić wzrok na miejscu dla świadków, gdzie właśnie zaprzysięgano Jamiego, gdy kątem oka pochwyciła błysk policyjnej odznaki.

Cam przeciął główne przejście między rzędami i usiadł kilka ławek za nią.

Zaczął przychodzić do sądu od dnia, gdy zeznawał lekarz Maggie. Nigdy nie skomentował swojej decyzji, w domu nie prowadzili rozmów na temat procesu - a w zasadzie w ogóle ze sobą nie rozmawiali.

Myśląc o konfiguracji widzów na sali, Allie przyrównywała ją w myślach do tradycyjnego sposobu usadzania gości na ślubach. Tutaj rodzina pana młodego, tam panny młodej, z jednej strony zwolennicy oskarżenia, z drugiej - obrony.

Codziennie tuż po wznowieniu sesji liczyła, ile osób siedzi po każdej ze stron. Jamie zazwyczaj przegrywał o kilka punktów.

Allie była pewna, że siadając na takim czy innym miejscu, ludzie nie zdawali sobie sprawy z psychologicznych uwarunkowań podjętego wyboru.

Zerknęła na Cama, pochwyciła jego wzrok, uśmiechnęła się pod nosem. Dzisiaj po raz pierwszy od czasu, gdy zaczął się pojawiać na rozprawach, usiadł po stronie stronników kuzyna. Graham był w siódmym niebie. Wprost nie posiadał się z zachwytu.

Stanął na wprost Jamiego, ale ukradkiem zerknął ponownie na przysięgłych, którzy raz po raz spoglądali na jego klienta, po czym szybko odwracali wzrok.

- Jamie, ponieważ ten fakt zaintrygował wiele obecnych tu osób, czy mógłbyś nam powiedzieć, dlaczego masz koszulę włożoną na lewą stronę?

James odchrząknął, zalał się rumieńcem.

- Mój stryj, Angus, kiedyś mi powiedział, że w Szkocji panuje pewien zwyczaj z tym przesąd: jeżeli przypadkiem ci się zdarzy włożyć coś na lewą stronę, nie zmieniaj tego, bo inaczej odwróci się od ciebie szczęście. Dzisiaj wołałem nie ryzykować.

Przysięgły noszący krawat z Myszka Miki wybuchnął głośnym śmiechem. Po widowni poniosły się chichoty. Graham położył dłoń na barierce miejsca dla świadków.

- Jamie, w imieniu wszystkich zgromadzonych na tej sali przyjmij, proszę, wyrazy współczucia z powodu śmierci, stryja.

- Dziękuję - mruknął James.
- Czy mógłbyś wyjaśnić wysokiemu sądowi, czym się zajmujesz zawodowo?

Jamie ponownie odchrząknął. Chociaż wielokrotnie przećwiczył pytania i odpowiedzi z Grahamem, nie mógł opanować zdenerwowania.

- Prowadzę własną komputerową pracownię konceptualno-projektową - odparł. - Zajmujemy się kreowaniem wirtualnej rzeczywistości.

- Wirtualna rzeczywistość? Cyberprzestrzeń? Skafandry jak z filmu sci-fi i kosmiczne hełmy?

- Mniej więcej.

Graham gwizdnął przeciągle.

- To niebywale skomplikowane technologie. Jakbyś zdefiniował wirtualną rzeczywistość?

Jamie niespokojnie poruszył się na krześle. Zastanawiał się, zresztą nie po raz pierwszy podczas tego procesu, dlaczego Graham zadaje pytania, które nie mają najmniejszego związku ze sprawą.

Ostatecznie przysięgli nie zebrali się poto, żeby debatować nad szczegółami jego kontraktu z Nintendo.

- Wirtualną rzeczywistość można określić jako Coleridge'owskie „dobrowolne zawieszenie niewiary”, czy prościej - pełną akceptację wszystkich elementów wykreowanego świata, nawet tych najbardziej fantastycznych. Na co dzień bardzo często odwołujemy się do owego „dobrowolnego zawieszenia niewiary” - na przykład kiedy czytamy jakąś powieść lub oglądamy film fabularny.

Powód, dla którego termin „wirtualna rzeczywistość” jest kojarzony głównie z komputerami, wynika z faktu, że animacje komputerowe w połączeniu ze specjalnymi przetwornikami pozwalają na zdalną obecność w cyberświecie i zanurzenie w strumieniu bodźców, pochodzących z cyberprzestrzeni.

- Jak to rozumieć?

- Że dochodzi do całkowitego odcięcia od naszego naturalnego środowiska i wchłonięcia użytkownika przez sztucznie wygenerowaną rzeczywistość. - Zamilkł, porażony implikacjami zawartymi w definicji, którą właśnie wyrecytował. Cóż za ironia losu!

Oto on, Jamie MacDonald, mistrz kreacji wirtualnych bytów, nie był w stanie wyzwolić ani siebie, ani swojej żony od uwarunkowań realnego świata.

Po zdjęciu hełmu i sensorycznego skafandra, po wyłączeniu komputera każdy musiał wrócić do punktu wyjścia.

Schował twarz w dłoniach. Zaalarmowany Graham ruszył do przodu, musi zmusić klienta do koncentracji!

- Jamie, chciałbym teraz porozmawiać z tobą o Maggie - powiedział, po czym odczekał chwilę, żeby przysięgli dobrze zapamiętali ciepły błysk, jaki natychmiast się zapalił w oczach Jamiego. - Jak długo byliście małżeństwem?

- Przez jedenaście lat.

- Jak się poznaliście?

Jamie bezwiednie się uśmiechnął.

- Czyściła sztuczny staw w parku, położonym nieopodal, mojego domu. Nie mogłem oderwać od niej oczu, zaniemówiłem w wrażenia, więc chwyciłem jedynie szczotkę leżącą na trawie i dołączyłem do Maggie.

- Dlaczego zajmowała się tym stawem?

- Ponieważ był zaniedbany i niepokoił ją los pływających po nim kaczek. To była cała Maggie. Nigdy nie pozostawała obojętna na los jakiegokolwiek stworzenia.

Na kartce leżącego przed nią bloku Audra wypisała dwa słowa: „Święta Margaret”.

- Czy wasze małżeństwo należało do szczęśliwych?

- Tak uważam. I myślę, że Maggie też tak sądziła. To znaczy, zdarzały się między nami drobne sprzeczki - o to, kto dziś posprząta łazienkę lub o debet na koncie - ale to chyba normalne w każdym związku. - Spojrzał na Pauline Cioffi, siedzącą na widowni. - Była też moim najbliższym przyjacielem. Gdy poślubiłem Maggie, nie mogłem pojąć, jak zdołałem przeżyć bez niej dwadzieścia pięć lat.

Graham oparł się nonszalancko o barierkę.

- Jakie mieliście plany na przyszłość?

Oczy Jamiego pociemniały.

- Mniej więcej rok temu stało się jasne, że niewiele mamy przed sobą tej wspólnej przyszłości. Ale zanim Maggie zapadła na zdrowiu, rozmawialiśmy o kupnie większego domu - z co najmniej dwoma łazienkami. Nie wykluczaliśmy też przeprowadzki do innego miasta. I marzyliśmy o posiadaniu dzieci. Chryste, jak myśmymy ich pragnęli. Przez pięć lat nie ustawaliśmy w wysiłkach. Maggie raz poroniła, a potem już nie mogła zająć w ciążę. Dużo później lekarze doszli do wniosku, że miało to najprawdopodobniej ścisły związek z utajoną chorobą nowotworową.

Allie poczuła się nieswojo. Przypomniała sobie baterię testów owulacyjnych, które widziała na półce z bielizną pościelową w domu w Cummington.

Gdyby Jamie i Maggie urodziło się dziecko, wydarzenia mogłyby się potoczyć zupełnie innym torem. Allie pochyliła głowę i ukradkiem spojrzała na Cama. Czy gdyby mieli potomstwo, też dopuściłby się zdrady?

- Jamie, w jaki sposób dowiedziałeś się o chorobie Maggie?

Milczał przez chwilę.

A potem zamknął oczy, odchylił głowę na oparcie krzesła i podjął swoją opowieść. Wypowiadał słowa wyraźnie i beznamiętnie, ale tak silnie zaciskał dłonie na barierce, że aż całkiem zbieleły mu palce.

Wszyscy słuchali jak zahipnotyzowani.

Nawet przysięgła numer jedenaście, która do tej pory cały czas zdawała się drzemać, siedziała niczym na rozżarzonych węglach, by przypadkiem nie zgubić wątku.

W krótkim czasie Jamie wykreował przed oczami zebranych obraz beztroskiej ślizgawki, nagłego wypadku, przygnębiającej rozmowy z lekarzem.

Słuchając kuzyna, Cam powrócił wspomnieniami do śnieżnego miasteczka Braebury, do owalu zamarzniętego stawu, do Mii.

I lodowej rzeźby.

Ponieważ w ciągu dnia zrobiło się bardzo ciepło, rzeźba zaczęła topnieć, zanim na dobre opuścili lodowisko. Kiedy Cam zarzucił łyżwy na plecy i po raz ostatni obejrzał się przez ramię, lodowy

feniks wyglądał już zupełnie inaczej niż jeszcze kilka chwil temu. Jamie umilkł i Graham zadał mu kolejne pytanie.

- Gdy doktor Wharton stwierdził, że zmiany w tkance kostnej są pochodzenia nowotworowego, jak zareagowałeś?

Jamie potrząsnął głową.

- Upierałem się, że doszło do pomyłki. To znaczy... Chyba każdy z nas widział kiedyś zdjęcie rentgenowskie. Trudno mi było zrozumieć, jakim cudem ktokolwiek jest w stanie dojrzeć na nim jakąś zmianę w strukturze kości. Patrząc na tę sytuację z perspektywy czasu, zdaję sobie sprawę, że po prostu wpadłem w panikę na dźwięk słowa „nowotwór”. Ledwo je usłyszałem, dosłownie zapało mi dech w piersiach. - Spojrzał Grahamowi w oczy. - I nie miało to większego znaczenia, że rak się rozpanoszył w ciele Maggie, a nie w moim. Atakując ją, zaatakował i mnie.

- Czy zasięgałście opinii i innych lekarzy?

- Owszem. Specjaliści z Bostonu.

Potwierdził, że zmiany w tkance kostnej to ogniska przerzutowe.

- Jamie spuścił wzrok.

- Jak na tę diagnozę zareagowała Maggie?

- Zdjął ją lek. Zamknęła się w skorupie milczenia i całkowicie ode mnie odcięła. Ale po kilku dniach doszła do siebie i wtedy oznajmiła, że chce się poddać operacji najszybciej jak to możliwe. Usunąć to paskudztwo ze swojego organizmu.

Graham skinął głową.

- I jak dalej potoczyły się wydarzenia?

- Przeszła mastektomię. Przed zabiegiem bardzo się denerwowała - była wciąż taka młoda, a czekała ją amputacja. Poza tym wyrażała obawę, że w moich oczach straci na atrakcyjności, przemieni się w zdeformowanego dziwoląga. Powtarzałem, że to dla mnie nie ma najmniejszego znaczenia i cokolwiek się stanie, nigdy nie przestanę jej kochać, ale jeżeli sama będzie odczuwała taką potrzebę, po roku może się poddać rekonstrukcyjnej plastyce piersi. Moim zdaniem Maggie tak przesadnie się koncentrowała na aspekcie estetycznym tylko dlatego, że to odwracało jej uwagę od bolesnej prawdy:

usunięcie piersi nie było równoznaczne z usunięciem nowotworu, ponieważ już się zdążył rozsiać po innych organach.

- - Mógłbyś nam opowiedzieć, jakim formom terapii poddano Maggie?

Uważnie i powoli - jakby odwijał zwoje skrywające żonę - Jamie zaczął odślaniać obraz przedstawiający etapy zmagania z rakiem. Wyjaśnił, jakie ćwiczenia musiała wykonywać Maggie, żeby wzmocnić mięśnie piersiowe i ramieniowe, okaleczone przez operację. Jednym tchem wyliczył nazwy wszystkich specyfików, stosowanych podczas chemioterapii, jakby wymieniał imiona starych, dobrych znajomych.

Przyznał, że po każdorazowym ich podaniu Maggie chwytały gwałtowne torsje - często już w samochodzie, w drodze ze szpitala, dlatego zawsze trzymał się pobocza.

Opisał szczegółowo poczekalnię pracowni radiologicznej, gdzie wysiadywały bezwłose, uśmiechnięte dzieci i kobiety o wyszarżanych twarzach z chustkami zamotanymi na głowach.

Opowiedział o tym, jak wiązka czerwonego, laserowego światła niczym sztylet przeszła źrenicę oka Maggie.

- Czy kiedykolwiek udało się doprowadzić do remisji?

- Nigdy - odparł Jamie. - W końcu doszło do tego, że walka z nowotworem była dla nas obojga pełnoetatowym zajęciem. Nie mogliśmy się na niczym innym skoncentrować, na nic innego znajdowaliśmy już miejsca w naszym życiu. Byliśmy zgranym zespołem, zjednoczonym wspólnym celem: zniszczyć to, co sprowadzało na Maggie cierpienie. Ale coraz wyraźniej przegrywaliśmy tę bitwę. Nauczyliśmy się więc na pamięć rozkładu wszystkich bocznych dróg, które prowadziły do szpitala, żeby w razie czego nie utknąć w korku. I co rano po przebudzeniu stawialiśmy przed sobą już tylko jedno zadanie - przetrwać nadchodzący dzień.

- Kiedy Maggie zrozumiała, że umiera?

James umknął w bok spojrzeniem.

- Gdy badania potwierdziły przerzut guza do mózgu. Od jakiegoś czasu cierpiała na zawroty głowy i - jak to określała - błyskawice

światła, wybuchające przed oczami. To było w czerwcu ubiegłego roku.

Poszliśmy do doktora Whartona z wynikami różnych testów - zawsze chodziliśmy do niego po testach - i wtedy zapytała wprost, czy umrze. Wharton odparł, że to nieuchronnie czeka każdego z nas, i Maggie bardzo się zirytowała.

„Proszę mnie nie traktować w tak protekcyjny sposób”, zażądała. Poderwała się z krzesła, chciała opuścić gabinet, ale zemdląła. - Jamie podniósł wzrok. - Kiedy odzyskała przytomność, Wharton przyznał, że choroba weszła w terminalną fazę, ale nie umiał określić, kiedy nastąpi najgorsze.

- Czy po wyjściu od lekarza Maggie powróciła do tematu?

- W samochodzie, w drodze powrotnej do domu, uporczywie milczała aż do czasu, gdy zaparkowałem na naszym podjeździe. Nie rozpięła pasa i nie wykonała najmniejszego ruchu, sugerującego, że zamierza wysiąść z auta. Po dłuższej chwili spojrzała na mnie i zapytała, czy wiem, jak wygląda rak. Zaprzeczyłem, a Maggie się rozpląkała. „Jest wielkim, tłustym, odrażającym władcą marionetek, który pociąga za wszystkie sznurki”, powiedziała.

Graham powiódł wzrokiem po przysięgłych.

Wyraz współczucia na wielu twarzach. Napięcie i oczekiwanie.

Kilka kobiet umknęło spojrzeniem, gdy się zorientowały, że są pod ostrzałem cudzych oczu.

- Jamie, wiemy, że w wrześniu 1995 roku Maggie poprosiła, żebyś skrócił jej życie. Czy to była pierwsza taka prośba z jej strony?

- Nie. Po raz pierwszy poprosiła mnie o to w styczniu, kiedy byliśmy na wakacjach w Quebecu.

- Jaka była twoja ówczesna reakcja?

- Powiedziałem, że nie chcę o tym słyszeć. - Potrząsnął głową. - Wiedziałem, że Maggie jest na skraju psychicznego wyczerpania, ale nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jej obrzydło życie. - Spojrzał w kąt sali, gdzie nieruchomo tkwiła pokryta kurzem amerykańska flaga. - I że może być dużo gorzej.



Cam i Allie siedzieli naprzeciwko siebie w armeńskiej restauracji, położonej w pobliżu gmachu sądu.

Dzielącą ich przestrzeń stołu wypełniały talerze z jagnięciną, tabuli, pastą z czarnych oliwek i ryżem doprawianym szafranem oraz koszyczek z chlebkami pita.

Większość potraw pozostała nietknięta.

- Może powinniśmy zabrać coś dla Jamiego? - zapytała Allie.

- Jestem pewien, że adwokat należycie o niego zadba - odparł Cam.

Oparł się o blat i spod oka obserwował żonę.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że tak gładko wyraziła zgodę na wspólny lunch. Musiał trafić na moment jej słabości, gdy wciąż jeszcze nie doszła do siebie po porannych zeznaniach Jamiego.

- Myślisz, że dobrze wypadł? - spytała z niepokojem. - Ze swoimi słowami, swoim strojem wywarł korzystne wrażenie?

Cam skinął głową.

- Cały czas obserwowałem przysięgłych. Kilka kobiet nie mogło powstrzymać łez, gdy opisywał, przez co musiała przechodzić Maggie. Uważam, że to dobry znak.

- Graham utrzymuje, że nie wolno ufać przysięgłym. W jednej chwili ci sprzyjają, w następnej wbijają nóż w plecy. Poza tym ten proces nie ma rozstrzygnąć, czy Maggie i Jamie znaleźli się w tragicznym położeniu, ale czy Jamie był w pełni poczytalny w chwili popełniania czynu.

- To akurat nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Allie posłała mu gniewne spojrzenie.

- Dzięki Bogu, że nie ty zasiadasz w ławie przysięgłych.

Cam pchnął w stronę żony trójkącik pity.

- Powinnaś coś zjeść. Gdy się na ciebie patrzy, można odnieść wrażenie, że przewróci cię byle podmuch wiatru.

- Wielkie dzięki - rzuciła sarkastycznie, ale wsunęła kawałek placka do ust. Nie spuszczała przy tym wzroku z męża: jego munduru, pasa z nabojami spoczywającego wysoko na biodrach, połyskliwej odznaki. - Wiesz. - podjęła nieśmiało - ...zawsze i wszędzie czuję

się bezpieczna u twojego boku, gdy jesteś w pełnym rynsztunku.

Cam parsknął śmiechem.

- Zdziwiłabyś się, ile osób pytało mnie dzisiaj w sądzie, jak trafić do toalety.

Wzięli mnie za umundurowanego ochroniarza.

Allie przechyliła się nad stołem i poprawiła mężowi kołnierzyk. Gdy niechcący musnęła palcami jego podbródek, przeszył ją dreszcz.

- Nie jestem pewna, czy w moim wypadku decydujące znaczenie ma mundur.

Może broń.

A może po prostu sama twoja obecność.

A może, pomyślała, gdy masz na sobie ten strój, trudno uwierzyć, że jesteś zdolny do kłamstwa i zdrady.

Opadła na oparcie i Cam instynktownie nachylił się w jej stronę. Widział, że mu się wymyka, że już ją stracił.

- Czy wiesz, że zjawili się w Wheelock jednego dnia? - powiedziała cicho. - Jamie i Mia.

- Pamiętam. Pytałem ją nawet, czy nie są znajomymi. - Serce zaczęło mu walić jak młotem, wkroczyli na niebezpieczny grunt.

Na szczęście teraz Allie nie zacznie krzyczeć.

Siedzieli w miejscu publicznym, zachowywała się więc powściągliwie i trzymała na wyciągniętej dłoni okruch zaufania, na tyle małej, żeby się zmieścił na talerzyku, na którym kelnerka przyniosła rachunek.

- Czy naśmiewaliście się ze mnie?- wyszeptwała. - Wciąż widzę was dwoje rzucających kpiące uwagi pod moim adresem.

Cam tego ranka wysłuchał rozdierającej serce historii, ale nawet zeznania Jamiego nie poruszyły go tak głęboko i boleśnie jak słowa Allie.

Znowu wrócił myślami do Mii. Kiedy przebywali ze sobą, we dwoje, po prostu nie było już miejsca dla żadnej innej osoby.

- Nie, nigdy. - Popatrzył Allie prosto w oczy. Sięgnął ponad stołem i nakrył ręką jej dłoń.

Po raz pierwszy od pamiętnego dnia pozwoliła się dotknąć.

Jej palce zatrzepotały nieznacznie, ale szybko się rozluźniły.

- Nigdy - powtórzył z promiennym uśmiechem. - Nigdy.

Po przerwie na lunch Jamie ponownie zasiadł na miejscu dla świadków i podjął opowieść o Maggie.

Graham niekiedy przerywał mu pytaniami, ale tylko po to, by odpowiednio ukierunkować narrację.

Zaczął od piętnastego września, od powrotu żony z gabinetu lekarskiego, zakończył na tym, jak podjechał pod posterunek policyjny w Wheelock i zażądał widzenia z kuzynem.

Gdy Maggie poprosiła, aby skrócił jej życie, trzymała w dłoniach czerwoną koszulkę polo.

Pudło, do którego pakowała swoje rzeczy, było już w trzech czwartych wypełnione ubraniami. Na wierzchu leżały biustonosze, które nosiła przed operacją.

Chwycił ją za rękę.

- Chcę, żebyś mnie zabił - powiedziała.

- Chyba postradałaś zmysły. Absolutnie wykluczone.

Maggie odskoczyła, polo spadło na podłogę.

Odcinało się od jasnego drewna szkarłatną plamą koloru, przywodzącą namyśl kałużę krwi.

- Jamie, nie bądź egoistą. Pozwól mi odejść.

Widział, jak jej kruche, napięte ramiona drżą z determinacji. Usiadł na skraju łóżka, a potem wypowiedział naprawdę paskudne słowa.

- Jeżeli ktoś z nas dwojga zachowuje się egoistycznie, to właśnie ty.

Odwróciła się gwałtownie i usiadła ciężko po przeciwnej stronie materaca.

Wyglądali teraz jak dwie upozowane marionetki - głowy zwieszone, dłonie na kolanach.

- Mam prawo do egoizmu - rzuciła Maggie gorzko. - To jeden z niewielu przywilejów, które mój organizm jeszcze mi pozostawił.

Jamie podniósł z ziemi czerwoną bluzkę i włożył z powrotem do szuflady. Wyciągnął z pudła biustonosze, które przesunęły mu się

między palcami niczym splątane, jedwabne wstążki. One także wróciły na swoje miejsce w szufladzie komody.

Położyli się do łóżka i zasnęli w pozycji, w której zawsze było im najwygodniej: Maggie wtulona w niego plecami, jedna jego ręka pod poduszką, druga - obejmująca zdrową pierś żony. Czasami w środku nocy dłoń się rozluźniała i opadała niżej, na wypłaszczenie pozostałe po operacji.

Następnego ranka, po przebudzeniu odkrył, że wodzi palcami po szerokiej bliźnie.

Maggie z sykiem wciągnęła powietrze.

- Sprawilem ci ból?

Obróciła się w jego ramionach.

- Owszem, ale nie taki, jak myślisz. - Spojrzała mu prosto w oczy.

Znał to spojrzenie. W duchu nazywał je spojrzeniem Meduzy, pod którym kamieniał, zatracał zdolność myślenia.

Teraz jednak jej oczy nagle się rozszerzyły i zasnuły mgłą. Nie była w stanie nic więcej powiedzieć, zawładnął nią ból.

Nie miał pojęcia, co by czuł, gdyby kładł się wieczorem do łóżka niepewny, czy rano się obudzi.

Gdyby patrzył w lustro i widział zapadnięte oczy, placki łysiny na głowie i bliznę o poszarpanych brzegach w miejscu, gdzie kiedyś była pierś - a przy tym dziękował Bogu, że wciąż jeszcze stoi na własnych nogach i wyraźnie widzi swoją twarz.

Wiedział natomiast, jak to jest, gdy co wieczór całuje się żonę na dobranoc, ale tak naprawdę jest to milczące pożegnanie, bo przecież niewiedomo, co się przez noc wydarzy.

Pożegnanie, którego nie można ująć w słowa, by nie podsycać w ukochanej kobiecie strachu.

Wiedział, co to znaczy budzić się przed świtem i sprawdzać, czy ona jeszcze oddycha.

I czym jest straszliwe zmęczenie, zmuszanie się każdego dnia do wykrzesania z siebie choćby odrobiny wysiłku.

To on w końcu odezwał się pierwszy.

- Dlaczego po prostu nie łykniesz całego zapasu swoich tabletek przeciwbólowych? Osobiście ci je podam. I nie zadzwonię potem po pogotowie.

W ciemności nocy, przy akompaniamencie domowych, dobrze znanych dźwięków, nawet rozmowa o śmierci nie wydawała się straszna. Maggie przycisnęła rękę do jego piersi, zrobiła to po omacku, ale i tak trafiła dokładnie w to miejsce, gdzie biło serce, jak gdyby nigdy w życiu nie wypuszczała tego serca z dłoni.

- Chcę, żebyś mnie dotykał - powiedziała.

- Chcę wyraźnie czuć na sobie twoje dłonie, gdy nadejdzie śmierć. - Przeturlała się na brzuch i podparła na łokciach.

Perspektywa zapanowania nad procesem własnego umierania dodała jej oczom blasku, uśmiechowi - pogody.

- Zrób to teraz, zaraz - poprosiła. - Zanim zdążysz się rozmyślić.

Jamie odwrócił się do żony plecami, teraz nie chciał na nią patrzeć.

- Jasne - warknął. - Już lecę po pistolet, żeby palnąć ci w tył głowy. Albo zacisnę dłonie na twojej szyi i będę tak długo potrząsać, aż trzaśnie kręgosłup.

Był szokująco brutalny, zdawał sobie z tego sprawę. Ale nie miał pojęcia, jak inaczej mógłby ją sprowadzić do rzeczywistości.

Maggie objęła go mocno ramionami.

- Poduszka - szepnęła. - To nie będzie bolało.

Milczał tak długo, aż pomyślała, że zasnął.

Świt zamajaczył już nad horyzontem, kiedy się w końcu ku niej odwrócił i mocno do siebie przycisnął.

- Chcę spędzić z tobą jeszcze ten jeden weekend - powiedział, czując mdłości na myśl, jakiego właśnie dobija targu. - I to ja wybiorę miejsce oraz czas.

Maggie ochoczo się zgodziła.

Jamie odepchnął ją od siebie, pobiegł do łazienki i zwymiotował.

W sobotę przed południem zabrali z lodówki wszystko, co się nadawało do jedzenia, i urządzili sobie piknik na dachu. Rozłożyli się nad mansardą, dobudowaną z tyłu domu, żeby na klatce schodowej nie było żadnych, ograniczających przestrzeń skosów. Kiedy już się wygodnie usadowili, zobaczył ich Bud Spittleck, który właśnie

wyszedł po gazetę. Przykazał, żeby się mieli na baczności, bo inaczej pospadają. Odruchowo Jamie mocniej przytulił Maggie, siedzącą mu na kolanach.

- Jakbym spadła, zapewne skrzyłabym kark - zachichotała. - Tylko pomyśl, ile w ten sposób zaoszczędziłabym ci zachodu.

Oboje wybuchnęli szaleńczym śmiechem, aż nagle do nich dotarło, z czego tak naprawdę się śmieją.

Wówczas umilkli raptownie i mocniej przywarli do siebie. W końcu Jamie zapytał, co następnie chciałyby robić. Odparła, że musi się zająć porządkowaniem i pakowaniem swoich rzeczy, ale zdołał ją przekonać, że nie w taki sposób powinna spędzić ostatnie dni.

- Zróbmy więc coś, czego jeszcze nigdy nie robiłam - zdecydowała, a on zachodził w głowę, co by to mogło być.

Wypożyczenie pornograficznego filmu?

Skok z samolotu ze spadochronem?

Wypad na Florydę?

Zdecydowała, że chce iść do kina i pieścić się w ostatnim rzędzie jak para nastolatków.

Jamie nie zapamiętał tytułu filmu, na który się wybrali - ale to był zupełnie nieistotny szczegół.

Rozpięła mu koszulę, wsunęła rękę pod pasek dżinsów i po chwili doszedł w jej dłoni, podczas gdy obrazy filmu odbijały od jej skóry niebieskim i zielonym blaskiem.

Tego wieczoru zjedli kolację w eleganckiej restauracji w Lenox, a potem jeździli wokół miasteczka, podążając trop w trop za księżycem. Pod wpływem impulsu, ponieważ byli elegancko ubrani, zakradli się na wesele ludzi, których nigdy przedtem nie widzieli na oczy. Maggie krztusiła się ze śmiechu na widok Jamiego, ucinającego sobie dziesięciminutową pogawędkę z ojcem panny młodej. Tańczyli jitterbuga - doskonale opanowali ten taniec podczas letniego kursu, na który zapisała ich Maggie, wirowali i twistowali, aż na przedzie jej sukienki wykwitło duże, mokre T, dopiero wówczas spostrzegli, że wszyscy inni stoją wkoło i entuzjastycznie ich oklaskują.

Potem pojechali samochodem w stronę wzgórz Berkshire, zatrzymali się pod jedną z przełęcz i tam przespalili kilka godzin.

Gdy się obudzili, dolinę zalewało słoneczne światło barwy różowego wina.

Wciąż ubrani w garnitur i jedwabną sukienkę, zaczęli boso chodzić po trawie u stóp wzniesień i poszukiwać czterolistnych koniczynek oraz wiesiołków, strzygących delikatnymi szypułkami, a także wypatrywać gładkich, płaskich kamieni idealnych, by po nich skakać.

W końcu wrócili do domu z ogorzałymi twarzami i razem weszli pod prysznic.

Usiedli pośrodku łóżka i patrzyli na wschodzące gwiazdy.

W poniedziałek, gdy już praktycznie wychodzili z domu, Maggie chwyciła Jamiego za rękę i zaciągnęła na górę, do sypialni. Zdarła z niego ubranie, a potem padli we dwoje na łóżko i kochali się zagozale, co w innej sytuacji byłoby obietnicą kolejnych uniesień.

Gdy przyjechali do Wheelock, Jamie zatrzymał się na chwilę przed domem kuzyna, którego adres znalazł w książce telefonicznej, a położenie zlokalizował z pomocą planu miasta, zakupionego na lokalnej stacji benzynowej.

- On mnie otoczy opieką - powiedział do żony, gdy zaparkowali po przeciwnej stronie ulicy. - Jesteśmy przecież rodziną.

W tym momencie po raz pierwszy dotarło do Maggie, że Jamie będzie musiał ponieść konsekwencje swojego czynu.

- Co się potem stanie? - spytała.

Jamie się uśmiechnął.

- Gdy ciebie zabraknie, to nie będzie miało już żadnego znaczenia.

Maggie była wyczerpana i zboląła.

Chociaż regularnie zażywała oksykodon, nadzwyczajna intensywność doznań powoli dawała jej się we znaki.

Dlatego większość dnia spędzili w pokoju, wynajętym w Wheelock Inn.

Wieczorem popijali szampana prosto z butelki, a Maggie wyjadała z pizzy plasterki pepperoni.

- Powinieneś się ponownie ożenić - oznajmiła nieoczekiwanie. - Byłbyś fantastycznym ojcem.

Myśl, że mógłby się związać z kimś innym niż Maggie, była niedorzeczna, Jamie jednak postanowił zachować tę opinię dla siebie.

- CHCĘ, żebyś się ponownie ożenił - nie dawała za wygraną.

Jamie zerknął na nią spod oka.

- Już wystarczy tych prośb, nie sądzisz?

- Jeszcze kiedyś się zakochasz - oznajmiła pewnym siebie tonem. - A wówczas będziesz mi wdzięczny za tę rozmowę.

Jamie podszedł do okna, za którym Wheelock zamierało, szykował się na przyjęcie nocy.

- Już nigdy nie spotkam kogoś takiego jak ty.

- Mam nadzieję - zaśmiała się Maggie. - Chcę wierzyć, że byłam jedyna w swoim rodzaju.

- Byłaś - odparł, odwracając się w jej stronę.

Dopiero wówczas uświadomił sobie, że już się posługują czasem przeszłym.

- Jesteś.

Znowu się kochali - tym razem bardzo powoli. Jamie zbudził się w środku nocy, gdy przycisnęła zimne stopy do jego nóg.

- Chcesz wiedzieć, kiedy to się stanie? - wyszeptał w jej włosy.

- Czy wolałabyś, żebym to zrobił, jak będziesz pogrążona we śnie?

- O, nie - mruknęła Maggie, przysuwając usta do pulsującego miejsca u podstawy jego szyi. - Chcę się przedtem należycie pożegnać.

Tuż zanim do tego doszło, całowała go namiętnie.

Wsunęła palce w jego włosy i pociągnęła tak mocno, aż do oczu napłynęły mu łzy.

„Ja bym to dla ciebie zrobiła”, zapewniła żarliwie, a Jamie skinął głową.

Wiedział jednak, że nigdy by jej o coś takiego nie poprosił.

Nie mógłby dobrowolnie jej opuścić.

O 7:32 położył na twarzy żony poduszkę, na której spał minionej nocy.

Maggie chwyciła go za nadgarstek i odchyliła miękki róg. „Pachnie tobą”, powiedziała z uśmiechem.

O 7:38 było już po wszystkim.

Jamie skończył opowieść.

Powietrze w sali rozpraw zdało mu się niezwykle suche i dziwnie szkliste. Bał się, że gdy tylko zmieni pozycję, wszystko wokół roztrzaska się na kawałki.



Graham położył rękę na jego ramieniu.

- W porządku? - wyszeptał.

Jamie skinął głową.

- Czy z tobą walczyła? - zapytał na głos.

- Tak - przyznał. - Przez krótką chwilę.

- Dlaczego wtedy nie zrezygnowałeś?

„Bez względu na wszystko nie wolno ci przerwać”.

- Ponieważ mi zabroniła - odparł Jamie. - Wcześniej przewidywała taką ewentualność.

- Mówisz, że zabiłeś ją około 7:30 rano. Na policji zjawiłeś się dopiero wczesnym popołudniem. Dlaczego?

Jamie przywołał z pamięci obraz Maggie leżącej na łóżku w hotelowym pokoju.

Przykrył ją prześcieradłem pod samą szyję, a potem usiadł na krześle po przeciwnej stronie pokoju, zgarbiony, z łokciami na kolanach. Wpatrywał się w nią i czekał.

- Wyglądała, jakby spała głębokim snem. - Spojrzał na Grahama. - Pomyślałem, że jeżeli dam jej trochę więcej czasu, może się obudzi.

Tej nocy Allie śniła o dniu, w którym straciła dziewictwo. A ponieważ to był sen, zmieniła bieg wydarzeń, żeby potoczyły się tak, jak sobie od początku wymarzyła.

A więc przede wszystkim Cam jeszcze przed faktem zorientował się w sytuacji i stwierdził, że decyzja należy do niej. Jego „Jesteś pewna?” wypowiedziane chrapliwym, pełnym pożądania głosem było przez nią hołubione niczym najcenniejszy skarb - podobnie jak żar bijący od jego dłoni i muśnięcia warg.

Potem ona jednym krótkim słowem zdołała sprawić, że świat zatrzymał się dla nich obojga, co w prawdziwym życiu nigdy jej się nie udało. „Tak!” jęknęła, gdy poczuła dotyk Cama na swojej skórze. „Tak! Tak!” szeptała raz za razem.

Obudziła się, drżąc i obejmując mocno ramionami. Nie chciała śnić o Camie, w ogóle nie chciała o nim myśleć.

Chociaż wcześniej się łudziła, że to wkrótce przeminie, nie mogła się uwolnić od wizji męża w ramionach innej kobiety.

Czy przebaczyć jest łatwiej, niż zapomnieć?

Usiadła gwałtownie na łóżku, przy okazji zrzucając z siebie kołdrę. A potem wstała i zeszła na parter.

Wyrwany ze snu Cam wyczuł jej obecność, jeszcze zanim zobaczył ją stojącą kilka stopni nad podestem, w białej koszuli nocnej jaśniejącej w blasku księżyca.

- Możesz przyjść na górę - oznajmiła i zawróciła w stronę sypialni.

- Jeżeli chcesz - dorzuciła przez ramię.

Wydawało jej się, że jeszcze nigdy nie słyszała równie cudownego dźwięku jak jęk materaca, gdy Cam się kładł po swojej stronie łóżka. Przynęła się do niego nieznacznie z rękami wciąż skrzyżowanymi na piersi.

Oboje przez dłuższą chwilę wpatrywali się w sufit, jakby mogli przebić wzrokiem dach, na który napierała lodowata noc.

Cam nie wychwytywał żadnych znanych mu sygnałów. Zaprosiła go na górę, ale nie miał pojęcia, czy powinien jej dotknąć, czy raczej błagać o przebaczenie, a może po prostu cieszyć się w cichości ducha tą drobną koncesją ze strony Allie i ciepłem bijącym od jej ciała, ogrzewającym jego bok, pomimo dzielącej ich odległości.

- Nie mogłaś zasnąć?- zapytał.

- Nie. A ty?

- Spałem jak zabity, zanim zeszłaś na dół.

Drgnęła nerwowo.

- Nie wiedziałam. Nie chciałam cię budzić.

Dostał erekcji. Była to naturalna reakcja na bliskość żony, zapach jej skóry i szamponu do włosów.

- Dobrze, że to zrobiłaś. Zdecydowanie wolę być tutaj niż na kanapie.

Odwróciła się w jego stronę. Cam dostrzegł zarys jej zaciśniętych ust, niespokojny błysk w oku.

- Muszę coś wiedzieć - powiedziała. - Czy była razem z tobą w tym pokoju? W tym łóżku?

Cam powrócił w myślach do owego weekendu, gdy Allie po raz pierwszy wyjechała do Cummington.

Mignął mu przed oczami obraz Mii z ręcznikiem na mokrych włosach, siadającej na materacu w miejscu, w którym teraz leżała jego żona.

I doszedł do wniosku, że w tym wypadku szczerłość nie byłaby pożądaną cnotą.

- Nie - skłamał.

Tymczasem Allie przesunęła się na sam skraj łóżka, bo niespodziewanie odniosła wrażenie, że między nią a mężem leży teraz Mia.

W tej chwili o niej myślał, to było dla Allie równie oczywiste, jak brzmienie własnego imienia.

I ona sama ponosi za to winę, bo w swojej głupocie przypomniła mu o Mii.

O jej śmiechu. Fiołkowych oczach.

Zręcznych dłoniach, zdolnych wyczarowywać nieziemskie kształty. Allie chwyciła kurczowo za brzeg materaca, żeby nie spaść na podłogę. Czuła taki napór niewidzialnego ciała drugiej kobiety, że aż nie mogła oddychać.

Przypomniała sobie o kowboju z baru „Rodeo Joe”. Już miała na końcu języka słowa wyznania, które rzuci Camowi w twarz. Spojrzył mu prosto w oczy i powie: „Wiesz co? Ja też się rznęłam z kimś innym”. Jego rysy wówczas stężeją w wyrazie szoku, bólu i niedowierzania, a ona zapyta: „I jak się z tym czujesz?”

Doprawdy?

Więc teraz już wiesz, co to znaczy”.

Nagle jednak zrozumiała, że tego nie zrobi. Zdrada, której się dopuściła, to as w rękawie, którego nie zmarnuje na tanią, mściwą zagrywkę.

Zachowa ten sekret dla siebie, może umieści w tym samym miejscu, gdzie od ponad tygodnia tkwił węzeł bólu i gniewu – mniej więcej w okolicy serca. Być może nigdy się do niego nie odwoła, ale zawsze będzie miała świadomość, że istnieje, niczym tajemny kryształ, kryjący się w jej wnętrzu.

Dzięki temu, jeżeli pewnego razu wyrzuci z siebie całą wściekłość i gniew, nie będzie się czuła kompletnie pusta w środku.

Na tę myśl ogarnęło ją poczucie mocy. Spostrzegła, że Cam próbuje wykonać wobec niej jakiś inicjujący gest - po raz pierwszy w życiu! - i postanowiła spotkać się z nim w pół drogi.

Przesunęła się nieznacznie ku mężowi i wsunęła dłoń pod jego T-shirt.

Chwilę później Cam już się nad nią nachylał. Objął dłońmi jej twarz, całował usta, szyję, zamknięte powieki. Czuł się tak, jakby najpotężniejszy monarcha świata udzielił mu audiencji, jakby sekretne bractwo zaprosiło do kręgu wtajemniczonych.

Jego ciało pragnęło zatopić się we wnętrzu Allie, ale po raz pierwszy od miesięcy przeważył rozum. Cam odsunął od siebie požądanie, przycisnął głowę do piersi żony.

Instynktownie przygarnęła go do siebie i zaczęła przesiewać między palcami pasma gęstych, rudych włosów.

Jego natomiast zdjął potworny lęk na myśl o tym, do czego o mały włos doprowadził.

Nie chciał utracić Allie, bo wraz z nią utraciłby poczucie własnej tożsamości.

- Wybacz - wyszeptał.

Jego łzy poznały skórę żony.

- Tak mi przykro.

Audra Campbell już od dłuższego czasu szykowała się na to starcie.

Pomimo wczesnej pory wyglądała podejrzanie rześko i James obrzucił ją nieufnym, czujnym spojrzeniem, gdy zdecydowanym krokiem zmierzała w stronę miejsca dla świadków.

- Panie MacDonald, czy mnie pan zabije, jeżeli o to poproszę?

Jamie zerknął na Grahama.

Adwokat nieznacznie skinął głową, jakby chciał przypomnieć swojemu klientowi, że musi udzielać odpowiedzi na każde pytanie, choćby najbardziej niedorzeczne.

- Naturalnie, że nie.

- Dlaczego?

Rozłożył ręce, wzruszył ramionami.

- Ponieważ pani nie znam.

- A! Więc pan zabija jedynie znajomych sobie ludzi?

Jamie ściągnął brwi.

- Śmierć Maggie jest osadzona w konkretnym ciągu wydarzeń. Zabiłem ją z miłości.
  - Ooo!
  - Audra wypowiedziała tę zgłoszkę w taki sposób, jakby właśnie dokonała wiekopomnego odkrycia.
  - Więc zabija pan tylko tych, których kocha. - Przestała krążyć po sali i zwróciła się do Jamiego twarzą.
  - Cofnijmy się do stycznia ubiegłego roku, do wakacji w Quebecu. Czy to właśnie wtedy zdecydował pan, że zamorduje żonę?
  - Nie.
  - Czyż nie jest prawdą, że przez wiele miesięcy planował pan tę zbrodnię?
  - Nie - powtórzył Jamie.
  - W stosunkowo krótkim czasie stan pańskiej żony uległ znacznemu pogorszeniu, prawda?
- Jamiego zaskoczyła nagle zmiana tematu. Ale Graham uprzedzał, że Campbell zastosuje taką taktykę, żeby wybić go z rytmu, spowodować do wypowiedzenia słów, które potem będzie mogła wykorzystać przeciwko niemu.
- Zgadza się.
  - Proszę o kilka przykładów.
  - Pojawiły się napady ślepoty. Uporczywe migreny o dużym natężeniu bólu. Problemy ze stawami, głównie biodrowymi. Maggie schudła o piętnaście kilo i bardzo szybko się męczyła.
  - Czy faktem jest, że rachunki za opiekę medyczną narastały w astronomicznym tempie?
  - To naturalne - odparł Jamie. - Leczenie jest kosztowne. Ale swego czasu wykupiliśmy wysokie ubezpieczenie zdrowotne.
  - A gdy już jesteśmy przy tym temacie, panie MacDonald, czy pańska żona miała polisę na życie?
  - Tak - odparł Jamie cicho.
  - Na jaką opiewała kwotę?
  - Sześćdziesiąt tysięcy dolarów.
  - Kto został ustanowiony beneficjentem na wypadek śmierci?

Jamie spojrział Audrze prosto w oczy. Za nic w świecie nie przybierze miny winowajcy.

- Ja.

Audra przymierzała się do zadania śmiertelnego ciosu.

- Czy prawdą jest, że kobieta, jaką stała się pańska żona na skutek choroby, nie była już tą samą osobą, którą pan poślubił i chciał mieć u swojego boku?

Jamie zaniemówił z wrażenia. Czyżby Campbell miała szczególny dar czytania w myślach grzeszników?

- W żadnym razie - zaprzeczył o ułamek sekundy za późno. - Nic podobnego.

- Na dwa dni przed śmiercią zabrał pan żonę na kolację do restauracji. Czy właśnie wtedy postanowił pan ją zabić?

- Nie - odparł stanowczym tonem.

- A może podjął pan tę decyzję, gdy zbieraliście kwiaty na łące?

- Nie.

- W takim razie tuż przed wyjazdem do Wheelock?

- Nie! - zagrzmiął Jamie, zaciskając ręce z całej siły na barierce, by zachować resztki samokontroli.

Tylko w ostatniej chwili się powstrzymał od poderwania z krzesła. Resztę odpowiedzi wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Nie postanowiłem jej zabić. Ani przed przyjazdem do Wheelock, ani później. To Maggie podjęła tę decyzję.

Aż bał się spojrzeć na Grahama. Adwokat nieustannie kładł mu w głowę, że podczas przesłuchania za wszelką cenę musi zachować spokój.

„Campbell zrobi wszystko, co w jej mocy, żebyś w oczach przyśięgłych wyszedł na impetyka zdolnego do przemocy”, ostrzegał. „Żeby doszli do wniosku, że owej nocy cię poniosło”.

Po chwili zerknął jednak w stronę stołu obrony. Graham siedział z pochyloną głową i podpierał czoło dłonią, jakby był bardzo zmęczony.

Audra posłała w stronę Jamiego protekcyjny uśmiech.

- Załóżmy przez moment, że zmarła rzeczywiście prosila pana

o zadanie śmierci. Jednak tuż przed zgonem zmieniła decyzję, czyż nie?

- Nie bardzo pojmuję.
- Nie zaczęła walczyć? Nie rozorała panu twarzy paznokciami?
- Tak, ale...

- To był chyba dość jasny komunikat. – weszła mu gładko w słowo - ...wziąwszy pod uwagę fakt, że pańska żona miała zatkane usta i w żaden inny sposób nie mogła wyrazić swojej woli? Dlaczego wówczas pan tego nie przerwał?

Jamie przebiegł szybko wzrokiem przez twarze przysięgłych, jakby próbował odszukać wśród nich zaginionego przyjaciela.

- Wyraźnie mi tego zabroniła. Obiecałem, że się nie złamię.

- Obiecał pan - obracała te słowa w ustach jak landrynkę. - A czyż biorąc z nią ślub, nie obiecywał pan również, że jej nie opuści ani w zdrowiu, ani w chorobie?

Wyniosłym krokiem ruszyła w stronę stołu oskarżenia, zanim Graham zdążył się podnieść i zgłosić sprzeciw.

- Nie mam więcej pytań.

Ledwo Cam otworzył oczy, wyciągnął rękę w stronę żony, ale dłoń trafiła jedynie na gładką, pustą przestrzeń prześcieradła. Usiadł i zmierzwił palcami włosy. Prawdopodobnie była w kuchni i szykowała dla niego śniadanie. Pociągnął nosem, oczekując, że dolecą go apetyczne zapachy, ale poczuł tylko nikłą woń olejku różanego, który Allie dodawała do prania pościeli.

Poszedł do łazienki i wyszorował zęby. A potem zaczął się przyglądać swojej twarzy w lustrze.

W nocy spał z żoną. To był akt usankcjonowany przez Boga i prawo, który powinien przywrócić porządek rzeczy.

Cameronowi jednak nie przyniósł ulgi.

Wręcz przeciwnie - obudził się z ciężkim bólem głowy, szarpany dwoma sprzecznościami: wiedział, że będzie kochał Mię do końca życia, wiedział też, że to życie spędzi u boku Allie.

I choćby niewiadomo jak się wysilał, nie rozwiąże zaistniałego dylematu - te dwa kawałki puzzla nigdy nie złożą się w całość.

Postanowił za wszelką cenę ratować swoje małżeństwo głównie dlatego, że nie mógł być z Mią, ale musiał też szczerze przyznać, że nigdy do końca nie przestał darzyć uczuciem Allie.

W pewnym sensie marzył nawet o tym, by jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie i powrócić do dawnego życia.

Problem w tym, że kiedy wczoraj zbliżył się do żony, spostrzegł, że stała się kimś całkiem mu nieznanym.

Wyglądała identycznie, była taka sama w dotyku, ale otaczała ją aura niezwykłej pewności siebie, co z kolei kompletnie zbiło Cama z tropu.



A właściwie go zdołowało.

Przez wiele lat żona była jedynym stałym punktem odniesienia w jego życiu. Dlatego chciał, żeby dawna Allie powróciła.

Żeby znowu spozjrzała na niego takim wzrokiem, jakby to on stworzył słońce, bo wówczas zyskałby pewność, że przynajmniej pod pewnymi względami jest nadal wartościowym człowiekiem - przynajmniej w jej oczach.

Włożył spodnie od dresu i zbiegł na parter. Weźmie prysznic po śniadaniu.

Może zdoła nakłonić Allie, żeby zrobili to razem, chociaż jakiś cichy głos podpowiadał, że trudniej będzie się godzić w jasnym świetle dnia niż w mroku nocy, który pozwala łatwiej zapomnieć o bólu.

- Allie! - Zajrzał do kuchni i do salonu. Spozstrzegł brak torebki i kluczyków do samochodu.

Nie zostawiła dla niego żadnej wiadomości. Przypomnił sobie, jak tuż po ślubie zaczęła pisać liściki informujące, gdzie się w danej chwili znajduje, żeby zawsze mógł ją znaleźć. „Ależ to absurd - tłumaczył. Kiedy wrócę do domu i ciebie nie zastanę, to oczywiście, że w pierwszej kolejności zajrzę do ogrodu. Nie musisz mi pisać, że tam jesteś”. Allie jednak uparczywie trzymała się tego zwyczaju. „Chciałabym, żebyś ty też tak postępował”, przyznała pewnego razu. On nigdy w życiu nie zostawił jej notki z wyjaśnieniem, dokąd się wybiera i kiedy wróci.

Był policjantem, niepokonanym mocarzem, nic złego nie mogło mu się przytrafić.

Zdarzało się, że zaniepokojona Allie dzwoniła do dyspozytora, prosząc o informacje o mężu, który dawno skończył służbę, a nie dawał znaku życia, w tym samym czasie Cam był na spacerze wokół jeziora albo przejeżdżał przez przełęcz drogą wiodącą do Nowego Jorku, żeby odreagować po ciężkim dniu.

Allie powtarzała, że troszczy się o jego bezpieczeństwo, on utrzymywał, że histeryzuje.

Żałował, że teraz nie zostawiła mu żadnego liściku. Wrócił na górę i odkręcił gorącą wodę w prysznicu. Pozwolił, aby łazienkę wypełniła tak gęsta para, że nawet nie był w stanie dojrzeć własnej ręki dosuniętej do twarzy.

Czekając pod salą sądową na wezwanie, Harrison Harding sporządził dla Grahama krótkie, zwarte charakterystyki przysięgłych na niewielkiej kartce, którą wręczył adwokatowi tuż przedtem, zanim zasiadł na miejscu dla świadków jako ekspert w dziedzinie psychiatrii.

Podczas gdy odbywało się zaprzysiężenie, Graham przebiegł szybko wzrokiem treść notatki.

„Przysięgły nr 2: stateczny, zrównoważony, może stanowić problem.

Przysięgły nr 3: nerwowy tik w lewym oku, konserwatywny, niezdecydowany.

Przysięgła nr 5: fantazyjnie farbowana bluzka, chyba najprzychylniej usposobiona do oskarżonego.

Przysięgły nr 7: dredy, zdolny do trafnych osądów, bardzo zaangażowany.

Przysięgła nr 11: fatalnie ufarbowane włosy, wysoce neurotyczna, nieprzewidywalna”.

Graham cierpliwie i z wyjątkową pedanterią wypytał doktora Hardinga o kwalifikacje i doświadczenie zawodowe – jedynie po to, aby przysięgłym głęboko zapadło w pamięć, że mają przed sobą specjalistę najwyższej klasy.

- Jak długo prowadzi pan własną praktykę, doktorze? - To było pierwsze rzeczowe pytanie, zadane w tej sali od chwili, gdy Jamie opuścił miejsce dla świadków.

- Od siedemnastu lat.

Graham odczekał moment, żeby przysięgli dobrze przyswoili sobie tę informację.

Byli dzisiaj niespokojni i rozkojarzeni.

Od czasu do czasu jeden lub drugi z nich rzucał oskarżycielskie spojrzenia w stronę Jamiego lub zerkał na niego z ciekawością, jak zniósł wczorajsze przesłuchanie przez Audrę.

- Zeznawał pan już kiedyś w sądzie, doktorze?

- Wiele razy - odparł Harding, starannie składając dłonie na kolanach.

- Czy zechciałby nam pan opowiedzieć o swoich kontaktach z Jamesem?

Harding zawiesił uważny wzrok na Jamie, jakby próbował odczytać jego myśli i z nich wyczytać treść rozmów, które prowadzili.

- Jamie jest introwertykiem, niechętnie otwierającym się przed ludźmi. Podczas naszych sesji opowiadał głównie o swojej żonie, Maggie. Wziąwszy pod uwagę, jak drobiazgowo i emocjonalnie opisywał żonę, należy wnosić, że ich związek był siłą napędową w jego życiu i pomagał w określeniu własnej tożsamości. W moim przekonaniu w wypadku Jamiego mamy do czynienia z dwoma problemami natury psychicznej. Po pierwsze z tak zwaną fuzją - czyli nadmiernym utożsamianiem się z inną osobą. W tym konkretnym wypadku z żoną. Ilekroć Jamie patrzył na cierpienia Maggie, sam również odczuwał ból. Miejsce współczucia - które w analogicznej sytuacji budziłoby się w każdym z nas - zajmowało współodczuwanie, empatia tak głęboka, że aż manifestująca się na poziomie somatycznym. Stąd, zabijając żonę, kładąc kres jej cierpieniom, kładł też kres cierpieniom własnym. Dodatkowo Jamie padł ofiarą epizodu psychotycznego, wywołanego głębokim, przedłużającym się stresem.

- Czy mógłby nam pan wyjaśnić, kiedy mówimy o epizodzie psychotycznym?

- Gdy w pewnym, krótkim okresie człowiek zaczyna się zachowywać w sposób zdecydowanie odbiegający od normy. Wiąże się to często z chwilową utratą pamięci, zniekształconym postrzeganiem rzeczywistości, niekiedy z omamami. Innymi słowy, osoba w takim stanie nie zdaje sobie sprawy z tego, co się wokół dzieje, nawet jeżeli sama jest sprawcą zachodzących wydarzeń.

- Czy w pana opinii Jamie jest obecnie zdolny do rozróżnienia dobra od zła?

- Tak.

- A czy był do tego zdolny w okresie bezpośrednio poprzedzającym śmierć żony?

- Nie.

- Dlaczego?

Harding założył nogę na nogę.

- Jamie od dłuższego czasu był skazany na niewyobrażalną traumę, co upośledziło jego zdolność logicznego rozumowania, a więc rozważenia w kategoriach racjonalnych prośby wyrażonej przez

zonę. Osoby, które żyją pod jednym dachem z małżonkiem cierpiącym na terminalną, chorobę, popadają w stany głębokiej depresji i w konsekwencji mają problem z trafnym osądem sytuacji. Ujmując to kolokwialnie, Jamie nie zniósł ciśnienia. W mojej opinii, gdy zabijał żonę, nie był świadomy pełni konsekwencji swojego działania.

Graham podziękował Hardingowi i przekazał świadka do dyspozycji oskarżenia.

Audra podniosła się z krzesła, przytknęła palec do ust i uważniej spojrzała na psychiatrę. Chwilę później rozpromieniła się w uśmiechu.

- Doktor Harding! - wykrzyknęła, jakby właśnie spotkała dawno niewidzianego przyjaciela. - Gdzie to ja już się zetknęłam z pańskim nazwiskiem? Czy nie w artykule opublikowanym w „Timie”? Przy okazji sprawy Kevorkiana?

Harding wprost napęczniał z dumy - wypiął pierś i jakby nagle urósł.

- Zgadza się - odpowiedział. - W listopadzie ubiegłego roku.

Audra pokiwała głową w sposób sugerujący, że jest pod wielkim wrażeniem osoby lekarza.

- Czy to prawda, że zeznawał pan w wielu sądowych sprawach, niejako w roli adwokata prawa do śmierci?

- Owszem.

- A więc nie można wykluczyć, że wyrażona przez pana ocena czynu popełnionego przez oskarżonego jest wyrazem pańskiego osobistego poparcia dla kryjącej się za nim filozofii?

Harding sprawiał teraz takie wrażenie, jakby nagle uszło z niego powietrze.

- Ależ skąd. W żadnym razie.

- Nie mam więcej pytań.

Audra usiadła za swoim stołem i posłała Grahamowi pełen satysfakcji uśmiech.

Graham podniósł się ze znużeniem i położył dłoń na ramieniu Jamiego.

Sam nie umiałby powiedzieć, czy był to gest poparcia dla klienta, czy raczej prośba o wsparcie.

- Obrona kończy prezentację materiału dowodowego - oznajmił.

Cam postanowił przynieść żonie kawę.

Kiedy zmierzał w jej stronę, była pogrążona w rozmowie z teściową, zwrócona do niego plecami, a mimo to, kiedy położył dłoń na jej ramieniu - natychmiast zeszywniała.

Ellen zerknęła na syna, pospiesznie dokończyła zdanie i oznajmiła, że musi iść do toalety.

- Tęskniłem do ciebie dziś rano - powiedział Cam.

Czuł się idiotycznie.

Był zdenerwowany i drżały mu ręce.

Allie skinęła głową. Pociągnęła łyk gorącego napoju, rejestrując w duchu, że mąż dodał cukru, a ona nigdy, przenigdy nie sładziła kawy.

- A więc to już praktycznie koniec - powiedział, strzelając oczami w kierunku sali rozpraw.

- O, nie. Jeszcze trochę potrwa. Graham twierdzi, że prokuratura wezwie własnego psychiatrę.

Cam skinął głową. Osobiście współczuł Jamiemu, ale nie miał ochoty teraz o nim rozmawiać.

- Żałujesz tego, co się wczoraj stało? - spytał niskim głosem.

Allie spojrzała na męża szeroko rozwartymi, czystymi oczami koloru dębowego drewna.

- Kocham cię, Cam - wyznała. - Ale nadal nie bardzo cię lubię.

Oskarżenie powołało na świadka Ranaoke'a Martina.

Graham obrzucił stanowego psychologa uważnym spojrzeniem, gdy po stopniach wchodził na miejsce dla świadków, a potem kładł dłoń na Biblii. Niemrawy krok, jakim szedł przez salę, i szczególne pochylenie głowy jasno wskazywały, że wolałby być teraz w zupełnie innym miejscu.

Wypytawszy Martina o kwalifikacje, Audra od razu przeszła do konkretów.

- Kiedy spotkał się pan z oskarżonym?
- Stała dokładnie naprzeciwko świadka, zasłaniając go przed wzrokiem Grahama.
- Dziewiętnastego grudnia ubiegłego roku.
- Zechce nam pan przedstawić swoją opinię dotyczącą jego zdrowia psychicznego?
- Feralnego dnia oskarżony bez wątpienia był zdolny do odróżnienia dobra od zła, i ani na moment nie zatracił kontaktu z rzeczywistością.

Audra sucho skinęła głową.

- Doktorze, czy według pana, jako specjalisty, oskarżony w noc zabójstwa zdawał sobie sprawę, że dociśnięcie poduszki do czyjejś twarzy spowoduje odcięcie dopływu powietrza?

- Tak.
- Czy miał świadomość, że odcięcie dopływu powietrza do płuc wywoła śmierć przez uduszenie?

- Tak.

Audra zerknęła znacząco na przysięgłych.

- Czy pana zdaniem oskarżony był niepoczytalny w chwili popełniania zabójstwa?

- Nie - zaprzeczył stanowczo Martin. - W żadnym razie.
- Świadek do dyspozycji obrony.
- Audra pomaszerowała na swoje miejsce i zaczęła porządkować dokumenty, jakby rozstrzygnięcie już zapadło.

Graham powoli podniósł się z krzesła.

- Czy przypomina pan sobie, o której godzinie Jamie wszedł do pańskiego gabinetu?

Martin ściągnął brwi w wyrazie najwyższej koncentracji.

- Nie jestem pewien. Ale mogę to sprawdzić w swoich notatkach.

- Bardzo proszę.

Graham zaczął się przechadzać po sali, a tymczasem doktor Martin wertował kartki czarnego, oprawnego w skórę notesu, który wyjął z kieszeni marynarki.

- O 12:05 - oznajmił.
- A czy bez posiłkowania się notatkami mógłby pan powiedzieć, jak długo trwało spotkanie?

Psycholog szybko, po sownemu zamrugął w wyrazie bezradności.

- Niestety, nie pamiętam.
- W takim razie może zechce pan to sprawdzić w swoim notesie? - Graham zdawał się ucieleśnieniem wielkoduszności.

Martin ponownie przerzucił kilka stron.

- Zakończyło się o 12:23.
- A więc spędził pan w towarzystwie Jamiego osiemnaście minut.

- Najwyraźniej.

- Czy rozmawialiście o wydarzeniach tragicznej nocy?

- Tak.

- Omówiliście problemy zdrowotne jego żony?

- Pokrótce.

- Przedyskutowaliście diagnozy lekarskie pod kątem rokowań?

- Nie pamiętam.

Wszystkie te pytania Graham zadawał z impetem natarcia artyleryjskiego i na skutek tego ostrzału świadek niemal wcisnął się w krzesło.

- Czy wniknął pan w naturę związku łączącego Jamiego z żoną?

- Niewykluczone - odparł psycholog słabym głosem.

Graham gwizdnął przez zęby, po czym wsunął ręce do kieszeni spodni.

- Chce nam pan powiedzieć, że zdołał zrobić to wszystko w ciągu osiemnastu minut? A potem na podstawie tej bez wątpienia dogłębnej rozmowy z Jamieem uznał się panza upoważnionego do wydania opinii na temat jego stanu psychicznego?

Ranaoke Martin uniósł wojowniczo brodę.

- Tak jest.

- Czyż nie jest prawdą, doktorze, że ocenił pan stan psychiczny Jamesa MacDonalda jedynie na podstawie jego nastroju i zachowania w dniu wizyty?

- No, cóż - mruknął Martin - niewątpliwie wpłynęło to...

- Nie mam więcej pytań - uciał Graham i powrócił na swoje miejsce.

Każdy, kto się obracał w prawniczym światku, dobrze wiedział, że Juno Roarke kończył w piątki sesje najszybciej, jak się tylko dało, ponieważ był to dzień wyścigów chartów. Stąd też Graham nie był zaskoczony, gdy sędzia oznajmił, że mowy końcowe rozpoczną się w poniedziałek rano, po czym zwolnił przysięgłych na weekend.

Nie był zaskoczony, co nie znaczy, że nie czuł zawodu.

Zapakował tomy akt do teczki.

- A więc show dobiegł końca? - odezwał się Jamie, który do tej pory nie ruszył się z miejsca.

- W rzeczy samej - odparł adwokat. Mowy końcowe praktycznie nie miały wpływu na werdykt. Poza tym ostatnie słowo i tak należało do Audry.

- Roarke nie powinien był odraczać rozprawy do poniedziałku. To oznacza dla ciebie kolejny weekend niepewności.

Jamie wzruszył ramionami. Nie odezwał się słowem, ale Graham i tak wiedział, co sobie pomyślał. Dodatkowy tydzień wolności.

- Masz transport do domu? - zapytał.

Jamie skinął głową i życzył Grahamowi miłego weekendu. A potem rozejrzał się po sali, która już kilka minut temu praktycznie opustoszała.

Cama i Allie nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Tylko Ellen samotnie siedziała w ławce pierwszego rzędu, tuż za stołem obrony.

- Nie wiedziałem, że wciąż tu jesteś - powiedział z uśmiechem.

- Próbuję wyczuć atmosferę sali bez tego całego zgiełku. No wiesz, określić, czy w tym miejscu panuje pozytywna czy negatywna aura.

Jamie przełożył nogę przez barierkę.

- To zależy jedynie od tego, czy jesteś prokuratorem czy oskarżonym.



- No, dobrze. - Ellen poklepała go po kolanie. - A więc, co zamierzasz robić, gdy już będzie po wszystkim? - Wpatrywała się w niego z tak pełnym napięciem oczekiwaniem, że Jamie niemal wybuchnął śmiechem.

- Pojadę do Disneylandu! - wykrzyknął.

Wykonał coś na kształt piruetu i wylądował na ławce u boku Ellen, po czym przetarł oczy.

- Tak naprawdę nie wiem. Nie mam bladego pojęcia.

- A na co wobec tego miałbyś ochotę?

Zastanowił się nad tą kwestią.

Nie chciał wracać do pracy, jak mógłby programować komputery, skoro nie był w stanie zapanować nad własnym umysłem. Nie chciał też wracać do Cummington.

Zdecydował, że zabije Maggie w Wheelock, żeby nie łączyć dramatycznych wspomnień z rodzinnym miastem. To niesamowite.

Wówczas autentycznie wierzył, że zdoła się od nich uwolnić.

- Chciałbym przejechać przez wszystkie pięćdziesiąt stanów Ameryki - powiedział, zadziwiając tym samego siebie. - A może nawet przeprowadzić się na Zachodnie Wybrzeże i tam zacząć wszystko od nowa.

Nagle zaczął wyrzucać z siebie pomysł za pomysłem. Przed oczami widział przesuwające się obrazy.

Ellen położyła dłoń na jego ramieniu.

Mówił nieprzerwanie przez ponad godzinę, z oczami utkwionymi w przestrzeń.

Bliżej niesprecyzowane wizje przybierały coraz bardziej realny kształt, aż w końcu wyraźnie widział samego siebie przemierzającego góry, poskramiającego lwy, osiągającego mistrzostwo w grze w kręgle. Rozdmuchiwał swoją przyszłość do rozmiarów przekraczających wszelkie proporcje.

Zachowywał się jak dziecko, budujące własny świat na fundamencie nadziei, że pewnego dnia zostanie prezydentem, gwiazdorem filmowym czy rozgrywającym w najlepszej drużynie futbolu amerykańskiego, dziecko, które uparcie nie chce przyjąć do wiadomości, że te marzenia nigdy się nie spełnią.

Graham zadzwonił do Jamiego w niedzielny wieczór.

Jamie siedział na podłodze w domu Angusa i czytał gazetę, gdy rozległ się dzwonek telefonu.

- Halo?

- Jak się miewasz?

- Świetnie. Masz jakieś nowe wieści? - Jamie uśmiechnął się do słuchawki. - Czyżby doszło do oddalenia zarzutów?

- Tylko w moich snach. - Graham zawiesił głos. - Słuchaj, Jamie, właściwie nie wiem, jak to ująć, ale jest pewna kwestia, którą musimy omówić.

Jamie odniósł wrażenie, że ściany nagle zaczynają się na niego walić. Rozciągnął się na brzuchu, oparł brodę o deski podłogi.

- O co chodzi?

- Nie przyjeżdżaj samochodem do sądu w poniedziałek. Ja cię tam zawiozę.

Jamie zacisnął powieki. Przerwał połączenie.

W poniedziałkowy poranek sala rozpraw pękała w szwach. Reporterzy, obecni tu przez ostatnie dwa tygodnie, jakby nagle się namnożyli i w ten sposób powiększyli swój kontyngent o co najmniej pięćdziesiąt podobnych sobie osobników płci obojga, którzy nie mieścili się już na ławkach, więc okupowali miejsca stojące. Zjawiono się także kilkoro mieszkańców Wheelock oraz parę rodzin z Cummington.

Tuż przy drzwiach pozostała pusta przestrzeń, którą wkrótce mieli wypełnić uzbrojeni strażnicy.

Graham stał przy stole obrony i raz po raz poprawiał krawat.

Dzisiaj, podobnie jak Jamie, miał na sobie oliwkowy garnitur - dyskretny wyraz solidarności z klientem.

Zastanawiał się, czy przysięgli to zauważą.

Rozpoczął swoją przemowę dokładnie o 9:30.

- Panie i panowie, wysłuchaliście opowieści o miłości. Miłości tragicznej, lecz głębokiej i szczerzej. W trakcie tej rozprawy poznaliśmy kobietę o imieniu Maggie, która się zakochała ze wzajemnością w mężczyźnie imieniem Jamie. Oboje wierzyli, że będą żyli długo i szczęśliwie. - Graham odwrócił się i zawiesił spojrzenie na swoim

kliencie. - Niestety, tak się nie stało. Ich miłość padła ofiarą fizycznej choroby Maggie i psychicznego rozpadu Jamiego.

Nie wolno nam zapominać, że prawo nie zajmuje się jedynie abstrakcyjnymi pojęciami dobra i zła, ale przede wszystkim ludzkimi postawami.

Zasada sprawiedliwości wymaga, byśmy odróżniali ludzi do cna zdeprawowanych od ludzi chorych. Dlatego właśnie w tej sali wysłuchaliśmy specjalistów w zakresie psychiatrii.

Problem w tym, że ekspert powołany przez oskarżenie wydał opinię na temat psychicznego stanu Jamiego po zaledwie osiemnastu minutach rozmowy. Osiemnastu!

Mnie więcej czasu zajmuje poranny prysznic, niż jemu zajęło za wyrokowanie, czy ktoś jest zdolny do zbrodni i czy w momencie niezwyklego napięcia emocjonalnego był w pełni świadomy swoich poczynań!

Przysięgły numer sześć uśmiechnął się szeroko.

- Ekspert oskarżenia nie znalazł czasu, żeby porozmawiać z Jamie o osobie, którą kochał najbardziej na świecie, zdecydowanie bardziej niż samego siebie.

Nie omówił z nim problemów zdrowotnych Maggie, rokowań lekarzy, a przede wszystkim - nie zainteresował się ani przez moment, jaki wpływ tak niewyobrażalna trauma miała na tych dwoje. I przy tym wszystkim nadal uważa, że był upoważniony do wydania „profesjonalnej” opinii.

Graham podszedł do ławy przysięgłych.

- Wszyscy wiemy, że jeżeli poddamy ludzką kość zbyt dużemu naciskowi - pęknie.

Podobnie ma się rzecz z ludzkim umysłem. Słyszeliście państwo zeznania drugiego eksperta, który stwierdził, że w okresie bezpośrednio poprzedzającym śmierć żony Jamie nie był zdolny myśleć logicznie i rozważyć w racjonalnych kategoriach prośby, z jaką zwróciła się do niego żona.

Inny świadek zeznał, że na pogrzebie Maggie Jamie nie posiadał się z rozpacz.

Czy tak się zachowuje wyrachowany morderca?

Dowiedzieliście się państwo, w jaki sposób James i jego żona spędzili ostatnie wspólne dni. Czy człowiek równie bezduszny, by drobiazgowo zaplanować zbrodnię, oglądałby z żoną wschód słońca nad górami, kochał się z nią wielokrotnie, zabrał na tańce i do restauracji?

Z kolei najlepsza przyjaciółka żony Jamiego zeznała, że Maggie zamierzała prosić męża o skrócenie jej życia.

Ta sama przyjaciółka jasno i wyraźnie oświadczyła, że nie ma Jamiemu za złe tego, co zrobił.

Nawet komendant policji, który dokonał aresztowania, przyznał, że jest to sprawa niejednoznaczna.

Graham powiódł wzrokiem potwarzach przysięgłych.

Były nieprzeniknione.

- Wiecie, państwo - podjął miękkim głosem – doskonale rozumiem, co wzbudza wasz niepokój.

Wszyscy czujemy się nieswojo, gdy słuchamy opowieści o człowieku, który tak bardzo kochał żonę, że był zdolny popełnić dla niej zbrodnię. W obliczu takiego poświęcenia odczuwamy poczucie winy, ponieważ większość z nas najprawdopodobniej nie byłaby do czegoś podobnego zdolna.

Przyznanie, że wypełnienie woli żony wymagało od Jamiego wielkiej odwagi, zmusza nas jednocześnie do przyznania, że my taką odwagą się nie odznaczamy.

Że nie mielibyśmy w sobie dość siły, że nasze uczucia do żon, mężów, kochanek czy kochanków nie mają tej samej przepastnej głębi.

To niezwykle, by podczas procesu karnego rozprawiać o miłości, ponieważ w przypadku postępowań karnych stykamy się zazwyczaj z nienawiścią. Mówimy: to nienawiść sprawiła, że chwycił za broń i pozabijał ludzi na stacji metra.

To nienawiść sprawiła, że podłożył bombę w londyńskim pubie. Bez zastrzeżeń wierzymy, że nienawiść może pchnąć ludzi do szaleńczych czynów.

Ale przecież to samo możemy powiedzieć o miłości.

Jeżeli nienawiść jest zdolna zawładnąć naszym rozumem, może to uczynić i miłość.

Ostatecznie wszyscy słyszeliśmy frazesy w rodzaju: „Miłość jest ślepa”, „Miłość wszystko zwycięży”, „Chodzi jak błędny, bo jest zakochany”. Pomyślcie tylko państwo, jaką moc przypisujemy miłości, wypowiadając choćby tak trywialne uwagi. I jakże często jesteśmy wobec niej bezradni.

Graham podszedł do stołu obrony, by przysięgli podążyli za nim wzrokiem i siłą rzeczy patrzyli także na Jamiego.

- Gdybym mógł włączyć miłość do materiału dowodowego, jak – powiedzmy - protokół aresztowania, natychmiast bym to uczynił. Niestety, nie mam takiej możliwości. Proszę jednak, byście państwo jedno mieli na uwadze. James jest potężnym mężczyzną.

Ma metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, jest w doskonałej fizycznej kondycji.

A mimo to miłość go pokonała, nie zdołał się przed nią obronić. Pozbawiła go trzeźwości myślenia, kazała zignorować wpajane od dziecka zasady.

Jedyną zbrodnią Jamiego było to, że zbyt mocno kochał żonę. Czy jednak należy go zato ukarać?

Graham umilkł. Zasiadł za stołem.

Była dokładnie 9:52.

Audra Campbell stanęła naprzeciwko Jamiego.

- Gdybyśmy mogli przywrócić Maggie MacDonald zdrowie, bez wątpienia wszyscy byśmy to zrobili z największą ochotą. - Zwróciła się w stronę przysięgłych. – Przez ostatnie dwa tygodnie w tej sali mówiono wiele o rozpacz i współczuciu.

W takiej sytuacji łatwo się poddać emocjom i zapomnieć, co stanowi istotę tego procesu.

A przedstawia się ona następująco: w postępowaniu sądowym nie poddajemy ocenie głębi uczuć, tylko zaistniałe fakty. Dlatego musimy odrzucić patos i skoncentrować się na twardych dowodach.

Zaczęła się przechadzać wzdłuż barierki, raz po raz patrząc w oczy kogoś z przysięgłych.

- Pan MacDonald nigdy nie był notowany.

Jest inteligentnym, elokwentnym człowiekiem.

Dobrym amerykańskim obywatelem.

Pan MacPhee usiłował państwa przekonać, że z racji tych niewątpliwych przymotów jego klienta nie powinno się sądzić w ramach obowiązującego systemu.

Nie istnieje jednak żaden przepis, który mówi, że jeżeli ktoś jest wzorowym członkiem społeczności, wiedzie nienaganne życie, to w pewnym wybranym przez siebie momencie może bezkarnie odrzucić reguły obowiązujące w cywilizowanym świecie. Wziąć prawo w swoje ręce.

Zatrzymała się naprzeciwko przysięgłej o pomarańczowych włosach i wyciągnęła przed siebie dłoń.

- Jeżeli odsiejecie państwo wszystkie okoliczności łagodzące, którymi nieustannie zarzucał nas pan MacPhee, ujrzycie niepodważalne dowody winy oskarżonego.

Będziecie musieli uznać, że 15 września 1995 roku pan MacDonald z premedytacją i wyrachowaniem zamordował swoją żonę.

Dla zwiększenia dramatycznego efektu Audra zawiesiła głos.

Przysięgli siedzący po jej prawej stronie zakasłał w dłoń. Niektórzy przysięgli wpatrywali się w panią prokurator, inni wbijali wzrok we własne kolana, kolejni zerkali na Jamiego. Graham nie potrafił już zdecydować, co sądzą o każdej ze stron postępowania.

- Jestem pewna - podjęła tymczasem Audra - że każdy obecny w tej sali patrzył swego czasu na cierpienie bliskiej osoby.

Niekiedy trwało ono krócej niż w przypadku Maggie MacDonald, niekiedy dłużej.

I jestem przekonana, że w takiej sytuacji każdy z państwa był pod wpływem głębokiego stresu. A jednak nie złamaliście z tego powodu prawa.

Pamiętajcie o tym, panie i panowie przysięgli, gdy będziecie się przyglądać faktom, składającym się na tę sprawę. FAKTOM, a nie towarzyszącym im emocjom.

Bo chociaż w przedstawione wydarzenia jest wpleciona ludzka tragedia, musicie państwo o niej zapomnieć i skoncentrować się na

dowodach. A dowody są tak niepodważalne, że trudno w tej sprawie nie orzec winy oskarżonego.

Powróciła na swoje miejsce, a wówczas Jamie wreszcie przestał wstrzymywać oddech i z wolna wypuścił powietrze z płuc.

Świadomość wpływu na bieg wydarzeń dodaje ludziom poczucia dumy.

Jamie przyglądał się twarzom przysięgłych, gdy wysłuchiwali kodeksowego pouczenia sędziego Roarke'a, zwyczajowo wygłaszanego przed udaniem się członków ławy na obrady. Każdy z nich - nawet pomarszczony staruszek przywodzący na myśl żółwia i wiecznie przygarbiona kobieta o zaokrąglonych ramionach - zdawał się o kilka centymetrów wyższy.

Każdy się koncentrował na słowach sędziego, wypowiedzianych tubalnym głosem.

I niczym poczwarki wydostające się z oprzędów w postaci pięknego motyla, tak przysięgli zmieniali się w oczach.

Teraz już nie byli tymi samymi ludźmi, którzy zasiedli na sali rozpraw przed dwoma tygodniami.

Ani jeden spośród przysięgłych nie spoglądał w stronę stołu obrony. Jamie się zastanawiał, czy dzieje się tak dlatego, że gnębi ich poczucie winy, czy że czują do niego odrazę. A może po prostu nie chcieli zdradzać swoich odczuć. Ciekawiło go też, ilu z tej dwunastki już wiedziało, jak będzie głosować, i obrady uważało jedynie za czczą formalność.

Sędzia Juno Roarke podziękował im za cierpliwość i czas, który poświęcili tej rozprawie.

Odchrząknął, powiódł po nich wzrokiem, po czym przeszedł do przedstawienia ich obowiązków.

- W naszym stanie przez morderstwo z premedytacją rozumie się pozbawienie drugiego człowieka życia w złej wierze. - Zawiesił głos, żeby przysięgli dobrze przyswoili sobie to uwarunkowanie prawne.



- Taki werdykt można ogłosić wtedy, gdy oskarżenie wykaże, że oskarżony działał z premedytacją, wyrachowaniem i determinacją.

Bo to właśnie na oskarżeniu ciąży obowiązek udowodnienia ponad wszelką wątpliwość, że czyn oskarżonego wyczerpuje trzy wspomniane przeze mnie znamiona.

Jeżeli jednak po przesłedzeniu materiału dowodowego uznacie państwo, że istnieją uzasadnione wątpliwości co do winy oskarżonego, macie obowiązek wydać werdykt uniewinniający.

I analogicznie, jeżeli uznacie, że dowody bezsprzecznie potwierdzają postawionemu zarzuty, musicie uznać go za winnego. - Westchnął głęboko. - Czasami bywa też tak, że czyn popełniony przez oskarżonego nie odpowiada co do litery stawianym zarzutom.

Wówczas możecie państwo uznać oskarżonego za winnego przestępstwa o mniejszym ciężarze gatunkowym - na przykład zabójstwa, które rozumiemy jako rozmyślne pozbawienie życia drugiego człowieka, dokonane jednak w stanie silnego wzburzenia emocjonalnego.

Graham spojrział na Jamiego i rozciągnął usta w uśmiechu, który jednak wydawał się wymuszony.

- W przedmiotowej sprawie - ciągnął tymczasem Roarke - obrona utrzymuje, że oskarżony powinien zostać uniewinniony, ponieważ działał w stanie niepoczytalności.

Z prawnego punktu widzenia termin „niepoczytalność” oznacza, że w chwili popełniania przestępstwa oskarżony nie pojmował natury i konsekwencji swojego działania.

Jamie ujrzał, jak jeden z przysięgłych - artysta, którego uważał za swojego sojusznika - kiwa potakująco głową.

- Jeżeli uznacie, że w przedmiotowej sprawie zachodzi taka okoliczność, musicie także zdecydować, czy obecnie oskarżony jest już zdolny do rozróżnienia dobra od zła. - Roarke potrząsnął głową, jakby bardzo z siebie zadowolony. - Wasz werdykt musi być jednoznaczny.

Jeżeli będziecie potrzebowali dodatkowych wyjaśnień w zakresie przepisów prawa, dojdziecie do wniosku, że musicie przestudiować zapisy zeznań świadków lub ponownie się zapoznać z innym materiałem dowodowym, skontaktujecie się ze mną poprzez sekretarza sądu, a ja postaram się wam pomóc. - Stuknął palcem w leżący

przed nim arkusz papieru. - Kiedy uzgodnicie werdykt, ta karta pomoże wam uporządkować wszystkie kwestie. - Uśmiechnął się do brotliwie do przysięgłych, jak gdyby już wypełnili nadzwyczaj zbożny uczynek. - Pamiętajcie, panie i panowie, że teraz wchodzić w najważniejszą fazę procesu. I nie zapominajcie o złożonym przyrzeczeniu. – Ściągnął brwi. - Przed udaniem się na obrady proszę podać zamówienia na lunch sekretarzowi sądu. Dziękuję państwu.

Przysięgli ruszyli do drzwi gęsiego. Przypominali koraliki naniżane na nić.

Jamie odprowadził ich wzrokiem, a potem oparł głowę o stół i zamknął oczy.

Pozostał w tej pozycji aż do chwili, gdy reporterzy wynieśli się z sali, Allie przestała się domagać, by odpowiedział na jakieś jej pytanie, a na widowni nie było już żywej duszy.

A kiedy zapanowała idealna cisza. Graham położył dłoń na jego ramieniu.

- Idziemy na spacer - zarządził.

Karta głosowania przysięgłych.

Stan Massachusetts v. James MacDonald

Akt oskarżenia nr 1098-96

1. Uznajemy oskarżonego za WINNEGO morderstwa pierwszego stopnia.
2. Uznajemy oskarżonego za NIEWINNEGO morderstwa pierwszego stopnia.
3. Uznajemy oskarżonego za WINNEGO zabójstwa.
4. Uznajemy oskarżonego za NIEWINNEGO zabójstwa.
5. Oskarżony został uznany za NIEWINNEGO morderstwa pierwszego stopnia, ponieważ działał w stanie niepoczytalności.
6. W przypadku odpowiedzi TWIERDZĄCEJ na pytanie 5: Czy oskarżony nadal pozostaje w stanie niepoczytalności?

Graham zamierzał zabrać swojego klienta na długi spacer, ale na stopniach wiodących do gmachu sądu aż się kłębiło od reporterów, palących papierosa za papierosem i przekrzykujących się nawzajem. Wyprowadzenie Jamiego w takiej sytuacji za drzwi byłoby równoznaczne z rzucającym jagnięciana pożarcie lwom.

- Idziemy na górę - zdecydował adwokat, po czym zaciągnął Jamesa na drugie piętro, gdzie mieściły się biura sądu w Pittsfield.

Graham nienawidził tego etapu postępowania. Teraz nie był już w stanie niczego zmienić, niczego zdziałać. Mógł jedynie odtwarzać w myślach przesłuchania świadków i doszukiwać się własnych błędów w sposobie ich indagowania oraz rozpatrywać co celniejsze strzały oskarżenia.

W wypadku sprawy Jamiego część potyczek wygrali, część przegraли z kretelem. Wynik bitwy był wciąż nierozstrzygnięty.

Spojrzał na swojego klienta. Pragnął mu powiedzieć coś pokrępowanego, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie ma takich słów, które Jamie chciałby teraz usłyszeć. Przez poślizgnięcie szybko wyglądał na sądowy parking. Graham stanął za jego plecami i zobaczył, że parkingowy nachyla się nad jakimś samochodem i wskazuje na pobliską ulicę, najwyraźniej tłumacząc, jak dojechać do miejsca, do którego chciał trafić kierowca tego auta.

- Ponieważ później mógłbym zapomnieć, to powiem ci to teraz, mecenasie: wykonałeś kawał dobrej roboty - powiedział Jamie, nie odrywając wzroku od okna.

Graham potrząsnął głową.

- Na razie trudno mówić o dokonaniach. Jeszcze przysięgli nie wrócili z werdyktem.

- Mimo to.

- Czy chciałbyś, żebym przyniósł coś do jedzenia lub picia?

Jamie odwrócił się w stronę swojego adwokata, wcisnął ręce głęboko do kieszeni.

- Jeżeli zabiorą mnie do więzienia, co się stanie z garniturem?

To pytanie tak zaszokowało Grahama, że na moment zaniemówił.

- Przechowają go dla ciebie w magazynie. Razem z zegarkiem, pieniędzmi i innymi osobistymi drobiazgami.

Jamie z powrotem podszedł do okna.

- Po prostu chciałem wiedzieć.

Kiedy Graham wyszedł, pozornie do łazienki, ale w rzeczywistości pewnie dlatego, że już się dusił w towarzystwie swojego klienta, Jamie też się wyśliznął z niewielkiej salki i ruszył przed siebie korytarzem.

Pośrodku znajdujących się tu drzwi widniały dymne szyby, które kusily, żeby zajrzeć do wewnątrz, a jednocześnie nie pozwalały niczego zobaczyć.

Większość znajdujących się za drzwiami pomieszczeń była pogrążona w mroku i zamknięta na trzy spusty.

Jamie uśmiechnął się sarkastycznie pod nosem.

Ostatecznie był to budynek sądu.

Bóg jeden wie, jak groźni przestępcy mogli się snuć po biurowych korytarzach.

Po pewnym czasie zaczął chwytać za gałki w mijanych drzwiach. Nie zależało mu wcale, żeby wejść do środka, po prostu nie miał nic lepszego do roboty.

Poza tym w tej czynności był określony rytm: dwa kroki, ręka na gałce, obrót, dwa kroki, ręka na gałce, obrót.

Kiedy drzwi ustępowały, wsuwał za nie głowę i rozciągał usta w uśmiechu prawowitego obywatela.

- Przepraszam - mówił do zaskoczonej sekretarki. - Pomyliłem numer.

W ostatnim pomieszczeniu po lewej stronie znajdowały się kserokopiarki. Jamie dostrzegł neonowo-niebieskie błyski wydobywające się spod szpary w drzwiach.

Zapewne ktoś coś kserował.

Jamie pomyślał, że wejdzie do środka, uda, że jest prawnikiem, poczeka, aż osoba znajdująca się w pokoju zakończy kopiowanie i wyjdzie, a on wówczas zrobi sobie ksero własnych dłoni. Kiedyś, jeszcze w liceum, skserował swój policzek, a potem przycisnął usta do szkła, nie bacząc na rażące oczy błyskawice, przywodzące na myśl start rakiety.

Raz po raz naciskał guzik kopiowania, dążąc do idealnego odwzorowania oryginału. Ale bez względu na to, jak się ustawiał, jego usta na czarno-białej kopi i zawsze wyglądały na wykrzywione bólem.

Otworzył drzwi i w pierwszej chwili nie dojrzał nikogo w zasięgu wzroku.

Jedynie kopiarka pracowała jak oszalała, strzelając promieniami niebieskiego światła.

Schylił się do zielonego przycisku i wyłączył maszynę. A kiedy się wyprostował, jego oczom ukazała się Maggie. Siedziała na kserokopiarce ubrana w golfik bez rękawów oraz džinsy i Jamie zachodził w głowę, jakim cudem w połowie stycznia nie zamarzła na śmierć w takim stroju.

Palce dłoni zaczęły mu się same zaciskać i rozprostowywać na przemian. Podświadomie zarejestrował, że drzwi pomieszczenia zamykają się z cichym stukotem.

Milion pytań cisnęło mu się na usta: Czy za mną tęsknisz? Czy zadałem ci dużobólu? Czy teraz jesteś już zdrowa? Ale zdumienie i ciekawość odebrały mu mowę.

Chłonał więc tylko jej uśmiech. Upajał się wygięciem usti smutnym wyrazem oczu niczym człowiek, który nigdy wcześniej nie doświadczył piękna. Pomyślał, czy ona jest teraz aniołem?

A kiedy nieznacznie skinęła głową, rozpromienił się w uśmiechu.

A więc nic się między nimi nie zmieniło.

Nadal czytała w jego myślach.

Patrząc na żonę, Jamie doznał nagłego olśnienia. Nie istnieje coś takiego jak uniwersalne niebo, do którego wszyscy wędrują po śmierci.

Niebo jest tym, czym człowiek chce je widzieć. I można je odnaleźć w najmniej oczekiwanych miejscach. On sam był tak pochłonięty poszukiwaniem Maggie, że nie zauważył, gdy się pojawiła.

Ponieważ nie miała aureoli i nie trzymała gwiazdy w dłoni, uznał, że jest tylko wspomnieniem.

A tymczasem Maggie - jego Maggie, w dziurawych džinsach, zjadająca pączka, ze smugą cukru pudru na policzku - przychodziła już od tygodni. Widział odbicie jej twarzy w porcelanowych talerzach Ellen, ukazywała mu się w łazienkowym lustrze, ilekroć się golił.

- A więc mnie odnalazłaś - wyszeptał. A potem osunął się po ścianie na podłogę.

Allie i Cam znajdowali się w tym czasie dwa piętra niżej, w holu. Siedzieli na drewnianej ławce i czekali na powrót przysięgłych. Allie, przygarbiona, obejmowała kolana rękami i odtwarzała w myślach najdrastyczniejsze sceny z dramatów sądowych, które widziała w telewizji. Nieustannie powracał do niej przerażający obraz: wysoki, krzepki strażnik wywleka Jamiego zza stołu obrony, żeby go eskortować, gdzie? do więzienia w Attica? a Jamie, skuty kajdankami, unosi wysoko głowę i wykrzykuje imię żony. Cam od bitych trzech godzin głądził coś na temat posesji Angusa - jakby to teraz miało jakiegokolwiek znaczenie, że wynajął ten dom dla stryja, tuż po tym, gdy ściągnął go ze Szkocji, i że umowa dzierżawy wkrótce wygasa.

Jednym uchem słuchała wynurzeń Cama na temat depozytów oraz agencji wynajmu nieruchomości. W końcu nie wytrzymała.

- Wyjaśnij mi, proszę, jedno. Dlaczego opowiadasz o tym wszystkim akurat teraz?

- Żebyś się nie zastanawiała, co robią w tej chwili przysięgli. Jesteś tak strasznie nakręcona, że aż się boję koło ciebie siedzieć.

Allie uniosła kącik ust w uśmiechu.

- Prawdę mówiąc, nic mnie nie obchodzą jakieś dzierżawy. Chcę się spokojnie zatopić we własnych myślach. – Spojrzała na męża. - Ale doceniam twoje wysiłki.

- Uczyłem się od mistrzyni - powiedział cicho Cam i Allie przypomniawszy sobie te wszystkie sytuacje, gdy wracał z pracy przejęty niewinnieniem jakiegoś zbira lub dzieckiem molestowanym w na pozór wzorowej rodzinie. Siadała wówczas u jego boku i trąkotała jak najęta: opowiadała o wystawach kwiatów, najbliższych wyprzedażach lub przekazywała plotki zasłyszane w supermarkecie, w kolejce do kasy.

Wiedziała, że Cama guzik to wszystko obchodzi, ale miała też świadomość, że jej paplanina odrywa go od ponurych myśli.

W takich sytuacjach wzbudzenie irytacji było równie skuteczne jak wzbudzenie zaufania.

- Wspomniałem o domu Angusa, bo doszedłem do wniosku, że może powinniśmy go na razie zatrzymać. Załatwić dzierżawę odnawialną co miesiąc.

Niewykluczone, że gdy dzisiaj opuścimy wszyscy gmach sądu, Jamie nie będzie miał ochoty wracać od razu do domu, może postanowi się zatrzymać na jakiś czas w Wheelock.

Sądzę, że on nie ma pojęcia, że to my wynajmujemy ten dom. - Mówiąc to, zakreślał w powietrzu koła rondem kapelusza. - Przydałaby mu się chwila oddechu.

Allie rozdziawiła usta ze zdumienia.

- Ależ to. to cudowny pomysł.

Podniosła oczy na Camerona, ale tym razem nie ujrzała pięknych rysów, które mogła odtworzyć w każdej chwili, nawet wyrwana z najgłębszego snu, ale o wiele subtelniejsze szczegóły: życzliwość w oczach, delikatne bruzdy skruchy ujmujące w nawias usta, nadzieję, której się uczeplił swoimi silnymi rękami.

Te atrybuty były o wiele atrakcyjniejsze od silnej linii podbródka, wysyczonej barwy gęstych włosów i innych fizycznych cech, które zawsze tak bardzo podziwiała.

Przesunęła się nieznacznie ku niemu. Cam zajrzał jej głęboko w oczy, jakby próbował odczytać tajemne sygnały.

Pocałuj mnie, pomyślała. Chociaż raz zrób coś, jak należy.

Pochylił się nad jej twarzą.

W tym samym momencie pojawił się w holu jeden z funkcjonariuszy sądowych i zaczął nawoływać widzów sądowego spektaklu, którzy się wysypali z sali rozpraw kilka godzin temu.

- Za pięć minut wznowienie sesji! - huknął donośnym głosem, przywołując Allie z powrotem do rzeczywistości. - Przysięgli ustalili werdykt.

Jamie wsunął się na swoje miejsce u boku Grahama, po czym zerknął w stronę stołu oskarżenia. Audra Campbell wciskała akta do teczki.

Na sali rozpraw ponownie zapanował tłok. Dwaj uzbrojeni strażnicy, którzy mieli wyprowadzić Jamiego w wypadku skazującego wyroku, trzymali wartę przy tylnych drzwiach. Teraz z tyłu kłębiło się jeszcze więcej reporterów niż podczas wygłaszania mów końcowych.

Jamie nie znał zdecydowanej większości ludzi, którzy przyszli wysłuchać werdyktu.

Przypomniała mu się Anglia z przełomu wieków, gdzie wieszanie skazanych należało do ulubionych rozrywek gawiedzi.

- Proszę wstać!

Do sali dudniącym krokiem wkroczył sędzia. Jamie dźwignął się na nogi, ale utrzymał się na nich tylko dzięki temu, że podparł się rękami o stół i jednocześnie o ramię Grahama.

Wprowadzono przysięgłych. Troje z nich zerknęło na Jamiego i szybko umknęło wzrokiem. Graham uporczywie powtarzał sobie w duchu, że to o niczym nie świadczy.

Ledwo Jamie opadł na krzesło, sędzia Roarke spojrział w jego stronę.

- Proszę oskarżonego o powstanie.

Poczuł, jak Graham ciągnie go w górę za łokieć.

Czemu oni mi to robią? - pomyślał.

Nie mogą się doczekać, aż zrobię z siebie widowisko?

Chcą zobaczyć, jak drżą mi kolana?

Lub jak padam, słysząc wyrok skazujący?

Roarke skierował wzrok na przewodniczącego ławy, emerytowanego żołnierza, którego Jamie chciał za wszelką cenę wyeliminować ze składu.

- Czy przysięgli ustalili werdykt?

Przewodniczący skinął głową.

Przekazał kartę głosowania sekretarzowi, a on z kolei podał ją sędziemu. Roarke skinął głową.

- Panie przewodniczący, czy w sprawie „Stan Massachusetts kontra James MacDonald” przysięgli uznają oskarżonego za winnego popełnienia pierwszego z zarzucanych mu czynów, to jest morderstwa pierwszego stopnia?

- Uznajemy Jamesa MacDonalda za niewinnego.

- Czy przysięgli uznają oskarżonego za winnego popełnienia drugiego z zarzucanych mu czynów, to jest zabójstwa?



- Uważamy go za niewinnego.

Za plecami Jamiego przeleciał szmer kolektywnego zdumienia, jakby wiatr smagał drzewa osiki.

Niewzruszony tym Roarke recytował dalej swoją kwestię.

- Czy oskarżony został uznany za NIEWINNEGO morderstwa pierwszego stopnia, ponieważ przysięgli uznali, że działał w stanie niepoczytalności?

- Tak jest - odparł przewodniczący.

- Czy stan niepoczytalności utrzymuje się do obecnej chwili?

- Nie.

Jamie zwrócił się w stronę Grahama z szerokim, głupawym uśmiechem na ustach, po czym uściśnął adwokata tak mocno, że aż uniósł go w górę.

Sala rozpraw eksplodowała kakofonią podniesionych głosów.

James czuł, że Allie poklepuje go entuzjastycznie po plecach chłodnymi, gładkimi dłońmi.

Sędzia głośno postukał młotkiem.

- Dziękuję państwu zapoświęcony sądowi czas i wyteżoną pracę powiedział, zwracając się do przysięgłych.

Potem przeniósł wzrok na Jamiego.

- Panie MacDonald, jest pan wolny.

W stronę stołu obrony rzucili się hurmą dziennikarze, szczęśliwie zatrzymała ich barierka.

Podetknęli Jamieemu las mikrofonów pod nos, oślepiłi błyskami fleszy zarzucili pytaniami, przed którymi się osłaniał uniesionym ramieniem.

Co pan teraz czuje?

Czy sądzi pan, że wyrok wydany w tej sprawie wpłynie na orzecznictwo w innych procesach dotyczących eutanazji?

Czym się pan teraz zajmie?

Audra przepchnęła się przez dziennikarską watahę i wyciągnęła do Grahama dłoń.

- Doskonała robota - przyznała ze ściągniętą twarzą.

Graham potrząsnął głową i odprowadzał ją wzrokiem, ale szybko wchłonął ją tłum.

Za to ujrzał swojego ojca - Duncan MacPhee nie próbował się przebić do przodu, wdrapał się jedynie na ławkę, uniósł w górę kciuki i uśmiechał się od ucha do ucha.

Jamie nie zwracał najmniejszej uwagi na pytania zadawane przez dziennikarzy.

Przypomniawszy sobie ten dzień, gdy po uzyskaniu warunkowego zwolnienia pojechał do domu Angusa i zobaczył na polu Darby Macca morze balonów. Na jednym z nich widniał duży napis „Gratulacje!” Wówczas, okazało się, że słusznie, przyjął to za dobry omen.

Pochylił się ku Grahamowi.

- Potrzebuję transportu do domu - zauważył ze śmiechem. - Zapłacę ci za to ekstra. - Klepnął adwokata po plecach, powiedział, że spotkają się przy samochodzie. A potem wybiegł z sądu i pospieszył w stronę nagiego, owocowego drzewka rosnącego za śmietnikami.

Tam już czekała na niego Maggie.

Allie nie miała okazji porozmawiać z Jamiem po ogłoszeniu werdyktu, ale Cam zauważył, że Jamie i tak jest w tej chwili oszołomiony, więc o wiele rozsądniej będzie zadzwonić lub wpaść do niego później.

Wyjął z kieszeni kluczyki - przyjechali tu poobijanym policyjnym ffordem - ale Allie wyrwała mu je z ręki.

- Jestem tak nakręcona, że nie zdołam usiedzieć w miejscu. Daj mi prowadzić.

Tak więc we własnym samochodzie Cameron wylądował na fotelu dla pasażera, który natychmiast odsunął do tyłu, by mieć więcej miejsca na nogi.

- Tylko zamknę na chwilę oczy - powiedział i w niecałe dziesięć minut później spał już kamiennym snem.

Śniła mu się Mia.

Cam stał w otwartych drzwiach swojego domu, a ona machała do niego z podjazdu.

Miała na sobie ciemnofioletową kurtkę, niemal dokładnie koloru jej oczu, i wyglądała tak przepięknie, że nie mógł oderwać od niej wzroku. Zaciśnięta z całej siły dłoń na klamce, by nie puścić się biegiem ku tej niezwykłej kobiecie.

Niespodziewanie u jego boku pojawiła się Allie, ubrana w sweter, który jej podarował na ostatnie urodziny, i objęła się mocno ramionami.

„Wychładasz dom”, rzuciła pełnym wyrzutu głosem i wyciągnęła rękę, żeby zatrzaskać drzwi.

Serce zaczęło walić mu jak oszalałe. W każdej chwili Allie mogła dostrzec Mię, ale na szczęście nie zadała sobie trudu, by zerknąć w stronę podjazdu. Napierała za to na drzwi. „Ja to zrobię”, zdecydował Cam i po raz ostatni spojrzął na Mię.

Kiedy drzwi się zatrzaskały, ze zdumieniem zauważył, że nie były tymi, które osobiście wybierał do tego domu, zrobionymi z ciężkiej, litej dębowej płyty, miał przed sobą skrzydło wykonane z laminatu, pośrodku którego widniało kilka okrągłych, grubych szkielec.

Można było wyrzeć przez nie na zewnątrz, ale obraz był niekształcony i niewyraźny.

Cam wytężył wzrok i dostrzegł zamazany kontur, który – jak wiedział – był Mią. I to wszystko.

W jego śnie Allie uśmiechała się promiennie.

- Idziesz? - spytała.

Nie wiedział dokąd, ale skinął potakująco głową. A potem podążył za nią w głąb domu.

Z każdym pokonywanym kilometrem obniżał się poziom adrenaliny, więc kiedy Allie wjechała na podjazd, nie wiedziała, jak zdoła zebrać w sobie dość siły, żeby wysiąść z samochodu - nie mówiąc już o wejściu do domu. Mimo to cały czas się uśmiechała - cieszyła się z powodu Jamiego.

Nie miała pojęcia, co się stanie z nią i Camem teraz, gdy proces dobiegł końca.

Był dla nich buforem i swoistym łącznikiem zarazem. Od tej chwili Cam nie będzie mógł zbierać u niej dodatkowych punktów zato, że zjawił się w sądzie czy uprzejmie uściśnił Jamiemu dłoń. Od dzisiaj byli skazani tylko sami na siebie.

Przypomniała sobie, jak bardzo była przerażona w swoją poślubną noc.

I nie chodziło o seks. To mieli już za sobą.

Po prostu owego wieczoru, gdy opuścili przyjęcie weselne i przyjechali do Wheelock Inn, uświadomiła sobie, że resztę życia będzie

musiała spędzić u boku tego mężczyzny. Ręce jej się trzęsły, gdy rozpiniała sprzączki kiltu i guziki sztywnej białej koszuli.

Cam próbował żartami rozproszyć jej lęk, ale przecież on się nie odnosił do tej jednej nocy.

Przerażała ją wizja kolejnego wieczoru, i następnego, i jeszcze wielu kolejnych.

Znajdowali się dopiero na początku drogi, a czekał ich tak wielki dystans do przebycia.

W końcu w poślubną noc wywołała kłótnię. Cam nie popełnił jakiegś niewybaczalnej gafy - po prostu, gdy ją rozbierał, podarł pończochę - ale ona wybuchnęła niepohamowanym płaczem. A potem zaczęła wrzeszczeć, że nie był dość uważny, że nie zastanowił się, co robi, i w ogóle jak to wróży na przyszłość?

A wówczas Cam - zawsze opanowany, zawsze rycerski - chwycił ją mocno w objęcia, a kiedy się przestała wyrwać, całował tak długo i namiętnie, aż w końcu uwierzyła, że najważniejsze jest tu i teraz, że jutro się nie liczy.

Teraz znowu drżały jej ręce, kiedy wsuwała klucz do zamka kuchennych drzwi.

Ledwo weszła do środka, natychmiast skupiła całą swoją uwagę na szklance z sokiem, którą postawił na laminowanym blacie. Sokiem z czarnych winogron! Poderwała do góry szklankę. Ujrzała fioletową plamę.

Sięgnęła po myjkę i zaczęła czyścić zaciekle blat.

- Nie mogę uwierzyć, że byłeś tak bezmyślny! - Usłyszała, jak Cam rozpina suwak kurtki, wiesz ją na oparciu krzesła.

Ona wciąż miała na sobie wierzchnie ubranie, łącznie z czapką i szalikiem.

Uniosła gąbkę. Plama nieco zbladła, ale nadal kłuła w oczy.

Nawet dziecko wiedziało, że sok z ciemnych winogron pozostawia plamy. Cam też o tym dobrze wiedział.

- Nigdy nie zdołam jej usunąć! - Nachyliła się nad blatem, teraz szorowała z całych sił ostrą stroną myjki.

Ręce jej poczerwieniały, na kostkach palców pokazała się krew.

Tak usilnie próbowała usunąć inkryminujący dowód, że nie usłyszała, kiedy podszedł do niej Cam. Przykrył jej rękę dłonią.

Gąbka się rozplaszczyła, mydlana woda oblepiła im palce niczym klej.

- Allie.

Opanuj się.

Zdejmij płaszcz.

Ale ona nie zamierzała tak szybko dać za wygraną. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak wariatka. Miała wrażenie, że obserwuje całą tę scenę z góry, podwieszona pod belki stropu.

Wiedziała też, że teraz już wcale nie chodzi o plamę po soku. A mimo to przez głowę przebiegało jej mnóstwo niedorzecznych pytań: A co będzie, jeżeli pewnego dnia zdecydują się sprzedać ten dom? Może powinna nalać chlorox wprost na blat?

Dlaczego Cameron nie pojmuję, że ilekroć ona wejdzie do kuchni, jej wzrok będzie padać na tę skazę?

- Allie. - Przyciągnął ją do siebie, rozpiął zamek kurtki, zdjął z głowy czapkę.

Odwinął szalik.

A potem znowu położył rękę na jej dłoni.

- Tylko popatrz - powiedział i uśmiechnął się tak, że Allie po raz kolejny pożałowała, iż nie znali się od czasów dzieciństwa.

- Już nie ma śladu.

Plama zniknęła.

Zerknęła w dół. Gdzieś pomiędzy ich palcami kryła się skaza. Ale Cam miał rację. Teraz była niewidoczna.

Poczuła znajome ciepło płynące od jego dłoni, ale teraz uświadomiła też sobie, jak szorstkie są ręce Cama, jak niedopasowane wielkością do jej rąk.

Cam chwycił ją za ramię i obrócił tak, by spojrzała mu prosto w oczy.

- No dobrze. - powiedział.

W jego słowach kryło się pytanie.

Dla Allie zabrzmiało to jednak jak nowy początek.

## DESZCZOWA NOC

Przesycona namiętnościami powieść dotyka wielu współczesnych dylematów emocjonalnych i etycznych. Kiedy i czy w ogóle miłość upoważnia do przekroczenia ogólnie przyjętych granic ładu moralnego? Jak zdefiniować miłość i oddanie drugiej osobie?

Jeszcze długo po zakończeniu lektury tej książki, czytelnik będzie zadawał sobie te pytania, jak również poddawał rewizji własne poglądy na temat miłości i lojalności.

Powieść, która na pierwszy rzut oka wydaje się głosem w dyskusji nad zabójstwem powodowanym miłosierdziem, w ujęciu Picoult przechodzi w rozważania nad istotą miłości.

Picoult traktuje centralne postaci z ciepłą życzliwością, z dużą wrażliwością snuje rozważania nad równowagą uczuciową w relacjach międzyludzkich.

Publishers Weekly

„Deszczow anoc” to powieść próbująca zgłębić, gdzie są granice miłości i lojalności, odwagi i przebaczenia. Picoult traktuje temat z wyrafinowaniem, przykłada wagę do szczegółów, ukazuje kruchość oraz złożoność związków międzyludzkich.

The Boston Globe

„W doskonałym literackim stylu Picoult snuje przed czytelnikiem fascynującą opowieść, kreśli sylwetki frapujących bohaterów, a jednocześnie porusza tak głębokie moralne dylematy jak eutanazja i siła przebaczenia.

Booklist.